VINCENT V. SEVERSKI

PLACSENACKI

6 PM

CZARNA OWCA

VINCENT V. SEVERSKI

PLAC SE NAC KI 6 PM

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Spis treści
Strona redakcyjna
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20

21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48

49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76

77
78
79
80
81
82
83
Przypisy końcowe

Redakcja: Jacek Ring
Konsultacja merytoryczna: Sebastian Musielak
Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Zdjęcie na okładce: © Subodh Agnihotri/Getty Images, © Silvia Otte/Stone/Getty Images
Korekta: Maciej Korbasiński, Marta Stochmiałek, Adam Osiński
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © Vincent V. Severski, 2022
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-997-8

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

2021

Martin przeszedł na emeryturę przed piętnastu laty, a od dziesięciu mieszkał w małym Storlien po szwedzkiej stronie, dwa kilometry od norweskiej granicy. Co drugi czwartek jeździł do Trondheim, jedynego prawdziwego miasta w promieniu stu kilometrów.

O dziesiątej wsiadał do czterdziestoletniego citroëna cx, wkładał kasetę do radioodtwarzacza i słuchając muzyki, sunął powoli na zachód. Przejazd E14 wraz z dojazdami zajmował mu zwykle około dwóch godzin, chyba że czwartek poprzedzał albo wypadał w dni wolne. Wtedy rezygnował z wyjazdu, bo na zakupy do tańszej Szwecji ciągnęły karawany Norwegów i przejazd mógł trwać dwa razy dłużej.

Do Trondheim jeździł, bo tęsknił za miastem, które było jego naturalnym środowiskiem. Storlien było tylko osadą sportów narciarskich i ożywało na kilka miesięcy w roku. Trondheim, mimo dwustu tysięcy mieszkańców, nie miało charakteru miejskiej metropolii, a poza letnim sezonem sprawiało nawet wrażenie wymarłego. Martin nie miał jednak żadnego wyboru, więc żeby uzasadnić swoje wyjazdy, znalazł dobry powód. Lubił ryby i owoce morza.

Zjeździł niemal cały świat i gdziekolwiek był, próbował lokalnych specjałów. Jadł kiszonego rekina na Islandii, rybę fugu w Japonii, marynowanego jesiotra w Astrachaniu, trepangi w Szanghaju, rybę Świętego Piotra nad Jeziorem Galilejskim, Janssons frestelse w Szwecji, więc oficjalnym powodem czwartkowych podróży do Trondheim stał się targ Ravnkloa, na przystani Szpon Kruka. Nad brzegiem rzeki Nidelvy, gdzie od lat przybijały kutry rybackie i statki pasażerskie. Nie było to Fisherman’s Wharf w San Francisco, ale zawsze coś. Pachniało morzem i to Martinowi wystarczało.

Storlien zakrywały chmury i panował w nim lekki mróz. Prószył śnieg, więc wyciągi jeszcze chodziły, ale w Trondheim był piękny słoneczny dzień, dziewięć stopni na plusie, i pojawiły się pierwsze pąki. Wiosna na norweskim wybrzeżu przychodziła dużo wcześniej niż w górach po szwedzkiej stronie. Tak miało być i w tym roku, a był to pierwszy czwartek kwietnia po pandemii.

Martin zaszczepił się już kilka tygodni wcześniej, ale postanowił pozostać na kwarantannie do czasu, aż władze oficjalnie ogłoszą zakończenie pandemii, co właśnie się stało. Toteż po roku samoizolacji postanowił po raz pierwszy wybrać się do Trondheim i zrobić zakupy w Ravnkloi.

Bawiła go myśl, że zarządza sobą w tak naiwny sposób, jakby nie mógł wyzbyć się zawodowych nawyków, ale czuł, że te proste postanowienia, jakie sobie wyznaczał, podtrzymywały jego sprawność intelektualną i wypełniały czas, którego miał w nadmiarze.

Samochód zwykle zostawiał przed targiem i jeśli pogoda pozwoliła, podpierając się laską, szedł na spacer. Zawsze tą samą drogą, szeroką Munkegatan do gotyckiej katedry Nidaros i z powrotem. W jedną stronę po jednej, a w drugą po drugiej stronie ulicy.

Siadał na ławce przed katedrą i przez kilkanaście minut w pamięci wymieniał każdego z pięćdziesięciu siedmiu apostołów, świętych stojących na fasadzie, zaczynając od proroków Abrahama, Samuela i Izajasza, a kończąc na Świętym Franciszku z Asyżu. Uczył się tych rzeźb przez prawie dwa lata, aż w końcu opanował je bezbłędnie. Mimo że był ateistą, każdego świętego czy apostoła poznał osobiście i mógł ze szczegółami opowiedzieć jego historię. Satysfakcję sprawiała mu świadomość, że przeciętny chrześcijanin potrafił rozpoznać ledwie kilku ze swoich przewodników.

Kiedy pierwszy raz zobaczył katedrę Nidaros, odniósł wrażenie, jakby był w pobliżu rodzinnego Canterbury, i to uczucie towarzyszyło mu za każdym razem, gdy siadał na tej ławeczce. To było miłe doznanie. Wprawdzie nie miał w sobie kropli angielskiej krwi, ale czuł się częścią historii Wielkiej Brytanii.

Od targu Ravnkloa do Nidaros było nieco ponad osiemset metrów, więc żeby przejść tę odległość w obie strony o lasce, Martin potrzebował czterdziestu pięciu minut. Kilka lat wcześniej miał artroskopię lewego kolana, a rok później otrzymał endoprotezę prawego stawu biodrowego, więc bóle ustąpiły, ale wcale nie zaczął chodzić szybciej.

Doskonale wiedział, że celebrowanie czwartkowych zakupów w Ravnkloi było mocno naciągane, chociażby dlatego, że określenie targ dla tego miejsca było mocno przesadzone. Po prostu był to sklep z rybami i skorupiakami z Morza Norweskiego, w którym przy kilku stolikach można było spróbować prostych potraw i obejrzeć wystawione obok morskie dziwadła.

Umówił się z Raymondem, że kiedy zniesione zostaną ostatnie ograniczenia, przyleci do Trondheim pierwszym samolotem i przygotują sobie ucztę, jakiej dotąd nie mieli. Obaj dawno skończyli siedemdziesiąt lat, więc Martin uważał, że należy im się szczególna nagroda za zdyscyplinowanie i wytrzymałość w czasie pandemii.

Samolot Raymonda z Londynu lądował na lotnisku Værnes o szesnastej, kiedy więc Martin wszedł do Ravnkloi, miał jeszcze w zapasie dwie godziny.

Zamknął za sobą drzwi, ściągnął czapkę, zatrzymał się i zaciągnął głęboko powietrzem. W Trondheim zawsze czuć było morze, ale w Ravnkloi dochodziła woń wędzonych ryb i krewetek i dopiero teraz naprawdę pachniało Norwegią.

– Martin! *Good to see you my friend!* – usłyszał znajomy niski głos z silnym obcym akcentem.

Spojrzał w prawo i za ladami wypełnionymi barwnymi owocami morza zobaczył uśmiechniętego Hasana. Martin podniósł rękę na powitanie.

– Jak się czujesz, Wim? – zapytał Hasan.

– Udało mi się uniknąć wirusa. Zaszczepiłem się już i jestem chyba bezpieczny. – Martin podał Hasanowi rękę. – Wracam do codzienności.

– Czyli co… Czwartki wracają?

– Tak. Tak jak wcześniej.

– Masz listę, Wim?

– Mam. – Wyciągnął z kieszeni kartkę i wręczył ją Hasanowi. – Mniej więcej to, co zawsze. Ale tym razem mam szczególną prośbę. Dzisiaj przyjeżdża mój przyjaciel, jego żona zmarła rok temu na wirusa i chcę go ugościć. Potrzebuję największego homara, jaki urodził się w naszych wodach. Rozumiesz, Hasan. Sprawa wyjątkowa. Wiem, że to nie sezon, ale może coś jednak masz.

Hasan zrobił poważną minę i spojrzał takim wzrokiem, że Martin od razu wiedział, że ma. Ruszył już w stronę basenu, gdzie zwykle trzymali żywe homary, gdy Hasan chwycił go za rękaw i pociągnął za sobą.

Weszli na zaplecze, gdzie znajdował się drugi basen. Hasan zapalił światło.

– Mają po trzy i pół kilograma – oświadczył z wyraźnym zadowoleniem. – Z nocnego połowu. Miały iść dzisiaj na licytację, ale sprzedam ci jednego, skoro masz wyjątkową sytuację. Poświęcimy go w podziękowaniu dla Allaha za to, że nas oszczędził i pokonaliśmy chorobę. Należy się twojemu przyjacielowi. – Uśmiechnął się, a równo przycięte cienkie wąsy podjechały w górę. – Duży jest. – Stuknął palcem w szybę, jakby chciał dać znać stawonogom, że trzeba się dobrze zaprezentować.

Martin poprawił okulary i opierając się na lasce, pochylił się nad basenem. Dwa szaro-granatowe wielkie homary ze szczypcami skrępowanymi czerwonymi gumkami siedziały na dnie. Poruszały tylko nerwowo czułkami, jakby wiedziały, jaki czeka je los.

– Piękne okazy! Pewnie są tak stare jak ja – rzucił z przekąsem Martin. – Chyba już na nie czas…

– Dorodne samce. Mocne pancerze i oba leworęczne. Dam ci dobrą cenę. Bierzesz?

– Biorę – odparł zdecydowanie Martin, chociaż wiedział, że Hasan weźmie od niego jak od bogatego biznesmena i dużo więcej, niż o tej porze roku zapłaciliby restauratorzy. Chciał jednak zrobić przyjemność Raymondowi, i sobie też. Cena nie miała znaczenia. Tylko taki homar może godnie uczcić zakończenie pandemii i żałobę Raymonda, pomyślał.

– Masz odpowiedni garnek? – zapytał Hasan. – Duży jest ten zbój.

– Mam. Przygotuj go, żeby wytrzymał do wieczora. Miękkie są czy twarde?

– Twarde, mówiłem, wytrzyma dłużej. Dam ci pojemnik, oddasz go następnym razem. Pamiętaj, żeby homara zahibernować wcześniej. Mogę go też dla ciebie zabić, jeśli chcesz.

– Oczywiście, pamiętam. Niech będzie żywy, bo może zjemy go później.

– To co? – rzucił wyraźnie zadowolony Hasan i skierował się do wyjścia. – Zjesz zupę? Nalać?

– Jasne! Tę, co zawsze.

– Usiądź, Wim. Zaraz ci podamy, a ja przygotuję twoje zakupy.

W sali sprzedaży przybyło klientów. Niektórzy przeglądali towar w lodówkach, kilka osób zajęło miejsca w restauracji. Martin odstawił laskę, zdjął kurtkę i usiadł w kącie przy oknie.

Przy stoliku obok siedzieli atrakcyjna blondynka i przystojny brunet, a naprzeciwko nich dwójka nastoletnich dzieci.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że powinien sprawdzić telefon. Nigdy nie używał czegoś takiego jak smartfon i traktował to urządzenie podejrzliwie. Używał starej nokii 3310 bez internetu. Podniósł wyżej progresywne okulary i zmrużył prawe oko, żeby lepiej widzieć małe literki. Pół godziny wcześniej przyszedł SMS od Raymonda, który informował, że właśnie wsiada do samolotu. Martin sprawdził czas. Miał półtorej godziny.

Rozejrzał się po sali. Rodzina przy stoliku obok rozmawiała, ale z ust jej członków nie wydobywały się żadne dźwięki. Odruchowo docisnął aparat słuchowy w prawym uchu, ale nic się nie zmieniło. Pomyślał, że powinien był założyć swój nowy aparat, a ten zanieść do serwisu, skoro jest w Trondheim. Obiecał sobie, że zrobi to za tydzień, jak będzie odwoził Raymonda na lotnisko.

Wyjął aparat, docisnął pokrywę baterii i włożył z powrotem do ucha.

Rodzina przy stoliku obok rozmawiała po rosyjsku. Zaczął się przysłuchiwać. Po chwili Hasan postawił przed nim talerz norweskiej zupy rybnej z kawałkami dorsza i krewetkami, a w koszyczku dwa kawałki bułki czosnkowej.

Mężczyzna i kobieta zastanawiali się głośno, czy zamówić łososia, czy halibuta, z ziemniakami czy z frytkami, dzieci twardo obstawały przy hamburgerach z dorsza. To byli kulturalni ludzie, mówili czysto, ładnym i gramatycznym rosyjskim. Martin z przyjemnością słuchał na żywo miękkiego i śpiewnego języka. Codziennie oglądał rosyjskie programy telewizyjne i filmy, ale słyszeć żywy rosyjski to coś innego. Najchętniej przysiadłby się do nich i porozmawiał o tym, jak cudownie morze żywi człowieka, albo chociażby o lodołamaczu Krasin, o czymkolwiek, byle odezwać się do kogoś po rosyjsku.

Zupa była gorąca, więc mieszając łyżką, czekał, aż przestygnie, i przysłuchiwał się Rosjanom. Spojrzał przez okno. Przed wejściem stał zaparkowany land rover na rosyjskich tablicach.

Pięćdziesiąt jeden to Murmańsk – pomyślał zadowolony, odczytując kod. Wciąż pamiętam.

Po chwili Hasan obsłużył Rosjan, którzy przystąpili do jedzenia.

Martin skończył zupę i przez chwilę jeszcze podsłuchiwał sąsiadów, którzy wychwalali jedzenie.

Hasan dał mu znak, że zakupy spakowane czekają przy kasie. Podniósł się i miał włożyć kurtkę, gdy odwrócił się i zapytał płynnym rosyjskim:

– Przepraszam bardzo, że przeszkadzam. Państwo z Murmańska?

– Tak – odparła kobieta z uśmiechem.

– Spokojnej drogi – rzucił i też się uśmiechnął. Pokiwał do dzieci, które pozdrowiły go podniesionymi dłońmi.

– A pan? – zapytał mężczyzna.

– Ja… z Moskwy – skłamał i szybko dodał: – Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył w stronę kasy.

Wiedział doskonale, że nie powinien zwracać na siebie uwagi, ale nie mógł się powstrzymać. Minęło ponad dziesięć lat, kiedy ostatni raz rozmawiał po rosyjsku. Właściwie przestał się już bać, że może mu to grozić śmiercią. W moim wieku, po pandemii – pomyślał z lekkim rozbawieniem. Nowi Rosjanie… Uśmiechali się zwyczajnie, miło, a nawet szczerze. Zmienili się – doszedł do wniosku Martin.

W kasie zapłacił astronomiczny rachunek, a Hasan zaniósł mu karton z zakupami do samochodu. Wrócił do sklepu i przyniósł pojemnik, w którym miał podróżować homar. Martin obiecał zwrócić go za tydzień, kiedy będzie odwoził przyjaciela na lotnisko, pożegnał się z Hasanem i wsiadł do swojego citroëna.

Do przylotu Raymonda zostało czterdzieści minut, czyli mniej więcej tyle, ile potrzebował, żeby dojechać do lotniska Værnes.

Poczeka, jakbym się spóźnił – pomyślał Martin. Ma dziadek teraz czas. No bo dokąd pójdzie staruch?

Dojechał jednak po godzinie, gdyż za miastem przebudowywano drogę i utworzyły się korki. Raymond zadzwonił, gdy tylko wysiadł z samolotu, i oświadczył, że będzie czekał grzecznie przed wejściem, więc żeby się nie spieszył, bo właśnie poznał atrakcyjną dziewczynę.

Kiedy Martin podjechał pod terminal, Raymond stał już na zewnątrz. Palił papierosa i rozmawiał z elegancką, drobną i krótko obciętą blondynką w grubych okularach.

Wrócił ostry Ray – pomyślał Martin z lekkim rozbawieniem, rozglądając się za miejscem do zaparkowania. Jak zwykle musi być blondynka, jakby nie było innych farb do włosów; nie może się chłop powstrzymać. Skurczył się chyba jeszcze o pół metra, a młodzi są teraz jak wieże, i ten jego obrzydliwy nałóg palenia papierosów. Myślałem, że rzucił po śmierci Giny, jak obiecywał.

Martin wysiadł z samochodu. Wyprostował się maksymalnie, wypiął pierś i bez laski ruszył w stronę Raymonda i kobiety.

– Nareszcie, przyjacielu! – rzucił, ale głos utkwił mu w gardle i nie powiedział jak zawsze: „Dobrze wyglądasz”.

Wychudzone, zapadnięte policzki i szara cera na wiecznie rumianej niegdyś twarzy zrobiły na nim przygnębiające wrażenie. Wyglądał gorzej, niż Martin się spodziewał. Tylko te same oczy, pobudzone alkoholem, błyszczały żywo i wesoło. Ray ciężko przeżył śmierć Giny, a on razem z nim. Martin patrzył na nowe wcielenie przyjaciela i poczuł, że czas gwałtownie przyspieszył.

– Drogi Martinie, poznaj panią Caroline Crowford – przerwał mu Raymond.

Czterdziestolatka w zielonym płaszczu wyciągnęła dłoń w rękawiczce.

– Caroline Crowford – przedstawiła się z prawdziwie rzadkim już angielskim uśmiechem.

2

1990

Jesień 1990 roku na północnym Atlantyku była spokojniejsza niż zwykle o tej porze. Między Wyspami Brytyjskimi i Islandią miały się zetrzeć dwie potężne formacje atmosferyczne, wyż znad północnej Rosji i Skandynawii i niż znad Grenlandii nacierały na siebie, lecz oba były stosunkowo płytkie.

Front przesuwał się ze wschodu na zachód. Zdjęcia satelitarne i analizy meteorologów z amerykańskiego Narodowego Centrum Huraganów zapowiadały wiatr o prędkości ponad czterdziestu metrów na sekundę i silne opady marznącego deszczu. Fale w rejonie Islandii mogły dochodzić do piętnastu metrów, więc wszystkie jednostki o mniejszej dzielności schroniły się w portach i na osłoniętych kotwicowiskach. Załogi norweskich i brytyjskich platform wiertniczych zaczęły się przygotowywać na potężne uderzenie.

Na Oceanie Lodowatym panowała cisza. Jak zawsze o tej porze roku morza były spokojne, więc coraz szybciej zamarzały. Komandor James Sorclift, dowódca brytyjskiego podwodnego okrętu atomowego HMS Trenchant, za tydzień kończył dwumiesięczny dyżur u granic radzieckiego bastionu i zastanawiał się, czy zdąży wrócić przed huraganem do bazy w Clyde.

Za kilka dni w posiadłości Sorcliftów w Hermerh pod Edynburgiem rozpoczynały się uroczystości stulecia urodzin jego ojca admirała George’a Sorclifta. Zależało mu, by zdążyć na czas, bo ojciec czuł się coraz gorzej, a James był jedynym z trzech synów George’a, który służył w marynarce.

Mimo pięćdziesięciu jeden lat uchodził za najlepszego dowódcę atomowego okrętu podwodnego w służbie Jej Królewskiej Mości. Był to jednak

jego ostatni patrol na nowoczesnym Trenchant. Za miesiąc kończył służbę w Royal Navy i przechodził do MI6, ale admirał nie był o tym poinformowany. Z powodu prozaicznej, ale szybko postępującej cukrzycy na komandorze kończyła się prawie trzystuletnia historia służby rodu Sorcliftów w Royal Navy. Admirał, gdyby się o tym dowiedział, mógł nie przeżyć i nie doczekać swoich setnych urodzin, a był dopiero drugim w morskim rodzie Sorcliftów, który umierał na lądzie. Jego jedyny wnuk Jonathan, syn Jamesa, był gitarzystą basowym w kapeli Ghost i właśnie wyszedł z ośrodka odwykowego.

Komandor stał obok operatora i obserwował na sonarze przepływające wieloryby, kiedy szyfrant poinformował, że przyszła pilna depesza.

– Wychodzimy na peryskopową. Antena w górę – rozkazał.

Pół godziny później poprosił do swojej kabiny pierwszego i drugiego oficera.

– Otrzymaliśmy gorącą szyfrówkę z dowództwa – zaczął komandor wyraźnie poruszony. – Nie wracamy do bazy. Mamy nowe zadanie do realizacji i być może nieprędko wrócimy. Wywiad poinformował, że bazę w Zapadniej Licy opuścił Dymitr Doński. Dowodzi sam *prince* Golicyn. Idzie w naszym kierunku, a my jesteśmy najbliżej pozycji „Bear”. Dowództwo nie wyklucza, że Rosjanie chcą wykorzystać huragan, by minąć hydrofony i wyjść na Atlantyk. Jeżeli się zatrzyma lub zmieni kurs albo zostanie w bastionie, wrócimy do domu, ale jeżeli nie…

– Dymitr idzie na Atlantyk? – zapytał zaskoczony drugi oficer. – Teraz, w czasie huraganu? Chyba dwa lata nie opuszczał bastionu, o ile pamiętam. O co chodzi? Bardzo dziwne. I to pod dowództwem samego Golicyna? O co chodzi? Rozumiesz to, James?

– Za chwilę poinformuję załogę – oświadczył komandor. – Sprawdziłem, Dymitr był na Atlantyku szesnaście miesięcy temu i nie krył się. Testowali wtedy systemy napowietrzania, ale teraz… to trochę dziwne. Przygotujcie okręt. Możemy mieć długie zanurzenie.

– Będzie miał obstawę? – odezwał się pierwszy oficer.

– Nie mamy informacji, ale musimy się z tym liczyć. To przecież Tajfun.

– Pewnie któryś akuła też się pojawi.

– Tak, i to byłoby ciekawe. Wciąż mało o niej wiemy.

– Dymitr zawróci – zastanawiał się na głos pierwszy oficer. – Chcą nas tylko pomacać, jak już wiele razy wcześniej. Wyjście na Atlantyk teraz byłoby bez sensu.

– Z sensem czy bez, przygotowujemy się do misji. Zaczynamy. Zajmiemy pozycję „Bear” tak blisko, jak to możliwe.

Komandor został sam w kabinie. Miał złe przeczucie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie nalać sobie kieliszka brandy, ale zrezygnował. Podobnie jak pierwszy oficer, podejrzewał, że Rosjanie kolejny raz testują ich nerwy, bo wyjście Dymitra Dońskiego na Atlantyk zakrawałoby teraz na prowokację. Szczególnie w czasie huraganu. Niczego jednak nie można było wykluczyć. Rosjanie wciąż intensywnie rozbudowywali swoją flotę.

Huragan utrudniał działanie jednostek nawodnych i powodował potężne falowanie w głębinach, ale dla takich okrętów jak Doński czy Trenchant nie było to poważną przeszkodą. Nie po raz pierwszy misja mogła się przedłużyć.

Wyglądało na to, że obchody stulecia admirała odbędą się bez obecności jego syna, a on nie będzie mógł nawet wysłać depeszy z życzeniami. Za kilka godzin okaże się, czy zanurzy się w głębinach Atlantyku, podążając za Dymitrem. Niewielu dowódców miało okazję spotkać ten najpotężniejszy okręt podwodny świata, który swoimi stu pięćdziesięcioma głowicami mógł zniszczyć połowę świata. Miało być to kolejne spotkanie komandora Sorclifta z Dońskim i ostatnie zadanie przed odejściem ze służby. Nagle setne urodziny ojca stały się tylko uciążliwym zdarzeniem, które psuło komandorowi największe wyzwanie jego życia. Sorclift co godzinę sprawdzał mapy pogody na Atlantyku, licząc, że Doński zawróci.

Listopad 1988 roku był wyjątkowo spokojny w relacjach amerykańsko-radzieckich, wydawało się nawet, że oba mocarstwa zrobiły kolejny krok w stronę utrwalenia pokoju. Reagan i Gorbaczow wymienili w Moskwie dokumenty ratyfikujące ograniczenie arsenałów rakietowych, a urząd prezydenta objąć miał George Bush, umiarkowany republikanin i były szef CIA. Gorbaczow i odwilż w bloku komunistycznym obudziły nadzieję na lepsze czasy. Światowe media opanowała gorbymania.

W centralach wywiadowczych daleko było jednak do entuzjazmu. Armia radziecka wciąż stała w Niemczech podzielonych murem i przyszłość Europy nie była taka oczywista. Polityka Gorbaczowa wzbudzała coraz większą niechęć w armii i w partii. Jeden nieostrożny ruch, a wszystko mogło się zmienić w okamgnieniu i zakończyć wielkim wybuchem.

Komandor Sorclift doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji na świecie, chociaż nie otrzymywał raportów wywiadowczych o sytuacji politycznej

ani strategicznej. Nawet specjalnie go to nie interesowało. Wystarczały mu zwyczajne wiadomości i raporty wywiadu NOIC.

Żył w dwóch zamkniętych i oddzielonych od siebie światach. Żona Maria, trójka dzieci, architektura renesansu, twórczość Steinbecka i Dickensa, ogród za domem, wypielęgnowane volvo amazon i aktywny udział w radzie parafialnej szkockiego kościoła episkopalnego w Edvarton. To był jego świat lądowy. Ale jego prawdziwym domem był HMS Trenchant.

Gdy wchodził na pokład, potężny stwór dostawał duszę. Okręt ożywał, widział, mówił i słuchał jego myśli, a on stawał się jego ojcem, wodzem, dyktatorem, introwertykiem, analitykiem bez emocji, intelektualistą i artystą.

Po raz piąty rozpoczynał partię szachów z kapitanem pierwszej rangi Władimirem Michajłowiczem Golicynem, ale po raz pierwszy mieli spotkać się na Atlantyku.

Wywiad NOIC i CIA co pewien czas uaktualniały informację o komandorze Golicynie, ale Sorclift miał wrażenie, że nie dowiaduje się z nich niczego wartościowego. Żaden szpieg nie zrozumie kogoś takiego jak dowódca atomowego okrętu podwodnego, który może zniszczyć kontynent – uważał Sorclift, ale wiedział też, że jeden dobry szpieg może zatopić jego okręt.

Rozpoczynała się partia szachów, w których Rosjanie byli mistrzami. Sorclift wiedział, że Golicyn też jest informowany przez rosyjski wywiad, z kim przyjdzie mu zagrać, i pewnie wiedział, że jego syn ma kłopoty z narkotykami, tak jak on wiedział, że żona Golicyna zdradza go w Leningradzie z żydowskim krawcem.

Minęła dwudziesta druga. Komandor Sorclift stał na stanowisku dowodzenia. Przez peryskop wachtowy obserwował zorzę polarną i robił zdjęcia do swojej kolekcji.

– Dowódco! – odezwał się spokojnym głosem operator. – Mamy sygnał. Czternaście mil na południowy wschód, kierunek 33,896 i 45,967, zanurzenie sto pięć.

– Dymitr? – zapytał Sorclift i podszedł do mapy.

– Bez wątpienia.

– Czyli zmierza w stronę łańcucha SOSUS – dodał pierwszy oficer.

– Dokładnie. Zdążymy się do niego zbliżyć. Zanurzenie sto dwadzieścia! – wydał spokojnie rozkaz komandor.

3

2021

Bez makijażu, z krótkimi blond włosami i modnymi okularami w grubych okrągłych oprawkach Caroline miała w sobie coś z chłopca, ale sprawiała wrażenie delikatnej. Mimo to uścisk drobnej dłoni miała mocny.

Martin od razu zorientował się, że to nie jest zwykły lotniskowy podryw Raymonda, bo i możliwości Raya nie były już takie jak kiedyś.

Przed laty kobiety częściej cierpiały na awiofobię, więc Ray szybko się nauczył, że dzięki koniakowi i whisky można łatwiej nawiązać kontakty. Miał do tego wyjątkowy talent, więc flirtami uprzyjemniał sobie chwile oczekiwania na lotniskach. Martin podejrzewał, że w gruncie rzeczy Raymond też bał się latać i ukrywał w ten sposób swój stres. Obserwował go z rozbawieniem, nawet z uznaniem, a czasami z zazdrością, tym bardziej że Ray nie miał w sobie nic z angielskiego przystojniaka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kobiety zerkały na niego, ale wybierały Raya.

Przez pięćdziesiąt lat przelecieli dwadzieścia razy na Księżyc i z powrotem, więc nie dało się policzyć, ile takich zdarzeń było, ale jedno zapamiętali na zawsze. Czwartego kwietnia czterdzieści pięć lat temu na lotnisku w Rzymie Ray poznał swoją żonę Ginę. Uzależnienie od flirtowania i piersiówki obciągniętej brązową skórą jednak zostało.

Caroline, ściskając dłoń Martina, uśmiechnęła się w taki sposób, że Martin natychmiast zorientował się, kim jest.

Znał ten typ świdrującego spojrzenia zmieszanego z uśmieszkiem udającym zniekształcony kompleks. Tak kiedyś witali się szpiedzy na Vauxhall Cross, zanim na kierowniczych stanowiskach zaczęli się pojawiać naturalizowani Brytyjczycy. Nie potrafili smirkać po angielsku i kiedy próbowali się upodobniać, wypadali groteskowo. Tego nie można się było nauczyć, nie wystarczyło ukończyć Cambridge czy Oksfordu, to trzeba było mieć

w genach. Martin wyłapywał to natychmiast, chociaż też nie potrafił smirkać, bo nigdy nie pracował na Vauxhall Cross i prawie całe życie spędził poza Wyspami. Czasami wydawało mu się, że zna uśmiechy wszystkich narodów świata i potrafi określić pochodzenie człowieka, zanim ten się odezwie.

Uniósł swoje okulary ponad krzaczaste brwi i uśmiechnął się do Caroline zwyczajnie, kontynentalnie.

– Martin… – zaczął powoli, ale Caroline przerwała mu zdecydowanie.

– To zaszczyt poznać pana osobiście – oznajmiła z niewyszukanym szacunkiem, ale zabrzmiała miło. – Tyle o panu słyszałam.

– Może wsiądźmy do samochodu – włączył się Raymond i Martin dopiero teraz zauważył, że Ray jest dosyć mocno wlany. – Porozmawiamy po drodze i wyjaśnię ci tę niespodziankę. – Zgasił papierosa w koszu i chwycił swoją kabinówkę.

– Chyba jesteś mi to winien – odparł Martin. – Rozumiem, że pani Caroline jedzie z nami, czy tak?

– Tak – rzucił Raymond. – C prosił, żebyś ugościł panią Crowford u siebie, o ile to możliwe.

– Nie zostanę dwóch dni – włączyła się Caroline. – Mam nadzieję, że nie sprawiłam panu kłopotu tym niespodziewanym najazdem, ale obiecuję za chwilę wszystko wytłumaczyć – oznajmiła, ciągnąc małą kabinówkę do samochodu.

– Mogę się tylko domyślać, co panią do mnie przywiodło, a w dodatku Ray uczestniczy w tym przedsięwzięciu, że tak się wyrażę. A poza tym trudno mnie zaskoczyć – odpowiedział Martin, otwierając bagażnik.

– Nie wątpię, w końcu mam zaszczyt z samym Martinem Es – dodała Caroline.

– Niech pani da spokój, bardzo proszę. Nie znamy się przecież, ale przyznam, że jednak jestem trochę zaskoczony. Domyślam się, że to moje zaskoczenie należy traktować jako element jakiegoś planu. – Zaczął przesuwać rzeczy, robiąc miejsce na bagaże. – Mam tu coś specjalnego…

– W takim razie ja siadam z tyłu – oznajmił Raymond, wsuwając się do samochodu. – A wy sobie pogadajcie.

Caroline zdjęła płaszcz i położyła go na tylnym siedzeniu. Martin też zdjął kurtkę. Raymond nie, zaciągnął nawet zamek i siedział w rękawiczkach. Po chwili wyjechali z terenu lotniska i skierowali się w stronę trasy E14. Dopiero teraz zaczęli rozmawiać.

– Oksford czy Cambridge? – zapytał Martin.

– MIT – rzuciła od razu Caroline, jakby czekała na to pytanie.

– MIT? – Martin spojrzał zaskoczony.

– Tak… Massachusetts Institute of Technology. – I dodała: – Hydrodynamika.

– W sam raz do nas – odparł z lekkim przekąsem. – To już rozumiem, czym się pani zajmuje. Okręty podwodne. Prosto po studiach?

– Prawie prosto po studiach, stypendystka Politechniki Petersburskiej i nie tylko okręty podwodne.

– To może czas, żebym i ja się włączył – odezwał się z tylnego siedzenia Raymond, wsuwając głowę między siedzenia i wyrzucając z siebie tytoniowy smrodek. – Muszę się usprawiedliwić i wytłumaczyć, drogi przyjacielu. Jak zwykle podziwiam twoją cierpliwość. W końcu to ja jestem tym koniem trojańskim, choć już nieco leciwym, rozeschniętym i spróchniałym, ale jednak sprawnym. Drogi Martinie! – zaczął oficjalnym tonem. – To jest prośba samego Jamesa. Zacznę od tego właśnie, bo to musi być ważne, jak mi się wydaje.

– Daj spokój, Ray – przerwał mu Martin. – Zaczynajcie już, bo rozumiem, że sprawa jest pilna i ważna, skoro sam C prosi starego emeryta i przysyła w tajnej misji panią Caroline Crowford od okrętów podwodnych.

– Prowadzę Sekcję Ósmą w pionie R – zaczęła Caroline. – Nie może pan wiedzieć, co to jest…

– Nooo… nie mogę wiedzieć, bo jestem już ponad piętnaście lat poza służbą – rzekł Martin wpatrzony w drogę. – A ty, Ray, wiesz, co to jest osiem er? – Odwrócił się do tyłu, ale Ray tylko pokręcił głową.

– Nooo… nie wiem. Ja jestem już dwanaście lat na emeryturze.

– Drodzy panowie – wtrąciła Caroline. – To nie ma najmniejszego znaczenia, jak nazywa się moja jednostka. Wkrótce dowiecie się, z czym przyjechałam. Powiem jedynie, że zajmujemy się zdarzeniami, które powinny pozostać tajemnicą. Porozmawiamy o tym, jak już dojedziemy do Storlien. Niecała godzina jazdy, więc chyba wytrzymacie.

– Widzę, że jest pani dobrze przygotowana. To się chwali. Ale mówiąc szczerze, w SIS wszystko jest tajne. Nieprawdaż? Hm. Ukończone MIT i hydrodynamika wskazują pani zainteresowania. A co pani o nas wie? Czyżby C zgodził się na udostępnienie naszych akt? Trochę trudno mi w to uwierzyć – ciągnął Martin. – Nigdy nie było takiej praktyki, ale skoro C zgodził się, by Ray panią przywiódł do mojej kryjówki, to znaczy, że mogło

się coś zmienić. Za moich czasów takimi sprawami zajmował się Tim Burton. Zna go pani?

– Tak. Zmarł dwa lata temu – odpowiedziała Caroline.

– Aaaa… Tak! Zupełnie zapomniałem. To się zdarza w moim wieku. Pamiętałeś, Ray? – Spojrzał w lusterko.

– A co? – odparł zdezorientowany Raymond.

– Czy pamiętałeś, że Tim Burton zmarł dwa lata temu? – powtórzył Martin.

– Oczywiście. Byłem na pogrzebie. Malcolm miał świetne przemówienie. – Raymond pokiwał głową z uznaniem. – Aaaa… zaraz! Nie! To było na pogrzebie Jamesa Connora. Aaaa… już nie pamiętam, teraz jest dużo pogrzebów, coraz więcej. Człowiek stary jest już i…

– Nie ma czegoś takiego jak starość. Jest wyłącznie przeszłość i przyszłość, a zmieniają się tylko proporcje – odparł Martin.

– To znaczy, że im mniej pamiętam, to mam lepszą przyszłość? – skomentował Ray i wszyscy się uśmiechnęli. – No tak… pamięć bywa obciążeniem – dodał.

– A Malcolma znałem z Belgradu – wrócił do tematu Martin. – W pięćdziesiątym piątym byliśmy razem w akcji. Dużo pił. To co pani o nas wie? Żebyśmy nie musieli sklecać żadnej nowej legendy? – Martin uśmiechnął się i przez okulary spojrzał na Caroline. Wyglądała na zamyśloną, więc dodał nieco głośniej: – Za starzy jesteśmy na wymyślanie nowych historii i wątpliwe jest, żebyśmy zgodnie spamiętali jedną wersję. A właściwie to mamy tyle różnych gotowych historii, że zawsze jakaś będzie aktualnie pasować. Nie sądzisz, Ray?

– Co? – odezwał się na dźwięk swojego imienia. – Tak, tak – dodał Ray i Martin zobaczył w lusterku, że pociągnął z piersiówki.

– Jedziemy samochodem, nie lecisz już samolotem – zwrócił się do Raya, ale ten nie zareagował.

– Powiem szczerze. Nie znam pana historii, nie znam pana akt, bo są do wyłącznej dyspozycji C – odezwała się Caroline. – Wiem tylko to, co krąży po firmie, i to mi wystarczy. Także to, co przed wyjazdem powiedział mi C.

– Co powiedział C, mogę sobie wyobrazić, ale co mówią o mnie na korytarzach… To bardzo ciekawe. Czyli jaka jest moja ludowa legenda?

– Zna pan biegle rosyjski, polski, niemiecki, francuski, niderlandzki, turecki i hiszpański… Pewnie o czymś zapomniałam? Ale to właściwie wyczerpuje legendę. Kto zna naszą profesję, resztę może sobie dopowie-

dzieć. Czyż nie? – Nim Martin odpowiedział, dodała: – Z jakiegoś powodu wciąż jest pan objęty programem ochronnym. To wiele mówi. I nikt nie wie, jak się pan naprawdę nazywa. Rysuje się zatem obraz niezwykłego szpiega. Wyobraźnia pracuje. Zgodzi się pan?

– Zgadzam się. To możliwe. Dodam, że znam też serbski. I rzeczywiście, Martin to nie jest moje prawdziwe imię. No to wszystko jasne. Teraz pozostało mi dowiedzieć się, w jakiej sprawie pani przyjechała. Do czego może się jeszcze przydać taki stary szpieg jak ja? Ale najpierw muszę zapytać, czy lubi pani owoce morza.

– Oczywiście.

– To dobrze, bo dzisiaj na kolację będzie coś specjalnego. Dobrze pani trafiła.

– Opowiem wtedy, co mnie sprowadza. To też będzie coś specjalnego. Chciałam coś panu pokazać.

– To Ray też nie wie, o co chodzi?

– Nie. Wykorzystaliśmy waszą znajomość tylko do przykrycia kontaktu z panem. Oczywiście można było to zrobić bezpiecznie na wiele innych sposobów, ale Raymond też jest nam potrzebny, więc zrobiliśmy to właśnie tak.

– Słyszałeś? – rzucił Martin i spojrzał w lusterko. Raymond spał z głową na piersi i wyglądał, jakby się jeszcze skurczył. – Zasnął. W takim razie porozmawiajmy bez świadków – uśmiechnął się. – To o co chodzi?

– Swego czasu miał pan bardzo dobre kontakty w dowództwie Floty Bałtyckiej i odwiedził nawet bazę w Kronsztadzie.

– Elegancko pani zaczęła. – Martin uśmiechnął się i pokiwał głową. – W takim razie odpowiem równie elegancko, jak tajemniczo. To było bardzo dawno temu…

4

1990

Do Helsinek przyleciałem piętnastego listopada dziewięćdziesiątego roku linią Finnair z Kairu o czternastej dziesięć. Dobrze pamiętam ten dzień, bo wylot opóźniony był o dwie godziny. Na lotnisku egipskie tajne służby aresztowały jakiegoś mężczyznę w białym kapeluszu.

Tego dnia John Major został premierem Zjednoczonego Królestwa. Uważałem, że to nie był dobry wybór, i nie pomyliłem się. Od początku wiedziałem, że doprowadzi torysów do katastrofy. Wolałem Douglasa Hurda, szczególnie ze względu na jego twórczość literacką. Bardzo lubiłem jego powieść *The Smile on the Face of the Tiger*.

Podobnie jak mój dziadek i ojciec, najczęściej z powodu braku alternatywy, głosowałem na laburzystów.

Do samolotu wsiadłem w ciepły, słoneczny dzień. Wysiadłem w szarym i ponurym świecie, gdzieś na krańcu Europy, między lasami i zamarzniętymi jeziorami. Było minus pięć, a ja rozgrzany egipskim słońcem, na ciężkim kacu i w żółtej marynarce z wielbłądziej wełny od Hamida wyglądałem jak egzotyczna rybka w błotnym stawie. Nie byłem zły, ale czułem, że nie pasuję do tego otoczenia i wszyscy mi się przyglądają.

Do wyjazdu na lotnisko w Kairze spałem może godzinę. Obudziły mnie promienie słońca nad piramidami, więc przez resztę dnia moje zmysły były tak rozdrażnione, że światło sprawiało mi fizyczny ból. Liczyłem, że odpocznę w samolocie i wyrównam swój biorytm, ale ciągłe turbulencje i płaczące gdzieś za głową dziecko nie dawały nawet szansy, by zmrużyć oko.

Nigdy wcześniej nie byłem w Finlandii i niewiele wiedziałem o tym kraju. Miałem trochę utrwalonych stereotypów, ale nie wiadomo – dobrych czy złych. Nie zdążyłem nawet nic poczytać, bo na spakowanie się dosta-

łem ledwie dwa dni. Obejrzałem w samolocie folder linii lotniczej Finnair i na zdjęciach kraj sprawiał bajkowe wrażenie.

W pamięci kołatały mi się jakieś strzępy informacji, że marszałek Mannerheim był sojusznikiem Hitlera, słyszałem o waleczności fińskich żołnierzy i że nie ma nudniejszych, bardziej małomównych i pozbawionych poczucia humoru ludzi niż Finowie. Może to z powodu Paava Nurmiego, zwanego „Wielkim Niemową", jedynego Fina, jakiego znałem z imienia i nazwiska oprócz Carla Gustafa Mannerheima. Kojarzyłem nazwę miejscowości Rovaniemi, skąd pochodził Święty Mikołaj. Wiedziałem, że dzielą granicę z ZSRR, jedzą renifery z kaszą i mają najbardziej mdłą kuchnię na świecie. Raymond twierdził też, na podstawie swojego lotniskowo-hotelowego doświadczenia, że Finki są mało urodziwe, ale szybko okazało się, jak bardzo się mylił.

Wiedziałem, że muszę uzupełnić wiedzę o tym kraju, bo Londyn zapowiedział, że prawdopodobnie zostanę w Helsinkach dłużej. Większość negatywnych stereotypów, z którymi przyleciałem, nie potwierdziła się, z wyjątkiem tego dotyczącego fińskiej kuchni. Co do urody Finek, uważam, że Raymond z jakiegoś powodu był uprzedzony, ale nigdy nie dał się przekonać, że jest inaczej.

Już widok z okna lądującego samolotu zrobił na mnie przygnębiające wrażenie, a przejazd przez miasto wręcz depresyjne. Dzień wcześniej skończyłem czterdzieści trzy lata i czułem jeszcze skutki urodzinowej imprezy w kairskim hotelu Mena, więc moje wrażenia nie mogły być szczere.

Raymond wiedział, w jakim stanie przylecę.

Siedział rozparty na kanapie w lobby hotelu Marski w towarzystwie dwóch platynowych, długonogich piękności i butelki szkockiej, gotów świętować i łagodzić moją depresję. Liczył, że w ten sposób pomoże mi w aklimatyzacji. Wiedział, że nie korzystam z przygodnych znajomości, ale lubił popisywać się swoją sprawnością towarzyską. Ray był mistrzem szpiegowskiej mimikry, którą stosował również w teorii uwodzenia, nie tylko lotniskowej. Miał talent i inteligencję Orhana Pamuka, pomysłowość Odyseusza i szybkość Hermesa. Gdyby nie różnica czterdziestu centymetrów wzrostu, byłby moim czarno-białym alter ego. On pisał scenariusz pod moje dyktando, reżyserował i suflował, a ja grałem. I tak przez całe nasze życie. Niełatwo było to zrozumieć, także nam.

O tym, co będę robił w Helsinkach, miałem się dowiedzieć następnego dnia.

Z Londynu przyleciało dwóch oficerów, którzy mieli przedstawić mi sprawę. Dziwne to było, bo mogłem przecież przylecieć do Helsinek przez Londyn, dowiedzieć się o wszystkim na miejscu i porozmawiać z Colbergiem. Byłoby prościej i taniej, ale szef podjął taką decyzję, więc musiałem się podporządkować. Centrala nie raz mnie zaskakiwała, czasami nawet bardzo, ale rzadko słusznie.

Pierwszą noc spędziłem w hotelu Marski, który znajdował się naprzeciwko domu towarowego Stockmann.

Następnego dnia ruszyliśmy tam na zakupy i uzupełniłem zimowe ubranie i obuwie. Kupiłem wtedy najbrzydsze i najlepsze buty, jakie kiedykolwiek miałem. Zamszowe, brązowe, na białym futerku, grubej podeszwie i zapinane na zamek z tyłu. Kosztowały zawrotną kwotę tysiąca dwustu marek, ale Ray płacił gotówką. Na wszystko brał rachunki i mówił, że mamy się nie przejmować cenami. Okazało się później, że buty w Finlandii to filozoficzna, a nie tylko praktyczna i estetyczna część garderoby.

Wieczorem razem z Raymondem przenieśliśmy się z hotelu na ulicę Fredrikinkatu numer 24 do dużego apartamentu w ponurej kamienicy z lat dwudziestych. Lokal miał kryptonim „Wiedeń” i został starannie wybrany przy pomocy fińskich kolegów. Miał służyć jako nasze centrum operacyjne, logistyczne oraz hotelowe.

Kiedy przyszliśmy, Olivier i Louis już czekali. Przylecieli z Londynu tego samego dnia. Obecny był też Tom Higgins, nasz rezydent z Helsinek i szef zespołu.

5

2021

Do Storlien dojechali szybciej, niż się spodziewał. Caroline zapowiedziała, że o wszystkim poinformuje, kiedy będą na miejscu. Najwyraźniej chciała dać do zrozumienia, że zależy jej na poważnym podejściu do sprawy, i zajęła się komentowaniem widoku za oknem.

Inżynierskie podejście przy stole… Zadziera nosa panienka – pomyślał Martin z rozbawieniem i przestał się dopytywać.

– Piękny dom – rzuciła Caroline, gdy zatrzymali się na podjeździe.

– Niech pani nie przesadza – odparł Martin. – Stary, drewniany, typowy dom dla tego regionu. Ma ponad sto lat. Ale jest dobrze zachowany. – Otworzył bagażnik i wyciągnął walizkę.

– Dlaczego pan tutaj zamieszkał? – zapytała. – Mogę się domyślić, dlaczego poza Wyspami… ale mógł pan wybrać wiele innych, cieplejszych i ciekawych miejsc. Sporo naszych emerytów wybiera Włochy, Hiszpanię, Grecję czy Antyle, ale skandynawska głusza?

– To trudne do wytłumaczenia – rzekł Martin. – Pomożesz, Ray? – rzucił w stronę przyjaciela, który z trudem próbował wysiąść z samochodu.

– Pomogę. Proszę mi coś dać! – włączyła się Caroline, wyciągając rękę.

– Dziękuję bardzo. – Martin podał jej torbę z zakupami.

– Ty weź ten pakunek – zwrócił się do zasapanego Raya, który zgarbiony stanął obok.

Po kilku minutach wszyscy byli już wewnątrz.

Hol wejściowy, z którego prowadziły schody na piętro, łączył się z wielkim salonem i otwartą kuchnią. Widać było, że parter domu został przebudowany. Urządzono go prosto, meblami z Ikei, na ścianach wisiały dwa duże kolorowe obrazy nieokreślonej treści. Brakowało biblioteki, zdjęć i ozdób, a także telewizora i komputera. Surowy obraz łagodziło mnóstwo

roślin porozstawianych bez żadnego porządku na parapetach okiennych, podłodze i półkach. Utrzymanie ich musi być sporym wyzwaniem – pomyślała Caroline i wiedziała już, że w tym domu nie mieszka żadna kobieta.

Po prawej stronie, w rogu salonu znajdowały się drzwi do następnego pomieszczenia. Weszła głębiej i dopiero teraz zobaczyła pod ścianą dużą szklaną gablotę, a w niej trzymasztowy statek z rozwiniętymi żaglami. Jedyny przedmiot w pomieszczeniu, który wydaje z siebie ludzkie ciepło – pomyślała z zaskoczeniem.

– Wasze pokoje są na górze. – Martin wskazał ręką na schody. – Znajdziecie tam wszystko, co wam potrzebne. Ręczniki są w łazience, a pościel w szafie na korytarzu. Mój pokój jest tutaj. – Spojrzał w stronę drzwi po prawej. – Oszczędzam biodro, więc musicie dać sobie radę sami. Schody.

– To za godzinkę? – zapytał Ray. – Muszę się zdrzemnąć chwilę, a z kolacją możecie zaczekać, prawda?

– Oczywiście, Ray. Zaczekamy.

Chwycił się poręczy i zaczął wciągać swoją walizeczkę po stromych schodach. Nie była duża i nie wyglądała na ciężką, a jednak sprawiało mu to wyraźną trudność. Caroline zaproponowała pomoc, ale odburknął coś niewyraźnie i wytrwale ciągnął walizeczkę stopień po stopniu.

Dotarli na piętro. Ray stanął przy ścianie, blady i spocony. Otwartymi ustami łapczywie chwytał powietrze.

– Na pewno dobrze się czujesz, Ray? – zapytała zaniepokojona Caroline.

– A co? Źle wyglądam czy jak? – odparł obcesowo, ale po chwili uśmiechnął się i puścił do niej oko. – Stary pijak jestem, to i schody są problemem. Ale Martin z walizką w ogóle by tu nie wszedł. Ten pokój jest mój. – Wskazał drzwi naprzeciwko. – A tobie polecam ten tam – wykonał ruch głową – na końcu. Jestem bardzo głośny w nocy i często wstaję. Rozumiesz, Carol? Łazienka jest tu wspólna.

– W porządku. – Uśmiechnęła się pogodnie i ruszyła w stronę swojego pokoju.

Otworzyła drzwi, które cicho zaskrzypiały. Wewnątrz było ciemno. Znalazła kontakt i zapaliła światło. Pomieszczenie miało około dwudziestu metrów kwadratowych i tylko jedno okno w skośnym suficie. Pokój utrzymany był w różnych odcieniach bieli. Podłoga z desek, duże podwójne łóżko nakryte białą narzutą, stara szafa malowana w ludowe motywy, komoda, nawet szafka nocna była biała. Tylko wielki fotel pod oknem był czerwony i wyglądał jak wielka plama krwi na śniegu. Żadnych obrazów,

ozdób, roślin. Wszystko do siebie pasowało, czuć było prostą harmonię, która uspokajała, niczego nie narzucała, wręcz zapraszała, by tu wejść. Tylko fotel niepokoił swoją czerwienią. A mimo to Caroline poczuła się dobrze, jakby znalazła się w pokoju ze swojego dzieciństwa.

Martin włożył homara do lodówki, żeby go zahibernować przed śmiercią, wlał wodę do gara, który pożyczył od Hasana, i postawił go na kuchence.

Usiadł w salonie i oparł się na lasce ze srebrną głową wilka.

Po chwili na schodach pojawiła się Caroline. Była w zielonym swetrze i dżinsach. Na nogach miała niebieskie adidasy, a w ręce tablet. Martin zauważył, że w płaszczu wyglądała na wyższą. Miała niedużą nadwagę, ale w obcisłych spodniach odważnie prezentowała sylwetkę. Martinowi podobała się bardziej niż w płaszczu.

– Ray się położył? – zapytał.

– Tak. – Siadła naprzeciwko w rozłożystym fotelu.

– Będzie spał godzinę.

– Obudzi się czy mamy go obudzić?

– Obudzi się. Ma raka prostaty – rzucił bez śladu emocji.

– Nie wiedziałam.

– To nie jest żadna tajemnica. W naszym wieku… tego się nie da ukryć. Czego się pani napije? – zapytał.

– Czegokolwiek… wody niegazowanej.

– To proszę się obsłużyć. – Wskazał ręką na kuchnię. – Ustalamy zasadę, że każdy obsługuje się sam. Wszystko znajdzie pani tam. Z kolacją zaczekamy na Raymonda. Niech odpocznie.

Caroline podniosła się sprężyście i rozejrzała wokół, jakby czegoś szukała.

– Nie ma pan telewizora? – zapytała jakby od niechcenia.

– Nie mam, ale mam radio. Chce pani posłuchać czegoś?

– Nie, tylko tak…

Wyszła do kuchni. Butelka wody stała na bufecie obok dużego radia Philipsa, jakie widziała tylko w filmach z lat osiemdziesiątych. Od razu skojarzyło się jej z uliczną kulturą Harlemu. Przez chwilę pomyślała z rozbawieniem, że Martin pewnie słucha punka i wygina się w rytm breakdance’a.

Za radiem był stojak z kasetami magnetofonowymi.

– Francis Lai – przeczytała napis na pierwszej od góry. – *A Man Without Love* E. Humperdinck. – Na następnej. Wlała sobie wody do szklanki. –

Wysocki, Okudżawa. – Odręczny napis po rosyjsku. – Kiepura – przeczytała na kolejnej.

Kaset było więcej, ale Caroline nie chciała już przedłużać swojej nieobecności i wróciła do salonu.

Miała dziwne wrażenie. Wydawało się jej, jakby to nie był jego dom. Zupełnie nie pasował do tego, co się o nim dowiedziała w Londynie. Wielkie sterylne pomieszczenie bez wyrazu. Tu mieszka człowiek, który zna wiele języków i życie spędził na świecie. Tylko te kasety magnetofonowe mówiły, że mieszka tu ktoś, kto ma jakieś uczucia. Caroline pomyślała, że to musi być złudzenie i gdzieś w tym wielkim domu ukrywa się dusza Martina.

Spojrzała w stronę zamkniętych drzwi w rogu salonu i usiadła na fotelu.

– Odpowiada pani pokój? – zapytał Martin.

– Tak, oczywiście. Ma urok – odparła, sięgając po tablet.

– Czy nie powinniśmy zacząć? Bardzo mnie pani zaintrygowała tym Kronsztadem. Dlaczego Harald skierował panią do mnie? – Martin uniósł brwi nad okulary i dopiero teraz Caroline zobaczyła, że ma ładne jasnobłękitne oczy.

– Nie uwierzy pan, ale szef mi tego nie wyjaśnił. Powiedział tylko, że mam zabrać materiały sprawy i z Raymondem lecieć do Trondheim. Mam przedstawić panu sprawę i, jak stwierdził, jeśli pan nie pomoże, to nikt już nie pomoże.

– Aha… – Martin pokiwał głową i docisnął palcem aparat słuchowy. – Czyli to jest jakaś archiwalna sprawa?

– Raczej nie. Chociaż może trochę tak. – Pokręciła delikatnie głową, przebierając rysikiem po tablecie. – Dobrze, zacznijmy może od tego zdjęcia. Jest bardzo niewyraźne – podała Martinowi tablet – zrobione z kamery na ulicy, w nocy. Tyle udało się oczyścić naszym technikom. Jak pan przesunie obraz w lewo, będzie pan mógł zobaczyć film.

Martin zsunął okulary na czubek nosa i przez chwilę przeglądał zdjęcia.

– Rozumiem, że chce pani wiedzieć, czy rozpoznaję tego mężczyznę? – zapytał.

– Tak.

– Nie rozpoznaję. Zdjęcie jest wprawdzie bardzo dobre, ale… Pięćdziesiąt lat… mniej więcej.

– Dobrze, w takim razie zacznę od początku. – Caroline wzięła od Martina tablet. – Pewnie pan wie, że trwa obecnie przebazowanie całej naszej

strategicznej floty podwodnej z baz w Anglii do jednej bazy Clyde w Szkocji. Nowa baza jest w trakcie budowy. Docelowo mają tam stacjonować wszystkie nasze okręty. Do dwa tysiące dwudziestego czwartego mają do Clyde przypłynąć cztery obecnie budowane, uderzeniowe okręty podwodne typu Astute. Mają zastąpić ostatnie trafalgary. Wszystkie te okręty dołączą do stacjonujących od dawna w Clyde czterech strategicznych z rakietami balistycznymi typu vanguard, które po dwa tysiące trzydziestym mają zostać zastąpione przez cztery nowe boomery typu Dreadnought. Zdaje pan sobie zatem sprawę, jak ważne jest to przedsięwzięcie.

– Gdzieś o tym słyszałem. Ale te wszystkie piękne nazwy nic mi nie mówią – odparł Martin. – Jak pani słusznie podejrzewa, zdaję sobie sprawę, jak ważne jest to przedsięwzięcie – dorzucił z przekąsem, ale bez złośliwości.

– Program bezpieczeństwa narodowego – dodała Caroline z lekkim patosem, ale szczerze, i Martin poczuł do niej jeszcze większą sympatię. – Stocznia w Barrow ma zatem szczególne znaczenie, podobnie jak baza Clyde.

– Rozumiem, że Rosjanie kręcą się w pobliżu. – Martin uniósł brwi. – Tak?

– Kręcą się to delikatne określenie. Interesują ich nasze nowe pędniki do Dreadnoughtów. Obserwujemy bardzo wzmożoną aktywność GRU i SWR. Obawiamy się, że są w Barrow i Clyde. Nie mamy dowodów, ale pewne agenturalne poszlaki z… Moskwy, nazwijmy to tak.

– Obawiacie się? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie macie dowodów?

– No właśnie – rzuciła Caroline. – Mamy jeden dowód, jeżeli można go tak nazwać.

– Ten mężczyzna ze zdjęcia?

– Nie, on jest właśnie poszlaką. To jest dowód. – Podała Martinowi tablet.

– Co to jest? – Martin znów opuścił okulary i zmrużył oczy.

Caroline wstała, obeszła stolik i usiadła obok.

– Znaleźliśmy to w basenie obok doku, w którym stoi budowany Dreadnought.

– Ale co to… – Martin nie dokończył.

6

1990

Olivier miał około czterdziestki. Niski, szczupły brunet, czeszący się do tyłu, o pociągłej twarzy i dużych zębach. Patrzył prosto w oczy nieco zaspanym wzrokiem. Szybko się zorientowałem, że to tylko złudzenie.

Nie znałem go wcześniej, ale od razu zauważyłem, że jest wyjątkowo bystry. Zanim przeszedł do wywiadu morskiego, służył na atomowym okręcie podwodnym. Myślałem, że człowiek stworzony do życia pod wodą, w zamkniętym kręgu i bezwzględnej dyscyplinie, nie może mieć predyspozycji do szpiegostwa. Szybko się okazało, jak bardzo się myliłem. Nie tylko był błyskotliwy, lecz także posiadał niezwykłą fantazję i swobodę myśli. Wiedział prawie wszystko o radzieckiej Flocie Północnej i Bałtyckiej. Na pamięć znał z imienia, otczestwa i nazwiska chyba wszystkich radzieckich kapitanów okrętów podwodnych.

O grubym Louisie dużo słyszałem, ale nie zetknęliśmy się wcześniej. Był dużo starszy od Oliviera i jako jedyny w naszym gronie nosił okulary, które nieustannie mu się zsuwały na koniec czerwonego, perkatego nosa. Miał nieproporcjonalnie wielkie i długie uszy, z których wystawały kępki siwych włosów. Trochę zasapany i stękający, ale opanowany i dociekliwy. Wyglądał jak kombinacja Falstaffa i rzeźby z Wyspy Wielkanocnej. Dużo palił i sprawiał wrażenie, jakby zjadał dym, który z wprawą wypuszczał i ponownie wciągał. Był oficerem operacyjnym MI6 Sekcji 67, o której słyszałem dużo dobrego. Specjalizowali się w werbowaniu wojskowych i wiedział prawie wszystko o mentalności radzieckich oficerów.

Zespołem miał kierować Tom Higgins. Znaliśmy się z Jugosławii, gdzie kilka lat wcześniej zabezpieczałem go podczas eksfiltracji bułgarskiego szpiega. Sprawdził się świetnie, ale w gruncie rzeczy niewiele mogłem

o nim powiedzieć. Zakładałem, że Centrala wiedziała, kogo wysyła do kierowania naszą rezydenturą na terenie uznanym przez KGB i Stasi za swoje poletko. To nie był łatwy kawałek szpiegowskiego fachu. W Moskwie, Leningradzie, Warszawie czy Pradze wszystko było oczywiste. Ale w Helsinkach nic nie było tym, na co wygląda. Mętna, cuchnąca woda, raj dla szpiegów wszelkiej maści. Dlatego „Mermaid", kryptonim naszej operacji, brzmiał wyjątkowo przewrotnie, a nawet złośliwie.

Wszyscy trzej stanowić mieli zespół wsparcia. Raymond miał być łącznikiem.

Po piętnastu minutach do naszej grupy dołączył Seppo Moilanen – szef kontrwywiadu SUPO. Potężny Fin o szerokiej, jak wykutej z granitu twarzy, wąsko rozstawionych oczach i kościstych dłoniach. Wyglądał jak wódz dumnego plemienia. Dowodził specjalną grupą obserwacyjno-operacyjną, która powstała poza strukturami fińskiej służby, jedynie na podstawie ustnej umowy między szefem SUPO Torstenem Koivistem i szefem MI6 Jamesem Colbergiem.

Finowie, jako naród bezstronny i do pewnego stopnia uzależniony od Moskwy, nie mogli nadwerężać stosunków z potężnym sąsiadem. Musieli działać ostrożniej i inteligentniej niż inni, jeżeli chcieli zabezpieczyć swoją wciąż delikatną neutralną suwerenność.

– Naszym celem jest – zaczął Higgins po zakończeniu prezentacji zespołu i rzucił na stół zdjęcie siwego i postawnego mężczyzny w granatowym mundurze – kapitan pierwszej rangi, Wadim Grigoriewicz Razumow kryptonim „Arlekin", od czterech lat attaché morski w ambasadzie ZSRR w Helsinkach. Lat sześćdziesiąt, żonaty, dwoje dzieci. Tu jest więcej. – Przesunął na środek gruby pakiet fotografii.

– Ale punktem wyjścia jest to zdjęcie – włączył się Olivier i położył przede mną i Rayem dużą czarno-białą fotografię. – To jest pluton nachimowców, czyli kadetów szkoły morskiej w Leningradzie. Chłopcy mają po szesnaście lat. Zdjęcie zrobione w czterdziestym szóstym na zakończenie kursu. To jest nasz kapitan Razumow – Olivier wskazał palcem zaznaczoną kółkiem twarz uśmiechniętego chłopca w okrągłej marynarskiej czapce – a ten tutaj – wskazał drugiego kadeta – to Władimir Michajłowicz Golicyn kryptonim „Curtz", kapitan pierwszej rangi i dowódca strategicznego okrętu podwodnego Dymitr Doński. Bez najmniejszej wątpliwości najlepszy dowódca w całej Flocie Północnej ZSRR i obecnie nasz największy ból głowy. Razumow i Golicyn nie tylko byli w jednym plutonie, ale też studio-

wali razem w leningradzkiej Akademii Marynarki Wojennej w klasie okrętów podwodnych.

– Naszym celem samym w sobie nie jest Razumow, chcielibyśmy przez niego dotrzeć do Golicyna. Chcemy, żeby nas do niego zaprowadził – włączył się Higgins.

– A przynajmniej żeby podpowiedział, jak do niego dotrzeć – dodał Louis.

– Bo? – zapytałem.

– Kilka tygodni temu pod wodą na Atlantyku miało miejsce zdarzenie, które nie daje zasnąć pierwszym obywatelom w Białym Domu i na Downing Street – odezwał się z wyraźnym patosem Tom. – W tej chwili to sprawa numer jeden wszystkich służb wywiadowczych po obu stronach oceanu. Dlatego tu jesteśmy, ale nie tylko my nad nią pracujemy. – Spojrzał na Oliviera i rzucił: – Zaczynaj.

– Piętnastego października z bazy Floty Północnej w Zapadniej Licy wyszedł Dymitr Doński pod dowództwem komandora Golicyna. Został ściągnięty z urlopu na tydzień przed jego zakończeniem i na dwa dni przed rozprawą rozwodową. Doński miał planowane wyjście dopiero za dwa tygodnie. Informacja była sprawdzona i potwierdzona zarówno zwiadem satelitarnym, jak i przez naszą agenturę. Zaraz po wyjściu Doński skierował się na zachód, co wskazywało, że pozoruje wyjście z bastionu na Atlantyk, jak to Rosjanie robią co jakiś czas, by nas prowokować i sprawdzać, ale tym razem było czuć, że dzieje się coś dziwnego. Najbliżej, na Morzu Barentsa, na północ od Islandii, znajdował się nasz Trenchant, który otrzymał rozkaz przechwycenia Dońskiego. Przejęli kontakt w chwili, gdy Doński minął łańcuch hydrofonów. Czyli niemal pewne już było, że Doński idzie na Atlantyk. Pierwszy raz od dwóch lat. Szedł z maksymalną prędkością w kierunku rozwijającego się huraganu. To było coraz bardziej podejrzane.

– Właśnie – włączył się Louis. – Czyli pierwszy raz od przejęcia władzy przez Gorbaczowa wyszli na Atlantyk. Mów dalej…

– Doński przeszedł łańcuch SOSUS, a Trenchant podążał za nim w odległości pięciu mil. Początkowo zszedł na dwieście metrów z prędkością dwudziestu węzłów, ale kiedy wyszedł sto pięć mil za sześćdziesiąty równoleżnik, zszedł na czterysta metrów. Znaleźli się w samym środku huraganu, więc łączność była bardzo ograniczona. Podwodne fale mogą mieć kilometr długości i kilkadziesiąt metrów wysokości.

– Tak… Olivier… – odezwał się Higgins takim tonem, jakby był zniecierpliwiony przydługim wstępem.

– Do pierwszego zdarzenia doszło na głębokości czterystu dwudziestu pięciu metrów, gdy sensory po raz pierwszy zarejestrowały sygnał, charakterystyczny kod Akuły, a konkretnie jednostki K-263 Delfin. To ich najnowszy wielozadaniowy okręt, dopiero od roku w służbie. Słabo go jeszcze znamy, ale dźwięk był charakterystyczny dla siedmiopłatowej śruby Akuły. Według informacji naszego wywiadu Delfin opuścił bazę miesiąc wcześniej i na pewno nie wyszedł na Atlantyk. Wyglądało na to, że Rosjanie ominęli nasz system ostrzegania. Jak im się to udało? Nie wiemy do tej pory. To na pewno był akuła, ale nie możemy stwierdzić na sto procent, że Delfin. Ma nieco wyższą częstotliwość… – Olivier przerwał na chwilę i nad czymś się zastanawiał. – Akuła poruszał się pięć mil na szesnastej od kursu Trenchant i osiem od Dońskiego. Sygnał był wyraźny, ale po dziesięciu minutach znikł. Wyglądało na to, że się zatrzymał. Jednak po dwudziestu minutach znów się pojawił. Tym razem osiem mil na piętnastej. I nie mamy żadnych wątpliwości, że to ten sam akuła. Sytuacja powtórzyła się jeszcze trzykrotnie.

– Czyli co? – odezwał się Ray. – Mają nowy okręt, o którym nic nie wiemy, i przypłynęli na Atlantyk, żeby go nam zaprezentować? To się nie trzyma kupy.

– Problem jest znacznie poważniejszy – powiedział Olivier. – Ten konkretny akuła ma prawdopodobnie nowy reaktor, którego nie znamy, i porusza się z prędkością czterdziestu ośmiu węzłów.

– To szybko? – zapytałem.

– Płynie szybciej niż nasze torpedy Tigerfish czy amerykańskie Mark 48.

– Czyli? – dołączył się Ray.

– Czyli jeżeli nie zatopimy akuły, Doński może podejść do naszych czy amerykańskich wybrzeży, a wtedy…

– Mamy pięć minut! *Fuck*! – Higgins podniósł się z fotela. – Rosjanie uzyskują przewagę strategiczną. Chcieli nam powiedzieć, że słynne pół godziny na naszą atomową odpowiedź chwilowo jest nieaktualne?

– To samo pytanie zadaje sobie Londyn i Waszyngton – odparł Olivier. – Więc dlatego musimy spróbować się dowiedzieć, co się stało. Materiał został bardzo szczegółowo przebadany przez Amerykanów i naszych specjalistów. Nie ma mowy o pomyłce. Pozostaje też pytanie, jak akuła przeszedł przez łańcuch hydrofonów. W promieniu czterystu mil operowały też

dwa okręty radzieckiego zwiadu elektronicznego, ale nie zanotowano ich aktywności w związku z Dońskim.

– Czyli nic nie wiemy. Po co Gorbaczow miałby nam to robić? Właśnie teraz? – zapytałem zaskoczony. – Może to jakaś prowokacja, dezinformacja…

– W tobie cała nadzieja, Martin, że się dowiemy – odezwał się pierwszy raz Louis, podsuwając palcem okulary.

– Dobrze, cieszę się, że jestem nadzieją, ale zacznijmy od początku. Kim jest kapitan Razumow? – zapytałem, biorąc jego zdjęcie do ręki. – Wygląda szlachetnie, nawet pięknie… rozumiem, że Rosjanin, kadet, nachimowiec, podwodniak, marynarz z urodzenia, to musi być twardy człowiek. Zobaczymy, co tam macie na niego, ale powiem od razu, nie widzę tego dobrze – rzekłem z przekonaniem. – Małe szanse na werbunek, szczególnie szybki. Dobrze, to co o nim wiemy? – Spojrzałem na spoconego Louisa, który pokiwał ze zrozumieniem głową, ale odpowiedział Higgins:

– Attaché morski, kapitan pierwszej rangi Wadim Georgiewicz Razumow, lat sześćdziesiąt. Za pół roku kończy swoją misję w Helsinkach i z powodu stanu zdrowia przejdzie do cywila, pewnie będzie wykładał w leningradzkiej akademii morskiej. Żona Nadieżda, dwóch synów: Aleksandr, lat osiemnaście, student pierwszego roku tejże akademii, i Maksym, student ostatniego roku ekonomii na Uniwersytecie Leningradzkim. Według informacji CIA Razumow był dowódcą atomowego okrętu podwodnego klasy Alfa z Murmańska. Helsinki to jego pierwsza i ostatnia placówka zagraniczna. Prawdopodobnie załatwił ją sobie przez brata żony, kiedyś bliskiego współpracownika Andropowa. „Arlekin” od kilku tygodni wysyłał delikatne sygnały, że prawdopodobnie szuka nowego intratnego zajęcia, by dorobić do swojej niewysokiej emerytury, a sytuacja gospodarcza w ZSRR jest fatalna. Zauważyliśmy to i fińscy gospodarze też, więc Londyn podjął decyzję, by wejść z nim w kontakt operacyjny, sprawdzić szczerość intencji komandora, zobaczyć, czy da się coś na tym zbudować, no i ustalić, czy nie jest przynętą GRU. Ale najważniejsze jest dotarcie do Golicyna. Sprawa Dymitra Dońskiego i akuły ma najwyższy priorytet. Dlatego C zdecydował się brutalnie wyrwać was z Kairu – kontynuował Higgins. – Sytuacja operacyjna w Helsinkach nie jest łatwa. Rezydenturą KGB dowodzi tutaj sam książę wywiadu Grigorij Portnoy. Facet ma szczurzy ryjek, świńskie oczy i za grosz poczucia humoru… przynajmniej angielskiego. – Higgins

uśmiechnął się szeroko, ale nikt się nie przyłączył. – Podobno tak o sobie mówi i jest z tego dumny. Znamy się całkiem dobrze.

– O Portnoyu sporo słyszałem – odparłem.

– A kto nie słyszał – dodał Louis.

– Dobrze, zanim poczytam akta Razumowa, powiedzcie mi: jak chcecie do niego podejść? Macie jakiś plan, pomysł?

– Mamy – powiedział Louis. – Ty jesteś naszym planem.

– I nadzieją – dorzuciłem z przekąsem.

Przez następne kilka dni analizowaliśmy sprawę. Rozłożyliśmy ją na najdrobniejsze elementy, przedyskutowaliśmy wszystko, co można było poddać osądowi, wykreślaliśmy fakty zaciemniające obraz i stworzyliśmy listę priorytetów.

Podstawą naszej pracy był raport Moilanena.

Informacje, jakie na temat Razumowa zebrali Finowie, były imponujące. Dawno nie czytałem tak dobrego i profesjonalnego dokumentu. Od razu milczący Seppo stał się moim cichym idolem. Louis też nie potrafił ukryć swojego uznania.

Raport prezentował szczegółowy obraz rozpracowania Razumowa, analizę psychologiczną zbudowaną na bazie jego nawyków, trybu życia, zainteresowań, nawet mowy ciała i sposobu mówienia. Widać było, że Finowie bardzo dobrze znają Rosjan i rozumieją ich mentalność lepiej niż ktokolwiek inny. Później zrozumiałem, że mimo krwawej historii Finowie nie są antyrosyjscy. W tym kryła się ich mądrość i sztuka politycznego surwiwalu małego narodu na skraju wrogiego imperium.

Po tygodniu byliśmy gotowi. Przygotowaliśmy koncepcję i modus operandi, jaki powinniśmy zastosować. To nie był plan idealny, ale efekt kompromisu, rodzaj scenariusza. W wywiadzie nigdy nie ma planu idealnego, wiedzieliśmy o tym doskonale. Zwykli ludzie nie planują porażki, ale przegrywają, bo nie planują. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić, chociaż mieliśmy też świadomość, że możemy się mylić.

Nic o sobie nie wiedzieliśmy, więc musieliśmy się lepiej poznać, żeby komunikacja między nami była efektywna i szczera. Miałem wrażenie, że zespół zgrał się, przynajmniej w sensie organizacyjnym i mentalnym.

Moje największe wątpliwości wzbudzał jednak Higgins. To nie był dobry znak, bo był formalnym szefem operacji i utrzymywał kontakt z Londynem. Dosyć nieudolnie próbował narzucać swoje zdanie, jakby chciał podkreślić, że to on dowodzi. Zupełnie niepotrzebnie, bo nikt nie kwestio-

nował jego pozycji i opinii. W rzeczywistości Tom wiedział, jak cały zespół, że to na mnie spoczywa ciężar operacji i ostatecznie zadecyduje moje zdanie.

O powodzeniu rozstrzygała moja intuicja, a nie jego pewność siebie. Poddawałem jednak swoje pomysły pod ocenę, żeby mieli poczucie współodpowiedzialności i realnego udziału w procesie. Nie mogłem wziąć wszystkiego na siebie i musiałem zostawić sobie furtkę. Nie powiedziałem tego na głos, ale wszyscy doskonale to rozumieli. Tom Higgins z pewnością też.

Teraz mieliśmy wdrożyć nasz plan, a jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by przystawał dokładnie do tego, co się miało wydarzyć. Dlatego realizacja planu zawsze prowadzi do napięć, więc kontestująca postawa Toma nie napawała mnie optymizmem.

Związek Radziecki po rozpadzie bloku wschodniego zaczął wycofywać wojska z Niemiec i cały system imperium chwiał się w posadach. Kraje bałtyckie parły do niepodległości, ale nikt nie był pewien, czy Moskwa pogodzi się z utratą dziedzictwa Piotra Wielkiego. Sytuacja w Zatoce Fińskiej i regionie wschodniego Bałtyku była niepewna i nie można było wykluczyć, że ZSRR dobrowolnie od morza odepchnąć się nie da, tym bardziej że polityka Gorbaczowa doprowadziła do spękania wewnętrznych struktur państwa. Nawet najbliższa przyszłość była trudna do przewidzenia, ale czuć było, że to dopiero początek wielkich przemian, które niekoniecznie mogły się zakończyć pokojowo. Dezintegracja ZSRR groziła wielkim wybuchem, który uderzyłby w cały świat.

Radzieccy wojskowi doskonale zdawali sobie z tego sprawę i niektórzy, jak Razumow, zaczęli szukać dla siebie miejsca w przyszłości. Tak mi się wówczas wydawało.

KGB i GRU były wciąż potężnymi organizacjami, które też przygotowywały się do nadchodzącego przełomu. Ludzie w Europie świętowali wolność, ale sytuacja polityczna była najbardziej nieprzewidywalna od zakończenia wojny. Kończył się komunizm, ale nikt nie wiedział jeszcze, co powstanie w jego miejsce. Rosja zajmowała dużą część globu i miała swoje imperialne interesy. Były to czasy, kiedy nikt nie wiedział nic na pewno i w cenie były nawet strzępki informacji.

Rosjanie pokazali na Atlantyku tajemniczego Akułę. Miał zadecydować o losach świata? Koniec zimnej wojny miał być tylko złudzeniem?

– Czyli pojawienie się komandora Razumowa jako attaché morskiego w Helsinkach mogło być albo pomyłką Moskwy, albo początkiem gry, w którą chcą nas wciągnąć – stwierdziłem z przekonaniem. – Wiedzieli, że to nie ujdzie naszej uwadze, więc sprawa staje się jeszcze trudniejsza.

Helsinki przez dziesięciolecia były terenem wyjątkowej aktywności KGB i Stasi, ich oknem na świat. Traktat paryski z 1947 roku zabraniał Finlandii posiadania wywiadu, ale zdolni fińscy szpiedzy znaleźli sposób, żeby obejść i to ograniczenie. Jak ma się tysiąctrzystukilometrową granicę z ZSRR, trzeba wiedzieć, co się dzieje po jej drugiej stronie. Same pola minowe nie zabezpieczyłyby bezpieczeństwa.

W tym czasie rezydenturą KGB w Helsinkach kierował Grigorij Aleksiejewicz Portnoy, prawdziwy książę wywiadu, jeden z najzdolniejszych i najbardziej wpływowych radzieckich szpiegów.

Stworzył słynną „fińską mafię”, najprężniejszą i najbardziej wpływową nieformalną grupę w ramach I Zarządu Głównego. Wszystkie zachodnie wywiady wiedziały, kto to jest Portnoy. Mężczyzna średniego wzrostu, szczupły i wysportowany, z charakterystyczną gęstą grzywką zaczesaną na lewo i przyciętym wąsikiem. Inteligentny i wyjątkowo przebiegły profesjonalista. Pokazał, co potrafi, w USA, Francji i Szwecji. Wypływał co pewien czas pod różną tożsamością w różnych miejscach na świecie, gdzie akurat działo się coś ważnego. Mówiło się nawet, że można pod Portnoya regulować kalendarz politycznych zdarzeń.

– Wkrótce, pełen energii i doświadczenia, pojawił się w Finlandii – ciągnął Higgins. – Nominowanie Portnoya na rezydenta w Helsinkach nie było decyzją jak każda inna. Z pewnością Kreml ma wobec Finlandii jakiś specjalny plan. Dlatego C zdecydował, by wzmocnić naszą rezydenturę, i przeniósł mnie do Helsinek – stwierdził Higgins z wyraźnym zadowoleniem.

W czasie zimnej wojny zimna Finlandia była terenem prawdziwej gorącej wojny wywiadów. Helsinki były szarym i nudnym miastem, gdzieś na skraju zachodniego świata, o mdłej kuchni przelanej wódką. Ale rezydentury KGB, GRU i Stasi w Helsinkach były wyjątkowo prężne i dobrze obsadzone, więc i nasza obecność też musiała być odpowiednia – tłumaczył Higgins z lekkim zadęciem.

Dlatego sprawa o kryptonimie „Mermaid” miała najwyższy priorytet. Tajemnicze wydarzenie na głębokości pięciuset metrów gdzieś na Atlantyku przynajmniej na chwilę zaburzyło najważniejszym politykom w Waszyng-

tonie i Londynie obowiązującą dotąd wizję świata. CIA i MI6 dostały rozkaz, żeby ruszyć wszystkie swoje aktywa i ustalić, co tam się stało.

Czułem się odpowiedzialny za tę operację, czułem jej ciężar. Ale wiedziałem też, że nawet gdybyśmy połączyli siły wszystkich wywiadów, nie popełnili ani jednego błędu i otworzyli królewski skarbiec, bez odrobiny szczęścia i dobrze zaplanowanego przypadku wydarcie prawdy Rosjanom będzie niemożliwe. Szczęście, przypadek i prawda to najbardziej mistyczne pojęcia ze słownika szpiegów.

Czasami pomagał nam w pracy fiński alkohol Marskin Ryyppy, podobny do wódki, niemal pozbawiony zapachu, o delikatnym smaku gorzkich orzechów. Receptura opracowana podobno przez samego Mannerheima – twierdził Moilanen – i nazwany na cześć marszałka. Zaopatrzenie dostarczał Higgins z zasobów ambasadzkich w ramach przyjętej na wniosek Raya legendy, że szkolenie z fińskiej tradycji i trening przed czekającymi mnie wyzwaniami są ważnymi elementami naszego planu.

Nie było łatwo opanować podnoszenia dwoma palcami delikatnych kieliszków z monogramem marszałka, które wypełniał sznaps z meniskiem wypukłym. Obyczaj ten wprowadził podobno w armii fińskiej marszałek, by podnieść kulturę picia wśród oficerów, twierdził Moilanen i demonstrował, jak należy to poprawnie wykonać. Marszałek nauczył się tego przed pierwszą wojną, kiedy był dowódcą rosyjskiego Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów w Warszawie. Dla Brytyjczyka przyzwyczajonego do szklanki whisky, z lodem lub bez lodu, picie jak fiński oficer było prawdziwym wyzwaniem. W końcu opanowałem tę technikę całkiem dobrze, ale Ray nie. Szybko się poddał i pił wódkę Marskin Ryyppy w szklance z lodem, wzbudzając wyraźną odrazę, którą dostrzegłem w oczach Seppa.

7

2021

Martin przyglądał się zdjęciom, a Caroline, poruszając delikatnie palcami wskazującymi, tłumaczyła mu, co widzi. Martin już wcześniej zaproponował, żeby przeszli na „ty”, bo łatwiej i przyjemniej będzie im się rozmawiało, na co Caroline z wdziękiem przystała.

– To ręka mężczyzny. Znaleziona pięć miesięcy temu, dziesiątego grudnia ubiegłego roku. Zrobiliśmy szczegółowe badania. To prawdopodobnie mężczyzna w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, wzrost sto osiemdziesiąt, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, dobrze zbudowany, raczej zdrowy, zginął gwałtowną śmiercią dwa, trzy tygodnie wcześniej, rany cięte zadane ostrym narzędziem, częściowo szarpane, możliwe, że spowodowała je śruba okrętowa, DNA wskazuje na Europę Wschodnią. Jest jednak coś więcej. – Caroline przesunęła obraz. – Zachował się fragment tatuażu na ramieniu… niestety tylko fragment, ale wystarczająco niepokojący. O… tutaj!

– Cyrylica… – rzucił Martin. – „S” wyglądające jak „c”, rosyjskie „i” i „n”, czyli… sin… i fragment jakiegoś rysunku. Nic nie znaczy.

– Właśnie. Dlatego nazwaliśmy go „Ci”. I ten pierdolony kawałek jakiegoś Ruska spędza sen z powiek naszym admirałom, generałom i ministrom. – Caroline była wyraźnie poruszona.

– Rozumiem, że nie znaleźliście nic więcej.

– Nic. Opróżniliśmy cały basen, ale nic nie znaleźliśmy. Problem w tym, że basen był opróżniany i napełniany czterokrotnie w ciągu tych trzech tygodni, więc…

– No tak, resztki ciała mogły wypłynąć i swoje zrobił odpływ. A nie podejrzewacie, że to ciało wpłynęło podczas napełniania basenu?

– Tak czy inaczej, ciało było w środku suchego doku, wewnątrz stoczni Barrow. To wystarczy, żeby nie spać po nocach. Jeżeli Rosjanie znają dane naszej nowej śruby dla drednota, to cały narodowy projekt bezpieczeństwa Zjednoczonego Królestwa możemy sobie wsadzić w dupę.

– Wyrazisty język i barwne porównanie. Królową jednak oszczędź – poprosił z uśmiechem Martin. – Ale zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. Trochę to dziwne, że wysłali szpiega z rosyjskim tatuażem – dodał po chwili. – Nie sądzisz, Caroline? I kim jest mężczyzna ze zdjęcia? Co ma wspólnego z kawałkiem Rosjanina… z „Ci”?

– W ramach śledztwa przejrzeliśmy nagrania z monitoringu wokół stoczni Barrow, tak w promieniu kilometra, od miesiąca poprzedzającego teoretyczny czas śmierci „Ci” aż do czasu, gdy znaleźliśmy fragment tego osobnika. Sprawdziliśmy kilkanaście tysięcy osób. Ustaliliśmy każdą osobę z imienia i nazwiska, przypisaliśmy do miejsca i zawodu, z jednym wyjątkiem. Tego człowieka. Sfilmowany został przez bankową kamerę w Barrow pierwszego listopada ubiegłego roku i jeszcze dwie sklepowe. Potem już się nigdzie nie pojawił. Po prostu duch. Gość wyparował. Na jedenaście tysięcy dwieście dwie osoby tylko jednej nie możemy zidentyfikować. Nikt go nie zna.

– To rzeczywiście niezwykłe. – Martin wyjął tablet z ręki Caroline. – Możesz mi go pokazać jeszcze raz? – Zabrała tablet z powrotem, ustawiła ponownie zdjęcia i oddała go Martinowi.

– Dokonaliśmy analizy i na pewno ten mężczyzna to nie jest „Ci”. Nie pasuje do prawdopodobnej daty śmierci.

– Tak…

– I nie ta budowa ciała – dodała Caroline. – To szczupły, przystojny pięćdziesięciolatek, może starszy. Co najmniej metr osiemdziesiąt pięć.

– Jest w nim coś dziwnego, jakby znajomego… – zastanawiał się na głos Martin.

– Czapka?

– Tak, ale coś jeszcze.

– Chyba Beatlesi nosili podobne albo sam Lennon. Gdyby miała złote dodatki, można by powiedzieć, że gość wyszedł z pubu gdzieś w Greenwich Village. – Caroline uśmiechnęła się. – Ale na poważnie, też się nad tym zastanawialiśmy. Skórzana bosmanka, czarna? Nie jest u nas zbyt popularna.

– Ale w Rosji była i chyba jeszcze jest. – Martin powiększył twarz mężczyzny, który spojrzał w obiektyw i jakby uśmiechnął się przez ułamek sekundy. Martin odniósł wrażenie, że to był znak. – To jednak za mało, by coś na tym budować. – Oddał tablet. – Właściwie… – zawiesił głos – czego właściwie ode mnie oczekujecie, Caroline? Co miałbym zrobić? Dlaczego James cię tu przysłał? I dlaczego pytałaś o Kronsztad? – Pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał jej w oczy. – Rozumiem, że doszliście do ściany.

Caroline skinęła delikatnie głową, zdjęła okulary i na kilka sekund zamknęła oczy. Dopiero teraz Martin zobaczył, że ma długie czarne naturalne rzęsy i ładne brwi. Podobne miała Marina – przeszło mu przez myśl. Nie, Marina miała ładniejsze.

Caroline była o pięćdziesiąt lat młodsza, a jednak kiedy podała mu na powitanie dłoń, poczuł jej uścisk i miał wrażenie, jakby rozmawiał z silnym, kompetentnym partnerem, który nie odpuści.

– Nikt z naszych nie ma takiego doświadczenia z Rosjanami jak ty i nikt lepiej nie wniknął do ich hermetycznego świata marynarzy, do ich serca, do Kronsztadu.

– Droga Carol, do nich z zewnątrz nikt nie dotrze. Można marynarza poznać, ale nie zrozumieć, a jeśli mamy jeszcze do tego Rosjanina, to sytuacja dodatkowo się komplikuje. Morze rzuca na ludzi czar na całe życie i przykuwa ich do siebie i nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie zniewala jak życie na morzu właśnie. Znasz to?

– Conrad?

– Tak. W Helsinkach po raz kolejny przeczytałem całego Conrada, ale tym razem nie szukałem inspiracji do zrozumienia relacji między czasem i przestrzenią. Chciałem poznać psyche ludzi morza i im więcej czytałem, tym mniej rozumiałem. W końcu najlepiej i prosto wyjaśnił mi to pewien Norweg w Trondheim. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie chcą wstąpić do Unii. Początkowo tłumaczył zawile o gazie, ropie, rybach, brexicie, ale w końcu powiedział tak: „Wiesz, my, Norwegowie, jesteśmy ludźmi z morza i granicą naszej świadomości jest horyzont, a czas mierzymy przypływami i odpływami”.

– Jesteśmy chyba podobni, bo żyjemy na wyspie – odpowiedziała Caroline i zaraz dodała: – Czyli C miał rację, że mnie tu przysłał. – Podniosła głos. – Liczymy, że wskażesz kierunek, znajdziesz jakiś punkt zaczepie-

nia… kurwa! Martin! – Na moment zacisnęła usta. – Rusz swoją starą, mądrą głową! Pomóż!

– Pomoże, pomoże – usłyszeli od strony schodów głos Raymonda. – Znam go, ale jak sobie przypomni, więc będę musiał mu przypomnieć. Najpierw wyłączcie ten garnek, bo zaleje całą kuchnię, i otwórzcie okno, bo wszystko zaparowało.

Martin chwycił laskę i chciał się podnieść, ale Caroline poderwała się pierwsza.

– Jestem głodny jak wilk. Miała być jakaś wyjątkowa morska uczta. – Raymond schodził ostrożnie, trzymając się poręczy. – A tu widzę, że nic nie jest gotowe. Trwa jakaś narada? Beze mnie? Nikt mnie nie obudził.

– Zaraz się tym zajmę – odparł Martin. – Za godzinę będzie gotowe.

Podpierając się laską, wyraźnie przegięty na bok, podszedł do okna i je uchylił.

– Czyli Carol wszystko ci już powiedziała? – zapytał Raymond i już chciał opaść na fotel, gdy zawahał się, przytrzymał oparcia i rzucił pewnym siebie tonem: – W takim razie jako zadośćuczynienie za moje straty poproszę przed jedzeniem o taki mały – pokazał palcami – kieliszek sherry.

– Obsłuż się, przyjacielu – zaproponował Martin. – Butelka fino jest w lodówce, tylko uważaj na palce.

8

1990

Z lokalu Wiedeń do centrum miasta miałem pieszo kilkanaście minut. Po fińsku restauracja to *ravintola*, a centrum to *keskusta*, więc gdyby nie dwujęzyczne napisy, miałbym trudność, by dotrzeć gdziekolwiek, a musiałem szybko zapoznać się z topografią miasta, poznać jego punkty charakterystyczne, zabytki, układ komunikacyjny i handlowy.

Miałem zagrać Holendra zasiedziałego w Helsinkach, więc nie mogłem wyłożyć się na jakimś oczywistym błędzie. Wcielałem się już kilkakrotnie w tę postać, więc Amsterdam, Haga czy Kapsztad były niemal jak moje rodzinne miasta.

Początkowo uparcie słuchałem radia i oglądałem telewizję, żeby się oswoić z językiem, wczuć w jego melodię. Nie potrafiłem jednak wyłowić żadnych znanych mi słów ani nawet wyczuć sensu z intonacji. Nie byłem pewien, czy wybuchła gdzieś wojna, czy jutro będzie padać deszcz, czy trwa reklama biura podróży. Próbowałem się uczyć fińskiego, ale szybko zrezygnowałem, bo mimo mojej łatwości w przyswajaniu języków obcych uznałem, że zajęłoby mi to za dużo czasu. Bez problemu mogłem funkcjonować, posługując się tylko angielskim i niemieckim.

Po dwóch tygodniach oczekiwania na wyspie Kulosaari zwolniło się małe eleganckie mieszkanie. Higgins wytypował je jako najlepsze z punktu widzenia naszych planów. Znajdowało się na pierwszym piętrze kilkurodzinnego domu przy uliczce Vanha kelkkamäki. Przepłaciliśmy za nie kilkakrotnie, bo właściciel wyczuł interes, ale było warto.

Sto metrów dalej, przy ulicy Hopeasalmentie, jedno ze swoich mieszkań miała ambasada ZSRR. Zajmował je kapitan Wadim Razumow z żoną Nadieżdą i psem Morsem.

Wyspa Kulosaari to już przed wojną był w Helsinkach dobry adres. Położona niedaleko od centrum miasta, gdzie mieściły się wszystkie państwowe urzędy, uczelnie i ambasady. Jedno- i wielorodzinne domy, wille, zamożni Finowie, przede wszystkim szwedzkojęzyczni, biznesmeni, politycy i dyplomaci, kilka wrażliwych ambasad. Wszystko to stwarzało szczególny klimat tej wyspy.

Punktem wyjścia naszego planu była informacja, że kapitan Razumow zbliża się do końca swojej misji w Finlandii i dyskretnie rozgląda się za spożytkowaniem swoich kontaktów do zrobienia jakiegoś interesu. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie, ale nie byliśmy tego pewni. Seppo bardzo podkreślał, że to tylko powierzchowna ocena.

Kapitan lubił otaczać się ładnymi i drogimi przedmiotami. W ostatnim czasie często odwiedzał markowe sklepy w Helsinkach, ale kupował niewiele. Widać było wyraźnie, że zasmakował w kolorowym świecie Zachodu, nawet jeśli były to ówczesne szare Helsinki. Był jednak ostrożny, pilnował się i nie posuwał poza delikatną granicę, która mogła być dla niego ryzykowna.

Widać było, że nie jest zawodowym szpiegiem. Chwilami można było odnieść wrażenie, że jest w nim coś z naiwnego chłopca, który nie panuje nad swoimi emocjami. Nie we wszystkich ocenach zgadzaliśmy się w naszym zespole, bo kiedy wszyscy myślą tak samo, nie myśli nikt. Doskonale wiedzieliśmy, że w świecie szpiegów bywa czasami więcej niż jedno słuszne rozwiązanie.

W zespole tylko Olivier miał doświadczenie morskie i służył wcześniej na okręcie podwodnym. Jego zdaniem obraz kapitana odbiegał jednak od schematu.

Trochę mnie to niepokoiło. Liczyłem jednak, że wątpliwości, których pojawiało się coraz więcej, nie zadecydują o powodzeniu naszej operacji, tym bardziej że Louis uważał opis kapitana za trzymający się radzieckiego wzorca.

Postanowiliśmy jednak, że sytuację trzeba wykorzystać i spróbować zaspokoić potrzeby Razumowa. Nawet jeżeli mogła być to prowokacja uszyta przez Grigorija Portnoya. Sprawa „Alfy” na Atlantyku uzasadniała nawet poważne ryzyko, że zostaniemy wplątani w grę z KGB czy GRU.

To nie była łatwa decyzja, bo w takim schemacie zwykle przeciwnik narzucał zasady gry, a Rosjanie mieli w tym ogromne doświadczenie, nawet

talent. Traktowali życie i śmierć, jakby to była nieustanna partia szachów rozgrywana znaczonymi matrioszkami.

Moim zadaniem było otworzenie kapitanowi drzwi, za którymi mógłby dostrzec perspektywę na nowe życie w branży handlu drewnem. Uchylanie drzwi musiało być jednak tak delikatne, by żaden fałszywy dźwięk czy zgrzyt nie spłoszył gościa. Musiał mieć przekonanie, że nie tylko chwycił za klamkę z własnej woli, ale też że to on decyduje, co robić, bo trzyma w drugiej dłoni klucz.

A w uchylaniu drzwi to my mieliśmy doświadczenie, a i talentu do tego nam nie brakowało.

Razumow miał pięcioletniego setera irlandzkiego, który wabił się Mors. Kapitan był do niego bardzo przywiązany, bo zawsze o szóstej trzydzieści rano wyprowadzał go na pobliskie kąpielisko, a wieczorem około dwudziestej, niezależnie od pogody, spacerowali brzegiem wyspy. Widać było, że jest bardzo zdyscyplinowany i traktuje go z prawdziwym uczuciem. Tego nie dało się zagrać. W dni wolne wychodził z nim nawet trzy razy dziennie, a kiedy żona wyjeżdżała do Rosji, zabierał go ze sobą do ambasady. Uznaliśmy, że Mors jest idealnym punktem zaczepienia.

SUPO początkowo miało sporo pracy przy Razumowie, bo podejrzewali, że pies to tylko przykrywka i komandor wykonuje jakieś czynności operacyjne. A pies jako element szpiegowskiego modus operandi nie był czymś nowym.

Na Kulosaari mieszkało sporo osób, którymi mógł się interesować radziecki wywiad. Tym bardziej że kapitan był jednym z nielicznych dyplomatów, którzy mieszkali poza terenem ambasady. Okazało się jednak, że Razumow nie wykonuje żadnych czynności. Palił papierosy, czasami pociągał z piersiówki i zaglądał do mieszkań przez niezasłonięte okna. W pracy się nie przemęczał i szybko okazało się, że jest w konflikcie z Grigorijem Portnoyem, który w ambasadzie decydował o wszystkim.

W końcu SUPO oceniło, że zagrożenie ze strony kapitana jest niewielkie, i został objęty tylko kontrolą dorywczą.

Niełatwo było kupić w Finlandii setera irlandzkiego w odpowiednim wieku, więc Raymond przywiózł dwuletnią suczkę z Londynu. Znalazł ją w schronisku Battersea i wabiła się Vicky. Miała predyspozycje do pracy w wywiadzie, bo była bardzo wesoła, inteligentna i posłuszna, więc szybko się zaprzyjaźniliśmy.

Połowa grudnia, słoneczna niedziela rano, minus piętnaście. Na Zatoce Fińskiej lód gruby na ponad metr. Seppo dał znać, że Razumow wyszedł z domu z psem i zmierza w stronę wybrzeża. Byłem przygotowany. Założyłem Vicky obrożę, zapiąłem smycz i wyszliśmy.

Przez chwilę obserwowałem Razumowa z odległości stu metrów i czekałem, aż zbliży się do brzegu. Był w granatowej kurtce, ale bez czapki i z widoczną przyjemnością bawił się z Morsem. Jego gęsta siwa czupryna niemal połyskiwała srebrem. Jak na podwodniaka był wysoki, dobrze zbudowany, o szerokich ramionach, jakby stworzonych do złotych epoletów.

Vicky wyczuła Morsa i zaczęła się wyrywać, jakby wiedziała, że od jej zaangażowania tego dnia zależy początek ważnej sprawy. W końcu ją puściłem. Zbiegła na lód i pognała w stronę Morsa, który też ją zauważył i zaczął warować.

Zszedłem na lód. W tym czasie psy już się poznały. Zaczęły baraszkować wokół nas, ale moja młodsza Vicky przejawiała wyraźnie większą inicjatywę.

– Ile ma? – zapytał po angielsku kapitan, gdy podszedłem.

Miał bardzo jasną, niemal anemiczną gładką cerę, duże niebieskie, pogodne oczy pod siwymi, krzaczastymi brwiami rozdzielonymi dużym, prostym nosem i starannie wymodelowane srebrne wąsy, które dodawały jego twarzy szlachetności. Dwudniowy szpakowaty zarost pokrywał mocny męski podbródek.

Miałem wrażenie, że to zupełnie inny mężczyzna niż ten, którego widziałem na zdjęciu.

– Dwa lata – odparłem.

– Ładnie się bawią… polubiły się.

– Ile ma pana piesek?

– Pięć lat. Dorosły mężczyzna. Ładna para.

– Tak. Przypadły sobie do gustu. Chodź, Vicky, idziemy do domu. – Spojrzałem na zegarek.

– Niech się jeszcze pobawią – powiedział Razumow. – Mieszka pan na Kulosaari?

– Tak, od kilku miesięcy. A pan?

– Tak, ja od czterech lat. Tam… – Wskazał ręką na lewo. – Za tą zatoką.

– Ja też tam… – Wykonałem ruch głową. – Na Vanha kelkkamäki…

– To jesteśmy sąsiadami, bo ja na Hopeasalmentie. Ciekawe, że nigdy się nie spotkaliśmy i nie widziałem Vicky – rzucił, przyglądając mi się, ale

wzruszyłem ramionami i pomyślałem tylko, że jest spostrzegawczy.

– Chodź już, Vicky! – zawołałem, ale psy hasały w śniegu i nie reagowały na wołanie.

– Niech się jeszcze pobawią – nalegał kapitan. – Śnieg i mróz dobrze robią seterom na sierść. – Nie odpowiedziałem, więc po chwili zapytał: – Ale pan nie jest tutejszy…

– Tutejszy?

– Nooo… nie jest pan Finem. Szwedofin?

– Aaa… Nie – uśmiechnąłem się. – Jestem Afrykanerem, ale mieszkam w Holandii.

– Czuć po języku. – Pokiwał głową. – A czym się pan zajmuje?

– Biznesem, działam w branży drzewnej.

– No tak – uśmiechnął się. – Drzew to Finlandia ma pod dostatkiem, a chyba w Holandii ich brakuje.

– A pan? Też nie jest stąd.

– Nie. Pracuję w ambasadzie radzieckiej.

– O! – Spojrzałem na niego zaskoczony. – W ambasadzie? Radzieckiej? – dopytałem. – A co pan tam robi?

– Jestem dyplomatą… wojskowym.

– Wojskowym? Nigdy nie spotkałem radzieckiego dyplomaty. Miło mi pana poznać. Nazywam się Dirk van der Welde. – Wygrzebałem z portfela wizytówkę. – Firma Noya.

– Kapitan pierwszego stopnia Razumow, Wadim Grigoriewicz Razumow. – Wyciągnął swoją wizytówkę.

– Komandor – przeczytałem z uwagą. – Miło było pana poznać, ale muszę już iść. Pan wybaczy… – Schowałem wizytówkę, złapałem Vicky, która właśnie się zbliżyła, i zapiąłem smycz. – Do następnego razu – rzuciłem i skinąłem komandorowi głową.

– Do następnego – odparł z uśmiechem i podniósł rękę na pożegnanie.

Zrobiliśmy pierwszy krok, prosty chwyt, który prawie zawsze się sprawdzał. Było to tylko nawiązanie kontaktu, na razie nic więcej i nie można było na tym jeszcze nic budować. Chociaż najczęściej bywało i tak, że właśnie to pierwsze wrażenie determinowało późniejsze relacje.

Komandor był umiarkowanie pasywny, ale nie wycofany, naturalny, nawet sympatyczny. Sprawiał wrażenie twardego marynarza, a nie szpiega. Lekko mrużył niebieskie oczy i patrzył przed siebie, jakby szukał horyzontu.

Kiedy ukryty między drzewami obserwowałem po raz pierwszy, jak spacerował po lodzie, bawiąc się z biegającym wokół niego psem, poczułem się przez chwilę jak Charles Marlow podglądający Jima. To nie był obraz w ciepłych barwach południowych mórz, ale lodowy świat, i pomyślałem, co napisałby dzisiaj Conrad, mesjasz najpiękniejszych żaglowców, gdyby wiedział, że są ludzie, którzy zamknięci w atomowych monstrach miesiącami pływają w przerażających głębinach i decydują o losach świata. Czy potrafiłby dojrzeć w tym coś z romantycznej morskiej przygody? Czy Conrad poradziłby sobie z takim wyzwaniem?

Wyczuwałem w tym obrazie nieznanego człowieka z psem w biało-niebieskiej scenerii coś niepowtarzalnie pięknego. Przyjechałem to zniszczyć?

9

2021

Ray otworzył lodówkę, wyciągnął rękę i miał już sięgnąć po butelkę, gdy zobaczył wielkiego brunatnego homara, który wysunął się z torby i nerwowo poruszał długimi czułkami. Teraz zrozumiał, dlaczego Martin go ostrzegał. Przez chwilę miał wrażenie, że homar przygląda mu się złowrogo, ale kiedy dostrzegł, że ma skrępowane szczypce, sięgnął po butelkę sherry.

– Piękny, co? – usłyszał za sobą głos Martina.

– Monstrum – stwierdził Ray. – To on mógłby nas zjeść.

– Widzę, że narkoza słabo zadziałała, więc dam go jeszcze na piętnaście minut do zamrażalnika.

– Nie chcę patrzeć, jak będziesz mordował taką piękną istotę – powiedział Ray i zawołał: – Caroline! Życzysz sobie kieliszek sherry?

– Chętnie – odparła.

Martin włożył niebieski fartuch i przystąpił do przygotowania kolacji.

Ray, niosąc ostrożnie dwa kieliszki sherry, wrócił do salonu, ale Caroline gdzieś znikła. Podejrzewając, że poszła do toalety, postawił kieliszek na stole i usiadł na fotelu.

– Wspaniały! – usłyszał jej głos i zorientował się, że jest za rogiem, gdzie w wielkiej szklanej gablocie stał model statku.

Wziął ze stołu kieliszki i przyłączył się do Caroline, która pochylona oglądała model.

– Otago, bark, drobnicowiec, konstrukcja żelazna, nitowana, wyporność trzysta czterdzieści pięć ton, wodowany w tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym, jedyny żaglowiec, którym dowodził Joseph Conrad. Zatonął w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. Leży w Otago Bay w Hobart w pobliżu skrzyżowania Otago Bay Road i Joseph Conrad Drive. Piękne,

prawda? – wyrecytowała Caroline. – To jest pierwszy model statku. Bezcenny – dodała z wyraźnym przejęciem. – Skala dwieście. Musiał kosztować majątek. Mógłby być cennym łupem dla jakiegoś nieuczciwego kolekcjonera z USA albo Japonii.

– Ciekawe. Ależ masz wiedzę, droga Carol! – rzekł zdumiony Ray i wychylił kieliszek. – Nie wiedziałem, że ta zabawka jest taka droga. Myślałem, że Martin sam to zbudował. Nawet zastanawiałem się kiedyś, skąd to się tutaj wzięło.

– Ukończyłam hydrodynamikę, więc… Pierwsze modele statków zbudowali Wenecjanie w tysiąc pięćset dwudziestym piątym roku, żeby pokazać je jako oferty dla kupców, były też wykorzystywane później do prostych testów hydrodynamicznych. Najstarsze angielskie pochodzą z połowy siedemnastego wieku. Podobno najdroższy jest pierwszy model Cutty Sark. Taki model był jak duch, który poprzedzał narodziny dorosłego statku czy okrętu.

– Czyli co? Ten tutaj też pływał?

– Prawdopodobnie. Ale nie w morzu, pewnie w basenie.

– To wszystko bardzo ciekawe, bardzo. – Ray wydął usta, ale nie wyglądał, żeby naprawdę zainteresował się modelami. – Martin pewnie też to wie. Trochę się zna na okrętach, a może raczej na marynarzach. Na pamięć zna wszystkie książki Conrada.

– No właśnie, Raymond. – Caroline zrobiła kilka kroków w stronę okna, a Ray podążył za nią. – Możesz mi coś wyjaśnić?

– Oczywiście.

– Kiedy weszłam do tego domu – zaczęła nieco ściszonym głosem – poczułam coś dziwnego, jak by to powiedzieć… jakiś dysonans poznawczy, coś mi nie współgrało, brak sensu tego pomieszczenia, chłód, a może nawet brak zwykłej harmonii, która jest przypisana ludzkiej naturze.

– Nie rozumiem. – Ray, wyraźnie zaskoczony, uniósł wysoko swoje cienkie brwi i otworzył oczy. – Jakiej harmonii? – Rozejrzał się po salonie.

– Nie widzisz? Żadnych książek, zdjęć, pamiątek, nic osobistego, żadnych drobiazgów, którymi ludzie obrastają przez całe życie, w których zamykają swoje wspomnienia, doświadczenia, uczucia. Rzeczy, które coś symbolizują, tworzą intymne środowisko. Nawet nie ma telewizora, komputera… – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Tylko ten model, który stoi wystawiony, jakby chciał się nim pochwalić. Ale przed kim? Czy ktoś tu w ogóle bywa? Człowiek wybitnie inteligentny, doświadczony, który

zjeździł cały świat, nawet nie ma jednego gadżetu. Twój dom też tak wygląda?

– U mnie o wszystkim decydowała Gina. Wiesz… Włoszka z Neapolu… a pamiątki wyczyściły wnuki. Coś tam zostało po kątach. Martin jest kawalerem i poza mną, a przyjeżdżam kilka razy w roku, nikt tu nie bywa. Chyba, bo poprzednio, przed pandemią, zauważyłem na poduszce w moim pokoju długi rudy włos.

– No właśnie. Na Vauxhall Cross krążą o nim legendy, a znajduję go na jakimś totalnym zadupiu między Szwecją i Norwegią w wielkim domu bez życia, charakteru, bez wspomnień. Nawet mój pokój na górze wygląda jak szpitalna izolatka, chociaż mnie się podoba. Tylko te antyczne kasety magnetofonowe w kuchni przypominają, że Martin ma jakieś uczucia, coś lubi. Wytłumacz mi to. – Caroline spojrzała na Raya, który wyglądał przez okno.

– Widzisz te drzwi – wskazał ręką – te tam w rogu. Widzisz?

– Te białe?

– Tak.

– No… widzę.

– Widzisz, że mają zamek?

– Tak.

– Nie dziwi cię, że drzwi w mieszkaniu mają zamek?

– Bo ja wiem… – Caroline się zawahała.

– On tam mieszka.

– Jak to? A ten dom… to tutaj, to wszystko. – Przesunęła wzrokiem po pomieszczeniu. – Kim on jest?

– To jest jego świat zewnętrzny, a tam jest wewnętrzny. Nie jest duży, to taka jego rosyjska matrioszka. Ten pusty świat na zewnątrz to pierwsza lalka. – Spojrzał przez okno na zalesiony górzysty krajobraz i po chwili dodał: – Dom to druga, jego pokój… ten tam, to trzecia, a on w środku jako czwarta, dobrze ukryta. Tak się chroni Martin przed światem i sobą samym.

– Nie za bardzo to rozumiem. Przecież mieszka tu sam. Prawda? Dom na odludziu – odparła. – A co tam jest?

– Nie wolno mi mówić. To jego tajemnica. Zapytaj go sama. – Zerknął w stronę kuchni. – Może ci powie.

– Bardzo dziwne to wszystko, jeśli mogę to jakoś podsumować, ale nie będę się więcej dopytywać. W końcu to nie moja sprawa. – Caroline wró-

ciła na kanapę, gdzie wcześniej siedziała, i zaczęła coś przeglądać na tablecie.

Ray podążył za nią. Usiadł naprzeciwko i zaczął się jej przyglądać.

– Więc o co chodzi? – zapytał po chwili. – Z czym przyjechałaś, Caroline? Bo jeśli szukasz pomocy u Martina, to i ja mógłbym się przydać. Też coś wiem.

– Ray! – doleciało z kuchni. – Pomożesz?

10

1990

Wkrótce doszło do kolejnego spotkania. Tym razem w osiedlowym sklepie spożywczym. Wiedzieliśmy, że Razumow robi tam zakupy. Jego żona od tygodnia przebywała w Leningradzie, więc chcieliśmy wykorzystać ten czas i podjąć drugi kontakt.

Szybkie powtórzenie sceny z psami mogło wzbudzić jego podejrzenia.

Kapitan wracał z ambasady do domu, jeżeli nie miał jakichś spotkań, między szesnastą a siedemnastą i wtedy zwykle zachodził do małego supermarketu. Tego dnia zostawił Morsa w domu, więc byliśmy pewni, że wróci na czas. Od trzech dni nie robił zakupów.

Od czternastej czekaliśmy z Rayem w moim mieszkaniu na sygnał od Seppa. Odezwał się około szesnastej i poinformował, że „Delfin właśnie wypłynął”, co oznaczało, że kapitan wyjechał z ambasady. Przejazd na Kulosaari zajmował mu średnio piętnaście, dwadzieścia minut, więc miałem wystarczająco dużo czasu, by dojść do sklepu.

Stanąłem obok wejścia, a Ray zajął pozycję na rogu ulicy, tak by widzieć zbliżające się granatowe volvo 245 na niebieskich numerach. Na jego znak miałem wejść do sklepu. Miało to wyglądać tak, że to Razumow natknął się na mnie, a nie ja na niego.

Ray dał mi znak, że samochód się pojawił.

Zatrzymałem się przy stoisku z makaronami, skąd mogłem obserwować wejście. Minęło kilka minut, ale kapitan się nie pojawił. Po chwili do sklepu zajrzał Ray. Pokazał mi, że Razumow pojechał do domu. Liczyliśmy się z tym, więc akcja została odwołana.

Tego dnia kapitan wyjątkowo wyprowadził psa zaraz po przyjeździe i wieczór spędził w domu.

Następnego dnia powtórzyliśmy schemat od sceny „Delfin właśnie wypłynął”.

Tym razem Razumow zaszedł do sklepu. Zauważył mnie przy regale z karmą dla zwierząt.

– Niech pan weźmie to – wskazał na kolorowy worek – lepsza sierść jest po niej, zdrowsza i błyszcząca.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

Potem minęliśmy się jeszcze w samochodach i pozdrowiliśmy uniesioną dłonią. Wypadło bardzo naturalnie, nawet lepiej, niż planowałem.

Zaczęliśmy komandora oswajać, czekając na jego inicjatywę. Dopiero zamierzaliśmy mu pokazać drzwi, ale to komandor musiał chwycić za klamkę.

Trzy dni później, w czwartek, mogliśmy powtórzyć scenę z psami. Czekałem w samochodzie z Vicky na sygnał od Raymonda, aż Razumow wyjdzie z Morsem. Zwykle wychodził o dwudziestej i od razu skręcał w prawo w stronę wybrzeża, więc czekałem dwieście metrów dalej w bocznej uliczce.

Pojawił się kwadrans po dwudziestej. Było bardzo zimno. Tym razem kapitan był w eleganckiej sobolowej uszance.

Po chwili natknął się na mnie.

– Panie van der Welde! – zawołał, widząc mnie po drugiej stronie ulicy. Udałem zaskoczenie i odwróciłem się w jego stronę.

– Pan kapitan! – odparłem, przechodząc przez jezdnię. – Dobry wieczór.

Przywitaliśmy się, nie zdejmując rękawiczek. Psy były wyraźnie zadowolone ze spotkania i zaczęły się kręcić na smyczach.

– Dokąd pan idzie? – zapytał.

– Na krótki spacer, bo dzisiaj bardzo zimno. A pan?

– Chodźmy na kąpielisko. To w pobliżu. Pieski chwilę się pobawią i rozgrzeją, a my sobie pogadamy.

– Bo ja wiem? – zamruczałem, spoglądając na zegarek. – Nooo… dobrze, chodźmy.

Poczułem, że serce lekko mi przyspieszyło. Lubiłem ten moment. Razumow zrobił pierwszy krok w dobrą stronę i przejął inicjatywę. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem, ale za chwilę miało się okazać, czy robi to tylko dla swojego ukochanego Morsa, czy zorientował się, że złapał ciekawy i bezpieczny kontakt.

– Co się dzieje w Rosji? – zapytałem i ruszyliśmy w stronę kąpieliska. – Gorbaczow to mądry polityk, że zgodził się na zjednoczenie Niemiec i wolne wybory w Europie Wschodniej.

– To się jeszcze okaże, panie Dirku. Myślę, że dużo może się jeszcze zdarzyć, ale zostawmy to. – Wyraźnie chciał zmienić temat.

Radzieccy dyplomaci, wojskowi, a nawet zwykli turyści w kontakcie z obcokrajowcami zachowywali dystans, wyraźną powściągliwość w wyrażaniu opinii, obawiając się prowokacji służb, a najbardziej swoich własnych, chociaż wiedzieli, że to absurdalne. Instynkt. Taka była jedna z bardziej widocznych cech homo sovieticusa, czyli homososa opisanego przez Aleksandra Aleksandrowicza Zinowjewa, który wyrósł na żyznej glebie rosyjskiego autorytaryzmu. Tak byli wychowywani, a właściwie tacy się już rodzili. Natomiast funkcjonariusze radzieckich służb zachowywali się dokładnie odwrotnie, lgnęli do ludzi i chętnie nawiązywali kontakty. I tak było zawsze. Przypomniała mi się postać z *Tajnego agenta* Conrada – „Pan Vladimir, pierwszy sekretarz, cieszył się w salonach opinią człowieka sympatycznego i zabawnego. Był kimś w rodzaju ulubieńca śmietanki towarzyskiej” [1].

Ku mojemu zaskoczeniu Razumow nie wpisał się w ten schemat. Nie mogłem uwierzyć, żeby człowiek, który ma mocną psychikę ukształtowaną do życia w morskich głębinach, gdzie jest Panem Bogiem, Neptunem i sekretarzem generalnym w jednym, po zejściu na ląd stawał się zwykłym homososem. Wydawało się, że Gorbaczow rozwibrował harmonijny w swoim absurdzie świat Związku Radzieckiego i najbardziej niezależne jednostki zaczynały myśleć samodzielnie i po omacku szukać dla siebie miejsca. W tamtych latach tak właśnie mówił Zinowjew, któremu Gorbaczow zwrócił radzieckie obywatelstwo. Dopiero później, ku mojemu zaskoczeniu, okazało się, że Zinowjew też jest homososem, do czego z dumą przyznał się publicznie, jakby chciał potwierdzić słuszność swojej teorii.

Miałem wówczas nadzieję, że kapitan zrobił jednak krok w moją stronę.

– Może ma pan rację. Nic nie jest dane raz na zawsze, a w polityce szczególnie. Sytuacja jest co najmniej dynamiczna – odparłem neutralnie. – Polubiły się – dodałem, patrząc na harcujące wokół nas psy.

– Wie pan, panie Dirku, Związek Radziecki nie prowadzi polityki, tylko strategię.

– Nie rozumiem.

– Nasza potęga opiera się nie na polityce międzynarodowej, tylko potędze naszej armii i naszych służb.

– No tak… może tak – rzuciłem obojętnie, ale stwierdzenie kapitana bardzo mnie zaskoczyło i przy odrobinie złej woli mogło zabrzmieć jak mała prowokacja. Zaskoczyło też pozytywnie, bo mogło oznaczać, że Razumow na coś liczy, ocenił nasz kontakt jako wartościowy i chce mnie sprawdzić.

Po kilku minutach dotarliśmy na kąpielisko. Była pogodna, mroźna księżycowa noc. Byliśmy sami w ciemnym otoczeniu tylko z rzadka przetykanym latarniami. Weszliśmy na betonowy pomost. Razumow zatrzymał się i przysiadł na murku. Usiadłem obok niego i przez chwilę obserwowaliśmy harcujące na lodzie psy.

Kapitan sięgnął pod kurtkę. Wyjął dużą stalową piersiówkę, która błysnęła w księżycowym świetle.

– Ormiański koniak – rzucił Razumow, podsuwając mi piersiówkę. – Nie ma lepszego na świecie, żaden tam francuski. Prawdziwy marynarski – uśmiechnął się i zachęcająco kiwnął głową.

– Chyba nigdy nie piłem. Ormiański?

– Tak. – Przysunął bliżej piersiówkę, którą od niego wziąłem. – Trochę ciepły… ale…

– Koniak powinien być ciepły – powiedziałem, ale Razumow pokręcił głową.

– Marynarze piją mrożony.

– Okej – odparłem i wyczułem coś pod palcami.

Obróciłem piersiówkę do księżycowego światła i ujrzałem duży wypukły klejnot. Obróciłem ją nieco i zobaczyłem, jak w nocnych seledynowych promieniach połyskuje duża czterocentymetrowa czerwona gwiazda, a na niej błyszczy złoty wieniec zwieńczony na górze sierpem i młotem. W środku kontur okrętu podwodnego otoczonego promieniami i małymi diamentami ułożonymi w litery C i Ф. Северный флот.

– Przepiękne! – rzuciłem z autentycznym wzruszeniem, bo klejnot w świetle księżyca robił niesamowite wrażenie. Ściągnąłem rękawiczkę. – To rubiny… złoto, diamenty? – zapytałem, wodząc palcem po wypukłościach. – Zakładam, że zawartość piersiówki jest równie szlachetna. Zatem nie odmówię…

Razumow uśmiechnął się, pokazując ładne białe zęby.

– Tak, rubiny, złoto i diamenty. Lekka stal, kosmiczna technologia i koniak ormiański. Wszystko z radzieckiej ziemi i nauki. Najlepsze na

świecie – odpowiedział z wyraźnym zadowoleniem. Zabrzmiał szczerze, nawet dumnie, z wyraźną sympatyczną megalomańską nutką. Właśnie dowiedziałem się czegoś nowego o człowieku, kapitanie pierwszej rangi Wadimie Grigoriewiczu Razumowie.

Odkręciłem piersiówkę i powąchałem. Był ostry mróz, a mimo to poczułem szlachetny zapach koniaku. Wiedziałem, że to wyjątkowo dobry alkohol, ale udawałem, że piję go po raz pierwszy. Pociągnąłem mały łyk.

– Świetny, ale ten klejnot jeszcze piękniejszy. – Spojrzałem kolejny raz na piersiówkę i dotknąłem rubinowej gwiazdy. – Musi być cenny. To jakaś pamiątka?

– Tak, dostałem od współpracowników, kiedy odchodziłem… a raczej wyjeżdżałem do Finlandii – wyjaśnił kapitan, wziął ode mnie piersiówkę, spojrzał na klejnot z wyraźnym uczuciem i wypił solidną porcję.

– A na jakim statku pan pływał? – zapytałem.

– Okręcie – poprawił. – Na różnych… ale ostatnio pracowałem w akademii w Leningradzie. – Spojrzał na mnie i dodał, jakby chciał mnie o czymś specjalnie poinformować: – Po powrocie odchodzę już ze służby. Stąd ten prezent. – Wyciągnął piersiówkę w moją stronę. – No to na drugą nogę.

– No nie wiem… mam jeszcze coś do zrobienia.

– Niech pan da spokój, panie Dirku. Jest piątek. Co pan może mieć dzisiaj jeszcze do zrobienia. – Kapitan puścił do mnie oko, trzymając piersiówkę w wyciągniętej ręce.

– No dobrze, panie kapitanie. – Wziąłem piersiówkę. – Smakuje na tym mrozie wyśmienicie. A jak trzyma się jeszcze w dłoni taki klejnot – uśmiechnąłem się do Razumowa, a on położył mi rękę na ramieniu.

– Lubię Holendrów – odparł. – To od was nauczyliśmy się budować okręty. Piotr Wielki sprowadził z Holandii kilkuset budowniczych i sam też uczył się w waszych stoczniach. Bardzo dobrze go przyjęto w waszym kraju. Pamiętamy o tym i uczymy o tym naszych studentów, przyszłych marynarzy. A poza tym pierwsi pokazaliście, jak zbudować supermocarstwo, zanim wpadli na to Anglicy. Wasza Kompania Wschodnioindyjska była takim pierwszym prawdziwym globalnym i nowoczesnym supermocarstwem. Czyli Holendrzy wydatnie przyczynili się do powstania ZSRR, można powiedzieć, że pokazaliście nam kierunek. – Razumow uśmiechnął się i przejął ode mnie piersiówkę, upił łyk, ale jej nie zakręcił.

Obserwowaliśmy Morsa i Vicky, które wyraźnie opadły już z sił.

Kapitan był otwarty, kontaktowy, nawet sympatyczny, ale ostrożny. Nie powiedział, że był dowódcą atomowego okrętu podwodnego. Wiedział, że to wrażliwy punkt, ale najwyraźniej czuł się bezpiecznie. Zakładałem, że będzie bardziej zdystansowany, nerwowy, ale zachowywał się, jakby rozmowa sprawiała mu przyjemność. Nie mogłem wykluczyć, że swój udział w tym miał ormiański koniak.

Bardzo dobrze znam Rosjan. Spotykałem się z dziennikarzami, politykami, naukowcami, jednak nigdy nie spotkałem dowódcy okrętu podwodnego i nie byłem pewien, czy moje doświadczenie w tym wypadku może mieć jakieś znaczenie. Dawałem sobie radę z różnymi odmianami Raskolnikowa czy Mariesjewa, ale Razumow, chociaż był Rosjaninem, nie miał nic wspólnego z żadnym rosyjskim ani radzieckim wzorcem. Olivier nawet twierdził, że podwodniacy to odrębny rodzaj ludzkiej istoty. Wydawało mi się to naiwne, ale teraz nie byłem już taki pewien. Kapitan coraz wyraźniej wymykał się ze stereotypu, który mu przypisaliśmy.

Byłem przez chwilę zdezorientowany. Minęło dwadzieścia pięć minut. Spacer z psami wyczerpał już swoją formułę i musiałem szybko podjąć decyzję, co dalej. Wyczuwałem, że Razumow ma ochotę na kontynuację spotkania. Był naturalny i rodziła się między nami delikatna nić sympatii. Nawet nie musiałem się wysilać, żeby podtrzymywać rozmowę. Nasza relacja rozwijała się szybciej, niż przypuszczałem, ale nie mogłem sobie pozwolić na błąd i spłoszyć kapitana.

Miałem dwie możliwości, zaryzykować, podjąć inicjatywę i pociągnąć spotkanie, tym samym zyskać na czasie, lub zachować dystans i tylko utrwalić kontakt. Obie opcje miały plusy i minusy, a brakowało czasu na analizę. Postanowiłem iść za głosem intuicji.

Siedzieliśmy obok siebie na kamiennym murku. Kapitan wciąż trzymał piersiówkę w dłoni. Dał już znak, że zamierza wykorzystać piątkowy wieczór, wiedziałem, że żona Nadieżda wyjechała, więc czekałem na jego ruch.

– Cóż… – zacząłem. – Chyba trzeba już wracać. Pieski mają dość i mróz się wzmaga. – Podniosłem się i zawołałem Vicky. – Idziemy?

Razumow siedział wpatrzony w noc i wyglądał na zamyślonego. Nawet nie dotknął Morsa, który zziębnięty tulił mu się do nóg. Odpłynął – pomyślałem.

– Idziemy? – powtórzyłem.

– Co? Co? – Razumow ocknął się i poderwał na równe nogi. – Tak, tak, piesku, chodźmy do domu. Zmarzłeś, biedaku? – powiedział po rosyjsku,

poczochrał Morsa, zakręcił piersiówkę i wsunął pod kurtkę. – Miałem dzisiaj ciężki dzień – rzucił usprawiedliwienie, zapiął psu smycz i ja zrobiłem to samo. – Praca w ambasadzie bywa bardzo obciążająca, jeżeli można tak powiedzieć. Szczególnie radzieckiej i w Helsinkach.

– Dużo jest tutaj waszych dyplomatów? – zapytałem i ruszyliśmy w stronę domu.

– Dyplomatów? – odpowiedział pytaniem. – Bardzo mało – dodał, puszczając do mnie oko. – Jest dopiero dziewiąta. – Spojrzał na zegarek. – Śpieszy się panu gdzieś, panie Dirku?

11

Była ósma trzydzieści, w Helsinkach minus dziesięć stopni i suchy rosyjski wyż. Prognozy pogody wszystkich stacji zapowiadały nad Zatoką Fińską piękny dzień. Wprawdzie tylko przez trzy godziny, ale i to się liczyło. Lubił taką pogodę.

Niebo miało być niebieskie, jakby wysycone ultramaryną, a słońce jak rozpalona pomarańcza – stwierdziła poetycko spikerka z rosyjskiego Radia Tallinn.

Wieczorem wypalił kilka papierosów i zasnął na kanapie przed telewizorem. Rozsunął ciężkie story i otworzył okno, żeby wywietrzyć pokój. Wyjrzał na zewnątrz. Była jeszcze noc.

Witalij Batulis miał trzydzieści pięć lat, był kawalerem i mieszkał na szóstym piętrze w bloku B na terenie ambasady ZSRR przy Tehtaankatu 1b.

Zaczynał się jego drugi najważniejszy dzień od przyjazdu do Finlandii. O dwudziestej pierwszej trzydzieści miał umówione drugie spotkanie z „Kolą” w miejscu „34”, czyli w parku przy pomniku Sibeliusa. Prowadził tylko tę jedną sprawę. Tym razem to „Kola” wywołał spotkanie, więc Batulis był bardziej podenerwowany niż wcześniej.

Witalij Batulis należał do ulubieńców rezydenta pułkownika Grigorija Aleksiejewicza Portnoya. Był synem litewskiego pułkownika GRU i Polki, więc gdy byli sami, czasami zwracał się do niego „Jaśniepanie”.

Pod skrzydłami księcia KGB Batulis robił szybką karierę. Portnoy znał go jeszcze ze Sztokholmu i potrafił docenić jego wyjątkową inteligencję. Podobało mu się, że był lojalny i nigdy nie schlebiał przełożonym. Mówił prawdę, ale miał swoje zdanie, którego potrafił bronić. Nie należał do żadnej grupy towarzyskiej i uważany był przez innych oficerów rezydentury za dobrze ustawionego lizusa bez talentu. Portnoy podtrzymywał takie opinie, bo skrywały jego prawdziwe zadania.

Batulis był zdolnym wywiadowcą, nie nadużywał alkoholu, miał duszę sportowca i kochał koszykówkę. Portnoy lubił sportowców, ale nie koszykarzy. Denerwowało go, że Litwin jest wyższy od niego o głowę i przy-

ciąga uwagę wszystkich pań w ambasadzie, więc w odwecie nazywał go Jaśniepanem.

Portnoy ściągnął Batulisa prosto z Pekinu i mianował „specjalnym operatorem KW". Przydzielony był do pionu handlowego ambasady, który uważany był za trzeciorzędne przykrycie dla ambitnych oficerów, więc koledzy traktowali go z pobłażaniem.

Jego jedynym zadaniem była obsługa „Koli" i nic nie mogło zakłócić wykonania tego zadania. Dlatego czasami dostawał proste zlecenia, które miały tylko pozorować działania operacyjne, usypiać fiński kontrwywiad i dezorientować wrogą agenturę w rezydenturze i ambasadzie.

„Kola" nazywał się Paavo Haukka i był naczelnikiem w gabinecie szefa fińskiego SUPO, Torstena Koivista, a konkretnie jego sekretarzem. Na nim opierało się bezpieczeństwo całej rezydentury KGB w Finlandii. Dlatego wywołanie pilnego spotkania zelektryzowało Portnoya. Zaniepokoił się, bo nie zauważył nic, co mogło wzbudzać jego podejrzenia. Tym bardziej że „Kola" był zdyscyplinowany i wiedział doskonale, że spotkanie nadzwyczajne może wywołać tylko w sytuacji niecierpiącej zwłoki lub poważnego zagrożenia bezpieczeństwa. Najgorsze było, że tym razem nie dało się wykorzystać lokalu konspiracyjnego Omsk przygotowanego na taką sytuację i do spotkania miało dojść w miejscu „34".

Podpułkownik KGB Paavo Haukka, pseudonim „Kola", miał pięćdziesiąt pięć lat i był radzieckim nielegałem w drugim pokoleniu, ale Batulis o tym nie wiedział. Prawdziwą tożsamość Paava znał tylko Portnoy. Ojciec „Koli", pułkownik Jukka Haukka, był przed wojną nielegałem NKWD w Sztabie Generalnym Armii Fińskiej. Paavo też miał syna, Lauriego, który robił błyskotliwą karierę polityczną w młodzieżówce partii socjaldemokratycznej, ale nie był jeszcze ani uświadomiony, ani ukadrowiony.

Rodzina Haukków cieszyła się najwyższym szacunkiem w kierownictwie KGB, a pracę Jukki doceniał sam Stalin, który nielegała znał osobiście. Dlatego Portnoy, chociaż był chłodnym i opanowanym szpiegiem, tym razem zaniepokoił się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

To nie była dobra noc. Tym razem Grigorij Aleksiejewicz wypił trochę za dużo.

Wszyscy oficerowie rezydentury mieli ruszyć w miasto między ósmą trzydzieści a dziewiątą trzydzieści i ściągnąć na siebie siły obserwacji, by przykryć Batulisa i ułatwić mu wykonanie zadania. Dwóch oficerów miało zagrać zająca. Ustalili z Portnoyem, że zrealizuje trasę sprawdzeniową do

Tampere, czyli pojedzie swoim samochodem sto osiemdziesiąt kilometrów na północ. Dwaj inni oficerowie zrobią podobne trasy do Turku na zachodzie i Kotki na wschodzie, by rozciągnąć obserwację tak szeroko, jak to możliwe. Pozostali działać mieli w Helsinkach. Schemat był starannie dopracowany, ale rzadko wykorzystywany. Czasami tylko po to, żeby SUPO miało zamazany obraz aktywności rezydentury. Mimo to Portnoy poczuł zaniepokojenie, bo system bezpieczeństwa opierał się tylko na „Koli". Od dawna wiedział, że to stanowczo za mało, ale wciąż był zajęty czymś innym.

W rezydenturze i ambasadzie czuć było rozprężenie, podobne sygnały dochodziły ze wszystkich radzieckich placówek na świecie, więc Portnoy musiał wkładać coraz więcej wysiłku w wewnętrzną kontrolę i zaostrzenie dyscypliny. Pierestrojka i głasnost jak wirus rozkładały morale kadry. Zachodnie służby o tym wiedziały i Portnoy coraz wyraźniej czuł ich oddech na plecach. Zaczęły łowy. Nigdy takiej okazji bym nie przepuścił – powtarzał czasami Portnoy, jak ostrzeżenie.

Ale to były Helsinki, najprężniejsza rezydentura KGB, i to on nią kierował. Nie mógł sobie pozwolić na oblężenie, na żadnego konia trojańskiego. Związek Radziecki to czas i przestrzeń niezależnie od tego, jak się aktualnie nazywa.

Duma nie pozwalała mu na żadną porażkę. Dwoił się i troił, by cała obsada rezydentury nie poddawała się demoralizacji, pracowała wydajnie, prowadząc przy tym cichą wojnę na wyczerpanie z rezydentem GRU, który wykazywał wszystkie cechy idioty.

Poprzedniego wieczoru rozdzielił zadania wszystkim oficerom i zagroził najsurowszymi konsekwencjami za jakiekolwiek oznaki lenistwa. Wszyscy musieli dać z siebie wszystko, zaapelował do ich ambicji i patriotyzmu. Całą nadzieję pokładał jednak w Batulisie. Jaśniepan nie mógł popełnić błędu. Tego dnia wszyscy pracowali na niego, chociaż o tym nie wiedzieli. Oficerowie ruszali w miasto, ale tylko Portnoy wiedział, który wykona zadanie. Pięciu miało zdenerwować Finów i wyjść spod obserwacji.

Witalij Batulis w drodze do Tampere też miał wyjść spod obserwacji i przed spotkaniem z „Kolą" ukryć się na dwie godziny. Musiał być czysty w stu procentach. Wszyscy wracali do ambasady o osiemnastej, tak żeby „Kola" miał czas przygotować się do spotkania.

Punktualnie o ósmej trzydzieści pięć Batulis stanął przed lustrem ubrany do wyjścia. Spojrzał na siebie i od razu przerzucił wzrok na plakat, który

wisiał obok. Spoglądał z niego młody mężczyzna o zaczesanej do góry blond czuprynie i delikatnym uśmiechu na twarzy o mocnej szczęce. Ubrany w sportowy strój z piłką do koszykówki pod ramieniem i napisem CCCP na czerwonej koszulce. Naprzeciwko Batulisa stał Modestas Paulauskas, jego najwyższy autorytet i wzór. Największym marzeniem Batulisa było stanąć któregoś dnia na parkiecie obok Paulauskasa i wysłuchać hymnu Związku Radzieckiego. Mimo wielu lat ciężkiego treningu nie udało mu się wejść do nawet drugiej drużyny juniorów Žalgirisu Kowno, aż w końcu złamana ręka zakończyła okres marzeń.

Zdolności Batulisa dostrzegło jednak KGB i dostał się do wywiadu. Gorąca miłość do koszykówki została jednak i ten plakat z Paulauskasem jeździł z nim po całym świecie. Wieszał go obok lustra i zawsze go oglądał przed wyjściem.

Zszedł na dół i wsiadł do swojego granatowego volkswagena passata. Dyżurny otworzył tylną bramę, która wychodziła na Vuorimiehenkatu, i skręcił w lewo. SUPO miało dobre możliwości obserwacji wyjeżdżających z budynku samochodów, bo po drugiej stronie ulica była wąska i jednokierunkowa. Batulis doskonale o tym wiedział.

Do pierwszego skrzyżowania miał sto pięćdziesiąt metrów i obserwacja tyle czasu miała na założenie ogona. Jechał powoli, żeby dać im czas, i nim dotarł do Kasarmikatu, z szeregu zaparkowanych samochodów wysunęło się zielone audi 80 z zaciemnionymi szybami.

Są – pomyślał zadowolony, że nie musi robić trasy sprawdzeniowej.

Skręcił w lewo w Kasarmikatu i po chwili znów w lewo w Tehtaankatu. Objechał kwartał, w którym znajdowała się ambasada ZSRR, i po torowisku tramwajowym skierował się w stronę nabrzeża. Ruch był niewielki, jechał powoli, a audi podążało w bezpiecznej odległości za nim. Po chwili dotarł do ronda. Spojrzał w lewo i zobaczył, że do terminalu Olimpia dobija właśnie białe cielsko promu Symphony. Jechał wzdłuż nabrzeża, minął po lewej pomnik przyjaźni radziecko-fińskiej, a po prawej ambasadę USA. Zawsze uważał, że pomnik stoi w idealnym miejscu, bo przypomina Amerykanom wyglądającym przez okna, kto rządzi w Finlandii.

– Teraz trochę zdenerwujemy chłopców – powiedział cicho Batulis, spoglądając w lusterko, i zatrzymał się w niedozwolonym miejscu przy nabrzeżu. Audi również się zatrzymało trzydzieści metrów z tyłu. Wyobrażam sobie, co się teraz u nich dzieje – pomyślał i trochę mu się zrobiło żal

Finów, nigdy nie postrzegał ich jako przeciwników, a nawet więcej – lubił ich. Czuł do nich trudną do określenia genetyczną sympatię.

12

Mój dom na Vanha kelkkamäki był pierwszy. Ostatnie dwieście metrów szliśmy w milczeniu, tylko śnieg skrzypiał pod stopami. Trzymał Morsa krótko i co chwila podciągał go do nogi. Kapitan wyraźnie się zamyślił. To był drobny dobry znak. Pomyślałem, że może jednak warto wykorzystać sytuację i zaprosić go do siebie. W końcu piliśmy koniak z jednej piersiówki, czyli tak jakbyśmy się zbratali.

Nietrudno było zrozumieć, że człowiek, który spędza miesiące pod wodą, w zamkniętym małym kręgu, potrzebuje kontaktu z innym człowiekiem. Po co, kiedy istotą jego istnienia jest samotność?

Doszliśmy do mojego domu i stanęliśmy pod latarnią.

– Dziękuję za spacer – rzuciłem, wyciągając rękę. – No i… ormiański koniak. Czuję jego wyraźnie pozytywne skutki.

– Rozjaśnia umysł – odparł kapitan. – To koniak radzieckich marynarzy i szpiegów. Czyli ważny filar potęgi Związku Radzieckiego.

– Marynarzy… to rozumiem, ale dlaczego szpiegów? – zapytałem. – Myślałem, że radzieccy szpiedzy piją wódkę.

– To mit.

– Mam dobrą whisky – rzuciłem. – Jeśli pan kapitan reflektuje…

– Dlaczego nie – powiedział natychmiast. – Właściwie to chciałem z panem porozmawiać. Mam sprawę. – Zawahał się przez chwilę, rozejrzał. – Wie pan, pójdę jeszcze do siebie, zostawię Morsa, dam mu michę i przyjdę za pół godziny. Dobrze?

– Oczywiście – rzekłem bez specjalnego entuzjazmu.

– W takim razie… – Kapitan podniósł dłoń, jakby chciał zasalutować. – Będę za pół godziny.

Kiedy Razumow znikł za rogiem, dałem znak Rayowi, który siedział w samochodzie, by podjechał.

– Za chwilę kapitan do mnie przyjdzie – powiedziałem, kiedy opuścił okno. – Zassało wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Wyraźnie czegoś ode

mnie chce, a na pewno chce się napić, pewnie potrzebuje towarzystwa. Zobaczymy. Bądź w pobliżu.

– Kurczę, zimno, Martin – odparł Ray. – Nie mogę ciągle stać z włączonym silnikiem. Już mi jacyś ludzie zwracali uwagę. Nerwowi ci Finowie.

– Dobra, dobra… nie marudź. Bywało gorzej.

– Też bym się napił, jeżeli tak zassało, jak mówisz.

– Wytrzymasz.

– Wytrzymam – rzucił przez zęby, zamknął okno i odjechał.

Niemal wbiegłem na pierwsze piętro. Najpierw poszedłem uruchomić kombajn, czyli kamerę wideo i mikrofony. Milimetrowy obiektyw ukryty był w ścianie, a cztery mikrofony pokrywały salon i przedpokój. Stacja rejestrująca zamknięta była w sypialnianej szafie. Wszystko zamontowali specjaliści Moilanena.

Wysypałem do misy żelki, a na dwa talerzyki orzeszki ziemne. Lód miałem w zamrażalniku. Sprawdziłem lodówkę, w razie czego mogłem przygotować coś do zjedzenia. Włączyłem radio i zapaliłem boczne oświetlenie. Zrobiło się ciepło, miło i nastrojowo. Przebrałem się w dżinsy i T-shirt. Wsypałem karmę dla Vicky i wymieniłem jej wodę.

Gdy zadzwonił domofon, byłem gotowy. Spojrzałem na zegar. Kapitan przyszedł dziesięć minut przed czasem.

Po chwili stanął w drzwiach. W ręku trzymał wypełnioną plastikową reklamówkę z naszego osiedlowego sklepu. Wydawał mi się wyższy. Przypomniałem sobie, że jestem tylko w skarpetkach.

Pierwszy raz widziałem go w zwykłym świetle. Patrzył wprost, jakby stał na czele pułków przed bitwą. Miałem wrażenie, jakbym zobaczył Andrieja Bołkońskiego. To było niezwykłe, przeszywające mgnienie. Przez moment pomyślałem nawet, że ten werbunek jest dla mnie poniżający, jakbym musiał zastrzelić jednorożca. Razumow był pięknym człowiekiem, a ja miałem namówić go do zdrady, wykorzystać jego słabości, zmanipulować i jeśli przyjdzie takie polecenie, porzucić. I wiedziałem, że to zrobię, jak już nie raz wcześniej.

Odsunąłem się na bok. Kapitan bez słowa wszedł do środka. Zdjął kurtkę i czapkę i powiesił na wieszaku. Był w niebieskim dresie adidasa. Zauważył, że jestem w skarpetkach, więc zsunął buty. Stanął na środku salonu, rozejrzał się, zatrzymując wzrok na kanapie, gdzie zwinięta w kłębek spała Vicky. Uśmiechnął się na ten widok. Zaczął delikatnie wyjmować z reklamówki szkło.

– To jest rosyjska wódka, moskowskaja, nie żadna perfumowana whisky, tylko prawdziwa moskowskaja, zawod kristał. Dla prawdziwych mężczyzn, panie Dirku – oświadczył kapitan, wręczając mi litrową butelkę z zieloną etykietą. – A to – postawił na stole słoik z ogórkami – ogórki kiszone mojej Nadii i – wyjął drugi słoik – czosnek marynowany, też mojej Nadinki. Czyli żelazny zestaw ratunkowy każdego radzieckiego marynarza.

– Panie kapitanie – spojrzałem na butelkę – czy sądzi pan, że my…

– Oczywiście! – Usiadł na kanapie. – Wygląda pan na silnego mężczyznę – uśmiechnął się, rozejrzał po pomieszczeniu i rozkazującym tonem rzucił: – Panie Dirku, niech pan da jakieś szklaneczki.

Poszedłem do kuchni i znalazłem dwie nieduże szklaneczki. Czosnek i ogórki wyłożyłem na talerzyk. Starałem się sprawiać wrażenie zaskoczonego, kogoś, kto nigdy nie jadł rosyjskich specjałów. Wziąłem też butelkę wody mineralnej i sok jabłkowy.

Razumow rozparł się na kanapie obok śpiącej Vicky i położył ręce na oparciu.

– Przyjemne mieszkanko, eleganckie – rzucił. – Pana własne?

– Nie, wynajmuję.

– A gdzie pan mieszka na stałe? W Holandii czy w Południowej Afryce?

– Większość czasu spędzam w Amsterdamie, ale mam też dom w pobliżu Kapsztadu.

– A obywatelstwo jakie pan ma? – dopytywał się kapitan.

– Oba – odparłem, stawiając nakrycie na stole.

– Aha… – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – I zajmuje się pan importem drewna. – Odkręcił butelkę i sprawnym ruchem nalał po pół szklaneczki wódki.

– Zgadza się. Drewna.

– No to, panie Dirku. – Uniósł szklaneczkę. – *Na zdorowie*… – powiedział – i proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu, tak jak Mors i Vicky.

– W takim razie – też uniosłem szklaneczkę – *na zdorowie*! – powtórzyłem po rosyjsku, lekko zniekształcając wymowę. – I mów mi Dirk.

– Wadim – rzekł Razumow i wypiliśmy wódkę. Popiłem sokiem, a kapitan przegryzł ogórkiem. Podaliśmy sobie ręce.

– Wiesz, Dirk, że u nas jest częściowa prohibicja. Wprawdzie nie tak drastyczna jak tutaj, że tylko w sklepach Alko kupisz mocny alkohol, a nawet piwo, ale jej skutki mogą być dla Rosji katastrofalne w sferze politycznej i społecznej. Wiedziałeś o tym?

– Nie, nie wiedziałem – odparłem, chociaż słyszałem o nowym prawie Gorbaczowa.

– To akurat popieram. Uważam, że alkoholizm zabije Związek Radziecki. Czasami sam już nie wiem, czy Rosja jest tak potężna, bo ludzie piją, może byłaby mniej potężna, gdyby nie pili. Wbrew temu… – spojrzał na butelkę – nie piję i nie pozwalałem pić na okręcie, chociaż nawet załogi bombowców strategicznych piją podczas lotu. Wiesz, co to Tu-95 albo Biały Łabędź?

– Nie. Samoloty?

– Tak, nawet z bronią atomową. – Kapitan wyprostował się i rozsunął zamek dresu, ukazując fragment dobrze zbudowanej, owłosionej piersi. – Wkrótce w Finlandii Boże Narodzenie i wszystko będzie zamknięte, ale my obchodzimy Nowy Rok. To nasze najważniejsze święto w roku, niepolityczne, bo nawet ósmy marca jest polityczny, jak się dobrze zastanowić, nie mówiąc o pierwszym maja czy siódmym listopada.

– To nie obchodzicie Bożego Narodzenia? – zapytałem zdziwiony.

– U nas, w prawosławiu, Boże Narodzenie jest siódmego stycznia, ale nie ma tradycji, chociaż teraz, wiesz, coraz częściej ludzie… Wiesz, głasnost, pierestrojka… Nadia już pojechała do Leningradu i ja też jadę w poniedziałek, na urlop i spędzić czas z synami. Latem wracam już do Związku, kończę swoją misję w Finlandii i przechodzę do rezerwy. Zdrowie nie dopisuje.

Zaskoczył mnie, aż poczułem na plecach lekki dreszcz. Nie wiedzieliśmy, że kapitan wyjeżdża na urlop do kraju, chociaż powinniśmy to przewidzieć. To całkowicie zmieniało naszą strategię, nasz plan nagle się skurczył, o ile w ogóle miał teraz sens. Musiałem się zastanowić, co dalej, jaki powinien być mój następny krok, co zrobić, żeby znaleźć punkt zaczepienia. Pomyślałem, że dopisało nam szczęście, że kapitan chciał się spotkać.

Wydawało mi się, że powinienem teraz zagrać ostrzej, a przynajmniej szybciej sprawdzić jego intencje. Miałem wyraźne przeczucie, że Razumow nie był zainteresowany tylko moim towarzystwem jako kompana do picia w piątek wieczorem, ale chciał czegoś więcej. Nie mogłem wypuścić go na miesiąc bez zasiania wątpliwości, a może nadziei. Będzie świętował Nowy Rok z rodziną, znajdzie czas na refleksję i pomyślenie, co robić dalej w życiu. Okazało się nagle, że ja mam bardzo mało czasu.

– Ilu masz synów? – zapytałem.

Razumow podniósł się ostrożnie, żeby nie obudzić Vicky, wyszedł do przedpokoju i po chwili wrócił z portfelem w dłoni. Otworzył go i podsunął mi przed oczy. Zobaczyłem dwie kolorowe fotografie uśmiechniętych podobnych młodych mężczyzn o gęstych blond czuprynach.

– To młodszy… Saszka. – Wskazał palcem. – Student pierwszego roku Akademii Marynarki Wojennej, chce iść w moje ślady. A ten to Maksimka, student ostatniego roku ekonomii na Uniwersytecie Leningradzkim. – Usiadł z powrotem na kanapie, a Vicky na chwilę uniosła głowę; Razumow ją pogłaskał. – A ty masz dzieci, Dirk? – zapytał i pomyślałem, że kapitan właśnie wskazał mi azymut.

Siedział przede mną miły człowiek, spokojny, wyraźnie rodzinny, który cały czas z uczuciem czochrał śpiącego psa. Nie miał w sobie nic z Conradowskiej epiki. Wyglądał raczej na zwykłego mieszczucha niż boga północnego oceanu, lodów i głębin. Przez chwilę nie mogłem w to uwierzyć.

– Nie… nie mam. Jestem rozwiedziony – odparłem i wpadłem na pomysł, że puszczę kasetę z muzyką dobrze pasującą do nastroju. – W takim razie posłuchajmy tego… – Po chwili w pomieszczeniu rozległy się pierwsze takty. Razumow od razu uśmiechnął się i natychmiast uzupełnił szklaneczki wódką.

– *Drugi walc* Szostakowicza. – Pokiwał głową z zadumą. – Tańczyłem to z Nadią na balu promocyjnym w Akademii… upalny sierpień pięćdziesiątego pierwszego w gmachu admiralicji. Uderzaliśmy w konkury do Nadii z Wołodią, moim przyjacielem. – Zamknął na moment oczy. – Wybrała mnie. Przez lata nie mógł mi tego darować. Ech, ten Wołodia… razem szliśmy do szkoły nachimowców, razem mieszkaliśmy, razem studiowaliśmy w Akademii, a poróżniła nas kobieta, Nadia. Zawsze był najlepszy, zdobywał wszystko, co chciał, prymus, największy talent w całej radzieckiej Flocie Północnej. – Wyczułem w jego głosie rozczarowanie, szybko uniósł szklaneczkę, jakby chciał zmienić temat. – No to za stary rok i na zdrowie!

– Na zdrowie – powtórzyłem.

Przyjaciel Wołodia ze szkoły kadetów i Akademii? Od razu pomyślałem, że to nie mógł być nikt inny jak kapitan Władimir Michajłowicz Golicyn. Razumow zrobił wielki krok w moją stronę. Mógł to być przypadek, ale mogła być też pułapka. Jeżeli Razumow został nam podstawiony przez Portnoya, to historia miłości dwóch marynarzy do Nadii była z pewnością ustawiona.

Zaczęliby bardzo, bardzo inteligentnie, bo skąd Razumow mógł wiedzieć, że puszczę *Drugi walc* Szostakowicza? – pomyślałem z niedowierzaniem.

Uznałem, że powinienem wykorzystać sytuację, nawet jeżeli byłaby to prowokacja.

Razumow wyjeżdżał na miesiąc, więc musiałem przynajmniej spróbować ustalić, czy to jest prowokacja Portnoya, czy inicjatywa samego kapitana. Znaleźć chociaż jakiś ślad. Miałem podjąć decyzję, jak daleko mogę się posunąć.

13

Zatrzymał się na stacji benzynowej w pobliżu Riihimäki, pięćdziesiąt kilometrów za Helsinkami. Audi Finów najpierw stanęło na podjeździe, a po chwili zawróciło z piskiem opon i popędziło z powrotem do miasta.

Chcieli mnie o czymś poinformować? – pomyślał z lekkim rozbawieniem Batulis. Wygląda na to, że obserwacja ściąga siły do miasta. Dobrze, bardzo dobrze. Wyjście całej rezydentury musiało spowodować potężne zamieszanie. Czyli wiedzą, że dzieje się coś nadzwyczajnego, ale nie wiedzą gdzie. Muszą dobrze gospodarować siłami, bo rezydentura nie jest mała. Najlepiej będzie, jak zostawię samochód i wrócę do Helsinek autobusem. Trzeba działać kreatywnie.

Batulis postanowił nie jechać do Tampere, bo tam mogła podjąć go lokalna obserwacja, ale chciał też sobie ułatwić zadanie. Uznał, że w takich okolicznościach może wykorzystać sytuację i ukryć się gdzieś w Helsinkach, tym bardziej że miał samochód na numerach dyplomatycznych, które za bardzo rzucały się w oczy.

Przejechał samochodem na parking po drugiej stronie stacji i ustawił swojego passata za ciężarówką. Dowiedział się, że autobus odchodzi za piętnaście minut z przystanku po drugiej stronie szosy.

O czternastej był już w Helsinkach. Nie czekał, aż autobus dojedzie do dworca, tylko wysiadł na obrzeżach aglomeracji miejskiej w Kivimäki. Naciągnął czapkę na czoło, postawił kołnierz i założył ciemne okulary. Przejrzał się w wystawie sklepowej. Był nie do rozpoznania.

Miał osiem godzin do spotkania z „Kolą” i musiał jakoś zagospodarować ten czas. Słońce wisiało już nad horyzontem i za pół godziny miało zniknąć. Było minus dziesięć stopni, więc robienie trasy sprawdzeniowej na dworze byłoby przejawem masochizmu. W końcu to Finlandia. Nieraz był w takiej sytuacji i nierzadko, do wyczerpania czasu, wykorzystywał jakieś kino, centra handlowe i restauracje, wbrew zatwierdzonym planom.

W Kivimäki był jednak pierwszy raz, nie znał terenu i wiedział, że będzie musiał improwizować. Nie zamierzał mówić o tym Portnoyowi. Rezydent był surowym formalistą i wymagał od oficerów trzymania się planu. Dopuszczał niewielkie odstępstwa, ale musiały mieć solidne uzasadnienie. To, że zielone audi 80 znikło i nie chciało mu się jechać do Tampere, nie było żadnym uzasadnieniem i dobrze wiedział, że będzie musiał swój raport odpowiednio naciągnąć. Nie pierwszy raz, ale zawsze się udawało, bo sprawdzić było trudno. Z Portnoyem mogło się jednak nie udać, bo rezydent miał niezwykły dar prześwietlania ludzi, jakby wyczuwał kłamcę na odległość. W końcu nie na próżno miał tytuł księcia I Zarządu Głównego KGB – pomyślał Batulis z przekąsem. Trzeba jednak spróbować, lepiej naciągnąć raport, niż zawalić nadzwyczajne spotkanie z najważniejszym agentem w fińskich służbach.

Miejsce nawiązania kontaktu w parku Sibeliusa, podobnie jak wszystkie inne, wybrał sam „Kola”. Był doświadczonym oficerem fińskich służb i nikt lepiej od niego nie wiedział, jak się ukryć w mieście. Portnoy jak zwykle wiedział lepiej i uważał, że nikt nie powinien narzucać mu warunków współpracy, ale centrala w Moskwie nie pozostawiała wątpliwości, że to „Kola” decyduje.

Inaczej niż Portnoy Batulis uważał, że to dobre miejsce. Mały park, ograniczony trzema ulicami, umiarkowanie zadrzewiony, stwarzał dobre możliwości dojścia i obserwacji. W nocy ścieżki oświetlone i widać każdego przechodnia, a o dwudziestej drugiej nie było już turystów.

Batulis pojawił się piętnaście minut wcześniej. Tyle czasu zajmowało mu obejście parku po zewnętrznych ulicach i sprawdzenie zaparkowanych samochodów. Miał też stąd dobry widok w głąb parku.

Było bardzo zimno i ciemno. Żadnych przechodniów, nic podejrzanego. Batulis przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do parku od strony parkingu. Spojrzał na zegarek, była dwudziesta druga dwie. Minął głowę Sibeliusa osadzoną na granitowej skale, obszedł organy i skręcił w prawo do zagajnika.

Od razu zobaczył korpulentną sylwetkę „Koli”, który przechadzał się oświetloną ścieżką i palił papierosa. Po kilku metrach zatrzymał się, jakby wyczuł, że ktoś się zbliża. Odwrócił się. Zobaczył idącego powoli Batulisa i nie czekając, aż podejdzie, ruszył w prawo. Szli w odległości dwudziestu metrów, aż dotarli do ulicy, gdzie stały zaparkowane samochody. „Kola”

wsiadł do granatowego saaba 93 i czekał. Po chwili na tylne siedzenie wskoczył Batiulis. Samochód powoli ruszył.

– Przejedziemy się – rzucił krótko „Kola”.

– Co się stało? – zapytał Batulis.

– Zaraz się dowiesz – odparł i skręcił w lewo.

Przez dwie minuty jechali w ciszy, a „Kola” wyraźnie sprawdzał, czy nikt ich nie śledzi. Zjechał na prawo i zatrzymał się na parkingu przy zamkniętej bramie jachtklubu. Nie wyłączył silnika, ale zgasił światła.

– Co się dzieje? – powtórzył pytanie.

– Mamy chyba poważny problem – zaczął „Kola” i wyciągnął małą butelkę z whisky. – Napijesz się, Witalij? Napij się, łatwiej przełkniesz to, co ci mam do powiedzenia. – Podał butelkę do tyłu.

– Więc… – zaniepokoił się Batulis i pociągnął duży łyk alkoholu – co się stało? – wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

– Posłuchaj uważnie i przekaż wszystko dokładnie „Griszy” – zaczął „Kola”, ale wiedział, że Batulis rozmowę nagrywa. – Dzieje się coś nadzwyczajnego wokół waszej rezydentury. Nie wiem dokładnie co, ale z pewnością jest to coś nadzwyczajnego, jak powiedziałem. – Zapalił papierosa i uchylił okno. – Z Londynu przyleciała ekipa MI6, dwóch albo trzech oficerów, którą kieruje tutejszy rezydent Tom Higgins. Nie wiem, czym się zajmują, ale ich obecność jest objęta ścisłą tajemnicą. Nie mają kontaktu z ambasadą i innymi oficerami. A teraz najważniejsze… – Zaciągnął się głęboko papierosem i upił z butelki, jakby chciał popić dym. – Wydzielono u nas grupę operacyjną, którą kieruje sam Seppo Moilanen, więc to musi być coś bardzo poważnego. Zebrał zespół i wyprowadził go poza budynek. Nawet nie wiem, kto jest w tym zespole.

– Nie domyślasz się, o co może chodzić? – zapytał Batulis.

– Jeśli zespołem kieruje Seppo, to musi być coś, co dotyczy naszej ambasady albo szerzej waszych działań, ale wątpię, żeby dotyczyło to Finlandii, no bo skąd wzięli się ci Anglicy. Grigorij doskonale wie, kim jest Moilanen, i zrozumie, co się dzieje.

– Może wpadli na twój ślad.

– Bzdura! Do tego nie potrzeba Anglików, a poza tym wiedziałbym, że coś jest na rzeczy. O to się nie martwcie. Dam sobie radę.

– Tylko tyle? – zdziwił się Batulis. – Wywołałeś spotkanie nadzwyczajne i postawiłeś na nogi całą rezydenturę, żeby przekazać informację o tym

zespole Anglików? Uważasz, że to takie ważne? Co właściwie sugerujesz? Że co?

– Powiedz Griszy, że podjąłem działania, żeby ustalić, co się tutaj dzieje, kto przyjechał z Londynu i po co. Nie wiem, czy mi się to uda, ale spróbuję. Tak czy inaczej, lepiej przejdźmy teraz na łączność zewnętrzną. Zrobiło się u nas gęsto, a poza tym jak będziecie działać całą rezydenturą, tak jak dzisiaj, kierownictwo zorientuje się, że coś się dzieje… a Seppo na pewno, bo facet ma łeb nie od parady i jeżeli połączy to ze swoją operacją, zaczną szukać przecieku. Wiesz, co to dla mnie znaczy, Witalij? Będę miał związane ręce, więc się nie obronię. Ważne rzeczy rzadko dzieją się przypadkiem. Rozumiesz to? – „Kola” pstryknął niedopałkiem przez okno. – Teraz działamy według moich zasad. Zrozumiałeś? Trzeba dmuchać na zimne. Wszystko zrozumiałeś?

– Tak, tak, oczywiście – odparł z przekonaniem Batulis.

„Kola” zrobił na nim dziwne wrażenie. Spotkali się dopiero drugi raz, jednak rozkazujący ton i pewność siebie Fina nie pasowały do roli agenta. Atencja, z jaką traktował go Portnoy, zaczynała nabierać nowego znaczenia i Batulis pomyślał, że Paavo Haukka nie jest zwykłym agentem, ale może być nielegałem. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego Portnoy nie powiedział mu o tym.

Jak mógł przypuszczać, że się nie zorientuję?

Wyglądało to na wyraźny brak zaufania. Szybko dotarło do niego, że myli się albo w ocenie Fina, albo Portnoya. Tak czy inaczej, postanowił obserwować rezydenta oraz „Kolę” i zapamiętać sobie ten dysonans poznawczy. Może temat się rozwinie i do czegoś przyda.

– Gdzie masz samochód? – zapytał „Kola”.

– Schowałem tutaj niedaleko, w bocznej uliczce. Zabiorę go jutro, a teraz wrócę pieszo. – Batulis pomyślał, że będzie musiał rano poprosić kogoś, żeby go podrzucił na stację benzynową. Dopiero teraz dotarło do niego, że SUPO zorientuje się, kto z rezydentury realizował zadanie. Przyciągnie uwagę i będą szukać jego śladów. Mimo że zdjęli obserwację, Witalij Batulis, trzeciorzędny szpieg z pionu ekonomicznego, zostawił samochód i znikł. Następnym razem już mi nie odpuszczą – pomyślał z niepokojem i zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić.

– Zimno jest. Podwiozę cię. Chcesz jeszcze? – usłyszał głos „Koli”, zobaczył uniesioną rękę z butelką i odbicie spojrzenia w lusterku.

– Nie, dziękuję – powiedział i wysiadł.

14

Kapitan zamyślił się i po chwili zapytał, gdzie jest toaleta.

Wrócił po kilku minutach, ale nie usiadł, lecz podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, jakby chciał coś sprawdzić.

– No i co? Pojedynkowaliście się? – zapytałem z lekką ironią, próbując wciągnąć go do rozmowy o Golicynie. – Rozumiem, że wygrałeś, skoro Nadia robi teraz te przetwory dla ciebie, a nie dla niego. – Nabiłem na widelec dwa ząbki marynowanego czosnku. – Świetne! Nigdy czegoś podobnego nie jadłem – skłamałem. – Nooo… więc jak skończyła się wasza walka o kobietę? To fascynujące, dwaj młodzi marynarze rosyjskiej imperialnej floty w starciu o piękną kobietę. Temat wprost na scenariusz hollywoodzkiego filmu. Być kobietą to okropnie trudne zajęcie, bo polega głównie na zadawaniu się z mężczyznami, powiedział pewien pisarz. Więc jak to było z wami, Wadim?

Razumow wrócił na kanapę, usiadł ostrożnie, żeby nie obudzić Vicky, która i tak podniosła głowę. Rozejrzała się zaspana i jakby znudzona naszym towarzystwem, zwlokła się i poszła do kuchni.

Wlałem wódkę do szklaneczek i podniosłem do toastu. Kapitan zrobił to samo.

– *Na zdorowie*… – powiedziałem po rosyjsku, kalecząc wymowę, i zaraz dodałem po angielsku: – W takim razie za nowy rok, bo w tym to już się chyba nie spotkamy. A poza tym… miło było cię poznać, Wadim. Jesteś niezwykłym…

– *Na zdorowie* – przerwał mi zdecydowanie i stuknął się ze mną szklaneczką. Zakąsiliśmy ogórkami. – Zdrowie jest mi teraz bardzo potrzebne – dodał.

– Chorujesz?

– Nie, nie ja… – Zawahał się. – Nadia. Ale zostawmy to.

To było coś nowego, a właściwie przełomowego. Pamiętałem każdy szczegół z akt kapitana i na pewno nie było tam ani słowa o tym, żeby jego żona chorowała. Seppo też o tym nie wspominał.

Patrzyłem na kapitana, który nie wyglądał na przybitego. Wydawało mi się, że marynarz, dowódca okrętu, nie powinien okazywać emocji. Tym bardziej że Razumow prawie urodził się na morzu. A jednak powiedział mi coś ważnego, o czym nie wiedzieliśmy. Odkrył się już na drugim spotkaniu. Polubił mnie? Spotkał kogoś, komu chciał się zwierzyć? To on przecież naciskał, żeby się spotkać tego wieczora.

Czego ode mnie oczekujesz, Wadim?

Poczułem, że Razumow wyszedł mi naprzeciw. Nie oczekiwałem tego tak szybko.

– Jakbyś czegoś potrzebował, to… – rzuciłem z akcentowaną sympatią. – Jeśli coś…

– Dziękuję, miło z twojej strony – rzekł z wymuszonym uśmiechem. – Damy radę. Jest na badaniach w klinice w Leningradzie. Dlatego muszę tam z nią teraz być. Za tydzień, dwa tygodnie będzie wiadomo, co dalej. – Wyprostował się na kanapie, jakby stanął na mostku kapitańskim. – Skomplikowany guz mózgu – rzucił, jakby wydawał komendę, i zaraz dodał: – Z przerzutami do płuc. Zaniedbaliśmy to z mojej winy, ciągle mnie nie było. Wiesz… poślubiony morzu i inne takie bzdury, a potem życie wystawia rachunek. – Sięgnął po butelkę i nalał do połowy szklaneczek. – Nie będę ci zawracał głowy swoimi sprawami.

– Gdybyś potrzebował pomocy… znam lekarzy tu, w Helsinkach, w Amsterdamie. Mogę pomóc – zaproponowałem szczerze.

– Dziękuję, Dirk, to miłe, ale u nas niestety obowiązują określone zasady w tych sprawach i… nasza służba zdrowia jest najlepsza na świecie. Mamy świetną klinikę neurochirurgiczną w Leningradzie – dorzucił i zmienił temat. – A co ty planujesz w Nowy Rok? No tak, wcześniej macie Boże Narodzenie. To już za tydzień. Jedziesz do rodziny, do Afryki, Holandii? Nie masz dzieci, tak?

– Nie, nie mam. Zostaję w Helsinkach. Mam tu trochę spraw biznesowych. Nawalił mi fiński partner z dostawami tarcicy i mam teraz spore kłopoty, ale jakoś to rozwiążę. Bywało gorzej.

To nie był specjalnie ryzykowny ruch, przynajmniej na tym etapie. Dlatego postanowiłem wykorzystać sytuację i zbadać jego reakcję. Zadeklarowałem pomoc jego żonie, więc miał okazję wykonać podobny gest w moją stronę. To mógł być pierwszy wiążący nas punkt.

Wypiliśmy odrobinę. Zauważyłem, że kapitan nie wlewa w siebie wódki jak zwykły Rosjanin, którego zżera smutek. W końcu Wadim Razumow był

kulturalnym człowiekiem, dowódcą atomowego okrętu podwodnego, mówił biegle po angielsku.

– Tarcica, mówisz – zareagował kapitan. – Jakaś specjalna? Musi być fińska? – Spojrzał z ledwie widocznym uśmiechem. – A nie może być radziecka?

– Może być i radziecka. Nic specjalnego, z jodeł, które rosną też po rosyjskiej stronie. Znam waszą tarcicę i powiem szczerze, że jest słabej jakości, niesolidni dostawcy i trzeba… no wiesz… za dużo zachodu.

– Trzeba dawać łapówki? – zapytał od razu kapitan z lekkim uśmiechem.

– Prowizja, nawet cicha, to nie problem, ale wasz system jest tak skomplikowany, że najpierw trzeba znaleźć uczciwego przewodnika, który pokaże, gdzie są właściwe drzwi i ile trzeba za nimi dać, a i to nie daje żadnej gwarancji, że to będą właściwe, ostatnie drzwi. Taka biznesowa matrioszka. Prowizje są u was małe, ale może przez to tak powszechne, skutek biurokracji. Gdyby był jeden odpowiedzialny partner, który wie, czego chce, to dlaczego nie. Mogę wtedy zaoferować bardzo solidną i dobrze uzasadnioną prowizję. Zaczęło się u was zmieniać, ale ja i tak nie mam do tego cierpliwości.

– To byłeś w Związku Radzieckim? – zapytał nieco zaskoczony. – Widać, że znasz problemy naszego kraju całkiem dobrze – uśmiechnął się z wyraźną ironią. – Może mamy problemy ze sprzedażą tarcicy, ale budujemy najlepsze na świecie okręty podwodne i podbijamy kosmos.

– To prawda, że budujecie najlepsze okręty? Tak już gdzieś słyszałem – rzekłem zaskoczony szczerością kapitana, który uśmiechnął się z mieszaniną dumy i ironii. Znałem ten uśmiech starorosyjski, rzadki już we współczesnej Rosji, spotykany jeszcze czasami wśród kontestującej inteligencji, artystów i naukowców. Przez dziesiątki lat w narodzie obowiązywał szczery uśmiech zadowolenia, dokładnie taki jak na propagandowych plakatach. – Zawsze mnie to dziwiło – ciągnąłem zachęcony spojrzeniem kapitana. – A w Związku Radzieckim nigdy nie byłem. Tutaj, w Helsinkach, w środowisku biznesmenów to wiedza powszechna. Wielu połamało sobie zęby na handlu drewnem z Rosją, chociaż to przecież banalny interes. Może łatwiej byłoby kupić okręt atomowy. Co ty na to, Wadim? Masz jakiś do sprzedania? Zrobimy interes życia – rzuciłem z uśmiechem i spojrzałem mu w oczy. Odniosłem wrażenie, że kapitan wyczuł mój sarkazm. Nie mógł tego nie zauważyć. Prawie cztery lata przebywał na Zachodzie i doskonale wiedział, jakie są opinie o ZSRR. Był inteligentny, a ja, udając naiwną

szczerość, chciałem go zachęcić do politycznej deklaracji. To był dobry i naturalny moment. Nie mogłem dłużej udawać, jeżeli miałem wypaść wiarygodnie. Miałem okazję sprawdzić, jak silna jest jego ideologiczna podbudowa, czy w ogóle taka istnieje. To warunkowało moje dalsze postępowanie.

– Cóż, drogi Holendrze… – Kapitan przegryzł czosnek, który wziął palcami, i starorosyjski uśmiech natychmiast znikł. – Niestety, masz rację, Dirk. Właśnie z powodu tej tarcicy idea światowego komunizmu nie zwyciężyła i już chyba nie zwycięży. Rewolucji nie robi się w kosmosie ani za pomocą atomowych okrętów podwodnych.

– Gorbaczow jest jednak rewolucjonistą – odparłem. – Nie sądzisz?

– To zależy, jak na niego spojrzeć. Dla jednych jest rewolucjonistą, a dla innych kontrrewolucjonistą, a dla wielu zwykłym partaczem.

– A kim jest dla ciebie? – zapytałem.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział po chwili. – Wyraźnie coś się kończy i coś zaczyna. Nasze statki kosmiczne i atomowe okręty wciąż będą potrzebne. Może nawet bardziej niż wcześniej. Związek Radziecki pozostanie tu, gdzie jest, więc i zagrożenia pozostaną.

– To prawda. Ale świat się zmienia. Zimna wojna chyba się już skończyła, więc…

– Drogi Dirku. Przed pierwszą wojną nawet cesarze byli ze sobą spokrewnieni, panowały podobne systemy polityczne, a żołnierze, idąc radośnie na wojnę, myśleli, że to tak tylko na niby, a skutkiem były miliony zabitych, powstanie ZSRR, Trzeciej Rzeszy, śmierć sześćdziesięciu milionów ludzi, zagłada. – Spojrzał z wyraźnym zatroskaniem i pokiwał głową. – Jestem marynarzem, kapitanem radzieckiej Floty Północnej. Pamiętaj.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że wojna wciąż jest możliwa?

– ZSRR może zniknąć, ale Rosja zostanie. I siły zbrojne będą tak samo potrzebne jak wcześniej. A może nawet bardziej. Spójrz na mapę, drogi Dirku. Od wieków zawsze był ktoś, kto chciał się najeść naszym kosztem. Dzisiejszej Rosji nikt już nie pokona. Nigdy. Nie będzie żadnych Mongołów, Polaków, Napoleona czy Hitlera.

– A ty kogo popierasz? Jelcyna czy Gorbaczowa?

– Dajmy już spokój tej polityce – poprosił wyraźnie zmieszany.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym, że w mieszkaniu dopiero co poznanego Holendra dał się tak łatwo wciągnąć w rozmowę o polityce. Zastanawiałem się przez chwilę, czy to możliwe, że stracił czujność, czy

wypowiedział się spontanicznie. Ile było w nim szczerości, a ile utrwalonych ideologicznych schematów. Był przecież dowódcą atomowego okrętu podwodnego, wykształconym, doświadczonym, inteligentnym człowiekiem, który twardo stąpał po ziemi. Jeżeli radziecki system miał mieć w nim swojego obrońcę, nie mógł liczyć na jego indoktrynację, tylko na siłę rozumu. Co zatem określało kapitana Wadima Razumowa? Kim był? Przez lata spotkałem wielu homo sovieticus, ale po raz pierwszy z całą mocą zdałem sobie sprawę, jak szybko zaczął się przemieniać w rosyjskiego nacjonalistę. Obserwowałem już wcześniej takie tendencje. Czytałem manifest Sołżenicyna *Jak odbudować Rosję*, który opublikowano szeroko w ZSRR, ale byłem przekonany, że zawisł w pustce. A teraz kapitan Wadim Razumow wpisuje się w ten ton. Wydawało mi się wówczas, że to tylko odruch obronny w obliczu upadku ZSRR, dotychczasowych wartości, i Razumow nie do końca sobie zdawał z tego sprawę, ale zrozumiałem, dokąd zmierza Rosja. Postanowiłem jednak nie drążyć tematu i nie zmuszać go do wyraźnej deklaracji. Bałem się, że jeżeli to zrobi, nie będzie miał już pola manewru i kiedy zaproponuję mu współpracę, będzie musiał odmówić.

– Z każdego kryzysu Rosja wychodzi silniejsza. A rozpad ZSRR może być masą krytyczną i początkiem reakcji łańcuchowej dla całego świata – dodał niespodziewanie kapitan. – Chciałbym ci pomóc z tą tarcicą. Może jednak spróbujesz u nas. Mam pewne możliwości. – Na szczęście Wadim zmienił ton i wyraźnie się rozpogodził. – W naszym przedstawicielstwie handlowym pracuje zdolny i sympatyczny młody człowiek. Na pewno ci pomoże i z pewnością kupisz tę tarcicę dużo taniej u nas niż w Finlandii. Daj coś do pisania, Dirk, i kartkę.

Po chwili podałem mu notatnik i długopis.

– Nie powołuj się na mnie – rzucił z wahaniem. – Tak będzie lepiej.

– Mam tak po prostu zadzwonić? – zapytałem zaskoczony.

– On będzie wiedział, o co chodzi i co ma robić. Musimy zachować nieco dyskrecji, jeżeli pomoc ma być skuteczna. Rozumiesz?

– Nooo… nie bardzo – odparłem z udawanym zaskoczeniem. Oczywiste było, że kapitan obawiał się Portnoya i chciał ukryć nasz kontakt. Wszystkie rozmowy telefoniczne ambasady były rejestrowane. Najważniejsze było jednak, że Razumow wykazał inicjatywę. Zawsze lubiłem, gdy kandydat do werbunku proponował mi pomoc. Szczególnie gdy przy tym coś ryzykował. Mogło to oznaczać, że i on będzie ode mnie czegoś oczekiwał. Uznał, że

kontakt jest wartościowy. Nie zamierzałem na tym nic jeszcze budować, ale to był bardzo dobry znak.

Zapisał coś na kartce i przesunął ją na środek stolika.

– Zadzwoń do niego w poniedziałek. To numer bezpośredni – dodał i zaczął się podnosić. – Zasiedziałem się trochę. Mors już na pewno się stęsknił.

Odprowadziłem Razumowa do przedpokoju. Włożył buty, potem kurtkę i trzymając czapkę w dłoni, odwrócił się w moją stronę.

Pierwszy raz tego wieczora uśmiechnął się zwyczajnie, szczerze i szeroko. Zobaczyłem, że pod wycyzelowanym do perfekcji srebrnym wąsikiem ma ładne zęby i kształtne usta. Ciemnobrązowe głęboko osadzone oczy ozdobione mimicznymi zmarszczkami były jak świadectwo jego morskiej natury. Odniosłem wrażenie, że nie był to ten sam człowiek, który jeszcze chwilę temu wchodził do mojego mieszkania. Z jednej strony nawiązaliśmy kontakt i Wadim się odsłonił, ale z drugiej nie ujawnił żadnych słabości, które mógłbym wykorzystać. Ze wszystkiego mógł się wycofać w każdej chwili. Zrozumiałem, jak trudno będzie go podejść, ale pomysł z tarcicą dawał cień nadziei.

– Szczęśliwego nowego roku, Dirk – powiedział po rosyjsku, a ja odparłem po angielsku. – Dziękuję za sympatyczny wieczór, rozmowę i zapraszam do siebie po moim powrocie.

– To ja dziękuję, że wpadłeś… i za świetną wódkę i rosyjskie przekąski. Kiedy wracasz, Wadim?

– Na początku stycznia.

– W takim razie – wyciągnąłem do niego rękę – do zobaczenia.

– Do zobaczenia. – Kapitan miał mocny uścisk. – Zadzwoń w poniedziałek w sprawie tarcicy. Nie zapomnij.

Zamknąłem za nim drzwi i spojrzałem na zegar. Minęła północ.

Na stole stały opróżniona do połowy butelka moskowskiej i talerzyki z przekąskami. Między nimi kartka. Usiadłem na fotelu i przeczytałem: trzeci sekretarz Witalij Batulis, i zobaczyłem numer telefonu.

15

Portnoy przesłuchał nagranie jeszcze tego samego wieczora i od razu zrozumiał, co „Kola” chciał mu powiedzieć. Wyczuwał to nawet w jego głosie, mimo że po rosyjsku mówił jak rodowity Fin.

Oczywiste było, że dzieje się coś bardzo ważnego i musiało być skierowane przeciwko ZSRR. Portnoy miał podstawy przypuszczać, że to nie jest sprawa „Dąb”, która była teraz w Finlandii najważniejsza.

I dodatkowo pojawił się ten pierdolony Seppo Moilanen – pomyślał z wściekłością Portnoy.

– Zwalisty i skryty fiński chłop, wytrzymały jak renifer, o niedźwiedzich łapach, twarzy jak kartofel, ale umyśle bystrym i zimnym jak lapoński strumień – wyrecytował z emfazą i wypuścił powietrze. Lermontow lepiej by tego nie opisał – doszedł do wniosku.

Portnoy nie znał osobiście Moilanena, ale nienawidził go z całego serca i traktował jak osobistego wroga. Wiedział, że Fin tak samo traktuje jego. Moilanen był największym wyzwaniem Portnoya od czasu, kiedy wstąpił do KGB. Miał dziwne przeczucie, że to właśnie ten fiński chłop zakończy jego szpiegowską karierę, nie FBI, Anglicy czy Niemcy, ale ten wielki kartoflany łeb. Facet do spraw najtrudniejszych i prawa ręka szefa Koivista, małego człowieczka w wymiętym garniturze, o przenikliwym spojrzeniu i z łupieżem na kołnierzu.

Taki, kurwa, drugi as… mały, pierdolony fiński Jeżow – pomyślał Portnoy, który wyjątkowo nie lubił Finów.

Znał za to dobrze Toma Higginsa, nowego rezydenta MI6 w Helsinkach. W Jaseniewie miał grubą teczkę.

Wygadany, dobrze ustawiony angielski goguś po Cambridge z przerośniętym ego, który zrobi wszystko, co mu każe Centrala, ale nie wymyśli żadnej własnej historii. Na Vauxhall Cross rozpuszczał plotki, że w MI6 tylko on sprosta księciu Portnoyowi. Dlatego niespodziewane pojawienie się grupy specjalnej MI6 w Helsinkach było takim zaskoczeniem. Oprócz

sprawy „Dąb” działo się coś jeszcze, a on nie wiedział co. Wyglądało na to, że Moskwa też nie wiedziała.

Za chwilę Jaseniewo mogło zapytać, czy rezydent Portnoy na pewno panuje nad sytuacją w Helsinkach, i wyszłoby na to, że Higgins miał rację.

W pierwszej chwili pomyślał, że Brytyjczycy coś kombinują w Pribałtyce, bo w ostatnich tygodniach to był dla nich najważniejszy temat. MI6 od lat próbowało tam mieszać, uważając ten teren za swoją strefę wpływów.

Portnoy podszedł do okna i rozsunął story. Uchylił lufcik. Do wnętrza wpadło mroźne powietrze. Zaciągnął się głęboko, aż poczuł, jak rozszerzyły mu się płuca. Pomyślał, że powinien był sam porozmawiać z „Kolą”, a teraz ma ograniczone możliwości, żeby się z nim spotkać.

„Kola” to inteligentny i rozsądny oficer. Właściwie przyjaciel, najlepszy, jakiego tutaj mam, i dobrze wie, co ma robić – pomyślał Portnoy, uspokajając się, i wypuścił powietrze z płuc. Na razie nie będę informował Moskwy. Zaczekam kilka dni. Tak będzie najrozsądniej. Przeszedł przez pokój do sejfu i schował dyktafon. A może to te palanty z GRU coś kombinują? Usiadł w fotelu, wziął szklankę z herbatą i opróżnił do dna. Pan pułkownik Woroncow jest do tego zdolny… Debil jebany! Położył głowę na oparciu fotela. Zaraz… zaraz… Poderwał się nagle. Co powiedział Jaśniepan? Że schował samochód za miastem? Jak to? Gdzie?

Podszedł do wewnętrznego telefonu, podniósł słuchawkę i przez moment zastanawiał się, czy zadzwonić. W końcu wybrał jedynkę.

– Dawaj Batulisa do mnie. Natychmiast! – rzucił do słuchawki.

Kiedy Batulis się zjawił, dochodziła północ. Przejście z bloku mieszkalnego do rezydentury zajęło mu osiem minut. Portnoy sprawdził na zegarze.

Wszedł i od razu było widać, że ma coś na sumieniu. Portnoy potrafił czytać w twarzach podwładnych jak w tanich książkach, tym bardziej że jego spojrzenie wyzwalało u kłamcy poczucie winy. Człowiek, który uważał świnię i szczura za symbole szpiegostwa, prawie nigdy się nie mylił. To uwiarygadniało jego mocną pozycję w kierownictwie KGB.

– Siadaj, Jaśniepanie. – Wskazał mu krzesło przy biurku. Sam obszedł pokój i usiadł naprzeciwko. – Przesłuchałem twoją rozmowę z „Kolą”. Co sądzisz? – zapytał, przysuwając do siebie szklankę z herbatą.

– Bo ja wiem… – Batulis spuścił wzrok i splótł palce. – Bo ja wiem… Poważna sprawa… chyba.

– Poważna – powtórzył Portnoy. – Ale jak bardzo poważna, jeszcze nie wiemy. Tak czy inaczej, bezpieczna łączność z „Kolą” jest teraz najważniej-

sza. Zdajesz sobie sprawę, że póki nie dowiemy się, po co zjechali tu Anglicy, musimy chronić go jeszcze lepiej, to przecież nasz największy skarb. A najmniejszy błąd może spowodować katastrofę. Więc… spójrz mi w oczy! – Batulis podniósł głowę. – Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie wiem… Chyba nie… – zawahał się. – Nie zauważyłem nic szczególnego. Nie znam „Koli” na tyle, żeby…

– Dobrze – rzekł Portnoy. – Napisz raport z trasy sprawdzeniowej. Rozumiem, że nie wydarzyło się nic, co mogłoby cię zaniepokoić, prawda?

– Nooo… nie, skądże – brnął dalej Batulis.

– Jeżeli tak, to dobrze. Idź odpocznij. Dobra robota. – Portnoy podniósł się, a Batulis za nim.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – odparł i skierował się do wyjścia.

Batulis wrócił do mieszkania i od razu nalał sobie pół szklanki wódki. Skłamał rezydentowi, chociaż mógł powiedzieć prawdę. Nie zrobił jakiegoś poważnego błędu. Chciał dobrze.

Przecież wszystko można naprawić. Portnoy na pewno by to zrozumiał, też był kiedyś młody i pewnie czasem poszedł po linii najmniejszego oporu. Trzeba znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie. Portnoy nie ma wyjścia, w końcu zaufał mi, więc musi to przyjąć. Przecież to drobiazg.

Odstawił szklankę na stół. Spojrzał na zegar. Było wpół do pierwszej.

Gdyby udało mi się rano ściągnąć samochód, mógłbym pominąć ten fakt w raporcie i wszystko byłoby w porządku. Wypierdolić się na takiej dupereli, kiedy mam do obsługi najważniejszego agenta w Finlandii? Skrajna głupota! A Portnoy prędzej czy później zorientuje się i mnie załatwi. Sięgnął po szklankę i wychylił resztę wódki na raz. Mściwy jest, jebany. Zapyta: dlaczego, Jaśniepanie, nie powiedziałeś od razu, i strzeli w potylicę. A może pojechać po samochód teraz? Musiałbym wziąć taksówkę, bo przecież nie poproszę nikogo z kolegów, zaraz doniosą. Hmm… godzina jazdy. O tej porze zapłacę majątek. Kurwa mać, człowiek ma różne pomysły, plany, koncepcje do czasu, aż dostanie pięścią w mordę. Wtedy wszystko idzie w chuj.

Portnoy wyszedł do sekretariatu, gdzie przez całą dobę dyżurował podoficer ochrony rezydentury. Wąsaty Borys oglądał film na magnetowidzie, ale poderwał się żwawo i stanął na baczność.

– *Rambo*? – zapytał Portnoy, patrząc na ekran.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Najnowszy. Trzeci. Pietia skopiował – wyrecytował służbowo Borys.

– Zryjesz sobie wartości, chorąży – rzucił z kąśliwym uśmiechem Portnoy.

– Towarzyszu pułkowniku, przecież wiecie… dwa lata w Afganistanie, pałac Amina, żołnierzowi Wympiełu nic nie zryje wartości, towarzyszu pułkowniku – odparł Borys z przekonaniem bliskim dumy. – A to – spojrzał na monitor – fajna zabawa i tyle.

– Wiem, wiem, Boria… A ty wiesz, którym samochodem jeździ Batulis?

– Tak jest! – rzucił, prężąc się na baczność przed przełożonym. – Granatowy passat z obtartym błotnikiem.

– Sprawdź, czy jest zaparkowany na terenie. Film dokończysz potem. – Ruszył do wyjścia. – Zadzwoń i powiedz, co ustaliłeś, a film pożyczę na niedzielę. Dasz?

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

16

Wywołałem spotkanie naszego zespołu na dziewiątą następnego dnia. Celowo spóźniliśmy się piętnaście minut. W pokoju było już siwo od papierosowego dymu. Tom, Olivier, Louis i Seppo przywitali nas wymownym milczeniem i pytającymi spojrzeniami. Lubiłem takie chwile. Grałem przecież główną rolę. Wiedziałem, że za chwilę odezwie się chór krytyków, doradców i mentorów. Każdy będzie chciał wnieść swój udział do sprawy. Czasami im się to udawało, szczególnie Olivierowi i Louisowi, bo obaj mieli bezcenną wiedzę, której mnie brakowało. Najmniej przydatny był Higgins, który wszystko kwestionował.

Moilanen, niepytany, nie odzywał się, ale nie miałem wrażenia, że to Wielki Niemowa. Jego komentarze składały się z dwóch, trzech prostych zdań, uzupełnionych czasami zmarszczeniem brwi lub wydęciem ust. A mimo to nie potrzebowałem od niego nic więcej. Rola Seppa polegała na zabezpieczeniu operacyjnym naszego przedsięwzięcia i jak dotąd nie zdarzyło się nic podejrzanego, więc wielki Fin milczał. To była dla nas najlepsza informacja.

– Dzisiaj rano „Arlekin” wyjechał do Rosji, a konkretnie do Leningradu – oświadczyłem, zanim usiadłem, i zobaczyłem zdziwienie w oczach Higginsa.

– Jak to? – odezwał się wyraźnie poruszony Olivier. – Zjechał przed czasem? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tak nagle? – włączył się Higgins. – Dlaczego? – Spojrzał pytająco na Moilanena. – Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy?

– Mają wkrótce Nowy Rok – odparł z flegmą Seppo.

– Nooo taaaak… – Louis się uśmiechnął z lekkim zażenowaniem.

– Wraca na początku stycznia – przerwałem stan niepewności. – Tak, wyjechał na urlop, ale przede wszystkim z powodu choroby żony. Prawdopodobnie ma guza mózgu.

– Na początku stycznia? Ale dokładnie kiedy? – Higgins klepnął się w kolano. – *Fuck*! To przecież prawie miesiąc! W takim razie jesteśmy

zablokowani na amen! Możemy sobie pogratulować i spokojnie jechać na Boże Narodzenie do domu. Ucieszą się w Londynie, nie ma co.

– Nie popłakuj, Tom. Weź się w garść – rzuciłem z przekąsem. – Może posłuchałbyś najpierw, jak przebiegła pogawędka. A jest o czym porozmawiać i nie wygląda to źle. – Wyciągnąłem kartkę, którą zostawił kapitan, i położyłem ją na stole. – Wiesz, Seppo, kto to jest?

– Wiem. – Spojrzał, nie biorąc jej nawet do ręki. – Witalij Batulis, pion ekonomiczny, SWR, lat trzydzieści pięć, mało aktywny, trzyma się na uboczu. Przyjechał niedawno z Pekinu. Wydział handlowy ambasady jest na Kulosaari, dwie ulice od twojego mieszkania.

– Batulis? – Higgins wziął kartkę ze stołu. – Słaby, znamy go z Pekinu i Sztokholmu. Nawet były jakieś próby podejścia do niego. Niedoszły sportowiec, miłośnik koszykówki, chyba narodowości litewskiej, ojciec pułkownik GRU. – Seppo pokiwał głową. – I co z nim? – zapytał Tom, spoglądając na mnie.

– Ktoś musi przygotować profesjonalne zapytanie biznesowe w sprawie zakupu tarcicy w Rosji – odparłem. – Ale po kolei.

– Nadieżda Razumowa ma guza mózgu? – zapytał Seppo. – To coś nowego. Nie wiedzieliśmy o tym.

– Dziękuję, że zwróciłeś na to uwagę. – Spojrzałem na pozostałych. – To bardzo ważna informacja, ale powiem o tym później.

– Ofertę na tarcicę sporządzimy – dodał Seppo.

– Zatem po kolei – zacząłem. – To kapitan był inicjatorem wczorajszego spotkania. Powiedział na spacerze, że ma do mnie jakąś sprawę, ale w rzeczywistości nie miał. Chciał po prostu pogadać i się napić.

Przez następne pół godziny opowiadałem, co wydarzyło się poprzedniego wieczora. Zacząłem od spotkania na ulicy i zakończyłem rozmową przy drzwiach. Przedstawiłem najpierw wszystkie fakty, a dopiero potem analizę treści spotkania. Nikt mi nie przerywał, ale widziałem, że moja relacja zrobiła wrażenie. Jedynie Seppo siedział z kamienną bladą twarzą, popatrując od niechcenia to na okno, to na obraz w złotej ramie wiszący naprzeciwko niego, to na swoje dłonie. Uznałem, że wykazuje ożywienie. Zwykle koncentrował się na dwóch obiektach i nigdy nie oglądał swoich dłoni.

Olivier i Louis też się nie odezwali, ale milczenie Higginsa było wyjątkowo znaczące. Dotąd komentował wszystko na bieżąco, jakby chciał pokazać, że jego kompetencje są bardziej rozległe, niż były w istocie. Sze-

rzył defetyzm, by w razie porażki móc powiedzieć: „a nie mówiłem”. Jego operacyjne malkontenctwo osiągało coraz wyższy poziom. Chwilami zaczynałem podejrzewać, że zależy mu, by nasza operacja zakończyła się porażką.

Tym razem jego milczenie odebrałem jako kapitulację. Sprawiło mi to swoistą satysfakcję, ale nie zamierzałem wykorzystywać przewagi. Nie mogłem wykluczyć, że jednak mylę się co do Toma, a może przynajmniej przeceniam swoje kompetencje.

– Nooo… tooo… – odezwał się pierwszy Louis. – Wykonałeś kawał dobrej roboty, Martin. Jestem pełen podziwu. – Pokiwał głową i poczułem mocne wsparcie od starego werbownika. – Powinniśmy o tym podyskutować, ale najpierw muszę to przesłuchać i przemyśleć. Stało się coś… coś…

– Louis, masz największe doświadczenie z Rosjanami, radzieckimi wojskowymi – zacząłem trochę złośliwie pod adresem Higginsa. – Może powinniśmy usłyszeć na gorąco twoje spontaniczne wrażenia. Wczuj się, tak jakbyś to ty przeprowadził tę rozmowę.

– Tak się nie da – odparł bez przekonania i zapalił papierosa.

– Da się, da! – włączył się Olivier.

– Jak tak się dobrze zastanowić, to bohaterem tego spotkania był Dymitr… – zaczął Louis, zaciągając się głęboko.

– Jaki Dymitr? – zapytał zaskoczony Tom. – Doński?

– Nie! – Louis roześmiał się. – Nie, nie, Szostakowicz, Dymitr Szostakowicz i jego *Drugi walc*.

– Aha. Okej. – Higgins pokiwał głową i przez moment zrobiło mi się go żal.

– Jak rozumiem, to nie było zamierzone – ciągnął Louis.

– Bardzo lubię Szostakowicza i włączyłem kasetę, żeby zrobić atmosferę. Były tam wcześniej utwory Prokofiewa, Strawińskiego, Rachmaninowa… Nie wiedziałem, że kapitan ma takie emocjonalne wspomnienia związane akurat z tym walcem.

– Czyli dobrze zaplanowany przypadek – rzucił Louis i uśmiechnęliśmy się wszyscy oprócz Seppa, który właśnie badawczo oglądał obraz. – Masz rację, ten fragment nie był wyreżyserowany, więc wszystko, co stało się później, co powiedział, ma w sobie dużo autentyczności, nawet spontaniczności. Nie wydaje mi się, żeby alkohol przyczynił się do tego w jakimś znaczącym stopniu. Myślę, że „Arlekin” jest z natury sentymentalny i uczuciowy. To rzadkie u radzieckich oficerów, wśród których dominuje kult

twardziela. Szczególnie wśród kadetów takich jak suworowcy, a jeszcze bardziej nachimowcy. Odkrył się bardziej niż jakikolwiek znany mi wojskowy, ale ostatni werbunek robiłem trzy lata temu i sytuacja w Związku Radzieckim się zmieniła. Obserwujemy w różnych punktach na świecie, gdzie mamy kontakty operacyjne z ich wojskowymi, że coraz częściej pojawiają się objawy pewnej demoralizacji, ale „Arlekin" jest jedynym oficerem marynarki, i to tak wysokiego stopnia, więc nie możemy uogólniać. Nie będę przeciągał, bo muszę jeszcze przesłuchać nagranie, ale wnioskując na podstawie twojej relacji, jesteśmy w dobrym punkcie, chociaż tracimy cenny czas. Prawdopodobieństwo prowokacji nieco się zmniejszyło, ale… – Louis pokręcił głową i zgasił papierosa w popielniczce. – Niepokoi mnie trochę to przerzucenie kontaktu na tego Batulisa i zastrzeżenie o poufności. Choroba żony to przykra sprawa, ale z naszego punktu widzenia bardzo ważna. To musi zmiękczyć „Arlekina" i jednocześnie zdeterminować go do działania. Nie możemy tego nie zauważyć. A to prawda, że poważne zabiegi robią w kraju. Oszczędności, skąpią na lekarzy i unikają sytuacji, które mogłyby wiązać rodzinę z zagranicą. To czasami sprawy życia i śmierci, więc i wybory mogą być dramatyczne. Trochę się to teraz zmienia, ale nie w przypadku kogoś takiego jak Razumow. On ma wyjątkowo cenne informacje dla bezpieczeństwa Związku Radzieckiego. W Moskwie wiedzą o tym doskonale.

– W pełni się z tobą zgadzam – powiedziałem, bo ocena Louisa była wyjątkowo celna. – Rzeczywiście, jesteśmy w dobrym punkcie wyjściowym. Przerzucenie kontaktu na Batulisa może być wystawieniem mnie Portnoyowi, ale nie musi. Mamy trochę czasu na sprawdzenie tego wątku i przygotowanie się do kolejnego etapu. Jeżeli będzie wszystko okej, myślę, że w styczniu powinniśmy wystartować na ostro. Postawić Razumowa w jasnej sytuacji, bo inaczej do czerwca nie zdążymy i kapitan nam zniknie. Stracimy wszystko. Co ty na to, Tom? – zwróciłem się do milczącego Higginsa.

– Muszę porozmawiać z Londynem – odparł bez zastanowienia. – Szefostwo wiąże duże nadzieje z naszą operacją, ale temat jest wyjątkowo gorący, więc zobaczymy, czy będą chcieli tyle czekać. Pewnie dlatego, że zbliża się szczyt NATO–ZSRR. To jednak długo i nic jeszcze bym na tym nie budował. Nawet nie wiemy, kiedy wróci. Moim zdaniem za wcześnie na optymizm. Wciąż czuję tu oddech Portnoya. Londyn też się obawia uwikła-

nia, a wtedy stracimy ostrość widzenia. Może Rosjanom o to chodzić. Będę rekomendował kontynuację, ale sami znacie kierownictwo.

– Okej – rzuciłem. – Zapytaj Londyn, ale my w oczekiwaniu na decyzję Centrali przygotujmy plan. Mamy przecież czas. – Wiedziałem, że Higgins blefuje i się zabezpiecza. Żadna służba wywiadowcza nie odpuściłaby takiej okazji do rozpoczęcia dialogu, jaką stworzył Razumow. – Powinienem jeszcze przed świętami nawiązać kontakt z Batulisem i skorzystać z jego rekomendacji, jeżeli nasz biznes z tarcicą ma mieć jakikolwiek sens i wiarygodność. Seppo – zwróciłem się do Moilanena – dasz radę przygotować to zapytanie biznesowe? – Skinął głową. – Zrobisz też kopię nagrania dla wszystkich? – Znów skinął głową. – Dobrze, czyli co? Kiedy się spotkamy? – zapytałem, dając znak, że chcę już kończyć spotkanie.

– W poniedziałek albo wtorek – odezwał się Higgins. – Muszę mieć czas, żeby porozmawiać z Londynem. – Wszyscy zaczęli się podnosić.

Bez pożegnania pierwszy z pokoju wyszedł Higgins. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe. Olivier, Ray i Louis stanęli w rogu zajęci rozmową i paleniem papierosów.

– Wczoraj Portnoy urządził nam show – usłyszałem za sobą niespodziewanie ściszony głos Moilanena. Chwycił mnie za ramię i usiedliśmy z powrotem na kanapie. – Po raz piąty w tym roku wypuścił całą rezydenturę w teren, żeby odciągnąć nasze siły. Podejrzewamy, że mają u nas kreta.

– Dziwiłbym się, gdyby nie mieli. U nas też pewnie mają – odparłem. – Dlatego prosiliśmy o wydzielenie zespołu specjalnego w SUPO. Nie chcesz chyba powiedzieć, że miało to związek z „Arlekinem”?

– Nie, nasi ludzie zabezpieczali Razumowa i ciebie, ale informuję o tym dla porządku. Musisz to odnotować.

– Batulisa też zabezpieczyliście? – zapytałem.

– Prawdopodobnie też. Nie mam jeszcze informacji.

– Warto wiedzieć, jeżeli młody szpieg wchodzi do naszej gry.

– Poinformuję, jak zapoznam się z raportem.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym przy Higginsie? – zapytałem bez wyraźnego zaskoczenia.

– Chyba nie muszę tego wyjaśniać.

– To dlaczego mnie o tym mówisz?

– To chyba oczywiste. – Seppo uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Ufam ci.

– Dziękuję i doceniam, ale…

– Prowadzę wewnątrz SUPO mały, trzyosobowy zespół. Naszym zadaniem jest wyłowienie tego kreta. Siedzi gdzieś wysoko. Od lat nie możemy go namierzyć. Wie o tym tylko szef – mówił krótkimi zdaniami, patrząc mi prosto w oczy. – Dlatego to ja prowadzę waszą grupę. Rozumiesz teraz?

– Zaczynam się domyślać.

– Spotkajmy się wieczorem. Wpadnij do mnie. Porozmawiamy. Będę znał już raport obserwacji. – Spojrzał w stronę, gdzie przy oknie stała grupa palaczy. – Ale bez Raymonda.

– Jak chcesz, i rozumiem.

– Przyjadę po ciebie o dwudziestej. Masz tu adres i kod do wejścia, gdybym nie mógł. Wtedy weźmiesz taksówkę. – Seppo wyciągnął z kieszeni kartkę i podniósł się do wyjścia. Skinąłem głową.

– Nie jedz – rzucił, sugerując, że będzie kolacja, i zaraz zapytał: – Lubisz renifera?

– Lubię. Najbardziej Rudolfa Czerwononosego, ale też Fircyka i Profesorka – odparłem z uśmiechem. – A co, przyjadą z prezentami? Jest jeszcze czas na wizytę Świętego Mikołaja. – Seppo po raz pierwszy, odkąd go poznałem, pokazał szeroki uśmiech. – Nie! Nie chcesz chyba powiedzieć, że je zjadacie. Nie! Tak przed Bożym Narodzeniem? Świat o tym wie? – Seppo parsknął śmiechem, aż się odwrócili palacze. – A już myślałem, że Finowie nie mają poczucia humoru. Dwudziesta – potwierdziłem.

17

Batulis wstał o piątej rano z ciężkim bólem głowy, ale nie z powodu wypitej wieczorem wódki.

Miniony czwartek to był najgorszy dzień w jego życiu. Noc zresztą też, bo śnił mu się Portnoy i samochód zostawiony na stacji benzynowej. Śniło mu się, że się topił. Szedł przez zamarznięte morze, gdy załamał się pod nim lód. Wiedział, że tak będzie, a jednak wszedł na niego. Rozpaczliwie chwytał się brzegów, wbijał w lód paznokcie, które łamały się, krwawiły i wypadały, a mimo to coraz szybciej zsuwał się w ciemną toń i miał wrażenie, jakby ktoś ciągnął go za nogi. Gdzieś daleko na brzegu stał Portnoy i z rękami w kieszeniach przyglądał się tej scenie. Batulis próbował wołać do niego, krzyczeć, prosić o ratunek, ale głos uwiązł mu w suchym gardle. Zanurzał się coraz szybciej w lodowatej wodzie, która zalewała mu usta i twarz. Czuł, jak ogarnia go przerażenie, panika, zaczyna chaotycznie walczyć o życie. Wiedział, że nikt mu nie pomoże i za chwilę na zawsze zniknie w czarnej otchłani, a wiosną morze wyrzuci na brzeg jego nabrzmiałe jak galareta ciało.

Obudził się, spazmatycznie łapiąc oddech, spocony i zdenerwowany. Spojrzał na zegar. Dochodziła trzecia nad ranem. Poszedł do kuchni, napił się wody, wziął kilka głębokich oddechów i serce zaczęło zwalniać. Wytarł ręcznikiem twarz.

Robił tak za każdym razem. Ten sen powtarzał się co jakiś czas, szczególnie kiedy był w stresie, czuł się winny i zmęczony. Stanowił odbicie przeżycia na jeziorze Sartai, kiedy spędzał wakacje u dziadków. Od tamtej pory nigdy nie wchodził na lód, nie jeździł nawet na łyżwach. Wiedział, że to tylko sen, a jednak za każdym razem przeżywał go tak samo. Nikomu o tym nie mówił, a psycholog w Jaseniewie niczego się nie dopatrzył. Batulis traktował go jak ostrzeżenie, znak zbliżającego się zagrożenia, ale też impuls do działania. W końcu za każdym razem wychodził z tej opresji żywy. Toteż nigdy się nie poddawał.

Od przyjazdu do Finlandii ten sen pojawił się pierwszy raz, chociaż widok zamarzniętych wód wokół Helsinek wzbudzał w nim niepokój.

Posiedział jeszcze chwilę i w końcu położył się, żeby jeszcze pospać.

Kurwa… przecież to tylko jakiś pierdolony samochód. Po prostu pojadę tam rano autobusem i już. A raport napiszę później.

O piątej rano w ambasadzie panowała martwa cisza. Oficerowie mieszkający na terenie placówki spali po pracowitym czwartku, jaki zorganizował im Portnoy.

O tej porze Helsinki spowite nocą drzemały jeszcze, tym bardziej że na zewnątrz było minus piętnaście. W oknach okolicznych kamienic zapalały się już pierwsze światła.

Batulis wrócił z łazienki, włożył kalesony, podkoszulek z długim rękawem, na to dżinsy i gruby sweter. Wstawił wodę na herbatę. Zrobił sobie kanapkę z oliwkową mortadelą i zjadł ją w kuchni na stojąco, popijając wrzątkiem. O piątej dwadzieścia zasalutował Paulauskasowi, po cichu zamknął drzwi, powoli przekręcił klucz i zszedł na dół. W domu nie było podsłuchów, ale wszyscy i tak wszystko słyszeli i wiedzieli.

Wyszedł przed dom i od razu natknął się na Borysa. Stał przed domem i palił papierosa. W pierwszej chwili Batulis pomyślał, że czeka na niego.

– Co tak rano, Witia? – zapytał. – Gdzie cię niesie? – Spojrzał podejrzliwie spod nasuniętej na czoło grubej uszanki. – Nie za wcześnie do roboty?

– Nie mogę spać. Idę się trochę przejść. Mam dzisiaj dużo spraw, muszę mieć świeżą głowę. A ty co tu robisz?

– Obchód – rzucił, wypuszczając gęsty, zmrożony dym.

– To czemu stoisz?

– Bo już obszedłem i teraz odpoczywam. – Borys zaciągnął się i nim wypuścił kolejną chmurę, uśmiechnął. – Za niecałe dwie godziny… – spojrzał na zegarek – kończę służbę. – Poprawił pistolet w kaburze. – I dzień wolnego. Ech… – westchnął zadowolony.

– No to idę, Boria. Cześć. – Batulis ruszył w stronę bramy.

– A nie jedziesz samochodem? – rzucił za nim Borys.

– Nie, pójdę pieszo – odparł Batulis, nawet się nie odwracając.

– To przy okazji przyprowadź samochód, jeżeli go gdzieś zostawiłeś. Wiesz, że nie wolno zostawiać samochodów służbowych poza ambasadą na noc bez zezwolenia?

Batulis zatrzymał się po kilku krokach i poczuł ucisk w gardle. Odwrócił się i podszedł bliżej do Borysa.

– A skąd wiesz, że zostawiłem… i że bez zezwolenia? – zapytał.

– No wiem.

– Skąd?

– Wiem.

– Boria, co ty kręcisz?

– Wczoraj – Borys ściszył głos – ten… wiesz – zrobił ruch głową w stronę budynku ambasady – kazał mi sprawdzić, czy twój samochód stoi na parkingu.

– Tak? A kiedy ci kazał?

– Zaraz jak wyszedłeś.

– I co mu powiedziałeś?

– Że nie ma.

– No to jestem w czarnej dupie. Nie mogłeś powiedzieć, że jest? – Pokręcił głową. – W porządku. Zrobiłeś, co trzeba, nie mam do ciebie pretensji. Teraz dostanę opierdol i tyle – wyjaśnił, ale wiedział, że sprawa tak się nie zakończy. W KGB nie było litości dla krętaczy.

– A dlaczego go zostawiłeś?

– Nieważne.

– A gdzie?

– Daleko.

– Bardzo?

– Pięćdziesiąt kilometrów stąd, po drodze do Tampere… na stacji benzynowej.

– No to teraz rozumiem. – Borys zacisnął usta. – Nie kręć, Witia, chciałeś jechać po samochód teraz, a ten spacer to zwykła ściema, co nie? – Batulis nie odpowiedział. – Trzeba było od razu przyjść do mnie. Wiesz co? – Spojrzał na zegarek. – Pięćdziesiąt kilometrów, mówisz? Nie skończyłem jeszcze służby. – Borys rozejrzał się wokół. – Zrobimy tak. Pójdę do dyżurki, zostawię broń i zawiozę cię po ten samochód. O tej porze obrócimy raz-dwa i zdążysz do biura, nie będziesz musiał się tłumaczyć panu radcy. Zaczekaj tutaj.

– Dzięki, Boria! – Batulis poczuł ulgę.

– Trzeba sobie pomagać, nie? Postawisz flaszkę i będziemy kwita – rzucił Borys i pobiegł do ambasady.

18

Seppo czekał w samochodzie przed sklepem. W pękatej puchowej kurtce wielki Moilanen wypełniał sobą połowę małego polo. W pierwszej chwili pomyślałem, żeby usiąść z tyłu.

Oświadczył, że przejazd zajmie piętnaście minut, więc usiadłem z przodu. Wcześniej sprawdziłem na planie miasta. Zgadzało się, Seppo mieszkał dwieście metrów od stadionu olimpijskiego.

Przez kilka minut milczał, a ja uszanowałem ciszę. Zawsze miałem wrażenie, że za jego małomównością kryje się jakaś tajemnicza mądrość, zupełnie inna niż ta, którą znamy w Anglii, Francji czy nawet Niemczech. Maleńki fiński naród zamieszkuje bezkresne północne tereny gdzieś na skraju świata, gdzie przyroda jest surowa, więc musi umieć żyć z nią w zgodzie. Zbędną paplaniną okraszoną inteligencją nie pokonasz natury. Trzeba mieć w sobie pokorę. To może działać w Londynie czy Paryżu, ale nie tu. Zrozumiałem to szybko i dostosowałem się. Nawet polubiłem ten surowy fiński styl Alvara Aalto. Pasował tutaj idealnie.

– Przeczytałem raport obserwacji – odezwał się, dopiero gdy dojechaliśmy do Esplanadi.

– No i co? – zapytałem, ale Seppo nie odpowiedział, tylko przeczesał dłonią włosy. Zatrzymaliśmy się na przejściu przy domu towarowym Stockmann. Światła zmieniły się na zielone i Seppo zaczął mówić.

– W czwartek od samego rana cała rezydentura pozorowała działania operacyjne. – Seppo prowadził bardzo powoli, trzymając kierownicę jedną ręką i zerkając co chwila w lusterka. – Ściągnęli wszystkie nasze siły. Wiemy, że to mogło być działanie pozorowane i chcieli nas zmęczyć albo uśpić naszą czujność, może też przećwiczyć swoich ludzi. Pułkownik Portnoy lubi ostre zagrania, ale może też kryć się za tym obsługa agenta i może nim być niejaki Viper… Perkele!

– To imię i nazwisko?

– Nie, *viper* po fińsku, niemiecku czy angielsku to żmija, pochodzi z łaciny, a *perkele* to znaczy *fuck*… no, tak mniej więcej.

– Poetyckie.

– Nic nie ustaliliśmy. Jak zwykle zresztą. Pojawiło się jednak maleńkie światełko w tunelu. Po raz pierwszy w idealnej maszynie Portnoya coś zazgrzytało. – Seppo przerwał, bo znów stanęliśmy, tym razem przed konnym pomnikiem marszałka Mannerheima. Przepuszczał na pasach grupę pieszych i kiedy ruszył, znów zaczął mówić: – Otóż ten Batulis, o którym dzisiaj mówiliśmy, zrobił coś dziwnego, co mnie zastanowiło. Wyjechał z ambasady rano. Od razu wyłapał naszą obserwację, tym bardziej że się nie kryliśmy, bo mieliśmy ich kryć prewencyjnie. Wyglądało na to, że jedzie do Tampere. Kiedy jednak Portnoy zaczął wypuszczać coraz więcej zajęcy, musieliśmy zdjąć z niego obserwację. Batulis nie był wysoko notowany, więc przerzuciliśmy ludzi na poważniejszych biegaczy. – Stanęliśmy na czerwonych światłach i Seppo znów zamilkł. Zaczął mówić, gdy ruszyliśmy. – Okazało się dzisiaj rano, że Batulis wyjechał siedemdziesiąt kilometrów za Helsinki i zatrzymał się na stacji benzynowej w pobliżu Riihimäki. Tam go odpuściliśmy, co z pewnością zauważył, ale samochód zostawił na stacji i wsiadł do autobusu w stronę Helsinek. I znikł nam.

– No to macie chyba celny strzał. Młody się wyłożył – odparłem. – Chyba awansował na waszej liście, co?

– Wygląda na to, że to on wykonywał zadanie. O ile nie był głównym zającem.

– Tak też mogło być.

Mimo zalegających pryzm śniegu Seppo sprawnie zaparkował samochód na jedynym wolnym miejscu przed potężną czteropiętrową kamienicą z lat trzydziestych.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił, wysiadając.

Z bagażnika ostrożnie wyjął torbę i wskazał mi drugą. Po chwili weszliśmy do budynku. Wjechaliśmy na czwarte piętro starą metalową windą zamykaną na harmonijkową kratę.

Przy drzwiach, obok wieszaka, stały spięte biegówki. Duży salon połączony z kuchnią urządzony był surowo, ale estetycznie, ze smakiem i w jasnych barwach. W powietrzu unosił się przyjemny zapach. Seppo nie palił papierosów.

W torbie, którą przyniósł Moilanen, były trzy stalowe garnki, a w mojej karton piwa Lapin Kulta. Otworzył dwie puszki i podał mi jedną, a drugą postawił obok siebie.

– To zrobiła dzisiaj Mia, moja eks. – Dotknął pierwszego garnka. – Poronkäristys, czyli danie z Rudolfa na piwie z grzybami i śmietaną. Jeszcze ciepłe. Nie ma lepszego w Finlandii, a tu ziemniaki, a tu purée z borówek i ogórki kiszone. Głodny?

– No, narobiłeś mi apetytu. Ale jeszcze większego sprawą tego zaginionego Batulisa.

– Niech się jedzenie zagrzeje, a my sobie pogadamy przy piwie. Sprawa jest prosta – rzucił i ruszył do salonu. Usiedliśmy w fotelach naprzeciwko siebie z puszkami w dłoniach.

– Więc… – zacząłem w fińskim stylu, jak mi się wydawało.

– Sprawa „Arlekina” jest pierwszą takiego kalibru, jaką prowadzimy wobec radzieckiej ambasady, w końcu dotyczy ich attaché morskiego. To bardzo wysoka figura. W mojej ocenie Portnoy prędzej czy później zorientuje się, że coś się dzieje wokół kapitana, jeżeli od początku nie jest to ich zaplanowana gra.

– A nie GRU? – zapytałem.

– I tu jest problem! – Seppo zmarszczył czoło. – Bo w ambasadzie rządzi Portnoy, czyli KGB, i pilnuje kapitana Razumowa. GRU działa głównie z pozycji rezydentury nielegalnej i bezpośrednio z centrali w Leningradzie. „Arlekin” z pewnością jest w kręgu ich zainteresowania, pod kontrwywiadowczą opieką, ale – pokręcił głową – niestety niewiele o nich wiemy. Niestety.

– Nie tylko wy. To i nasz ból głowy.

– Dobrze… zakładamy, że na razie nie ma w tym KGB i idziemy na czysto. Jak wiesz, Martin, im dłużej kręcimy się wokół kapitana, tym większe prawdopodobieństwo, że gdzieś coś wycieknie. Najszybciej to on sam zrobi jakiś błąd, chlapnie coś nie tam gdzie trzeba. To marynarz, nie szpieg, i myśli logicznie, a nie fantazjuje jak wy. No bo ja jestem z kontrwywiadu. – Uśmiechnęliśmy się. – Wbrew temu, co mówiłeś dzisiaj, rzeczy rzadko dzieją się przypadkiem, zawsze jest jakaś przyczyna i skutek, jak z twoim Szostakowiczem. Pewnie lubisz rosyjską muzykę, skoro masz ją na kasetach, a Razumow jest Rosjaninem, on jest z tej muzyki. Nie ma co drążyć tematu, to przecież oczywiste. – Skinąłem głową zaskoczony. – Nadarza się wyjątkowa okazja, by zdemaskować „Vipera”. Jeżeli Portnoy zorientuje się, że coś się dzieje, aktywuje „Vipera”. To szansa dla nas. A może już się zorientował i zdarzenie z Batulisem jest jakimś śladem? Prawdę mówiąc, nie wiem jeszcze, co i jak chcę zrobić, ale wiem jedno, „Viper” jest zagro-

żeniem dla „Arlekina” i waszej operacji… Myślę, że obie sprawy są teraz ze sobą związane. Za ciasno jest na tej scenie, żeby mogło być inaczej.

– Tak, to możliwe, ale dlaczego wasz szef nie poinformował naszego o „Viperze”? – zapytałem.

– Chciał, ale zrezygnował na moją prośbę.

– Dlaczego?

– Bo czekałem… czekałem na tę rozmowę… naszą dzisiaj. Sprawa „Mermaid” to nadzieja na złapanie „Vipera” i szansa na werbunek „Arlekina”. Gdybyśmy powiedzieli wam o tym, nie weszlibyście w tę operację. Zresztą w każdej służbie jest jakiś „Viper” i jakiś… Tom Higgins. Na pewno mnie rozumiesz. O naszych podejrzeniach nie wie nikt z rządu. Gdyby się dowiedzieli, woleliby rozwiązać SUPO, niż iść na zwarcie z Rosjanami. Polityka, co ci będę tłumaczył.

– Rozumiem i nie rozumiem jednocześnie – przerwałem Seppowi i zadałem pytanie, które musiało paść. – Skąd wiecie, że macie kreta?

– Wiemy.

– Powiesz?

Moilanen po raz pierwszy zamilkł, a moja teoria o małomówności Finów legła w gruzach. Rodziła się nowa, Finowie mówią na temat i są bardziej przebiegli, niż przypuszczałem. Za chwilę miała się sprawdzić ich szczerość i determinacja.

Tymczasem Seppo zagrał na czas. Poszedł do kuchni.

– Gotowe – doleciało po chwili wraz z dźwiękiem rozstawianych naczyń. – Trochę się ziemniaki przypaliły, ale jest okej. Chodź.

Po chwili usiedliśmy przy stole. Danie z renifera przypominało z wyglądu boeuf Strogonow, ale pachniało intensywnie grzybami. Wydawało mi się nawet, że lasem. Seppo bez pytania postawił przede mną duży kieliszek, drugi koło siebie i oba wypełnił zmrożoną na olej wódką.

– *Kippis*! – wzniósł toast po fińsku.

– *Kippis*! – powtórzyłem i wypiliśmy.

– Kilkanaście lat temu – mówił Seppo, kiedy zaczęliśmy jeść – zwerbowaliśmy w Tallinnie pewnego Rosjanina, był oficerem KGB z tamtejszego kontrwywiadu. Nazwijmy go Sasza, starszy gość przed emeryturą. Więc… nasz Sasza dawał bardzo dobre i sprawdzone informacje. Mieliśmy do niego pełne zaufanie. Pomógł w dekonspiracji agenta GRU w naszej marynarce, więc rozumiesz, że był…

– Tak, to wystarczające.

– Było to jeszcze na długo przed tym, zanim przyjechał tu Portnoy. Sasza miał w Tallinnie bliskiego kolegę, nazwijmy go Alik, który w połowie lat osiemdziesiątych przez dwa lata pracował w rezydenturze KGB w Helsinkach. Zwolniony ze służby z powodu nadużywania alkoholu. Wtedy był tu krótko szefem pułkownik Jewgienij Pawłow, pijak i leń. Arogancki Białorusin z Grodna. Alik wysypał się kiedyś po alkoholu, już po powrocie do ZSRR, że wie o źródle w SUPO. Już wcześniej podejrzewałem, że nasze informacje wyciekają do Rosjan, ale to był pierwszy bezpośredni sygnał ze źródła, że jednak mamy tego kreta. Zdarzały się sytuacje, jakby byli o naszych działaniach uprzedzeni, ciągle krok przed nami. Nic nie mogłem udowodnić, a musiałem sprawę trzymać w tajemnicy, co ograniczało moje możliwości działania. Nasze SUPO, jak wiesz, to nie jest duża służba. Doszedłem do wniosku, że „Vipera” mogę rozpracować tylko z pomocą Saszy. Dlatego dostał zadanie podpracowania Alika, żeby dowiedzieć się czego więcej o „Viperze”. Jak rozumiesz, nie ma dla nas nic ważniejszego. „Viper” ryje już tyle lat. Kiedy przyjechał Portnoy, sprawa jeszcze bardziej się skomplikowała. Skończyło się rozpasanie w ambasadzie i rezydenturze. Portnoy wprowadził dyscyplinę żelazną ręką i rzeczywiście poprawił efektywność, a nam utrudnił penetrację. „Viper” jakby przycichł. Ale zawsze znajdą się tacy, którzy nie lubią bata i zaczynają spiskować. Dlatego Portnoya nazywają Lemieszew.

– Dlaczego Lemieszew? – zapytałem. – Nie kojarzę… zaraz… gdzieś chyba słyszałem.

– Wiaczesław Lemieszew, bokser, waga średnia, mistrz olimpijski z Monachium. Portnoy jest do niego bardzo podobny, nienaganny równiutki przedziałek, przycięty wąsik. Ma w piwnicy ambasady wór bokserski i niemal codziennie napierdala tam godzinę. Nazywają go Lemieszew, bo mimo tej napierdalanki w wór nigdy nie zmierzwił sobie przedziałka, zupełnie jak ten prawdziwy Lemieszew, który często wygrywał przez nokaut i nigdy nie zmierzwił sobie grzywki. Mówią o nim, że to humanitarny bokser, bo nigdy nie bije do nieprzytomności. Zupełnie jak Portnoy, nokautuje od razu, ale daje szansę wstania na nogi. Tak o nim mówią w rezydenturze. – Seppo uśmiechnął się kwaśno. – Nie jest łatwo, ale jakoś sobie z nim radzimy. Tym bardziej że głasnost i pierestrojka swoje już zrobiły, także w KGB. Oni to wkrótce opanują, ale na razie trzeba orać…

– Pełna zgoda, zdajemy sobie z tego sprawę. A co z Saszą i Alikiem? – zapytałem, a Seppo spojrzał znacząco na kieliszek, ale pokręciłem głową.

– No właśnie! – odparł. – Sasza wywołał pilne spotkanie w Tallinnie. Przekazał informację, że Alik pokazał mu zdjęcie, na którym był „Viper", i zdołałby go rozpoznać, gdyby dostał materiał porównawczy. Zdjęcie „Vipera" było niewyraźne, małe, stał w grupie osób, więc wymagało głębszej analizy.

– Alik był wiarygodny?

– Zaawansowany alkoholik, jak ci mówiłem, z posuniętym rozmiękczeniem mózgu i ciężkim rakiem prostaty. Rozgoryczony zwolnieniem z KGB. Przekazał Saszy wiele ciekawych naprowadzeń, informacji, sprawdzonych, chociaż najczęściej fragmentarycznych. Nie mieliśmy podstaw, żeby mu nie ufać. Tak czy inaczej, to była ważna informacja i wymagała natychmiastowego sprawdzenia. Tymczasem sytuacja zaczęła się komplikować. Pewnego dnia Alik został wezwany przez kontrwywiad KGB na rozmowę. Zaczęli ostro wypytywać go o kontakty z Saszą. Twierdził, że nic nie powiedział, ale wkrótce Sasza zauważył, że jest obserwowany. Jego żona zmarła dwa lata wcześniej i nie stronił od wódki. Musieliśmy podjąć decyzję, co dalej. W końcu zdecydowaliśmy o jego eksfiltracji. Trzeba było ratować Saszę i jednocześnie zdemaskować „Vipera". Jak zdajesz sobie sprawę, to było bardzo skomplikowane przedsięwzięcie i musieliśmy zaangażować więcej ludzi, w tym ludzi z naszego wywiadu wojskowego. Plan był taki, że przerzucimy Saszę kutrem rybackim z Estonii do Finlandii, ale potrzebowaliśmy czasu i wcześniej musiał zniknąć w przygotowanej kryjówce i czekać na sygnał. To była bardzo ryzykowna operacja. Musieliśmy wybrać odpowiedni moment. Sasza ukrywał się przez cztery dni. Codziennie rano i wieczorem potwierdzał swoją gotowość, aż piątego dnia zamilkł. I to na dwa dni przed terminem eksfiltracji! To moja wina, że nie daliśmy rady wywieźć go wcześniej. – Seppo spuścił głowę. – Początkowo przypuszczaliśmy, że się rozmyślił, ale gdyby się poddał, to Rosjanie przecież obróciliby go przeciwko nam, a nie aresztowali.

– Raczej tak.

– Ale Sasza znikł. Przez kilka miesięcy nie dawał znaku życia. Szukaliśmy go, ale wszelki ślad po nim zaginął. Dopiero po kilku miesiącach dostaliśmy informację od BND, a oni uzyskali ją od jakiegoś radzieckiego detektora, że wtedy, kiedy Sasza zamilkł na przedmieściach Tallinna, podobno KGB zlikwidowało jakiegoś szpiega. Zaczęliśmy badać temat. Szybko okazało się, że to był nasz Sasza. Podobno bronił się, zabił dwóch kagebistów i popełnił samobójstwo. Sasza miał pistolet. Wiedzieliśmy

o tym. Zakładam, że wydał go „Viper”, ale nie mam na to bezpośrednich dowodów. Nie daruję mu. Zabiję skurwysyna! – wyrzucił z siebie i zobaczyłem, że zaciska pięści.

– Dobrze… – przerwałem.

Nagle okazało się, że Seppo nie jest zimny jak lapoński strumień. Byłem pewien, że byłby gotów zabić „Vipera”.

– Więc… co mogę zrobić? Masz jakiś plan? Podejrzanych? – próbowałem rozładować napięcie.

– Nie mam żadnego planu. Liczę, że razem coś wymyślimy. Próbowałem już wszystkiego, ale czuję, że jeżeli Portnoy zorientuje się, że coś się dzieje na jego terenie, będzie chciał się dowiedzieć co i wtedy aktywuje „Vipera”. Jest nadzieja, że popełni błąd… a może już go popełnił. Trzeba go tylko odnaleźć.

– Masz na myśli tego Batulisa?

– Tak. Batulis będzie wiedział, że przychodzisz do niego z polecenia kapitana, a relacje Razumowa i Portnoya nie są najlepsze, więc Batulis, jeżeli jest lojalny, powinien o tym zameldować rezydentowi. Mamy jakiś zaczyn, teraz zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Zdajesz sobie sprawę, że „Arlekin” jest najważniejszy.

– Oczywiście. Może Zatoka Fińska nie jest taka głęboka jak Atlantyk i mało kto o niej słyszał, ale dla nas jest najważniejsza – odparł zdecydowanie. – Pomyślałem, że „Vipera” załatwilibyśmy przy okazji, a właściwie można przyjąć nawet, że jeżeli go nie złapiemy, powodzenie sprawy „Arlekina” też stoi pod znakiem zapytania.

– Czy Koivisto wie o tym pomyśle, wie, że rozmawiamy?

– Nie, nie wie.

– Aha…

– Higgins też nie powinien wiedzieć.

– Rozumiem. Ile osób masz wytypowanych?

– Cztery osoby w pierwszym rozdaniu i dwie w zapasie.

– Czyli chciałbyś się dobrać do Batulisa? Muszę to wszystko przemyśleć. Nie wiem jeszcze, jak do tego podejść, ale… może… Nie mówię nie, ale też nie mogę powiedzieć, że tak. Rozumiesz mnie, Seppo? Zdarzenie na Atlantyku niepokoi ważnych decydentów w Londynie i Waszyngtonie. Coś się dzieje w Związku Radzieckim, a my nie wiemy co.

– My wiemy co – powiedział Seppo z przekonaniem. – Wy tam podkochujecie się w Gorbaczowie, a dla nas ZSRR czy Rosja to bez różnicy. Oni

i tak was oszukają. Jesteście czasami tacy naiwni, że żal dupę ściska! Muszę dostać „Vipera”, bo ten człowiek jest zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa, a w Związku Radzieckim dopiero coś się zaczyna i chuj wie, jak się skończy. Popatrz na mapę. Granica tysiąc trzysta kilometrów, a na jej dwóch końcach floty Bałtycka i Północna. Zresztą… należy im się wyrównanie rachunku za Saszę. Bez zneutralizowania „Vipera” nigdy nie będziecie pewni werbunku Razumowa.

– Ja to rozumiem, Seppo. Powiedziałem, że muszę to przemyśleć. Chcesz, żebym ci coś obiecał, a potem się nie wywiązał?

– Jasne, Martin. Wybacz moje poruszenie, ale kiedy myślę o Saszy, to… – Moilanen na moment zamilkł i po chwili zmienił ton. – Mam w ambasadzie nieformalne ucho, powiedzmy, że nazywa się Igor. To pracownik ochrony, a właściwie były żołnierz specnazu, weteran z Afganistanu, dwukrotnie ranny. Jest ich tam wszystkich siedmiu. Nie jest naszym regularnym współpracownikiem, ale ma tutaj gorący romans z pewną dziewczyną, która zna rosyjski, i bez oporów odpowiada na jej pytania. W ambasadzie nie może pobzykać, więc mu pomogliśmy poznać fajną dziewczynę. Mocno rozgoryczony życiem, nienawidzi Gorbaczowa i podoba mu się w Finlandii. Zarabia jakieś grosze. Jest dosyć inteligentny, bardzo jurny, spostrzegawczy i zaradny, więc ogólnie mówiąc, czerpiemy z tego źródła obficie. Lubi zapalić trawkę, a czasem coś mocniejszego, więc przymykamy oko i nie pytamy, skąd dziewczyna bierze towar. – Seppo puścił do mnie oko. – Zbliża się Nowy Rok. W ambasadzie będą świętować kilka dni. To żniwa dla nas na cały rok. Piją i gadają, kłócą się, kochają, czasami się nawet biją. Igor ma wtedy swój czas, bo nie może wtedy pić. Ktoś musi dbać o bezpieczeństwo, żeby reszta mogła balować. Może trochę przesadzam, ale…

– Nie jest formalnie zwerbowany, jak mówisz, więc jak możesz mu ufać?

– Właściwie nie mogę, ale kilka razy przekazał wyjątkowo ciepłe informacje. Portnoy na pewno by ich nie wypuścił. Tak czy inaczej, lepsze to niż nic. Zresztą dojrzewa szybko do finału. Oceniamy, że Igor domyśla się, w co gra, i z jakiegoś powodu godzi się na ten dialog. W niedzielę spotyka się ze swoją dziewczyną, więc może uzyskamy coś o wczorajszej imprezie Portnoya. Podpytamy go też o Batulisa.

– Dobrze. Zobaczymy, co przyniosą najbliższe dni. W końcu mam prawie miesiąc wolnego. Olivier i Louis pojadą pewnie do Londynu, a Tom… jak to Tom, zajmie się umacnianiem swojej pozycji. – Seppo uśmiechnął się

znacząco. – Ja zostanę, więc może popracujemy nad tym młodym Batulisem. To Litwin?

– Tak.

– A nie wiesz, skąd pochodzi, z jakiej miejscowości?

– Nie, ale pewnie z Wilna.

– Wiesz, że Litwa jest bardzo bliska memu sercu?

– Ciekawe – rzucił z wyraźnym zainteresowaniem.

– Stare dzieje. Może kiedyś… – Urwałem, spoglądając na pusty talerz. Nawet się nie zorientowałem, kiedy zjedliśmy renifera z przypalonymi ziemniakami i brusznicową sałatką.

– Dołożyć ci? – zapytał Seppo, widząc moją minę.

– Tak, poproszę.

19

Portnoy siedział w swoim gabinecie i przeglądał poranną pocztę, gdy na biurku odezwał się telefon.

– Przyszła natychmiastowa, towarzyszu pułkowniku – odezwał się szyfrant.

– Przynieś.

– Tak jest!

Portnoy nie lubił natychmiastowych depesz, szczególnie w sobotę rano. Kończyło się zawsze tak samo, cały dzień był stracony. W sobotę rano przychodziły zawsze szyfrogramy od kierownictwa, na które trzeba było natychmiast odpowiadać.

Wprawdzie lubił mocne wyzwania, ale od dwóch miesięcy nie miał wolnego dnia i był już po prostu zmęczony. Finlandia i te ciągłe wyjazdy do Polski. Tego dnia chciał zejść do piwnicy i poćwiczyć z workiem, a potem coś poczytać na kanapie i obejrzeć *Rambo* od Borysa. Nie mógł codziennie ratować Związku Radzieckiego, był już tym znudzony i chwilami wydawało mu się, że może nawet nie warto. Czasami myślał, że radziecka ojczyzna tak mocno chwieje się na nogach, że lepiej byłoby, gdyby się przewróciła i można było zacząć budowę nowego imperium. Widział w nim dla KGB, czyli siebie, szczególną rolę.

Tylko my mamy kadry i wiedzę, a Związek Radziecki to najbogatszy kraj świata i ludzie też mogą być bogaci, a więc i ja. Myślał tak coraz częściej, chociaż jego radzieckie sumienie wciąż szukało dla siebie alibi.

Uważał, że przyszłość jest tak niepewna, że nie tylko może, ale nawet powinien trochę pofantazjować.

– Wchodź! – zawołał, kiedy usłyszał stukanie do drzwi.

– Towarzyszu puł… – Nie dokończył, bo Portnoy machnął do niego.

Anatolij Porfirionowicz Kazubin był krótkowidzem, bo wzrok zepsuł mu się na szyfrowaniu. Miał sześćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na dziesięć więcej, chociaż prawie całe swoje życie spędził na dyplomatycznym wikcie. Prawie nie pił, nie palił, tylko szyfrował, odszyfrowywał, łowił ryby

i oszczędzał cenne dewizy na zakupy w Bieriozce. Musiałby się długo zastanawiać, żeby sobie przypomnieć wszystkie kraje, w których pracował. Oficerowie rezydentury uważali, że nie jest istotą, lecz maszyną, do której wrzuca się szyfrogramy. A Kazubin był człowiekiem, i to wrażliwym. Czytał wszystkie depesze, znał najtajniejsze tajemnice tego świata i bardzo się wszystkim przejmował. Im bardziej się przejmował, tym częściej sięgał po wódkę, więc w ciągu ostatnich dwóch lat zaczął pić coraz więcej i marniał w oczach. Kończył się jego świat i z każdą przeczytaną depeszą kończył się coraz szybciej. Nie wyobrażał sobie, że będzie świadkiem zagłady Związku Radzieckiego. To tak, jakby nagle zaczął zakładać skarpetkę najpierw na lewą stopę, kiedy przez całe życie zaczynał od prawej.

Kazubin czytał wszystkie depesze z wyjątkiem tych pisanych szyfrem rezydenckim. Te mógł pisać i odczytać tylko Portnoy. Nic w ostatnich miesiącach nie denerwowało Kazubina bardziej niż właśnie te depesze. Im więcej ich było, tym bardziej podejrzewał, że ze Związkiem Radzieckim jest gorzej, niż przypuszczał.

Szedł przez pokój Portnoya z teczką pod pachą, w której była właśnie taka depesza. Stanął przed biurkiem i wyrobionym ruchem wyjął papierową teczkę. Położył przed rezydentem i czekał na pozwolenie odejścia. Portnoy zajrzał do środka i pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Dużo – rzucił i dał znać Kazubinowi, że może odejść. – Powiedz Pietii, żeby nikogo do mnie nie wpuszczał.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odparł szyfrant i odmaszerował.

Gdy Portnoy został sam, podszedł do sejfu i wyjął bloczek szyfru rezydenckiego. Na szklanym blacie swojego biurka położył czystą kartkę. Depeszę zapisaną równo od brzegu do brzegu grupami pięciocyfrowymi zmiął tak, że kartka łamała się na pierwszym wierszu. Wyrwał kartkę z bloczka szyfrowego i zmiął tak samo jak pierwszą. Podsunął czystą kartkę i zaczął odejmować grupy pięciocyfrowe i zapisywać różnicę. Po półgodzinie powstała nowa depesza. Teraz musiał ją odczytać z tezaurusa.

Depesza była od szefa I Zarządu Głównego KGB, generała Władimira Siergiejewicza Potapowa.

Portnoy poczuł doniosłość chwili, bo szef prawie nigdy nie wysyłał depesz do rezydentów. Zanim odrobił kolejny rząd szyfrów, pomyślał przez moment, że może właśnie otrzymał awans na zastępcę, o czym od jakiegoś czasu mówiło się w Jaseniewie. Złe decyzje przekazywano ofierze w Cen-

trali. Wtedy karany nie wracał już za granicę. Tak na wszelki wypadek. Jednak po odszyfrowaniu drugiego zdania wszystko było już jasne.

Depesza dotyczyła sprawy „Dąb”. Portnoy spodziewał się tego.

Nasze źródła potwierdziły jednoznacznie, że kilka dni temu BND i MI6 przekazały w Helsinkach dyrektorowi generalnemu SUPO, T. Koivistowi, listę dwunastu naszych współpracowników oraz współpracowników Stasi w Finlandii. Lista została sporządzona na podstawie analizy materiałów przejętych w siedzibie MSf po zajęciu NRD. W związku z tym ocenić należy, że nasza sytuacja operacyjna w Finlandii jest krytyczna. Nie wiemy, jakie osoby znalazły się na liście ani też ilu było współpracowników Stasi, a ilu naszych. Nie wiemy też, jak te informacje są udokumentowane. Wiemy, że DG SUPO Torsten Koivisto poinformował już premiera i prezydenta i przedstawił im listę z nazwiskami. W naszej ocenie Finowie będą przeciwni ujawnieniu listy, a nawet samego faktu jej istnienia, bo przyniosłoby to im więcej strat niż pożytku. Bardziej prawdopodobne jest, że będą prowadzić rozmowy bezpośrednie ze wszystkimi wymienionymi w tym dokumencie, dając im szansę wyjaśnienia wszystkich okoliczności i odsunięcia się od polityki w zamian za odstąpienie od kroków prawnych czy politycznych. Tymczasem nie spodziewamy się żadnych kroków oficjalnych ze strony rządu fińskiego. Aktualny stan jest zatem dla nas wysoce niekorzystny. Wychodzimy z założenia, że Finowie prawdopodobnie znają nasze aktywa agenturalne, a my nie wiemy, kto został zdekonspirowany. Sytuacja ta, o ile będzie się przedłużać, może doprowadzić do paraliżu naszej aktywności wywiadowczej w Finlandii. Obawiamy się, że sprawa ta może przyczynić się do wzmocnienia nastrojów antyradzieckich i wzrostu sympatii proamerykańskich i proniemieckich. Wieloletni dorobek naszego wywiadu jest zagrożony. Musimy podjąć niecierpiące zwłoki działania, by zminimalizować straty. Liczymy teraz szczególnie na towarzysza „Kolę”. Jako najbliższy współpracownik Koivista powinien spróbować uzyskać dostęp do raportu, a przynajmniej ustalić, gdzie jest przechowywany. W załączeniu przekazujemy listę dziewięciu naszych współpracowników w celu weryfi-

kacji nazwisk z tymi, które zawarte są w dokumencie BND/MI6. Liczymy, że „Kola”, jeśli uzyska dostęp, będzie w stanie oddzielić nasze aktywa od Stasi. Lista w załączniku. Proszę potraktować tę sprawę jako bardzo pilną i podjąć natychmiastowe działania. W skrajnej sytuacji Centrala rozważa też „wypalenie” tematu i ujawnienie mediom fińskim faktu przekazania przez BND/MI6 dyrektorowi Koivistowi tego raportu jako prowokacji naszej służby. Centrala podjęła decyzję o czasowym zamrożeniu całkowitej aktywności operacyjnej rezydentury, z wyjątkiem sytuacji nadzwyczajnych. Pion „N” działa jak dotąd. W każdym uzasadnionym przypadku rezydent zobowiązany jest do wystąpienia o zgodę Centrali.

O rozwoju sytuacji będziemy informować. Proszę przekazać Centrali waszą ocenę sytuacji.

„Piotr”

Portnoy odsunął od siebie zapisaną kartkę, wypuścił powietrze i wyprostował się w fotelu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien przeczytać jej jeszcze raz, ale przekaz szefa był jasny.

Odłożył czerwony pisak, którym zwykle nanosił notatki.

Nie jest dobrze, nie jest, ale… – pomyślał, zakładając ręce za głowę – ale jak tak dobrze się zastanowić, to wszystko jednak zaczyna się układać. Teraz już wiem, skąd wziął się ten superteam z Londynu. Skurwysyny… chcą nas szarpnąć! To by się zgadzało, Irlandczyk Higgins jest za cienki i musiał dostać fachowe wsparcie. „Kola” ma jednak nosa, ale dziwne, że Koivisto nie powiedział mu o raporcie.

Wyciągnął z szuflady kartkę w kratkę i zaczął pisać.

W czwartek 13 bm. „Kola” wywołał pilne spotkanie. W piątek 14 bm. z zachowaniem najwyższych środków bezpieczeństwa spotkał się z nim oficer „Maks”, przydzielony wyłącznie do obsługi „Koli”. Zgodnie z procedurami spotkanie z „Kolą” zostało udokumentowane nagraniem. „Kola” poinformował o pojawieniu się w Helsinkach grupy specjalnej MI6…

20

Paavo wiedział, że szef, Torsten Koivisto, nie odpuści takiego dnia i pojedzie do swojego domu na półwyspie Hanko. Do zmroku będzie biegał na nartach, a potem spędzi czas na rozmowach w saunie.

W siedzibie SUPO na Ratakatu 12 będzie cicho i pusto.

Jazda na biegówkach nie była w Finlandii formą spędzania czasu, tylko ideowopatriotyczną deklaracją każdego Fina. Bieganie na nartach było oczywistym aktem patriotycznym wśród oficerów wszystkich szczebli. Paavo oczywiście też jeździł. Dopingował Finów z całego serca, dopiero potem Rosjan i zawsze cieszył się z przegranej Szwedów. A Norwegów dopingował w zależności od sytuacji.

W taki dzień Paavo też chętnie ruszyłby do swojej chaty, pojeździł z synem i posiedział w saunie z zimnym lapin kulta w ręku. Tym bardziej że był to ostatni weekend przed szalonym tygodniem przedświątecznym.

Dlatego był to też najlepszy dzień, by pójść na Ratakatu i spróbować poszukać informacji, czym zajmuje się Seppo Moilanen.

SUPO znajdowało się w narożnym trzypiętrowym neorenesansowym budynku przy Ratakatu i Fredrikinkatu. Budynek od początku pomyślany był jako siedziba służb specjalnych, czyli carskiej ochrany. Gruntownie przebudowany wewnątrz i dostosowany do wymogów nowoczesności.

Paavo jako asystent zajmował nieduży pokój naprzeciwko obszernego gabinetu szefa. Dzielili wspólny sekretariat, który od trzydziestu lat prowadziła zaufana wszystkich szefów Mia Svensson, była żona Seppa Moilanena. SUPO było małą służbą, więc wszyscy się znali z imienia i nazwiska, a czasami byli nawet w związkach rodzinnych, jak Mia i Seppo.

O ósmej wjechał samochodem przez bramę od Fredrikinkatu.

Na dziedzińcu wewnętrznym stały tylko dwa samochody. Od razu zauważył, że brak jest srebrnej toyoty camry, która zawsze parkowała na stanowisku 23. Na to liczył. Znaczyło, że Mia nie przyszła do pracy, co od rozwodu z Seppem było już niemal regułą. Kiedyś spędzała prawie każdą sobotę w biurze, bo Moilanen zostawiał ją w domu, a sam śledził szpiegów

po całej Finlandii. Wszyscy, którzy znali Mię i Seppa, wiedzieli, że to małżeństwo nie przetrwa.

Dyżurny otworzył drzwi śluzy i Paavo wkroczył do budynku. Przeszedł korytarzem do kolejnej śluzy. Drzwi znów się otworzyły i Paavo podszedł do stalowej windy. Dał znak ręką do kamery, ale winda się nie otworzyła. Dał znak jeszcze raz i dopiero teraz dyżurny rozsunął wrota.

To absurdalne, przecież wszyscy się tu znamy.

Wjechał na trzecie piętro. Korytarz był pusty. Znajdowało się w nim pięcioro drzwi po obu stronach. Gabinety zastępców po lewej, toalety i kuchnia, a po prawej od strony dziedzińca gabinet szefa, jego i pokój konferencyjny.

Po chwili był już u siebie. Przez interkom zapytał dyżurnego, czy w budynku jest któryś z zastępców. Okazało się, że na trzecim piętrze jest sam. Na to liczył. Zamknął za sobą drzwi na zamek.

Usiadł za biurkiem Mii i włączył komputer. Znał hasło i wiedział, co chce zrobić. Włożył dyskietkę i przystąpił do kopiowania zawartości twardego dysku. Wiedział, że zajmie to kilkanaście minut, więc w tym czasie przeglądał biurko Mii.

Znał je niemal na pamięć. Wiedział, gdzie co trzyma, w jakim porządku. Była pedantką i nigdy nic nie zostawiała na blacie.

Paavo miał bezpośredni i codzienny dostęp do szefa i jego zastępców, rozmawiał z naczelnikami i politykami, miał dostęp do informacji wywiadu, ale biurko Mii było jak kompas, który pozwalał mu skutecznie poruszać się w tym mętnym świecie dwuznaczności. W biurku Mii najważniejszy był notatnik, w którym każdego dnia zapisywała porządek spraw.

Mia była sekretarką szefa i tylko sporadycznie obsługiwała Paava. Właściwie to on pełnił funkcję sekretarza szefa, ale wszystkie sprawy organizacyjne i administracyjne prowadziła Mia.

Otworzył notatnik na pierwszym listopada, czyli miesiącu, którego jeszcze nie przeglądał. Przesuwając gumką ołówka, szedł w dół, dzień po dniu odczytując notatki. Mia skrupulatnie zapisywała wszystkie czynności i czasami używała swojego kodu. Paavo znał te zasady i potrafił je odczytać. Nie mógł kopiować notatnika, bo ksero było serwisowane i zabezpieczone przez wydział techniki. Jak dotąd przegląd notatnika zawsze wystarczał.

Doszedł do piętnastego listopada. Nie znalazł nic, co wzbudzałoby jego zainteresowanie. Wszystkie notatki Mii były mu znane lub zrozumiałe, a przynajmniej uzasadnione. Każdy zapis mógł przypisać do zdarzenia,

o którym wiedział lub w którym nawet uczestniczył. Pod datą szesnastego listopada w piątek Mia zanotowała na czerwono „bilety” i dwa dni później w niedzielę „godz. 22.30. lotnisko – Matti”.

Rozejrzał się po pedantycznym biurku, na którym nie było nic, na czym mógłby zapisać, więc poszedł szybko do swojego pokoju i wrócił z żółtą karteczką post-it. Przykleił ją do biurka, przepisał dane i przeglądał notatnik dalej.

Doszedł do siódmego grudnia. W rubryce zapisany był numer telefonu ze strzałką wskazującą na ósmego grudnia i dopiskiem „Matti, 19”. Dopisał te dane do kartki i w tym momencie komputer skończył kopiować dysk.

Haukka nie zdążył się podnieść z fotela, gdy ktoś chwycił za klamkę i poruszył nią kilkakrotnie, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno drzwi są zamknięte. Paavo pomyślał od razu, że to musi być mężczyzna. Mia była przecież delikatna.

Paavo wyciągnął dyskietkę i wyłączył komputer. Podszedł do drzwi i przyłożył ucho. Odczekał chwilę, ostrożnie otworzył zamek i szybko wrócił do swojego pokoju.

Wielokrotnie zamykał się, żeby przejrzeć biurko Mii, ale po raz pierwszy ktoś go zaskoczył. Trochę się zdenerwował, bo dyżurny wiedział, że jest sam na trzecim piętrze. Gotów był wymyślić jakieś wytłumaczenie, gdyby ktoś zapytał. Nieraz takie drobne potknięcia uchodziły mu na sucho.

Byłem w toalecie. Proste i przekonujące. Wprawdzie toaleta jest na korytarzu, ale przecież nikt nie będzie konfrontował faktów. Jeżeli ktoś mnie szuka, przyjdzie jeszcze raz albo zadzwoni.

Podszedł do okna, żeby zobaczyć, czy na dziedzińcu pojawił się jakiś nowy samochód. Pod wejściem stał czerwony volkswagen polo. Tak mu się wydawało, bo z góry nie mógł dobrze rozpoznać marki. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział ten samochód na parkingu.

– Cześć, Paavo! – usłyszał za sobą znajomy głos.

Obejrzał się. W drzwiach stał wielki Moilanen ubrany w szary gruby golf i niebieski ocieplacz.

– Cześć, Seppo! – odparł zaskoczony. – Ty nie na nartach? Co tu robisz?

– Przyjechałem po klucze od chaty.

– Aaaa tak, masz chatę koło Espoo. Pamiętam. Byliśmy tam kiedyś – rzucił Paavo i pokiwał głową. – Po klucze?

– Nie, to koło Medvastu. Chatę ma teraz Mia i zapasowe klucze zostawiła w biurku, a pojechała do matki, więc…

– Jasne. – Paavo wzruszył ramionami i przypomniał sobie, że rzeczywiście jakieś klucze leżą w dolnej prawej szufladzie. – Myślałem, że to twoja chata. Mia chyba z niej nie korzysta, o ile dobrze pamiętam.

– Czasami korzysta. Zresztą tak było uzgodnione.

– Ty nie masz swojej, tak?

– Nie mam.

– Okej – rzucił Paavo i usiadł za biurkiem. – Muszę się brać do roboty. Wybacz…

– Miłego weekendu – powiedział Seppo i znikł za drzwiami.

Paavo nasłuchiwał, jak Seppo otwiera szuflady. Po chwili trzasnęły zamykane drzwi i zapadła cisza. Odetchnął z ulgą.

Taka pogoda… pewnie chce zabrać do chaty swoich Anglików – pomyślał. Niewykluczone, niewykluczone… może, może… Podszedł do okna, żeby zobaczyć, czy Moilanen wsiądzie do tego samochodu.

Odczekał kilka minut, ale Seppo się nie pojawił, więc uznał, że to nie jest jego samochód.

Musiał zaparkować na ulicy.

21

Borys wszedł do dyżurki, gdzie na fotelu drzemał Piotr.

– Jest? – Wskazał głową na drzwi do gabinetu Portnoya.

– Zabronił przeszkadzać. Dopiero co wszedł Anatolij Porfirionowicz, więc…

– Aha… no to jasne, pewnie potrwa. W takim razie idę do siebie zdrzemnąć się chwilkę. Kurwa, od wczoraj mnie tak trzyma. Jak wyjdzie Kazubin, to powiedz mu, że jestem – powiedział Borys, odwrócił się sprężyście i ruszył w stronę drzwi.

– Nie wyłączaj magnetowidu, film się przegrywa! – zdążył jeszcze krzyknąć Piotr, nim kolega znikł za drzwiami.

Borys był wściekły. Pierdolony Lemieszew za godzinę go wezwie i nawet nie zdąży się przespać. Od tygodnia miał nocne dyżury i ciągle chodził niewyspany, a na dwunastą umówił się z Leeną. Nawet przy takiej kobiecie mężczyzna nie stanie na wysokości zadania, kiedy jest przeżuty jak guma. Nie mogę jej tego zrobić – pomyślał i niemal rzucił butami.

Poszedł do łazienki. Podniósł klapę sedesu i aż go cofnęło. Piotr znów nie spuścił wody.

Kurwa, ciągle zapomina! Ale klapę opuszcza. Pokręcił głową i nacisnął spłuczkę. Dobry chłopak, ale wciąż jest w Afganie i sra jak na kompanii.

Umył ręce i opłukał twarz. Pomyślał, że wykąpie się, jak będzie szedł do Leeny. Zapalił papierosa i położył się na kanapie w saloniku, który dzielił z Piotrem. Na stoliku obok jeden na drugim stały dwa magnetowidy. Migające czerwone i zielone światełka wskazywały, że właśnie trwa kopiowanie. Piotr kupował w Justensen tanie kasety VHS i kopiował filmy z wypożyczalni. Nie znał angielskiego i nie przejmował się jakimiś ostrzeżeniami FBI o ściganiu piratów. Po trzech latach, które spędził w górach Hindukuszu, FBI mogło mu skoczyć.

Miał już sporą kolekcję filmów wojennych i walki, z Jamesem Bondem, Van Damme’em, Schwarzeneggerem, sześć części *Emmanuelle* z Sylvią Kristel oraz imponującą kolekcję pornosów Teresy Orlowski, którą uważał

za słowiańską boginię. Powiesił nad łóżkiem jej plakat, tak żeby mógł ją widzieć przed snem.

Ale dzięki Leenie Borys nie miał ochoty się masturbować. Teresa Orlowski miała tę przewagę nad Leeną, że Piotr nie musiał się ukrywać ze swoją miłością. Od początku wiedział, że Boria ma romans z Leeną, którą poznał w wypożyczalni wideo Hollywood, i w zamian za szczegółowe relacje z intymnych spotkań Pietia krył przyjaciela przed Portnoyem. Obaj wiedzieli, że romans z miejscową dziewczyną zakończyłby się ich natychmiastowym powrotem do kraju, ale Pietia kryłby Borię i bez tego.

Borys od początku wiedział, że Leena jest w kontakcie z fińskimi służbami, i wcale mu to nie przeszkadzało. Więcej, uważał, że w ten sposób jest dla niej bardziej wartościowy, a nawet atrakcyjny. Zależało mu na niej. Dlatego chętnie odpowiadał na pytania, chociaż wiedział niewiele. Najczęściej po prostu przekazywał swoje obserwacje. Czasami nawet coś podkoloryzował, żeby lepiej wypaść, szczególnie po tym, jak coś razem wciągnęli albo zapalili.

Borys nie czuł, że zdradza ojczyznę. Odkąd wrócił z Afganistanu, miał głębokie przekonanie, a właściwie pewność, że to Gorbaczow zdradził Związek Radziecki, i nie czuł się już związany przysięgą. Czerwone serce pękło mu, kiedy w święto Wojsk Ochrony Pogranicza dziewiętnastoletni Niemiec wylądował awionetką pod murami Kremla. Uważał, że lojalność jest święta, ale teraz tylko wobec towarzyszy walki, szczególnie wobec kogoś takiego jak Pietia, który nie spuszczał po sobie wody. To nie była poważna wada. Po Afganistanie każdy miał problemy z psychiką, odpowiednie do tego, co go spotkało, uważał Borys, więc starał się pomagać Pietii i załatwił mu pracę w ambasadzie.

Poczuł ostry ból w palcach i poderwał się z kanapy. Wypalił się papieros. Zaklął i strzepnął popiół ze swetra, gdy zadzwonił telefon.

– Dawaj, Boria! – odezwał się Piotr. – Czeka na ciebie. Pospiesz się.

Kiedy wszedł do pokoju, Portnoy stał przy oknie z rękami splecionymi z tyłu i przebierał kciukami.

Borys zameldował się, ale Portnoy się nie odezwał. Od razu poczuł, że atmosfera jest napięta. Anatolij Porfirionowicz musiał przynieść złe wiadomości – pomyślał Borys i przy drzwiach czekał na pozwolenie wejścia.

– No i co tam wczoraj? – odezwał się w końcu Portnoy, ale się nie odwrócił.

– Batulis zostawił samochód na stacji benzynowej w – urwał – nie pamiętam nazwy, ale wiem, gdzie to jest. Pięćdziesiąt kilometrów na drodze do Tampere. Przyprowadziliśmy go i stoi na parkingu.

– Hmm – mruknął Portnoy i odwrócił się. – A mówił, dlaczego go tam zostawił?

– Pytałem, ale nie powiedział. Nie chciałem naciskać, bo…

– Nie zorientował się?

– Chyba nie.

– A o Litwę pytałeś?

– Pytałem.

– No i co?

– Właściwie to…

– Boria, kurwa mać, czy ja mam z ciebie ciągle wszystko wyciągać? – zdenerwował się Portnoy. – Nie mam dobrego nastroju, więc mów wszystko i spierdalaj. – Podparł się pod boki. – I co? Popiera niepodległość Litwinów czy nie?

– Z tego, co powiedział, to zdecydowanie nie popiera. Jest za radziecką Litwą.

– Pewny jesteś? A jak to powiedział? Że co…

– No, spytałem go, co on na to, co tam na tej Litwie robią, i powiedział, że głupio robią i trzeba to zmienić, nie wolno pozwolić – relacjonował Borys, ale jakoś mało przekonująco.

– Tak powiedział… mówisz. – Portnoy popatrzył na niego podejrzliwie.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku, tak właśnie powiedział – potwierdził stanowczo Borys, bo wyczuł, że mu pułkownik nie dowierza.

– No dobrze, dobrze. Spisałeś się. Jesteś wolny.

– Odmeldowuję się.

Borys wyszedł do dyżurki. Puścił oko do Piotra, a ten skinął głową i wykonał ruch pięścią, jakby zadawał sierpowy. Borys uniósł ręce, markując gardę. Uśmiechnęli się do siebie.

Wrócił do mieszkania. Miał trzy godziny, żeby się przespać.

Sprawa Witii załatwiona – pomyślał. Najbardziej nienawidził donoszenia na kolegów, a Lemieszew ciągle go do tego wykorzystywał, bo uważał, że Borys jest mu coś winny za załatwienie placówki w Helsinkach dla niego i dla Piotra. A on był żołnierzem specnazu, a nie szpiegiem ani tym bardziej kapusiem.

Czasami jednak Portnoy nie doceniał przebiegłości żołnierza z bojowym doświadczeniem. Pułkownik spacerował po Londynie, Rzymie czy Nowym Jorku, ale nie w górach Afganistanu, gdzie żeby przeżyć, trzeba było mieć oczy dookoła głowy, słuch wilka i szybko podejmować decyzje.

W sumie to głupi chuj z tego Portnoya – pomyślał z lekkim rozbawieniem Borys przed zaśnięciem, bo wcale z Batulisem o Litwie nie rozmawiał. A co go to obchodzi. Niech ci Litwini robią sobie, co chcą. Jak chcą, to niech spierdalają.

W tym czasie Portnoy wciąż siedział w swoim gabinecie.

Witalij zrobił coś, z czego nie potrafił się wytłumaczyć, a może nie chciał. Borys tego nie ustalił. Zresztą Portnoy nie oczekiwał, że sierżant specnazu będzie miał zdolności transcendentalne i rozszyfruje intencje inteligentnego Batulisa. Borys był jednak spostrzegawczy i potrafił trafić w sedno.

Sprawa z samochodem była drobiazgiem i każdemu oficerowi zdarzają się takie wpadki. Nie mogła mieć wpływu na realizację zadania. Problemem było to, że Batulis nie przyznał się i uparcie brnął w kłamstwo. A to była już poważna sprawa, bo Portnoy mu zaufał i wystawił go do obsługi „Koli”. W końcu dostał najlepszą robotę w rezydenturze. Kiedy inni oficerowie musieli ciężko pracować na zaufanie i sympatię przełożonego, Batulis dostał wszystko za darmo. Miał wysoki dodatek operacyjny i nie musiał nic robić, wszystko dzięki temu, że Portnoy go lubił.

Dobrze, że jest chociaż pryncypialny i ma zdrowy stosunek do pomysłów litewskich nacjonalistów – pomyślał Portnoy, ale nie był tego całkowicie pewien.

Gorbaczow rozbudził emocje i w Związku Radzieckim pojawiły się sympatie nacjonalistyczne, i to nie tylko w republikach, ale także w armii, a nawet w KGB. Batulis miał dobre pochodzenie, ojciec pułkownik GRU, ale nigdy nie było wiadomo, jak zareaguje w sytuacji, kiedy musiałby wybierać. Dotąd nie musiał, ale zachodnie służby już zaczęły kusić.

Portnoy wiedział, że musi się natychmiast spotkać z „Kolą”. Postanowił jednak wyłączyć Batulisa. Musiał porozmawiać ze źródłem w cztery oczy. Tym bardziej że wyciąganie całej rezydentury w teren drugi raz nie wchodziło w grę. Lokal konspiracyjny Omsk od poniedziałku miał być już dostępny.

Był weekend, wszyscy szaleli na przedświątecznych zakupach albo rozpalali piece w swoich chatach. To był dobry dzień. Postanowił zrobić to

teraz sam, klasycznie, tak jak kiedyś.

Otworzył sejf i wyjął nieduże metalowe pudełko wielkości grubej książki. Wrócił do biurka, położył je przed sobą i otworzył. Wewnątrz ukazał się granatowy pager firmy Motorola, a obok podłączona do niego mała klawiatura. Zestaw „Zoria" służył do tajnej łączności z „Kolą" w sytuacjach nadzwyczajnych. Od roku, kiedy był na wyposażeniu rezydentury, wykorzystywany był tylko dwa razy. Portnoy zdecydował użyć go po raz trzeci.

Pager Motoroli był typowym urządzeniem, w które wyposażeni byli oficerowie SUPO. „Zoria", który wyglądał jak ten pager, został zmodyfikowany przez techników KGB. Odróżniał się od oryginału tym, że działał w dwie strony. Można było przesyłać nim krótkie szyfrowane wiadomości, które wpisywało się oddzielną klawiaturą. „Kola" mógł zrobić to samo. Transmisja musiała się jednak odbywać spoza terenu ambasady, ponieważ sygnał mógł zostać przechwycony. Portnoy wiedział od „Koli", że Finowie zakupili właśnie od Szwedów najnowsze urządzenia nasłuchowe.

Dlatego żeby wysłać wiadomość, Portnoy musiał wyjść z budynku i zrobić trasę sprawdzeniową.

Wpisał w „Zorię" informację dla „Koli" i schował zestaw do sejfu.

To był ciężki tydzień, a ostatnie dni wprost okropne – pomyślał Portnoy. Coś mi się też należy, w końcu jest sobota. Muszę się wyładować. Wiadomość do „Koli" wyślę w niedzielę rano.

– Gdyby ktoś mnie szukał, będę na dole, a potem w domu – poinformował Piotra, przechodząc przez dyżurkę.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – rzucił Piotr, podrywając się z krzesełka, a później dodał szeptem: – Towarzyszu Lemieszew.

22

Raymond przyszedł około dziewiątej. Usłyszałem go już w przedpokoju. Kaszlał, jakby jego małe płuca chciały wyrwać się na wolność. Od razu wiedziałem, że to przedstawienie. Gromkim głosem oznajmił, że przeziębił się przeze mnie, bo musiał siedzieć w zimnym samochodzie, ale na znak pojednania przyniósł mi na śniadanie słodkie bułeczki i świeżo wyciśnięty sok z grejpfruta.

Gdy wszedłem do kuchni, stał zanurzony w lodówce.

– Wstrętny ten czosnek! – oznajmił. – Jak mogłeś to zjeść. Ale ogóreczek owszem, owszem – dodał, kończąc przegryzanie. – Na kieliszeczek moskowskiej jeszcze za wcześnie? Jak myślisz? Może powinienem na przeziębienie…

– Za wcześnie… chyba – odparłem, chociaż wiedziałem, że Raymond nie pije alkoholu przed południem, o ile nie jest na lotnisku. – Zjedz czosnku, Rosjanie się tym leczą.

– Zjadłem, chociaż jest okropny, ale wódką też się przecież leczą – rzucił z przekąsem, sztucznie pokasłując.

Zapach kawy rozchodził się po całym mieszkaniu. Ray rozstawił talerzyki i filiżanki.

– Wiedziałeś, że Finowie piją najwięcej kawy na świecie? A ja myślałem, że Włosi – ciągnął Ray, nalewając kawę. – Ale to nic! Kurwa… całą noc śnił mi się Gorbaczow. Okazał się całkiem sympatycznym gościem. Spacerowaliśmy razem gdzieś nad morzem i dyskutowaliśmy o problemach świata, chyba we Włoszech byliśmy, a nad naszymi głowami latały mewy i darły się tak, że mało co słyszałem. Mówię do niego, panie sekretarzu generalny, nic pana nie słyszę. A on machnął ręką, jakby chciał coś zademonstrować, tak jak robi czasami tancerz, i od razu nad nami przeleciały w bojowym szyku cztery radzieckie migi. Patrz! I mewy nagle znikły. Nie pamiętam, o czym tak tam dyskutowaliśmy, ale na koniec powiedział, że bardzo lubi moją żonę, że jest piękna i że wie, gdzie mieszkam. Dziwne, co? Muszę ostrzec Ginę.

Usiedliśmy na fotelach. Włączyłem telewizor i nastawiłem BBC.

– Ty to w tych snach masz drugie życie, Ray – powiedziałem. – Ale rzeczywiście, chyba musisz powiedzieć Ginie, że się podoba Gorbaczowowi. Dla kobiet to ma znaczenie. Ale najpierw zapytaj, czy on się jej podoba. Bo jeśli tak, tobym jej nie mówił. Wiesz… znalazłbyś się w trudnej sytuacji, bo wcale nie jesteś do niego podobny.

– Uważam, że jestem przystojniejszy od Gorbaczowa, chociaż jestem niższy, a poza tym ta jego plama… – Pokręcił głową. – Tak zrobię, przyjacielu. Zawsze można liczyć na twoje mądre rady. No dobrze… to opowiadaj teraz, czego chciał ten wielki niedźwiedź – odparł Ray z uśmiechem i lekką ironią, bo sam był bardzo drobny i przy Seppie wyglądał groteskowo.

Opowiedziałem o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach. Raymond nie przerywał, słuchał z pozorną obojętnością. W ten sposób zaznaczał swoje miejsce w grze. Wiedział, że jest dla mnie najważniejszą figurą. I choćby nic nie powiedział, to też byłaby jego opinia i też dla mnie decydująca. Nigdy nie zrobiłem nic wbrew niemu, a on wbrew mnie. Dzięki temu nigdy nie przegraliśmy.

Tak było i tym razem.

– Ten wielki Fin z Laponii ma większe jaja niż nasz irlandzki arystokrata – skomentował Ray i to mi wystarczyło. – Trzeba im pomóc.

– Ale nie mam pojęcia, jak moglibyśmy mu pomóc. Jak połączyć „Vipera” z „Arlekinem”? A poza tym Seppo jest chyba z Karelii.

– Samo przyjdzie – rzucił Ray, przegryzając bułeczkę i popijając kawą. Nigdy nie lubiłem, kiedy mówił i jadł jednocześnie. – Jest jeszcze za wcześnie, żeby coś budować, nie?

– Prawda. Mamy czas… trochę czasu… Teraz trzeba tylko uwiarygodnić nasz kontrakt na tarcicę u tego młodego szpiega… Batulisa i zobaczymy, co dalej. – Spojrzałem na Raya, który wciąż bułkę popijał kawą, i pomyślałem, że nie jest mi teraz potrzebny i powinien pojechać na święta do domu, do Giny i małego Gulia. Sam by o to nie poprosił. Musiałem jednak zaczekać na decyzję szefa, którą wkrótce miał przynieść nam Higgins. – Do cholery, Ray! Nie możesz najpierw połknąć tej bułki, a potem popijać ją kawą?

– Nie – odparł krótko i na złość mi znów to zrobił.

Skończyliśmy śniadanie i przez chwilę siedzieliśmy wpatrzeni w telewizor. Na świecie nie działo się nic szczególnie ważnego. Po relacji, którą zdałem Rayowi, zacząłem rozmyślać o wczorajszym spotkaniu i zastana-

wiać się, jak pomóc Seppowi w ujęciu „Vipera” i jak to pogodzić z werbunkiem kapitana Razumowa.

Atmosfera podczas naszego śniadania była depresyjna. Nie wiedzieliśmy, jak pomóc Seppowi, a Seppo nie wierzył w powodzenie naszej operacji. Nad wszystkim czuwał złośliwy duch Toma Higginsa. Utkwiliśmy w klinczu i obaj o tym dobrze wiedzieliśmy. Zerkałem na Raya i wiedziałem, że myśli tak samo.

– Może zwiedzimy tę cerkiew, tam, wiesz… – odezwał się Ray i zaniósł się udawanym kaszlem, a po chwili dorzucił po rosyjsku: – *Możet my cztonibud’ pridumajem.*

– Sobór Uspieński? – zapytałem dla pewności. – Bo tutaj jest kilka cerkwi.

– Tak, ten… na wzgórzu, ten z czerwonej cegły. Nie byliśmy tam jeszcze – odparł Ray. – Lubię cerkwie. I te chóry cerkiewne. Bardzo, bardzo…

– A jak się czujesz? – zapytałem. – Masz gorączkę?

– Nie mam. Tylko ten kaszel, ale to nic. Mróz i czosnek powinny zabić te pierdolone bakterie. – Ray podniósł się, jakby chciał dać sygnał do wyjścia. – Pójdziemy po lodzie? To tylko dwa i pół, trzy kilometry. Sprawdziłem. W życiu nie chodziłem po takim lodzie. Jest przepiękna pogoda, pełno ludzi tam spaceruje. Potem skoczymy coś zjeść i wypić. Widziałem fajną rosyjską restauracyjkę niedaleko tej cerkwi.

Termometr za oknem wskazywał minus szesnaście stopni.

Była dziesiąta trzydzieści, kiedy wyszliśmy z domu. Słońce wisiało nisko nad horyzontem i świeciło prosto w twarz, więc założyliśmy ciemne okulary. Zjeździliśmy prawie cały świat i wiedzieliśmy, że słońce ma różne oblicza w różnych miejscach, ale takiego niezwykłego światła dotąd nie widzieliśmy. W puchowych kurtkach, futrzanych uszankach zawiązanych pod brodą i ciemnych okularach wyglądaliśmy jak zaginieni bohaterowie arktycznej wyprawy Amundsena. Gdy zeszliśmy na lód, mieliśmy wrażenie, że słońce zapłonęło jeszcze mocniej.

Szliśmy na zachód odśnieżoną ścieżką, mijając od czasu do czasu spacerowiczów, narciarzy, a nawet rowerzystów. Ray przestał kasłać. Zasłonił usta szalikiem, który po chwili się zeszronił.

Przejście zajęło nam czterdzieści pięć minut. Przez całą drogę nie zamieniliśmy słowa. Doceniłem buty ze Stockmanna. Warte były tej ceny.

Weszliśmy na wysoki brzeg i po kilku minutach wspinaczki dotarliśmy do soboru. Stanęliśmy na placu przed wielkim budynkiem z czerwonej

cegły, który przypominał gazownię w Warszawie albo tkalnię w Manchesterze. Rozejrzeliśmy się wokół. W pobliżu kręciło się kilka osób. Ze szczytu rozpościerał się widok na Helsinki skąpane w słońcu i górującą nad dachami neoklasycystyczną bryłę katedry przy placu Senackim.

Zdjęliśmy okulary, czapki i weszliśmy do soboru.

Wewnątrz było ciepło. Stanęliśmy na skraju nawy głównej naprzeciwko ikonostasu.

– Piękny – powiedziałem cicho po chwili kontemplacji. – Dużo piękniejszy niż sam sobór.

– Ten w Kijowie był piękniejszy – odparł Ray.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – zapytałem. – Nie znasz się przecież na ikonach. Kto to Andriej Rublow?

– Nie wiem, ale piękno jest pojęciem pozanaukowym. To kwestia wrażliwości. Nie trzeba się znać.

– Hmm, właściwie masz rację.

Spojrzałem w prawo. W nawie bocznej pod ścianą była ławka, na której siedziała młoda kobieta. Na głowie miała grubą włóczkową czapkę i czytała książkę rozłożoną na kolanach.

– Usiądziemy? – zapytałem i Ray od razu zauważył, w którą stronę patrzę.

– Jaaasneeee! – rzucił ściszonym głosem i ruszył w tę stronę.

Po chwili siedział już obok kobiety. Nie zdążyłem jeszcze podejść, kiedy zaczął z nią rozmawiać.

– Pani ma na imię Marina i jest naukowcem z Leningradu – oświadczył, gdy się zbliżyłem.

Miała niebieskie oczy z lekkim wschodnim skosem, wyraźne ciemne brwi, drobny nosek i kształtne usta, do tego dochodziła oliwkowa cera i miły dar uśmiechania się podczas mówienia. Na palcu serdecznym szczupłej dłoni dostrzegłem mały złoty pierścionek z rubinem, a w uszach podobne kolczyki. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Po matce Kazaszka, po ojcu Rosjanka z małego Stawropola u stóp Kaukazu, gdzie zmieszało się szesnaście narodów.

Marina miała zmienić moje życie, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Po pięciu minutach zniewoliła Raya, a po chwili także i mnie. Po raz pierwszy z własnej woli przyznaliśmy się, że jesteśmy biznesmenami

i znamy rosyjski. Nie próbowaliśmy wytłumaczyć sobie nawet, dlaczego to zrobiliśmy.

Marina była etnografem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Leningradzkiego, i przyjechała do Helsinek na stypendium. Pisała doktorat z kultury Saamów, ale temat był tak skomplikowany, że nie zapamiętałem.

Nie była religijna, jak o sobie mówiła, ale o soborze Uspieńskim, czyli Zaśnięcia Matki Bożej, w Helsinkach wiedziała wszystko. Spowodowała, że w mojej wyobraźni gmach ponurej dotąd gazowni cudownie przemienił się w perłę architektury ze złotymi kopułami poświęconymi Jezusowi i jego apostołom. Usłyszeliśmy historię ikony Theotokos z Kozeltshanu. I chociaż nie różniła się niczym szczególnym od innych ikon, które zwykle uzdrawiały ludzi, to wkrótce zobaczyliśmy promienie wydobywające się z ikonostasu. Ray nawet przestał kaszleć. Potem poznaliśmy historię Świętego Jana Kronsztadzkiego i Związku Narodu Rosyjskiego.

W ten sposób zaprzyjaźniliśmy się z Mariną Morozową i resztę dnia spędziliśmy razem. Dopiero w restauracji Kalinka, do której z ogromnym trudem dała się zaprosić, zobaczyłem, że pod czapką skrywa czarne połyskujące włosy spięte w gruby francuski warkocz.

Wkrótce zapomnieliśmy, po co przyjechaliśmy do Finlandii.

„Arlekin", „Viper" i atomowe okręty podwodne znikły gdzieś w niebycie i jak dzieci zatopiliśmy się w saamskich baśniach z Dalekiej Północy. Dowiedzieliśmy się, że wśród rosyjskich studentów odradzają się czarnosecińskie idee, że na Kaukazie i w Uzbekistanie budzi się islamski nacjonalizm, że rośnie przestępczość. Choć o tym wszystkim wiedziałem, to jednak miałem wrażenie, że o zmierzchu komunizmu dowiedziałem się od Mariny więcej niż ze wszystkich raportów MI6, gazet, telewizji i od kremlinologów. Tak działało zauroczenie.

Wieczorem odprowadziliśmy Marinę do domu akademickiego.

Stojąc na ulicy, stwierdziliśmy, że po tak miłym dniu byłoby dobrze spotkać się raz jeszcze, i wymieniliśmy się numerami telefonów. Marina, po półrocznym pobycie w Finlandii, wkrótce wracała do Leningradu.

Ray mieszkał niedaleko, więc wrócił do siebie pieszo. Ja pojechałem na Kulosaari taksówką.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że ktoś taki jak ja, przeorany przez życie czterdziestopięcioletni szpieg, cieszy się z tkwiącej w kieszeni karteczki z numerem telefonu Mariny. Nie miałem poczucia, żebym stracił operacyjną wrażliwość, i może dlatego dałem się uwieść swojej spontanicz-

nej naiwności. Potrzebowałem chwili normalności z kimś, kogo mogłem obdarzyć bezinteresowną sympatią. Zdawałem sobie sprawę, że właściwie uwiodłem samego siebie, bo to było zwyczajne zauroczenie.

A przecież doskonale wiedziałem, że każdy radziecki obywatel wyjeżdżający na Zachód był pod kontrolą KGB, a naukowcy w szczególności.

Do końca dnia nawet przez chwilę nie pomyślałem o kapitanie Razumowie, chociaż od chwili gdy przyleciałem do Helsinek, zawładnął mną całkowicie. Obiecałem Seppowi, że przemyślę sprawę „Vipera” i przedyskutuję ją z Rayem. Miałem to zrobić właśnie tego dnia, ale Marina skradła go nam i zupełnie zapomniałem.

Następnego dnia Seppo miał zabrać cały nasz zespół do swojej chaty nad morzem. Nigdy nie byliśmy w prawdziwej fińskiej saunie, więc wszyscy byliśmy trochę przejęci, ale najbardziej Ray i Louis.

23

Paavo siedział w fotelu i zastanawiał się, czy Seppo na pewno wyszedł, bo mógł przecież pójść do swojego pokoju na drugim piętrze. Zaczął się niepokoić, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Moilanen często pracował w weekendy czy wieczorami i nie było w tym nic dziwnego. Ten łowca szpiegów o kartoflanym łbie był jednak wyjątkowo przebiegły i zawsze można było coś przeoczyć, czego on akurat nie przeoczy – uważał Paavo.

Przysunął do siebie telefon i wybrał na interkomie numer dyżurnego.

– Moilanen już wyszedł? – zapytał.

– Tak, jakieś dziesięć minut temu – odparł dyżurny.

– A to nie jego samochód na parkingu? Ten czerwony.

– Tak, ale Seppo wyszedł pieszo na Ratakatu.

– Nie mówił, czy wróci?

– Nie, nic nie mówił, ale musi wrócić po samochód.

– Tak, pewnie poszedł do sklepu.

– Może – rzucił obojętnie dyżurny.

– Dziękuję.

– Mam mu powiedzieć, jak wróci, że szukał go pan?

– Nie, nie trzeba. Sam to załatwię. – Paavo się rozłączył.

Spojrzał na zegar. Dopiero po dziewiątej, a w sobotę, pomijając sklepy spożywcze, handel zaczynał się o dziesiątej. Oczywiste było, że nie poszedł po chleb i mleko. W swetrze i ocieplaczu nie mógł przecież zajść daleko, więc pewnie zaraz wróci po samochód – pomyślał. Ciekawe, dokąd poszedł ten pierdolony łoś. Pewnie ma tu gdzieś jakąś babę. Blisko, więc wyskakuje z pracy na numerek. Moilanen? Eeee… niemożliwe. Orgazmu dostaje tylko w pracy. Dlaczego zaparkował na terenie? Spotkanie w sobotę o dziewiątej rano? Czy dzieje się coś dziwnego…? A jak dziwne, to nie może być nic innego jak ci pierdoleni Anglicy. Nie, nie, to byłoby za proste.

Wybrał ponownie numer dyżurnego.

– Jak Moilanen wróci, to proszę o telefon.

– Oczywiście.

Wyłączył interkom i zaczął się zastanawiać, czy jednak nie postąpił pochopnie.

Dyżurny z pewnością powtórzy mu, że o niego pytałem… Hmm… muszę teraz mieć jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Moilanen jest podejrzliwy i na pewno zacznie się zastanawiać, co też od niego chciałem. No nic, stało się. Powiem, że już nieaktualne, albo… Tak, tak powiem. Nie powinien przyłapać mnie na jakimś kłamstwie, to byłoby jeszcze gorsze. Bo dyżurny może mu nie powiedzieć, że o niego pytałem. Czyli wychodzi na to, że muszę tu czekać, aż wróci. Bo jeżeli wyjdę, to na pewno mu powie, że o niego pytałem. Chociaż może lepiej będzie, jeżeli wyjdę, wtedy nie będę musiał się tłumaczyć. Ech…

Paavo siedział w fotelu wpatrzony w okno i wiedział już, że ten dzień nie zaczął się dobrze. Domyślał się, że Seppo szuka rosyjskich szpiegów, i był niemal pewien, że i on może być na jego liście podejrzanych.

Moilanen bardzo się zmienił po śmierci pułkownika Jewgienija Hamno w Tallinnie. Wszyscy wiedzieli, że zacisnął zęby i nie odpuści, dopóki nie złapie zdrajcy, a właściwie go nie zabije.

– Jebani, mściwi Karelowie. Siekiera to ich leśne prawo, nie żadna finezyjna trucizna, pistolet z tłumikiem, cienki nóż, nic wyrafinowanego, siekierą, kurwa, przez łeb, i już – mamrotał Paavo, który wyjątkowo nie lubił prawosławnych Karelów. – Nie odpuszczą, dopóki ci łba nie odrąbią. Ja pierdolę! Kto go przyjął do służby?

Paavo poczuł, że zaczyna się nakręcać. Zawsze podejrzewał, że ze strony Seppa może mu grozić niebezpieczeństwo, i czasami myślał, że powinien poprosić Moskwę o wyeliminowanie go, ale bał się, że wyjdzie na tchórza i słabeusza. Zresztą sytuacja jeszcze nie była tak napięta, by musiał o to prosić. W Moskwie cieszył się szacunkiem za profesjonalizm i odpowiedzialność. Kierownictwo z pewnością spełniłoby jego prośbę, jednak likwidacja wysokiego oficera SUPO byłaby ostatecznością i zrodziłaby podejrzenia o nadwrażliwość – zastanawiał się Paavo. Nigdy nie stawiaj przełożonych przed trudnym wyborem, powtarzał ojciec, nie dopuszczaj do sytuacji, w której byłbyś postrzegany jako źródło problemu, nawet potencjalne, bo szybciej i łatwiej zlikwidować ciebie niż problem. Jak zaczynają ginąć wokół ciebie ludzie, to znaczy, że to z tobą jest coś nie tak. Ryzyko rośnie. Załatwiaj sprawy sam, wtedy cię docenią, a nie o wszystkim muszą wiedzieć. Ojciec wiedział, co mówi. Pułkownik NKWD i KGB Jukka

Haukka dożył dziewięćdziesięciu pięciu lat i zmarł we własnym domu otoczony kochającą rodziną. Spoczął na wojskowym cmentarzu Hietaniemi w asyście kompanii honorowej, a na pogrzebie nie zabrakło fińskiej generalicji.

Mimo wszystko Paavo nie czuł się pewnie. Ojciec był twardy i przeszedł wojnę, ale dzisiaj miałby duże problemy, żeby się odnaleźć, gdyby zobaczył, co się dzieje w Związku Radzieckim – pomyślał Paavo. Ja taki nie jestem. Miałem rozpracować Moilanena, a wyszło na to, że dałem na siebie materiał.

– No nic. Zobaczymy – rzucił na głos i westchnął głęboko. Podszedł do okna. Samochód Seppa wciąż stał na parkingu. Przeszedł do mapy Finlandii, która wisiała przy drzwiach. Dotknął palcem nazwy Medvast.

– To gdzieś tu… – przesunął palec niżej – tak, to tutaj. Teraz pamiętam. Duża biała chata nad morzem z zielonym dachem, dom pod lasem. Pamiętam. *Fuck*! – zaklął niespodziewanie. – Kartka! – Przypomniał sobie, że na biurku Mii zostawił karteczkę z zapiskami.

Szybko przeszedł do sekretariatu. Kartka leżała tam, gdzie ją zostawił. Zabrał ją i wrócił do swojego gabinetu. Otworzył kalendarz służbowy na dacie 16 listopada, piątek. Mia zapisała na czerwono „bilety”. A w niedzielę osiemnastego – „Lotnisko 22.30 – Matti”.

Wygląda na to, że Torsten gdzieś w piątek albo sobotę wyleciał i wrócił w niedzielę wieczorem. Wyraźnie chciał ten wyjazd ukryć. Dlaczego ja o tym nie wiem? Przecież, kurwa, jestem jego jedynym sekretarzem – zastanawiał się Paavo. To się jeszcze nie zdarzyło, więc albo jestem w błędzie i nigdzie nie poleciał, albo coś przede mną ukrywa. Nie wyjechałby przecież bez słowa. Czyli trzeba by dobrać się do kierowcy szefa. Niestety, Matti wszystko wie, ale nic nie powie. Nieraz już próbowałem i dupa. Mia zanotowała, żeby przypomnieć mu, że ma odebrać szefa. Mia zawsze tak robi. Więc na pewno nie był to wyjazd prywatny. Torsten nigdy nie pozwoliłby, żeby Mia kupowała mu bilet, a Matti woził go na lotnisko. Tak, to mogło tak być. Co ja robiłem w ten weekend? Spojrzał do swojego notatnika. Nic. Dlaczego ukrył ten wyjazd? Paavo miał przeczucie, że coś zaczyna mu się układać. O Anglikach też mnie nie poinformował ani żadnego z zastępców, więc może poleciał do Londynu? To by się nawet zgadzało czasowo.

Paavo wyjął z szuflady rozkład lotów lotniska Vantaa i od razu ustalił, że o dwudziestej drugiej trzydzieści w niedzielę ląduje samolot British Air-

ways z Londynu.

– To by się zgadzało – powiedział do siebie. – Ale co z tego wynika? Tyle, że mam potwierdzenie tego, co i tak już wiem, i że sprawa ma najwyższy priorytet. Skutkiem ubocznym takiego działania może być podejrzenie, że w kierownictwie jest ktoś, kto pracuje dla Związku Radzieckiego. Nie wiedzą jednak kto. Ale taka też mogła być prośba Anglików, bo to jest sprawa Anglików! – Stuknął palcem w biurko. – Czyli najprawdopodobniej Anglicy coś tu kręcą, tu u nas, a my im pomagamy. Mało! To stanowczo za mało! Najważniejsze jednak, że Torsten mnie nie poinformował. Dlaczego?

Spojrzał na żółtą karteczkę. Zapisał numer telefonu i „8 grudnia, Matti – 19”. To była sobota, w swoim notatniku nie miał żadnych zapisków. Zresztą pamiętał, bo to było tydzień wcześniej.

Torsten znów coś robił służbowo w weekend i mnie nie poinformował – pomyślał Paavo. Tak… ten numer telefonu…

Nagle podniósł się z fotela, podszedł do okna i spojrzał w dół na samochód Seppa. Zrobił to odruchowo. Był zaskoczony tym mimowolnym impulsem. Nigdy tak nie działał i nie wiedział, czy ma się niepokoić swoim stanem, czy powinien to zbagatelizować. A jednak uśmiechnął się, kiedy uzmysłowił sobie naiwność tego dylematu.

Spojrzał na zegarek. Za kwadrans dziesiąta.

Seppo znikł na ponad czterdzieści pięć minut i oczywiste było już, że nie jest na zakupach. Paavo podszedł do szafy, gdzie po prawej stronie za szklanymi drzwiami stała jego bogata kolekcja alkoholi. Przez chwilę pomyślał, żeby nalać sobie kieliszek martella, ale zrezygnował. Wiedział, że jeżeli napije się tak wcześnie, to już będzie pił cały dzień. Wprawdzie alkohol zawsze poprawiał czujność i spostrzegawczość, ale potem musiał długo wyrównywać bilans. To nie był dobry czas, żeby pić. Tym bardziej że coraz wyraźniej męczyła go myśl, żeby pojechać do Medvastu i podpatrzeć, czy Seppo u siebie kogoś nie gości. Miał nadzieję, że nie przyszedł po klucze od chaty tylko dla siebie, bo chyba jako jedyny Fin nie jeździł na nartach i prawie nie chodził do sauny. Był zupełnie innym typem patrioty, a właściwie był Karelem.

Ale saunę ma tam wyjątkowo fajną – przypomniał sobie Paavo.

W taki sam słoneczny i mroźny dzień jak ten, gdy miał dziesięć lat, ojciec uczył go strzelać z rosyjskiego karabinu wyborowego Mosin. To było przeżycie, jakie pozostaje w chłopcu na zawsze. Pamiętał jego ciężar, kiedy mierzył przez lunetę, huk wystrzału, uderzenie kolby w ramię. Nie strzelał

z niego od dawna. Mosin był sprawny i konserwowany, była do niego amunicja. Stał teraz w stalowej szafie w szeregu z innymi karabinami, które ojciec zbierał przez całe życie. Paavo pomyślał, że mógłby go użyć.

Wrócił za biurko i spojrzał na numer telefonu zapisany na karteczce post-it. Przez chwilę się wahał, aż w końcu podniósł słuchawkę telefonu, nie wybrał jednak numeru. Postanowił zadzwonić z sekretariatu.

– Restauracja Carl Gustaf, zostaw wiadomość. Otwarte od dziesiątej do dwudziestej czwartej – odezwał się żeński głos automatycznej sekretarki.

– I wszystko jasne. – Paavo uderzył wskazującym palcem w blat biurka Mii i odłożył słuchawkę.

Restauracja Carl Gustaf w dzielnicy Katajanokka była lokalem obstawianym przez SUPO, w którym bezpiecznie mogli spotykać się fińscy politycy. Nazwa nawiązywała do marszałka Mannerheima i wszystkie pomieszczenia urządzone były w surowym wojskowym stylu. Serwowano tam wyłącznie fińską kuchnię.

Paavo był w tej restauracji co najmniej kilkadziesiąt razy, ale nigdy prywatnie. Nie przepadał za fińską kuchnią, a szczególnie forszmakiem, czyli śledziem zmielonym z baraniną, który uchodził za specjalność zakładu. Natomiast szef Koivisto uwielbiał wszystko, co fińskie, więc kiedy zapraszał swoich zagranicznych gości, zawsze zamawiał dla nich forszmak.

Przez pięć lat, odkąd Paavo został sekretarzem Koivista, nie zdarzyło się, by ominęły go jakaś służbowa kolacja czy lunch. Nawet jeżeli nie mógł być obecny, to zawsze wiedział, z kim się Torsten spotyka, bo przygotowanie spotkania należało do jego obowiązków.

Drugi raz w ciągu miesiąca Torsten Koivisto spotkał się z kimś i chciał to ukryć. Przede mną? To już jest poważna sytuacja – pomyślał Paavo i spojrzał w stronę szafy z barem.

Podniósł się, ale podszedł do okna. Wyjrzał na parking. Czerwony samochód Seppa wciąż stał na swoim miejscu i Paavo po raz drugi pomyślał o karabinie Mosin.

Muszę się zobaczyć z Griszą. Pilnie. Nawet natychmiast – pomyślał zaniepokojony. Moilanen jedzie do chaty, wszyscy wariują na zakupach, jutro niedziela. Dobry czas, żeby wywołać spotkanie z Griszą.

Wrócił do swojego pokoju, podszedł do barku, wlał sobie wódki na dwa palce i od razu wypił. Wiedział, że źle zrobił. Czuł, że nie panuje nad lawiną zdarzeń, gubi się w zakamarkach własnych myśli i za często wpada

mu do głowy mosin. Chciał się rozluźnić, nabrać dystansu, a przede wszystkim opanować, nawet gdyby musiał się napić czegoś mocniejszego.

Grisza będzie zadawał pytania, a ja muszę wiedzieć, co mam odpowiedzieć. Postanowił zaczekać.

Zaczyna się przedświąteczny tydzień, więc wszyscy znikną w sklepach i na imprezach – zastanawiał się Paavo. Tak, jednak zaczekam. Tym razem wlał sobie na jeden palec i wypił wódkę. Poczuł się lepiej. Spojrzał w stronę okna i postanowił, że nie będzie już więcej wyglądał na parking.

24

2021

Caroline rozstawiła talerzyki, które wskazał jej Martin, a Raymond z głębokim zaangażowaniem i dbałością o każdy milimetr ułożył sztućce, serwetki i kieliszki.

Po chwili stół był przygotowany. Stanęli pod oknem i czekali na ostatni sygnał od Martina, który krzątał się jeszcze w kuchni. Gdy zdjął fartuch, wiadomo było, że za chwilę usiądą.

Zapalił na stole świece i zgasił światło.

– Zapraszam do stołu – powiedział uroczyście.

Caroline i Raymond usiedli naprzeciwko siebie, zostawiając między sobą miejsce dla Martina.

– Zajmiesz się winem? – rzucił, spoglądając na Raymonda, który skinął posłusznie głową i sięgnął po butelkę.

Postawił na stole duży półmisek z sałatką krewetkowo-krabową w sosie własnego pomysłu, z majonezu, jogurtu tureckiego, ziół i wytrawnej whisky, jak od razu wyjaśnił. Po chwili doniósł koszyk z ciepłym pieczywem czosnkowym i usiadł.

– Zapraszam. – Z elegancją zatoczył dłonią nad stołem. – Nic wyszukanego, ale za to całkowicie oryginalne, mojego autorstwa. – Uniósł kieliszek. – Za spotkanie i ten miły wieczór. – Martin i Caroline umoczyli usta, ale Ray pociągnął połowę kieliszka.

– Carol… proszę… – Martin uśmiechnął się i dał znak, by pierwsza zaczęła jeść.

– Wygląda apetycznie – odparła, sięgając po półmisek. – Bardzo lubię owoce morza, a kraby szczególnie.

– Próbowałaś kraba kamczackiego? – zapytał Martin.

– Nie… nie pamiętam.

– Najlepszy. Pamiętasz, Ray? – Spojrzał na Raymonda, który nakładał sobie sałatkę. – Byliśmy kiedyś w Pietropawłowsku Kamczackim, chyba w dziewięćdziesiątym trzecim. Mają tam absolutnie wyśmienite kraby z Morza Ochockiego. Duże kawałki świeżo ugotowanego, schłodzonego mięsa jedzą tylko z majonezem, cytryną i zimną wódką.

– Byliście tam? – zapytała zaskoczona Carol. – Niezwykłe. Tam jest największa baza rosyjskich okrętów podwodnych i poligony atomowe. To był wasz cel?

– Tak – włączył się Ray. – Ale działaliśmy jako biznesmeni, którzy chcą kupić mięso krabów na eksport do Europy.

– Żartujesz! O kurwa! – Caroline się roześmiała.

– Droga Carol, przy stole nie przeklinamy – rzucił Martin całkiem poważnie.

– Oczywiście. Przepraszam. Wybacz. Czasami tak mi się…

– Byliśmy gośćmi kołchozu imienia Lenina w Pietropawłowsku – ciągnął Martin. – Mają tam specjalną flotyllę statków do połowu tych pięknych krabów, ale nas interesowały… trepangi.

– Łowią tam trepangi? – zapytała. – Jadłam kiedyś w Chinatown w San Francisco. Pyszne, ale kur… – urwała – bardzo drogie.

– Tym razem nie chodziło o jedzenie – powiedział Martin. – Takiego kodu używaliśmy na określenie tajnych radzieckich baz na dnie Pacyfiku, w pobliżu wybrzeża USA. Miały służyć do zaopatrywania ich okrętów podwodnych albo ataku na Stany Zjednoczone. Możliwe też, że podsłuchiwali kable na dnie oceanu. To nie były informacje potwierdzone, ale pochodziły z poważnego źródła. Uzyskaliśmy je w czasie pewnej naszej operacji w Helsinkach. Waszyngton i Londyn podejrzewały jednak, że Rosjanie nas dezinformują. Mieliśmy zbadać temat głębiej, bo to my je zdobyliśmy.

– I co? – zapytała zaciekawiona Caroline.

– Cena, jaką zaproponowaliśmy – włączył się Ray, przełykając sałatkę – za mięso krabów była lepsza niż ta, którą Rosjanom przy burcie płacili Japończycy. Problem był techniczny. Jak dostarczyć świeże mięso do Europy. No więc siedzimy u przewodniczącego kołchozu, pijemy wódeczkę, jemy kraby jak hamburgery i zastanawiamy się, jak rozwiązać problem. Z nami przyjaciele i wspólnicy przewodniczącego kołchozu, czyli mer miasta, generał dowódca bazy lotniczej, jakiś kapitan marynarki wojennej i miejscowy biznesmen, który sprowadzał samochody z Japonii. No więc siedzimy, pijemy sobie i zastanawiamy się, jak te kraby przetranspor-

tować do Europy. Nijak nie było wiadomo, jak to zrobić, ale nasi towarzysze poczuli interes i za nic nie chcieli odpuścić. Właściwie to byliśmy zadowoleni, że nic z tego nie wychodzi. Prawda, Martin?

– Jasne.

– A tu nagle generał lotnictwa podrywa się od stołu, jak suchoj do boju, i krzyczy: „Wiem! Wiem, jak to zrobić!”. Patrzymy zaskoczeni, a on uśmiecha się i podchodzi do mapy Rosji. Patrzcie, mówi, bierzemy mojego anteja… to transportowy antonow 22… ładujemy czterdzieści pięć ton krabów i lecimy do Lisiego Nosa pod Piterem. Tam bazą dowodzi mój brat, więc rozładowujemy i dalej do Finlandii, niech Szwedzi zabierają towar – ciągnął Ray, popijając winem. – Dziesięć godzin i kraby lądują na stole u Norwegów i Szwedów. Nagle odzywa się przewodniczący kołchozu i mówi, że to nieopłacalne, bo kontener chłodniczy bardzo dużo waży i biznes się nie zwiąże. Na to generał łyknął wódki i tajemniczo się uśmiechnął. A po jaki chuj nam kontener… cytuję tylko generała, Martin, sam to słyszałeś. Pilot uchyli z tyłu rampę i cały antej będzie jak latająca lodówka. Ku naszemu przerażeniu pomysł grupie kamczackich biznesmenów bardzo się spodobał. Natychmiast przystąpili do rozlewania wódeczki i załatwiania papierów. Na szczęście wkrótce Jelcyn wydał ukaz, że mięso krabów to surowiec strategiczny i trzeba specjalnego zezwolenia na eksport. Czyli zadecydował, że trzeba będzie jego ludziom zapłacić łapówki w kilku ministerstwach i urzędach. Po wstępnych obliczeniach przewodniczącego wyszło, że interes jest nieopłacalny.

Caroline roześmiała się na głos i spojrzała na Martina, jakby oczekiwała, że zdementuje opowiadanie Raya, ale on tylko pokiwał głową.

– Dużo słyszałam o tamtych czasach w Rosji, niekiedy wręcz nieprawdopodobnych historii, ale ta ma wyjątkowy urok – stwierdziła Caroline i złożyła sztućce na pustym talerzu.

– Epoka Jelcyna to był niezwykły czas dla Rosji i dla nas – odezwał się Martin. – Ale jak ktoś myśli, że można było wtedy wykupić całą Rosję za bezcen, jak mówią teraz różne mądrale w centralach wywiadowczych, to się myli. Oni wiedzieli, że po wielkiej smucie odbudują swoje imperium. Czekali tylko na mesjasza. I w końcu przyszedł.

– A co z trepangami? – dopytywała się Caroline.

– Teraz zaprezentuje się inne zwierzę z dna morskiego, czyli trzyipółkilogramowy homar z Morza Norweskiego – oświadczył Martin i podniósł się. – Ray! Uprzątnij stół i zrób miejsce.

Raymond dopił wino i wykonał polecenie. Rozstawił czyste talerze, sztućce i serwetki. Stanął przy swoim krześle i zameldował.

– Gotowe, sir!

Martin nie bez trudu przydźwigał wielką tacę i zanim postawił ją na stole, spojrzał w stronę Caroline i puścił do niej oko.

– Carol! Zezwalam ci tylko na dwa słowa!

Na stole wylądował wielki czerwono-brązowy homar ozdobiony cytrynami, pomarańczami, świeżym koprem, figami, daktylami i suszonymi gruszkami. Były też małe kamienie i trochę piasku. Całość wyglądała jak niezwykła diorama przypominająca morskie dno.

– Och… kurwa! – rzuciła Caroline. – Przepiękne!

25

1990

Paavo wyszedł z budynku SUPO, nim Seppo wrócił. Przez resztę dnia pił w domu. Wiedział, że tak będzie, więc dawkował sobie alkohol tak, by nie upić się za szybko i nie zasnąć. Musiał podtrzymać sprawność myślenia jak najdłużej. Gdyby zasnął w ciągu dnia, noc miałby z głowy, a wtedy niedziela też byłaby skończona.

Sobotę przeznaczył na przemyślenie sytuacji, uporządkowanie faktów, eliminację fantazji i w efekcie analizę sytuacji, czyli wypracowanie decyzji.

Odkąd odeszła od niego żona, został w Reijoli sam, w wielkim ponurym domu, który postawił w stylu wymyślonym przez siebie jego pradziad. Sąsiedzi uważali, że jest to najbrzydszy dom w okolicy, ale Paavo miał inne zdanie. Urodził się w nim, dorastał z siostrą, mieszkał z żoną i wychował syna.

Pięć lat temu, dokładnie przed Bożym Narodzeniem, Kerstin zadzwoniła i poinformowała, że nie wróci już do tego upiornego domu i zostaje u Björna na zawsze. Od piętnastu lat wiedział o romansie Kerstin i nawet mu to odpowiadało. Właściwie to nawet czekał, aż w końcu się wyprowadzi. Kiedy więc zadzwoniła, tylko machnął ręką, odetchnął i wypił do lustra solidnego sznapsa. Nikt już mu nie zakłócał jego analitycznego procesu wypracowywania decyzji w trudnych sytuacjach, jak nazywał chwilę w fotelu z butelką wódki. Nikt już go nie wyzywał, nie szarpał, żeby się obudził i poszedł spać na górę. Paavo na złość Kerstin lubił spać w bibliotece.

Siadał w wielkim skórzanym fotelu naprzeciwko okna z widokiem na stuletni klon i zastanawiał się, co powinien robić. Za każdym razem, kiedy szukał ucieczki z labiryntu, ścigał go Minotaur, a im bardziej chciał uciec, tym bardziej Minotaur nabierał siły. Do tej pory Minotaurem był zawsze on

sam, więc potrafił go pokonać, a czasem po prostu oszukać, ale teraz po raz pierwszy potwór miał twarz Moilanena. Nie tylko twarz, Paavo uważał, że nawet z postury Seppo przypomina wielkiego półbyka.

Tej soboty nic nie wypracował, bo męczyła go myśl, czy dyżurny powiedział Seppowi, że Paavo Haukka o niego pytał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego taki nic nieznaczący drobiazg powoduje tak głęboki niepokój. Miał wrażenie, jakby wdepnął w gówno i mimo wycierania buta o krawężnik wciąż wokół niego śmierdziało.

Czuł, że Seppo mu zagraża, ale nie potrafił powiedzieć nic konkretnego, co można by uznać za twarde fakty, a nie mógł w nieskończoność tłumaczyć się śmiercią agenta w Tallinnie. Od efektu analitycznego procesu wypracowywania decyzji uzależniał wywołanie Griszy. A Grisza nie lubił, gdy go ktoś niepokoił niepotrzebnie. Każde spotkanie, szczególnie to nadzwyczajne, zawsze było krokiem w stronę dekonspiracji.

Paavo bał się, że tym razem nie ucieknie Minotaurowi, i znów powróciła myśl o karabinie Mosin.

Wziął butelkę, szklankę i zszedł do piwnicy. Jedno pomieszczenie pułkownik Jukka Haukka przygotował jako swoje muzeum. Broń zbierał przez całe życie. Miał kolekcję broni białej i czarnoprochowej, długiej i krótkiej ze wszystkich zakątków świata. Wiele unikatowych i drogich egzemplarzy.

Paavo podszedł do szafy i otworzył dwuskrzydłowe drzwi z hartowanego szkła. Stały w niej rosyjskie i radzieckie karabiny. Pierwszy z lewej stał ulubiony eksponat pułkownika, karabin snajperski Mosin wz. 1891/30 z celownikiem PU. To nie był szczególnie wartościowy eksponat. Po licznych uszkodzeniach widać było, że miał za sobą jakąś prawdziwą bojową historię. Pułkownik darzył go wyjątkowym uczuciem i dbał o niego jak o żaden inny. Mówił, że po prostu jest piękny, ale Paavo wiedział, że był to prezent od kogoś, kogo ojciec nigdy nie ujawnił.

W końcu Tezeusz rozwiązał problem, zabijając Minotaura – pomyślał Paavo z lekkim rozbawieniem. Nić też by się przydała, ale broń jest pewniejsza…

Wyjął karabin ze stojaka i zważył go w dłoni.

– Cztery kilogramy – powiedział. Złożył się do strzału i wycelował w kinkiet. Odłożył karabin na szafkę i wlał sobie końcówkę koskenkorvy, ale nie wypił.

Postanowił najpierw coś zjeść, bo poczuł już mdłości. Przypomniał sobie o cieście jagodowym, które w piątek przyniosła siostra. Powinno być

w szafce nad lodówką. Poszedł do kuchni, ale otworzył zamrażarkę. Wyjął gotowe danie, wołowinę z ziemniakami i burakami. Nakłuł opakowanie i wstawił do mikrofalówki. Trochę czasu zajęło mu ustawienie zegara, bo okulary zostawił w bibliotece. Usiadł za stołem i czekał na dzwonek z kuchenki.

Nagle usłyszał dzwonek, który wwiercał mu się w mózg. Zdał sobie sprawę, że zasnął. Poderwał się, przewracając pustą butelkę, która potoczyła się po stole i spadła na kamienną posadzkę, rozbijając się na kawałki. Paavo nie zdążył otworzyć kuchenki, gdy dzwonek się powtórzył. Dopiero teraz zorientował się, że to telefon w holu. Przyspieszył kroku, w przejściu spojrzał na zegar, była dwudziesta trzecia piętnaście.

– Dobry wieczór, Paavo, mam nadzieję, że cię nie obudziłem – usłyszał w słuchawce niski głos Seppa i wiedział już, dlaczego dzwoni.

– Nieee… nie obudziłeś mnie – odparł. – Byłem w łazience, nie słyszałem dzwonka. Co tam, Seppo?

– Chciałeś ze mną rozmawiać. Dyżurny mi powiedział, ale zupełnie zapomniałem. Coś ważnego?

– Nie, nic ważnego – rzekł Paavo zadowolony, że Seppo umożliwił mu wybrnięcie z kłopotów. – Też już nie pamiętam… czekaj… aaaa… nie, chyba nic ważnego. Mam teraz tyle na głowie. Wiesz, szef ma problemy. Co ci będę mówił.

– No to nie przeszkadzam. Dobranoc.

– A ty w chacie?

– Nie.

– Myślałem, że jedziesz, bo te klucze…

– Tak, jadę, ale jutro.

– No to… miłego pobytu.

– Dzięki.

Paavo odetchnął z ulgą, bo naczelnik dał mu pomysł na alibi i też mógł się zasłonić niepamięcią. To proste i praktyczne rozwiązanie, z którego nie trzeba się tłumaczyć. Każdy coś ukrywa i każdy coś zapomina, a granica między jednym i drugim jest cienka. Wyglądało na to, że problem, który dręczył go cały dzień, rozwiązał się sam. Pozostało dowiedzieć się, dokąd poszedł Seppo.

Przecież na budynku są kamery! – pomyślał, wspinając się po schodach do sypialni. Pokrywają ulicę od Ratakatu i Fredrikinkatu. Ciekawe, jak głę-

boko sięgają. Ale jak teraz wyciągnąć nagranie z ochrony? I dobrze, że nie wywołałem Griszy na spotkanie.

26

O dziesiątej w Café Ursula przy Ehrenströmintie 3 na bulwarach, znajdziesz na planie miasta – oznajmił Higgins. – Zdążysz. To pilne, pośpiesz się – dodał i się rozłączył.

– Pewnie, że zdążę… fiucie – rzuciłem do słuchawki.

Zapaliłem lampkę nocną i spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Zapisałem nazwę ulicy na jakimś świstku i od razu zadzwoniłem do Raya. Ranny ptaszek był już po śniadaniu. Umówiliśmy się, że przyjedzie do mnie za pół godziny. Od razu zadzwoniłem do Seppa i uprzedziłem go, że musimy przesunąć nasz wyjazd.

Wziąłem szybki prysznic, ale postanowiłem się nie golić.

Intrygowało mnie, dlaczego Tom chce się spotkać tak pilnie, i to w niedzielę rano. Tym bardziej że o dziesiątej Seppo miał nas wszystkich zabrać do swojej chaty nad morzem.

Na ile poznałem Higginsa, mogło to być cokolwiek. Potrafił z byle czego zrobić problem, a nie dostrzegał problemów tam, gdzie rzeczywiście były. Nie chciało mi się rozszyfrowywać jego mętnej natury, ale wiedziałem, że grał tylko na siebie, i to wychodziło mu najlepiej. Właśnie dał tego pokaz.

Ray przyjechał po dwudziestu minutach i zameldował przez domofon, że czeka za rogiem.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy tylko wsiadłem.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież o dziesiątej mieliśmy jechać do Seppa? Nie mógł zaczekać. Dlaczego chce się widzieć w kawiarni? Czy to aby rozsądne? Tym bardziej w tej kawiarni? Przecież mamy mieszkanie do takich celów. Co? Nie chce się spotkać z Louisem i Olivierem? – dopytywał się Ray.

– To całkiem prawdopodobne. A co z tą kawiarnią jest nie tak? – zapytałem zaskoczony.

– To sto metrów od naszej ambasady i w ogóle w okolicy pełno jest innych ambasad, w tym amerykańska, a radziecka może pół kilometra dalej.

O przypadek nietrudno. Przecież Rosjanie znają Higginsa. Założę się, że obstawiają ten lokal, więc pewnie i SUPO też tam siedzi. Głupi by tego nie zrobił – wyjaśnił Ray wyraźnie zdegustowany. – Pamiętasz Café Wolfgang… no ta koło pałacu Schönbrunn w Wiedniu, tam stale siedzą szpiedzy ze wszystkich zakątków. Masz jakiś problem do rozwiązania, możesz tam pójść i wynająć sobie jakiegoś szpiega.

– Pamiętam, pamiętam, ale nie ubarwiaj. To co, Tom o tym nie wie? – zapytałem jeszcze bardziej zaskoczony. – Nikt mu nie powiedział? Przecież to na kilometr cuchnie naiwnością, jeśli nie jawnym partactwem… albo wręcz prowokacją.

– Ty od razu grubo z jakąś prowokacją lecisz, a może Higgins to zwykły leń i nie chce mu się iść do Wiednia, bo to w końcu jest kawałek drogi, może nie lubi grubego Oliviera albo Louisa – tłumaczył z ironią Ray. – A tu zimno jest, śnieg, niedziela, rano… Czujesz? Ludzie są słabi, nawet Anglicy tacy się zdarzają.

– Higgins to chyba Irlandczyk.

– A to co innego. To nie są słabi ludzie – rzucił z przekąsem Ray.

– To zrobimy tak, że ja zostanę w samochodzie, a ty pójdziesz i go przyprowadzisz. Odjedziemy gdzieś na bok i pogadamy w samochodzie.

– Tak trzeba zrobić – odparł Ray. – Utrzemy nosa jego lordowskiej mości. Nie zaszkodzi.

Za pięć dziesiąta dotarliśmy do Café Ursula. Był to parterowy wolnostojący budynek nad brzegiem morza.

Nad horyzontem pojawiła się kula słonecznego ognia i niemal wypalała oczy. To nie było słońce jak w Egipcie, które wysyca barwy, to było słońce, które je zabija. Bez ciemnych okularów trudno byłoby nam obserwować otoczenie.

Kilka minut krążyliśmy jeszcze po okolicy, bo wszystkie miejsca wzdłuż Ehrenströmintie były zajęte, a śnieg dodatkowo ograniczał możliwości parkowania, aż w końcu zatrzymaliśmy się pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie był spory odśnieżony parking w kształcie półokręgu z dwoma rzędami dla samochodów. Objechaliśmy go wokół. Nie było jednego wolnego miejsca.

Pobliski park Kaivopuisto i bulwary przyciągały spacerowiczów i biegaczy. Nie przeszkadzało im minus piętnaście stopni, a wystarczyły słońce i dzień wolny od pracy.

Stanęliśmy na poboczu u wylotu Iso Puistotie, szerokiej spacerowej alei przecinającej park, i czekaliśmy, aż coś się zwolni. Były cztery minuty po

dziesiątej. W pobliżu kręciło się kilka osób. To nie było dobre miejsce na spotkanie.

– Czas już. Idź po niego – powiedziałem w końcu.

Ray założył czapkę, ciemne okulary i wysiadł, w otwartych drzwiach rzucił jeszcze:

– I zadzwoń dzisiaj do Mariny. Nie trać szansy, bo może dowiemy się zaraz, że wracamy do Kairu.

– Idź już, nie przynudzaj – rzuciłem na odczepnego, bo i tak zamierzałem do niej zadzwonić.

Ray znikł mi z pola widzenia.

Po kilku minutach zobaczyłem wysokiego Higginsa idącego szybkim krokiem w moją stronę. Był w długim granatowym płaszczu bez czapki i rękawiczek. Drobny Ray ledwie za nim nadążał. Wyglądało to groteskowo, ale widziałem już, że Tom zaraz wybuchnie.

– *Fuck*! Co ty wyprawiasz, Martin! – zaczął wyraźnie wzburzony, nim jeszcze zamknął za sobą drzwi. – Popierdoliło cię zupełnie!

– Nie rzucaj się, Tom – odpowiedziałem spokojnie i stanowczo. – To nie jest dobre miejsce na spotkanie, a przynajmniej nie dla nas. Ty możesz przychodzić sobie tutaj na kawkę i szarlotkę, ale my nie. Wystarczy, że ktoś z ruskiej ambasady zobaczy nas z tobą i możemy zakończyć naszą pięknie zapowiadającą się operację. Więc nie pierdol, panie rezydencie! – Pierwszy raz, odkąd przyjechałem do Helsinek, podniosłem głos. – Dlaczego nie spotkaliśmy się w Wiedniu? – zapytałem spokojniej. – Mieliśmy przecież jechać do Seppa.

– Jestem dzisiaj bardzo zajęty i…

– W niedzielę?

– Tak, w niedzielę. Co ty sobie myślisz, że ja mam tutaj tylko twoją sprawę?

– Jaką moją? Co ty pierdolisz, Tom? No to zaskoczyłeś mnie, przyjacielu. Kto jak kto, ale ty nie powinieneś tak mówić. Nawet jeżeli tak myślisz. Pierdol się! – zareagowałem ostro, bo Higgins był bezczelny, nawet Ray, wpatrzony dotąd przed siebie, spojrzał na mnie zaskoczony. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej odezwał się w ten sposób do kolegi, a formalnie do przełożonego. Zawsze unikałem takich sytuacji, nawet jeżeli gdzieś w głębi duszy chciałem po prostu przypierdolić delikwentowi. Wiedziałem, że prędzej czy później do tego spięcia dojdzie.

Na bladych policzkach Higginsa pojawiły się rumieńce, ale nie wiedziałem, czy to z zimna, czy z wściekłości. Wyglądał, jakby go zatkało i nie mógł złapać oddechu, tym bardziej że zacisnął swoje wąskie usta. Przez chwilę poczułem satysfakcję, chociaż całe zdarzenie było zbędne, i pomyślałem, że trzeba szybko z tego wyjść.

– Więc o co chodzi? – zacząłem, żeby ułatwić mu kontakt. – Co się stało, Tom?

Wyraźnie złapał oddech i wyglądało na to, że chce mi się odwinąć, ale widocznie powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Kierownictwo podjęło decyzję, że zawieszamy operację do czasu powrotu „Arlekina" do Helsinek – wyrzucił z siebie z lekką satysfakcją. – Wszyscy są wolni i mogą wracać do Londynu na święta. Po Nowym Roku szef podejmie decyzję, co dalej.

– Ja też? – zapytałem. – Mam przecież podjąć kontakt z Batulisem.

– Nie, ty zostajesz.

– Szef o tym wie?

– Wie o wszystkim. Co ty sobie myślisz…?

– Pytam, bo mam wątpliwości. Ale okej… Jedziesz do domu, Ray. – Klepnąłem Raymonda w ramię. – I to było takie ważne, żebyśmy musieli zrywać się z rana? Rozumiem, że teraz pójdziesz powiedzieć o tym Olivierowi i Louisowi.

– Nie martw się, nie twoja sprawa. Oni już wiedzą i się pakują. Poza tym Finowie mają chwilowo inne poważne problemy i Koivisto będzie potrzebował Moilanena. Ale nie musisz wiedzieć, to nie twój interes – powiedział, jakby chciał mi dopiec.

Zrozumiałem, że zaproszenie do Café Ursula obok ambasady miało być formą demonstracji. Higgins, przeczuwając koniec działań, w które od początku nie wierzył, a które może nawet sabotował, chciał zaspokoić swoje ego i pokazać mi, kto tutaj decyduje.

– Wszystko jasne – odparłem. – Rozumiem, że ty też zostajesz. Tak?

– Oczywiście. Jestem rezydentem i dopóki nie zapadną inne decyzje, wykonujesz moje polecenia. Masz być cały czas na miejscu i meldować mi się dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Nie jesteś na wakacjach w Kairze.

– Po co to robisz, Tom? – zapytałem.

– Co robię?

– Sadzisz się, jakbyś miał się zaraz zesrać. Nie możesz normalnie? Nie musimy być przyjaciółmi, ale możemy spokojnie współpracować, rozma-

wiać. Nie jesteś pierwszym wałem, z którym muszę kooperować, ale takiego palanta jak ty nie pamiętam. Dobrze… będę się meldował na posterunku SIS w Helsinkach – rzuciłem i na chwilę zaległa cisza. – A teraz wypierdalaj z naszego samochodu. – Ray otworzył usta ze zdumienia i zakaszlał.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego Higgins nie chciał jechać do Seppa i spotkać się z całym zespołem.

Oczywiste było, że kierownictwo zadecydowało o czasowym odstąpieniu od działań w sprawie kapitana Razumowa. Pewnie nie widzą szans na ich powodzenie albo obawiają się wyższych kosztów niepowodzenia operacji niż potencjalnych zysków. Nie pierwszy raz stykałem się z obstrukcją ze strony rady kontrolerów MI6. Tego nie wiedzieliśmy, a Londyn wiedział tylko to, co powiedział Higgins. Może nie potrafiłem wystarczająco klarownie wyjaśnić mu, że dialog jest obiecujący i widzę szansę na werbunek kapitana, albo Higgins nie potrafił mnie zrozumieć. A może nie chciał. Tak czy inaczej, nie chciał spotykać się z całym zespołem, bo się obawiał, że wszyscy zakwestionujemy decyzję Londynu, czyli właściwie jego decyzję. Bał się, że mógłbym objąć przywództwo buntu. Wolał nas podzielić, bo łatwiej byłoby mu się wytłumaczyć, gdyby ktoś w Londynie wpadł na pomysł, żeby zbadać sprawę u źródła.

Higgins niemal wyskoczył i zatrzasnął drzwi z impetem, jakby chciał się w ten sposób zemścić. Obszedł samochód i nagle zatrzymał się, jakby trafił na jakąś potężną niewidzialną skałę. Dobrze go widziałem. W zasięgu wzroku kręciło się kilka osób, trzydzieści metrów dalej ktoś biegł. Higgins stał kilkanaście sekund jak zahipnotyzowany. Ray włączył silnik i powoli ruszył. Spojrzałem w stronę, w którą patrzył Higgins. Kilkanaście metrów dalej zobaczyłem mężczyznę w niebieskim dresie, szaliku, rękawiczkach i wełnianej czapce. Nie miał ciemnych okularów, jak wszyscy wokół. Spojrzał w naszą stronę i wyraźnie zaczął zwalniać bieg. Gdy był już kilka metrów bliżej, uniósł dłoń na powitanie, a Higgins podniósł swoją niepewnie, jakby chciał sięgnąć do kieszeni.

Ray podjechał bliżej, wykręcił na parkingu i wtedy zobaczyłem twarz mężczyzny, który pochylił się i zajrzał do naszego samochodu. Nie mogłem się mylić.

– To Portnoy! – rzuciłem przez zęby i poczułem, jak przepełnia mnie wściekłość.

– Kto? Portnoy? Gdzie? – zapytał zdezorientowany Ray. – Och… *Fuck*! Rzeczywiście! – przyznał mi rację, widząc twarz z wąsikiem. – Cóż… miasto małe, a szpiegów dużo, szczególnie tu, przy Café Ursula – dodał z przekąsem i ostro przyspieszył. – I co, nie miałem racji?

27

Paavo obudził się o dziesiątej dwadzieścia pięć.

Leżał na łóżku w koszuli, z rozpiętymi spodniami, ale bez butów i w jednej skarpetce. Zapomniał zasłonić okno i słońce wypełniało całą sypialnię, więc czekał z otworzeniem oczu. Męczyły go suchość w ustach, ból gardła i potężny ucisk między oczami. Czuł, że musi się natychmiast nawodnić, ale żeby się napić, musiałby najpierw wstać. Czuł do siebie wstręt. Nie pamiętał, jak dotarł do łóżka. Wiedział jednak, że kiedy otworzy oczy, stanie przed lustrem i zobaczy, w jakim jest stanie, będzie czuł do siebie jeszcze większe obrzydzenie.

Za każdym razem, gdy przesadził z alkoholem, ten stan się pogłębiał. Uważał jednak, że nie jest alkoholikiem i poradzi sobie z tym problemem, wyprostuje tylko kilka spraw i wtedy przestanie pić.

Przewrócił się na prawy bok, żeby odwrócić twarz od słońca, i dopiero teraz przypomniał sobie, że tą najważniejszą sprawą, którą musi załatwić, jest Seppo. To on od lat jest powodem jego problemów.

– Rozmawiałem z nim wczoraj? – wymamrotał. – Dzwonił? Tak, dzwonił na pewno. Ale o której? O której? O której to było? – zastanawiał się Paavo i czuł, jak ogarnia go wściekłość. – Muszę coś z tym zrobić, coraz gorzej radzę sobie ze stresem. Jak z tym sobie poradził ojciec? Dożył dziewięćdziesiątki i nie pił. Co powiedział Seppo? Co ja mu powiedziałem? – Paavo zaczął powoli przypominać sobie rozmowę. – Która to była? Jakoś późno.

Usiadł na brzegu łóżka i spuścił nogi.

Jak to? – pomyślał, patrząc na gołą lewą stopę. Jedna skarpetka? Zdjąłem tylko jedną? Rozejrzał się wokół. A gdzie druga? Zdjąłem tylko jedną? Zupełnie nie pamiętam. Zrozumiał, że musiał być bardziej pijany, niż przypuszczał, i od razu naszła go myśl, czy na pewno nie powiedział w rozmowie z Seppem słowa za dużo.

Czy na pewno zabrzmiałem wiarygodnie, czy ten pierdolony Karel zorientował się, że jestem pijany? – zastanawiał się, szukając na podłodze

skarpetki. Nie powinien.

Klęknął na podłodze i zajrzał pod łóżko. Wyciągnął prawy but, ale skarpetki w nim nie było. Zajrzał jeszcze raz. Lewego buta jednak nie dojrzał.

– Co jest? – rzucił głośno i pomyślał przez moment, że ktoś musi być w domu, ale tylko pokręcił głową z niedowierzaniem. – Dlaczego miałby zabrać mi but – powiedział i w tej samej chwili dostrzegł go pod fotelem przy oknie. – Jak to możliwe? – Podniósł się i podszedł do okna. Spod fotela wyjął but ze skarpetką wewnątrz. Usiadł, włożył skarpetkę i wciągnął buty. Teraz mógł iść do łazienki napić się wody i wziąć tabletki od bólu głowy. Postanowił, że zanim coś zje, włączy w piwnicy saunę. Musi doprowadzić się do porządku i spokojnie jeszcze raz przemyśleć, co ma robić, bo czuł, że wczorajsze ustalenia mogą nie być już aktualne.

Miał już wstać, gdy usłyszał ostry dźwięk dochodzący z rogu pokoju. W pierwszej chwili pomyślał, że gdzieś już go słyszał, ale zaraz dotarło do niego, że to przecież jego pager. Nagle przypomniał sobie, że to nie jest dźwięk służbowego pagera, tylko „Zorii”. Dobiegał z szafki przy łóżku. Przez rok, odkąd dostał go na wyposażenie, Portnoy użył go tylko dwa razy. Raz próbnie i drugi raz, kiedy kapitana Aleksiejewa podejrzewano o ucieczkę z rezydentury.

Poderwał się z fotela i przytrzymując rozpięte spodnie, podbiegł do szafki. Wyjął pager z szuflady i odczytał zapis: „1/24/18/P”. Paavo przysiadł na łóżku. Grisza wywołał spotkanie nadzwyczajne następnego dnia, w lokalu konspiracyjnym Omsk o osiemnastej i domagał się natychmiastowego potwierdzenia.

Znaczy, że coś się stało – pomyślał i poczuł, jak po plecach przeszedł mu dreszcz, ale nie wiedział – z odwodnienia czy niepokoju. Od razu pomyślał, że to musi mieć związek z tym, co przekazał Portnoyowi w piątek, i na pewno ma to związek z Seppem.

– Nie ma przypadków – wymamrotał przez zaciśnięte zęby. – Sytuacja się zagęszcza. Trzeba to wszystko jakoś ogarnąć.

Nacisnął czarny przycisk w pagerze, który wydał krótki sygnał i zapaliła się zielona dioda. Potwierdzenie spotkania dotarło do Portnoya.

Paavo zapiął spodnie i trzymając się poręczy, zszedł na parter, potem do sutereny, gdzie obok muzeum ojca była cedrowa sauna. Włączył piec. To był najlepszy sposób, by doprowadzić się do porządku, wypłukać z siebie złogi wczorajszego dnia, uspokoić się i zacząć myśleć od nowa.

Prawdziwy Fin nie chodzi do sauny, żeby się wygrzać, pogadać, napić czy umyć, Fin w saunie się zanurza, jak Hindus w Gangesie – przypomniał sobie Paavo słowa ojca i pomyślał, że ta mądrość pasuje teraz idealnie do jego stanu. Jeżeli mam iść do Omska, muszę wziąć jutro wolny dzień.

Gdy Paavo robił sobie kawę, pułkownik Portnoy miał już do ambasady mniej niż sto metrów. Było minus szesnaście stopni, bezwietrznie i sucho, wprost idealnie, zupełnie jak w Moskwie. Wiedział, jakie narzucić sobie tempo biegu, żeby za bardzo się nie spocić. Już rano kazał włączyć dyżurnemu saunę. Wysłał wiadomość do „Koli", a po kilku minutach przyszła odpowiedź. Portnoy był w dobrym nastroju.

– Srebrne audi 80 numer RLV-672 – powtarzał co jakiś czas. – Nie zapomnę was, panowie. Oj, nie zapomnę. Higgins, ty bałwanie, cienki chuju. Ech… Café Ursula, aż trudno uwierzyć. Zupełnie jak dzieci, arogancka angielska amatorszczyzna.

Dobiegł do ambasady o jedenastej dwadzieścia. Na parkingu zrobił jeszcze kilka przysiadów, rozciągnął mięśnie i od razu poszedł do sauny.

Parę minut później tylnym wyjściem od Vuorimiehenkatu wyszedł Borys.

Leena mieszkała kilka przecznic od ambasady, ale Borys za każdym razem sprawdzał, czy nie jest obserwowany. Po drodze zawsze zachodził do wypożyczalni wideo Hollywood oddać kasety i wypożyczyć nowe według listy, którą za każdym razem sporządzał Pietia. Wybór był duży, więc między regałami spędzał sporo czasu, lustrując przy okazji ulicę.

Punktualnie o dwunastej nacisnął przycisk domofonu. Po chwili w drzwiach zabrzęczał zamek. Borys był punktualny, więc Leena nie pytała, kto dzwoni.

Wjechał windą na czwarte piętro. Jak zawsze drzwi były już uchylone. Szybko wślizgnął się do mieszkania, żeby nikt go nie zauważył. Było mu to właściwie obojętne, ale Leena prosiła o dyskrecję, więc się stosował. Był przecież zdyscyplinowanym żołnierzem.

Leena w kuchni przygotowywała lunch. Borys zamknął za sobą drzwi, rozpiął kurtkę i wyjął dwie litrowe butelki wódki Stolicznaja, które zawieszone miał na specjalnie zrobionym pasie, dokładnie takim, jakiego używali w Afganistanie do noszenia granatów. Wódkę przynosił za każdym razem. Podbierał ją z magazynku w piwnicy ambasady. Ceny w fińskich sklepach monopolowych były bardzo wysokie, więc Leena sprzedawała ją miejsco-

wym odbiorcom i w ten sposób Borys i Piotr dorabiali sobie do lichych pensji.

Podszedł do Leeny od tyłu i objął ją, chwytając za obfite piersi. Pocałował w szyję i wyszeptał po rosyjsku: „Kocham cię, dziewczyno”, chociaż była od niego starsza o dziesięć lat.

– Smażysz placki? – zapytał.

– Tak… puść!

– Mam dzisiaj mało czasu. Zostaw te placki i chodź… tam… – Wskazał głową na sypialnię.

– Dobrze, ale…

– Żadne ale! Chodź! – szeptał Borys, ściskając ją coraz mocniej.

– Jest sprawa – rzuciła twardo i Borys puścił.

– Sprawa?

– Tak. Sprawa.

– Jaka sprawa?

Leena odwróciła się do Borysa, który spojrzał jej w oczy, podnosząc swoje jasne brwi.

– Ktoś chce z tobą porozmawiać.

– Kto?

– Taki jeden.

– Jaki jeden? O czym chce rozmawiać?

– Nooo… ten znajomy, o którym ci kiedyś mówiłam. Nie wiem o czym, ale chyba o tej twojej ambasadzie. I takie tam… wiesz przecież.

– Dobrze. Mogę porozmawiać, dlaczego nie.

– Ile masz dzisiaj czasu? – zapytała.

– Przed dwudziestą drugą muszę być w ambasadzie, jak zawsze.

28

Prosto spod Café Ursula pojechaliśmy na Fredrikinkatu 24.

Przejazd zajął nam kilka minut i nie odezwaliśmy się przez ten czas. Dopiero kiedy Ray zaparkował, zaczęliśmy rozmawiać. Zastanawialiśmy się, co właściwie się stało, co oznacza spotkanie z Portnoyem. Czy zostaliśmy zdekonspirowani, czy powinniśmy uwzględnić to zdarzenie w naszym planie, napisać raporty, czy uznać je za nic nieznaczący przypadek?

Mogliśmy zostać zdekonspirowani. Po tylu latach pracy w wywiadzie moja twarz i Raya mogły być im znane. Uznaliśmy, że na razie nie będziemy pisać raportu. W tych warunkach ustalenie, kim jesteśmy, zajmie im sporo czasu, o ile w ogóle to zrobią. A jeżeli nawet ustalą, że w Helsinkach pojawił się Martin i Ray z MI6, to nie będą wiedzieli po co, chyba że kapitan Razumow jest podstawiony.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, Olivier i Louis byli już spakowani i siedzieli na sofie w kłębach dymu.

– Tak bez pożegnania? – rzucił Ray na widok walizek w przedpokoju.

– A ty się nie pakujesz? – zapytał zaskoczony Louis. – Samolot mamy o siedemnastej. Twój bilet leży na stoliku. – Wskazał głową.

– Co wam powiedział Tom? – zapytałem, wchodząc do salonu.

– Jak to co? – odparł Olivier. – To samo co wam. Nasza operacja decyzją kierownictwa została czasowo zawieszona. „Arlekin” wyjechał, więc ruszamy na święta do domu.

– Kiedy wam to powiedział?

– Był tu wczoraj wieczorem i oznajmił, że jedziemy do Londynu i tam czekamy na dalsze dyspozycje. Ty i Higgins zostajecie na posterunku – włączył się Louis. – O co chodzi, Martin? Coś nie tak?

– Nas poinformował piętnaście minut temu, w samochodzie na parkingu przed Café Ursula – odezwał się wyraźnie poruszony Ray. – O której był tutaj wczoraj?

– Co jest grane? – ożywił się Louis.

– Zgadzacie się z tą decyzją? – zapytałem. – Uważam ją za absurdalną i wydaje mi się, że Tom torpeduje naszą operację. Robi to nieco prymitywnie i to jest zastanawiające. Nie chcę posuwać się za daleko ze swoimi fantazjami, ale…

– Przecież operacja jest tylko zawieszona do czasu powrotu Razumowa – wtrącił Olivier. – Nie widzę w tym nic szczególnego. Nie przesadzasz, Martin?

– Tak… Hmm… – Louis się zadumał. – Rzeczywiście dziwne to trochę. Od razu coś mnie tknęło, że decyzja zapadła tak szybko i nie zebrał nas wszystkich wczoraj, ale myślałem, że jesteście zajęci. No cóż…

– Dobrze. Zostawmy to teraz – odparłem. – Może jestem przewrażliwiony, a może Tom coś popierdolił. Tak czy inaczej, jedziecie do domu, a ja zostaję. Zobaczymy, co szef postanowi po świętach. Byłoby dobrze, gdybyście przyjechali przed powrotem Razumowa z Leningradu. Prawda, Ray?

– Jasne.

Postanowiłem nie drążyć tematu. Olivier uznał sytuację za oczywistą, a Louis przyjął postawę kontestacyjną, więc prowadzenie dalszej analizy nie miało sensu.

Spojrzałem na Raya i od razu wiedziałem, że pomyślał tak samo: nie warto ciągnąć tematu i nakręcać spirali wątpliwości. W końcu nikt się nie sprzeciwi decyzji Centrali.

Higgins osiągnął swój cel. My zostaliśmy przy swoim. Nie chciałem dopuścić myśli, że ważniejsze były dla nich święta w domu niż nasza operacja, ale mogłem czegoś nie wiedzieć. W końcu nie miałem rodziny, nie spędzałem świąt w Anglii od trzydziestu lat i zawsze wszystko podporządkowywałem sprawom, które prowadziłem. Miałem świadomość, że jestem uzależniony od adrenaliny, i czułem, że jestem egotystą. Najbardziej cierpiał na tym Ray, który miał rodzinę i próbował leczyć się z uzależnienia ode mnie. Dotarło to do mnie tego dnia z wyjątkową mocą i postanowiłem nie poruszać już sprawy Higginsa. I tak wszyscy wyjeżdżali.

Dwuznaczne zachowanie Higginsa od początku wzbudzało moje wątpliwości i był taki moment, że przeleciała mi przez głowę ta najgorsza myśl. Pojawiła się, kiedy Seppo zaproponował spotkanie w cztery oczy. Moilanen wcale nie był małomównym Finem, jak mi się początkowo wydawało, mówił dużo, ciekawie, z żelazną, prostą logiką, ale i dystansem. Wiedział więcej, niż mówił, i wyraźnie sprawdzał, czy podążam za jego narracją.

Ujawnienie sprawy „Vipera” mogło wyglądać jak ostrzeżenie przed Higginsem.

Dlatego gdy zobaczyłem Portnoya na parkingu, coś we mnie drgnęło. W pierwszej chwili pomyślałem, że to może być ustawka, ale zaraz dotarło do mnie, że to przecież niemożliwe. Higgins jest po prostu głupi i sprowokował zbieg okoliczności. To nie był przypadek, bo jak twierdził Seppo, przypadek nie istnieje. Tak określamy zdarzenia, których przyczyn nie potrafimy wytłumaczyć. Usprawiedliwiamy się wtedy ślepym losem albo wolą Boga, mówił w piątkowy wieczór.

Siedziałem w fotelu i odnajdywałem coraz więcej wartości w jego słowach. Pomyślałem, że powinienem do niego zadzwonić, gdy otworzyły się drzwi i do salonu zaciągnęło mrozem. Stanął w nich olbrzymi Seppo i rzucił surowe spojrzenie spod naciągniętej na czoło uszanki.

– *Hyvää joulua ja onnellista uutta vuotta* – wyrecytował po fińsku i wszyscy popatrzyli na niego zaskoczeni. – *Merry Christmas and Happy New Year* – powtórzył po angielsku i uśmiechnął się szeroko. – Rozumiem, że wyjeżdżacie. Czyli co… spotkamy się dopiero w przyszłym roku? Zaproszenie do mojej chaty jest aktualne.

– Lecimy o siedemnastej, więc może jeszcze… – odezwał się Ray, spoglądając na zegarek.

Seppo zdjął kurtkę i usiadł obok mnie. Olivier, Ray i Louis stali przy oknie i palili papierosy.

– Podobno Torsten potrzebuje teraz ciebie do innych zadań – rzuciłem, patrząc mu w oczy. – To jeden z powodów zawieszenia naszej operacji. Musisz zająć się czymś innym, ważniejszym. To prawda?

– Trochę prawda, trochę nieprawda. Obiektywnie rzecz ujmując, nie ma czegoś takiego jak średnia z kłamstwa i prawdy. Sam to oceń. Higgins powiedział mi, że ty zostajesz. Czyli co… to ma być kara czy nagroda?

– On myśli, że kara, ale ja uważam, że okazja – powiedziałem ściszonym głosem.

– W takim razie zapraszam do mojej chaty. Pójdziemy do sauny, zjemy coś prostego, wypijemy Złoto Laponii i pogadamy. Może na tej… twojej okazji… obaj dobrze wyjdziemy. Koledzy będą się chyba wkrótce zbierać na lotnisko. – Seppo spojrzał na trójkę stojącą pod oknem, gdy Ray odwrócił głowę w naszą stronę. – Ray? – zapytał cicho.

– Chciałby zostać, ale nie mam prawa go zatrzymywać. Ma żonę, dziecko… a poza tym… – Zawahałem się przez moment. – Damy radę

sami, może nawet lepiej damy radę sami.

Moilanen pokiwał wielką głową i przymknął oczy.

– Na lotnisko odwiezie ich nasz kierowca. Będzie tutaj o czternastej trzydzieści, więc zapraszam wszystkich w imieniu szefa Koivista na przedświąteczny lunch do Valkosipuli, tu na dole. Potem obaj pojedziemy do mnie. Nie musisz wracać na Kulosaari. Mam wszystko, co ci będzie potrzebne. No i… zostaniesz chyba u mnie na noc. W końcu… masz teraz coś ważniejszego do roboty? Oferta na tarcicę dla Batulisa będzie gotowa rano.

– Dobrze. Twoja propozycja brzmi miło. Dla ciała i ducha.

Moilanen podniósł się z fotela i miałem wrażenie, że obok mnie wyrósł jakiś wulkan.

– Panowie z Londynu – rzucił gromko w stronę trójki palaczy. – W imieniu szefa Torstena Koivista zapraszam do znanej wam już restauracji czosnkowej na dole na świąteczny lunch i żeby wam uprzyjemnić podróż do domu, na kieliszeczek czosnkowej wódeczki.

Seppo uśmiechnął się szeroko jak jeszcze nigdy dotąd i pierwszy raz zobaczyłem, że ma srebrny ząb. Bardziej jednak zaskoczył mnie jego dobry humor. Sprawiał wrażenie, że jest zadowolony z zawieszenia naszej operacji.

29

Batulis całe niedzielne przedpołudnie spędził na grze w koszykówkę. Ambasada wynajmowała salę sportową w pobliskiej szkole, a Batulis zorganizował sześciu chętnych i w każdą niedzielę grali trzech na trzech.

Portnoy nie odezwał się ani w piątek, ani w sobotę, Borys też gdzieś przepadł, więc Batulis uznał, że sprawa samochodu zwyczajnie przyschła i topienie się w przeręblu było stanowczo przedwczesne. Wrócił mu dobry nastrój i tej niedzieli rzucił koszy za czterdzieści osiem punktów. Koledzy pogratulowali mu formy, chociaż nie cieszył się szczególną sympatią. Pracował w przedstawicielstwie handlowym poza gmachem ambasady, zarabiał więcej i miał szerszy dostęp do luksusowych dóbr. Niektórzy podejrzewali, że jest dobrze ustawionym „plecakiem” i ma jakiś prywatny układ z Portnoyem, dlatego gra w jego drużynie mogła tylko pomóc.

I rzeczywiście Batulis miał układ z rezydentem, ale nie taki, jak przypuszczali.

Po sprawie z samochodem pułkownik nabrał wątpliwości, a to zwykle zapowiadało dla podejrzanego kłopoty i rzadko kończyło się ułaskawieniem. Portnoy problemy załatwiał szybko. Po krótkim rozpracowaniu, jeżeli podejrzenia nie zostały usunięte, problem rozwiązywał, eliminując jego źródło. W ten sposób nigdy nie przegrał i został księciem KGB, z czego był bardzo dumny. Przezwisko Lemieszew też mu się podobało.

Salę gimnastyczną wynajętą mieli do piętnastej i jak zawsze po meczu poszli do ambasadzkiej sauny na piwo.

W tym czasie Paavo w Reijoli krzątał się w szlafroku po kuchni, przygotowując sobie lunch. Do piekarnika wstawił cztery pszenne grzanki z żółtym serem, drobno pokrojoną szynką prosciutto, plastrami pomidora i czarnymi oliwkami. Wszystko posypał mocno oregano i ostrą papryką.

W cedrowej saunie było sto dwadzieścia stopni, a wilgotność wynosiła piętnaście procent. Zrobił trzy wejścia po osiem minut, więc wypocił się porządnie. Wszystkie wczorajsze złogi spłynęły pod zimnym prysznicem, wyszorował całe ciało ryżową szczotką i wypił litr wody.

Czuł się, jakby wyszedł z Gangesu. Umysł miał jasny i pewnie patrzył w przyszłość. Wiedział, co ma zrobić, i postanowił, że decyzję podejmie dzisiaj, przed jutrzejszym spotkaniem z Griszą. Zrobi to tak, jak uczył go ojciec. Weźmie sprawy w swoje ręce. Musi spojrzeć na Seppa i pozwolić, żeby zadecydował impuls.

Zapiekanki miały być gotowe za dziesięć minut, więc poszedł do swojego gabinetu, gdzie w szafce trzymał aparat fotograficzny Pantax z teleobiektywem. Włączył aparat i podszedł do okna. Przez chwilę lustrował przez obiektyw otoczenie, sprawdzając, czy działa. Licznik wskazywał, że jest jeszcze dziesięć wolnych klatek. Czujnik baterii był w dolnym położeniu, ale jeszcze reagował. Włożył aparat do futerału i zarzucił na ramię.

Gdy zszedł do kuchni, zapiekanki były już mocno przygrzane. Wyjął blachę z piekarnika i postawił ją na blacie, żeby wystygły. Bardzo lubił swoje zapiekanki.

Zszedł do sutereny. Z szafki wyjął karabin Mosin. Sprawdził magazynek, był pusty. Z szuflady wyciągnął pudełko z nabojami. Załadował magazynek i włożył go z powrotem do karabinu, który wsunął do torby po dubeltówce. Pudełko z pozostałymi nabojami umieścił w zewnętrznej kieszeni.

Wrócił do kuchni. Wlał sobie z lodówki szklankę zimnego mleka i usiadł za stołem. Zapiekanki wystygły.

Minęła szesnasta. Zapadał zmierzch. Postanowił, że wyjedzie o osiemnastej. Zastanawiał się, jak powinien się ubrać. Nie miał żadnej białej kurtki, żeby wtopić się w śnieżny pejzaż. Nie był jednak pewien, czy to w ogóle będzie konieczne. Po zmierzchu i w nocy i tak nie będzie widoczny, bo nawet w świetle księżyca obraz jest czarno-biały. W nocy wszystkie koty są czarne – pomyślał Paavo, wkładając naczynia do zlewu.

Dwadzieścia minut później siedział w samochodzie.

Według mapy do Medvastu było około osiemnastu kilometrów, czyli powinien dotrzeć na miejsce za dwadzieścia minut. W chacie Seppa był latem kilka lat wcześniej, więc nie miał pewności, czy uda mu się ją teraz odnaleźć. Dom stał na odludziu, na niewysokiej skale kilkadziesiąt metrów od brzegu morza. Zimą wszystko wygląda inaczej – pomyślał Paavo, ale liczył, że na miejscu pamięć mu się odświeży. Punktem orientacyjnym była stara szkoła, za którą należy skręcić w prawo. Dwa kilometry dalej stał dom Seppa.

Wcześniej musiał znaleźć miejsce, gdzie mógłby przestrzelać mosina, przypomnieć sobie, jak działa, i sprawdzić amunicję. Ostatni raz strzelał

z niego w szkole średniej.

Nie był przekonany, że go użyje, ale musiał mieć pewność, że ta stara broń nie zawiedzie, gdyby się jednak zdecydował. Męczyła go myśl, że musiałby się jej pozbyć. Wrzucić do jakiejś przerębli albo zakopać, a przecież wszystko było zmrożone na kamień. Uwierała go jednak myśl, że to pamiątkowy karabin ojca, i to z jakąś tajemnicą. Byłoby to jak wymazanie fragmentu z życiorysu bohatera Związku Radzieckiego.

Gdy dojechał do Medvastu, było już ciemno. Przez pół godziny krążył po okolicy, oświetlając drogę reflektorami, i nie mógł odnaleźć starej szkoły na skrzyżowaniu. Był to punkt orientacyjny, który Seppo zawsze podawał, kiedy zapraszał gości.

Zatrzymał się na rozjeździe, którym już wcześniej jechał, ale żadnego budynku nie było.

Kurwa, może tę ruderę rozebrali – pomyślał, siedząc za kierownicą, i zastanawiał się, ile lat temu był tutaj ostatni raz. Sześć, siedem?

Pod lasem, dwieście metrów dalej, widać było zabudowania, w których paliło się światło.

30

W niedzielę rzadko przychodziły depesze, więc Anatolij Porfirionowicz Kazubin pozwolił sobie wieczorem wypić trochę więcej niż zwykle. Tym bardziej że w punkcie szyfrowym dyżurował jego zastępca Kostia.

Mimo że w mieszkaniu było ciepło, Kazubin ciągle marzł, więc siedział w fotelu okryty kocem, w filcowych kapciach i oglądał Program Pierwszy Centralnej Telewizji ZSRR.

Telewizor Rubin włączał rano, zanim wstawił wodę na herbatę, i wyłączał, kiedy szedł spać. Musiał wiedzieć, co się dzieje w Moskwie, bo samo czytanie depesz go nie satysfakcjonowało.

Lubił też radzieckie filmy, a szczególnie przedwojenne komedie i filmy Gajdaja, które dawały mu dużo radości. *Wołga, Wołga* i *Świat się śmieje* znał na pamięć. W telegazecie przeczytał, że za godzinę będzie *Kaukaska branka, czyli nowe przygody Szurika*. Od razu poczuł się lepiej. Wlał sobie kieliszek wódki i miał już go wypić, gdy zadzwonił telefon.

– Przyszło coś… rezydenckim, króciutkie – odezwał się Kostia. – Przyjdziesz?

– Kostia, drogi, zaraz będzie *Kaukaska branka*…

– A on jest?

– Nie wiem. Zadzwoń do dyżurnego.

– Zadzwonię. – Kostia się rozłączył.

Anatolij Porfirionowicz stracił ochotę na oglądanie filmu. Depesza szyfrem rezydenckim w niedzielę wieczorem oznaczała, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Ktoś ważny w Moskwie musi być bardzo zdenerwowany, skoro nie może zaczekać do poniedziałku rano.

Niby co Portnoy może dzisiaj zrobić? – zastanawiał się Kazubin i wychylił kieliszek. Sięgnął po telefon.

– No i co? – zapytał, kiedy Kostia odebrał.

– Jest u siebie w domu.

– Dobra. Zaraz przyjdę i mu zaniosę – rzucił Kazubin i się rozłączył.

Chciał zobaczyć, jak Portnoy zareaguje. Natychmiastowa depesza rezydenckim szyfrem w niedzielę wieczorem to musiało być coś specjalnego. Przychodziły zwykłe szyfrogramy, tajne, ściśle tajne, pilne, często natychmiastowe, nawet w środku nocy, ale była to korespondencja od poszczególnych wydziałów. Kazubin nie mógł sobie przypomnieć, kiedy Portnoy ostatni raz dostał natychmiastówkę w niedzielę wieczór.

Poszedł do punktu szyfrowego i zadzwonił do rezydenta. Poinformował go, że przyszła natychmiastowa depesza. Portnoy mieszkał w domu obok ambasady, więc musiał przejść do głównego budynku, gdzie w swoim gabinecie miał sejf z kodami.

Zapowiedział, że zjawi się w ciągu piętnastu minut.

Kazubin spojrzał na zegarek i obliczył, że straci dziesięć minut filmu, i pomyślał, że może powinien naruszyć oszczędności i w końcu kupić sobie magnetowid. Warto było jednak zaczekać, żeby zobaczyć reakcję Portnoya. W końcu ten film też znał na pamięć.

Włożył depeszę do teczki i zszedł do sekretariatu Portnoya, gdzie dyżurował Pietia. Usiadł na krzesełku i czekał.

– Pietia, ty się znasz na magnetowidach, prawda? – zapytał Kazubin. – Ile taki kosztuje?

– Zależy jaki. Najlepsze i najdroższe są, moim zdaniem, Sony i Mitsubishi, ale możesz dostać taniej różne inne, koreańskie na przykład. Najlepiej kupić u Justensena, ceny tak… – Piotr pokiwał głową z zadumą – między trzysta a pięćset baksów.

– Drogo.

– A jaki masz telewizor?

– Rubina oczywiście.

– To musisz przerobić, bo nie będzie działać. Inny system. To jeszcze będzie kosztować, więc lepiej kupić od razu zachodni telewizor.

– A będzie odbierał Pierwszy Kanał?

– Chyba nie. A po co ci Pierwszy Kanał? Filmy będziesz sobie oglądał. Bonda, pornosy…

– Chciałem nagrywać nasze… radzieckie.

– Ech… – zamruczał Piotr. W tym samym momencie otworzyły się drzwi. Ubrany w kurtkę, dres i wełnianą czapkę wkroczył Portnoy. Piotr i Kazubin wstali.

– Dawaj! – rzucił przez zaciśnięte zęby w stronę Kazubina i wyciągnął rękę po teczkę. Zajrzał do środka i z impetem otworzył drzwi do swojego

gabinetu. Tylko dla tej sceny warto było stracić początek filmu – pomyślał Anatolij Porfirionowicz.

Portnoy był zaskoczony depeszą o tej porze. I z całą pewnością nie mogły to być awans ani sprawa „Dąb”. Zanim przystąpił do odszyfrowywania tekstu, pomyślał, że to pewnie „Maksym”, którą prowadził od dwóch lat. Nie mogło być teraz nic ważniejszego. Finlandia i Polska, jak kiedyś, znów miały dla Rosji strategiczne znaczenie.

W Polsce wybory prezydenckie wygrał Lech Wałęsa i trzeba było pilnie ustawić i zadaniować agenturę w jego otoczeniu. Dla Gorbaczowa Polska była teraz szczególnie ważna. Po zjednoczeniu Niemiec trzeba było pilnie znaleźć dla niej nową formułę, bo Układ Warszawski istniał już tylko na papierze, a rząd w Warszawie coraz życzliwiej spoglądał w stronę NATO. Idealnym rozwiązaniem byłaby „finlandyzacja” Polski, dlatego to Portnoy pod przykryciem Wiktora Bergmana prowadził agenta „Maksyma”, człowieka w najbliższym otoczeniu legendarnego Lecha Wałęsy.

„Maksym” był człowiekiem wyjątkowo aroganckim, pewnym siebie i zarozumiałym. Początkowo wydawało mu się nawet, że to on steruje Bergmanem, co było elementem planu KGB uwikłania go we współpracę, aż do momentu, kiedy zdał sobie sprawę, jak głęboko utkwił, ale wtedy nie miał już wyjścia. Polskie służby nad niczym nie panowały, bo po upadku komunizmu były w rozsypce. Ze względu na cechy charakteru „Maksym” był dobrym agentem do inspiracji i dezinformacji. Jego najważniejszym zadaniem było sianie zamętu na szczytach władzy. Wychodziło mu to bardzo dobrze i wykazywał wiele inicjatyw. Bardziej nienawidził swoich oponentów politycznych niż Związku Radzieckiego.

Portnoy odszyfrował depeszę. Dobrze wyczuł. Okazało się, że we wtorek leci do Warszawy i Nowy Rok spędzi w Polsce. „Maksym” chwilowo był ważniejszy niż „Dąb”. Nawet się ucieszył. Był już mocno zmęczony sytuacją w Helsinkach. Chwilami odnosił wrażenie, że wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Z upartymi Finami było znacznie trudniej niż z Polakami.

Zostało mu niewiele czasu, żeby spotkać się z „Kolą” i napisać raport w sprawie „dwunastu”.

Wyjął z biurka kartkę w kratkę i napisał krótkie potwierdzenie wykonania rozkazu.

31

Mimo wczesnej pory Louis i Ray, podnieceni perspektywą powrotu do Anglii, bez oporów pili czosnkową wódkę. Zrobili się głośni i zaczęli przyciągać uwagę gości. Seppo nie pił, bo prowadził samochód, a ja i Olivier tylko moczyliśmy usta.

Siedzieliśmy przy dużym oknie z widokiem na ulicę Fredrikinkatu.

– Patrzcie! – odezwał się Ray wyraźnie pobudzony i wskazał palcem na człowieka idącego szybkim krokiem po drugiej stronie ulicy. – Gość ma taki sam skórzany płaszcz jak Louis. A mówiłeś, że został uszyty specjalnie dla ciebie…

Wszyscy spojrzeliśmy na mężczyznę, który rzeczywiście miał na sobie podobny płaszcz, lecz od razu widać było, że jest włóczęgą.

Louis poderwał się i wybiegł do drugiego pomieszczenia, gdzie przy drzwiach powiesiliśmy nasze okrycia. Po chwili zobaczyliśmy Louisa na ulicy, jak biegnie w stronę, w którą odszedł mężczyzna. Po kilkunastu metrach zatrzymał się i rozglądał nerwowo. Zaskoczeni obserwowaliśmy tę scenę.

Louis wrócił do restauracji. Wszedł do sali z kelnerem i rozłożył ręce, jakby prosił o deszcz.

– To był mój płaszcz – oświadczył z taką miną, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Jak to, ukradł ci płaszcz? – zapytał Seppo.

– Wszedł, zdjął z wieszaka i wyszedł – włączył się kelner z niedowierzaniem.

– Po prostu… wszedł, włożył mój płaszcz za dwa tysiące funtów i wyszedł – dodał Louis. – Teraz będzie spał w nim gdzieś na śmietniku albo pod mostem, ale chyba się nie ogrzeje.

– Nie wierzę. – Seppo pokręcił głową. – To chyba pierwsza zuchwała kradzież w Helsinkach od czasu wojny. Gdzie jest telefon? – zwrócił się podniesionym głosem do kelnera, który wskazał ręką za siebie. – Powiadomimy policję. Może go znajdą.

Płaszcz się nie znalazł, więc Louis poleciał do Londynu w swetrze i marynarce, chociaż było bardzo zimno. Zatopił smutek w czosnkowej wódce, którą bez ograniczeń podawała restauracja, biorąc na siebie całą winę za kradzież.

Zdarzenie było tak absurdalne, jakby wprost wyjęte ze skeczu Monty Pythona, więc nie mogliśmy zachować powagi stosownej do bolesnej straty Louisa.

Seppo też nie potrafił zrozumieć naszego rozweselenia i wyglądał, jakby to on był sprawcą i ofiarą jednocześnie. Nie odezwał się przez całą drogę do Medvastu. Próbowałem bagatelizować zdarzenie, ale Seppo tylko wzdychał głęboko i kręcił lekko głową. Miałem wrażenie, że bierze na siebie całą odpowiedzialność, jakby czuł się winny, że Finlandia przegrała wojnę. Zuchwała kradzież płaszcza na pożegnalnym lunchu dla brytyjskich przyjaciół była jak sztylet wbity w dumę Finlandii. Fin może polec i zabić w walce, pomylić się, umrzeć z zimna i głodu, nawet skłamać, ale nie ukradnie. Nawet włóczęga, bo to też Fin.

Dotarliśmy na miejsce już po zmroku.

Dom, który Seppo nazywał chatą, był całkiem okazałym drewnianym budynkiem pomalowanym na żółto. Stał na skale blisko zamarzniętej zatoki.

Weszliśmy do środka. Miał może czterdzieści, a może więcej lat, ale wyglądał na przytulny i zadbany. Było czysto, ciepło i sucho, ale mimo to Seppo od razu zszedł do piwnicy, podkręcił ogrzewanie i włączył saunę.

Salon był bardzo duży i wraz z kuchnią zajmował niemal cały parter. Od strony morza ogromne okno zajmowało prawie całą ścianę. Za dnia widok musiał być imponujący – pomyślałem od razu. Urządzony był surowo i wygodnie, ale nie miał nic wspólnego z mieszkaniem Seppa w Helsinkach. Dwie wielkie bordowe kanapy i trzy przepastne fotele mogły ugościć dziesięć osób. Trochę ozdób dodawało pomieszczeniu uroku. Porcelanowe figurki tancerek stały na palisandrowej komodzie z lat pięćdziesiątych.

– To teraz dom mojej byłej… Mii – rzucił, widząc moje zainteresowanie figurkami.

– Ładne.

– Tandeta. Kupowała je na pchlim targu. Ale wystawiła tutaj dopiero po rozwodzie – wyjaśnił. – Chyba napijemy się odrobinę wódki. Wciąż coś we mnie dygocze po tej kradzieży.

Po chwili wrócił z kuchni z dwoma kieliszkami w dłoniach. Wychyliliśmy na stojąco.

– No… od razu mi lepiej – oświadczył z uśmiechem. – Torsten chyba spali się ze wstydu przed Higginsem, nie mówiąc o Colbergu, jak się dowie. Poza tym jest pewien problem. Załóżmy, że policja za jakiś czas odnajdzie tego włóczęgę. Czy Louis będzie chciał odzyskać ten płaszcz? Wiesz, co mam na myśli.

– Sądzę, że Louis pogodził się już z jego utratą.

Usiedliśmy w miękkich fotelach.

– Poczekamy, aż się sauna nagrzeje – zaczął Seppo. – Lodówkę mamy pełną, bo liczyłem na więcej gości. Wygrzejemy się i potem pogadamy.

– Rozumiem, że nie zmartwiła cię decyzja o zawieszeniu działań wobec kapitana Razumowa – zacząłem.

– Szczerze mówiąc – zawahał się – raczej mnie zmartwiła, ale chyba nie z takiego powodu, jak podejrzewasz. Werbunek Razumowa uważam za mało prawdopodobny. Mimo że kapitan daje sygnały, na których można coś zbudować, to jednak… to jednak… to jest Rosjanin, marynarz Floty Północnej, twardy człowiek z zasadami. Oni nie pękają tak łatwo, ale oczywiście w tym wypadku mogę się mylić. Jak zawsze zresztą. Może przejedziesz po nim jak atomowy lodołamacz. Nie wiem, życzę ci tego. Sprawa jednak jest na tyle ważna, że trzeba próbować, i w tym się z tobą zgadzam. Myślę też… wybacz, że to powiem… że cały ten zespół „Mermaid” nie jest ci do niczego potrzebny. Więcej, uważam, że cię ograniczają. Wyglądasz na indywidualistę. Te całe dyskusje, narady, konsultacje – Seppo pokiwał wielką głową – są ci na chuj potrzebne. Tylko zaciemniają obraz i wybijają z rytmu. Widzę to przecież. Powinieneś działać sam, no z pomocą Raya i moją. Doskonale to wiesz.

– Wtedy będziemy mogli zająć się „Viperem”? – zapytałem z przekąsem. – O to ci chodzi?

– O to też. Musimy Portnoya wytrącić z równowagi, a nadarza się ku temu dobra okazja. Pewnie nie wiesz, ale kilka dni temu BND i wasza służba przekazały Koivistowi raport dotyczący dwunastu agentów Stasi w Finlandii. Informacje uzyskano z analizy tego, co Niemcy przejęli w siedzibie enerdowskiego wywiadu i co podali skruszeni oficerowie.

– Tak? Nie, nie wiedziałem – odparłem zaskoczony. – Dwunastu?

– Dwunastu, i to z samych szczytów. Niestety. – Seppo wyraźnie posmutniał. – To oczywiście bezcenna wiedza, ale nie ma co ukrywać, też

cios dla naszej służby. Część z nich pracowała również dla KGB, ale materiały nie wskazują na to jednoznacznie.

– I co zamierzacie z tym zrobić?

– Kto jest na liście, wie tylko premier i prezydent, a minister obrony wie tylko o tym, że jest taka lista „dwunastu”.

– No i ty – wtrąciłem.

– Tak, jestem w tym od początku. Byłem z Torstenem w Londynie i na spotkaniu z Colbergiem tu, w Helsinkach, tydzień temu. Na razie premier i prezydent są zgodni, żeby tej listy nie ujawniać, bo skutki polityczne i medialne byłyby dla państwa katastrofalne. Zastanawiamy się nad rozwiązaniem alternatywnym, ale na razie zamierzamy po cichu odsunąć te osoby od dostępu do informacji wrażliwych i patrzymy, co zrobią Rosjanie. Chwilowo nie będzie lustracji.

– To znaczy?

– BND zrobiło przeciek do ich agentury, że taki raport powstał i został nam przekazany. Rzecz jasna, Colberg wie o tym. Rosjanie jednak nie mają pojęcia, jakie nazwiska są na tej liście. BND sprzedało im informację, że jest ich dwanaście. Znamy nazwiska ośmiu współpracowników Stasi i KGB, ale wiemy też o kolejnych czterech, tyle że nie możemy ich zidentyfikować. Materiały są fragmentaryczne. Mamy większe lub mniejsze podejrzenia, ale to trochę za mało. Uznaliśmy, że to będzie nasza pułapka. Liczymy, że KGB zrobi wszystko, by zdobyć ten raport, i być może aktywują całą swoją agenturę, żeby sprawdzić, jakie poniosą straty. Czyli Portnoy będzie musiał ruszyć wszystko, czym dysponuje. A przede wszystkim…

– I tu jest szansa na wyłowienie „Vipera”, który być może zna nazwiska tych czterech? – powiedziałem, a Seppo pokiwał głową. – Wciąż nie wiem za bardzo, jak to sobie wyobrażasz, jaka ma być moja rola, ale chyba zdarzyło się dzisiaj coś, co wpisuje się w twój pomysł. Dzisiaj rano Portnoy widział mnie i Raya razem z Higginsem koło Café Ursula.

– Café Ursula? Najgorsze miejsce w Helsinkach na tajne spotkania szpiegów, chyba że ktoś chce koniecznie pokazać się w towarzystwie. Ale dobrze się stało, nawet bardzo dobrze. Wykorzystamy to. To Higgins tam was wyciągnął?

– Tak.

– Więc teraz wiesz, dlaczego chcę pracować tylko z tobą. Jeżeli nie zdemaskujemy „Vipera”, rosyjska agentura będzie działać dalej, a nawet się

rozmnażać. Chodzi o tych czterech, których nie znamy, jak powiedziałeś. Rosja nigdy nie odpuści swojej strefy wpływów. Boją się, że możemy zacząć życzliwiej spoglądać w stronę NATO, a jest u nas trochę takich polityków, którzy patrzą w tę stronę. A sytuacja międzynarodowa jest sprzyjająca. Jeśli stracą u nas trzon swojej wpływowej agentury, nie będą pewni, co zrobimy. Szczególnie teraz, po zjednoczeniu Niemiec. NATO u granic ZSRR? Wystarczy spojrzeć na mapę. To najczarniejszy sen radzieckich marszałków – ciągnął Seppo.

– A jeśli w tej czwórce jesteś ty? Albo prezydent, albo premier?

– Pewny jestem tylko tego, że ja nie jestem. Dlatego robię wszystko sam, po swojemu, a teraz będę to robił z twoją pomocą. – Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. – Dlaczego? Bo ty też w tej czwórce nie jesteś. Razumow dał ci kontakt na Batulisa. Wykorzystamy to. Batulis jest młody, to sportowiec, kawaler, wprawdzie oficer na tyłach, ale ważne, że Litwin, a na Litwie coś się dzieje. Zajmiesz się Razumowem, gdy wróci z Leningradu, a do tej pory spróbujemy zbliżyć się do Batulisa. Musimy mieć kogoś wewnątrz rezydentury, nawet kogoś takiego jak Batulis. Borys ochroniarz to stanowczo za mało. Z jakiegoś powodu kapitan polecił cię właśnie Batulisowi. Nie tylko dlatego, że pracuje w przedstawicielstwie handlowym. Jest tam dziesięciu innych pracowników, w tym pięciu bez formalnego przydziału do KGB czy GRU. Na handlu trzeba się jednak trochę znać. Musi mieć do niego zaufanie, a Portnoy nie lubi Razumowa i wszyscy w ambasadzie o tym wiedzą. Mamy zamknięte koło i spróbujmy znaleźć jego słaby punkt, nacisnąć na nie tak, żeby pękło. Jeżeli pęknie i złapiemy „Vipera”, będzie ci łatwiej rozmawiać z Razumowem, a może nawet skłonisz go wtedy do współpracy.

– Widzę, że krążą o was nieprawdziwe stereotypy. Sauna wcale nie jest potrzebna, by szczerze porozmawiać z Finami, a nawet się zaprzyjaźnić.

– Trzeba im… kapitanowi uzmysłowić, że ZSRR znika, oni to czują, ale jeszcze nie rozumieją, co się dzieje. Są jak zaczadzeni, otumanieni, KGB przestaje decydować w Rosji o wszystkim, należy im uzmysłowić, że to już nie jest ten sam świat, o czym oni jeszcze nie wiedzą, wtedy będzie szansa na przekonanie go do współpracy z Zachodem dla dobra Rosji. Trzeba to zrobić, zanim zamienią czerwoną gwiazdę na złotego dwugłowego orła. Wtedy może być już za późno.

– Wiem! To przypomina mi opowieści mojego dziadka. Był w Archangielsku w czasie wojny domowej.

– Tak? – rzucił wyraźnie zaskoczony.

– Kiedyś ci opowiem. Dawne dzieje mojej rodziny. – Zdałem sobie sprawę, że nie powinienem się aż tak odkrywać.

Seppo proponował mi udział w swojej operacji, której uzasadnienie było co najmniej niejasne, i co więcej, miałbym działać za plecami Higginsa, czyli de facto bez zgody Londynu. Ale jego ocena sytuacji operacyjnej była bardzo solidna, nawet błyskotliwa, i zgadzałem się z każdym jego słowem.

Wciąż jednak nie wiedziałem, co miałbym konkretnie zrobić, jak mam wykorzystać Batulisa w podejściu do Razumowa. Powinienem był zapytać Seppa o to wprost, ale czułem, że on sam tego jeszcze nie wie. Nie chciałem stawiać go w sytuacji, żeby musiał się do tego przyznać i kombinować. Sam bym tego nie chciał. A jednak odniosłem też wrażenie, że ten wielki Fin tylko oszczędza słowa. Doskonale panuje nad tym, co chce zrobić, zna i rozumie Rosjan lepiej niż ktokolwiek. Imponował mi coraz bardziej.

Rozmawialiśmy po angielsku. Seppo mówił płynnie z silnym akcentem i trochę śmieszną miękką wymową, ale myślał po fińsku. Możliwe też, że dzieliła nas mentalność, która jednak nie rodziła sprzeczności.

Seppo twierdził z dumą, że jest Karelem, ale niewiele mi to wówczas mówiło. Wiedziałem jedynie, że to jakieś plemię ze wschodniej Finlandii. Przypomniałem sobie o Marinie i pomyślałem, że ona musi wiedzieć wszystko o Karelach i pomoże mi zrozumieć kogoś takiego jak Seppo. Intrygowała mnie ta jego północna tajemniczość.

Spodobała mi się jego propozycja, że mamy działać tylko we dwóch. Lubiłem działać spontanicznie, kierować się intuicją, więc Seppo trafił w punkt, kiedy powiedział, że nasz zespół tylko mnie krępuje. Wiedziałem o tym od początku. W moim szpiegowskim życiu rzadko się sprawdzały konsylia, narady, zespoły doradców, strategie czy plany, na końcu zawsze decydowały intuicja, spokój, czas, bardziej nawet doceniałem déjà vu niż dobre rady szefów. Sprawdzał się tylko Raymond. Oczekujemy od ludzi racjonalności, a ludzie racjonalni nie są, racjonalne są tylko maszyny.

Seppo miał w sobie coś niezwykłego, nieracjonalnego, a ja czułem, że to wartość, której właśnie potrzebowałem. Może dlatego, z powodu tego wrażenia, zobaczyłem w nim brakującego ducha prozy Conrada i zdecydowałem się na tę niezwykłą podróż po lodach północy.

– Okej! – Wyciągnąłem do niego dłoń. – Dokądkolwiek ta łódź płynie, zabieram się z tobą.

– Łódź? – odparł zdziwiony Seppo, ściskając mi boleśnie dłoń.

– To taka metafora.

– Aaaa… dobrze. – Podniósł się z fotela. – W takim razie zasłużyliśmy na porządne wygrzanie się w parze. Potem coś zjemy… ale nie mam już renifera. Mam dobrą mrożoną pizzę. Świetnie się robi na kamieniach w saunie.

– W takim razie, skoro dałem ci się wciągnąć w ten spisek, musisz coś dla mnie zrobić – stwierdziłem z lekkim fińskim uśmiechem, jaki podpatrzyłem u Seppa, i wstałem. Spojrzał na mnie nieco zaskoczony. – Na Uniwersytecie Helsińskim jest pewna stypendystka, miła dziewczyna z Leningradu, nazywa się Marina Morozowa… to delikatna sprawa prywatna. Rozumiesz? W końcu mam teraz trochę wolnego… i wiesz…

32

2021

Caroline nie mogła wyjść z podziwu dla Martina. Homar wyglądał jak dzieło sztuki i smakował wybornie, ale największe wrażenie robiła wprawa, z jaką go oporządzał. Mimo swojego wieku ruchy miał pewne i silne. Rozciął pancerz homara od głowy do ogona niemal jednym pociągnięciem. Potężne szczypce skruszył tłuczkiem bez żadnego wysiłku.

Białoróżowe mięso było delikatne i aromatyczne, uzupełnione trzema sosami do wyboru, smakowało cudownie. Caroline nie pamiętała, żeby kiedykolwiek zjadła tak dużo homara.

Raymond zmienił zmęczonego Martina i zajął się sprzątaniem ze stołu, co chwila popijając białe wino. Caroline i Martin zalegli w salonie.

– Co tam jest? – zapytała, wskazując białe drzwi w rogu.

– Takie moje miejsce do… Nic takiego. Coś w rodzaju biura.

– Pokażesz?

– Nie – rzucił zdecydowanie, ale spokojnie.

– No i co? Masz jakieś przemyślenia? – zapytała, zmieniając temat.

– Przemyślenia?

– Tak, w sprawie pół-Rosjanina i tajemniczego mężczyzny w Barrow. Jakieś przeczucia? Coś ci się może przypomniało?

– Ach tak, tak… nie, nic. Jestem już dzisiaj trochę zmęczony i trudno mi zebrać myśli – odparł Martin. – Zapaliłbym cygaro, ale lekarz zabronił.

– A masz cygara? – doleciał z kuchni głos Raymonda.

– Dobrze wiesz, że nie mam. Ostatnie wypaliliśmy chyba dziesięć lat temu, ale możemy napić się koniaku. Tego mi lekarz nie zabronił. Carol – zwrócił się do Caroline – możesz? – Wskazał wzrokiem szafkę pod ścianą.

– Oczywiście – powiedziała, wstając.

– Dla mnie tylko troszeczkę! – zawołał Ray. – Już do was idę.

W szafce były cztery koniakówki i tylko jedna butelka. Nie była otwarta. Caroline wyjęła trzy kieliszki i wlała na dno odrobinę. Podała jeden Martinowi, a drugi dla Raya postawiła na stole. Usiadła na kanapie i zaciągnęła się delikatnie bukietem trunku.

Martin spojrzał na nią i pomyślał, że chyba nigdy nie widział, żeby kobieta delektowała się zapachem alkoholu.

Amerykańskie wychowanie, a ja jestem już bardzo stary – pomyślał, ale widok Caroline sprawił mu przyjemność.

Była bardzo atrakcyjna, chociaż miała w sobie coś męskiego. Dodawało jej to seksapilu. Wiedział, że odkąd odszedł na emeryturę, świat zmienił się i miejsce kobiet na Vauxhall Cross też. Caroline była tego najlepszym dowodem. Przypomniała mu się rozmowa z Mariną o kobietach w Związku Radzieckim i patrząc na Caroline, odniósł wrażenie, jakby wszystko już było.

– Gotowe! – oznajmił Ray, z głębokim westchnieniem opadając na fotel.

– Dziękuję – odparł Martin.

– No to co? – ożywił się Ray, sięgając po kieliszek. – Stawonoga zostało tyle, że przez tydzień go nie zjemy. Czyli mamy czas na rozpracowanie zagadki, z którą przyjechała Carol.

– Sałatka z owoców morza, homar i sosy… wszystko było wyśmienite, ale nie mam tyle czasu – odezwała się. – Jutro wracam do Londynu. Trudno, ale wszystko rozumiem. Bo niby dlaczego mielibyście rozwiązać zagadkę, nad którą pracuje kilkanaście osób od wielu tygodni? Chcę, żebyście wiedzieli, że nie jestem rozczarowana i nie musicie mieć do siebie żadnych uwag. Zaszczytem było was poznać, a historia o trepangowym biznesie na Kamczatce była wręcz urocza. – Wychyliła odrobinę koniaku i odstawiła kieliszek.

– Może jednak zostałabyś jeszcze – odezwał się Ray. – Pójdziemy na spacer po górach. Tu jest bardzo ładnie. Prawda, Martin?

– Nie mam odpowiedniego obuwia ani ubrania. Poza tym muszę wracać. Czekają na mnie…

– Możesz przesłać mi zdjęcia ciała z doku i tego mężczyzny w Barrow? – włączył się Martin. – Na ten mail… – Podyktował jej adres, a Caroline skinęła głową.

– Masz komputer? – zapytała wyraźnie zaskoczona.

– Mam.

– Czy jest bezpieczny?

– Nie wiem. A co to znaczy?

– Zrobimy inaczej. Znasz IP swojego komputera?

– Znam. – Martin wyrecytował ciąg cyfr.

– Znasz na pamięć? – zapytała zdumiona Caroline.

– Facet ma pamięć ejdetyczną i ani śladu demencji – wtrącił się Ray. – Zapytaj go o figury na katedrze Nidaros. Wymieni wszystkie od lewej do prawej i z powrotem i każdego rzeźbiarza zna. Dlatego jest takim Bondem.

– Nie pierdol, Ray – rzucił ostro Martin. – Po prostu są takie rzeczy, które się pamięta, ale i takie, których nie można zapomnieć.

– Pamięć… jaka? – Caroline pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Poczytasz w internecie – dodał Ray.

– Nooo… zaskakujecie mnie, chłopcy – uśmiechnęła się szeroko i sięgnęła po swój tablet. – To jaki jest twój IP?

Martin powtórzył ciąg cyfr. Carol pomyślała, że jest coś niezwykłego w tych starcach. Po całym wyczerpującym dniu, mimo widocznego zmęczenia, potrafią zachować niezwykłą sprawność umysłu i poczucie humoru. Jeden przygotował wystawną kolację i przyrządził gigantycznego homara, a drugi, popijając wino, sprawnie posprzątał i wiedział, gdzie co wstawić. Byli tak różni i tak zgrani, jakby robili to codziennie od lat. Pomyślała, że taka kolacja zajęłaby jej dwa dni ze sprzątaniem.

I nagle wróciła jej nadzieja, że może ten wyjazd na koniec świata nie był bez sensu. Z jakiegoś powodu Martin zainteresował się sprawą.

– W takim razie zaraz wyślę zlecenie, żeby sprawdzili i zabezpieczyli twój komputer. Potem dam ci kod dostępu do naszego zaszyfrowanego pakietu. Będziesz miał wgląd do dokumentów tej sprawy, która nosi kryptonim „Hawk”. Zrzucisz je na zewnętrzny dysk, otworzysz za pomocą kodu i będziesz mógł z nich korzystać, ale wyłącznie na komputerze odłączonym od internetu. To bardzo ważne. Dasz radę czy mam ci pokazać, jak to…

– Nie trzeba, wiem – odparł Martin.

– Dobry jest w tym – dodał Ray i pokiwał siwą głową.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Caroline wyszła do holu i przez kilka minut rozmawiała przez telefon.

– Po co ci te materiały? – zapytał wyraźnie zmęczony Ray.

– Właściwie to nie wiem – rzekł Martin. – Mógłbym powiedzieć, że coś mnie niepokoi w tej historii. Przez chwilę odniosłem wrażenie, jakbym już gdzieś o tym słyszał. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale ta historia nie jest mi obca. Może coś zapomniałem, a może to niezwykłe déjà vu?

– No tak, Martin, może coś zapomniałeś. Stary jesteś jak mumia egipska i pamięć masz dobrą, tylko krótką. Człowiek nie ma takiego mózgu, który pomieściłby wszystko, więc co jakiś czas sam robi sobie miejsce i kasuje stare, nieużywane pliki.

Wróciła Caroline i wręczyła Martinowi karteczkę.

– Masz tutaj adres i kod dostępu. Dasz radę…

33

1990

Paavo zaparkował samochód przy drodze i ostatnie dwieście metrów podszedł pieszo. Naciągnął czapkę na oczy i postawił kołnierz tak, żeby nie było widać twarzy.

Drewniany dom wyglądał biednie. Nacisnął dzwonek, ale nikt się nie odezwał, więc zastukał. Z wewnątrz doleciały dźwięki i po chwili stłumiony niski głos. Zastukał jeszcze raz i dopiero teraz zazgrzytała zasuwa.

Drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się połowa pomarszczonej twarzy z okiem zakrytym mocnym soczewkowym szkłem.

– Czego? – zachrypiała kobieta.

– Mam pytanie – zaczął Paavo. – Tam na rozjeździe stała drewniana szkoła, tak?

– Zburzyli – rzuciła i zatrzasnęła drzwi.

I o to chodziło, kobieto! To była dobra odpowiedź – pomyślał zadowolony i wrócił do samochodu.

Odnalezienie domu Moilanena było już łatwe.

Droga przez las do wybrzeża była odśnieżona i dobrze ubita. Do domu Seppa prowadziła w lewo odnoga, którą trzeba było przejechać jeszcze sto metrów. Paavo rozpoznał go bez trudu. Wewnątrz paliło się światło.

Może lepiej, gdyby go nie było? – przeleciało mu przez myśl.

Główna droga kończyła się czterysta metrów dalej nad brzegiem morza. Nad małą zamarzniętą zatoką stało kilkanaście rozświetlonych domów. Były też sklepik, stary dystrybutor benzynowy i przystanek autobusowy. Żadnych przechodniów ani latarni.

Paavo zrobił rundę na pętli i wrócił na główną drogę. Przed wjazdem do osiedla widział mały pusty parking. Stały tam już dwa auta.

Zaparkował od strony lasu, żeby jego audi nie było widoczne z drogi.

Z bagażnika wyjął aparat fotograficzny w etui, który przewiesił przez ramię i przesunął na plecy. Do kieszeni kurtki wsunął latarkę. Dopiero teraz wyjął karabin w futerale. Poprawił czapkę i naciągnął rękawiczki. Zamknął samochód i ruszył wydeptaną ścieżką w stronę wybrzeża.

Z topografii terenu wynikało, co sprawdził na mapie, że do domu Seppa można dotrzeć od strony morza. W linii prostej było to pięćset metrów. Nie wiadomo jednak, czy ścieżka jest przetarta. Zakładał, że nie powinien mieć trudności, bo śnieg nie padał już od dawna, a narciarze i biegacze byli uparci, tym bardziej że pogoda dopisywała przez ostatnie dni. Przedzieranie się przez las i śnieg nie wchodziło w grę. Przed wyjazdem pomyślał nawet, że może powinien na wszelki wypadek zabrać narty. Nie był dobrym biegaczem, ale narty ułatwiłyby podejście.

Minął oświetlone domy i po kilkudziesięciu metrach dotarł do brzegu zamarzniętego morza. Nie spotkał nikogo i był niemal pewien, że nikt też go nie widział. Wyjął latarkę i poświecił przed siebie. Ścieżka biegnąca wzdłuż brzegu była dosyć szeroka, dobrze ubita i po prawej stronie miała dwie koleiny. Wyglądała na uczęszczaną przez biegaczy.

Paavo ruszył przed siebie, świecąc pod nogi. Było bardzo zimno, więc po chwili wyłączył latarkę, żeby oszczędzać baterię. Zapomniał wziąć zapasowe, a latarka będzie mu bardziej potrzebna w drodze powrotnej. Przypomniał sobie, że nie wziął też baterii do aparatu.

Taka podstawowa sprawa, a ty dajesz dupy, człowieku. Jeśli kogoś spotkasz na ścieżce, odpuszczasz. Za duże ryzyko.

Ścieżka była nieoświetlona, więc prawdopodobieństwo spotkania nocnego narciarza było niewielkie. Mimo to Paavo naciągnął mocniej czapkę na głowę i wtulił się w wysoki kołnierz. Poruszał palcami u rąk i nóg, żeby pobudzić krążenie.

Po kilkudziesięciu metrach ścieżka odbiła od brzegu i skręciła w las. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Paavo z trudem posuwał się naprzód. Włączył na chwilę latarkę i przez moment świecił przed siebie, żeby sprawdzić kierunek. Oświetlił pobocza. Zrobiło się dziwnie. Przez chwilę wydawało mu się, że w głębi lasu zobaczył sylwetkę człowieka. Wiedział, że to tylko złudzenie, ale mimo to poczuł niepokój. Pomyślał nawet, że chyba przeliczył się, przyjeżdżając do Medvastu, i może powinien zawrócić. Nie zabrnął jeszcze za daleko.

Wypity wczoraj alkohol zdezorientował go, rozchwiał emocje, a powinien teraz myśleć chłodno. Czuł przyjemny ciężar mosina na ramieniu i im

bliżej był domu Seppa, tym bardziej nie chciał już wracać.

Pozostało przemyśleć, co jutro powie Griszy. Wytłumaczy, że Seppo mógł go zdekonspirować i postanowił usunąć zagrożenie, czy będzie udawać, że nie ma z tym nic wspólnego? A może po prostu przekona Griszę, żeby w raporcie do Moskwy umieścił jakąś uzgodnioną wersję?

W końcu dekonspiracja i moje aresztowanie rozwaliłyby rezydenturę i całą naszą agenturę w Finlandii. Dla Portnoya byłaby to życiowa katastrofa, i to w takim momencie. Właściwie wszyscy powinni uznać śmierć tego pierdolonego Karela za dobre rozwiązanie, a moją decyzję – za zbawienną. Przecież w końcu, kurwa, tylko na tym skorzystamy. Stało się i trzeba pomyśleć, co to dobrego przyniesie.

Przeszedł czterysta metrów. Trwało to długo, więc nie potrafił określić dokładnie odległości, ale tak mu się wydawało. Pilnował, żeby drzewa majaczyły po obu stronach ścieżki i wskazywały mu kierunek.

Zatrzymał się. Gdzieś za drzewami, na czarnej ścianie lasu przebijało światełko. To musi być dom Seppa – pomyślał, tak wynikałoby z mapy i topografii terenu. Włączył latarkę i znów poświecił przed siebie. Ścieżka skręcała w stronę morza.

Po chwili wyszedł z lasu. Nad brzegiem było jaśniej. Dom Seppa stał sto metrów przed nim, na skale, zwrócony wielkim oświetlonym oknem w stronę morza. Po prawej stronie parkował czerwony golf.

Tak, to ten dom… i ten samochód. Pamiętam to okno i wielki salon… wielkie kanapy, fotele, obok kominek.

Wyciągnął lornetkę i zaczął rozglądać się za miejscem, z którego mógłby obserwować dom i zajrzeć do wnętrza. Po chwili wiedział już, że musi przejść na drugą stronę zatoczki, gdzie na wysokiej skale dostrzegł kępę drzew. Stamtąd miałby niemal prostopadły widok i byłby wyżej. Mógłby nawet wejść na drzewo. Musiałby jednak przejść po skale między domem a morzem i byłby widoczny z okna. Bezpieczniej i szybciej byłoby iść na skróty po lodzie.

Gdyby nawet mnie zobaczył, to i tak przecież nie rozpozna. Za ciemno jest – pomyślał i był już zdecydowany zejść na lód, kiedy przez lornetkę zobaczył ruch w domu.

– Jest! – powiedział zadowolony, kiedy w salonie mignęła mu wielka postać w brązowym swetrze. – Ciekawe, czy przyjechał sam.

Ścieżka prowadziła w stronę domu Seppa, więc Paavo zaczął schodzić w stronę brzegu. Dziesięciometrowa skała pochylała się coraz bardziej,

a pokrywający ją śnieg był sypki i zwietrzały. Paavo poczuł, że powoli zaczyna się zsuwać. Próbował przytrzymywać się rękami, ale tylko trochę spowalniał. Wiedział już, że za chwilę spadnie na lód, i za wszelką cenę starał się uniknąć uderzenia. Zaparł się karabinem jak kotwicą i trochę spowalniał zjazd. Ostatnie kilka metrów było tak strome, że żaden opór już nie pomagał. Nagle wychylił się głęboko do tyłu, stracił równowagę i upadł na plecy, przygniatając torbę z aparatem fotograficznym. Zjechał na dół i do bólu w plecach dołączył potężny, przeszywający ból nad okiem, jakby kawał rozżarzonego metalu wbił mu się w głowę. Zgarnął śnieg i przycisnął do bolącego miejsca. Zamknął oczy, zacisnął zęby i czekał. Po chwili poczuł ulgę. Śnieg się rozpuścił, więc zgarnął drugi raz. Trzymając się wciąż za głowę, wyciągnął się na plecach i wziął kilka głębokich oddechów. Spojrzał w granatowe rozgwieżdżone niebo i pomyślał, że mógł przecież złamać nogę albo rękę.

Właściwie… byłoby już po mnie. Jak bym wytłumaczył, skąd się tutaj tutaj wziąłem? Z karabinem snajperskim? *Fuck*! *Fuck*! *Fuck*!

Przez moment pomyślał, że może przecenił swoje możliwości. Od początku, kiedy nie mógł znaleźć drogi, miał wątpliwości, czy dobrze robi, ciągle coś mu przeszkadzało. A mimo to jakaś siła wciąż pchała go dalej. Wciąż liczył, że wszystko się uda. Teraz ten upadek. Zniszczył aparat i o mało nie stracił oka. Wyglądało to na ostrzeżenie losu, żeby sobie odpuścił.

I wielu pewnie by zawróciło, ale nie ja! – pomyślał Paavo z przekonaniem i się roześmiał. Nie damy się, tato… Prawda?!

Nigdy nie wierzył w żadną opatrzność ani zrządzenie losu, każdą porażkę przekuwał w sukces. Nikt nie miał takiego wpływu na losy Finlandii w tym wieku jak rodzina Haukków – uważał Paavo, więc właśnie dlatego, że spadł z tej skały, nie podda się i zrealizuje to, co zaplanował.

Nie wiedział jeszcze, czy na pewno pociągnie za spust. Najpierw chciał zobaczyć w celowniku głowę Seppa i dopiero potem zdecyduje o jego losie.

Usiadł na lodzie, włączył latarkę i ściągnął rękawice. Dotknął czoła. Na dłoni pojawiła się mała plamka krwi. Roztarł ją palcem i otworzył torbę. Wyjął teleobiektyw, z którego wysypały się drobinki szkła.

Pozbierał się i ruszył w stronę kępy drzew, która majaczyła na skale po drugiej stronie zatoczki.

Znalazł dobre miejsce między dwiema sosnami. Przysiadł na kamieniu i wyjął lornetkę. Nie czuł zimna, tak jakby zapomniał, że jest kilkanaście

stopni poniżej zera. Wydawało mu się nawet, że serce bije mocno i równo, a gorąca krew rozgrzewa najdalsze zakamarki ciała.

Okulary lornetki ciągle zachodziły parą, ale i tak całkiem dobrze widział wnętrze salonu, w którym paliło się światło. Paavo ocenił odległość na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów.

Powinienem trafić bez problemu. Jeżeli usiądzie w fotelu po prawej albo na kanapie obok, to na pewno nie spudłuję. Musi tam usiąść, jeżeli chce obejrzeć telewizję.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza i Paavo pomyślał, że za chwilę będą wiadomości na drugim kanale Yle.

Nagle zauważył w oknie ruch. Przyłożył lornetkę i znów zobaczył Seppa kręcącego się po pomieszczeniu.

Wygląda na to, że jest sam. Świetnie. Zaczął wyciągać karabin z futerału. W sumie dobrze to wszystko wymyśliłem.

Na kamieniu postawił torbę z aparatem, a na niej zwinięty futerał po karabinie. Zrobił sobie podpórkę. Ustawił celownik i wprowadził pocisk do komory. Dopiero teraz zdjął puchową kurtkę, owinął nią szczelnie karabin, tak by wystawały tylko końcówka lufy i celownik optyczny, zsunął się niżej i przyklęknął.

34

Borys i Leena leżeli na łóżku nago i łapali oddech.

– Nie powinniśmy jeść tak dużo przed seksem – wydusił z siebie Borys.

– Przecież nie musisz – odparła Leena i położyła dłonie na swoich ogromnych piersiach.

– O której ma przyjść ten gość?

– Za piętnaście minut! – rzuciła, spoglądając na zegar.

– No… to… trzeba wstawać. – Borys westchnął głęboko i poderwał się ze skotłowanego łóżka.

– Lubię ten twój tatuaż – powiedziała Leena, spuszczając nogi na podłogę.

– Tygrys ussuryjski w berecie specnazu – stwierdził z dumą Borys.

– A czym się różni od innych tygrysów?

– Jest rosyjski i największy ze wszystkich.

– Aaaa… tak, tak, mówiłeś, mówiłeś… naprawdę ładny.

– Pewnie, że ładny. – Pogładził z czułością tatuaż.

Leena poszła do łazienki. Borys wciągnął spodenki, wziął otwartą puszkę piwa z parapetu i stanął przy oknie. Żadnych przechodniów, tylko latarnie uliczne oświetlały zaparkowane samochody, niektóre nakryte wysokimi czapami śniegu.

Cisza, spokój – pomyślał Borys. Mógłbym tu mieszkać. Finowie tacy swojscy, tacy nasi trochę… dobrzy żołnierze. Nawet mają tu sobór.

Borys domyślał się, czego będzie od niego oczekiwał mężczyzna, który miał za chwilę przyjść. Nie wiedział natomiast, czego on powinien oczekiwać. Stał teraz przy oknie i po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że mógłby tu zostać, razem z Leeną. W Rosji miał tylko matkę, która była salową w szpitalu psychiatrycznym w Krasnojarsku. Nie widział jej od dwóch lat.

A może kiedyś bym ją tu ściągnął? – pomyślał. Albo pomógł jej finansowo. Tylko co ja bym tu robił? Właściwie to mogę robić wszystko, mogę

iść choćby na budowę. Mam dopiero trzydzieści pięć lat. Oni tu dobrze zarabiają na budowach i mają dobre samochody. Tylko Rosji żal. Jak żyć bez kolegów, bez wspomnień – zastanawiał się Borys, wyglądając przez okno. Przeklną czy będą podziwiać? Ech… Boria… i tak cię przeklną, bo wyniosłeś ponad sto flaszek wódki i sprzedałeś kupę fajek, no i opowiadałeś Finom, co wyrabia Lemieszew. Nie chcę już tego robić, to poniżające dla żołnierza.

– Co tak stoisz goły w oknie – odezwała się Leena. – Ubierz się. Zaraz przyjdzie gość.

– Wyszłabyś za mnie? – zapytał niespodziewanie.

– Może – uśmiechnęła się. – Lubię cię, Boria, naprawdę cię lubię. Jesteś supermężczyzną, ale do Rosji się nie wybieram.

– Aaaa… – Borys zaczął się ubierać. – A gdybym tak na przykład tu został.

– W Finlandii?

– No!

– Może, może – rzuciła ciepło i wyszła z pokoju.

Borys był w łazience, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Gdy wyszedł, w przedpokoju ujrzał dwóch mężczyzn, którzy właśnie się rozbierali i rozmawiali z Leeną po fińsku. Uścisnęli dłoń Borysowi i przywitali się po rosyjsku. Zdjęli kurtki, czapki i buty.

Szczupły i wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni blondyn zaczesany do tyłu, w okularach przedstawił się jako Aleksi. Młodszy i niższy brunet z czarnymi wąsami miał na imię Eivo.

Byli uśmiechnięci i grzeczni.

Fińskie KGB? – pomyślał z zaskoczeniem. Dziwne. Zdjęli buty i się uśmiechają? Podejrzane, kurwa.

– Zapraszam do salonu – powiedziała Leena. – Kawy? – zapytała. – A może coś mocniejszego?

– Daj kawę i coś mocniejszego też – zarządził Borys. – Zimno przecież, panowie na pewno zmarznięci.

W tym czasie Witalij Batulis skończył prasować koszule na przyszły tydzień. Każdą powiesił na wieszaku i zapiął guziczek pod szyją, żeby się nie zagniótł front. Musiał jeszcze sparować skarpetki i zwinąć je w kłębek. W pralce były jeszcze ręczniki i koszulki sportowe.

Postanowił chwilę odpocząć, chociaż po meczu czuł się wyśmienicie, fizycznie i psychicznie. Poszedł do kuchni. Wstawił wodę na herbatę

i wrzucił do garnka cztery parówki. Wrócił do pokoju i włączył pierwszy kanał Ostankino. Szły właśnie wiadomości i komentator mówił o sprzecznych z prawem działaniach Sajūdisu na Litwie, powtarzając znane już groźby Moskwy wobec władz w Wilnie.

Batulis wiedział, że to propaganda, i denerwowało go, że nie wie, co się tam naprawdę dzieje. Telewizji fińskiej nie oglądał, a CNN niewiele mówiło o Litwie. I tak uważał, że po cichu sprzyjało Gorbaczowowi. Nie miał w Wilnie do kogo zadzwonić. Gdyby nawet mógł zadzwonić do rodziców, to i tak nie powiedzieliby nic istotnego, bo całym sercem wspierali Moskwę.

Dlatego Witalij kupił sobie w Justesenie radio o globalnym zasięgu i słuchał stacji Lietuvos radijas I z Wilna na falach krótkich. W ostatnich tygodniach nawet bardzo często, bo stacja wyraźnie wspierała niepodległość. Najbardziej martwił się o dziadków i nie miał nic przeciwko temu, żeby Paulauskas reprezentował w przyszłości Litwę.

Założył słuchawki, nastawił radio na 104.20, usiadł w fotelu naprzeciwko telewizora i zaczął zwijać skarpetki. Na ekranie po rosyjsku mówił prezenter, ale Batulis słuchał wiadomości z radia po litewsku. Sytuacja w Wilnie była coraz bardziej napięta. Ponieważ negocjacje w sprawie wyjścia Litwy z ZSRR przeciągały się, w grudniu parlament odwiesił Akt Przywrócenia Niepodległości. Batulis wiedział, że Moskwa nie odpuści i wkrótce dojdzie do przesilenia. To nie może się dobrze skończyć – myślał z coraz większym zaniepokojeniem.

Właśnie słuchał rozmowy z wicepremierem Brazauskasem, gdy poczuł potężne szarpnięcie za ramię.

Podskoczył w fotelu i wypuścił skarpetki na podłogę. Stał za nim Kirył Konstantynowicz Winogradow, sąsiad zza ściany, i pokazywał, żeby zdjął słuchawki.

– Co jest, Witia?! – rzucił podniesionym głosem i wskazał ręką na przedpokój. – Nie słyszysz?

Z głębi mieszkania dochodziły dźwięki, jakby ktoś walił młotem w ścianę.

– Pralka! – niemal krzyknął Winogradow, zanim Witalij zdał sobie sprawę, skąd dochodzi ten dźwięk. – Wali w moją ścianę! – Batulis pobiegł do łazienki. – Co ty, kurwa, pralki nie umiesz załadować czy co?

– Przepraszam. Już ją wyłączyłem – odparł, gdy wrócił. – Jak wszedłeś?

– Dzwoniłem, a drzwi były otwarte. Myślałem, że coś się stało. – Andriej spojrzał na telewizor, słuchawki i radio. – Słuchasz wiadomości przez radio w słuchawkach?

– Nie… nie… – Batulis pokręcił głową wyraźnie zdezorientowany. – Słucham muzyki. – Wzruszył ramionami, ale zdziwienie z twarzy Winogradowa nie znikło.

– Dobra, Witia. Wypoziomuj sobie pralkę, bo mi następnym razem ścianę rozwalisz – rzucił i ruszył do wyjścia.

35

Mimo późnej pory Portnoy zszedł jeszcze do rezydentury.

Chciał przeczytać depesze informacyjne ze świata, a szczególnie raporty KGB z Polski. Musiał sobie odświeżyć sytuację. Wydawało mu się, że wszystko pamiętał, bo czytał zawsze uważnie, codziennie, a wnioski wynotowywał na marginesach czerwonym pisakiem, ale ostatnie dni wyprowadziły go z równowagi i mógł coś przeoczyć. Przez te dni nawet nie pomyślał o „Maksymie", chociaż zawsze czuwał, żeby nie tracić go z pola widzenia.

Portnoy uważał, że wycofanie wojsk radzieckich z NRD było konieczne, ale Gorbaczow nie powinien godzić się na wycofanie ich z Polski. Wiedział, że żadna finlandyzacja nie ma szans i w miejsce Rosjan wejdą Amerykanie, więc robił wszystko, żeby tak się nie stało. „Maksym" był najlepszym agentem, który mógł w tym pomóc.

Nic jednak nie denerwowało Portnoya bardziej niż Litwini, którzy rozsadzali Związek Radziecki od środka, a Gorbaczow nie był zdolny do zdecydowanego działania. Jakiś mały zbójecki narodek, liczny jak mieszkańcy moskiewskiej dzielnicy, rozsiewa ferment po całym imperium. I nie chodziło mu o Związek Radziecki, ale o rosyjską dumę. Nie był ani optymistą, ani pesymistą. Był pułkownikiem I Zarządu Głównego KGB i starał się patrzeć na sytuację pragmatycznie. Przygotowywał się na oba warianty.

Wierni litewscy towarzysze mogą być teraz szczególnie potrzebni, a nawet cenni – pomyślał o Batulisie. Będę miał go na oku, ale nie ma co się teraz denerwować jakimś tam samochodem. W końcu Jaśniepan wie o „Koli", a „Kola" teraz jest najważniejszy. Wrócę pewnie dopiero po Nowym Roku, więc Batulis musi się opiekować „Kolą". Potem zobaczę, co z nim zrobić, ale na razie nic nie mogę zmieniać. Wyjął wczorajszą depeszę w sprawie dwunastu agentów. Niech go tymczasem Borys pilnuje. Ma chłopak oko, jest lojalny i niegłupi.

Przeczytał depeszę jeszcze dwa razy. Nie zrobił na niej wcześniej żadnych notatek i teraz też wydawała mu się wystarczająco jasna. Wiedział, co

ma poruszyć na spotkaniu z „Kolą”.

Dwaj faceci w samochodzie – przypomniał sobie i stuknął palcem w szklany blat. Na wszelki wypadek „Kola” powinien znać ich rysopisy. Szkoda, że byli w samochodzie, ale zapamiętałem ich dobrze.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Borys jest u siebie? – zapytał dyżurnego Piotra.

– Powinien, towarzyszu pułkowniku.

– Dawaj go do mnie.

– Tak jest.

Portnoy rozłączył się i wrócił do czytania depesz. Telefon odezwał się po kilku minutach.

– Nie odpowiada. Chyba śpi – poinformował Piotr. – Ma wolne do rana.

– Spróbuj jeszcze raz za chwilę albo pójdź go obudź. Za piętnaście minut ma być u mnie.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – odparł zaniepokojony Piotr.

Minęła dwudziesta druga. Ochroniarzom nie wolno o tej porze bez zezwolenia wychodzić z ambasady.

Piotr wciągnął kurtkę i pobiegł do budynku mieszkalnego.

Wbiegł na siódme piętro, gdzie znajdowało się ich mieszkanie, i szarpnął za klamkę. Zamknięte. Otworzył drzwi kluczem. Było ciemno. Wiedział już, że Borysa nie ma. Zawsze spał czujnie, nawet jak był pijany, obudziłby się na dźwięk dzwonka telefonu. Przez moment pomyślał, że mógł stracić przytomność albo nawet umrzeć, ale po chwili wiedział już, że Borysa w mieszkaniu nie ma.

Usiadł w fotelu i spojrzał na kryształowy zegar Majak z czerwonym cyferblatem. Złote barokowe wskazówki pokazywały dwadzieścia po dwudziestej drugiej.

– Pierdolony chuj! – zaklął Piotr. Jebaka się znalazł! Jak nie wróci w ciągu pięciu minut, będę musiał zameldować temu zboczeńcowi z wąsikiem, że cię nie ma – pomyślał. Zapyta, gdzie jesteś. I co ja mu powiem? Jutro, Boria, wracasz do ojczyzny, a ja pewnie z tobą. Mówiłem ci, że Teresa Orlowski jest bezpieczniejsza w użyciu. Ech… Boria… i teraz pewnie sprawdzą magazyn z wódką.

Piotr nie był załamany, narastała w nim coraz większa wściekłość. Borys, który zawsze był pewny siebie, dobrze zorganizowany i odpowiedzialny, zaspał teraz po ruchaniu z jakąś fińską dziwką. Wszystko się zawali, wrócą do Sojuza i dostaną robotę w ochronie jakiegoś magazynu,

a w najgorszym wypadku będą przed jakąś knajpą na Tagance po mordach walić awanturujących się pijaków. Na taką myśl Piotr dostawał drgawek i zaraz powracały mu obrazy z Afganistanu. A przecież słodkie życie w Helsinkach z Rambo i Teresą Orlowski zawdzięczał Borysowi.

Minęło pięć minut i Piotr wiedział, że musi wracać do ambasady. Portnoy był na tyle przebiegły, że potrafił wyliczyć, ile czasu potrzeba, by sprawdzić mieszkanie w bloku. A jeżeli nabierze podejrzeń, to i na niego spadnie kara.

Piotr zamknął drzwi na klucz, wyszedł na zewnątrz i ruszył przez parking do bocznego wejścia. Czuł, że drżą mu ręce i zaczyna panikować, nie może zebrać myśli i żołądek mu się zaciska. Już dawno nie miał tych objawów. Borys był jego przyjacielem, towarzyszem broni, ale teraz nie wiedział, czy gotów jest poświęcić dla niego swój los. W Afganistanie to co innego, wybór był prosty i w każdej chwili oddałby życie za przyjaciela. Nagle doszedł do wniosku, że właściwie mógłby zastrzelić Portnoya i rozwiązać swój problem, w końcu przy pasie miał tokariewa z pełnym magazynkiem.

Teraz wiesz, dlaczego nie przeszedłbyś tych pierdolonych testów, kretynie! – pomyślał i zaczął nerwowo kręcić głową.

Wszedł do dyżurki, zdjął kurtkę i wziął kilka głębokich oddechów. Spojrzał na swoje drżące dłonie. Zacisnął je w pięści, tak jak robił w Afganistanie, zamknął oczy i wstrzymał powietrze na głębokim wdechu.

Nie zdążył odetchnąć, gdy otworzyły się drzwi do gabinetu Portnoya.

– No i co? – zapytał. – Co tak stoisz?

– T-t-towarzy-y-yszu – zaczął z wyraźnym trudem Piotr.

– Co z tobą, Pietia? – Portnoy spojrzał na niego zaskoczony, bo nigdy nie widział, żeby się jąkał. – Coś się stało?

– N-n-nie – odparł cicho, jakby stracił oddech.

– No co jest, kurwa? – zaniepokoił się Portnoy. – Wykrztuś wreszcie!

– N-n-no… nie ma… go.

– Nie ma? – powtórzył rezydent z lekkim uśmiechem.

– Nie ma, t-towarzyszu pułkowniku.

– Na pewno?

– Na pewno!

– Jesteś pewien?

– Tak jest. – Piotr spojrzał zaniepokojony na Portnoya.

– Myślę, że już jest w mieszkaniu. Przed chwilą widziałem z okna, jak przebiegł przez parking. Jest – zerknął na zegar ścienny – dwudziesta druga trzydzieści. Wiesz, gdzie był?

– Chyba wiem, towarzyszu pułkowniku.

– Gdzie?

– Prosiłem go, żeby oddał kasety wideo i wziął nowe… z tej naszej wypożyczalni… tej tam… – Piotr starał się mówić pewnym siebie tonem, bo jąkanie ustało.

– Pietia, co wy kręcicie? O co chodzi? Mów od razu, bo i tak się dowiem. – Portnoy podszedł bliżej i spojrzał chłodno Piotrowi w oczy. – No? Co?

– My… naprawdę tylko te filmy.

– Zadzwoń! Niech tu przyjdzie.

Piotr niepewnie sięgnął po telefon.

– Jesteś, Boria? – zapytał. – Przyjdź natychmiast. Szef czeka.

Odłożył słuchawkę.

– Idzie – rzucił krótko.

– No to czekamy – powiedział Portnoy z ironicznym uśmieszkiem.

Piotr czuł do rezydenta mieszaninę szacunku i nienawiści. Szacunku, bo był szefem, a szefa trzeba szanować, ale nie ma obowiązku, żeby go lubić. Nienawidził go za złośliwy uśmieszek i patrzenie prosto w oczy. W Afganistanie prosto w oczy mógł patrzeć tylko przyjaciel albo wróg.

Za chwilę przyjdzie Borys, Portnoy przesłucha go, wyłapie sprzeczności w ich wyjaśnieniach i od razu zorientuje się, że coś kręcą. Piotr znów poczuł, że zaczyna mu drgać głowa, i przypomniał sobie o tokariewie. Portnoy stał przed nim kilka metrów.

Trafiłbym go w czoło jednym strzałem – pomyślał Piotr i oczami wyobraźni zobaczył, jak na ścianie rozbryzguje się jego mózg. Dobrze znał ten widok i nie robił na nim wrażenia. Zrobiłby to, gdyby nie wszedł Borys.

– Gdzie byłeś? – zapytał Portnoy.

– W wypożyczalni wideo – odparł zaskoczony.

– Tak? A co wypożyczyłeś?

– To, co chciał Piotr.

– Czyli?

Borys sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę, którą podał Portnoyowi.

– To! – powiedział zdecydowanie i spojrzał na Piotra, który wyraźnie odetchnął.

– Ty to napisałeś? – zapytał Portnoy.

– Tak, ja – potwierdził zdecydowanym tonem.

– No dobrze. – Portnoy schował kartkę do kieszeni. – Doskonale wiem, że coś kombinujecie, i prędzej czy później dowiem się co. – Uśmiechnął się, dając znak, że nie mówi poważnie, ale obaj wiedzieli, że nie żartuje. – Pamiętaj, Boria, żeby zawsze mnie informować, kiedy wychodzisz albo wracasz po dwudziestej drugiej. Ty, Pietia, też! We wtorek wyjeżdżam do Sojuza na tydzień, dwa – zmienił temat. – Jak zwykle będzie mnie zastępował Gorbienko, więc uważajcie. – Wskazał na Borysa palcem. – A ty chodź. Musimy porozmawiać. – Ruszył do swojego gabinetu.

36

Początkowo nie mogłem się zdecydować, żeby z rozgrzanej sauny wyjść na prawie dwudziestostopniowy mróz i wytarzać się w śniegu. Potężny jak spiżowy pomnik Seppo zrobił to tak, jakby poszedł się napić wody, chociaż twierdził, że nie jest typowym Finem i nie korzysta z sauny zbyt często. Powiedział też, że nie biega na nartach, a te, które widziałem u niego w domu, należały do Mii.

Kąpiel w sypkim śniegu okazała się cudownie orzeźwiająca, i to nie tylko dla ciała, ale również dla umysłu. Seppo co pewien czas polewał kamienie, aż para parzyła w nozdrza i ramiona. Wymienialiśmy między sobą krótkie zdania na proste tematy i nie rozmawialiśmy o niczym ważnym, jakby temperatura zmuszała do skupienia się wyłącznie na swoim ciele.

Sauna dawała magiczny relaks. Wraz z potem wypływały z człowieka wszystkie złe wrażenia, stres, zmęczenie. Zapytałem o to Seppa i potwierdził, że właśnie tak jest. Stwierdził nawet, że z tego powodu rząd fiński zatwierdza budżet właśnie w saunie. Mówiąc to, uśmiechnął się niewyraźnie, trochę szczerze, nieco ironicznie, a może nawet smutno. Nie wiedziałem jeszcze, jak czytać fiński uśmiech, bo dopiero się go uczyłem. Tak czy inaczej, poczułem się wyśmienicie. Wstąpił we mnie duch optymizmu. Zrozumiałem, że byłem uprzedzony do Finów. Ludzie, którzy chodzą do sauny, po prostu nie mogą być ponurzy.

Jak wyjaśnił mi Seppo, było to miejsce, w którym kiedyś fińskie kobiety rodziły dzieci, bo pomieszczenie było septyczne z powodu wysokiej temperatury. Zbierała się tam również wiejska społeczność. Sauna nie miała w sobie nic z przypisywanego jej mistycyzmu. Zwykły Fin tak nie myśli. Po prostu, człowiek czysty i wypoczęty jest zadowolony, twierdził Seppo.

Po solidnym szorowaniu szczotką pod prysznicem ubraliśmy się i wróciliśmy do salonu. Chyba jeszcze nigdy piwo nie smakowało mi tak bardzo, nawet w gorącym Egipcie, a Lapin Kulta nie należało do moich ulubionych. Nie mogłem się jednak przekonać do pizzy z sauny, a Seppo nie nalegał,

więc na moją prośbę włożył ją do piekarnika i przygotował zgodnie z instrukcją na opakowaniu.

– Zdajesz sobie sprawę, że ta Rosjanka… – zaczął Seppo, siadając w fotelu naprzeciwko mnie.

– Marina Morozowa – wtrąciłem.

– Aaaa… więc wiesz, jak to jest z radzieckimi obywatelami wyjeżdżającymi na Zachód.

– Wiem.

– Chociaż zauważyliśmy, że od czasu Gorbaczowa coraz więcej się pojawia zwykłych ludzi, bez kagebowskiego ogona – ciągnął Seppo. – Nawet są jakby inni, bardziej otwarci, rozmowni. Jeszcze niewielu, ale coś się z nimi dzieje.

– Zauważyłem. Dlatego może KGB łatwiej jest teraz ukryć swoją agenturę. Mimo wszystko mam przeczucie, że ta dziewczyna jest wolna. Myślę, że jednak spróbuję się do niej zbliżyć.

– Elegancko sformułowane intymne zainteresowanie brytyjskiego szpiega? – Seppo puścił do mnie oko.

– Tak, trochę to źle zabrzmiało. Przepraszam.

– Gdyby była notowana przez nas, zapamiętałbym ją, ale to jeszcze nic nie znaczy.

– To oczywiste. Może nawet byłoby ciekawie, gdyby się okazało, że…

– Nie rób tak – rzucił zdecydowanie Seppo. – Nie mieszaj sobie w głowie. I tak mamy już niezły miks z „Viperem”, Razumowem i Portnoyem…

– No i… z Higginsem.

– To ty powiedziałeś.

– Ja, i wiem, co powiedziałem. Problem z Tomem jest taki, że nie wiem, dlaczego tak postępuje. Wykluczam jego nielojalność wobec królowej. Złożona osobowość… powiedzmy…

– Złożona osobowość to najczęściej eleganckie określenie na chuja, zdzirę i kłamcę – podsumował Seppo. – Ja bym niczego nie wykluczał. Nawet tego, że jest Irlandczykiem. Wy, Anglicy, chcielibyście, żeby szlachetność była cnotą, a najczęściej bywa głupotą.

– Właściwie nie jestem Anglikiem i twoja gorzka, niesprawiedliwa uwaga tylko mnie drasnęła.

– Szlachetność jest niepraktyczna – odparł Seppo i podniósł się z fotela, by zajrzeć do piekarnika. – Jeszcze kilka minut – rzucił i po chwili wrócił na miejsce. – Ale każdy naród ma swoje przeżycia. Prawdę mówiąc, nam,

Finom, bliżej jest do Irlandczyków niż Anglików. Jak się tak dobrze przyjrzeć, to…

– To?

– To my byliśmy mięsem armatnim Szwedów, a Irlandczycy Anglików, nie? Dobrze myślę?

– Daj spokój, Seppo! – zdecydowałem się przerwać temat. – Nie jestem ani Irlandczykiem, ani Walijczykiem, ani Anglikiem, ani Szkotem… chyba jestem Europejczykiem i lubię Rosjan, nie Imperium Rosyjskie, a tym bardziej komunizm. Mój dziadek walczył w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym w Archangielsku.

– Tak? – Seppo się ożywił. – To ciekawe. Był w brytyjskich wojskach interwencyjnych, jak rozumiem.

– To bardziej skomplikowane. – Zamilkłem, bo nie powinienem był mówić o niczym, co mogło mnie zdekonspirować, ale poczułem, że chcę coś opowiedzieć Seppowi o sobie.

– Za chwilę będą wiadomości – rzekł Seppo, jakby wyczuł mój zamiar. – Po fińsku. – Wziął ze stołu pilota od telewizora i włączył go.

Znów się podniósł i podszedł do kuchenki.

– Pizza bolognese gotowa – oznajmił. – Zjemy z ręki i popatrzymy na wiadomości. Przetłumaczę ci. Chcesz jeszcze piwa?

– Tak, poproszę.

Klapnęły drzwiczki od piekarnika i za chwilę zadźwięczały talerze. Usłyszałem, że otworzył lodówkę. Nie widziałem, co robi, bo fotel był głęboki, a kuchnia znajdowała się za moimi plecami.

W telewizji spiker w okularach i o gęstej blond czuprynie z przejęciem mówił po fińsku. Pojawiło się zdjęcie prezydenta Busha, a po chwili Gorbaczowa.

Seppo podszedł do mnie, pochylił się, żeby podać mi puszkę piwa, gdy usłyszałem dziwny dźwięk, jakby ktoś mocno uderzył kamieniem w szybę. Chciałem się podnieść, żeby spojrzeć w okno.

– Nie ruszaj się! – usłyszałem za sobą stłumiony głos. – Ani drgnij! Snajper! – Zdałem sobie sprawę, że Seppo siedzi za moim fotelem.

– Gdzie? – wyszeptałem niepewny, bo przez chwilę pomyślałem, że żartuje. – Snajper?

– Strzelił przez okno. Nie ruszaj się, jest tam! – odparł zduszonym głosem Seppo i poczułem, że się poderwał.

– Okej – zdążyłem wyszeptać i niemal natychmiast zgasło światło.

– Wyłącz telewizor – usłyszałem jego głos. – Pilota masz obok.

Zrobiłem, co mi polecił, i w pomieszczeniu zrobiło się ciemno.

– Połóż się na ziemi i przeczołgaj w moją stronę. Jestem w holu. Szybko! Pospiesz się! Ukryj się w łazience i czekaj.

Nim doczołgałem się do holu, Seppo otworzył drzwi i znikł na zewnątrz. Zrobiłem tak, jak mi polecił. Zamknąłem się na zamek i nasłuchiwałem.

Minęło pięć minut, a może więcej, kiedy usłyszałem, że ktoś wchodzi do domu.

– Jesteś tam? – zabrzmiał zdyszany głos Seppa. – Uciekł, wyjdź.

Gdy wszedłem do holu, zdyszany Seppo stał już ze słuchawką telefonu przy uchu i pistoletem w dłoni. Po chwili zaczął mówić po fińsku podniesionym głosem, wyrzucając z siebie kłęby pary.

Zamknąłem drzwi i czekałem, aż skończy. Obserwowałem Seppa, który szybko opanował oddech i wyraźnie się uspokoił. To był zadziwiający obraz. Przed chwilą ktoś do nas strzelał, a on już w miarę spokojnie rozmawiał przez telefon.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się w moją stronę, wciąż trzymając pistolet w dłoni.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nasi już działają.

– Krwawisz! – Zobaczyłem, że po głowie spod włosów spływa mu na szyję czerwona strużka. Seppo, wyraźnie zaskoczony, dotknął dłonią głowy i rozmazał krew.

– Tak coś czułem. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Gdzie masz apteczkę?

– W łazience.

Seppo usiadł na stołku, a ja otworzyłem apteczkę.

Obejrzałem jego głowę. Nad uchem miał dwucentymetrową, dosyć szeroką, ale płytką ranę.

– Kto to był?

– Jakiś amator albo dzieciaki. Dziwne, dziwne… bardzo dziwne.

– Amator? Dzieciaki? Co ty pleciesz? – rzuciłem. – O mało nie zginąłeś! To nie był przypadek, Seppo.

– Złapiemy go. Na pewno go złapiemy. Dopadnę skurwysyna – powtarzał dziwnym tonem i dopiero teraz zobaczyłem, że jest w szoku. W zaciśniętej zbielałej dłoni wciąż trzymał pistolet. Zakleiłem mu ranę i powoli ująłem za lufę pistoletu.

– Puść już tego lugera – powiedziałem.

– To nie luger, tylko lahti – odparł całkiem spokojnie i pozwolił sobie wyjąć pistolet z ręki. – Chodź! – Seppo podniósł się i wziął głęboki oddech. – Zdezynfekujmy się.

– Nosisz broń? – zapytałem.

– „Viper” wie, że na niego poluję – powiedział spokojnie, gdy przechodziliśmy do kuchni.

Obaj spoglądaliśmy niepewnie w stronę czarnego okna, w którego prawym rogu widniała przestrzelina. Wyglądała jak wielki biały pająk, który rozbił się o szybę.

– Już go nie ma – rzucił Seppo, wlewając wódkę do szklanek. – Nie denerwuj się. Czułem, że zaatakuje, ale tak…?

– No… prawie mu się udało. Więc…

– Tak… prawie – powiedział i wypiliśmy wódkę do dna. Poczułem, jak schodzi ze mnie napięcie. – Czegoś nie dopilnował, coś go poniosło. Amator… to musi być „Viper”! Tchórz! Czuje się zagrożony. Czyli gdzieś zahaczyłem i go zabolało.

Z oddali doleciał nas sygnał zbliżającego się radiowozu policyjnego.

– Z pewnością KGB załatwiłoby sprawę skutecznie, profesjonalnie, oni to potrafią. To nie był Wympieł. Uff… aż trudno uwierzyć. – Poczułem, że alkohol zmieszał się z adrenaliną.

– No widzisz, Martin. – Seppo uśmiechnął się szczerze aż po srebrny ząb. – Nie tylko pomogłeś wyciągnąć tę żmiję z nory, ale też uratowałeś mi życie. Nasz plan działa.

– Daj spokój…

– Mówię poważnie.

– Seppo! – Spojrzałem mu prosto w twarz. – Żyjesz, tego „Viper” nie zaplanował, więc masz jedyną okazję, by rozegrać to dalej na swoich warunkach. On tego nie wie, ale kiedy się zorientuje… następnym razem nie spudłuje.

– Zdaję sobie sprawę – odparł, a ja mu uwierzyłem.

Pod dom podjechał radiowóz. Stanął na wprost okna do kuchni. Światła z koguta rozświetliły pomieszczenie. Seppo poszedł wpuścić policjantów.

37

Rozmowa z Portnoyem była krótka. Borys jednak nie przejął się jego złośliwymi pytaniami. Mógł teraz olać całe KGB, GRU, Lemieszewa, ambasadora, a nawet Gorbaczowa, chociaż tego ostatniego olał już wcześniej.

Po raz pierwszy w życiu miał wybór. Tylko od niego zależało, czy skorzysta z oferty Aleksiego i Markka, czy nie. Do tej pory wybierał zawsze między mniejszym a większym złem albo musiał decydować pod przymusem. Teraz mógł nie zmieniać w swoim życiu nic albo zacząć nowe, w nowym świecie. Już dawno zapomniał, co oznacza słowo „nadzieja”. Po raz pierwszy ktoś zaproponował mu, żeby się zastanowił i podjął decyzję, kiedy będzie przekonany o jej słuszności.

Wypili litr stolicznej. Finowie trzymali rytm, nie oszukiwali i mówili bardzo dobrze po rosyjsku. Borys miał nawet przez chwilę wrażenie, że to Rosjanie, ale byli za grzeczni i uśmiechnięci. Rosjanie tak często się nie uśmiechają i nie mają takich zadbanych zębów – pomyślał i przypomniał sobie jadowity uśmiech Portnoya. Wyglądali na ludzi zadowolonych z życia. To byli pierwsi Finowie, z jakimi rozmawiał, bo Leeny nie liczył.

Spotkanie przeciągnęło się i minęła dwudziesta druga. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że nie musi się już nigdzie spieszyć, a mimo to po wyjściu na ulicę od razu zaczął biec.

Dlatego kiedy Portnoy dopytywał się, o której wyszedł do wypożyczalni wideo, dlaczego tak późno i ile czasu tam spędził, odpowiadał krótko, z pewnością siebie. Aż się zdziwił, że potrafi tak mówić do pułkownika. Portnoy najwyraźniej zauważył to i odebrał jako dowód jego prawdomówności.

– W porządku, Boria. Sam rozumiesz, są przepisy i muszę wiedzieć, co się dzieje. – Zmienił ton. – Jesteś moją prawą ręką, okiem i uchem w ambasadzie i muszę mieć pewność. Chyba to rozumiesz. I mam do ciebie zaufanie, Boria. – Położył mu rękę na ramieniu. – Wyjeżdżam i wrócę za jakieś dwa tygodnie. Więc macie trochę wolnego. Dyżurujecie tylko w nocy

i weekendy. Zastępuje mnie jak zwykle Gorbienko, ale chcę, żebyś miał oko na to, co się tu będzie działo. Będzie impreza noworoczna, więc wiesz… – Portnoy zrobił nieokreślony ruch głową. – Gorbience meldujesz wszystko zgodnie z przepisami, ale resztę trzymasz na mój powrót. Rozumiesz?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Ale chciałbym, żebyś miał szczególnie oko na Batulisa. Nie będę ci tłumaczył, co i jak, ale bądź czujny.

– Bo Litwin?

– No nie… ale mam do niego uwagi i muszę wiedzieć wszystko na czas.

– Rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

– I pilnuj tego… – wskazał głową sekretariat – tego jąkały popaprańca. Nie jest z nim dobrze. Odpowiadasz za niego.

– Tak jest.

– Masz jutro służbę?

– Tak.

– To jeszcze pogadamy. Jesteś wolny.

Borys wyszedł z gabinetu Portnoya i od razu natknął się na przerażonego Piotra.

– O mało go nie zastrzeliłem – wyszeptał. – Przez ciebie i w ogóle… ja pierdolę.

– Wyluzuj, chłopie, i nie wygłupiaj się. Schowaj kasetę wideo z nagrania… Łapiesz?

– Jasne! – Piotr skinął głową.

Borys wrócił do mieszkania, rzucił kurtkę na podłogę i opadł na fotel. Wydawało mu się, że za chwilę głowa mu eksploduje. Przeszedł cały mroczny Afganistan, ale nie pamiętał takiego dnia. Seks z Leeną, rozmowa z Aleksim i Markkiem, bieg do ambasady w siedemnastostopniowym mrozie i Lemieszew, który zleca mu etat kapusia. I to wszystko podlane stoliczną.

Kto to wytrzyma? Chyba heros jakiś! – pomyślał. A jestem tylko ochroniarzem w ambasadzie. Gdyby to padło na Pietię, to rzeczywiście chybaby kogoś odstrzelił. Co za dzień! Borys czuł, że za chwilę odpłynie, a musiał się jeszcze wykąpać. I dlaczego tak się uczepił tego Witalija? Ma tu kilkunastu szpiegów, a ciągle pyta o Batulisa. Może powinienem go ostrzec? Dobry z niego chłopak… sportowiec… koszykarz…

Portnoy zamknął sejf, zgasił światło i wyszedł z gabinetu.

Piotr siedział przed monitorami i natychmiast poderwał się służbowo.

– Daj mi kasetę z nagraniem, kiedy wychodził Borys – rzucił, stając przy biurku, i wyciągnął rękę.

– Ale z jakich godzin, towarzyszu pułkowniku? – zapytał Piotr.

– Jak to z jakich?

– No bo mamy dwie kasety stodwudziestki, które nagrywamy, jeżeli nic się nie dzieje ważnego. Więc jeżeli Borys wyszedł po – spojrzał na zegar nad drzwiami – dwudziestej pierwszej trzydzieści, to już skasowane.

– Jak to skasowane? – Portnoy uniósł głos. – Macie tylko jedną kasetę? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz?!

– Nie, towarzyszu pułkowniku. Właśnie włączyłem nadgrywanie. Takie jest polecenie administracyjnego, towarzysza Wiktora Lubiewa. Cały czas tak robimy. Oszczędności – powiedział z przekonaniem Piotr.

– Oszczędności? – Portnoy niemal krzyknął. – Na kasetach wideo? Ja pierdolę! Nie wierzę! Jakie oszczędności?! – Odetchnął głęboko kilka razy i po chwili zapytał: – Masz papierosy, Pietia?

Piotr podał mu paczkę czerwonych marlboro i zapalniczkę. Portnoy zapalił, zaciągnął się głęboko i nim wypuścił dym, rzucił paczkę na stół. Ruszył energicznie w stronę wyjścia.

Wyszedł na parking i stanął przy krawężniku. Palił łapczywie, mieszając dym z rześkim mroźnym fińskim powietrzem, aż poczuł ból w piersi i mdłości. Rzucił papierosa i rozgniótł go obcasem.

– Ja pierdolę! Kaseta stodwudziestka, chociaż są dostępne trzystaseśćdziesiątki. Kurwa! Ten projekt nie mógł się udać! – Portnoy poczuł, że do ucisku w piersi doszedł ból w skroniach. – Związek Radziecki! Ja pierdolę! Bombowce, rakiety, atomowe okręty podwodne, satelity, kosmos, tysiące szpiegów – wyliczał na głos – i jakiś, kurwa, administracyjny w ambasadzie oszczędza na kasetach VHS! Oszczędza, bo mu jego szef w Moskwie polecił. Sam przecież tego nie wymyślił. A ty też nie jesteś bez winy, nie dopilnowałeś! Radziecki człowiek chciał zaoszczędzić na kasetach, inny nie sprawdził, dlaczego nie ma nagrań, i mocarstwo zachwiało się w posadach – zastanawiał się Portnoy i wcale nie czuł zimna, chociaż nie zapiął kurtki i nie miał czapki ani rękawiczek. – Ten projekt nie mógł się udać. To się musiało tak skończyć. Nic dziwnego, że tacy Finowie złomotali radzieckie imperium. Trzeba będzie zacząć budować wszystko od początku. Kto to zrobi? No kto? – Ruszył w stronę domu. – Kurwa! Kaseta VHS stodwudziestka… i na pewno jeszcze najtańsza, jaka była. Możemy zniszczyć

świat, ale nie zwyciężymy. Jeżdżę do Polski, Niemiec, Turcji, ratuję ten popierdolony Kraj Rad, a nie wiem, co się dzieje w mojej rezydenturze.

38

Wkrótce pojawił się następny radiowóz na sygnale z napisem „Polisi” i po kilkunastu minutach w trzech nieoznakowanych samochodach ekipa specjalna z SUPO. Przyjechali szybciej, niż przypuszczałem, a może straciłem poczucie czasu.

Seppo natychmiast objął dowodzenie i najwyraźniej czuł się skrępowany moją obecnością, a może nie chciał, żebym mu przeszkadzał, więc koło północy radiowóz odwiózł mnie do domu.

Sporo przeszedłem w życiu, ale to zdarzenie wywarło na mnie wyjątkowo mocne wrażenie. Widziałem śmierć ludzi na żywo, egzekucje, umierające z głodu dzieci i trupy rozszarpywane przez ptaki, a jednak ta mała ranka na głowie Seppa, którą czyściłem, była symbolem śmierci, która przed chwilą przeszła obok i wciąż gdzieś się czai. Tym razem zostawiła ślad. Uczestniczymy niekiedy w wielkich wydarzeniach, w których ważą się losy świata, życie tysięcy, a nawet milionów, i wydaje nam się, że jesteśmy nieśmiertelni, tak jakbyśmy byli w jakimś tajnym układzie ze szpiegowskim bóstwem. A przecież szpiedzy są niewierzący i śmiertelni.

Przez całą drogę policjant prowadzący radiowóz nie odezwał się ani słowem.

Miałem czas i zastanawiałem się, co właściwie się stało.

Ktoś strzelił do Seppa z dużej odległości. Oddał tylko jeden strzał i nie mógł być pewny, że trafił. Więcej, musiał być pewny, że nie trafił. I tak zostawił sprawę? Naraził się, że Seppo zaalarmuje policję, która obstawi teren. Czyżby nie wiedział, jak w takiej sytuacji działają służby? Jeżeli był to „Viper”, powinien wiedzieć, że teren będzie przeczesany. Strzelał przecież do szefa fińskiego kontrwywiadu! Gdyby robiło to KGB, obaj nie uszlibyśmy z życiem.

Wersja Seppa była coraz bardziej przekonująca. Najwyraźniej dobrze wyczuwał „Vipera”. Musiałem przyznać, że mimo początkowego zdenerwowania szybko się opanował i zachował chłodny umysł. Strzał był niecelny, ale pierwsza ocena Seppa była trafiona. Prawdopodobnie z jakiegoś

powodu „Viper” spanikował i chciał szybko rozwiązać problem, najwyraźniej obawiał się czegoś. Mogło być tak, że Seppo wiedział coś, co go dekonspirowało, ale jeżeli tak, to dlaczego nie wezwał egzekutorów z Rosji? Bo Moskwa o tym nie wie i „Viper” chciał rozwiązać problem sam. Czyli jest pewny siebie, a nawet arogancki. W szpiegowskim fachu to najkrótsza droga do katastrofy. „Viper” nie potrafił zabić. Seppo miał rację, to był wyraźny znak, że jest słaby.

Podobną sytuację miałem kilka lat wcześniej w Meksyku z agentem Stasi. Przeprowadziłem wówczas klasyczną operacyjną roszadę i zaproponowałem Seppowi jej powtórzenie. W wersji Medvast, jak ją nazwałem, czyli sprowokowanie „Vipera”, który był najprawdopodobniej w trudnej sytuacji i zdawał sobie z tego sprawę. Zatem prosty manewr przestawienia figur i obrócenie zdarzenia mogło się powieść.

Gdy dotarłem na Kulosaari, byłem już pewien, że roszada miałaby sens. Wciąż jednak nie wiedziałem, jak miałbym mu pomóc. Po dwóch spotkaniach z Razumowem nie mogłem zbudować żadnego operacyjnego wątku, który nadawałby się do wykorzystania, tym bardziej że Seppo nie powiedział mi, kogo podejrzewa. Roszadą z Medvastu jednak się zainteresował.

Minęła chyba jedna z najgorszych niedziel w moim życiu. Najpierw spotkanie z Higginsem i Portnoyem, potem kradzież płaszcza Oliviera i wreszcie snajper w Medvaście. A wydawać się mogło, że w taki zwykły dzień w Helsinkach na skraju świata nie może wydarzyć się nic ważnego.

Zaczął się ostatni przedświąteczny tydzień. Finlandia przygotowywała się do Joulu. Zaśnieżone i mroźne Helsinki były rozświetlone, wystawy sklepów i okna domów ozdobione świętymi mikołajami, krasnalami i reniferami. W tej scenerii miały zetrzeć się ze sobą wrogie wywiady? Zdawało mi się, że utkwiłem w jakiejś grotesce.

Do swojego mieszkania na Vanha kelkkamäki dotarłem już w poniedziałek. Czasami stres powodował u mnie ból mięśni, ale nie pamiętałem, żeby pokonanie schodów na pierwsze piętro kosztowało mnie aż tyle wysiłku.

Wszedłem do salonu i nim włączyłem światło, zobaczyłem pulsującą lampkę na automatycznej sekretarce. Miałem dwanaście nieodebranych połączeń i cztery nagrane wiadomości.

Włączyłem odtwarzanie.

Dwudziesta trzydzieści siedem: *No… jestem na miejscu, przyjacielu* – usłyszałem głos Raymonda – *mam wyrzuty sumienia, że cię tam zostawi-*

łem. Ech… odezwę się jutro. Serdeczne pozdrowienia od Giny. Trzymaj się, brachu!

Dwudziesta pierwsza pięć, nieznany głos z fińskim akcentem: *Mówi Mauno od Seppa. Dokument gotowy. Przywiozę jutro rano, wcześniej zadzwonię*.

Dwudziesta pierwsza dwadzieścia, Marina: *Cześć, Dirk, cześć, Jan! Nie wiem, który z was będzie odsłuchiwał tę wiadomość. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale to przecież automatyczna sekretarka, więc na pewno się nie zdenerwuje i nie będzie mi miała tego za złe. W końcu jej chyba wszystko jedno. Chciałam podziękować za wczorajszy dzień, miłe towarzystwo, za obiad i… za rozmowę. Chciałabym zaprosić was jutro na lunch. Mamy tutaj fajną restaurację w akademiku, taka dla gości i niedrogo, ale smacznie… więc jeżeli wam odpowiada, to… Trzynasta? Tam, gdzie mnie odprowadziliście. Dobranoc i do zobaczenia. Aha… jestem pod telefonem zawsze do dziewiątej. Potem wychodzę na uczelnię.*

Wiadomość od Mariny była miłym zakończeniem. Jej głos sprawił mi ogromną przyjemność. Był ciepły, zmysłowy, a może nawet podniecający. Pamiętałem, żeby do niej zadzwonić, ale niedzielne wydarzenia zupełnie mnie rozbiły. Zadzwoniła pierwsza i to był dobry znak.

Odruchowo spojrzałem na zegar. Wpół do pierwszej.

Miałem już iść do łazienki, kiedy zobaczyłem, że na wyświetlaczu jest jeszcze jedna nieodczytana wiadomość. Nacisnąłem przycisk *play*.

– Dwudziesta trzecia dwadzieścia pięć – oświadczyła sekretarka i włączyło się nagranie.

Stałem nad telefonem i czekałem na głos. Nikt się jednak nie odezwał. Po blisko dwudziestu sekundach nagranie się skończyło. Podkręciłem głos do maksimum, pochyliłem się nad telefonem i puściłem nagranie jeszcze raz. Powtórzyłem to trzy razy. Byłem pewien, że po drugiej stronie ktoś był. Miałem nawet wrażenie, że to mężczyzna i słyszę jego nosowy ciężki oddech. Gdzieś w głębi, w tle słychać było niewyraźne dźwięki.

Ktoś najwyraźniej nie chciał się nagrać i czekał, aż podniosę słuchawkę. Może chciał usłyszeć mój głos, żeby mnie zidentyfikować? Mogła to być też zwykła pomyłka.

Wyjąłem kasetę z sekretarki i włożyłem zapasową. Pomyślałem, że technicy SUPO powinni ją zbadać. Dopiero po chwili sobie przypomniałem, że Finowie i tak kontrolują mój telefon, więc sami mogą ustalić, skąd było połączenie.

Razumow? – przeleciało mi przez myśl. Nie, to niemożliwe!

39

Paavo minął dwa radiowozy, które pędziły na sygnale w stronę domu Moilanena. Widok ten sprawił mu dodatkową przyjemność. Przyjechali, gdy zdążył się już oddalić na bezpieczną odległość. Wiedział, że nie trafił, bo zaraz po strzale Moilanen zgasił światło. Liczył się z tym, bo trafić z takiej odległości jest trudno, a on nie był strzelcem wyborowym. Mimo wszystko był z tego zadowolony. Oba rozwiązania miały swoje dobre strony.

Od tej chwili pierdolony Karel będzie się bał, bo następnym razem mogę nie spudłować. Będzie robił wszystko, żeby ustalić, kim jestem, ale to nie będzie takie łatwe. Wie, że jest teraz na moim celowniku i mu nie odpuszczę. Zimny Seppo zagotuje się ze wściekłości. Z przyjemnością spojrzę mu jutro w twarz.

Dojechał do domu przed dwudziestą trzecią.

Nim wysiadł z samochodu, odezwał się jego służbowy pager. Dzwonił szef Koivisto.

Wszedł do mieszkania i natychmiast oddzwonił.

– Był zamach na Seppa Moilanena – oświadczył podniesionym głosem Koivisto.

– Co? Kiedy? Żyje? – wyrzucił z siebie Paavo.

– Żyje, ale jest lekko ranny. Ponad godzinę temu ktoś strzelał do niego w jego domu w Medvaście. Paavo, bardzo cię proszę, pojedź tam natychmiast, bo ja nie mogę. Żona źle się czuje. Jest tam już nasza ekipa śledcza, ale chcę, żebyś ty też tam pojechał. Trzeba wesprzeć teraz Seppa.

– Oczywiście, Torsten, pojadę. Natychmiast.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, kiedyś tam byłem. Znajdę. Wiadomo coś?

– Nic więcej nie wiem. Dlatego chciałbym, żebyś tam pojechał i o wszystkim mnie informował. Przypilnował wszystkiego. Seppo jest w szoku, więc…

– Nie ma o czym mówić, Torsten. Już tam jadę.

– Zaraz zadzwonię do Erkkiego, który kieruje technikami, i do Seppa, żeby cię o wszystkim informowali. Sprawa ma być objęta ścisłą tajemnicą i dopilnuj, by nic nie wyciekło. Jutro rano jestem u premiera, więc muszę wiedzieć, co mam mu przekazać.

– Oczywiście, Torsten – rzucił Paavo i się rozłączył.

Był już bardzo zmęczony i o niczym bardziej nie marzył jak o łóżku. Ale polecenie, by jechać do Medvastu, przypominało świąteczny prezent, tym bardziej że szef faktycznie zlecał mu nieformalny nadzór nad śledztwem. To doskonały pretekst, by przypilnować, żeby śledczy nie znaleźli nic podejrzanego. To była wprost idealna okazja do zatarcia śladów. Najbardziej jednak podniecała go perspektywa zobaczenia bladej i przerażonej twarzy Seppa. To będzie spełnienie jego największych marzeń i pojechałby teraz na koniec świata, żeby tego doświadczyć.

Rak żony Torstena do czegoś się przydał – pomyślał i zaraz dotarło do niego, że Koivisto wybiera się rano do premiera, a on znów nic o tym nie wie.

Machnął ręką i poszedł do łazienki.

Z apteczki wyjął płyn dezynfekujący i plaster. Rana nad okiem zaschła, ale mimo to przemył ją dokładnie. Potem nakleił plaster z opatrunkiem.

Zmienił kurtkę na czerwoną i włożył zieloną wełnianą czapkę. Stanął przed lustrem. Uznał, że wygląda zupełnie inaczej i może już jechać. Wsiadł do samochodu. W bagażniku w futerale leżał karabin i rozbity aparat fotograficzny, więc przez chwilę zastanawiał się, co z nim zrobić. Wciąż nie mógł się pogodzić z myślą, że musiałby go wyrzucić. Postanowił odłożyć decyzję, aż zorientuje się na miejscu, jakie ślady zostawił, a przede wszystkim, czy pocisk jest zdatny do identyfikacji. Łuska wciąż tkwiła w komorze nabojowej.

W końcu uznał, że mosin zostanie na razie w bagażniku. Wolał mieć go pod kontrolą.

Po drodze znów minął radiowóz jadący w stronę Helsinek.

Do Medvastu dotarł tuż przed północą. Droga do domu Seppa była zablokowana. Policjant z bronią automatyczną dokładnie sprawdził jego dokumenty i przepuścił go dalej.

Przed chatą stało kilka nieoznakowanych samochodów i dwa radiowozy. Policjanci obstawiali teren.

Jeden niecelny strzał, a wszyscy obsrani, jakby komando zabójców wyszło z morza – pomyślał Paavo, wysiadając.

Wszedł do domu. Seppo siedział na kanapie i rozmawiał z Erkkim, swoim pierwszym zastępcą, i jakimś cywilem. Wokół kręcili się technicy.

– Witaj, Paavo! – Seppo poderwał się z kanapy. – Torsten dzwonił, że przyjedziesz.

– Co z tobą? – zapytał, spoglądając na opatrunek nad uchem. – Lekarz to widział?

– Nic takiego. Draśnięcie. A ciebie też ktoś postrzelił? – Seppo spojrzał na plaster nad okiem.

– Drzwiczki w kuchni – rzucił obojętnie i zaraz dodał z wyraźnym przejęciem: – Otarłeś się o śmierć! – Paavo pokręcił głową z niedowierzaniem. – Co się stało?

– Erkkiego znasz… – Seppo wskazał na mężczyzn na kanapie. – A to Martti Kuopio, szef miejscowej policji. – Niski korpulentny mężczyzna po pięćdziesiątce skinął na powitanie głową. – Napijesz się czegoś?

– Tego samego – powiedział, spoglądając na szklaneczki z bursztynowym płynem.

Paavo dosiadł się na kanapie i kątem oka spojrzał na okno, gdzie w rogu była przestrzelina.

– Powiedz krótko, co się zdarzyło, żebym był w kursie, a potem nie będę przeszkadzał – rzucił, kiedy Seppo stawiał przed nim szklaneczkę.

– Sprawa wygląda na banalnie prostą – zaczął Moilanen. – O dwudziestej pierwszej, akurat zaczynały się wiadomości, byłem tu w salonie, pochyliłem się nad fotelem i wtedy padł strzał, a właściwie usłyszałem dosyć głośne uderzenie w szybę, jakby ktoś rzucił kamieniem i błyskawicznie mnie dotknął… – wskazał ręką na głowę – gorącym prętem. Od razu zdałem sobie sprawę, co się stało, ukryłem się, bo mógł paść kolejny strzał, zgasiłem światło, wziąłem broń i wyszedłem na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, skąd strzelano. Wydawało mi się tylko, że wiem, z jakiego kierunku. Oczywiście już nikogo nie było albo po prostu się pomyliłem.

– Nieprawdopodobne! – odparł Paavo. – Dobrze, że nie zaatakował cię, jak wyszedłeś. Dlaczego nie strzelił drugi raz? Ciekawe.

– Według naszych ustaleń – włączył się Erkki – Seppo wyszedł z pola widzenia strzelca. Z pewnością gdyby mógł, toby poprawił. Mamy ustaloną trajektorię lotu pocisku i nie mógł widzieć Seppa, kiedy skrył się za fotelem. Wiemy, skąd padł strzał. Technicy sprawdzają teren, ale śnieg… wiadomo…

– Z jakiej broni strzelano? – zapytał Paavo.

– Nie wiemy. Mamy pocisk, ale został tak uszkodzony, że prawdopodobnie będziemy mogli zrobić tylko identyfikację grupową. Uderzył w kamień nad kominkiem. – Erkki wskazał na ścianę za sobą. – A szkoda, mógłby się idealnie zachować, bo przecież dom drewniany. Chociaż był już lekko zdeformowany po uderzeniu w szybę.

– Szef Koivisto wydał polecenie, by sprawa pozostała ściśle tajna. Proszę poinformować wszystkich podwładnych – powiedział zdecydowanym tonem Paavo. – Żadnych wycieków. O wszystkim proszę mnie informować. Twoje zdrowie, Seppo! – Paavo podniósł szklaneczkę i wszyscy wypili. – Jakieś ślady na zewnątrz?

– Sporo, ale trudno je przypisać – odparł Erkki. – Śnieg, ciemno, trochę ludzi tu chodzi wzdłuż brzegu. Łuski oczywiście nie zostawił, bo pewnie nie przeładował do drugiego strzału albo zabrał.

Paavo czuł, że rozpiera go duma. Naprzeciwko siedzieli wyraźnie przejęty Moilanen z opatrunkiem na głowie, niezadowolony Erkki i milczący stary policjant, i nic nie mieli. Nawet pocisku, a to było jego jedyne zmartwienie. Wychodziło na to, że nie będzie musiał wyrzucać do morza pamiątkowego karabinu.

– Kto i dlaczego chciałby cię zabić? – zapytał Paavo. – Nie bardzo rozumiem. Może to jakaś pomyłka albo psychopata? Nie pomyślałeś o tym?

– Wszystko możliwe. Nawet jeżeli zabójca miał jakiś realny powód, to z całą pewnością cierpi też na problemy psychiczne. Uważa się za lepszego od innych, mądrzejszego, przebiegłego twardziela, ale bał się strzelić z bliska. Przecież mógł podejść bliżej albo zastukać do drzwi i strzelić mi w czoło. Bał się, że go zobaczę i rozpoznam. To nie jest zawodowiec, tylko zwykły obsrany ze strachu tchórz! Arogancki, pewny siebie nieudacznik. To zdrajca, a zdrajcy zawsze są podłymi tchórzami, chociaż wypierają to i uważają się za nieuchwytnych mistrzów szpiegostwa. – Seppo wypowiedział te słowa spokojnie, powoli, cicho, bez cienia egzaltacji, ale tonem niepozostawiającym wątpliwości, że wie, co mówi. Patrzył wszystkim w oczy, przenosząc wzrok z Erkkiego na policjanta i Paava, jakby chciał porównać ich reakcje. Nikogo nie wyróżniał, ale Paavo czuł, że Seppo mówił do niego i wbijał mu właśnie rozżarzony pręt w serce.

Po raz pierwszy ktoś o nim tak powiedział, obraził go, pohańbił. Najgorsze było jednak to, że Paavo doskonale wiedział, jak w tej sytuacji zachowałby się jego ojciec. Nie kręciłby się samochodem po okolicy, wypytywał jakichś wieśniaków o drogę, a potem przedzierał nocą przez las. Na pewno

nie zapomniałby baterii do latarki. Pułkownik Jukka Haukka nie pierdoliłby się z jakimś archiwalnym rosyjskim karabinem, tylko wziąłby pistolet, przyjechał do Medvastu, zastukał do drzwi Seppa i wpakował mu kulę w łeb. Ale Paavo chciał być lepszy.

– Myślisz, że taki jest? – zapytał, siląc się na obojętność. – Ale dlaczego właśnie ty, a nie chociażby Torsten?

– Albo ty? – odparł Seppo.

– Albo ja.

– No tak… – Seppo pokiwał z zadumą głową. – Ale to nie byłeś ty. Masz szczęście.

– Na szczęście nic ci się nie stało, Seppo! Co robimy? Jakie następne kroki? Na czym stoimy, Erkki? – Paavo zmienił temat i ton, bo czuł, że ma ściśnięty żołądek i zaraz zwymiotuje. – Co mam powiedzieć Torstenowi?

– Technicy prowadzą badania – włączył się Erkki. – Dobrze byłoby zaczekać też do świtu. W ciemności i przy świetle latarek na śniegu nie wszystko widać. Może za dnia znajdziemy coś więcej.

Paavo słuchał z uwagą, starał się wyglądać na przejętego i nie reagować na złośliwości Seppa. Denerwował go trochę policjant Martti, który ani razu się nie odezwał, tylko świdrował wszystkich swoimi małymi podkrążonymi oczkami. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział więcej. Paavo znał ten typ policjanta i wiedział, że musi zachować ostrożność.

– To twój? – zapytał, widząc pistolet na stoliku obok. Podniósł się i wziął go do ręki. – Piękny! Lahti! – Zważył go w dłoni. – Szwedzki czy nasz? – Przyjrzał się mu bliżej. – Nasz… VKT. Sprawny?

– Oczywiście.

– Skąd masz?

– Należał do dziadka.

– Był wojskowym? – zapytał zaskoczony Paavo.

– Nie, ale walczył w wojnie domowej i zimowej.

– Tak? Ale ten pistolet jest z trzydziestego siódmego.

– Dziadek był w Białej Gwardii i w osiemnastym strzelał pewnie z czegoś innego do… czerwonych, ale z tego pistoletu strzelał akurat do Sowietów w wojnie zimowej.

– Piękny! – Paavo oglądał pistolet z zainteresowaniem. – Mam wersję z czterdziestego czwartego.

– Tak? – zapytał Seppo. – Ach tak… zapomniałem, przecież twój ojciec był wojskowym – dorzucił z zaskoczeniem, chociaż doskonale wiedział,

kim był Jukka Haukka.

– No dobrze! – Paavo odłożył pistolet. – Widzę, że nic więcej dzisiaj się nie dowiem i trzeba czekać do jutra rana. Tak, Erkki?

– Zgadza się.

– Seppo! Gdybyś czegokolwiek potrzebował, jestem do dyspozycji o każdej porze. Szef jutro widzi się z premierem, więc na pewno powie mu o tym zdarzeniu. A teraz wracam do Helsinek. – Spojrzał na zegarek. – Ooo… już po pierwszej.

Paavo pożegnał się z Erkkim, Marttim, a Seppa nawet objął.

Po chwili siedział już w samochodzie i wracał do miasta. Wciąż był rozdygotany z powodu tego, co powiedział Seppo, i zaczął żałować, że kula nie rozwaliła mu głowy.

Rano będzie musiał poinformować o swoich spostrzeżeniach Torstena, zanim ten pójdzie do premiera. Może nawet uda się ustalić, po co tam się wybiera. W końcu w czasie weekendu zawsze coś mogło się wydarzyć.

Jutrzejsze spotkanie z Griszą jest mało realne – pomyślał Paavo. Nie dam rady na osiemnastą. Musiałbym zrobić trasę… no i powiedzieć mu o Moilanenie, a na to jeszcze za wcześnie. Nie mam dopracowanej wersji. Muszę trochę wypocząć. Tak, przesunę je na później.

Paavo wjechał do garażu. Z bagażnika wyjął karabin i poszedł do zbrojowni. Rozładował magazynek i wszystkie naboje położył na stole. Pomyślał, że rano będzie musiał się ich pozbyć, skoro Erkki ma pocisk. Mosina też wyczyści już jutro. Powinien zrobić to od razu, ale był tak wykończony, że zgodziłby się na aresztowanie, byle tylko przespać się choć parę godzin.

Pół godziny wcześniej Seppo odprowadził Paava do samochodu. Wrócił do domu, przysiadł na kanapie i zapytał:

– No więc… co myślicie, panowie? Erkki, Martti?

40

Batulis obudził się o szóstej trzydzieści z bólem mięśni, ale w świetnym nastroju. Nie potrzebował budzika, jego zegar biologiczny działał lepiej.

Najpierw sprawdził temperaturę. W Helsinkach było minus dwadzieścia stopni. Włączył stację Radio Moskwa na falach długich i poszedł do kuchni wstawić wodę na herbatę.

W tym czasie postanowił wysłuchać wiadomości i zrobić kilka ćwiczeń rozciągających. Na wczorajszym meczu dał z siebie wszystko i teraz trzeba było to wyrównać. Właściwie to bardzo lubił te pomeczowe bóle, bo świadczyły, że walczył solidnie.

Siedem koszul wisiało w szafie w dziesięciocentymetrowych odstępach, obok wyprasowane spodnie zapięte za mankiety, krawaty ułożone na każdy dzień, skarpetki i bielizna w koszu.

W Wilnie nie działo się nic szczególnego, wprawdzie impas trwał, ale Batulis był dobrej myśli i czuł, że są perspektywy rozwiązania sporu.

W Finlandii zaczynał się ostatni tydzień pracy, a właściwie przedświąteczny tydzień, który z rzeczywistą pracą miał niewiele wspólnego. Po świętach wszyscy rzucą się na wyprzedaże i znów nie będzie żadnej roboty. Helsinki były trzecią placówką Batulisa na Zachodzie i wszędzie wyglądało to tak samo. W Związku Radzieckim, rzecz jasna, narodzinami Jezusa nikt się nie przejmował, a jeżeli już, to nieliczni i w innym terminie. Zbliżał się za to Nowy Rok i Dziadek Mróz. Zaczynały się szalone dni i szpiedzy też na tym korzystali.

Batulis liczył, że będzie miał przez kilka dni święty spokój, pobiega po Helsinkach, zwoła swoich koszykarzy na kilka meczów w szkole i może trafi na jakąś dobrą wyprzedaż w Stockmannie. W końcu miał do obsługi tylko „Kolę”, a „Kola” to Fin i też za chwilę wciągnie go świąteczny wir. Brakowało mu tylko kobiety. Owszem, myślał o seksie, nawet często, zastanawiał się nawet nad małżeństwem, ale życie w radzieckiej rezydenturze

KGB pod dowództwem Portnoya było wyłącznie dla wytrzymałych kawalerów.

Ogolił się, wziął prysznic i na stojąco wypił herbatę z trzema czubatymi łyżeczkami cukru. Śniadanie jadł o dziewiątej w pracy, więc jak co dzień zrobił sobie dwie kanapki z żółtym serem i mortadelą. Dołożył po kilka plasterków ogórka, żeby nie były za suche, i zawinął w papier śniadaniowy.

Za piętnaście ósma był już na parkingu i w świetle latarni ściągał ze swojego passata zmiotką śnieg, który poprószył w nocy. Ambasada budziła się do życia. Rozświetliły się okna w domach A, B i C.

Borys zaczynał służbę za dziesięć minut. Stał na balkonie, palił papierosa i obserwował, jak Batulis kręci się wokół swojego samochodu.

Zastanawiał się, czy w nowej sytuacji, w jakiej się od wczoraj znalazł, powinien opowiedzieć Batulisowi o wieczornej rozmowie z Portnoyem. Właściwie nie miał w tym żadnego interesu, bo jeszcze nie zdecydował, co odpowiedzieć panom z fińskiego KGB, chociaż wskaźnik przechylał się powoli na stronę „tak”. Zaciągnął się głęboko ostatni raz i zgasił papierosa w puszce po sajrze w oleju. Dotąd nic nie powiedział Finom o wydarzeniu z samochodem ani o tym, że Portnoy podejrzewa Batulisa o litewski nacjonalizm, bo uważał, że to może mieć jakąś wartość, a nie chciał szkodzić młodemu Witii. Portnoya Lemieszewa gotów był wystawić Finom i dołożyć jeszcze dwie flaszki stolicznej, ale postanowił poczekać, aż temat dojrzeje.

Rano, kiedy wstał, zdał sobie sprawę z ubocznego skutku swojej ewentualnej decyzji i rozpoczęcia nowego życia w Finlandii, czyli pomyślał o Pietii. W końcu byli najbliższymi przyjaciółmi, więcej – towarzyszami broni, afgańcami, zawdzięczali sobie życie i to Borys załatwił mu służbę w ochronie ambasady, mimo jego problemów psychicznych. Czuł się za niego odpowiedzialny, bez słowa spuszczał po nim wodę i godzinami znosił stękania z filmów pornograficznych.

Jeśli zdecyduję się zostać, zemszczą się na Pietii. Musiałbym mu wcześniej powiedzieć, ale on tego i tak nie przeżyje… albo ktoś inny nie przeżyje. Portnoy wyładuje się na nim, więc nie przeżyje, a wtedy i Pietia też nie przeżyje – zastanawiał się Borys, obserwując Batulisa żwawo kręcącego się ze zmiotką wokół samochodu. Kurwa! I tak źle, i tak niedobrze! Pomyślę o tym później.

Wrócił do mieszkania i zamknął okno.

Punktualnie o ósmej był już w sekretariacie rezydentury. Piotr wyglądał na wyjątkowo zmęczonego.

– Spałeś? – zapytał Borys.

– Spałem – odparł Piotr, ale Borys doskonale wiedział, że nie spał. Gdy miał silne przeżycia, zawsze kończyło się to nieprzespaną nocą.

– Coś się działo?

– Nic. – Piotr wciągał już kurtkę, gdy wskazał ręką na biurko. – Znów donos… ta szara koperta.

– Winogradow? – rzucił Borys, ale Piotr nie odpowiedział i wyszedł.

Borys wstawił elektryczny czajnik i przygotował sobie szklankę na kawę. Wsypał trzy łyżeczki, obrócił fotel w stronę monitorów i czekał, aż się zagotuje woda. Po chwili czajnik się wyłączył. Borys zalał szklankę po brzegi i przykrył spodkiem. Spojrzał na biurko, gdzie leżała szara koperta.

Szare koperty znajdowali regularnie raz, dwa razy w tygodniu pod drzwiami rezydentury. Wsuwał je Kiryłł Konstantynowicz Winogradow, z gospodarstwa samochodowego ambasady. Donosy pisał na maszynie i myślał, że jest anonimowy. Borys i Piotr ustalili bez problemu, kto jest autorem, bo w korytarzu była kamera. Winogradow donosił Portnoyowi, który oczywiście wiedział, kim jest anonim, na wszystkich w ambasadzie, w tym na Borysa i Piotra. Cokolwiek wydało mu się podejrzane, znajdowało się natychmiast w szarej kopercie. Portnoy czytał donosy, zgodnie z zasadą, że lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć, ale zachowywał dystans do ich wiarygodności. Winogradow był notorycznym pieniaczem i konfabulantem.

Borys i Piotr też czytali te donosy, co nie było trudne, bo maszynowy tekst z łatwością przebijał, kiedy kopertę podstawiło się pod światło. Odkąd zorientowali się, że Winogradow jest spontanicznym kapusiem, musieli pilnować, żeby nie wywęszył znikania alkoholu z magazynu.

Wziął kopertę, zapalił lampkę na biurku i podstawił ją pod żarówkę. Tym razem tekst był wyjątkowo krótki.

Informuję towarzysza pułkownika, że w dniu wczorajszym towarzysz Witalij Anatoliewicz Batulis późnym wieczorem słuchał w słuchawkach wywrotowej stacji litewskiej Lietuvos radijas I z Wilna na falach krótkich 104.2. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że towarzysz Batulis ukrywa ten fakt i prawdopodobnie jest wrogiem władzy radzieckiej. Informacja jest pewna. Feliks.

– A to *blat*’ pierdolona! Znów! – rzucił na głos Borys. – Winogradow, pies jebany! Donosiciel! Kurwa, chuj złamany! Feliks!

Nie skończył przeklinać, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Portnoy.

– Winogradow? – rzucił od razu, widząc szarą kopertę w dłoni Borysa.

– Chyba tak… – odparł zaskoczony i pożałował, że nie zdążył jej schować.

– Dawaj! – Portnoy wyciągnął rękę i przechodząc, wyrwał Borysowi kopertę z dłoni.

Wszedł do gabinetu, zapalił światło i rzucił ją na biurko. Nie zdjął kurtki, tylko od razu podszedł do sejfu. Ustawił szyfr i po chwili otworzył ciężkie pancerne drzwi. Na górnej półce leżał pager, który wydał sygnał. Odczytał zakodowaną wiadomość od „Koli".

– Przekłada spotkanie? – wyszeptał i pokręcił głową z niedowierzaniem. – No to, kurwa, mamy problem.

Usiadł za biurkiem i zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Miał dwie ważne sprawy do załatwienia, jedną w Polsce, drugą tu, w Helsinkach, wszystko przygotowane i ułożone, a teraz „Kola" zmienia termin spotkania i burzy cały ład.

Wszystko da się naprawić, ale trzeba będzie podejść kreatywnie do opisu rzeczywistości i przekonująco wyjaśnić Moskwie konieczność zmiany planów – pomyślał Portnoy.

41

Postanowiłem zadzwonić do Mariny, zanim wyjdzie na uczelnię. Miałem już sięgnąć po telefon, gdy ten odezwał się pierwszy.

– Tu Mauno! Mam dla ciebie materiał.

– Tak… aaaa… – Nie zrozumiałem w pierwszej chwili. – To jak się umówimy?

– Nie ma co się umawiać. Jestem na dole. Zaraz przyniosę – odparł Mauno i się wyłączył.

Po chwili trzymałem w ręku elegancką skórzaną teczkę z logo mojej firmy Noya – Lumber & Timber, zamykaną na złoty błyskawiczny zamek z breloczkiem. Mauno, człowiek o posturze zapaśnika, byczym karku i urodzie drwala, odwrócił się lekko na pięcie i zbiegł po schodach.

No to się Seppo postarał – pomyślałem, bo już na pierwszy rzut oka teczka robiła wrażenie.

Wewnątrz znajdowały się czerwona papierowa teczka, kilka folderów z jakimiś maszynami, moje wizytówki, długopisy i zapalniczka z logo. W teczce znalazłem jednostronicowy dokument napisany na papierze firmowym. Wymieniono w nim parametry techniczne tarcicy, którą miałem zakupić w ZSRR. Przeczytałem go uważnie. Niewiele jednak z niego zrozumiałem i doszedłem do wniosku, że Batulis też nic z tego nie zrozumie. Ważne było, żeby wiarygodnie wypaść. To akurat potrafiłem robić dobrze.

Nie mogłem wyjść z podziwu dla sprawności fińskich kolegów. Teczka była jak najważniejszy rekwizyt przedstawienia, a właściwie sama mogła zagrać swoją rolę. Wystarczyło jej umiejętnie towarzyszyć.

Za pięć dziewiąta przypomniałem sobie, żeby zadzwonić do Mariny. Wybrałem jej numer dwukrotnie, ale nie odebrała. Postanowiłem zatem zrobić tak, jak zaproponowała, czyli stawić się o trzynastej przed jej akademikiem.

Najpierw jednak musiałem się umówić z Batulisem.

Odebrał natychmiast.

– Batulis – rzucił oschle bez powitania.

– Dzień dobry – zacząłem po angielsku – z tej strony Dirk van der Welde z firmy Noya.

– Aaaa… Dzień dobry panu, dzień dobry! – Batulis zmienił natychmiast ton i zrozumiałem, że orientuje się, z kim rozmawia. – Tak, wiem, o co chodzi. Chętnie pomogę i zapraszam do biura.

– Kiedy ma pan czas?

– Niech sprawdzę… – Batulis wyraźnie udawał, że przegląda kalendarz. – Tak… wie pan, nawet dzisiaj.

– O której?

– Może jedenasta, dwunasta?

– W takim razie będę o jedenastej – odparłem.

– A wie pan… – zaczął niepewnie.

– Przedstawicielstwo handlowe ambasady na Kulosaari. Wiem, gdzie to jest.

– No to świetnie. Czekam na pana.

Batulis mówił bardzo dobrze po angielsku, był miły, swobodny i życzliwy. Widać to było nawet po tak krótkiej rozmowie. Oficer KGB z zachodnim wyrobieniem, wyraźnie chciał się dobrze zaprezentować. Wyczuł mięso albo miał szczególne relacje z Razumowem i chciał się wykazać. A może jedno i drugie. Nie sprawiał wrażenia nieudacznika z drugiego rzędu rezydentury. Coś mi zazgrzytało w ocenach Higginsa i Seppa, bo obraz nie pasował do autora. Z takim angielskim i doświadczeniem placówkowym był tylko trzecim sekretarzem? Złożenie zapytania biznesowego stanowiło tylko przykrywkę do podtrzymania dialogu z Razumowem, miało słabe uzasadnienie i prędzej czy później się spali. Ale kontakt z Batulisem zaintrygował mnie bardziej, niż przypuszczałem. Być może Seppo wiedział coś więcej, o czym mi jednak nie wspomniał, albo po prostu miał operacyjnego nosa, podobnie jak z „Viperem”.

Do powrotu Razumowa miałem jeszcze czas i mogłem go wykorzystać na rozpracowanie Batulisa. Zaciekawił mnie, chociaż nie miałem jeszcze żadnych podstaw, żeby coś budować. Zdarzenie w Medvaście dotyczyło mnie osobiście, bo śmierć otarła się o Seppa i też poczułem jej chłód. Wielki Fin imponował mi i bardzo chciałem mu pomóc. Właściwie to byłem już pełnoprawnym uczestnikiem tego przedstawienia, chociaż prawie nic jeszcze nie zrobiłem.

Do spotkania pozostało niemal półtorej godziny. Do przedstawicielstwa handlowego ambasady ZSRR spacer zajmie mi zaledwie kilka minut.

Miałem czas.

Zjadłem śniadanie, wykąpałem się i usiadłem przed telewizorem. Oglądałem BBC News, ale nie mogłem się skupić. Wciąż powracały mi obrazy z wczorajszego zdarzenia, widok Seppa z raną na głowie i nasza rozmowa o „Viperze".

Za dwadzieścia jedenasta zacząłem się ubierać. Rozpakowałem i włożyłem białą koszulę, potem szary garnitur, z którego zerwałem metki, i zawiązałem mój ulubiony krawat paisley. Założyłem okulary w rogowych oprawkach i stanąłem przed lustrem. Pomyślałem z lekkim rozbawieniem, że wyglądam jak prawdziwy holenderski handlarz drewnem.

Za dziesięć jedenasta włożyłem kurtkę, czapkę, wziąłem pod pachę skórzaną teczkę z logo firmy Noya i wyszedłem.

Było bardzo zimno, ale słonecznie. Do Vähäniityntie, gdzie mieściło się przedstawicielstwo handlowe ZSRR, dotarłem w ciągu kilku minut. Zapowiedziałem się przez domofon i portier wpuścił mnie, otwierając elektryczne zamki w podwójnych ciężkich drzwiach.

W ogromnym pustym holu wielkości boiska do tenisa byłem dokładnie minuta po jedenastej. Tak pokazywał wielki zegar na ścianie wyłożonej mozaiką. Przedstawiała kontur Związku Radzieckiego i jego strefy czasowe. Dzieło było imponujące, ozdobione dwoma kamerami i wyjątkowo brzydkie. Wyglądało to tak, jakby kamery miały rejestrować reakcje gości na sztukę i potęgę ZSRR. Kontrolowały jednak całe pomieszczenie.

Po chwili otworzyły się drzwi w rogu i wyszedł z nich wysoki, szczupły mężczyzna w granatowym garniturze z notatnikiem w dłoni. Oczywiste było, że to Witalij Batulis. Na mój widok uśmiechnął się służbowo i z wyciągniętą ręką przemaszerował kilka metrów, stukając obcasami po kamiennej podłodze.

– Serdecznie witam w radzieckiej ambasadzie, panie van der Welde. – Uścisnął mi mocno dłoń i wskazał wieszak w rogu. – Proszę się rozebrać.

Usiedliśmy w fotelach pod oknem. Batulis był pierwszym tak młodym radzieckim szpiegiem, jakiemu patrzyłem prosto w twarz. Uśmiechał się dziwnie. Na pewno nie był to służbowy uśmiech KGB, ale nie był to też konwencjonalny uśmiech zachodniego dyplomaty. Nie potrafiłem go określić. Może był to po prostu litewski uśmiech i przez moment zastanowiłem

się, czy tak się uśmiechał mój dziadek. Znałem go tylko ze zdjęć, ale na żadnym się nie uśmiechał.

– Wiem już, o co chodzi – zaczął Batulis, otwierając swój notatnik. – Dzwonił do mnie kapitan Razumow i powiedział, że trzeba panu pomóc w nawiązaniu kontaktów biznesowych.

– Zgadza się – odparłem, otwierając teczkę. – Działam w branży drzewnej, jak pan pewnie wie, i szukam solidnych dostawców drewna. Pan Razumow zasugerował mi rozejrzenie się za dostawcami z rynku radzieckiego. Do tej pory kupowałem tarcicę w Finlandii, ale gotowy jestem…

– Oczywiście – przerwał mi grzecznie Batulis i coś zapisał w notatniku.

– Mam tutaj zapytanie biznesowe ze szczegółowym opisem i parametrami technicznymi tarcicy, warunków dostawy i tak dalej.

Batulis wziął ode mnie dokument i zaczął go czytać. Sprawiał wrażenie, że dokładnie go studiuje, a nawet rozumie, co jest w nim napisane. Po chwili pokiwał głową z zadumą, jakby uznał dokument za wystarczająco profesjonalny, i włożył z powrotem do okładki.

– Postaram się panu pomóc. Jak to jest pilne?

– Pilne, ale bez przesady. Czas to jedno, a cena i jakość to drugie. Bardziej zależy mi na tym drugim.

– Powiem szczerze, że mamy teraz okres przedświąteczny i terminy się wydłużają z oczywistych powodów.

– To jasne. – Otworzyłem teczkę i wyjąłem długopis i zapalniczkę z logo firmy. – To tak… na pamiątkę. – Położyłem na stoliku i przesunąłem w jego stronę.

– Dziękuję bardzo. – Batulis uśmiechnął się pogodnie. – Od dawna zna pan kapitana Razumowa? – zapytał niespodziewanie.

– Jesteśmy sąsiadami na Kulosaari i czasami spotykamy się na spacerach z psami.

– No tak, kapitan jest wielkim miłośnikiem seterów irlandzkich. Wszyscy znamy go z tej strony.

– Tak, pan kapitan to niezwykły człowiek – stwierdziłem. – Bardzo kulturalny i sympatyczny. Rzadko spotyka się dzisiaj takich ludzi.

– O tak! – potwierdził Batulis z wyraźną emfazą. – Wspaniały człowiek, absolutnie wyjątkowy. A pan też mieszka na Kulosaari, jak dobrze zrozumiałem?

– Tak parę minut pieszo stąd.

– Wyjątkowe miejsce ta wyspa.

– To prawda. Czuję się tu doskonale. A pan gdzie mieszka?

– W ambasadzie, w centrum. Mamy tam trzy domy. Większość pracowników tam mieszka. Pan kapitan to jeden z nielicznych wyjątków.

– A może dałby się pan namówić na świąteczny stół? – zapytałem zupełnie spontanicznie. Poczułem, że muszę szybko reagować, bo Batulis miał potencjał do sprawdzenia. – Świetny bufet jest w Teatern przy Esplanadi. Wie pan, gdzie to?

– Oczywiście.

– Może jutro? Trzynasta?

– Wie pan… – Batulis rozejrzał się dyskretnie, jakby się czegoś obawiał, chociaż byliśmy sami. – Bardzo chętnie.

– Na wizytówce ma pan mój numer telefonu, gdyby coś się zmieniło. Ja pana numer też mam.

– Nie musi pan już dzwonić. Będę na pewno – powiedział.

Batulis złapał kontakt i zamierzał go zachować dla siebie. Rekomendacja kapitana Razumowa zrobiła swoje – pomyślałem.

Odprowadził mnie do drzwi i pożegnaliśmy się.

Krótka rozmowa, z pozoru typowa, a jednak wystarczyło dobrze się przyjrzeć Batulisowi, by zauważyć, że można coś zacząć planować. Zaciekawiło mnie najbardziej, czego młody szpieg z KGB może oczekiwać od holenderskiego handlarza tarcicą. Najwyraźniej to nie było zainteresowanie służbowe, więc od razu zyskałem przewagę.

Seppo się ucieszy – pomyślałem, wychodząc na ulicę Vähäniityntie.

Przyspieszyłem kroku, bo o trzynastej miałem być pod akademikiem.

42

Paavo wszedł rano do sekretariatu i z zaskoczeniem stwierdził, że za biurkiem siedzi Mia.

– Nie miałaś być na urlopie? – rzucił z wymuszonym spokojem.

– Co ty, nie wiesz, co się stało? – odparła oburzona.

– Oczywiście, że wiem, i jestem nawet…

– To co się głupio pytasz? – Mia była w wyjątkowo bojowym nastroju, chociaż nigdy nie powstrzymywała swoich emocji.

– Nie martw się. Znajdziemy go. Nadzoruję śledztwo w imieniu szefa. – Spojrzał w stronę drzwi Koivista. – Jest?

– Jest. Na dziesiątą jedzie do premiera. Masz wejść. Czeka na ciebie.

– Znajdziemy go – powtórzył Paavo i skierował się do swojego gabinetu, żeby się rozebrać.

– Kogo? – zapytała Mia.

– Tego, kto chciał zabić Seppa.

– To ktoś spośród nas – powiedziała z przekonaniem, nie odrywając oczu od komputera.

– Tak myślisz? – zapytał Paavo przez otwarte drzwi.

– Ja nawet wiem, kto to jest.

– Kto?

– Dowiesz się w odpowiednim czasie.

– No… ciekaw jestem – rzucił Paavo, przechodząc przez sekretariat w stronę gabinetu szefa. – A jaki motyw? Wiesz już?

– To rosyjski szpieg i od dawna wiem, kto to.

– Tak? No to musisz powiedzieć koniecznie Seppowi. – Stanął pod drzwiami i trzymając już za klamkę, rzucił: – Na pewno się tym zajmie. – Zastukał, odczekał chwilę i otworzył drzwi.

– On go zabije. Wiem to – powiedziała Mia, nim zniknął w gabinecie Torstena.

– Siadaj, Paavo – odezwał się Koivisto, nie podnosząc głowy znad biurka. – Poczekaj chwilę… mam tu coś bardzo pilnego.

Paavo usiadł na krzesełku przy biurku, na którym zawsze siadał, i położył swój notatnik na kolanach. Czuł, jak drżą mu mięśnie w nogach, i zaciskał szczęki. Nigdy nie przypuszczał, że Mia mogłaby tak go zdenerwować. Pożałował, że kula tylko otarła się o głowę Seppa.

Ciekawe, jak ta kurwa wyglądałaby dzisiaj, gdyby ten pierdolony Seppo leżał z rozwaloną czaszką w jej leśnym domku nad morzem – pomyślał, przyglądając się szefowi. Musiałaby go sprzedać. He, he…

Torsten czytał coś z opuszczonymi na koniec nosa okularami, zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Za wielkim secesyjnym biurkiem pamiętającym czasy ochrany wydawał się jeszcze mniejszy, wręcz groteskowy, i ten widok zawsze bawił Paava. Teraz jednak było jakby inaczej. Śmieszny skrzat przeistoczył się w mrocznego karła. Przez chwilę miał wrażenie, że siedzi przed sędzią, który czyta akt oskarżenia i za chwilę ogłosi wyrok śmierci.

– Dobrze… – zaczął Torsten, wciąż przeglądając dokument – powiedz mi, przyjacielu, co sądzisz o wczorajszym wydarzeniu.

Koivisto podniósł głowę znad biurka i zdjął okulary. Odsunął się na fotelu i odchylił się wygodnie na oparcie z rękami założonymi na piersiach.

– Fakty możesz pominąć, bo wszystko już wiem – ciągnął Torsten. – Liczę na twoją przenikliwość, doświadczenie i wrażliwość. Zaraz jadę do premiera i muszę się zestroić emocjonalnie z tym zdarzeniem. Tym bardziej że miałem trudną noc i nie jestem w dobrym nastroju. Więc… liczę na ciebie, przyjacielu.

– Jak się czuje… – zaczął niepewnie Paavo.

– Już lepiej, znacznie lepiej. – Torsten przerwał i uniósł dłoń na znak, że nie będzie rozmawiał o chorobie żony.

– Dobrze… – Paavo przybrał poważny wyraz twarzy. – Czy premier już wie?

– Nie, jeszcze nie wie. Dopiero mam zamiar go poinformować, więc sam rozumiesz, że…

– Tak, w naszych warunkach próba zabójstwa szefa kontrwywiadu nie jest czymś zwyczajnym.

– Delikatnie powiedziane, drogi Paavo. Tym bardziej że premier dostanie jeszcze inne wiadomości, dużo gorsze niż ta. Chociaż zamach na Seppa jest najgorszą wiadomością, jaką dostałem przez całą swoją służbę. To mój przyjaciel – ciągnął Torsten z wyraźnym przejęciem. – Mam poważne przesłanki, by przypuszczać, że oba zdarzenia mogą być ze sobą powiązane.

– Rozumiem, że o tym…

– Tak, na razie ta wiedza jest ci niepotrzebna. Najpierw muszę porozmawiać z premierem, a może i prezydentem. Zobaczymy… teraz potrzebuję twojej oceny wczorajszego zdarzenia. Mamy dwadzieścia minut. – Spojrzał na zegarek. – Wypijemy jeszcze szybką kawę? Potrzebuję kofeiny. – Nacisnął przycisk w interkomie, ale Mia się nie odezwała. Zrobił to jeszcze dwa razy z tym samym skutkiem. – Wyszła gdzieś? – rzucił zniecierpliwiony i podniósł się zza biurka. – Bardzo jest przejęta – dodał, idąc w stronę drzwi.

– Zauważyłem – odparł szybko Paavo. – Nie ma się co dziwić.

Miał kilka sekund i wychylił się, żeby zobaczyć, jaki dokument czytał Torsten. Zrobił to niemal odruchowo, bo biurko było wielkie i nie miał szans zobaczyć z tej odległości, tym bardziej że papiery leżały do góry nogami. A mimo to w górnym prawym rogu dostrzegł godło Wielkiej Brytanii, pismo zaczynało się od odręcznego napisu, jakie z reguły umieszczali szefowie służb, kiedy zwracali się do siebie „tylko dla twoich oczu”. Pismo było długie.

– Zaraz poda nam kawę – usłyszał głos wracającego Torstena. – Bardzo to przeżyła.

– Ciekawe, czy coś znaleźli – rzucił Paavo. – Nie rozmawiałem jeszcze ani z Seppem, ani z Erkkiem. Pewnie odsypiają noc, więc nie chcę ich budzić. Sam zresztą też nie spałem wiele, cały czas myślałem o tym, co się stało. I wiesz… – Paavo zawiesił na chwilę głos, rozejrzał się, jakby czegoś szukał, i powiedział z wyraźnym, nieco teatralnym wahaniem: – Nie uważasz, Torsten, że Seppo i Mia powinni dostać stałą ochronę? Kto wie, co się może jeszcze zdarzyć. Ktoś spartolił robotę, ale problem pewnie nie zniknął.

– Myślisz, że Seppo by się zgodził? Nie jesteś chyba taki naiwny, nie znasz go? – Torsten jednak chwilę się zastanowił. – Ale pomyślę, może spróbuję go przekonać. To Karel, nie będzie łatwo – uśmiechnął się delikatnie. – Rozumiem, że to twoja pierwsza ocena. Tak?

– Nie wiem, czy można to tak nazwać. Właściwie to bardziej się obawiam, żeby Seppo nie zrobił czegoś nieodpowiedzialnego. Będzie szukał sprawcy z właściwą sobie determinacją…

– Hmm… – Koivisto się zadumał. – Tak, to do niego podobne. Uparty i pamiętliwy to on jest, prawda. No i wyjątkowo skuteczny… jak mało kto w tym budynku. Ale przecież nie ma podejrzanego. Nie można wykluczyć,

że zrobił to jakiś szaleniec, albo był jakiś inny powód, na przykład kryminalny.

– No właśnie, Torsten. I o to właśnie chodzi, że Seppo w swoim zacietrzewieniu może zacząć szukać na oślep i walić pięściami gdzie popadnie. Rozmawiałem z nim wczoraj… i nie jest w dobrym stanie. A wiesz przecież, że potrafi najpierw przyłożyć, a potem pytać. Prosiłeś mnie o ocenę, więc powiem tak… – Paavo zajrzał do swojego notatnika. – Przemyślałem wszystko i wydaje mi się, że Seppo będzie szukał podejrzanego wśród nas.

– Wśród nas? – zapytał zaskoczony Torsten i zmrużył oczy.

– Jest przecież szefem naszego kontrwywiadu, znamy go, to jego całe życie, tylko praca i praca, rozpadło mu się nawet małżeństwo z tego powodu. On po prostu nie zna innego życia. Będzie szukał wśród nas, w SUPO, uzna z pewnością, że jest u nas radziecki szpieg, który chciał go zlikwidować. I na ile znamy Seppa, z pewnością go znajdzie, nawet jak go nie ma. Dopóki nie ustalimy, kto strzelał, o ile w ogóle to się uda, dałbym Seppowi niewidoczną ochronę…

– To absurd! Natychmiast się zorientuje. I co mielibyśmy faktycznie osiągnąć w ten sposób? Absurd!

– Zgadzam się, że to radykalny pomysł, nawet może trochę szalony i może się nie udać, ale myślę o Seppie, martwię się o niego, i mam na względzie interes naszej służby. Co będzie, jak to wycieknie do mediów? Zaczną pytać i sprawdzać. To niczego dobrego nie da, a sam Seppo będzie tematem na pierwsze strony gazet. Spali się psychicznie. Wiesz przecież, jaki on jest.

– Hmm… tak, to prawda. – Torsten zadumał się, ale Paavo doskonale wiedział, że szef ma obsesję na punkcie mediów.

– Pamiętajmy o syndromie Angletona. Nie możemy sobie na to pozwolić. Tak czy inaczej, wydaje mi się, że nie powinien prowadzić śledztwa we własnej sprawie. Gdyby to dotyczyło kogokolwiek innego, to nie wyrażałbym takich obaw, ale to jest Seppo! – Paavo starał się mówić przekonująco, tym bardziej że na twarzy Koivista pojawiło się wyraźne zainteresowanie. – Może przynajmniej powinien odpocząć przez jakiś czas, pójść na urlop. Mamy wystarczające siły i możliwości, by i bez niego przeprowadzić dochodzenie. Sam chętnie się zaangażuję. Torsten… Przepraszam za porównanie, ale z Seppem jest jak z tym wiernym psem. Masz psa, dajesz mu kość, pies jest twój, kość twoja, a spróbuj mu ją zabrać. Tak może być teraz z Seppem.

– Hmm… – Koivisto pokiwał głową. – Masz sporo racji, Paavo… niestety. To jednak jest jakaś decyzja. Muszę to przemyśleć i porozmawiam z premierem.

– Minimalizujemy kolejne zagrożenia i być może przyspieszymy w ten sposób wyjaśnienie sprawy. Czas gra na naszą niekorzyść.

– Drogi Paavo. – Torsten oparł przedramiona na biurku i zdjął okulary. – Dziękuję, to bardzo cenna uwaga. Właściwie muszę powiedzieć, że myślę podobnie.

– Trzeba też pomóc Mii, nie jest w dobrym nastroju… idą święta.

– Dobrze. – Torsten spojrzał na zegarek. – Czas na mnie. Pojedź do Medvastu i zorientuj się w sytuacji, a szczególnie jak się trzyma Seppo. Masz wnikliwe oko, więc spróbuj mu się przyjrzeć. Niestety, w naszym zawodzie zaufanie to ważna i dobra rzecz, ale nieufność jeszcze ważniejsza. – Torsten zmrużył swoje małe, wąsko rozstawione oczy, które spoglądały zza okularów zsuniętych na koniec nosa, i Paavo zrozumiał jego słabo skrywaną aluzję. Na to czekał. – Ale pamiętaj, to nasz kolega, właściwie przyjaciel, i nie można go urazić. Nie może się zorientować, ale to dla jego dobra. Liczę na twoją delikatność, dyskrecję i inteligencję. Rozumiesz? Bądź ostrożny, Paavo.

– Oczywiście – odparł i też się podniósł. – Jak się czuje Sanna? – zapytał jeszcze o żonę Torstena.

– Trochę lepiej, ale… – Pokręcił głową i westchnął. – Nie chcę o tym teraz mówić. Dziękuję, że zapytałeś, ale…

Paavo wyszedł do sekretariatu. Mia siedziała pochylona nad biurkiem i pisała coś w notatniku. Nawet nie podniosła głowy. Przeszedł do swojego pokoju i opadł na fotel.

To był całkiem udany początek dnia. Nawet bardzo udany. Wprawdzie ta pieprzona Mia trochę mnie zdenerwowała, ale i tak wszystko obróciłem na swoją korzyść. Pierdolonego Seppa mam teraz w garści.

Paavo zacisnął pięść.

43

Portnoy wyszedł ze swojego gabinetu o dwunastej. Ubrany w kurtkę i czapkę przeszedł energicznie przez pokój.

– Będę około szesnastej. Niech Luba posprząta gabinet – rzucił i zatrzasnął za sobą drzwi.

Borys usiadł i sięgnął po słuchawkę.

Luba, żona Fiodora, kierowcy ambasadora, sprzątała w pokoju rezydenta na wyraźne polecenie Portnoya, ale mogła to robić tylko w obecności Borysa. Kierowca ambasadora był starym funkcjonariuszem KGB, więc Portnoy zezwolił Lubie wchodzić do swojego gabinetu. Codziennie sprzątała gabinet ambasadora, radcy ministra oraz attaché wojskowego, morskiego i lotniczego, ale pokój rezydenta tylko na jego życzenie.

Luba nie była funkcjonariuszką KGB, ale została dobrze przeszkolona, miała wieloletnie doświadczenie w sprzątaniu gabinetów radzieckich dyplomatów i była wyjątkowo spostrzegawcza. Portnoy uważał nawet, że ma talent. Dlatego na wszelki wypadek wpuszczał ją do swojego pokoju tylko w towarzystwie Borysa.

Rzuciła krótko, że za piętnaście minut skończy sprzątać gabinet kapitana Razumowa i przyjdzie do Portnoya.

Zanim przyszła, Borys sprawdzał pokój.

Kilka razy zdarzyło się, że rezydent zostawił na biurku jakieś kartki, porwane w koszu, kluczyk w szufladzie, czasami coś mu spadło na podłogę. Portnoy uważał się za wybitnego i wyjątkowo przebiegłego oficera wywiadu, wytwarzał wokół siebie aurę twardziela, ale Borys wiedział, że czasami robi zwykłe błędy, szczególnie gdy wypił za dużo albo był zdenerwowany.

Pokój Portnoya był duży, miał prawie czterdzieści metrów kwadratowych. Oprócz biurka z fotelem na środku pod oknem w rogu na derbenckim dywanie umieszczono komplet wypoczynkowy. Po drugiej stronie okna stała biblioteka, którą wypełniało drugie wydanie pięćdziesięciotomowej *Wielkiej encyklopedii radzieckiej*.

Wszyscy rezydenci KGB zajmujący ten pokój, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, używali tej encyklopedii jako ważnego źródła wiedzy o świecie. Portnoy był pierwszym rezydentem KGB, który ani razu tej biblioteki nie otworzył. Robiła to teraz tylko Luba, żeby zetrzeć kurz.

Borys obszedł całe pomieszczenie, jak zawsze zaczynając od prawej strony. Sprawdzał wszystko dokładnie i chociaż robił to rutynowo, zajrzał w każdy zakamarek. Sprawdzał też, czy sejf jest zamknięty. Dla pewności kilka razy szarpał za metalową klamkę, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby Portnoy zapomniał go zamknąć.

Wyszedł do sekretariatu i zanim zdążył usiąść, zastukała Luba.

– Co tam u ciebie, Boria? – zapytała, ciągnąc za sobą odkurzacz i wiadro z mopem.

– W porządku. A u ciebie? Fiodor pewnie ciągle jeździ.

– No, oni mają święta i teraz wszyscy jedzą i piją nieustannie, no… i nasz ambasador ma dużo okazji.

– Daj, pomogę ci. – Borys wziął od niej wiadro.

– Kochany jesteś, Borieńka.

Weszli do gabinetu Portnoya. Luba od razu podłączyła odkurzacz i zaczęła sprzątać, a Borys stanął w drzwiach oparty o framugę.

– Podobno nie będzie wspólnej imprezy noworocznej! – rzuciła Luba, przekrzykując wyjący odkurzacz.

– Tak. Dlaczego? Kto tak zadecydował? – zainteresował się Borys.

– Ambasador. Podobno taka przyszła decyzja z Moskwy.

– Ale dlaczego?

– Oszczędności.

– Aaaa… Szkoda.

– Mnie tam nie szkoda. Miałam z tym mnóstwo roboty i żadna zapłata. Zrób sałatki, kanapki, ciasto, a potem sprzątaj cały dzień. Ja tam się cieszę – tłumaczyła Luba, prawie krzycząc.

– Ja w sumie też jestem zadowolony. Bo my przecież mamy wtedy służbę. Ani się człowiek nie napije, ani nie zabawi.

– A to co? – Luba wyłączyła odkurzacz i Borys zobaczył, że się schyla.

– Co tam? – zainteresował się i ruszył w jej stronę.

Podszedł bliżej i zobaczył, że Luba dotyka palcem kawałka szarego papieru wystającego spod derbenckiego dywanu.

– Nie ruszaj! Ja! – rzucił zdecydowanie.

Chwycił za róg dywanu i uniósł go. Na podłodze leżała szara koperta, taka sama, w jakiej Winogradow dostarczał Portnoyowi swoje anonimy. Borys podniósł ją. Była zaklejona.

– Musiała spaść i wsunęła się pod dywan. Wystarczył mały przeciąg – powiedziała z przekonaniem Luba. – Zdarza się, jak dywan jest miękki, a to dagestański dywan, więc jest miękki.

– Pewnie tak było. Oddam szefowi – odparł Borys i wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. To na sto procent ten ostatni donos na Batulisa. Dotarło do niego, że Portnoy go nie przeczytał, a nawet się nim nie zainteresował. Musi być czymś bardzo zajęty. Ciekawe czym? – zastanawiał się Borys, obserwując, jak Luba wyciera kurze w bibliotece.

Aleksi i Markko właśnie o to prosili, żeby patrzył na zachowanie Portnoya i odnotowywał wszystko, co odbiega od normy, czy dużo pije, kiedy i jak często przychodzi do niego szyfrant Kazubin. Anonim Winogradowa pod dywanem mógł być właśnie takim dowodem na odbiegające od normy zdenerwowanie Portnoya albo… pułapką. W końcu polecił wysprzątanie pokoju.

Borys przyglądał się, jak Luba sprawnie wywija mopem, i zastanawiał się, co zrobić z donosem. Wychodziło mu, że ma tylko jedno rozwiązanie w trzech częściach, tym bardziej że Luba była świadkiem. Oddać go lojalnie rezydentowi i poinformować, że znalazł go pod dywanem, o treści powiadomić Batulisa i o wszystkim opowiedzieć Finom.

Nagle Borys zrozumiał genialność swojego planu. W każdym punkcie zyskiwał, a wszystkie razem miały jeszcze większą moc. Proste zdarzenie, ale mądrze wykorzystane może przynieść duże zyski. Najbardziej cieszyła Borysa jednak możliwość uderzenia w Portnoya sierpowym z lewej i prawej. Zwykły anonim Winogradowa, a skutkiem mógł być szybki nokaut Lemieszewa. Wyjątkowa przyjemność – pomyślał Borys zadowolony ze swojego pomysłu. Szkoda, że nie będzie o tym wiedział. Chociaż jak zostanę w Finlandii, następnego dnia będzie stał na baczność w Moskwie i pewnie pojedzie na placówkę KGB do Kirgistanu.

Luba wyszła, ciągnąc za sobą wielki odkurzacz.

Borys schował szarą kopertę do biurka. Postanowił najpierw powiedzieć Batulisowi o donosie Winogradowa, a dopiero potem Finom. Tak będzie uczciwiej i pomyślał, że chyba jednak przyjmie propozycję Aleksiego i Markka.

Wciąż jednak do rozwiązania pozostała sprawa Pietii. Borys nie miał pomysłu, jak do niego podejść ani nawet od czego zacząć. Mógłby załatwić z Portnoyem, żeby wrócił wcześniej do Rosji, ale być może skrzywdziłby go w ten sposób jeszcze bardziej. Miał przed sobą jeszcze dwa lata odkładania baksów i nieskrępowanego korzystania z wypożyczalni wideo Hollywood. Po przeżyciach w Afganistanie to była dla niego najlepsza terapia, o jakiej w Związku Radzieckim nie mógłby nawet pomarzyć – doszedł do wniosku Borys.

– Pomyślę o tym później – powiedział na głos i wstawił wodę do gotowania.

44

Czekałem przed wejściem do akademika najwyżej kilka minut, ale i tak przyszedłem przed czasem. Po chwili pojawiła się Marina. Była tylko w swetrze i dżinsach. Uśmiechnięta, wręcz rozpromieniona, ale nie z powodu mojego widoku. Ona po prostu taka była.

Uśmiechała się cały czas, jakby pochodziła z dziwnego świata szczęśliwych ludzi. A przecież studiowała tylko saamską kulturę. To nie był uśmiech na coś obliczony, utrwalony w historii narodu czy genach, to był przejaw radości życia. Rzadko taki spotykałem, a właściwie spotkałem po raz pierwszy. Robił na mnie ogromne wrażenie, bo pochodził z kraju, w którym nie jest szczególnie popularny, a przynajmniej w takiej szczerej, pogodnej odmianie. Uśmiech Rosjan był zwykle tajemniczy, nieco arogancki, czasami pewny siebie, z nutką wyższości, a czasami nienawiści.

Marina była inna i to mnie tak bardzo intrygowało. Nie potrafiłem od niej oderwać oczu, jak hrabia Biezuchow od Nataszy Rostowej. Właśnie z powodu tego jej zaczarowanego uśmiechu.

– Dzień dobry – odezwała się pierwsza i rozejrzała wokół.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jeżeli szukasz Jana, to wyjechał do Amsterdamu. Zmarzniesz…

– Szkoda. Bardzo go polubiłam – rzuciła wyraźnie rozczarowana. – Jest taki inteligentny, pogodny i sympatyczny. Trudno. Zapraszam cię do nas na lunch. – Marina wskazała na drzwi i poszła pierwsza. – To nasza uczelniana restauracja, nic szczególnego, ale podają bardzo smaczne jedzenie.

Wiedziałem, że nie stać jej na normalną restaurację, więc zaproszenie nabrało jeszcze większego uroku. Nie chciała zaimponować, chciała się spotkać i odwdzięczyć za piątkowy lunch.

Seppo nie miał żadnych informacji o związkach Mariny z KGB, ale to nie wykluczało, że mogła być współpracownicą albo nawet funkcjonariuszką. Mogła realizować poważne zadania, które nie były widoczne dla SUPO, prowadzić agenta, obserwację albo obsługiwać łączność. Mogła też dostać zadanie obserwowania pracowników naukowych uniwersytetu, zbie-

rania informacji i typowania wartościowych kandydatów do rozpracowania. To było prawdopodobne.

Możliwe też było, że KGB, zajęte sprawami wewnętrznymi ZSRR, odpuściło sobie stypendystkę specjalistkę od kultury Saamów. Ostatecznie nie mogłem wykluczyć żadnej wersji, także i tej, że została mi podstawiona.

Wiedziała, że wywarła na mnie wrażenie. Zdawała sobie sprawę ze swojego seksapilu, ale nie epatowała nim, nie próbowała flirtować. Korzystała z niego oszczędnie, wzbudzając bardziej zainteresowanie swoją inteligencją niż powierzchownością. Chciałem, żeby zauważyła moje zainteresowanie. Teraz, kiedy przyszedłem sam na spotkanie, mogła być tego pewna.

Weszliśmy do sali restauracyjnej. Kilkanaście osób siedziało przy stolikach. Stanęliśmy w kolejce do bufetu.

– To był miły dzień – rzuciła Marina, biorąc tacę i sztućce. – Byliście moimi pierwszymi słuchaczami od wielu miesięcy.

– Tak?

– Nie prowadzę teraz zajęć na uczelni ze studentami.

– Chętnie zamienię się znów w twojego słuchacza. Może już nie ten wiek, ale nigdy nie jest za późno na naukę, prawda?

– Oczywiście. Ale czy kultura Saamów może być interesująca dla Holendra? No nie wiem. – Znów obdarzyła mnie uśmiechem.

– I kultura Saamów jest interesująca, i nauczycielka też – rzekłem, posuwając się za nią przy bufecie.

– Miły jesteś – rzuciła, nie patrząc na mnie.

Marina zapłaciła za mnie i niosąc tace z lunchem, nie bez trudu przedarliśmy się do wolnego stolika w rogu sali.

– Co robisz w święta? – zapytałem, gdy tylko usiedliśmy.

– Na Wigilię jestem zaproszona do mojego opiekuna naukowego, do jego domu na wsi koło Porvoo.

– Czyli w pierwszy dzień jesteś wolna?

– Tak.

– To może spędzimy go razem… spacer jakiś, obiad… – zaproponowałem delikatnie. – Też nie mam żadnych planów.

– Nie wracasz na święta do Holandii? Do rodziny?

– Nie. Mam tu pilne interesy. Poza tym jestem rozwiedziony, nie mam dzieci, a rodzice mieszkają w Południowej Afryce, czyli sama widzisz… no

i nie jestem specjalnie przywiązany do świętowania. A ty? Nie jedziesz do Rosji na Nowy Rok? Boże Narodzenie macie chyba później…

– Moja rodzina nie jest religijna. W ogóle nie obchodzimy tych świąt, mama jest Kazaszką, jak ci mówiłam, czyli gdzieś tam w przeszłości był islam, a ojciec jest kierownikiem biblioteki w Stawropolu, więc ateistą… i to z przekonania. A wyjazd na Nowy Rok do Stawropola to byłaby ogromna strata czasu, na co nie mogę sobie pozwolić. To stypendium jest dla mnie bezcenne. Pierwszy raz będę obchodzić te święta, i to od razu w luterańskiej rodzinie. Bardzo jestem tym przejęta, w końcu jestem kulturoznawcą i etnografem. Wszystko przeczytałam o tutejszej Wigilii, prezentach, pieczonej szynce, peklowanym łososiu, zapiekankach i owsiance z cynamonem. A ty jak spędzisz te święta? – zapytała na koniec.

– Mam w Helsinkach bliskich znajomych, właściwie przyjaciół. Jestem zaproszony do nich na Wigilię – skłamałem. – Nie wyjeżdżam nigdzie. I… będę czekał na pierwszy dzień. – Marina uśmiechnęła się. – A może wyskoczymy jeszcze przed świętami do jakiegoś pubu na piwo – zaproponowałem całkiem spontanicznie.

– Dlaczego nie, z przyjemnością.

– Kiedy?

– Dam znać. Mam mnóstwo pracy, teraz każdy dzień się liczy, bo czas mojego pobytu w Finlandii powoli dobiega końca. Po dziewiątej wieczorem zawsze, no prawie zawsze, jestem w pokoju, więc możesz dzwonić bez oporów. Twój numer znam i głos miłej pani sekretarki też.

Siedzieliśmy jeszcze pół godziny nad pustymi talerzami i rozmawialiśmy o Finlandii, temacie jej badań, trochę o Związku Radzieckim, Holandii, Gorbaczowie, którego była zdecydowaną zwolenniczką.

Okazało się też, że Marina jest gorącą fanką rockmana Wiktora Coja, a właściwie jego wyznawczynią. O tym pół Koreańczyku, pół Rosjaninie słyszałem wcześniej. Miał duży wpływ na kształtowanie się prozachodniej kultury młodzieżowej w czasach Breżniewa i MI6 zauważyło jego istnienie. To był ktoś zupełnie inny niż Okudżawa czy Wysocki.

Zaskoczyłem ją, że słyszałem o Coju, i była wyraźnie podekscytowana. Znała całą jego twórczość. Kiedy wspomniałem o jego tragicznej śmierci w sierpniu, po raz pierwszy z jej ust zniknął uśmiech, a w oczach pojawiły się łzy. Urwała temat, twierdząc, że nie jest gotowa, by o tym mówić, bo zupełnie się rozklei. Ale zapowiedziała, że chętnie porozmawia o nim następnym razem.

To był dobry znak. Marina wyglądała na szczerze poruszoną, a uwielbienie dla radzieckiego rockmana nie mogło być częścią jej kagebowskiej tożsamości, ale mogło stanowić naturalną przykrywkę. Tego nie mogłem wykluczyć. Czułem jednak, że tak nie jest. Jej łzy były prawdziwe, tak jak uśmiech. Też była rosyjską Azjatką.

Spędziliśmy prawie półtorej godziny razem i nawet nie zauważyłem, że restauracja opustoszała. Nie pamiętam, co jadłem. To był mój najprzyjemniejszy lunch w Finlandii.

O piętnastej byłem już w domu na Kulosaari.

Na sekretarkę nagrały się dwie wiadomości.

Pierwsza od Seppa z prośbą o kontakt i numer telefonu. Na drugim nagraniu nikt się nie odezwał.

Oddzwoniłem do Seppa.

– Gdzie jesteś? – zapytałem, gdy tylko odebrał.

– W naszym lokalu. Taka jest decyzja Torstena. Dopóki sprawa się nie wyjaśni. Niestety nie można wykluczyć powtórki. Tak czy inaczej, sprawę bada nasz zespół. Technicy na miejscu nic nie znaleźli, więc nie ma punktu zaczepienia.

– Aha… – odparłem zaskoczony dziwnym tonem Seppa. – Rozumiem.

– Kiedy się uspokoi, to pogadamy przy kawie. A najlepiej jedź do domu na święta – dodał i wyczułem, że Seppo jest inny, sztywny, jakby mówił pod dyktando.

– Rozumiem. W takim razie czekam na sygnał od ciebie. Powodzenia, przyjacielu.

– Dzięki – rzucił i się rozłączył.

To nie był ten sam Seppo, którego znałem. Nie mogłem uwierzyć, że ten twardy Fin nagle pękł. W czasie wczorajszego zdarzenia tylko na chwilę stracił zimną krew. To ja czułem wtedy, że trzęsą mi się nogi.

Seppo spokojnie panował nad sytuacją i był gotów do starcia z napastnikiem, które przecież w każdej chwili mogło się powtórzyć.

Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie prowadzi śledztwa i jest odsunięty od sprawy, a nawet odizolowany. Zasugerował nawet, żebym wyjechał z Finlandii, jakby wiedział, że coś mi grozi. Ale dlaczego nie powiedział tego wprost? Czy w Medvaście coś znaleziono? Coś się stało, ale to nie mogła być część pomysłu, który podsunąłem mu w Medvaście. Wyglądało na to, że jest dokładnie odwrotnie, chociaż wiedziałem, że w naszym

zawodzie nic nie jest tym, na co wygląda, że żyjemy w świecie złudzeń i luster.

Seppo od początku nie pasował do schematu. Był jedyny w swoim rodzaju, szczery i skryty jednocześnie, prosty i przebiegły, brutalny i delikatny.

To wszystko nie miało sensu. Było jak z surrealistycznej noweli.

Usiadłem w fotelu przy oknie i włączyłem magnetofon. Rozległy się takty *Marsza triumfalnego* z *Aidy* i natychmiast go wyłączyłem. Wziąłem talerzyk z żelkami i odpaliłem telewizor. W CNN trwała dyskusja o wyborach prezydenckich na Haiti, więc też ściszyłem wiadomości.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co Seppo chciał mi powiedzieć, sugerując wyjazd do Londynu. Sprawa kapitana Razumowa jest zakończona. Bez pomocy Finów dalsze działania nie miały żadnego sensu. Odniosłem wrażenie, że jedyną osobą, która się z tego ucieszy, jest Tom Higgins. Wyjdzie na prawdziwego operacyjnego proroka, a przynajmniej tak to sprzeda na Vauxhall. Potrafił zadbać o siebie.

To już nie był mój najprzyjemniejszy dzień w Finlandii.

Najgorsze, że nie miałem z kim porozmawiać. Higgins nie wchodził w grę z oczywistych powodów, Raymond sprzątał dom przed świętami, a Seppo znikł z niejasnych powodów. Ktoś dwukrotnie próbował się ze mną skontaktować. Czułem, że grzęznę w jakimś bagnie i przy każdym ruchu wciąga mnie coraz bardziej.

Jeżeli Rosjanie zorientowali się, co robię w Helsinkach, i zauważyli nasze zainteresowanie Razumowem, mogli uruchomić „Vipera”, żeby zneutralizować grupę i wyłączyć SUPO z gry. To odważna myśl, ale obciążałaby Higginsa, a nie miałem żadnych dowodów na jego nielojalność oprócz chorobliwie rozdętego ego. Oznaczałoby to też, że kapitan nie wróci już do Finlandii. Byłoby to jednak mało prawdopodobne, niepodobne do Rosjan, którzy lubili skomplikowane, wielostopniowe operacje, zgodnie z zasadą, że lepiej mieć dialog pod kontrolą i wykorzystać go w odpowiednim momencie. W ZSRR, a szczególnie w KGB, dobrze wiedzieli, że łatwiej jest kłamać, niż walczyć z kłamstwem. Ale w ostatnich miesiącach wychodziło im to coraz gorzej.

Czyli jeżeli Razumow wróci, to jako aktywny gracz wystawiony przez KGB. To był prawdopodobny scenariusz, chociaż kapitan wyraźnie nie miał predyspozycji do manipulacji i kłamania. To musiało być sprzeczne

z naturą marynarza, a szczególnie dowódcy okrętu podwodnego, który przetrwa tylko w prawdzie, jak mi się wydawało.

Mogło być też tak, że nasza operacja „Mermaid” nie ma nic wspólnego z ostatnimi wydarzeniami w Medvaście. Dopóki jednak nie wykluczyłem tej możliwości, musiałem brać ją poważnie pod uwagę.

Jadłem żelki, patrzyłem w telewizor, w którym pokazywano zielone obrazy z Haiti, i zastanawiałem się, czy za radą Seppa powinienem wracać do Londynu. Wolałbym do Kairu. Zostawiłem tam rozbabraną sprawę generała Ahmeda Baraniego, a poza tym było tam ciepło i miło. Brakowałoby mi jednak Mariny.

W pewnej chwili dotarło do mnie, dlaczego nie mogłem zrozumieć Seppa. W rzeczywistości sugestia wyjazdu z Finlandii miała zabrzmieć przewrotnie. Może chciał powiedzieć – właśnie tego nie rób, bo jesteś mi teraz bardzo potrzebny. Musiał wiedzieć, że bez rozmowy z nim nie wyjadę. W końcu to ja namówiłem go na roszadę w Medvaście. Ale dlaczego nie powiedział tego wprost? Czegoś się obawiał?

Postanowiłem nic nie zmieniać i zostać w Helsinkach. Tym bardziej że we wtorek miałem lunch z Batulisem, a potem spotkania z Mariną.

45

Było kilka minut po dwudziestej, kiedy Borys zobaczył na monitorze, że otwiera się tylna brama ambasady i na parking wjeżdża passat Batulisa. Postawił samochód na końcu rzędu. Wysiadł i pomachał do kamery. Z bagażnika wyjął dwie torby z zakupami i trzymając teczkę pod pachą, powoli ruszył w stronę domu.

Borys pomyślał o anonimie Winogradowa, który wciąż leżał w szufladzie.

Przed wyjazdem Portnoy zwykle do późna siedział w gabinecie z Gorbienką i przekazywał mu obowiązki. Tym razem się nie pojawił. Borys nie był jednak zaskoczony. Wcześniej już się tak zdarzało. Czekał, bo chciał mu oddać szarą kopertę i mieć już z tym spokój.

Za niecałe dwie godziny kończył służbę i na nocny dyżur przychodził Piotr.

Batulis wszedł do mieszkania i zaniósł torby do kuchni. Był tak zmęczony, że zapomniał nawet pozdrowić Paulauskasa.

To był najgorszy dzień – pomyślał, ściągając buty w przedpokoju. I to akurat, kurwa, poniedziałek. Miał być przedświąteczny spokój i cisza, a tu… kurwa.

Odwiesił kurtkę i wrócił do kuchni rozpakować torby z zakupami. Miał wrażenie, jakby każdą czynność musiał robić wbrew własnej woli. Przeszedł jeszcze przez łazienkę i w końcu zaległ w fotelu przed telewizorem. Wziął pilota, ale nie włączył żadnego programu. Położył głowę na oparciu fotela i zamknął oczy. Nie miał ochoty na telewizję ani na nic innego.

Pomyślał, że posiedzi chwilę w ciszy, a potem zrobi sobie coś do jedzenia. Nie mógł się jednak zdecydować, na co miałby ochotę.

Zajrzę do lodówki i zdecyduję – pomyślał i przypomniał sobie, że ma przecież jeszcze puszkę piwa. Dobrze mi zrobi przed jedzeniem.

Po chwili siedział znów w fotelu z piwem w dłoni i pilotem od telewizora w drugiej.

– Dirk van der Welde – powiedział. – Nawet ładnie. Holenderski handlarz drewnem? Dziwne. Co oni wiedzą o drzewach? Kraj, w którym jakbyś się chciał powiesić, to drzewa nie znajdziesz… w przepaść też nie skoczysz. Wszystko wycięli na statki, żeby podbijać świat, ale na handlu się znają. Depresyjny kraj, a jednak ich lubię. Siedzą na tych swoich kempingach, w przyczepach, piją piwko i nie wpierdalają się do wszystkiego i wszystkich na świecie, tylko pilnują swoich interesów. Już im przeszło, bo nie mają drzew. Lubię ich.

Nagle usłyszał głośne stuknięcie i poderwał głowę. Otworzył oczy i zobaczył, że na podłodze leży puszka, z której na dywan wylewa się piwo, a po drugiej stronie leży pilot. Zdał sobie sprawę, że zasnął.

Podniósł puszkę i dopił resztkę.

Teraz musiał wstać, żeby iść do kuchni po ścierkę.

– Wszystko, kurwa, przez tego Dirka van der Weldego – narzekał, ścierając piwo z dywanu. – Mimo to lubię tych Holendrów – powtórzył. – Jutro lunch w Teatern. Podobno najlepszy świąteczny bufet w mieście. Sympatyczny gość i znajomy naszego kapitana. To już wystarczający powód, żeby nie wykazywać go na liście kontaktów. Zostanie na mojej prywatnej liście. Idą trudne czasy, więc może się jeszcze przydać.

Witalij wypłukał ścierkę pod ciepłą wodą i powąchał, ale czuć ją było piwem. Powtórzył płukanie pod zimną. Wyżął ją z całej siły i powiesił na kaloryferze.

Wlał wodę do garnka i wstawił do gotowania trzy parówki. Zaczął kroić czarny fiński chleb.

– Z tą tarcicą dla Holendra to będzie problem – mamrotał pod nosem. – Facet najwyraźniej nie zna radzieckiego państwa. Zanim ktoś w MSZ przeczyta jego zapytanie, przekaże do Ministerstwa Handlu, a tam poleży, aż dojrzeje, potem… Ech… zostaną mi tylko długopis, zapalniczka i lunch w Teatern, a w cywilizowanym kraju mogłaby być przecież jakaś prowizja. Kontrakt wart jest pewnie wiele milionów. Może trzeba mu powiedzieć, jaka jest prawda, żeby sobie nie robił zbyt dużych nadziei. Jakby chciał kupić kałasznikowy albo kilka czołgów, toby była inna rozmowa, ale tarcicę! Kurwa! – zaklął, bo skaleczył się w palec. – Wstyd będzie przed kapitanem, jedynym normalnym człowiekiem w tej pierdolonej ambasadzie. Normalnym…? – zawahał się i zaraz dodał: – Wspaniałym! Jak to jest, że to nie tacy ludzie jak on zostają szefami w wywiadzie, tylko takie bladzie jak Portnoy. Z Razumowem mógłbym pływać na okręcie podwodnym

dookoła świata, chociaż pewnie jestem za wysoki… i lubię spać przy otwartym oknie – uśmiechnął się do siebie, stojąc nad parującym garnkiem i ssąc skaleczony palec. – Wygląda na to, że ten Dirk to jakiś znajomy kapitana. Trzeba coś pokombinować, może pomóc… – zastanawiał się Batulis. – Coś zakombinować… dla kapitana przecież. No… ale kapitan przecież wie, jak jest… no kurwa, nie wiem… Gdyby chciał pomóc, poszedłby przecież do Portnoya. Przecież wie. Wtedy kontrakt załatwiony byłby w mig, a tak… No… ale z jakiegoś powodu nie poszedł, to i ja przecież nie pójdę. Nie zrobię mu tego. W ogóle go nie wykażę… chociaż nasi w MSZ prędzej czy później kapną się, że nie zgłosiłem tego rezydentowi. Może jednak lepiej będzie, jak wstrzymam się z wysłaniem dokumentów do Moskwy i zaczekam na Razumowa. A jutro… miło podtrzymam kontakt i przyjrzę się Holendrowi.

Nabrał łyżką ze słoika rosyjskiej musztardy, strzepnął ją na talerz i dołożył dwa ogórki kiszone. Wszystkie parówki pękły. Nienawidził tego, tak jak pękniętych jajek. Odcedził wodę z garnka i wyjął je na talerz.

Miał już usiąść do stołu, gdy ktoś zastukał cicho do drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał, i ugryzł parówkę, gdy stukanie się powtórzyło.

– Ożeż kurwa, o tej porze? – powiedział z pełnymi ustami i się podniósł.

Otworzył drzwi.

W ciemnym korytarzu majaczył kontur postaci. Chciał już nacisnąć kontakt, gdy z cienia wysunął się mężczyzna i dał znak, żeby nie włączał światła.

– To ty, Bo… – Batulis nie dokończył.

– Ciiiii… – zasyczał Borys. – Chodź! – wyszeptał i ruszył po schodach w górę.

Batulis przymknął drzwi i poszedł za nim.

Weszli na ostatnie piętro, gdzie były tylko strych i wyjście na dach. Borys trzymał w dłoni butelkę wódki, a w drugiej dwie szklaneczki.

– Musisz najpierw wypić – wyszeptał i wlał po połowie.

– Dlaczego? – zapytał Batulis.

– Bo tego na trzeźwo nie przełkniesz.

– Czego?

– Pij! – Borys wcisnął mu szklaneczkę do ręki.

Wypili do dna i wypuścili powietrze.

– No? Co jest, Boria? – zaciekawił się Batulis i poczuł, jak wódka rozgrzewa mu pusty żołądek.

– Słuchasz litewskiego radia?

– Czasami, a co?

– Ale jakiego radia?

– A co to ma do rzeczy?

– No to posłuchaj! – Borys znów wlał wódkę do szklaneczek. – Na drugą nogę! – zarządził i stuknął się z Batulisem. Wypili. – Skąd twój sąsiad, ten jebany Winogradow, wie, że słuchasz w konspiracji, w słuchawkach, litewskiego antyradzieckiego radia? Wie nawet, na jakich częstotliwościach. Słuchałeś wczoraj?

– Kurwa! – Batulis podniósł głos.

– Ciiii… – Borys przyłożył palec do ust i spojrzał na schody.

– Skurwysyn wszedł do mnie wczoraj, jak słuchałem radia w słuchawkach, bo mi pralka skakała…

– Skakała pralka?

– No źle zapakowałem pranie czy coś i waliła w jego ścianę. Ja pierdolę, i co?

– Winogradow pisze regularnie anonimy do Portnoya i napisał na ciebie, że jesteś element antyradziecki.

– A ty skąd to wiesz?

– Anonimy podrzuca do sekretariatu i można je przeczytać pod światło. Więc kontrolujemy z Pietią ten kanał informacyjny, ale Portnoy oczywiście też to czyta.

– Zapierdolę tego skurwysyna! – Batulis był wyraźnie poruszony.

– Na razie tego anonimu jeszcze nie czytał. Leży w moim biurku, ale będę musiał mu go oddać. Nie da rady…

– Nie ma sprawy – odparł Batulis spokojnie, ale wiedział, że to nie jest dobra wiadomość.

Portnoy po raz drugi w ciągu kilku dni połączy go z wydarzeniami na Litwie i chociaż nie ma nic konkretnego, to jednak wątpliwości, a nawet podejrzenia mogą się utrwalić. Batulis wiedział, że w takiej sytuacji rezydent może go odesłać do Moskwy w ciągu jednego dnia. Portnoy musi chronić „Kolę” za wszelką cenę i nie zaryzykuje. Najgorsze było, że Batulis, chociaż czuł się Litwinem, wcale nie sympatyzował z patriotami litewskimi. Chciał wiedzieć, co się dzieje.

– No to nalej! – Podstawił swoją szklaneczkę. – Dzięki, Boria, nie odwdzięczę ci się do końca… – Przerwał na chwilę. – Dlaczego mi pomagasz?

– Nie lubię skurwysyna Lemieszewa! – odparł Borys. – A ciebie lubię. – Wlał wódkę i wypili. – Koperta Winogradowa wciąż leży u mnie w biurku, a Portnoy jutro wyjeżdża do Moskwy i wróci dopiero po Nowym Roku. Może zapomni o anonimie albo ten kapuś dostarczy jakiś nowy, to się je podmieni. Zastępuje jak zwykle Gorbienko, a jemu anonimów nie dajemy. Tylko Portnoyowi.

– Dobry z ciebie kumpel, Boria. To teraz rzadkość, szczególnie tu, w ambasadzie. Gorbaczow chciał ucywilizować Związek Radziecki, żeby naród w końcu poczuł się u siebie, a wyłażą z ludzi najgorsze świństwa, gorsze niż poprzednio. Ludzie nie wiedzą, co się dzieje, są zagubieni. Taki Winogradow na przykład. Człowiek już nawet nie wie, czy ubić skurwysyna, czy się zlitować?

– Gorbaczow to też kawał wała, powiem ci szczerze, Witia – wyszeptał Borys. – Zostawił nas, afgańców, na pastwę losu. Kim my teraz jesteśmy… śmiecie jakieś? Pomocy żadnej, od nikogo. Taki Pietia… Ech… Nie wiadomo teraz, my bohaterowie czy bandyci. Zupełnie jak ten amerykański taksówkarz z tą na głowie… – pokazał ręką – czupryną taką.

– Robert De Niro – podpowiedział Batulis. – Z fryzurą na irokeza.

– Coś takiego. – Borys pokiwał głową. – Dawaj, wypijemy jeszcze po jednym i spadamy do domu. Wiesz, że ambasador zakazał imprezy noworocznej, że oszczędności i walka z piciem? Chce być trzeźwiejszy od Gorbaczowa. To dopiero swołocz, Związek Radziecki tego nie przetrzyma. – Wlał wódkę do szklaneczek i wypili po raz trzeci. – Jak będziesz chciał, to wpadaj do nas. Poimprezujmy razem. Są jeszcze normalni ludzie w Związku.

Batulis wrócił do siebie i czuł już w pośpiechu wypitą na strychu wódkę. Parówki były zimne, mimo to je zjadł. Wstawił talerz do zlewu, gdy zadzwonił telefon.

– Do szefa! Natychmiast! – rzucił Piotr.

46

O dwudziestej pierwszej Paavo siedział jeszcze w swoim gabinecie. Czytał policyjne protokoły z Medvastu i notatki oficerów SUPO. Nie znalazł w nich nic, co mogłoby go dekonspirować. Wiadomo było, skąd padł strzał, ale nie ustalono, jakiej broni użył zamachowiec. Pocisk był całkowicie zniekształcony, co udokumentowano zdjęciami.

To były dobre wiadomości. Karabin Mosin mógł pozostać w kolekcji na swoim miejscu. Najważniejsze było jednak to, że Koivisto natychmiast po powrocie od premiera wezwał do siebie Moilanena i zakomunikował mu swoją decyzję.

Do chwili wyjaśnienia sprawy, a właściwie ustalenia sprawcy, Seppo powinien pozostać pod ochroną, czyli w ukryciu. Próba zamachu na szefa fińskiego kontrwywiadu była zbyt poważnym zdarzeniem, by można było potraktować ją z niefrasobliwością. Takie miały być słowa premiera, które powtórzył mu Torsten po powrocie.

Paavo żałował tylko, że nie był świadkiem chwili, kiedy szef zakomunikował Seppowi decyzję premiera. Bardzo chciałby zobaczyć, jak jego małe świńskie oczka zapadają się w kartoflaną twarz. Wielki Karel nagle zrobił się taki słaby i bezbronny.

Szef nie zdecydował jeszcze, kto zastąpi Moilanena w okresie jego internowania. Mógł to być któryś z jego dwóch zastępców, ale Paavo liczył, że szef powierzy jemu nadzór nad kontrwywiadem. Była na to szansa, bo lista kadrowa SUPO okazała się bardzo krótka. Koivisto całkowicie ufał Moilanenowi i dotychczas nie musiał się martwić tym, co się dzieje w kontrwywiadzie. Wiedział, że nie sprawi mu jakiejś przykrej niespodzianki. Seppo całkowicie zdominował swoją służbę.

Z powodu postępującej choroby żony Torsten nie był w dobrym nastroju i Paavo uznał, że pojawiła się właśnie szansa na objęcie nadzoru nad kontrwywiadem. Szef będzie chciał mieć teraz kogoś zaufanego. Nie tylko kupił pomysł z internowaniem Seppa, ale w dodatku przyklepał to jeszcze sam premier.

Paavo czuł rozpierającą go satysfakcję i wiarę w swój instynkt. Pomysł internowania Seppa zrodził się w chwili, kiedy siedział rano w gabinecie szefa. Trochę dziwne było jednak, że Moilanen tak łatwo zgodził się na to czasowe odizolowanie.

Gdyby zginął, nie odgrywałbym żadnej roli. Mianowaliby nowego szefa, który prowadziłby śledztwo. A tak, dopóki Seppo żyje – myślał Paavo, siedząc w swoim fotelu z rękami za głową – wsadziłem kij w mrowisko i solidnie zamieszałem. Mam teraz kontrolę nad wydarzeniami. Wkrótce dowiem się, czego chcą Anglicy.

Zrobił sobie notatki, żeby rano zdać szefowi relację z ustaleń śledczych. Od nocnej wizyty w Medvaście jeszcze nie rozmawiał z Seppem, który przeniósł się na wyspę Santahamina i przebywał w rządowym ośrodku chronionym przez Gwardię Jegrów. I to też był pomysł Paava, z którego był wyjątkowo zadowolony.

Seppo miał tam pozornie dużo swobody, nawet luksusowe warunki, a jednak był pod stałą kontrolą ludzi od niego niezależnych. Dowódca jednostki zobowiązany był do meldowania wyłącznie i bezpośrednio Paavowi.

Na rozmowę z Seppem w Santahaminie wybierał się dopiero po odprawie u Koivista, któremu chciał zasugerować odsunięcie Moilanena od służby i przeniesienie do cywila. Musiał jednak dokładnie znać ustalenia śledczych. Brak dowodów mógł pogłębiać wątpliwości i utrwalać zagrożenie życia Seppa. Taką linię działania chciał Paavo przedstawić Torstenowi i zaproponować powołanie komisji, która szczegółowo zbada wszystkie sprawy prowadzone w kontrwywiadzie, bo tam kryć się mogła tajemnica zamachu. Miałby w ten sposób dostęp do wszystkich najważniejszych informacji SUPO i państwa.

Mia nie odzywała się do końca dnia i do domu poszła o osiemnastej.

Paavo pomyślał, że powinien przejrzeć biurko i komputer Mii. Jej poranne zachowanie go zaniepokoiło. Postępowała irracjonalnie, trochę szalenie, jakby chciała powiedzieć, że wie więcej, niż mówi. Miał wrażenie, że jej ostrze skierowane jest w niego. Wiedział, że to absurd, bo sam cały czas jest na czystej adrenalinie i chwilami odpływa. Postanowił przejrzeć biurko później, kiedy budynek opustoszeje, i powrócił do lektury raportów.

Kiedy zamknął notatnik, była dwudziesta trzecia dziesięć. Wyjrzał na korytarz. Włączone były już nocne światła. Wyglądało na to, że na trzecim piętrze jest sam. Przekręcił zamek w drzwiach i szedł już w stronę biurka Mii, gdy w kieszeni odezwał się pager. Stanął w miejscu i sprawdził. To

była wiadomość od Portnoya. Krótka i nadana kodem. „Dwudziestego czwartego grudnia o siedemnastej w lokalu Omsk – obowiązkowo!”

W samą Wigilię? – pomyślał Paavo zaskoczony. Tym razem przesadziłeś, Grisza!

W tym roku kolację wigilijną urządzał w Reijoli syn Paava, Lassi. Miała być cała rodzina z Helsinek i Tampere, dwanaście osób, w tym Kerstin i jej aktualny partner, Jussi z kancelarii prezydenta.

Kolacja zaczynała się jak zawsze o szesnastej i Paavo nie miał dobrego powodu, żeby się wykręcić. Tym bardziej że miał być Jussi, który od kilku miesięcy był celem jego rozpracowania. Nie mógł jednak odmówić Griszy, bo nie odwołuje się spotkania po raz drugi. To mogło być coś ważnego, a poza tym musiał w końcu powiedzieć Portnoyowi o sprawie Moilanena, zwłaszcza że miał inne dobre wiadomości. Jeszcze chwila, jeszcze kilka dni i być może zostanie szefem kontrwywiadu.

Pozostało wymyślić, kto i dlaczego strzelał do Seppa.

Paavo wrócił do swojego pokoju. Zaczął zbierać rzeczy z biurka i chować je do sejfu. Wkrótce siedział już w samochodzie i jechał do domu. Miał wrażenie, że nagle spadł mu poziom adrenaliny, oczy mu się zamykały i z trudem utrzymywał kierownicę.

Przed północą wjechał do garażu i po kilkunastu minutach leżał w swoim łóżku. Nie umył nawet zębów.

47

Włożyłem brązową welwetową marynarkę i zbierałem się już do wyjścia, gdy zadzwonił Ray. Odruchowo spojrzałem na zegar – piętnaście po dziesiątej, czyli w Londynie był kwadrans po ósmej i dopiero rozpoczynał się dzień.

– Cześć, samotny przyjacielu – zaczął. – Gina właśnie wyszła, więc mam chwilę i dzwonię zapytać, jak ci pomóc. Zaraz jadę, więc… wiesz…

– Poszedłem wczoraj na lunch z naszą znajomą. Też byłeś zaproszony, ale na szczęście wyniosłeś się z tego miasta i uwolniłeś mnie od swojego uciążliwego towarzystwa. Czyli jak rozumiesz… nie czuję się samotny.

– No to pięknie. Leci na ciebie, a ty na nią, więc lecicie oboje w dobrym kierunku. Wiem, jak się to skończy. Jakbyś szukał wsparcia lub rady, nie wiedział, jak to się robi… to dzwoń o każdej porze. Dziewczyna jest wyjątkowa, więc uważaj.

– To teraz zrobiłeś się taki ostrożny?

– Wiesz przecież, że to wszystko dodaje pikanterii sprawie, więc…

– Co ty z tym więc… ciągle? Jesteś nieuleczalnym mizoginem. Co Gina w tobie zobaczyła? To nieprawdopodobne!

– Dobra, dobra. Więc?

– Potrzebuję kontaktu… bezpośredniego. Muszę porozmawiać.

– Nooo… o to pytam! – odparł zadowolony Ray. – Odezwę się.

– Dzisiaj?

– Jasne. Uściskaj naszą dziewczynę – rzucił i się rozłączył.

Nie musiałem nic więcej mówić. Ray wiedział, że powinien dotrzeć bezpośrednio do szefa Colberga. Zachowanie Higginsa było niedopuszczalne. Z niewiadomych przyczyn powodował obstrukcję w sprawie „Mermaid”, a ja nie miałem bezpiecznego dostępu do szefa, żeby mu wytłumaczyć, co się dzieje. Tym bardziej że w Helsinkach zaczęły dziać się dziwne rzeczy. To wszystko mogło być ze sobą powiązane, ale bez pomocy Londynu nie mogłem ruszyć z miejsca. Ray miał talent w uwodzeniu nie tylko kobiet i z pewnością przedstawi Colbergowi barwny i dramatyczny obraz naszej

sytuacji. O zdarzeniu przed Café Ursula na pewno też opowie. Nie wiedział jednak o próbie zabójstwa Seppa, a to było teraz kluczem do zrozumienia sytuacji.

Miałem kłopoty z zaparkowaniem samochodu w centrum, ale o jedenastej siedziałem już w naszym lokalu na Fredrikinkatu 24 i czekałem na Higginsa. Spóźnił się dwadzieścia minut. Nie próbował się tłumaczyć. Zdjął tylko czapkę i rękawiczki, a do salonu wszedł w kurtce. Rozpiął ją, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że nie ma czasu i zaraz wychodzi.

– Co słychać? – zapytał. – Uspokoiłeś się przez weekend?

– Spóźniłeś się ponad dwadzieścia minut i nawet nie powiedziałeś „przepraszam”. Nieładnie jak na wytrawnego dyplomatę i kolegę – wytknąłem mu z ironią.

– Mam mnóstwo spraw na głowie i nie muszę się tłumaczyć. Sytuacja trochę się zmieniła. Lecę jutro do Londynu i wracam po Nowym Roku. W związku z tym ty też masz wolne. Możesz robić, co chcesz, szef zostawia ci swobodę, możesz lecieć do Brytanii albo zostać tutaj. Nasze plany pozostają niezmienione. Czekamy na powrót Razumowa i idziemy dalej. Zobaczymy, czy ma to jeszcze jakiś sens, czy zdążymy przed jego powrotem do Rosji. Jak wiesz, jestem sceptyczny, ale… – Higgins przybrał pojednawczy ton, jakby chciał przed wyjazdem załagodzić konflikt. – Na razie Ray, Louis i Olivier nie wracają. Zostają ci do pomocy Seppowi i Finowie, ale wiem, że mają teraz coś pilnego i nie możemy na nich liczyć tak jak wcześniej. – Higgins podniósł się i na znak zakończenia rozmowy zaczął zapinać kurtkę. – W rezydenturze zostaje George Fergusson. Masz jego numer, a on ma twój. Wszystko z nim uzgadniaj i przez rezydenturę masz kontakt z Centralą. Pamiętaj o bezpieczeństwie łączności. Tu jest Finlandia. – Podaliśmy sobie ręce i ruszył w stronę wyjścia.

– Wesołych świąt, Tom – rzuciłem za nim.

Zatrzymał się i odwrócił, trzymając czapkę w dłoni.

– Wesołych świąt, Martin – odparł i przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

To była dobra i krótka rozmowa. Wyjazd Higginsa stwarzał miłą pustkę w Helsinkach. Świadomość jego obecności nie była dla mnie specjalnie uciążliwa, ale powodowała dyskomfort. Nie potrafiłem go zrozumieć, a on nie dawał ku temu okazji. Mimo to wyciągnął rękę i wyraźnie starał się załagodzić konflikt. W pierwszej chwili pomyślałem, że wie o zdarzeniu

z Seppem i faktycznym paraliżu operacji „Mermaid”, więc może teraz grać na pojednanie, ale po zastanowieniu uznałem, że Higgins może i ma problemy ze swoim ego, ale nie działa z premedytacją. Zdał sobie sprawę, że zabrnął za daleko i konflikt ze mną nic mu nie da. Mimo to byłem zadowolony, że wyjeżdża.

Nie powiedziałem mu o spotkaniu z Batulisem, a on nie zapytał. Powinien pamiętać, bo przecież był to ważny temat naszej narady w piątek. Rosjanin był przez nas rozpracowywany od kilku lat i stanowił ważne ogniwo łączące nas z Razumowem, a jednak Higgins nie zapytał. To był dobry znak, bo moje podejrzenia o nielojalność Toma traciły na ostrości.

Do spotkania z Batulisem miałem ponad godzinę. Z Fredrikinkatu do Teatern na Esplanadi miałem kilkaset metrów, czyli kilka minut spacerem, więc postanowiłem zaczekać w lokalu.

Poszedłem do przedpokoju i wyciągnąłem z kurtki sfatygowany egzemplarz *Zwierciadła morza* Josepha Conrada, który towarzyszył mi przez ostatnie lata. Ten zbiór esejów był jak przewodnik po ciemnych zakamarkach mojego życia. Gdy zacząłem pracować nad kapitanem Razumowem, myśli Conrada nabrały nagle nowej wartości. Stały się jeszcze bardziej aktualne, a nawet uniwersalne, chociaż te eseje to tylko jego wyznanie miłości do morza. Wydawało mi się, że znam je niemal na pamięć, ale wciąż odkrywałem w nich i w sobie coś nowego. Conrad nie mówił mi, co mam robić, jak myśleć, ale przypominał, o czym powinienem pamiętać. Otwierałem tę niedużą książeczkę na dowolnej stronie i zawsze trafiałem na zdanie, które akurat było szczególnie aktualne. Dobrze wiedziałem, że to tylko autosugestia, ale lubiłem ją, bo pomagała mi zachować dystans do samego siebie.

Rozmowa z Higginsem przypomniała mi fragment z tekstu, ale nie mogłem przypomnieć sobie, w którym jest miejscu. Zacząłem kartkować książkę. Po chwili otworzyłem na stronie, gdzie zielonym kolorem zaznaczyłem:

*Obcowanie z ludźmi jest równie wielką sztuką jak obcowanie ze statkami. I ludzie, i statki żyją w niestałym żywiole, podlegają subtelnym i potężnym wpływom i pragną, aby raczej zrozumieć ich zasługi, niż się poznać na błęda*ch [2].

O trzynastej pięć zjawiłem się w Teatern. Batulisa jeszcze nie było.

Usiadłem w holu i obserwowałem ulicę przez okno. Byłem pewien, że ukrył się gdzieś po drugiej stronie ulicy. Najpierw sprawdził restaurację,

a potem obserwował wejście i czekał, aż się pojawię. Wiedziałem, że przyjdzie w ciągu minuty.

Tak byli szkoleni w KGB, ale nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego.

Był wyraźnie zziębnięty, co mogło potwierdzać moją teorię, że kręcił się po okolicy. Przywitał się z zimnym uśmiechem i od razu zaczął intensywnie kontrolować otoczenie.

Wykupiłem dwa bilety i weszliśmy do sali jadalnej. Wewnątrz było dużo ludzi. Zajęte prawie wszystkie stoliki i tłum wokół bufetu. Wydawało mi się, że Batulis jest nieco spięty, a może nawet spłoszony. Pomyślałem, że jeżeli ukrywa znajomość ze mną, może obawiać się, że spotka kogoś z ambasady albo nawet rezydentury. Wtedy będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego nie zgłosił kontaktu i nie napisał notatki. Na lunch z obcokrajowcem musiał mieć zgodę rezydenta.

W tym pomieszczeniu miał niewielkie możliwości kontrolowania otoczenia, tym bardziej że ruch był duży i goście wciąż się zmieniali. To mogło go denerwować, ale dla mnie stanowiło dobry sygnał. Teatern było popularną restauracją w samym centrum Helsinek, blisko państwowych urzędów i centrów biznesowych. Batulis musiał to wiedzieć, kiedy godził się na spotkanie. Nałożyliśmy sobie jedzenie i zajęliśmy miejsce przy oknie, które właśnie się zwolniło. Po krótkiej rozmowie na temat wystroju lokalu, przedświątecznego tłoku i mrozu Batulis przystąpił do tematu.

– Szanowny panie Dirku, wysłałem pana zapytanie do naszego ministerstwa z prośbą o pilne rozpatrzenie i wyjątkowo życzliwe podejście. Ale… – zawiesił głos – jak rozumiem, nie robił pan dotąd interesów w Związku Radzieckim.

– No nie. To pierwszy raz.

– Więc właśnie… – ciągnął Batulis, jedząc sałatkę i spoglądając przez okno. – Musi pan wiedzieć, że u nas oprócz nadzorującego ministerstwa są jeszcze tak zwane centrale handlu zagranicznego, które skupiają odpowiednie przedsiębiorstwa, a te…

– Panie Batulis – przerwałem mu – niech pan mówi wprost. Są jakieś trudności? Ja wszystko zrozumiem. Nie ma takich trudności, których się nie da pokonać. Najczęściej to tylko kwestia ceny i czasu.

– Trzeba też wiedzieć jak. – Pokiwał głową z zadumą. – A to w Związku Radzieckim nie jest takie proste. Wie pan, teraz dużo się zmienia na lepsze, ale niektóre problemy wciąż pozostają nierozwiązane. Nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał, postaram się pomóc, ale…

– Niech się pan tak nie przejmuje, chociaż to bardzo miłe, ale jestem w biznesie nie od dzisiaj. Nic mnie nie zaskoczy. Rozumiem, że chce mi pan powiedzieć, żebym za bardzo nie tryskał entuzjazmem? – Uśmiechnąłem się porozumiewawczo, a Batulis pokiwał głową. – Kapitan Razumow uprzedził mnie, że nie będzie łatwo. W takim razie cieszmy się lunchem. A poza tym miło mi pana poznać. Świetnie zna pan angielski. Możemy też pomyśleć o innym biznesie. Związek Radziecki to skarbiec świata. Macie tam wszystko, tylko trzeba wiedzieć, jak się do tej cukiernicy dostać. Rozumie mnie pan?

– Oczywiście. Nie od dzisiaj pracuję w handlu zagranicznym. W Związku Radzieckim najważniejszy jest człowiek, więc jeżeli się wie, który to człowiek, to on pokaże, która droga jest właściwa.

– Najważniejszy jest teraz chyba Gorbaczow?

– To się jeszcze okaże.

– Szanowny panie Batulis, w podziemnym świecie jest rzeka Styks, przez którą Charon, brudny, wstrętny starzec, przewozi łodzią dusze do Hadesu, świata zmarłych. Dusze płacą za to jednego obola i na dodatek same muszą wiosłować na drugą stronę. Wykorzystuje tych nieszczęśników podwójnie. Jak ktoś nie ma pieniędzy albo nie chce zapłacić, może przez sto lat wędrować wzdłuż rzeki i potem przejść na drugą stronę za darmo. Wie pan, jaki najważniejszy wniosek płynie z tego mitu?

– Jaki? – Batulis uśmiechnął się, popijając piwo.

– Biznes ponad wszystko i da się go zrobić wszędzie. Taki Charon, który przez wieczność przewozi dusze, bierze za to pieniądze. No… gdzieś musi je wydawać, inwestować, na przyjemności, może jest sponsorem klubu sportowego, zbiera na nowy jacht albo prowadzi działalność charytatywną. Ma przecież mnóstwo sióstr i braci na utrzymaniu, prawda? Chyba że Grekom, ojczyźnie Arystotelesa, twórcom filozofii, logiki, coś nie wyszło.

– Drogi panie Dirku. Grecja to też ojczyzna mitów. – Batulis uśmiechał się pogodnie, wyraźnie rozbawiony moją opowieścią, i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Grecy nie przewidzieli czegoś takiego jak Związek Radziecki, który nie jest Trzecim Rzymem… jeszcze. Ale pana opowieść, a właściwie ocena intencji Charona, jest logiczna i podoba mi się, a wniosek jest przekonujący. Lecz bardziej przemawia do mnie inna metafora. Daj przestępcy broń, to obrabuje bank. Daj przestępcy bank, to okradnie świat. Czyli?

– Sięgaj, gdzie wzrok nie sięga – odparłem. – Bardzo ironiczne, ale radzieckie podejście do rzeczywistości. – Batulis skinął głową.

Batulis inteligentnie otworzył do siebie drzwi i to nie była pułapka. Podjął dialog na moich warunkach. Tylko dlaczego tak szybko? Zasygnalizował swój krytyczny stosunek do systemu radzieckiego i kupił moją metaforę z greckim obolem. Młody, przystojny, dobrze ubrany Batulis niczym się nie wyróżniał w tym lokalu. Ze swoim płynnym angielskim pasował idealnie do zachodniego świata. Musiał zdawać sobie z tego sprawę. Może pomyślał, że niewinny biznes z tarcicą i rekomendacja kapitana Razumowa dają wystarczające alibi, żeby zrobić krok dalej.

– Wie pan, panie Dirku, dla mnie, jak już pewnie panu mówiłem, prośba kapitana Razumowa jest wystarczającym powodem, żeby zaangażować się w pana interes i spróbować obejść te trudności. Myślę, że Związek Radziecki zmienia się i niezależnie od aktualnej sytuacji warto być na miejscu, kiedy skarbiec świata się otworzy. Cukiernica, jak pan ładnie powiedział. Zyskają ci, którzy będą przy tym obecni. Oczywiście muszą mieć zagwarantowaną opiekę, bo w Rosji trzeba wiedzieć, jak się poruszać. Wielki kraj, a dróg mało.

– To bardzo ciekawe, bardzo! – Spojrzałem na Batulisa tak, żeby zauważył moje zainteresowanie. – Mam podobne obserwacje. W końcu nikt nie ma tyle drzewa co Rosja. Jest pan żonaty?

– Nie.

– To ma pan trochę więcej czasu niż rówieśnicy. Ile ma pan lat?

– Trzydzieści pięć.

– No to wszystko przed panem. Myślę, że powinniśmy utrzymać kontakt, i to niezależnie od tego, czy uda się zrealizować to zamówienie. Pan kapitan bardzo dobrze się o panu wyrażał, a ja komuś, kto dowodził atomowym okrętem podwodnym, ufam właściwie bezgranicznie. Kapitan Razumow to wspaniały człowiek i szanuję jego zdanie.

– Świetna ta zapiekanka – zmienił temat Batulis.

– Tak, nazywa się Janssons frestelse, czyli pokusa Janssona.

– Nie wiedziałem.

Batulis pominął milczeniem moją uwagę, ale poczułem, że dotknąłem wrażliwego tematu. Oficerowie KGB nigdy nie oceniali swoich kolegów z ambasady przy obcych. Nie mógł złamać tej zasady, szczególnie że dotyczyła kogoś tak znaczącego jak kapitan Razumow, attaché morski ZSRR. Mieli to zakodowane, chyba że było to elementem gry. Najwyraźniej tym

razem nie było. Postanowiłem nie ciągnąć już tematu, żeby nie przegrzać i nie spłoszyć młodego szpiega. Kontakt rozwijał się dynamicznie, a Batulis i tak posunął się wystarczająco daleko. Powiedział, że kapitan dowodził atomowym okrętem podwodnym.

Resztę czasu spędziliśmy na rozmowie o Finlandii i jej osobliwościach. Batulis wyraźnie darzył Finów szacunkiem, a nawet sympatią. Opowiedział mi o radzieckich jeńcach w czasie wojny kontynuacyjnej, których Finowie nie mordowali jak Niemcy, a najczęściej wysyłali do pracy w gospodarstwach rolnych, gdzie ci mieszkali z fińskimi rodzinami i bywało, że po raz pierwszy się najedli. To nie był przekaz zgodny z dotychczasową linią radzieckiej propagandy.

Wcześniej Batulis dał mi już sygnał, że popiera pierestrojkę, a teraz skorzystał z głasnosti.

Rozstaliśmy się w serdecznym nastroju. W oczekiwaniu na odpowiedź w sprawie tarcicy obiecaliśmy sobie powtórzyć wkrótce lunch.

48

Portnoy siedział w saloniku dla VIP-ów na lotnisku Vantaa, pił czarną kawę i czekał na samolot Aerofłotu do Moskwy. Przeglądał lotniskowy folder i zastanawiał się, czy wszystko zrobił tak jak trzeba.

Gorbienko był dobrym zastępcą i doświadczonym oficerem wywiadu, ale bez polotu. Wszystko robił dokładnie, ale tylko według instrukcji. Oficerów traktował jak oddział pionierów i zarządzał poprzez rozkazy. Ogólnie nie lubił ludzi. Dlatego nigdy nie został samodzielnym rezydentem, chociaż za dwa lata przechodził już na emeryturę. Portnoy wyjeżdżał tylko na dwa tygodnie, ale musiał spędzić z nim pół dnia, przekazując mu obowiązki, bo Gorbienko ze wszystkiego robił sobie notatki, co było wbrew instrukcjom, ale gdyby ich nie zrobił, mogło być jeszcze gorzej. Portnoy wysłał nawet kiedyś depeszę, żeby odwołać Ukraińca, ale komuś w Centrali żal było starego szpiega i odwołał swój wniosek.

Nie przekazywał mu wszystkiego, tylko te sprawy, które służyły podtrzymaniu produkcji, jak mówił. Gorbienko nie wiedział też o „Koli” i roli Batulisa, nie wiedział o raporcie „dwunastu”. Dlatego Portnoy wezwał do siebie Batulisa i polecił mu odbyć spotkanie z „Kolą” w lokalu Omsk, odebranie bieżącej informacji i przekazanie mu pakietu specjalnego.

Batulis nie wiedział, co zawiera. Gorbienko miał wydać mu pakiet przed wyjściem na trasę sprawdzeniową, czyli przed trzynastą. Wewnątrz były skopiowana depesza z Centrali dotycząca raportu „dwunastu”, załącznik z listą agentury do weryfikacji oraz instrukcje postępowania. Nie były zaszyfrowane, ale znajdowały się w specjalnej światłochronnej kopercie i napisano je na światłoczułej łatwopalnej bibułce. „Kola” wiedział, że może otworzyć kopertę tylko pod ultrafioletową lampką, którą miał w domu. Na dodatek mocne dotknięcie prawego górnego rogu pakietu powodowało jego zapalenie.

Spotkanie miało się odbyć dwudziestego czwartego grudnia o osiemnastej. Batulis miał po raz pierwszy wejść do lokalu Omsk, który wykorzystywany był tylko do łączności z „Kolą”, i to w szczególnych sytuacjach. Słu-

żył też jako kryjówka w razie zagrożenia rezydentury. Portnoy dał Batulisowi klucze, które pokwitował na specjalnym dokumencie. Adres i sposób dojścia miał poznać w rezydenturze przed wyjściem na trasę.

Stewardesa zapowiedziała, że za chwilę samolot Aerofłotu do Moskwy przyjmie podróżnych, więc Portnoy odłożył folder i zaczął się ubierać. Miał wrażenie, że zostawia Helsinki dobrze ustawione i nie musi się o nic martwić. Tylko Batulis zgrzytał mu trochę w tej dobrze naoliwionej maszynie. Wiedział, dlaczego w ostatnich dniach nachodzą go takie myśli, ale nie miał wyjścia i musiał mu zawierzyć.

Może przez tę pierdoloną Litwę – pomyślał, wsiadając do lotniskowego busa. A może Czukcze jeszcze się zbuntują? Gdzie nasza armia, gdzie ten pierdolony marszałek Jazow, gdzie Kriuczkow? Ech… *Blat'!* Nie przeczytałem anonimu Winogradowa! – przypomniał sobie.

Portnoy sam miał bogatą mieszaninę krwi radzieckich narodów i nigdy nie mógł się doliczyć jakich, ale żydowskiej miał najwięcej, to akurat dobrze wiedział. Dotąd nie myślał, kto jaką ma krew, nie miało to dla niego żadnego znaczenia, aż do czasu, gdy przyszedł Gorbaczow. Stalin, który nie lubił Żydów, uważał ich jednak za najlepszych szpiegów i komunistów, bo byli przebiegli i nie mieli własnej ojczyzny. Nagle narodowość zaczęła być ważna dla wielu. Nie mogło to też ominąć KGB, w którym służyło sto narodowości, jedynej prawdziwej internacjonalistycznej służbie, jak powiedział kiedyś z dumą Jurij Władimirowicz Andropow. A teraz wirus nacjonalizmów wkradł się do radzieckiego imperium i mógł też dopaść młodego Batulisa – pomyślał Portnoy.

Liczył się i z tym, ale odgonił od siebie tę męczącą myśl, bo musiał się skoncentrować na zadaniu w Warszawie. Nic nie powinno go teraz obciążać ponad miarę. Miał się przemienić w ekscentrycznego Wiktora Bergmana, który prowadził agenta „Maksyma". Polska była teraz ważniejsza niż Finlandia. Co zrobić z Batulisem, zdecyduje po powrocie.

Gdy Portnoy siedział już zapięty pasami w klasie biznes, a jego Ił-62 kołował do startu, Borys i Piotr gotowali zupę rybną. Gotowali duży gar, żeby starczyło na kilka dni. Resztę mrozili w foliowych torebkach. Zapach smażonej cebuli niósł się po całym budynku.

Wyjazd Portnoya był dla nich jak półwakacje, bo wtedy dyżurowali w tygodniu tylko w nocy, a w weekend całą dobę, więc więcej czasu mogli spędzać razem. Gorbienko za to skrupulatnie ich pilnował i sprawdzał, gdzie są i co robią. Starego Ukraińca nie dało się łatwo oszukać, bo znał

sztuczki ochroniarzy w wielu ambasadach i po powrocie wszystko raportował Portnoyowi.

Grzeczni panowie z fińskiego KGB, jak o nich myślał Borys, dali mu kartę do publicznego telefonu i poinformowali, że może do nich dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Najlepiej z automatu w wypożyczalni wideo Hollywood, która otwarta była dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu. Numer zapisali na oddzielnej kartce i powiedzieli, że gdyby zgubił, ten sam numer napisany zielonym pisakiem i zakończony gwiazdką znajdzie też na ścianie obok telefonu. Tak na wszelki wypadek, powiedzieli.

– A jeżeli telefon się zepsuje? – zapytał wtedy Borys.

– Ten się nie zepsuje – odparł pan Markko.

– Możesz też zadzwonić od Leeny – dodał pan Aleksi. – Ale najlepiej z Hollywood.

Piotr obierał w kuchni ziemniaki, a Borys siedział przed telewizorem i oglądał *Człowieka ze złotym pistoletem*. Nie mógł się jednak wciągnąć w akcję. Zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Finów i co miałby im powiedzieć. Właściwie dobrze wiedział, dlaczego chciał do nich zadzwonić, tylko nie potrafił się do tego jeszcze przyznać.

Chciałby opowiedzieć o anonimie Winogradowa, o Batulisie i jego spięciu z Portnoyem, o niespodziewanym wyjeździe szefa. Ale to wszystko było tylko wymówką. Najbardziej zależało mu, żeby porozmawiać o Piotrze. Nie potrafił się zdecydować na zostanie w Finlandii, dopóki się nie dowie, co będzie z Piotrem. Liczył, że grzeczni panowie Aleksi i Markko znajdą jakieś rozwiązanie.

W końcu doszedł do wniosku, że jeżeli nie znajdą rozwiązania, on też nie zostanie i nie powie im nic o Portnoyu i Batulisie ani niczym innym.

Może by mu załatwili tutaj jakąś wypożyczalnię wideo Hollywood? Albo przynajmniej pracę w takiej wypożyczalni? – pomyślał. Pietia kocha filmy, zna się na filmach, byłby szczęśliwy. Chyba byłby szczęśliwy… z Teresą Orlowski byłby na pewno szczęśliwy.

Spojrzał na kryształowy zegar Majak. Była dziewiąta trzydzieści. O dziesiątej zaczynał dyżur w sekretariacie, czyli miał jeszcze trzydzieści minut wolnego.

– W obie strony to tylko piętnaście minut. Na miejscu dziesięć minut – obliczył Borys i zawołał do Piotra:

– Idę do wypożyczalni. Wziąć ci coś?

– Masz tam napisane na kartce, leży na stoliku! – krzyknął z kuchni Piotr. – I oddaj te dwie, które położyłem przy drzwiach.

– Będę za pół godziny. Gdybym się spóźnił, to idź do sekretariatu.

– Jasne, Boria. Zupa prawie gotowa.

Borys sprawdził, czy w portfelu ma kartę do telefonu i kartkę z numerem. Wciągnął buty, włożył kurtkę i do plastikowej reklamówki z logo wypożyczalni Hollywood wrzucił kasety wideo.

Wyszedł z terenu ambasady główną bramą od Tehtaankatu. Podchodząc do kamery, pomachał ochroniarzowi, który otworzył mu furtkę. Powoli przeszedł przez ulicę i po chwili znikł za rogiem, tam nie sięgały kamery ambasady. Teraz przyspieszył kroku.

Czuł, że serce zaczęło mu bić szybciej, tak jak kiedyś podczas akcji w Afganistanie. Zdecydował się zadzwonić do panów z fińskiego KGB, ale wiedział, że ryzykuje coś więcej niż życie, jakby oddawał w niewolę swoją rosyjską duszę. Wiedział, że jeżeli zadzwoni, nie będzie już odwrotu. Tak jakby się poddał. To było dla Borysa dziwne uczucie, bo Finowie stali po stronie Niemców, ale nie patrzył na nich jak na wrogów. Więcej, miał dla nich szacunek i sympatię. Dla Niemców właściwie też.

Widział już pomarańczowy neon Hollywood, w którym zgasła litera „w”. Ulica była opustoszała i ciemna, gdzieś w oddali szła jakaś para. Zostało mu pięćdziesiąt metrów, żeby się zastanowić i podjąć decyzję. Zatrzymał się przy przejściu dla pieszych. Jeżeli wejdzie do środka, to sięgnie po słuchawkę i zadzwoni. Może też po prostu zakręcić się na pięcie i wrócić do ambasady. Wtedy nigdy już nie przyjdzie do tej wypożyczalni ani nie będzie się więcej kochał z Leeną. Wrócą do Rosji, przepiją z afgańcami fińskie oszczędności, potem Pietia kogoś zastrzeli, albo ktoś zastrzeli Pietię, albo Pietia zastrzeli siebie, albo zapije się na śmierć. A może nic się nie stanie – zastanawiał się Borys i czuł, że serce podeszło mu do gardła. Nie ma dobrego rozwiązania?

Ruszył przez ulicę w stronę neonu „Hollyood”. Nie czuł mrozu, chociaż nie wziął czapki ani rękawiczek.

Wszedł do środka. Nad drzwiami zabrzęczał dzwonek. Właściciel w okularach i czapce uniósł głowę znad gazety, uśmiechnął się niewyraźnie i skinął głową na powitanie. Między regałami kręciło się dwóch mężczyzn rozmawiających głośno po fińsku.

Czerwony telefon publiczny wisiał po lewej stronie. Nigdy wcześniej nie zwrócił na niego uwagi.

Borys zmarzniętymi palcami wyłuskał z kieszeni portfel i z trudem wyciągnął z niego kartę telefoniczną. Spojrzał na ścianę. Od razu zauważył numer telefonu zapisany zielonym kolorem i zakończony sześcioramienną gwiazdką.

Zdjął słuchawkę i dopiero po chwili odnalazł miejsce, gdzie powinien włożyć kartę. Pierwszy raz w życiu dzwonił z telefonu publicznego w Finlandii. Spojrzał na właściciela, który przestał czytać gazetę i przez opuszczone okulary przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Co jest? Nigdy nie widziałeś, jak ktoś dzwoni do KGB? – powiedział cicho po rosyjsku Borys i nim wybrał numer, zasłonił sobą klawiaturę telefonu.

49

Paavo przejechał most i zatrzymał się przed szlabanem. Po drugiej stronie stało dwóch żołnierzy w zimowych mundurach maskujących, hełmach, z długą bronią i w kominiarkach na twarzach. Jeden spojrzał na numer rejestracyjny i powoli podszedł do samochodu.

Paavo otworzył okno i pokazał legitymację SUPO. Żołnierz wziął ją do ręki, przejrzał uważnie i pochylił się, żeby porównać zdjęcie z twarzą. Zajrzał do wnętrza i bez słowa oddał dokument. Dał znak drugiemu żołnierzowi, który bez pośpiechu zszedł z drogi i podniósł szlaban.

– Zarozumiali pieprzeni jegrzy! – zamruczał pod nosem Paavo, zamykając okno samochodu.

Wąską szosą przejechał jeszcze trzysta metrów i dotarł do wysokiej na cztery metry stalowej bramy. Zatrzymał się i czekał, aż się otworzy. Po minucie brama drgnęła i zaczęła się przesuwać.

Wjechał do środka. Sto metrów dalej za skałą był parking, a za nim nad brzegiem morza stały budynki ośrodka rządowego. Paavo znał to miejsce. Był tutaj kilka razy na nieformalnych imprezach służbowych, kilka razy z zagranicznymi gośćmi. Nocował nawet w małym hotelu, w którym teraz przebywał Seppo.

Ośrodek rządowy był wewnątrz elitarnej jednostki Gwardii Jegrów i stanowił najlepiej chronione miejsce w Finlandii. Paavo wymyślił internowanie Seppa w tym miejscu, by podkreślić dramatyzm sytuacji przed Torstenem i wpłynąć na psychikę Seppa, a nawet go sprowokować. Zakładał, że będzie się sprzeciwiał i protestował, co miało umocnić premiera i Torstena w przekonaniu, że Seppo jest nadpobudliwy, a nawet nieobliczalny. To byłby dobry powód do jego zwolnienia. Nic takiego się jednak nie stało i Moilanen bez sprzeciwu przeniósł się do Santahaminy. To było gorsze rozwiązanie, ale też satysfakcjonowało Paava.

Seppo zajmował stojący nad brzegiem morza duży bungalow, w którym czasami zatrzymywał się premier. Dom był częścią kompleksu hotelowego, ale od pozostałych budynków oddzielała go kępa sosen. Wojsko chroniło

ośrodek tylko z zewnątrz. Bungalow, w którym mieszkał Seppo, obsługiwały dwie osoby z zaufanej firmy podległej kancelarii rządu.

Kiedy Paavo wszedł, Seppo siedział w salonie przy wielkim okrągłym stole i jadł lunch.

– Nooo… pięknie tu masz – rzucił, podchodząc do wielkiego okna z widokiem na zamarznięte morze. – Prawie jak u siebie w Medvaście.

– Zjesz? – zapytał Seppo. – Są łosoś z pieca i ziemniaki. Mam tutaj pełną obsługę. Kucharkę i służącego. Siadaj! – Wskazał widelcem na krzesło.

– Kawę poproszę – powiedział Paavo do mężczyzny, który właśnie wszedł.

– Kto to wymyślił? – zapytał Seppo.

– Co?

– Żeby mnie tu zamknąć.

– Nie wiem, ale to chyba decyzja Torstena i premiera. Bez jego zgody nie dostałbyś wczasów w tym pięknym miejscu. I to na koszt podatnika. – Paavo uśmiechnął się, ale Seppo nawet na niego nie spojrzał zajęty jedzeniem. – Przecież wiesz, że to tylko na chwilę i dla twojego dobra. Cudem przeżyłeś.

– No… to też prawda.

– Wyobraź sobie, co byłoby, jak zareagowaliby premier, media, gdyby dowiedzieli się, że snajper zastrzelił szefa fińskiego kontrwywiadu. Nie trzeba być prorokiem. Wszyscy, opozycja, dziennikarze, pytaliby, gdzie jest państwo. Nie muszę ci tego tłumaczyć, wiesz najlepiej, jesteś przecież tym szefem kontrwywiadu! Zabójca chciał cię zabić, a nie nastraszyć, więc, drogi Seppo, nie kontestuj. Szef oczekuje od ciebie współpracy, zrozumienia, a nie obstrukcji. Nikt nie chce urazić twojej godności, a wprost przeciwnie. To jest właśnie dowód na…

– Pierdolisz, Paavo. Daj spokój z tą godnością – odparł zdecydowanie Seppo. – Torsten i premier są po prostu obsrani. Boją się dziennikarzy i opozycji, niewygodnych pytań. I to mogę zrozumieć, ale trzeba ze mną rozmawiać poważnie. Torsten boi się o służbę, bo dziennikarze zapytają, po co nam SUPO, skoro ktoś strzela do szefa kontrwywiadu w jego własnym domu, jak w jakiejś Gwatemali albo Birmie, a premier będzie musiał odpowiedzieć na pytania, czy wie, co się dzieje w państwie i co takiego wie Seppo Moilanen, że ktoś chciał go uciszyć. Dobrze myślę?

– Owszem – potwierdził Paavo, gdy kelner stawiał przed nim kawę. – Obaj wiemy, o co chodzi. Opisałeś sprawę prawidłowo. Sam widzisz, jakie trudne pytania się pojawiają. Nagle sprawa stała się bardzo polityczna. I nawet jeżeli Torsten i premier nieco przesadzają, to jednak musimy uwzględnić ich opinie i decyzje.

– No dobrze. – Seppo złożył sztućce i odsunął od siebie talerz. – Z czym przyjechałeś?

– Z polecenia Torstena mam nadzorować całą sprawę, pilnować, żeby nic nie wyciekło, pomóc w ustaleniu motywu i sprawcy, nooo… koordynować działania zespołu i informować szefa.

– Motywu i sprawcy? – zapytał zaskoczony Seppo. – Od tego jest Erkki, Martti…

– Tak, ale są sprawy, do których nie można ich dopuścić. Te, które prowadziłeś sam w wydziale. Wiesz… dobrze, gdyby ktoś rzucił na nie świeżym okiem.

– Dlatego szef wyznaczył ciebie?

– To chyba zrozumiałe. – Paavo pokręcił głową z niedowierzaniem. – Masz coś przeciw? Nie zrobię nic bez twojej zgody. Wiesz o tym dobrze. To ty jesteś szefem kontrwywiadu i o wszystkim decydujesz. Ja mam tylko pomóc, dopóki nie odsuniemy od ciebie zagrożenia.

– W porządku, nie obrażaj się. Torsten ma do ciebie zaufanie, jesteś w końcu jego sekretarzem, więc i ja też. Znamy się przecież od lat.

– Cieszę się, że podchodzisz do sprawy pozytywnie. Szybciej to załatwimy i złapiemy tego snajpera. Jak oceniamy z Torstenem, zresztą sam też to powiedziałeś, źródłem problemu jest jeden z nas, a trop najprawdopodobniej odkryjemy gdzieś w sprawach, które prowadzisz. – Paavo dopił kawę i wyjął notatnik. – Zróbmy w ten sposób…

– Nigdy nie powiedziałem, że to jest jeden z nas – przerwał mu Seppo.

– Jak byłem w Medvaście w nocy, powiedziałeś, że to jest zdrajca, czyli…

– Tak powiedziałem? Nie pamiętam.

– Tak powiedziałeś. A poza tym tak też powiedziała Mia. Nie rozmawiałeś z nią? – Paavo spojrzał zaskoczony na Seppa.

– Nie. Skąd taka myśl?

– Aaaa… jeżeli nie, to inna sprawa. Miałem z nią wczoraj rano dziwną rozmowę. Pojawiła się w pracy, chociaż ma urlop. Nic o tym nie wiesz?

– Nie, nic. – Seppo pokręcił głową.

– To porozmawiaj z nią, bo wygaduje jakieś dziwne rzeczy i szef się niepokoi.

– Nie wiem, o co chodzi. A co konkretnie Mia mówiła?

– Mówiła, że to ktoś spośród nas i że ona od dawna wie, kto to jest, że to rosyjski szpieg, no i na koniec powiedziała, że go zabijesz.

– Tak powiedziała?

– Tak.

– Kochana Mia – rzekł z uśmiechem Seppo. – Bardzo się przejęła tym zdarzeniem, ale to jej wymysł. Nic takiego nie mówiłem, to absurd. Gdybym wiedział, że to jest rosyjski agent, co oczywiście jest wysoce prawdopodobne, i gdybym wiedział, kto to jest… – Urwał i po chwili zmienił ton i temat. – Mia jest teraz bardzo wrażliwa, wiesz… taki okres przechodzi w życiu. Ale w jednym się nie myliła. – Z twarzy Seppa znikł uśmiech, spojrzał na Paava chłodno. – Zabiję go.

– Jeżeli to rzeczywiście ktoś od nas, też bym skurwysyna zabił! – dorzucił w podobnym tonie Paavo. – Żadnych sądów, prokuratorów, takie sprawy powinniśmy załatwiać sami.

– Czego teraz ode mnie oczekujesz?

Paavo otworzył swój notatnik.

– Jak ci się wydaje, tak intuicyjnie, jaka sprawa…

– Wybacz, Paavo, ale nie mogę informować cię o prowadzonych w wydziale sprawach – odparł Seppo. – Po pierwsze, polecenie musi mi wydać Torsten. Ja rozumiem, że masz jego pełnomocnictwo, ale muszę dostać od niego polecenie bezpośrednio, i to na piśmie, nie przez telefon. Nie jesteś dopuszczony do informacji operacyjnych wydziału. Poza tym zajmuje się już tym Erkki. Oczywiście nie widzę przeszkód, żebyś został włączony do zespołu, ale muszę mieć formalne polecenie szefa. Rozumiem, że Torsten potrzebuje swojego zaufanego człowieka w zespole, ale to są sprawy formalne. Na pewno się przydasz, bo masz wyjątkowe kompetencje, i chętnie cię włączę, ale powtarzam, musi być polecenie szefa.

– No tak. – Paavo pokiwał głową. – Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałem, a Torsten ma teraz co innego na głowie. Wiesz…

– No wiem, dlatego to mówię. Nie masz mi chyba tego za złe?

– Eeee… Seppo. Znam cię. Jesteś formalistą, ale to w sumie dobrze. W kontrze trzeba wszystkiego pilnować, inaczej robactwo by się rozlazło po całym kraju.

Paavo zamknął swój notatnik i w tym momencie otworzyły się drzwi. Ubrany w kurtkę i czapkę, z teczką pod pachą do salonu wszedł energicznie Erkki. Podszedł do stołu, rzucił na niego teczkę i zaczął się rozbierać.

– Cześć, Paavo – przywitał się oschle.

– Cześć, Erkki – odparł. – Co nowego?

– Niestety nic. Nie znaleźliśmy żadnych wartościowych śladów. W Medvaście już zakończyliśmy czynności.

– Zjesz coś? – zapytał Seppo.

– Bardzo chętnie. Od rana nic nie jadłem, tylko wypiłem litry kawy.

– Dobrze, Paavo, w takim razie wiesz już mniej więcej wszystko, więc jedź do biura i rozmawiaj z Torstenem. Niech wypisze ci rozkaz i możesz wracać, będziemy dzisiaj długo pracować. – Seppo położył dłoń na teczce, którą przyniósł Erkki.

– Jasne. – Paavo się podniósł.

Po kilku minutach wyjechał z ośrodka i zmierzał w stronę miasta, kiedy minął go jadący w przeciwną stronę samochód. Za kierownicą siedział Martti. Pozdrowił go podniesioną dłonią, ale policjant nie odpowiedział.

Rozmowa z Seppem nie była uspokajająca, chociaż na taką mogła wyglądać. Paavo zrozumiał, że nie osiągnął nic, co sobie zaplanował.

Pojawienie się Erkkiego i Marttiego świadczyło, że internowanie nie wyłączyło Seppa i dalej prowadzi śledztwo. Grzecznie, ale zdecydowanie odmówił mu dostępu do dokumentów i włączenia do grupy, zasłaniając się przepisami. To było logiczne i uzasadnione. Natomiast tłumaczenie zachowania Mii było mało wiarygodne. Argument o jej przekwitaniu mógł mieć sens i Paavo nie mógł wykluczyć, że Mia rzeczywiście konfabulowała, ale było to mało prawdopodobne. Nigdy nie miała takich skłonności, a wprost przeciwnie, była zimna, pragmatyczna i dobrze zorganizowana. Jej zalety doceniali wszyscy szefowie i właśnie dlatego była sekretarką.

Deklaracja Seppa, że zabije szpiega, powtórzona za Mią, zabrzmiała przerażająco wiarygodnie. Seppo był uparty i mściwy, w SUPO wiedział to każdy, więc jego groźba zabrzmiała realnie. Paavo odniósł wrażenie, że Seppo mówił wprost do niego. To nie była informacja, lecz ostrzeżenie. Paavo miał przed oczami zaciętą twarz Seppa i poczuł, że jest w coraz większym niebezpieczeństwie.

Gdyby się dowiedział jeszcze, że wydałem Jewgienija Hamnę – pomyślał Paavo i przebiegł go dreszcz. Rozerwałby mnie chyba tymi swoimi łapami na strzępy. Kurwa, trzeba mieć pecha, żeby z odległości pięćdziesię-

ciu metrów chybić o centymetr. A załatwienie go teraz w Santahaminie nie wchodzi w grę. Kurwa, najgorsze, że sam to wymyśliłem!

Nie mógł skoncentrować się na drodze, więc zjechał na przystanek autobusowy. Musiał się uspokoić i zastanowić nad kolejnymi krokami.

Koivista nie było w biurze. Paavo przypuszczał, że z powodu stanu żony może nie pojawić się już do świąt. Wiedział też, że Torsten mógłby mieć wątpliwości, czy dopuścić go do spraw wydziału kontrwywiadu. Gdyby Seppo zginął w Medvaście, miałby szansę na stanowisko po nim, a teraz miał być tylko łącznikiem szefa z Seppem i zespołem, ale bez wglądu w dokumenty. Paavo zaczął przypuszczać, że Torsten zasłania się nim, przykrywa swoje wyrzuty sumienia, że jako przyjaciel i szef nie poświęca Seppowi dość uwagi. Stan zdrowia Sanny wyraźnie martwi go bardziej niż zamach na Moilanena – pomyślał Paavo.

Postanowił pojechać do biura na Ratakatu i stamtąd zadzwonić do szefa.

Spróbuję namówić go na wystawienie tego rozkazu. Sfałszowanie dokumentu jest możliwe, ale cholernie ryzykowne – pomyślał. Lepiej przekonać Torstena. Może akurat z powodu Sanny trafię w dobry moment. Muszę mu powiedzieć, że stan psychiczny Seppa jest coraz gorszy, i zrelacjonować, co usłyszałem od Mii. Tak, to dobry kierunek! Trzeba podkręcić stan zagrożenia ze strony Seppa, czego idealnym dowodem jest Mia. Muszę być bardziej zdecydowany, po prostu trzeba iść mocniej…

Z zamyślenia wyrwał go ostry klakson. W lusterku zobaczył, że z tyłu podjeżdża autobus.

50

W Londynie była dwudziesta pierwsza, a w Helsinkach dwudziesta trzecia. Kiedy Ray zadzwonił, nie spałem jeszcze, czytałem i czekałem.

– Dzwonię późno, bo go nie było i czekałem w długiej kolejce – zaczął Ray. – Dopiero wróciłem do domu. Najpierw musiałem zjeść, a G zrobiła gnocchi z serem truflowym, więc…

– Nie denerwuj mnie! – rzuciłem zdecydowanie, bo Ray uwielbiał, żeby okazywać mu atencję, nawet w takich sytuacjach.

– Masz realizować zgodnie z planem. Na nikogo się nie oglądać. Ty decydujesz, czy to ciągnąć, i nikt inny. Rozumiesz?

– Jakieś terminy?

– Ty decydujesz. Pełne zaufanie! Tak to padło z ust złotych.

– Świetnie! Rozmawiałem dzisiaj z naszym ulubieńcem i bardzo zmiękł. Zostawił mnie samego w domu.

– Wiem, wiem. Ale niedługo będziesz sam. Przyjadę po kolacji.

– To się cieszę, przyjacielu – powiedziałem zadowolony, bo bez Raya zawsze się czułem źle.

– Wykorzystaj czas.

– Tak planowałem.

Skończyliśmy rozmawiać.

Nie byłem zaskoczony decyzją szefa Colberga. Spodziewałem się jej, bo znał mnie dobrze od lat i wiedział, że nie wysłałbym Raya, gdybym nie miał ku temu poważnych powodów. Wiedział też, że nawet jeżeli Ray nieco koloryzuje i się ekscytuje, to mówi w moim imieniu.

Miałem wolną rękę i swobodę działania. Czyli stało się tak, jak chciałem. James Colberg wiedział, że najbardziej lubiłem działać sam. Stworzył zespół „Mermaid”, żeby mnie wprowadzić w temat, przygotować do zadania, które było dla mnie nowe, bo „Arlekin” był absolutnie wyjątkowy. Na kogoś takiego nie było schematu. Należało improwizować i kierować się

intuicją. Już po dwóch spotkaniach z Razumowem wiedziałem, że zespół nie jest mi potrzebny, wystarczą tylko Seppo i Ray.

Jeden gdzieś przepadł, ścigając się z „Viperem", a drugi zajada się truflowymi gnocchi i popija grappę. Wyglądało na to, że nie tylko mam wolną rękę, ale też dużo wolnego czasu. Nagle okazało się, że zostałem sam na sam z całą rezydenturą KGB w Helsinkach pod dowództwem samego księcia wywiadu Grigorija Portnoya. Poczułem miłe łechtanie w okolicach mojego ego, także z powodu Higginsa.

To było prawdziwe wyzwanie. Po rozmowie z Rayem długo nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok i kombinowałem, jak podejść kapitana Razumowa. Tworzyłem najbardziej nieprawdopodobne scenariusze i nie musiałem nic konsultować z Tomem.

Cały następny dzień chciałem spędzić w domu. Nagle zrobiło się wokół mnie pusto i cicho. Wszyscy wyjechali. Mogłem robić, co chciałem. Od przyjazdu do Finlandii nie miałem takiego dnia.

Czytałem książki, po raz kolejny obejrzałem *Tańczącego z wilkami* i zjadłem torebkę kwaśnosłonych żelków. Usmażyłem naleśniki i dodałem do nich pomarańczowej marmolady i śmietany.

Na czterech kartkach zapisałem cztery pytania i rozłożyłem je w mieszkaniu tak, żeby były widoczne z każdego miejsca. Kto do mnie dzwonił? Co się dzieje z Seppem? Kim jest Marina? Jak wykorzystać Batulisa?

Najważniejszy był jednak kapitan, a właściwie scenariusz rozmowy z nim. Układałem poszczególne sceny, wpisywałem dialogi i starałem się zaprogramować emocje swoje i jego. Starałem się zrozumieć i przewidzieć jego reakcje. Wiedziałem, że od takiego scenariusza rzadko nie ma odstępstw, ale pomagał mi zmobilizować się i zachować dyscyplinę. Nie bałem się improwizować i nabierałem wiary we własne siły.

Kolejny raz przejrzałem materiały, które zebraliśmy, i nie musiałem z nikim nic konsultować. Nie musiałem stawiać pytań, na które znałem odpowiedzi. Brakowało mi tylko Seppa. Nie jego rad, tylko ducha walki, którym emanował jak reaktor atomowy.

Po dwudziestej pierwszej zadzwoniłem do Mariny. Ucieszyła się. Umówiliśmy się na środę o osiemnastej na placu Senackim przy pomniku Aleksandra II. Tak wybrała, zastrzegając od razu, że nie ma w tym żadnego podtekstu. Powiedziała, że niedaleko jest angielski pub, ale adresu nie pamiętała, więc wybrała najlepiej znany pomnik w Helsinkach.

Zasnąłem z książką na kanapie. Obudził mnie dzwonek do drzwi, a nie domofon. Spojrzałem przez wizjer. Na klatce był półmrok, ale zobaczyłem mężczyznę w czapce naciągniętej na czoło i wydawało mi się, że już go widziałem. Zauważył, że go obserwuję. Ściągnął czapkę i przybliżył twarz do wizjera. Dopiero teraz rozpoznałem. Nie można było jej zapomnieć, Mauno od Seppa, jak się przedstawiał.

Wpuściłem go do mieszkania. Bez pytania wszedł do salonu, przeszedł przez kuchnię i wrócił do przedpokoju.

– Miałeś dwa telefony, których nie odebrałeś? – zapytał cicho.

– Tak.

– Dzwonił do ciebie ktoś z Leningradu, ale numeru nie znamy. Nie identyfikują się.

– Aha. – Pokiwałem głową i od razu pomyślałem o Razumowie. – Coś jeszcze?

– Nie mamy żadnych informacji, żeby Marina Morozowa była powiązana z KGB.

– Dziękuję.

– Seppo powiedział, że się wkrótce odezwie i żebyś uważał na siebie. Witalij Batulis to celny strzał i masz się go trzymać. Tu masz kartkę z numerem telefonu do mnie. Jakbyś miał coś pilnego, to dzwoń.

– Rozumiem. To wszystko?

– Wszystko.

– Co się dzieje z Seppem?

– Nie musisz wiedzieć – rzucił hardo, odwrócił się i wyszedł.

Spojrzałem na zegar, było wpół do pierwszej. Przed chwilą odbyłem dość dziwną rozmowę. Poszedłem do kuchni i napiłem się wody. Nie mogłem zrozumieć, co się właściwie stało.

Dlaczego Mauno przyszedł w nocy? To był jego pomysł czy dostał takie polecenie od Seppa? Znał kod do drzwi, a w poniedziałek dzwonił domofonem i uprzedził wcześniej telefonicznie, że przyjdzie. To było zadziwiające, Mauno przekazał informacje, które odpowiadały na moje wszystkie cztery pytania. Jakby czytał w moich myślach. Nawet ocenę Batulisa mieliśmy taką samą. Miałem wrażenie, że Mauno powtarzał słowa Seppa dokładnie, według schematu.

Wszystko wskazywało na to, że Seppo działa w konspiracji i być może realizuje jakiś plan. Nie bardzo mogłem zrozumieć, w jaki sposób roszada z Medvastu mogłaby spowodować taki skutek. Nie o to mi chodziło, kiedy

podsuwałem mu ten pomysł. Zagrożenie życia Seppa było realne, ale skąd ta trochę jednak śmieszna konspiracja, rozmowa kodem przez nocnych wysłanników? Seppo był we własnym kraju szefem kontrwywiadu, a nie mógł rozmawiać przez telefon? Nie wiedziałem wszystkiego. Może miał uzasadnienie dla takiego postępowania, ale trudno było mi to zrozumieć. Seppo nie powiedział mi, kto może być „Viperem”, więc być może miał podstawy, żeby tak postępować. Sprawa mogła być bardziej skomplikowana, niż podejrzewałem, i pewnie wiązała się z listą „czterech”, jak wspominał Seppo.

Głuche telefony z Leningradu niepokoiły mnie jednak bardziej. To musiał dzwonić kapitan Razumow. Nie sądziłem, że chce się dowiedzieć, jak poszło spotkanie z Batulisem w sprawie tarcicy. Musiał mieć naprawdę poważny powód, żeby narażać się na dekonspirację. Seppo najwyraźniej wiedział, że to dla mnie ważna wiadomość, bo Mauno podał ją pierwszą, ale zaraz przekazał drugą, o Marinie. Nie zapomniał.

Leżałem w ciemnym pokoju, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, i próbowałem opanować męczącą gonitwę myśli.

51

Była środa rano. Batulis siedział w biurze na Vähäniityntie z nogami na biurku i jadł kanapkę z serem przełożonym ogórkiem, którą zrobił sobie w domu. Była dosyć sucha, więc każdy kęs popijał herbatą. Patrzył na swój notatnik. Aż do Nowego Roku nie miał nic w planie.

Ale najbardziej go cieszyło, że Portnoy wróci dopiero po Nowym Roku. Gorbienko wiedział, żeby Batulisa nie obciążać żadnymi zadaniami, i nie pytał dlaczego.

Zostało mu spotkanie z „Kolą” w Wigilię w Omsku i do Nowego Roku miał spokój. Obiecał sobie, że zmobilizuje drużynę i będą grać w kosza ile się da, tym bardziej że szkoły mają wolne i sala gimnastyczna będzie dostępna cały czas. W przedstawicielstwie też miał niewiele roboty, więc postanowił zaangażować się osobiście i spróbować załatwić tarcicę dla Dirka. Gdyby się udało, zapunktowałby u kapitana i zbudował sobie biznesowy kontakt, tak na wszelki wypadek. Holender był sympatyczny, wzbudzał zaufanie i dał wyraźny sygnał, że jest otwarty na współpracę. Związek Radziecki zmieniał się szybko i Batulis wiedział, że prędzej czy później trzeba będzie przejść na jakąś gospodarkę rynkową albo system całkowicie się zawali. W końcu był z wykształcenia ekonomistą i pracował w przedstawicielstwie handlowym.

W obu wypadkach dobry kontakt na Zachodzie, w dodatku rekomendowany przez kogoś takiego jak kapitan Razumow, miał swoją wartość. A służba w KGB w tak niepewnych czasach też się mogła niespodziewanie zakończyć. Z szefem takim jak Portnoy wszystko mogło się zdarzyć.

Taka drobna sprawa z samochodem doskonale pokazała, do czego zdolny jest Lemieszew. I do tego ten pierdolony donosiciel Winogradow. Dobre chłopaki z Borysa i Pietii. Trzeba im jakoś pomóc, bo Portnoy prędzej czy później ich wyczuje. Zrobimy imprezę na Nowy Rok, to pogadamy.

Batulis postanowił, że usiądzie przy telefonie i zacznie wydzwaniać do ministerstw, zjednoczeń i central handlowych i może uda mu się coś zała-

twić jeszcze przed Nowym Rokiem. W końcu w Rosji nie ma świąt i wszyscy pracują normalnie. Miałby z czym pójść do Holendra.

Może wyciągnąć go na kawę? Ot tak, dla podtrzymania kontaktu? W końcu nie mam dzisiaj nic w notatniku.

Poprzedniego dnia, we wtorek, Borys wrócił do ambasady około północy i Piotr znów dostał trzęsionki, chociaż nie musiał się bać Portnoya, bo go nie było.

Tłumaczył się, że postanowił skorzystać z wyjazdu rezydenta i skoro był już w Hollywood, zachciało mu się skoczyć jeszcze do Leeny. Piotr przyjął to wyjaśnienie i się uspokoił.

W rzeczywistości Borys nigdzie nie poszedł.

Kiedy zadzwonił pod zielony numer, odebrał Aleksi. Polecił Borysowi czekać w wypożyczalni. Zapowiedział, że przyjedzie za piętnaście minut, ale był już po dziesięciu. Nie wchodził do środka. Borys wypatrzył go przez okno. Ukryty między półkami obserwował ulicę.

Aleksi się nie odzywał. Borys też milczał. Zrobili krótką trasę sprawdzeniową i po kilku minutach zatrzymali się przed domem, dwie przecznice od ambasady. Na trzecim piętrze było małe mieszkanie, w którym czekał już wysoki Markko. Uśmiechnął się sympatycznie i Borys poczuł się pewniej. Usiedli przy stole i dopiero teraz zapytali, czy chce się czegoś napić.

Borys nie krył, że jest zdenerwowany. Nie raz był pod ostrzałem, walczył na noże w afgańskich jaskiniach, blizn mu nie brakowało, a jednak nigdy nie był w takiej sytuacji. Bardzo chciał się napić wódki, a jednak odmówił.

Rzucił krótko na bezdechu, że się zdecydował, ma mało czasu, wszystko muszą omówić teraz, i wypuścił powietrze.

Aleksi i Markko uśmiechnęli się szerzej.

– To dobra decyzja, Borys – zaczął spokojnie Aleksi i skinął głową. – Jakie są twoje warunki? Czego od nas oczekujesz? Bo czego my oczekujemy, to już wiesz.

– Wszystko, o co prosicie, zrobię. Wiem i zdaję sobie ze wszystkiego sprawę. Nie jestem głupi – odparł Borys i poczuł, jak opadło z niego napięcie. – Ale wszystko zależy od tego, czy spełnicie moje dwie prośby. Jeżeli nie, to koniec naszej rozmowy.

– O co chodzi, Borys? – włączył się Markko.

– Chcę zostać w Finlandii i chcę, żebyście załatwili mi pracę. Nie chcę być od nikogo uzależniony. I druga sprawa… – Borys przerwał na chwilę,

obserwując reakcję Finów – to mój przyjaciel… Piotr, chorąży Piotr Ustupow.

– Tak? – odezwał się Aleksi.

– Nie mogę go zostawić! – rzucił z emfazą Borys. – Jest chory i beze mnie zginie.

– Oczywiście. Podtrzymujemy naszą propozycję – włączył się Markko. – Będziesz mógł zostać w Finlandii i pracę też ci załatwimy. Ale ty też musisz wypełnić swoje obietnice. Pamiętasz wszystko? To jest układ, który działa tylko wtedy, kiedy strony przestrzegają swoich zobowiązań.

– Oczywiście. Wszystko pamiętam – potwierdził Borys.

– Nie było mowy o twoim koledze. To coś nowego i musimy wiedzieć więcej, zanim się na coś zdecydujemy. Potrzebuje opieki medycznej? Na co jest chory? Umiera?

– Jest moim najbliższym przyjacielem, jeszcze z Afganistanu. Ma problemy psychiczne z wojny. Opiekuję się nim, uratował mi życie. Może zrobić sobie krzywdę albo komuś innemu. Przeszedł przez piekło i coś w nim pękło. Bo my jesteśmy z Ósmego Oddziału Zarządu S. Przecież dobrze wiecie, co to jest wojna.

– Ósmego Oddziału Zarządu S? – zapytał Aleksi.

– Tak. – Borys spojrzał zdziwiony. – Nie wiecie. – Pokręcił głową. – Wympieł. Mokra robota na świecie. Zarząd S… nielegałowie.

– Wiemy, co to jest Wympieł – powiedział Markko.

– W jaki sposób został ochroniarzem w rezydenturze KGB? Nie mówiłeś o tym. Hmm… to dla nas spore zaskoczenie. Jest niebezpieczny? – dopytywał się Aleksi. – Wie o naszych rozmowach?

– Nie, nie wie. Wie tylko o Leenie. To ja mu załatwiłem tę robotę, bo kolega jest dowódcą w Bałaszysze. Testy psychologiczne zrobiliśmy u znajomego lekarza. Tu, w Finlandii, Pietia czuje się dobrze. Żadnych objawów, no prawie żadnych, czasem zapomni wodę spuścić w kiblu. Ogląda filmy z wypożyczalni i jest spokojny. Jak zostanę tutaj, to jego wycofają natychmiast do kraju i wyleci z roboty. Straci też wszystkie uprawnienia. Zapije się i źle skończy.

– Dobrze, Borys. Musimy rozmawiać uczciwie. Najpierw wypełnijmy naszą umowę. Jeżeli okaże się, że ma ona sens, czyli twoje informacje będą dla nas przydatne, to pójdziemy dalej. Pamiętaj, że ty i my możemy wycofać się ze współpracy w każdej chwili, jeżeli uznamy, że nam nie odpowiada. Bez podawania powodów, ale i bez konsekwencji. Mówiłem ci

o tym, ale powtarzam dla porządku. – Aleksi mówił spokojnie, ale zdecydowanie. – Potwierdź, że to zrozumiałeś.

– Zrozumiałem.

– Czyli jeżeli się postarasz i nasza współpraca będzie efektywna, możemy pomyśleć o Piotrze. To jest możliwe, ale potrzebujemy czasu i argumentów, że warto w to wejść. To nie jest prosta sprawa. Zatem… – Aleksi otworzył teczkę, wyjął notatnik i dyktafon – zacznijmy, bo masz mało czasu. Jak nie zdążymy dzisiaj, to będziemy kontynuować później.

– Zgadzasz się?

– Tak.

– Mam tu szereg pytań, na które chciałbym, żebyś odpowiedział. Tak precyzyjnie, jak to możliwe. Kiedy będę chciał znać twoją opinię, wyraźnie to zaznaczę, ale najważniejsze są dla nas fakty.

– Borys! – włączył się Markko. – W każdej chwili możesz wyjść. Nasza współpraca ma sens, jeżeli jej naprawdę chcesz.

– Rozumiem. Zaczynajmy.

Borys nie zrealizował tego, co sobie obiecał. Aleksi i Markko wytłumaczyli mu, że oczekiwał zbyt wiele i niespodziewane włączenie Piotra do układu było dla nich zaskoczeniem. Potwierdzili swoje zobowiązania, ale przyjęcie do Finlandii byłego żołnierza specnazu z ciężkim PTSD stanowiło duże wyzwanie. Dopiero teraz Borys zdał sobie z tego sprawę. Naiwne były marzenia o wypożyczalni Hollywood dla Piotra. Mimo to nie odrzucili jego prośby, nie próbowali oszukać. Aleksi postawił sprawę jasno i uczciwie: jeżeli efekty jego pracy będą zadowalające, to spróbują pomóc Piotrowi. Zrozumiał, że los przyjaciela leży teraz w jego rękach. Nawet jeżeli Finowie nie zajmą się nim, to on sam się nim zaopiekuje. Dlatego musi się wykazać we współpracy. Bał się tylko, że właściwie niewiele wie i jeszcze mniej może zrobić. Bał się, że mogą przeceniać jego możliwości.

– Dobrze, Borys – zaczął Aleksi. – Opowiedz nam, co się wydarzyło w rezydenturze w ostatnim tygodniu, a szczególnie w czwartek.

– Portnoy pilnie wyjechał dzisiaj do Moskwy.

– To wiemy, ale dlaczego tak pilnie i kiedy wraca do Finlandii?

52

Paavo przyjechał do biura po osiemnastej. Torstena nie było. Mia stała już w płaszczu i zbierała się do wyjścia.

– Jak Torsten? Wiesz coś o Sannie? – zapytał, przechodząc przez sekretariat.

– Nie, nic nie wiem – odburknęła i wyszła bez pożegnania.

– Rzeczywiście chyba ma klimakterium – powiedział do siebie Paavo, gdy został już sam. – Szybko ją wzięło.

Zdjął czapkę i rozpiął kurtkę. Usiadł w fotelu i spojrzał na telefon. Przyjechał na Ratakatu tylko po to, żeby zadzwonić do Torstena, ale nabrał wątpliwości, czy powinien mówić szefowi, że Seppo domaga się rozkazu na piśmie. Wyglądałoby to tak, że interesuje się sprawą ponad pełnomocnictwo, które dał mu Koivisto. Nadmierne zaangażowanie mogłoby być źle odebrane, a nawet podejrzane.

W końcu Torsten mógł się mną tylko zasłaniać. Więcej spokoju, a nawet dystansu – pomyślał Paavo. Pokorne ciele dwie matki ssie. Nic na mnie nie mają, więc najlepiej zaczekać. Znów spojrzał na telefon. Ale relację powinienem zdać szefowi i opowiedzieć o stanie psychicznym Seppa, no i o tym, że wciąż zarządza dochodzeniem. Trzeba wykazać zaangażowanie, ale wszystko z umiarem.

Sięgnął po telefon. Wybrał przycisk „Torsten priv” i czekał. Ale szef nie odebrał. Przez chwilę Paavo się zastanawiał, czy nie spróbować jeszcze raz, ale zrezygnował. Uznał, że numer się wyświetlił i będzie wiedział, kto dzwonił. Będzie chciał, to oddzwoni.

Podszedł do barku w szafie. Wprawnym ruchem odkorkował butelkę, wlał sobie martella na dwa palce i wychylił na raz. Odczekał chwilę, aż dotrze do żołądka, i wtedy ją odstawił. Dopiero kiedy poczuł uderzenie do głowy, zdał sobie sprawę, co zrobił.

Muszę jak najszybciej wracać do domu – pomyślał zaniepokojony. Tylko tam jestem bezpieczny.

– Pierdolony Seppo! – zaklął na głos. – To przez niego!

Zatrzasnął drzwiczki barku, aż zabrzęczało szkło. Zgasił światło, zamknął pokój i zjechał windą na parter.

Ruch na ulicach Helsinek był duży i zaczął sypać śnieg, więc dojazd do Reijoli zajął mu więcej czasu niż zwykle. Czuł, że alkohol zaczął działać. Widział wszystko wyraźniej, ale coraz bardziej niepokojąco. Obraz falował i nie układał się tak, jak sobie zaplanował. Znów wróciły myśli, żeby dokończyć robotę i zabić Seppa, zanim on zabije jego. Zachowanie Mii było niepokojące, a tłumaczenie o jej klimakterium naiwne. Paavo coraz bardziej był przekonany, że Seppo prowadzi jakąś grę i Mia ma w niej swoją rolę.

Otworzył pilotem bramę i wjechał do garażu, wyłączył silnik i przez chwilę siedział jeszcze w samochodzie. Zastanawiał się, czy nie powinien jeszcze raz zadzwonić do Torstena, i miał już wysiąść, gdy w lusterku bocznym zauważył ruch. Spojrzał w drugie lusterko i miał wrażenie, że w świetle latarni zauważył cień człowieka, ale nie był pewien. Obrócił się i przez kilka sekund obserwował podjazd. To był wewnętrzny teren posesji i nikt tamtędy nie przechodził.

Paavo się zaniepokoił. Wyskoczył z samochodu, chwycił leżący obok młotek i wybiegł przed dom. Po obu stronach podjazdu rosły gęste świerki odgrodzone pryzmami śniegu. Spojrzał na ziemię. Z ulicy do garażu prowadziły ślady opon, a między nimi w przeciwną stronę ślady stóp. Paavo był już pewny, że ktoś przebiegł przez jego posesję. Odstępy między odciskami wskazywały, że biegł w stronę ulicy. Podszedł za śladami, które znikły na odśnieżonej drodze, i rozejrzał się w obie strony. Nikogo jednak nie zobaczył.

Wrócił na posesję i wciąż trzymając młotek, ruszył śladami w przeciwną stronę. Urwały się pod zadaszeniem wjazdu do garażu. Opuścił bramę.

Był wewnątrz? – przeleciało mu od razu przez myśl.

Zapalił światło i rozejrzał się po garażu. Nic nie zauważył.

– Broń! – rzucił na głos i ruszył w stronę pancernych drzwi do sutereny.

Otworzył kluczami oba zamki i od razu się uspokoił. Po chwili był pod drzwiami zbrojowni. Sprawdził zabezpieczenia.

Czyli nie mógł być wewnątrz, bo jak by wszedł – pomyślał. Nerwy, nerwy, Paavo, i alkohol. Pewnie jakiś dzieciak z okolicy kręcił się wokół domu.

Wszedł po schodach do holu. Drzwi do sutereny też były zamknięte, więc z pewnością nikt nie próbował dobrać się do broni. Na wszelki wypa-

dek postanowił obejść parter, sprawdzić okna, drzwi frontowe i wejście od ogrodu.

Zapalił światła we wszystkich pomieszczeniach, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Dotknął każdego okna, zajrzał za zasłony. Zajęło mu to chwilę, bo dom pełen był mebli, przedmiotów, pamiątek i ozdób gromadzonych przez trzy pokolenia Haukków. Nie zauważył nic, co wzbudzałoby jego podejrzenia, poza niedopitą butelką whisky stojącą na szyfonierze w salonie. To był ballantine's z jego barku, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby zostawił butelkę w tym miejscu. Czasami zdarzało się, że pił w salonie, chociaż najbardziej lubił w bibliotece, siedział wtedy w fotelu i patrzył przez okno na klon. Pamiętał jednak zawsze, gdzie zostawił butelkę. W sobotę na pewno nie pił w salonie, tylko w kuchni, zbrojowni i bibliotece.

No tak, ale przecież nie pamiętam, jak doszedłem do sypialni – przeszło mu przez myśl. Skułem się w tę sobotę. Wziął butelkę i pociągnął spory łyk. Nie jest dobrze… Mogłem zapomnieć? Kurwa! Pokręcił głową i odstawił butelkę. Nooo… mogłem! Ale piłem przecież koskenkorvę i butelka się zbiła. Na pewno o czymś zapomniałem, bo przecież nikogo tu nie było. Przejrzyj na oczy, w końcu to nie pierwszy sygnał, że musisz coś ze sobą zrobić. Bim, bom! *Wake up*, Paavo!

Stres ciągle tłumił głód, ale po wypiciu whisky poczuł kłucie w żołądku. Powtarzało się i było coraz ostrzejsze. Bał się przyznać, że to może być coś poważnego, i z premedytacją odsuwał decyzję o wizycie u lekarza. Zresztą ból przechodził, kiedy coś zjadł, więc poszedł do kuchni.

Zajrzał do lodówki. Znalazł kawałek sera, plasterek prosciutto i pół zwiędłego już nieco pomidora. Położył jedno na drugim i zwinął w rulonik. Pomidora posolił i wziął do drugiej ręki.

Taki wielki dom, a lodówka pusta – pomyślał z rozbawieniem. Człowiek decyduje o losach ojczyzny, a nie ma co zjeść.

Paavo poszedł do biblioteki, usiadł w wielkim skórzanym fotelu i dokończył jedzenie. Stary zegar stojący wybił dziewiątą. Gdy ucichł, Paavo sięgnął po telefon.

– Dobry wieczór, Torsten. Przepraszam, że tak późno dzwonię. Mam pytanie: będziesz jutro?

– Dobry wieczór, Paavo. Nie, nie będę. Prawdopodobnie zjawię się dopiero po świętach. Ale będę cały czas pod telefonem.

– Masz teraz kilka minut?

– Kilka minut… tak.

– Byłem u Seppa w Santahaminie. Wydaje mi się, że nie jest z nim dobrze, a może nawet gorzej, niż było. Jego stan psychiczny jest bardzo niestabilny. To już nie jest szok, to jakaś… No… nie wiem, jak to nazwać. Niby mówi normalnie, a potem nagle ma jakieś myśli o morderstwie, mówi o tym i staje się nieobliczalny. Mam podstawę przypuszczać, że nakręca też Mię, a potem twierdzi, że ona tak sama z siebie. Widziałeś przecież. No i Seppo wciąż sam zarządza dochodzeniem w swojej sprawie. Erkki i Martti siedzą tam u niego i… – Paavo urwał, bo uświadomił sobie, że traci kontrolę i zaczyna się nakręcać.

– No tak… cały Seppo. Co proponujesz?

– Sam już nie wiem. Chciałem, żebyś wiedział. Może rozmawiaj bezpośrednio z nim.

– Rozmawiam, ale twoje uwagi są ważne. Nie wiedziałem, że Erkki wszystko z nim konsultuje. Miał sam prowadzić dochodzenie. Zadzwonię do niego i zapytam, o co chodzi. Paavo, ty musisz pilnować, żeby sprawa nie wyciekła do mediów. To jest teraz twoje najważniejsze zadanie i informuj mnie o wszystkim, tak jak teraz. Premier zrobił się już bardzo nerwowy. I przyglądaj się Mii. Też zauważyłem jej dziwne zachowanie. Ma urlop do Nowego Roku, a jednak przychodzi do pracy. Paavo, jesteś teraz moimi oczami i uszami, rozumiesz?

– Jasne, Torsten! – odparł zadowolony Paavo i pomyślał, żeby powiedzieć mu o wypisaniu rozkazu, ale zrezygnował. Postanowił, że spróbuje następnym razem, jeżeli Seppo dalej nie będzie wykonywał poleceń szefa. – Dobranoc, Torsten.

– Dobranoc.

To była dobra rozmowa. Paavo był zadowolony, bo stworzył sobie dobrą pozycję do zdobycia rozkazu. Najlepiej byłoby, gdyby Torsten sam to zaproponował. To było możliwe, bo znajdował się w coraz trudniejszej sytuacji, choroba Sanny, atmosfera świąt, psychiczne niezrównoważenie Seppa i zatroskany premier. Paavo zrozumiał, że ma wpływ na kształtowanie jednego parametru tego algorytmu, a Torsten długo nie wytrzyma i będzie musiał podjąć jakieś decyzje. Zasłanianie się swoim sekretarzem nie rozwiąże sytuacji. Paavo doszedł do wniosku, że stan psychiczny Seppa jest najlepszym powodem do jego odsunięcia i musi pomyśleć, jak go rozwinąć.

To był całkiem udany proces analitycznego wypracowywania decyzji w trudnej sytuacji – pomyślał zadowolony Paavo i podniósł się z fotela.

Zgasił lampkę na stoliku. Przez chwilę patrzył na sylwetkę nagiego klonu na tle rozgwieżdżonego nieba i ruszył w kierunku schodów.

Wszedł na piętro. Drzwi do sypialni były uchylone. Paavo zawsze je zamykał, więc zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Drzwi do pozostałych czterech pokoi były zamknięte. Podszedł bliżej i zajrzał przez szparę. Wewnątrz było ciemno i poczuł ciąg zimnego powietrza. Od razu zrozumiał, że okno jest otwarte. W pierwszej chwili pomyślał, żeby zbiec do zbrojowni i wziąć pistolet, ale zrozumiał, że tylko ostrzegłby intruza. A poza tym jest zbyt przewrażliwiony. Pchnął stare, ciężkie drzwi, które cicho zaskrzypiały.

Pokój wypełniała księżycowa poświata, a w oknie kołysała się zasłona. Zapalił światło i rozejrzał się po sypialni. Nikogo nie zauważył. Podszedł do okna. Było uchylone na kilkanaście centymetrów. Rozsunął zasłony i zaczął oglądać parapet. Na podłodze też nie dostrzegł żadnych śladów. Wyjrzał na zewnątrz. Sypialnia była na pierwszym piętrze. Do ziemi było ponad siedem metrów, ale nie zauważył żadnych śladów na śniegu.

Po ścianie nikt by nie wszedł, ale po drabinie bez trudu – pomyślał. Ale kto by chodził wokół domu z taką wielką drabiną.

Nagle przypomniał sobie, że w szafce koło łóżka zostawił pager „Zoria”. Niemal przebiegł przez pokój. Otworzył szufladę. Pager był na miejscu, ale Paavo odniósł wrażenie, że leży inaczej niż zwykle.

53

Obudził mnie telefon. Była dokładnie siódma rano, za oknem ciemno. Od razu wiedziałem, że to Razumow. Włączyłem nagrywanie i podniosłem słuchawkę.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem, Dirk – odezwał się cicho kapitan.

– Ależ skąd – odparłem, starając się zachować spokój. – Piję poranną kawę.

– Chciałem z tobą chwilę porozmawiać, a mam mało czasu. To dla mnie bardzo ważne. Bardzo ważne…

– To ty dzwoniłeś do mnie dwa razy?

– Tak, ja. – Podniósł głos o ton wyżej i zaczął mówić szybciej. – Dlatego dzwonię tak wcześnie, bo nie mogłem cię zastać, a wkrótce będę miał problem, żeby się połączyć. Nie dzwonię z domu i nie mam czasu. Ach… nieważne…

– Słucham cię, Wadim. Coś się stało? – zapytałem spokojnie, ale czułem, że Razumow jest zdenerwowany. Wiedział, że wszystkie rozmowy wychodzące z ZSRR są pod kontrolą.

– Chciałem tylko zapytać, czy jesteś w Helsinkach…

– Nie rozumiem.

– Dobrze! – Razumow zmienił ton. – Chciałbym cię prosić o pomoc… tego lekarza…

– Oczywiście, pamiętam.

– Sprawa jest bardzo pilna. W takim razie przyjeżdżam dzisiaj, więc chciałem tylko zapytać…

– Dzisiaj? Zabierz wszystkie dokumenty.

– Oczywiście, mam gotowe. Dziękuję… bardzo dziękuję…

– Nie dziękuj. Jeszcze nic nie zrobiłem. Zadzwoń, jak przyjedziesz.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Siedziałem na łóżku ze słuchawką telefonu w dłoni. Vicky usiadła naprzeciwko i wpatrywała mi się w oczy, jakby chciała zapytać, co się

stało. Wyglądało na to, że Wadim rozpaczliwie szuka pomocy.

Wiedziałem, że jeżeli nasza rozmowa zostanie wyłapana przez rosyjskie służby, Razumow już do Helsinek może nie wrócić. Zaczną ustalać, z kim rozmawiał, i ustalą, choć zajmie im to trochę czasu, bo miałem dobrą legendę, ale nie idealną.

Najwyraźniej szwagier też nie pomógł? A może stan Nadii jest beznadziejny i Wadim po prostu rozpaczliwie szuka dla niej ratunku? Gdziekolwiek. Przecież mógł zadzwonić po przyjeździe, a sięgnął po telefon o siódmej rano w Leningradzie, jakby czekał na ten moment po nieprzespanej nocy. To nie był ten sam kapitan Razumow ze spacerów na Kulosaari, który zawsze wiedział, co robić. Człowiek jest zadziwiający, ale nie jest arcydziełem.

Wbrew zagrożeniu zdecydował się na telefon do obcego człowieka, którego ledwie znał, i z pewnością wiedział, dlaczego to robi. Pan życia i śmierci, dowódca atomowego okrętu z lodowatych głębin, a mówił głosem zrozpaczonego dziecka. A wydawałoby się, że oceany są zbyt wielkie, zbyt potężne na pospolite cnoty.

Wiedziałem, co będzie dalej, chociaż jeszcze nigdy wcześniej nie stałem wobec takiego dylematu. Jak wszyscy szpiedzy znałem naszą ezoteryczną konwencję życie za informacje, ale dotąd ćwiczyłem ją tylko w teorii. Wydawało się, że minęły czasy zimnej wojny i ten dylemat stracił na ostrości, a jednak poczułem się paskudnie. Niespodziewanie nabrałem wątpliwości, jakbym to ja musiał wybierać. Nie byłem na to przygotowany. Miałem być sędzią, prokuratorem i obrońcą we własnej sprawie. Szpiegowski trójkąt dramatyczny, którego nienawidziłem, ale który czasami pojawiał się wbrew mojej woli.

Razumow wracał do Helsinek jeszcze tego samego dnia. Higgins wyjechał, Raymond w Londynie, Seppo znikł, a ja musiałem natychmiast znaleźć pomoc dla Nadii, a bez wsparcia Finów nie byłem w stanie nic zrobić.

Vicky stała się już bardzo nerwowa i kręciła się przy drzwiach. W Londynie była piąta, więc postanowiłem najpierw ją wyprowadzić, a potem zadzwonić do Raya. Problem Vicky wyglądał chwilowo na pilniejszy. Kontakt z Colbergiem i tak musiał zaczekać, aż się zjawi na Vauxhall Cross. Tylko telefon szefa do Torstena Koivista mógł uruchomić sprawę lekarzy w Helsinkach, ale nie wykluczałem też Londynu. Chciałem, żeby wszystko było gotowe, gdy Razumow wysiądzie na Dworcu Centralnym. Chciałem pomóc Nadii, której nawet nie widziałem, bo czułem, że wraz z nią zniknie

ktoś tak piękny jak kapitan Wadim Razumow, tańczący walca w Pałacu Admiralicji.

Tak, cały czas pamiętałem, dlaczego wszedłem w życie tego człowieka, ale teraz zależało mi tylko, żeby mu pomóc. Polubiłem kapitana. Marynarza, który kochał psy. Wiedziałem, że wdzięczność kiedyś przyjdzie, ale gdyby nie przyszła, i tak poruszyłbym niebo i ziemię.

Zrobiliśmy z Vicky spacer na kąpielisko. Temperatura wzrosła do minus pięciu i od razu poczułem ulgę. Przez tyle dni piętnastostopniowy mróz dawał się wszystkim we znaki. Vicky najwyraźniej też to odczuła, bo harcowała w śniegu bardziej ochoczo niż poprzednio.

Wróciliśmy piętnaście po ósmej i uznałem, że już czas obudzić Raya. Chciałem usłyszeć jego zdanie. Wiedziałem, że ta wiadomość zelektryzuje go do tego stopnia, że zadeklaruje swój natychmiastowy przyjazd. Będzie twierdził, że sam nie dam rady. Wolałem jednak, żeby Ray był teraz moim łącznikiem z Colbergiem.

Ray odebrał po pierwszym dzwonku.

– Cześć!

– Cześć! Co się stało?

– Idź natychmiast do C. Sprawa pilna. A nawet pilniejsza niż jakakolwiek i kiedykolwiek.

– Och! *Fuck*! – rzucił z przejęciem Ray. – Co jest?

– „Arlekin” jutro wraca i potrzebuję najlepszych lekarzy… konsultantów od neurochirurgii nowotworowej tu, w Helsinkach, albo w Londynie, Amsterdamie… kurwa… gdziekolwiek!

– Wszystko rozumiem! – odparł Ray. – Wiem, co mam robić. Wiem! Załatwiam sprawę i przylatuję do ciebie.

– Nie. Zostań. Będziesz mi teraz bardzo potrzebny tam na miejscu, a tu na razie do niczego mi się nie przydasz.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Nooo… nie wiem…

– Nie komplikuj! – rzuciłem zdecydowanie.

– Nooo… dobrze, ale jakby co… To wiesz!

– Wiem. Czekam na twój telefon.

– Okej.

Wszystko wskazywało na to, że spędzę cały dzień przy telefonie. Sprawdziłem, pociąg z Leningradu przychodził o osiemnastej. Czyli musiałem

odwołać spotkanie z Mariną.

Potrzebowałem kontaktu z Seppem. Bez zabezpieczenia rezydentury KGB i przypilnowania Portnoya zajęcie się Nadią i kapitanem mogło się okazać niemożliwe. Moja rozmowa z Razumowem mogła być wychwycona przez KGB, a także jego dwie wcześniejsze próby, więc musiałem działać szybko. Nawet jeżeli się zorientują, że pomogłem kapitanowi, to będą go dokładnie pilnować. Wiedzą, że człowiek dla ratowania ukochanej osoby zdolny jest do wszystkiego.

Nagle zdałem sobie sprawę, że przecież Mauno kontroluje mój telefon, więc Seppo powinien wiedzieć już o Nadii i rozmowie z Rayem. Jeżeli nie odezwałby się do południa, miałem do niego zadzwonić wbrew temu, co mi sugerował. Postanowiłem jednak zaczekać najpierw na sygnał od Raya.

I po chwili jak na zamówienie zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, panie van der Welde – odezwał się Witalij Batulis.

– Aaaa… dzień dobry panu. Czyżby coś się działo w sprawie mojego zamówienia? – Zaskoczył mnie ten telefon. To trzeci kontakt. Najwyraźniej coś się działo.

– No właśnie, zajmuję się teraz tym tematem i miałbym kilka pytań.

– Proszę, niech pan pyta – rzuciłem, ale wiedziałem, że nie ma żadnych pytań w sprawie zamówienia, tylko chce się spotkać i za chwilę zaproponuje kawę.

– Wie pan, to może wypijemy kawę, na przykład w takiej kafejce w tym małym centrum handlowym na Kulosaari. Co pan na to?

– Jestem trochę zajęty.

– Zajmie chwilkę.

– Chyba że tak. To może za piętnaście minut.

– Świetnie – powiedział wyraźnie zadowolony. – Do zobaczenia.

Wydarzenia nabrały dynamiki, jakiej nie było od początku mojego przyjazdu do Finlandii. I to akurat wtedy, kiedy zostałem sam. Wpłynąłem nagle w środek tropikalnego tajfunu i musiałem pilnować swojego statku. Nie wiedziałem, gdzie mnie wyrzucą wiatry, ale zdawałem sobie sprawę, że muszę mocno dzierżyć ster.

Byłem pewien, że Seppo wkrótce zadzwoni. Tworzyła się masa krytyczna i trzeba było działać. Odniosłem wrażenie, że możemy przejąć inicjatywę i uzyskać przewagę.

Była jedenasta. Włożyłem kurtkę, czapkę i buty ze Stockmanna. Mróz wyraźnie zelżał, więc postanowiłem zabrać Vicky, która w ostatnich dniach

dużo czasu spędzała w domu. Założyłem jej obrożę i poszliśmy na spotkanie z Batulisem.

Nie miałem żadnego konkretnego planu. Po prostu byłem ciekawy, czego ode mnie oczekuje. Zakładałem, że niczego jeszcze nie uzyskał w sprawie mojego zamówienia, a jedynie chciał się spotkać, by podgrzać kontakt. Miałem zamiar dać mu szansę. Chociaż nadarzała się wyjątkowa okazja, żeby porozmawiać o kapitanie, szczególnie teraz, zdecydowałem się nie podejmować żadnych ofensywnych działań, dopóki nie porozmawiam z Seppem.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Portnoy wyjechał z Finlandii.

54

Pod nieobecność Portnoya Borys i Piotr dyżurowali na zmianę, ale tylko w nocy. W sekretariacie była stara kanapa, więc praktycznie większość czasu spali lub oglądali filmy. Utrudnieniem okazała się wymiana kaset wideo, którą musieli robić co dwie godziny.

Z wtorku na środę dyżur miał Piotr. Wrócił do mieszkania kilka minut po ósmej i od razu poszedł się wykąpać. Borys siedział w kuchni i jadł śniadanie.

– Mróz zelżał! – zawołał Piotr z łazienki przez otwarte drzwi.

– Widziałem.

– Tylko Lemieszew wyjechał, od razu się ociepliło.

– Pójdziemy później się przejść? – krzyknął Borys, bo z łazienki doleciał szum wody.

– Co?

– Nic – zamruczał.

Po kilku minutach w kuchni pojawił się Piotr owinięty ręcznikiem i z włosami zaczesanymi do tyłu. Na ramieniu miał tatuaż tygrysa w wojskowym berecie, a na plecach dwie grube kilkunastocentymetrowe blizny przecinające się jak spłaszczony krzyż.

– Masz tu herbatę i kanapki. – Borys podsunął mu talerzyk. – Wyspany jesteś? Jak się czujesz?

– Bardzo dobrze. Świetnie. A co?

– Pomyślałem, że możemy pójść się przejść nad morze. Zupę mamy na obiad. Będzie jak znalazł po powrocie.

– Dlaczego nie – powiedział Piotr z pełnymi ustami, popijając herbatą.

– Nie mów, jak jesz.

– Co?

– Bo się udławisz.

– Eeee…

– Nie eee… tylko tak! Duchy cię nie dopadły, a dzielny szurawi udusił się żółtym serem w jakiejś pierdolonej Finlandii. I na chuj będą ci wtedy te

baksy i kolekcja Orlowski.

– Wal się, Boria! – rzucił Piotr, wciąż wlewając herbatę do pełnych ust. – Tak, dobrze byłoby się przejść. Od tygodnia nie wychodziłem i nawet nie zauważyłem. Tylko przez parking do ambasady i z powrotem. Ty chodzisz przynajmniej sobie poruchać, a ja co… – Piotr urwał i odsunął od siebie pusty talerzyk. – Nic! Wrócimy do ojczyzny. I co dalej? Żadna nowa wojna się nie szykuje, chyba że domowa. Wydawało mi się, że w wiadomościach z Wilna mignął mi chudy Poljakow z drugiego oddziału…

– Wiem, ten… no… ten z Heratu?

– Tak, chyba on był… w cywilu… ale na służbie. Wiesz, jaką robi głupią minę, gdy ma za paskiem klamkę. Można go w cyrku pokazywać albo jakimś muzeum figur woskowych. Skąd oni wzięli takiego świra – skomentował Piotr z wyraźnym rozbawieniem.

– Jeżeli to był on, to znaczy, że coś się szykuje i będą trupy. To jest jeden z tych młotkowych… gdy masz tylko młotek, to wszystko wygląda jak gwóźdź. Więc pewnie będzie jak wtedy w Heracie.

– To świr pierdolony. – Piotr podniósł się od stołu. – Dobrze, że my teraz jesteśmy tutaj w tej nooo… Nie, Boria?

– Jasne. – Borys też wstał i wstawił talerze do zlewu. – To się ubieramy i idziemy. Szkoda dnia.

Poinformowali dyżurnego, że wychodzą na spacer, i po piętnastu minutach już byli przed budynkiem. Wielki termometr przy drzwiach wskazywał minus pięć. Niebo od wschodu szarzało i prószył drobny śnieg.

Skręcili w prawo, w stronę terminalu promowego, gdzie zaczynał się nadmorski bulwar. To była ich stała trasa spacerowa. Chodzili tamtędy kilkanaście razy i nigdy im się nie znudziła, chociaż poza morzem nie było na niej nic ciekawego. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale obaj czuli, że największą jej zaletą jest płaski teren i brak gór. Byli w otwartym terenie i nie musieli się rozglądać. Prawie dwie godziny patrzyli tylko na morze, pod nogi i najczęściej milczeli. Wracało im dobre samopoczucie i wrażenie równowagi.

Wybierali dni powszednie, kiedy bulwary świeciły pustkami. Pogoda była obojętna.

Dlatego Borys wiedział, że to będzie najlepsza okazja, żeby poważnie porozmawiać z Piotrem. Tym bardziej że ich sąsiadem z szóstego piętra był wszystko widzący Winogradow.

Nie wiedział, jak zacząć i co właściwie chce osiągnąć. Nie wiedział, czy ma namówić Piotra, żeby z nim został w Finlandii, czy prosić go o zrozumienie, że nie wraca już do Rosji.

Aleksi i Markko nie dali mu żadnej odpowiedzi ani nawet wskazówek, tylko kazali czekać. Ale Borys nie mógł czekać, tak przejął się tym, co się stało. Sytuacja, do której doprowadził, go przerosła. Nie miał żalu do panów z fińskiego KGB, a nawet czuł do nich sympatię, ale obwiniał się, że nie potrafił wyjaśnić, dlaczego Pietia jest dla niego taki ważny. A może to oni nie potrafili zrozumieć, o czym mówił. Ludziom się tylko wydaje, że wiedzą, co to jest przyjaźń – uważał Borys. Braterstwo broni, czyli przyjaźń sprawdzoną w boju, może przerwać tylko śmierć. Tego żaden cywil nie zrozumie. Dlatego musiał tę najważniejszą sprawę w swoim życiu załatwić sam i nie czekać na radę Finów.

Po tym, co powiedział Finom o Portnoyu, Batulisie i innych oficerach KGB, nie czuł się dobrze, ale nie miał już odwrotu.

Szli ramię w ramię pustym bulwarem. Nad morskim horyzontem wisiało blade słońce i za chwilę miało się skryć w chmurach.

Borys patrzył pod nogi i zastanawiał się, od jakich słów powinien zacząć, i nie mógł znaleźć odpowiednich. Wiedział, że od tego, co teraz powie i w jaki sposób, zależy to, co się stanie później. Piotr musiał usłyszeć wyraźną żołnierską deklarację, bardziej rozkaz niż radę, bo ich przyszłość to nie był temat do dyskusji.

– Co będziesz robił, jak wrócimy do kraju? – zapytał Borys.

– Nie wiem jeszcze. Coś wymyślimy, nie? – odparł Piotr. – Może zaczną się jakieś nowe wojny. Przydamy się. Czuję, że będą nowe wojny.

– Naprawdę chcesz jeszcze walczyć, chcesz być taki jak ten Poljakow? – Borys poczuł, że Piotr nakierowuje go na właściwą ścieżkę.

– Coś ty, Boria! Ochujałeś! – Piotr uśmiechnął się gorzko. – My już się nawojowaliśmy, teraz liczy się tylko miłość i moja bogini Teresa Orlowski. – Klepnął Borysa w plecy. – Żartowałem!

– To znaczy? Z czym żartowałeś? Z tą wojną czy z miłością?

– Z tą Orlowski oczywiście. Bo wojna to nie żarty, Boria, przecież wiesz. A co mielibyśmy robić po powrocie? – Piotr niespodziewanie zmienił ton i zaczął mówić przez zaciśnięte zęby. – Pójdziemy do pracy? Praca męczy człowieka, dlatego też tak się nazywa, a wojna to przyjemność. A nic tak nie niszczy człowieka jak przyjemności. No nie mam racji? Nie ma dla

nas przyszłości, Boria! Możemy tylko wrócić do Afgana, żeby tam zginąć… drugi raz.

Borys zorientował się, że Piotr wpadł w depresyjny nastrój, i pomyślał, że jednak źle zaczął. Odniósł wrażenie, że zrobił jakiś błąd i niepotrzebnie przyjaciela sprowokował. Od miesięcy Pietia nie mówił w ten sposób, ale Borys liczył, że to chwilowe pogorszenie nastroju. Nie miał żadnego planu rozmowy. Liczył na dobry humor Piotra podczas spaceru, na dobry zbieg okoliczności, ale wyglądało na to, że przekonanie go do nowego pomysłu na przyszłość straciło sens. Dlatego postanowił zaczekać i pozwolić Pietii mówić spontanicznie w oczekiwaniu na to coś, co pozwoli mu spróbować raz jeszcze. Dopiero rozpoczęliśmy ten jebany spacer – pomyślał Borys.

– A ja zastanowiłbym się jednak nad czymś nowym. Rozejrzał się za czymś – odezwał się niepewnie.

– Ja bym chciał otworzyć pierwszą radziecką wypożyczalnię wideo, najlepiej na Arbacie, z takim wielkim czerwonym neonem… – Piotr zatrzymał się i pociągnął ręką, jakby malował po niebie. – Teresa Orlowski w ZSRR albo *Emmanuelle*, albo *Rambo.*…

– Na Arbacie wypożyczalnia z filmami porno?! Ochujałeś do reszty, Pietia?! Z łagru byś nie wyszedł.

– No może być w GUM-ie albo gdzieś na Twerskiej. Ale to i tak na psi chuj się zda! – Piotr nagle posmutniał. – Wszystkie filmy są w PAL-u, a u nas jest przecież SECAM. Można przerobić nasze rubiny, ale to i tak do dupy. Tłumaczyłem ci to już kiedyś.

– Jasne, jasne, pamiętam.

– Myślałem o tym i trzeba byłoby wypożyczać ludziom filmy razem z telewizorem. A wszyscy ludzie oglądają pornosy, prokuratorzy i nasi też, i Gorbaczow z Lemieszewem pewnie też. – Piotr wpadał w euforyczny nastrój.

– No tak…

– No tak! Portnoy sam pożyczał przecież *Emmanuelle*. Pamiętasz? Wszystkie części brał!

– No to co chcesz robić po powrocie? O legalnej wypożyczalni możesz zapomnieć, bo skąd weźmiesz legalne kasety z naszym lektorem albo napisami? Możesz taką prowadzić, ale w piwnicy na Tagance.

– Wiem, wiem… – rzucił Piotr z rezygnacją.

– No, chyba że Gorbaczow pozwoli…

– Pozwoli? Chuj jebany wódki nie daje się ludziom napić, to na pornosy pozwoli? Ech… Boria! Nie ma dla nas przyszłości, nie ma! Trzeba się z tym pogodzić i już. Możemy zrobić na koniec skok, podpierdolić cały magazyn wódki i sprzedać tej twojej Leenie. Obliczyłem, że gdybyśmy sprzedali sto flaszek stolicznej, to w Rosji mielibyśmy tysiąc pięćset albo i dwa tysiące… moglibyśmy pić parę lat i dla kolegów by starczyło. – Piotr klepnął Borysa w ramię i obaj się roześmiali.

– Ty rzeczywiście Pietia masz nos do interesów i do gangsterki też nie mniejszy. Poczucie humoru też. Ale szkoda ciebie na naszą radziecką rzeczywistość, ale może kiedyś przyjdzie twój czas i zostaniesz prawdziwym biznesmenem. Coś się przecież zmienia.

– Nie mamy przyszłości, Boria, my nie mamy! Jesteś taki naiwny – rzucił Piotr i pokręcił głową zrezygnowany. – Wrócimy i będziemy zabijać albo sami zginiemy, jak nie od kuli, to od gorzały. Tacy jak my od Rosji nigdy się nie uwolnią. My jesteśmy jej poślubieni. Ech…

Piotr znów zaczął popadać w depresyjny nastrój, nawet głębszy niż kilka minut wcześniej. Borys pomyślał z niepokojem, że ma teraz tylko dwa wyjścia. Może wycofać się i zakończyć rozmowę albo ruszyć do ataku bez względu na to, jakie to spowoduje szkody. Nagle dotarło do niego, że być może właśnie ta jego nadopiekuńczość jest przekleństwem, może chroniąc Pietię, tylko utrwala jego stan i utwierdza sam siebie w przekonaniu, że to najlepsze, co może zrobić. Nigdy nie próbował nim potrząsnąć, jakby bał się, że porcelanowy posklejany żołnierzyk rozsypie mu się w rękach.

– Wydaje mi się, że jednak mamy jakąś przyszłość, Pietka – odparł niepewnie Borys. – Mam nawet konkretny pomysł. Nawet więcej niż pomysł, ja już coś zrobiłem, żeby…

– Coś ty, kurwa, zrobił? – przerwał mu Piotr podniesionym głosem. Stanął w miejscu i spojrzał Borysowi w oczy z wściekłością.

55

Paavo przyjechał na Ratakatu tuż po dziewiątej.

Mia już była. Ubrana w czarny obcisły sweter, który podkreślał jej kształtne piersi i biodra. Zwykle ubierała się w ciemne, luźne i niemodne garsonki, a włosy nosiła rozpuszczone. Zawsze bez makijażu, sprawiała wrażenie zimnej, a nawet odpychającej. Nieraz zastanawiał się, co Seppo widział w tej szarej biurowej myszy. Tym razem miała wysoko upięte włosy i Paavo zauważył, że ma długą i kształtną szyję.

Wygląda całkiem atrakcyjnie – pomyślał zaskoczony swoim odkryciem.

Siedziała przy komputerze i coś pisała.

– Cześć, Mia – rzucił w drzwiach.

– Cześć – powiedziała, nie odrywając wzroku od monitora. – Szefa nie ma – dodała zaraz.

– Wiem.

– Wiesz?

– No wiem, a co?

– Nic – odburknęła. – Możesz iść do domu albo na zakupy. Prezenty już kupiłeś. Prawie cała firma na urlopie.

– To co ty tu robisz? – zapytał, wchodząc do swojego pokoju.

– Czekam na ciebie.

– Na mnie? – Paavo zatrzymał się w drzwiach.

– Tak, na ciebie. Musimy porozmawiać.

– Porozmawiać? Oczywiście… poczekaj… rozbiorę się tylko.

Paavo wszedł do swojego gabinetu, ale zostawił otwarte drzwi i zaczął powoli ściągać kurtkę. Dlaczego przyszła do pracy tylko z jego powodu?

Poczuł niepokój. Zastanawiał się, co Mia może od niego chcieć, bo przecież okazywała mu niechęć.

– Zrobisz kawę?! – zawołał, chociaż czuć było jej zapach.

– Zrobiłam.

– Idę! – rzucił, wziął kilka głębokich oddechów i wszedł do sekretariatu.

Mia siedziała już przy stoliku, na którym stały dwie filiżanki i talerzyk z imbirowymi ciasteczkami.

– Zapalimy? – zapytała, dotykając paczki papierosów. – Wywietrzymy potem. – Wstała i uchyliła okno.

– Rzadko palę, ale…

– Ja też, ale sprawa jest poważna, więc papierosy dodadzą nam powagi – powiedziała z ironią.

Paavo nie wiedział, czy Mia żartuje, czy nie. Usiadł przy stoliku, założył nogę na nogę i wziął od Mii papierosa. Zapalili.

– Więc… cóż to za poważna sprawa? – zapytał.

– Właściwie dwie sprawy – odparła, wypuszczając dym bez zaciągania. – Obie poważne, bo jedna dotyczy Torstena, a druga Seppa, a ty możesz pomóc. Liczę na ciebie.

Diabeł nie przychodzi jako zło, przychodzi jako dobro, którego nie oczekiwałeś. Tak przestrzegał ojciec – pomyślał Paavo, uśmiechając się do Mii.

– Ile lat się znamy? – zapytała.

– Ze dwadzieścia. Jeszcze kiedy byłem w obserwacji.

– Dwadzieścia dwa i pięć miesięcy. Sprawdziłam, a dwadzieścia jeden lat temu przyszedł do nas z policji Seppo. Sześć lat i trzy miesiące byłam jego żoną, a Torsten jest szefem od ośmiu lat. Ty jesteś jego sekretarzem od siedmiu lat i czterech miesięcy – wyliczała Mia, puszczając kłęby dymu i strzepując nerwowo popiół do popielniczki. Paavo nigdy jej takiej nie widział. – Widzisz, ile to już lat, a nasze SUPO to przecież mała służba…

– No ale co chcesz przez to powiedzieć?

– Jak to co? Chcę powiedzieć, że wszyscy się dobrze znamy i powinniśmy sobie pomagać. Jesteśmy jak rodzina z tym, co dobre i złe, prawda?

– Oczywiście. – Paavo nieco zdezorientowany zgasił papierosa. – Zawsze możesz na mnie liczyć. Chyba nie muszę tego mówić.

– No właśnie! – Uniosła lekko brwi. – Musimy działać razem. Dlatego chciałam prosić cię o pomoc. Sytuacja robi się niebezpieczna i jeżeli nie połączymy sił, może dojść do tragedii.

– Mia! – Pokręcił głową. – Nie rozumiem. Możesz mówić jaśniej? Domyślam się, że…

– Tak! Tak! – Znów podniosła głos. – Chodzi o Seppa. Od tego wydarzenia w Medvaście dzieje się z nim coś niedobrego, i jest coraz gorzej. Początkowo myślałam, że jest w szoku, a potem zaczął wygadywać coś o radzieckim szpiegu, że wie, kto to jest, że go zabije, zemści się. No…

mówił spokojnie, przekonująco, więc mu uwierzyłam, chociaż wiedziałam od dawna, że ma fobię na punkcie kreta u nas. Też byłam bardzo przejęta.

– Mia. Seppo jest szefem kontrwywiadu, wyłapywanie kretów to jego zadanie. Może ma podstawy, żeby tak przypuszczać. W końcu ktoś chciał go zabić.

– Nikt nie zna Seppa tak jak ja. I nie jest tajemnicą, że nasze małżeństwo rozpadło się z powodu jego różnych obsesji. Nigdy o tym nie mówiłam na głos, nie skarżyłam się, ale tak to niestety wyglądało. Zresztą wiesz, jak jest, bo sam przecież też się rozwiodłeś. Na Ratakatu wszyscy wiedzą, że Seppo to uparty, wręcz zawzięty Karel, ale ja wiem znacznie więcej. Jednak mimo wszystko zależy mi na nim i nie chciałabym, żeby sobie coś zrobił…

– Sobie zrobił? – wtrącił się ostro Paavo.

– Nie, nie… nie miałam na myśli, że się targnie na życie, ale odnoszę wrażenie, że popada już nie tylko w obsesję. Siedzi w Santahaminie i nieustannie kombinuje, wymyśla nowe teorie i podejrzewa wszystkich. Zmusza Erkkiego i tego policjanta Marttiego, żeby znosili te jego obsesje, a oni udają, że znoszą. Rozmawiałam z Erkkim wczoraj wieczorem i wszystko zrozumiałam. Nie mają żadnych dowodów na nic ani żadnego podejrzanego, a to nakręca Seppa jeszcze bardziej. Znasz go, im więcej ma dowodów, że to jest kłamstwo, tym bardziej wierzy, że ma rację. Po prostu zaczyna wariować i szuka wrogów już w najbliższym otoczeniu…

– Porozmawiam z Erkkim.

– Nie masz co rozmawiać, bo Erkki jest absolutnie lojalny wobec Seppa i nic ci nie powie. Rozmawiał ze mną prywatnie, bo ja to ja, i sugerował, żebym o wszystkim poinformowała Torstena. Postanowiłam, że pojadę dzisiaj do Santahaminy i porozmawiam z Seppem, zobaczę, w jakim jest stanie, chociaż dobrze wiem, że niełatwo poznać, co się dzieje.

– Droga Mio. – Paavo położył rękę na jej dłoni. – Powiem szczerze, stan Seppa jest mi znany. Mam podobne obserwacje i… muszę ci to powiedzieć, to ja namówiłem Torstena, żeby ukryć Seppa w Santahaminie, pozornie dla jego bezpieczeństwa, ale przede wszystkim, żeby go odizolować od sprawy i dostępu do firmy. Seppo od czasu pewnego zdarzenia z naszym agentem w Tallinnie zrobił się wyjątkowo nerwowy. Potraktował to jak osobistą porażkę, a może nawet zniewagę. Zresztą są też inne powody… nazwijmy je politycznymi, i decyzje premiera. Torsten oczywiście to wszystko wie i akceptuje.

– No właśnie! – obruszyła się Mia. – No właśnie! Rozmawiałam o tym wczoraj z Torstenem, wszystko mu opowiedziałam, tak jak tobie teraz, ale… – Urwała w pół zdania.

– Ale co?

– No właśnie! Torsten ma teraz inne sprawy na głowie. Powiedział mi, żebym rozmawiała z tobą i żebyśmy razem zastanowili się, co dalej robić. Inaczej mówiąc, Torsten nie ma teraz do tego głowy i ja go rozumiem. Powiem nawet więcej, jemu też trzeba pomóc. Z jego żoną jest gorzej, niż on to pokazuje. Jestem w kontakcie z jego córką, więc wiem.

– Dobrze, Mia. Co chcesz robić, jaki masz plan? Jak możemy jeszcze pomóc Seppowi? – Paavo próbował sprowokować Mię. – Dorosły człowiek, do bólu uparty, nie słucha poleceń Torstena, więc co możemy jeszcze zrobić? Szef jest w trudnej sytuacji, bo z jednej strony ciężko chora Sanna, z drugiej przyjaciel Seppo, a nad szyją jeszcze miecz premiera. Rzeczywiście, jeżeli czegoś nie zrobimy, Torsten się podda. Ale nie wiem, co mielibyśmy… – Przerwał, udając zadumę, ale wiedział, co chce powiedzieć. – Z polecenia szefa jestem kimś w rodzaju jego oka i ucha, ale nie mam żadnego wpływu, więc…

– Tak, wiem, wszystko wiem. Dlatego rozmawiamy.

– Dobrze byłoby, gdybym mógł szczerze porozmawiać z Erkkim, a najlepiej, gdybym wszedł do tego ich tajnego zespołu. Mielibyśmy kontrolę nad tym, co robi i planuje Seppo, i moglibyśmy informować odpowiednio wcześniej Torstena. Byłem wczoraj w Santahaminie i rozmawiałem z nim o moim udziale w dochodzeniu. Seppo zgodził się na mój udział w grupie, ale bez rozkazu na piśmie Torstena o dopuszczeniu mnie do ściśle tajnych materiałów kontrwywiadu nie ma mowy.

– Aha – zamruczała Mia, zaglądając do pustej filiżanki. – Jeszcze kawy? – zapytała, podnosząc się i nie czekając na odpowiedź, zgarnęła też filiżankę Paava.

– Tak, poproszę – rzucił za nią i dopiero teraz zobaczył, że Mia jest w obcisłych dżinsach. – Nie mówiłem o tym Torstenowi, bo nie byłem pewien, czy to konieczne, ale teraz widzę, że nie ma innego sposobu, żeby zbliżyć się do Seppa. To w końcu jego warunek i w sumie oczywisty. Takie są przepisy.

– Wiesz co – odezwała się Mia po chwili zastanowienia – zrobimy tak. Najpierw porozmawiam z Erkkim. Zobaczymy, co on o tym sądzi, bo bez niego, bez jego zgody, twoje wchodzenie w sprawę i wystawianie rozkazu

jest przecież bezsensowne. A jaki Erkki jest, to wiesz. To taka kopia Seppa przecież, tylko mniejsza. Ty sam nic nie rób. Zaczekajmy na jego końcowy raport, a to będzie za tydzień, dwa…

– Przecież mówiłaś, że nic nie mają – powiedział zdziwiony Paavo. – To dlaczego zajmie mu to tyle czasu?

– Nie wiem. Tak mówił Erkki – odparła, stawiając filiżanki na stoliku.

– Dopóki nie będzie raportu, premier nie wypuści Seppa z Santahaminy. Wiesz o tym?

– Wiem.

– Spędzi tam święta?

– Tak. Przyjadą do niego siostra i matka, ja też wpadnę.

– W takim razie – Paavo wydął usta i pokręcił głową – może namów go do zwolnienia się ze służby. To by rozwiązało wiele problemów – dodał niepewnie, ale wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Nie bądź śmieszny – rzuciła z nutką ironii. – A ty jak spędzasz święta? Kerstin wyszła za mąż? Jak twój syn?

Mia zmieniła temat, dając tym samym znak, że nie chce już mówić o Seppie.

Paavo pomyślał, że to był najbardziej udany dzień od chwili, kiedy kula z mosina omsknęła się po głowie Seppa. Pomoc przyszła z najmniej spodziewanej strony. Do tej pory uważał, że Mia stanowi dla niego zagrożenie, ale okazało się, że bardziej kocha Seppa, niż jego nienawidzi. Nie miał złudzeń, że to gra. Znał Karin, znał swoją siostrę i Mię też znał; znał wiele kobiet i wiedział, że mają przewagę nad mężczyznami, bo potrafią się zmieniać jak kameleon. Teraz musiał się zastanowić, dlaczego Mia się zmieniła i czy mówiła prawdę.

56

Batulis siedział na wysokim stołku w małej kawiarni przy kolekturze Lotto. Zobaczył Dirka, gdy tylko wyszedł zza rogu. Prowadził na smyczy psa i w pierwszej chwili pomyślał, że to Mors kapitana. Dopiero kiedy handlowiec podszedł bliżej, zorientował się, że to suczka.

Dirk zobaczył Batulisa przez okno i obaj pozdrowili się uniesioną dłonią.

– W końcu mróz zelżał – zaczął na powitanie Witalij. – Dzień dobry, panie Dirku. Jaką kawę pan pije?

– Dzień dobry – odparł, ściągając rękawiczki i kurtkę. – Czarną bez cukru.

Batulis wrócił z dwoma białymi kubkami.

– Taki sam piesek jak kapitana Razumowa – odezwał się, głaszcząc Vicky po głowie.

– Tak, to ona… seter irlandzki. Wabi się Vicky. Poznaliśmy się właśnie dzięki psom, tu na Kulosaari, na spacerach. Co nowego, panie Batulis? Czyżby miał pan dla mnie jakieś dobre wiadomości? Tak szybko?

– Myślę, że tak, ale wolałem się spotkać, żeby mieć pewność. – Batulis wyciągnął notatnik. – Mam potwierdzenie z Moskwy, że możemy w ciągu trzech tygodni dostarczyć pięćdziesiąt procent brzozowej tarcicy i dziesięć sosnowej, ale ta ostatnia ma takie parametry zawilgocenia. – Podsunął Dirkowi otwarty notatnik, a w nim zapisany techniczny wzór. – Może być?

– No… nie wiem tak od razu. Niech mi pan to zostawi. Muszę to sprawdzić u mojego odbiorcy i do pana oddzwonię.

Batulis wydarł kartkę z zapisem i położył przed Dirkiem, który schował ją do kieszeni.

– Bez pośpiechu. – Batulis uśmiechnął się szeroko. – Akurat do tego składu nie ma pan konkurencji, więc spokojnie może pan odpowiedzieć po Nowym Roku. Gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował, to jestem na miejscu i nigdzie nie wyjeżdżam. Dziękuję jeszcze raz za lunch.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Możemy po świętach wybrać się jeszcze raz.

– W takim razie jesteśmy w kontakcie i wesołych świąt, panie van der Welde, i szczęśliwego nowego roku, gdybyśmy mieli się nie zobaczyć. – Batulis zszedł ze stołka i pogłaskał Vicky, wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Dziękuję i nawzajem, panie Batulis.

Dirk wyszedł pierwszy. Pozdrowili się jeszcze raz przez okno wystawowe i dopiero wtedy Batulis zaczął się ubierać.

Nie spieszył się. To było krótkie spotkanie, ale bardzo owocne. Poszło znacznie łatwiej i Holender połknął haczyk. Zaryzykował, a właściwie zagrał va banque, ale musiał zrobić to dla kapitana. Chciał go chronić, bo się bał, że spotka go jakaś przykrość, a może nawet bolesne konsekwencje. Kapitan nie do końca rozumiał, jak wygląda życie na lądzie, że człowiek jest wilkiem. Za to Portnoy był wilkiem. Znał to środowisko jak mało kto i czuł się w nim jak ryba w wodzie. Nie odpuściłby kapitanowi, gdyby się dowiedział o panu van der Welde.

Batulis nie wiedział jeszcze, jak z tego wybrnie, gdyby okazało się, że się pomylił. Ale obserwując reakcję Holendra, był niemal pewien, że postąpił słusznie i nie będzie musiał kombinować. Opowie kapitanowi wszystko po kolei i wytłumaczy, dlaczego to zrobił.

Razumow to wspaniały człowiek, najwspanialszy, wybitny, miły i na pewno zrozumie. Póki nie ma tego zjeba Portnoya, mam swobodę działania. A Gorbienko może mnie pocałować w dupę. Zostało mi tylko spotkanie z „Kolą”.

Borys nie powiedział jeszcze, co zrobił, a Piotr na sam pomysł szukania przyszłości w Finlandii zareagował gwałtownie i emocjonalnie. Jasne było, że Piotr nie zrozumie go i nie zaakceptuje. Byłaby to dla niego za trudna decyzja i mogła tylko pogłębić jego depresję. Znał go lepiej niż siebie samego i wiedział już, że żadne przekonywanie nie wchodzi w grę.

Piotr bywał nieprzewidywalny, więc Borys nawet nie wspomniał o rozmowach z fińskim KGB. Wycofał się z pomysłu pozostania w Finlandii i wymyślił jakąś prostą historię o założeniu firmy ochroniarskiej w Moskwie. Piotr nawet tego nie skomentował, tylko spojrzał na Borysa z politowaniem i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Temat biznesu się wyczerpał. Szli w milczeniu, spoglądając w stronę białej tafli zamarzniętego morza.

Borys miał teraz poważny problem. Piotr wyraźnie odrzucił pomysły na szukanie lepszej przyszłości, zanim dowiedział się, co Borys ma mu do zaproponowania. Ale Borys zrobił już pierwszy krok i nie wiedział, czy może się jeszcze wycofać. I nie chodziło mu o Finów, bo Aleksi wyraźnie powiedział, że może to zrobić w każdej chwili, ale czy dla dobra przyjaciela powinien zrezygnować ze swojej przyszłości? Zrezygnuje z Leeny, a w zamian będzie dalej opiekować się Piotrem, który nawet nie chce dać sobie pomóc, i dalej będzie spuszczał po nim wodę w kiblu. Pomyślał, że to nieuczciwa wymiana, bo rezygnuje z przyszłości w imię przeszłości. Ale kochał go jak brata. Zdawał sobie sprawę, że w KGB jego pozostanie w Finlandii zostanie odebrane jak zdrada ojczyzny i część oskarżeń spadnie na Piotra, a to tylko pogłębi jego depresję.

Wygląda na to, że będę musiał sam podjąć decyzję – pomyślał. Na razie nic nie powiem Finom i zaczekam, pomyślę, zastanowię się jeszcze. A może załatwić to tak, żeby Pietia wrócił teraz do kraju? Wcześniej niż… ja tu zostanę – zastanawiał się Borys. Czyli decydujesz się na pozostanie, Boria?

– O czym tak myślisz? – odezwał się Piotr. – Gadasz do siebie?

– Nic, tak się zastanawiam.

– Nad czym?

– Aaa… tak, szkoda będzie zostawić Leenę. Bardzo ją lubię i wiesz…

– To ją zabierz. Jak cię kocha, to pojedzie.

– Nie pojedzie – odparł z rezygnacją Borys.

– Znaczy, że cię nie kocha.

– A gdzie będziemy mieszkać? W mojej służbowej kawalerce? W tym syfie? Finka w Bałaszysze, na łeb upadłeś. Tam przyzwoite Rosjanki nie chcą mieszkać, a co dopiero taka Leena.

– To ty zostań tutaj – rzucił Piotr, a Borys pomyślał, że się przesłyszał. Przeszedł jeszcze kilka kroków i się zatrzymał.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Ja bym został dla Teresy bogini pornosów, jakby poprosiła. Dla tych jej baloników chyba nawet byłbym gotów zabić. Mówisz, że Leena ma większe i piękniejsze, to…

– Ale co ja bym tu robił? Poza tym nasi się nie zgodzą. – Borys poczuł, że znalazł punkt oparcia, i zaczął sprawdzać Piotra.

– No… nie zgodzą się, na pewno. A zwiejesz, to kula w łeb, jak dla zdrajcy. Dostanę rozkaz, to sam cię odstrzelę. – Zarzucił mu rękę za szyję. –

Żartowałem! Nigdy bym tego nie zrobił. Wiesz przecież. Jestem ci coś winien.

– Wiem, wiem, ale w sumie coś mi podpowiedziałeś. Pomyślę. A wcześniej byłeś przeciw. Zmieniłeś zdanie czy co?

– Bo dla kobiety to co innego niż ot tak! To jest ważny powód, a nie byle co, jakiś biznes. Gdybym miał taką Leenę, to też bym pomyślał, a dla Tereski to na pewno.

Borys był zaskoczony. Wyglądało na to, że Piotr nie tylko zgodziłby się na pozostanie w Finlandii, ale także na ich rozstanie. Tak jakby nie potrzebował opieki Borysa, a nawet jej nie zauważał. Problem w tym, że za chwilę Piotr mógł zmienić zdanie. I Borys wcale nie był pewien, czy Pietia nie odstrzeliłby go, gdyby dostał taki rozkaz. Pewnie potem zastrzeliłby i siebie, ale to jeszcze bardziej komplikowało obraz.

Borys miał już dosyć tych rozmyślań, chociaż winił tylko siebie. Nikt go nie zmuszał do spotkania z Finami, mógł odmówić Leenie, miło dokończyć pobyt w Helsinkach i wrócić do Związku. Gdyby nie zaczął marzyć o nowym życiu, może nie miałby teraz takich problemów.

Ale nigdy wcześniej nie pomyślałby też, że Pietia mógłby go zabić. Aż do teraz.

57

Spotkanie z Batulisem było na szczęście krótkie.

Tak jak się spodziewałem, chciał podgrzać kontakt, a ja spieszyłem się do domu, bo czekałem na telefon od Raya. Batulis mógł zapytać o to samo przez telefon. Od razu się zorientowałem, że zmyślał. Przez chwilę zastanawiałem się, żeby zapytać, czy wie o powrocie Razumowa, ale zrezygnowałem, bo nie chciałem uprzedzać faktów.

Wszedłem do mieszkania i z miejsca zobaczyłem migającą lampkę na sekretarce.

– *Zadzwoń!* – odezwał się Ray.

Oddzwoniłem natychmiast.

– Zapisz numer telefonu – rzucił od razu. – Masz już?

– Mam! – odparłem. Ray podyktował mi numer telefonu z kierunkowym w Helsinkach.

– To profesor medycyny Orvo Kuskonen z Uniwersytetu Helsińskiego. Wie, że zadzwonisz, i poprowadzi cię już dalej tam, gdzie trzeba. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– I nie próbuj nic robić samemu z tym wielkim łosiem. Trzymaj się od niego z daleka. Rozumiesz?

– No… tak, tak…

– Taka jest prośba koleżeństwa. Masz działać sam.

– Aha… Interesujące.

– Jutro mogę być u ciebie.

– Nie jesteś mi jeszcze potrzebny. Czekaj. Powiem ci, kiedy masz przyjechać.

– Pewny jesteś?

– Jestem! Nie nudź!

– Będziemy w kontakcie – rzucił Ray i rozłączył się.

Londyn się spisał, a właściwie Ray, bo dostać się do Jamesa i namówić go, żeby zadzwonił do Koivista, a ten dał kontakt do profesora z uniwersy-

tetu, nie było łatwym zadaniem. Najważniejsze, że miałem czym przywitać Razumowa, nawet ostrzeżenie przed kontaktami z Seppem nie poruszyło mnie tak jak ta prosta wiadomość.

Wybrałem numer do profesora Kuskonena. Odebrał natychmiast. Przedstawiłem się jako Dirk van der Welde. Profesor od razu powiedział, że wie, o co chodzi, i poinformował, że czeka na dokumentację choroby. Sam z siebie dodał, że z dokumentacją w języku rosyjskim da sobie radę. Zaproponował wizytę w swoim gabinecie następnego dnia o dziesiątej rano. Zapisałem adres i na tym rozmowa się zakończyła.

To była prosta sprawa, dwa telefony, do Londynu i do profesora, a czułem się, jakbym zrealizował najtrudniejszą operację w swoim życiu.

Pozostało mi czekać na kontakt od kapitana Razumowa. Nie zapytałem go, o której godzinie przyjedzie ani jaką drogą, bo nie chciałem ułatwiać zadania KGB, ale czas grał na moją niekorzyść. Istniał cień szansy, że KGB w ogóle nie wychwyciło naszej rozmowy, ale musiałem być na to przygotowany. Tym bardziej że nie wspierali mnie już ludzie Seppa.

Chodziłem po mieszkaniu i starałem się zaplanować następne sceny. Przewidzieć wszystkie drobiazgi, które mogły się pojawić i mieć znaczenie. Układałem sobie wersje pierwszej rozmowy z Razumowem, tak żeby wypadła autentycznie i przekonująco, żeby uwierzył w moje szczere intencje. Miałem realizować scenariusz, jakiego jeszcze nie ćwiczyłem, i za każdym razem, gdy układałem pytania i odpowiedzi, dochodziłem do wniosku, że wypadam niewiarygodnie. Intuicja podpowiadała mi, żeby pójść na żywioł.

Nawet nie zauważyłem, kiedy podczas spaceru zjadłem całe opakowanie kwaśnosłonych żelków i wypiłem litrową butelkę wody.

Dochodziła szesnasta. Za oknem zapadał zmrok. Telefon milczał. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że cały dzień przeżyłem na wodzie, kawie i żelkach, ale głodu nie czułem. Czułem za to coraz silniejszy ucisk w skroniach i wiedziałem, że będzie jeszcze gorzej, jeżeli czegoś nie zjem. Kiedy w końcu usiadłem, ból w nogach przypomniał mi o stresie, w który wkręcałem się z premedytacją. Miałem coraz silniejsze przekonanie, że moje zadanie w Helsinkach zbliża się do finału.

Z całego serca życzyłem Nadii i Wadimowi sukcesu w ich walce z chorobą. Obiecałem sobie jednak, że pierwszy nie wykorzystam tej sytuacji. Powiem kapitanowi prawdę tylko wtedy, gdy będzie chciał ją poznać. Powiem wprost, powiem wtedy, skąd się wzięła Vicky.

Zajrzałem do lodówki, ale wybór był niewielki. Miałem jajka, mleko i ser, więc postanowiłem zrobić omlet, chociaż wcale nie miałem na niego ochoty. Pomyślałem, że muszę czymś zająć ręce i zjem coś ciepłego. Najtrudniejsze w życiu szpiega jest czekanie. Każdy miał jakiś swój sposób, by zabić ten czas, ja lubiłem coś ugotować.

O osiemnastej czterdzieści zadzwonił telefon. Drzemałem w fotelu przy oknie i poczułem, jakby ktoś szarpnął mnie za ramię.

Odebrałem i chciałem już przywitać kapitana, gdy odezwała się Marina.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy z tobą wszystko w porządku – powiedziała spokojnym, miłym głosem bez śladu pretensji.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że przecież umówiłem się z nią o osiemnastej pod pomnikiem Aleksandra i chciałem głośno zakląć, ale się powstrzymałem.

– Bardzo, bardzo… – głos mi ugrzązł w gardle – ja naprawdę… Bardzo cię przepraszam, ale… ale nie wiem, jak to wytłumaczyć. Miałem zupełnie zwariowany dzień. Wybacz mi! – Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że zapomniałem. Mogłem przecież odwołać spotkanie. Marina przypomniała mi, że nie jestem doskonały i powinienem zachować więcej pokory.

– Nie ma problemu. Każdemu się zdarza.

– Przepraszam jeszcze…

– Nie rozpłacz się. Już wyraziłeś skruchę. To mi w zupełności wystarczy. Teraz zapisz sobie, że widzimy się w pierwszy dzień świąt o osiemnastej. W tym samym miejscu… na placu Senackim.

– Tak, oczywiście, zapisałem. Jeszcze raz…

– Do zobaczenia – rzuciła miło.

– Do zobaczenia, Marina.

Wróciłem na fotel pod oknem i pomyślałem, że po raz pierwszy zapomniałem o umówionym spotkaniu. Dla szpiega to poważny sygnał, że coś w nim nie działa. To był zły znak. Musiałem się teraz zastanowić, czy nie zrobiłem ich więcej i co zaciemnia mi obraz. Egzaltacja niespodziewaną zmianą sytuacji? Nadzieja na sukces?

Nie zdążyłem nawet pomyśleć o następnym pytaniu, gdy zadzwonił Razumow.

– Dobry wieczór, Dirk – odezwał się zmęczonym głosem. – Mogę przyjść?

58

Przyszedł po piętnastu minutach z wielkim pudełkiem rosyjskich czekoladek pod pachą i ormiańskim koniakiem w dłoni. Ale to nie był ten sam kapitan Wadim Razumow, którego pożegnałem kilka dni wcześniej.

Gdy stanął w drzwiach, miałem wrażenie, że się zmniejszył, schudł, a z nieogolonej twarzy znikła hardość. A mimo to uśmiechnął się pogodnie. Pomyślałem, że w odmienionym ciele tkwi ta sama silna dusza. Trudno było mi uwierzyć, że istnieje taka siła, która w ciągu kilku dni może odmienić człowieka odpornego na największe żywioły świata.

Czy to możliwe, że człowiek ze spiżu wciąż tańczy ze swoją Nadią *Drugiego walca*? – przeleciało mi przez myśl i aż się zdziwiłem, że mogę być tak ckliwy. Czy tak wygląda miłość?

– Dziękuję, że miałeś dzisiaj dla mnie czas – zaczął, gdy usiadł w fotelu.

Vicky przywlokła się z kuchni i położyła mu na kolanach głowę. Razumow pogładził ją z czułością. Podniosłem koniak, pytając, czy chce się napić, ale pokręcił głową.

– Nawet się nie znamy dobrze, a ty… – Przerwał, głaszcząc Vicky. – Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale…

– Nie ma o czym mówić. Mogę ci coś zaproponować? – zapytałem, siadając naprzeciwko.

– Nie, dziękuję. Nie zostanę długo. Jestem bardzo zmęczony.

– Kiedy przyjechałeś?

Spojrzał na zegarek.

– Pół godziny temu. Samochodem, a droga była trudna.

– Nadia?

– Została w Leningradzie.

– Myślałem, że…

– Jest w domu pod opieką lekarzy i synów. Nie nadaje się do podróży. Jest gorzej, niż przypuszczaliśmy, stąd taki szybki mój przyjazd. Nawet w ambasadzie nikt nie wie. Właściwie przyjechałem tylko do ciebie. – Razumow zaczął mówić, ale nie patrzył na mnie, tylko wciąż drapał Vicky

za uszami. – Wyjechałem zaraz po naszej porannej rozmowie. To szalone, ale nie miałem wyjścia. Jak by ci to wyjaśnić… telefon z Leningradu, ale kiedy powiedziałeś, żeby przywieźć dokumentację, zrozumiałem, że jest jakaś nadzieja, że coś możesz…

– Wszystko rozumiem. Nie musisz nic tłumaczyć. Jutro o dziesiątej profesor neurologii Orvo Kuskonen z Uniwersytetu Helsińskiego czeka na ciebie w swoim gabinecie. Wizyta bez żadnych kosztów. Masz zabrać całą dokumentację i rosyjski nie jest żadną przeszkodą. Tutaj wszystko ci zapisałem. – Podałem mu kartkę.

Razumow wziął ją i przeczytał. Podniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się we mnie, jakby chciał, żebym powiedział to jeszcze raz. W końcu jego twarz rozpromienił uśmiech, jakiego dotąd u niego nie widziałem.

– Dziękuję!

– Obiecałem. Mam nadzieję, że profesor pomoże i wszystko będzie dobrze.

– To miło z twojej strony, że tak się angażujesz, a przecież dopiero co się poznaliśmy. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Dotrzymujesz słowa, co dzisiaj nie jest zbyt popularne. Dlatego będę z tobą szczery… bo mogę być szczery, a to jest dzisiaj jeszcze mniej popularne. Ludzie stają się sobie coraz bardziej obcy, a niby świat staje się lepszy i powinni być też lepsi. – Vicky wróciła do kuchni, a Razumow oparł się wygodnie i kontynuował: – Nadia prawdopodobnie nie wyjdzie z tego. – Pokiwał delikatnie głową. – Jestem tego świadomy. Guz zaburza funkcje mózgu i jest nieoperacyjny. Nasi lekarze nie są gorsi niż wasi, a może nawet lepsi, ale nie mają takich środków medycznych jak wy tu, na Zachodzie. Najważniejsze jest coś innego – ciągnął spokojnie Razumow. – Nadzieja. A to nie jest termin naukowy. Nadia ma nadzieję na cud, a jeżeli ona ma nadzieję, to ja muszę ją spełnić. A cud to coś, czego jeszcze nie opisała nauka. Dlatego zrobimy wszystko, by sprawdzić, czy przypadkiem nie jesteśmy w tej jeszcze niepoznanej sferze. Wiem, że to brzmi zimno jak Ocean Lodowaty, ale tam, na morzu, w głębinach, nadzieja bywa jedynym sposobem, by przeżyć, i trzeba się jej nauczyć. A nadzieja to wiara i Nadia wierzy, że nie umrze… i ja też. – Wydawało mi się, że z kącika jego oka wypłynęła łza, którą roztarł. – Dajesz nam nadzieję, Dirk!

– Nie mów tak – wykrztusiłem przez zaciśnięte gardło. – Nic nie zrobiłem. Ja po prostu chciałem tylko…

– Zrobiłeś – odparł zdecydowanym tonem. – Nie pomogły mi moje władze, twierdząc, że sprawa jest beznadziejna… beznadziejna! Nie pomogli ambasador, ministrowie, generałowie ani admirałowie, bo lekarze radzieccy stwierdzili, że to przypadek beznadziejny, a w Związku Radzieckim nie ma przecież przypadków beznadziejnych, przynajmniej w świadomości ludzi radzieckich. Dlatego też zatonął Komsomolec. To trochę skomplikowane, Dirk, nie będę cię zanudzał. Chcę tylko powiedzieć, że doceniam twoje serce, Nadia… moi synowie… Aleksandr i Maksym też.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą jutro do profesora?

– Dziękuję, ale to nie ma sensu na tym etapie. Profesor pewnie będzie potrzebował czasu, żeby się zapoznać z dokumentacją, więc to potrwa. Wkrótce Boże Narodzenie. Przez ten czas zostanę tutaj. Chciałbym wrócić do Leningradu na Nowy Rok. – Kapitan podniósł się ciężko z fotela. – Pójdę już. Jestem bardzo zmęczony. Dziękuję ci jeszcze raz za wszystko. Będziemy w kontakcie.

– Zadzwoń, jak będziesz już po wizycie u profesora.

Odprowadziłem go do drzwi. Włożył kurtkę. Przyszedł bez czapki i rękawiczek.

– Wiem, że Witalij robi, co może, żeby ci pomóc z tym zamówieniem na tarcicę, ale… – rzucił, trzymając już dłoń na klamce. – Będę szczery, nie licz na zbyt wiele. – Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem i znikł na klatce schodowej.

Gdy zatrzasnęły się drzwi, pomyślałem, że Wadim Grigoriewicz Razumow zburzył całą moją filozofię werbunkową, ale nie byłem zaskoczony. Poczułem do niego sympatię i prawdziwe współczucie. Klasyczny werbunek wydawał mi się niemożliwy już wcześniej, a teraz byłem pewien, że stał się nierealny. Gdybym zasugerował mu jakiś sposób na okazanie wdzięczności, ustawiłbym się w jednym szeregu z tymi, których odrzucił. Kapitan nie był z tych, którzy kupują nadzieję. Od chwili, kiedy poznałem bliżej Razumowa, zauważyłem, że to człowiek żelaznych zasad i prawdziwy dowódca. Takie też były opinie Oliviera, Louisa i Seppa. Nie będzie negocjował, będzie walczył. Tym bardziej że chodziło o jego miłość i życie. Zaskoczył mnie aż tak osobistym wyznaniem. Nie przewidziałem tego.

Sytuacja rozwijała się w dobrym kierunku, ale nie wiedziałem, jak się do niej ustawić, i byłem coraz bardziej przekonany, żeby pozwolić się jej rozwijać spontanicznie. Nie mogłem być nadgorliwy ani dopuścić się niedopatrzenia. Powinienem reagować z dystansem i nie narzucać się. Miałem cze-

kać, kiedy Razumow sam zaproponuje współpracę? Znów czekać? A jeśli nie zaproponuje, miałem się wycofać? To było jedyne rozwiązanie. Czułem się chwilami, jakbym to ja był winny choroby Nadii i jego cierpienia. A jednak byłem człowiekiem ważnym w ich życiu i być może ode mnie zależała ich przyszłość.

Spojrzałem na zegar. Sklep spożywczy zamykali za piętnaście minut. Pomyślałem, że zdążę jeszcze zejść i kupić torebkę żelków.

Wciągnąłem kurtkę i buty, których nawet nie zapiąłem. Zapomniałem czapki, więc założyłem kaptur i wyszedłem na zewnątrz. Do sklepu miałem sto metrów. Po kilku minutach wracałem z torebką cukierków i już od rogu zauważyłem czerwone światła samochodu i chmurę spalin wyrzucanych z rury wydechowej. Stał na wprost wejścia do mojego domu. Od razu zwrócił moją uwagę. Ulica była bez przejazdu i parkowały tylko samochody mieszkańców, które już znałem.

Schowałem się w załomie ogrodzenia. Wyglądało to tak, jakby samochód na kogoś czekał. Na przednich siedzeniach zobaczyłem kontury dwóch postaci. Z tej odległości nie mogłem dostrzec numerów rejestracyjnych, więc wysunąłem się z kryjówki i zakryty kapturem ruszyłem chodnikiem po drugiej stronie ulicy.

Fińskie numery były proste i nie musiałem zapisywać. Podszedłem do samochodu od tyłu. Był to biały peugeot 505. Zdążyłem zauważyć, że wewnątrz siedzi dwóch mężczyzn i spoglądają w stronę mojego domu. Przeszedłem dalej i po kilkudziesięciu metrach wszedłem na posesję po przeciwnej stronie.

Po minucie samochód ruszył. Przejechał powoli do końca ulicy i zawrócił. Znów zatrzymał się przed moim domem i zaraz ruszył ostro w stronę wyjazdu.

59

Razumow zadzwonił do Batulisa, gdy tylko przekroczył w Vaalimaa granicę. Zapytał krótko, jak wygląda sprawa tarcicy dla Holendra, powiedział, że właśnie jedzie do Helsinek, powinien dotrzeć na miejsce około osiemnastej i chciałby się zobaczyć jeszcze tego dnia i porozmawiać.

Batulis był zaskoczony, że kapitan wraca już do Helsinek i mówi otwartym tekstem. Odparł, że sprawa jest w toku, o wszystkim poinformuje i będzie czekał na telefon w przedstawicielstwie, bo i tak ma sporo pracy. Skłamał, nie miał nic do roboty, ale musiał tak powiedzieć, bo telefon był pod kontrolą Finów i wyrywkową wewnętrznego kontrwywiadu.

Batulis znał oficerów, którzy przeglądali rozmowy ambasady, i nie obawiał się ich podejrzliwości. Mimo wszystko musiał uważać, bo Portnoy po powrocie dostanie informację, że Batulis rozmawiał z Razumowem, który dzwonił spoza ambasady. Dlatego spokojnie dokończył śniadanie, dopił herbatę i postanowił zadzwonić do Holendra. W ten sposób w zestawieniu kontrwywiadu wszystko będzie się zgadzało, czyli potwierdzi, że sprawa jest w toku. Gdyby ktoś przeprowadził szczegółową analizę ich kontaktów telefonicznych, mógłby nabrać jednak wątpliwości.

Batulis wiedział, że ze względów oszczędnościowych nagrywani są tylko ci dyplomaci, którzy są podejrzani, a on miał status specjalny i Portnoy nie pozwoliłby na jego inwigilację. Zawsze mogło być jednak coś, o czym nie wiedział, więc starał się wszystko dobrze uzasadniać.

Najważniejsze było jednak to, że szczerze chciał pomóc kapitanowi. Kiedy poznał Wadima Razumowa, obiecał sobie, że będzie go chronił ze wszystkich sił, tym bardziej że konflikt z Portnoyem był niemal oficjalny. Nie wiedział dokładnie, o co chodziło, bo krążyły różne wersje w zależności od osobistych czy służbowych sympatii, ale Batulis dokonał własnego wyboru. Kapitan był przystojny, uczciwy, inteligentny, niezależny, uprzejmy i jako jedyny w ambasadzie miał psa. W przekonaniu Batulisa lista zalet Razumowa była dużo dłuższa, ale już to wystarczyło, by stanąć po jego stronie.

Początkowo nie wiedział, co łączy kapitana z Holendrem. Dowódca atomowego okrętu podwodnego nie chodził wolno i byłby wartościowym celem każdego wywiadu. Razumow był wyjątkowo inteligentny, odpowiednio przeszkolony i z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo wszystko nie był zawodowcem i mógł dać się wciągnąć w jakąś kombinację. Portnoy też o tym wiedział i tylko czekał na błąd kapitana, żeby uderzyć w GRU.

Dopiero po spotkaniu w kolekturze Lotto zorientował się, że połączyło ich zamiłowanie do psów. To mógł być przypadek, a nawet szczera sympatia, ale mogła być też zaczepka obcego wywiadu. Razumow mógł się dać wciągnąć, a Holender był bardzo przebiegły. Po pierwszych dwóch spotkaniach widać już było, że jest zbyt inteligentny jak na handlarza drewnem. Chwilami miał nawet wrażenie, że rozmawia z kolegą po fachu, który dobrze wie, z kim ma do czynienia, i wysyła mu sygnały zachęcające do zbliżenia. Batulis liczył się z tym, że to mogło być zawodowe złudzenie, ale dobrze znał ludzi z Zachodu, miał szpiegowski gen i nie raz już prowadził takie rozmowy. Nie bez powodu miał tak wysokie oceny w kierownictwie.

Holender mu odpowiadał, kontakt dobrze się układał, więc postanowił nie meldować o tej znajomości Portnoyowi, tym bardziej że musiał chronić Razumowa.

Jednak rozmowa przy kolekturze Lotto dostarczyła Batulisowi mocnego dowodu, że jego podejrzenia wobec Holendra są uzasadnione. Przekazał mu kartkę z zapisem parametrów technicznych drewna, który sam wymyślił. Van der Welde spojrzał na kartkę i zapowiedział, że musi porozumieć się z odbiorcą. Batulis uznał, że jako pośrednik w handlu tarcicą powinien od razu zauważyć absurdalność zapisu. Mało prawdopodobne było, żeby nie zwrócił na to uwagi. Legenda Holendra zachwiała się i Batulis poczuł satysfakcję, że rozszyfrował go tak łatwo.

A może chciał, żebym go zdekonspirował? – pomyślał. Gdyby miał wobec mnie jakieś zamiary, przyspieszyłby w ten sposób dialog. Inteligentne zagranie i obstawiałbym MI6, a nawet grupę, którą wyłapał „Kola”, ale oczywiście to nie ja jestem celem, tylko kapitan Razumow.

Batulis siedział w swoim biurze na Kulosaari i czekał na telefon. Zastanawiał się, co powinien zrobić ze swoimi odkryciami. Miał dwa rozwiązania. Poinformuje Portnoya, zapunktuje mocno w Moskwie i odsunie od siebie podejrzenia o nieudolność, ale dobije Razumowa. Mógł też o wszystkim poinformować kapitana i go ostrzec. Nie tylko zyskałby jego wdzięczność,

lecz także zachował kontakt do Brytyjczyków. Dirk van der Welde wyglądał na mocną figurę. Czasy były niepewne, a taki sprawdzony kanał miał swoją wartość i mógłby się kiedyś przydać. Miał też całkiem sporo do sprzedania, w tym prawdziwy brylant, czyli „Kolę".

Gdy zadzwonił Razumow, Batulis jeszcze nie zdecydował, które rozwiązanie jest mu bliższe, ale wiedział, że jeżeli wybierze kapitana, to będzie musiał mu powiedzieć teraz. Trochę go dziwiło, że chce się spotkać tak szybko, zaraz po męczącej drodze z Leningradu.

Z przedstawicielstwa handlowego do mieszkania Razumowa było czterysta metrów, więc przejście zajęło mu ledwie kilka minut.

Kapitan kręcił się po domu.

Batulis od razu zauważył, że źle wygląda.

– Droga była trudna, ale szybko pan przyjechał. Co się stało, że przerwał pan urlop? A gdzie jest Mors?

– Chodź! – zawołał z kuchni Razumow. – Zjesz coś?

– Nie, dziękuję.

– Pozwól, że ja coś przegryzę. Od rana nic nie jadłem. Usiądź. – Wskazał na krzesło. – To powiedz mi, jak ta sprawa mojego znajomego. Da mu się jakoś pomóc?

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem, ale nie byłbym optymistą w tych terminach, o jakie prosi. Opór naszej radzieckiej materii – tłumaczył Batulis. – Spotkałem się z nim kilka razy, nawet dzisiaj rano, i mam wrażenie, że rozumie sytuację. Nie naciska, nie jest szczególnie nerwowy, a nawet powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Jeżeli to takie ważne, to może pan porozmawiać z ambasadorem albo nawet Portnoyem. W końcu jestem tylko szeregowym pracownikiem.

– Wiesz, sprawy się skomplikowały i zależy mi, żeby mu pomóc. Chodzi o gest, życzliwość. Po prostu to sympatyczny gość. – Na chwilę przerwał i odłożył kanapkę, której nawet nie ugryzł. – To nie jest żadna tajemnica, nie ukrywałem tego, ale tobie powiem. Moja Nadia jest ciężko chora i ma niewielkie szanse, żeby z tego wyjść.

– No tak, coś słyszałem, ale nie żeby…

– Ma glejaka mózgu. W naszej klinice leningradzkiej nic już nie mogą zrobić, więc szukam jeszcze… no i Dirk obiecał pomóc. Nie wiem, ile to warte, co może zrobić, ale muszę spróbować. To mój jedyny kontakt na Zachodzie, który coś obiecał. Za chwilę będę się z nim widział, więc chcę wiedzieć… Sam rozumiesz.

Batulis poczuł ucisk w gardle.

Wyznanie kapitana o chorobie żony dużo bardziej przybiło Batulisa, niż potrafił to okazać. Dla Batulisa Razumow był kimś więcej niż ojciec. Był jego wymarzonym ojcem.

Chwilę wcześniej podjął decyzję, żeby powiedzieć kapitanowi o swoich podejrzeniach, ale teraz nie był już pewien, czy powinien to zrobić. Być może van der Welde zamierzał wykorzystać dramat kapitana, żeby go podejść. A to, co przed chwilą powiedział Razumow, tylko potwierdzało te podejrzenia.

Dotarło do niego, że ma trzecie wyjście. Nic nie mówić. Przynajmniej przez jakiś czas, aż się zastanowi. To był najgorszy moment, bo odebrałby mu nadzieję.

– Dobrze, Witia. Muszę iść do Dirka, tak że… – Podniósł się od stołu, na którym leżała nienaruszona kanapka.

– Panie kapitanie! – Batulis wstał niemal jednocześnie. – Gdybym mógł coś dla pana… dla pana żony zrobić, jeśli mogę się do czegoś przydać, to jestem do dyspozycji, w każdej chwili.

– Dziękuję, przyjacielu. – Razumow uśmiechnął się, podszedł do Batulisa i objął go. – Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne, że jesteś tu teraz… Jedź już. Jest późno, a ty czekałeś na mnie… więc…

– Trzymaj się, kapitanie! – Batulis ścisnął mocno Razumowa. – W takim razie już jadę – rzucił i poczuł, jakby miał za chwilę się rozpłakać.

Wrócił do przedstawicielstwa, gdzie zostawił samochód, i po kilkunastu minutach jechał już do centrum. Odczuwał koszmarny natłok myśli i doszedł do wniosku, że jeżeli nie wypije trochę wódki, to nie uspokoi się i nie zrozumie, co się wokół niego dzieje. Ale najbardziej było mu żal kapitana. Okazało się, że jego ideał, spiżowy, niezłomny dowódca, Posejdon, okazał się zwykłym śmiertelnikiem. Pragnął odpędzić tę myśl, ale ona wracała. Czuł, że jeżeli się nie napije, rozklei się jeszcze bardziej, a właśnie teraz powinien być twardy, bo jeżeli ma pomóc kapitanowi, musi chłodno ocenić sytuację.

Wszedł do mieszkania. Rozebrał się w przedpokoju i od razu poszedł do kuchni, gdzie na stole stała butelka stolicznej. Wlał sobie pół szklanki, ale nie wypił. Pomyślał, że byłby to jednak objaw słabości. Akurat teraz powinien radzić sobie bez wspomagania. Wypije ją, jeżeli uzna, że już wszystko wie. Na przypieczętowanie decyzji.

Przykrył szklankę talerzykiem i poszedł do łazienki. Po kilku minutach przebrany w dres wrócił do salonu i zasiadł w fotelu. Włączył pilotem telewizor. Miał ustawiony program CNN, ale bez dźwięku.

Na czerwonym pasku przeczytał napis: „Pilne: gwałtowny wzrost napięcia w Litwie! Gorbaczow wprowadza wojsko do Wilna”. Na ekranie pojawiły się sceny z ulic miasta, ludzie wznoszący okrzyki, a potem tłum otaczający kordon żołnierzy radzieckich przed litewskim parlamentem. Batulis siedział z pilotem w dłoni i zastanawiał się, czy włączyć głos. Nie był pewien, czy chce wiedzieć, co się dzieje w Wilnie. Szczególnie teraz, kiedy miał się zastanowić nad sprawą Holendra. Wiadomości z Litwy zaczęły działać na niego depresyjnie. Wierzył, że mimo ogłoszenia niepodległości wszystko dobrze się zakończy, ale kiedy zobaczył oddziały specnazu przed parlamentem, poczuł, że jest gorzej, niż przypuszczał. Zbliża się przesilenie i może się stać coś złego.

Nie włączył głosu. Poszedł do kuchni, wychylił wódkę i wrócił do salonu. Założył słuchawki i nastawił swoje globalne radio na stację Lietuvos radijas I.

60

Borys stał na balkonie, palił papierosa i obserwował, jak Batulis służbowym passatem wjeżdża na parking. Postawił samochód na swoim miejscu, ale zablokował samarę Winogradowa. Batulis zawsze parkował precyzyjnie, tak żeby inni mieli dostęp do swoich samochodów, ale teraz postawił pod kątem, tak że Winogradow nie będzie mógł otworzyć drzwi.

Borys pomyślał, że Batulis zrobił to celowo, i pogratulował mu pomysłowości. Zdusił papierosa w puszce po sajrze i wrócił do mieszkania. Wkrótce zaczynał dyżur. Musiał się jeszcze wykąpać i coś zjeść.

Piotr leżał na kanapie i oglądał film.

Spacer nad brzegiem morza do niczego nie doprowadził, ale Borys wiele się dowiedział. Przede wszystkim nabrał pewności, że z Piotrem się nie dogada. Nie potrafiłby zrozumieć ani zaakceptować pozostania w Finlandii. To był dla niego obcy, niezrozumiały świat. Piękny tylko w filmach. Wiedział, że rzeczywistość taka nie jest, i bał się konfrontacji. Wolał to, co znał, czyli Związek Radziecki w jego obecnej postaci i platoniczno-masturbacyjną miłość do Teresy Orlowski. Tego był pewien. Ale prawdziwym problemem było dojmujące wrażenie, że Piotr może też nie zaakceptować jego decyzji o pozostaniu. Czyli może potraktować go jak zdrajcę nie tylko ojczyzny, ale – co gorsza – jako tego, który zdradził ich przyjaźń, co przy jego niestabilnym stanie psychicznym mogło niebezpiecznie eksplodować. Borys nie wierzył, że miłość do Leeny mogłaby być alibi, które według Piotra usprawiedliwiałoby pozostanie w Finlandii. Zauważył natomiast, że po powrocie ze spaceru przyjaciel zrobił się bardziej milczący. Najwyraźniej coś kombinował.

Borys postanowił nie wracać już do tego tematu i uznał, że decyzję musi podjąć dość szybko, najlepiej przed powrotem Portnoya. Musi wiedzieć, co ma robić, i przygotować się, bo w tym stanie psychicznym Piotr mógłby się wysypać przy byle okazji. Nie wyczuwał delikatności sytuacji. Wystarczyłoby, żeby komuś po wódce powiedział, że Borys chciałby zostać w Finlandii, albo Winogradow coś wywęszył.

Problem w tym, że Finowie, którzy mieli zabezpieczyć mu przyszłość, liczyli na coś innego. Czuł, że utkwił w klinczu i coraz bardziej się pogrąża. Nie potrafił znaleźć rozwiązania. Najgorsze było to, że nie miał z kim porozmawiać ani nikogo nie mógł się poradzić. Piotr faktycznie stał się już przeszkodą, a może nawet wrogiem.

Borys nagle pomyślał o Batulisie, jedynym człowieku w ambasadzie, do którego czuł szczerą sympatię. Byli prawie w tym samym wieku. Witia był mu coś winien za ratunek z pozostawionym samochodem, za obronę przed Portnoyem i ukrycie anonimu Winogradowa. Nagle Borys zdał sobie sprawę, że dysponuje potężnymi argumentami, by je wymienić na życzliwość Batulisa. Poczuł niespodziewany przypływ nadziei. Batulis był oficerem, miał doświadczenie z wielu krajów, znał dobrze KGB i był prawą ręką Portnoya do zadań specjalnych. To było trochę dziwne, że Batulis z jednej strony był zaufanym rezydenta, a z drugiej go rozpracowywał.

Borys dopiero teraz uzmysłowił sobie, że na pewno kryje się za tym jakaś tajemnica. I musiało to być coś szczególnego, bo żaden z innych oficerów rezydentury nie miał podobnych kłopotów, chociaż byli i tacy, którzy umieli nieźle namotać.

To bardzo dobry punkt wyjściowy do rozmowy z Batulisem – pomyślał Borys, zamykając za sobą drzwi. Nie mogę mu powiedzieć o Finach ani Leenie, ale tylko o tym, że chcę zostać na Zachodzie. Powiem mu o problemach z Pietią, powiem mu wszystko, że jest świrem wojennym i jak go przemyciłem do Helsinek. Niech pomyśli, jak wybrnąć z tego gówna, ale żeby go ochronić. W końcu anonim Winogradowa wciąż leży w moim biurku. Jak mu powiem, że chcę zostać za granicą, i nic nie zrobi, nie zamelduje o tym Portnoyowi, będzie współwinny – podsumował z zadowoleniem Borys. Tak to przecież działa. Kurwa, jakie to proste! – pomyślał, schodząc po schodach.

Zszedł na szóste piętro, gdzie mieszkali Batulis i Winogradow.

Na klatce schodowej zgasło światło. Borys przyłożył ucho do drzwi Winogradowa i przez chwilę nasłuchiwał. Domy mieszkalne na terenie ambasady wybudowało radzieckie przedsiębiorstwo w latach sześćdziesiątych z tanich materiałów, więc były bardzo akustyczne. Wszyscy o tym wiedzieli i dostosowywali swoje życie prywatne do tych warunków. Dlatego Borys mógł usłyszeć, jak ściszonym głosem Winogradow kłóci się z żoną, siarczyście przeklinając. Nie przejmował się, że ktoś może go usłyszeć, bo to on pisał anonimy do Portnoya.

Dochodziła dwudziesta druga. Borys przyłożył ucho do drzwi Batulisa. Było cicho, żadnych dźwięków, nie słychać było nawet telewizora.

Niedawno przyjechał, jest wcześnie, więc na pewno nie śpi jeszcze – pomyślał Borys. Pewnie słucha tego radia litewskiego. Bardzo dobrze, bardzo dobrze… Sprawdzimy? Zastukał cicho do drzwi, chociaż mógł nacisnąć dzwonek. Jak siedzi w słuchawkach, to tego stukania nie usłyszy, a jak zadzwonię, to usłyszy też Winogradow – zastanawiał się i czekał, ale Batulis nie otwierał. Zastukał nieco mocniej, ale bez rezultatu.

Postanowił zatelefonować do Batulisa z sekretariatu.

Telefon Portnoya był poza kontrolą. Zbiegł cicho po schodach, wyszedł na parking i spojrzał w okna Batulisa. W salonie paliło się światło. Po chwili był w sekretariacie. Nie zdjął nawet kurtki, tylko od razu sięgnął po słuchawkę. Batulis odebrał po czterech dzwonkach.

– Obudziłem cię? – zapytał. – To przepraszam.

– Nie obudziłeś, oglądam telewizję – odparł Batulis pewnym siebie tonem.

– Aha… a Winogradow mówi coś innego – zażartował Borys.

– A co mówi?

– Że nie oglądasz telewizji, tylko słuchasz radia w słuchawkach.

– Żartujesz! – obruszył się Batulis i uniósł głos. – Zaraz pójdę i zajebię skurwysyna!

– Oczywiście, że żartuję. Nie denerwuj się, Witia… jakby co, to ci pomogę. Winda zepsuta. Można go na przykład zepchnąć ze schodów, gruby jest, światło się wyłącza… więc sam wiesz!

– Masz pomysły, Boria. Jak przystało na… was.

– Muszę z tobą pogadać, Witia. – Borys zmienił ton. – Poważna sprawa, osobista i tylko tobie mogę zaufać, póki nie ma tego… tu. Mam dzisiaj dyżur w sekretariacie. Może wpadniesz?

– No późno jest… – Batulis się zawahał. – Pilne? Ważne? Jestem trochę zmęczony, ale…

– No dobrze, jak nie dasz rady…

– Nie, no dam, dam.

– To czekam. Mam noc dzisiaj.

Batulis nie miał teraz najmniejszej ochoty wysłuchiwać problemów Borysa, ale nie mógł uwierzyć, że z tym litewskim radiem to czysty przypadek. Rzeczywiście siedział w słuchawkach i słuchał wiadomości z Wilna. W jaki sposób Winogradow to zauważył?

Spojrzał na ścianę w salonie po prawej, która odgradzała go od mieszkania Winogradowa. Ten nie mógł go podsłuchiwać, co najwyżej podglądać. Podszedł do ściany i zaczął ją oglądać z bliska. Sprawdzał centymetr po centymetrze. Podstawił krzesło, zajrzał pod obrazy i zdjął nawet makatkę z Sewastopola.

Borys żartował? To skąd, kurwa, wiedział? – zastanawiał się Batulis, wodząc dłonią po ścianie. To wręcz nieprawdopodobne, ale jeżeli coś tu znajdę, to za chwilę ta gruba świnia wyleci przez okno na ten swój wypieszczony samochód.

Badanie ściany zajęło mu kilka minut, ale nie znalazł nic podejrzanego, więc postanowił pójść do Borysa.

Musiał się dowiedzieć, skąd wiedział o radiu, bo inaczej ta myśl będzie go męczyć do rana. I tak miał już ból głowy z powodu Holendra. Do tego doszły wydarzenia w Wilnie. Musiał się natychmiast pozbyć chociaż jednego problemu.

Na ramiona zarzucił kurtkę, na nogi wcisnął adidasy i zbiegł po schodach na parter. Przechodząc przez parking, spojrzał na swój samochód i stojącą obok nową srebrną samarę Winogradowa.

Zatrzymał się, rozejrzał wokół i podszedł do samochodu. W dłoni trzymał klucze od mieszkania, więc ścisnął mocno najcieńszy z nich i pociągnął z całej siły po lewej stronie karoserii. Szedł od kierunkowskazu do reflektora. Słyszał, jak metal chrzęści i klucz wgryza się do żywej blachy. Poczuł ogromną przyjemność graniczącą z podnieceniem.

Przez chwilę pomyślał, żeby zrobić to samo z drugiej strony, ale zrezygnował, kiedy zobaczył, że nie ma przejścia, bo swojego passata zaparkował kilkanaście centymetrów od samary Winogradowa. Więc wyłamał mu jeszcze boczne lusterko i pobiegł do ambasady.

– Piękna robota, towarzyszu Batulis, po prostu mistrzostwo świata. Winogradow tego nie przeżyje. Jutro się zacznie! – zaczął Borys z szerokim uśmiechem, gdy tylko Batulis wszedł, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że na parkingu jest kamera. – Jego ukochany samochód! Będzie wiedział, że to ktoś od nas, bo nie wyjeżdżał od miesiąca, a akumulator trzyma w domu i codziennie go odśnieża. Brawo, towarzyszu Batulis! Brawo! – Borys zaczął klaskać. – I na koniec to lusterko. Z jaką finezją! Mistrzostwo świata! Chyba mu to świńskie serce pęknie.

– Nagrałeś to? – zapytał zaskoczony Batulis, spoglądając na monitory.

– No pewnie! Magnetowid Sharp, kaseta VHS Panasonic sto dwadzieścia – wyrecytował z dumą Borys, kładąc rękę na monitorze.

61

Wróciłem do mieszkania i od razu zadzwoniłem do Mauna.

– To wasz samochód kręcił się przed chwilą pod moim domem? – zapytałem.

– Nie – odparł.

– Dwóch mężczyzn w białym peugeocie pięćset pięć. – Podałem numer rejestracyjny.

– Sprawdzę. Coś jeszcze?

– Nie.

Odłożył słuchawkę.

Zacząłem się zastanawiać, kim mogli być ci mężczyźni. Zwykły przypadek i moje przewrażliwienie? Niewykluczone. Rozmowa z Razumowem kosztowała mnie wiele i moje emocje niemal zawrzały, więc mogłem widzieć duchy. Mój telefon nie był zastrzeżony, ale przypisany do innego adresu. Zatem jeśli byli to Rosjanie, to mogli przyjechać tylko za kapitanem, żeby sprawdzić, gdzie i z kim się spotkał. Znaczyło to, że jego telefony z Leningradu były podsłuchiwane. Ustalą jednak, że rozmawiał z kimś innym, niż się spotkał. A przynajmniej że nie był to ten sam adres. Popełniliśmy błąd. Nabiorą jeszcze większych podejrzeń, ale nie mogliśmy przypuszczać, że tak się potoczą wydarzenia i kapitan będzie dzwonił z Rosji.

Minęło ledwie kilka minut, gdy zadzwonił Mauno.

– Samochód jest zarejestrowany na Virtanena Kariego z Turku, lat osiemdziesiąt pięć.

– Znasz?

– Skąd mam znać! Nie znam!

– Dobrze. Sprawdzimy dokładniej.

– Muszę porozmawiać z Seppem! – wtrąciłem.

– No to rozmawiaj – rzucił w swoim stylu Mauno.

– No ale… Jak?

– Nie wiem. Coś jeszcze?

– Nie.

Odłożył słuchawkę. Jego wiadomość mnie uspokoiła.

Wciąż nie mogłem skontaktować się z Seppem. To nie było naturalne, wręcz dziwne. Potrzebowałem jego pomocy tu, na miejscu. Nie mogłem wszystkiego załatwiać przez Raya i Colberga. Wydawało mi się, że dam sobie radę sam, ale wydarzenia nabierały tempa i mogły mi się wymknąć spod kontroli. Coś się działo wokół mnie i potrzebowałem wsparcia. Opryskliwy Mauno mi nie wystarczał. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie ściągnąć Raya. Gina by mi tego jednak nie darowała, bo Ray gotów był wstać od świątecznego stołu i pojechać prosto na lotnisko.

Peugeot 505 był pierwszym ostrzeżeniem.

Vicky zaczęła kręcić się przy drzwiach. Przypomniałem sobie, że nie wyprowadzałem jej od spotkania z Batulisem i przez cały dzień dzielnie znosiła moje fochy.

Powinienem był ją wyprowadzić, kiedy szedłem do sklepu – pomyślałem. Będę musiał wyjść jeszcze raz. Mróz zelżał i nocny spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi.

Po chwili szedłem w stronę kąpieliska. Kulosaari szykowało się do snu. Była jasna noc, rześkie powietrze i Vicky od razu poczuła wolność. Gdy dotarliśmy do kąpieliska, spuściłem ją ze smyczy. W tym samym miejscu zaledwie tydzień temu staliśmy z kapitanem i popijaliśmy ormiański koniak z jego złotej piersiówki.

Trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie aż tyle się wydarzyło – pomyślałem, spoglądając na światła po drugiej stronie zamarzniętej zatoki. Za szybko! – dotarło do mnie i rozejrzałem się po pustym kąpielisku. Pierwszy raz jestem sam tutaj. Vicky biegała, jakby szukała Morsa.

Odprężyłem się. Spłynęło napięcie i mimo kompulsywnego zjadania żelków przez cały dzień poczułem głód. W domu nie miałem nic, z czego mógłbym przyrządzić jakieś danie, a na wyjazd do restauracji było za późno. Pomyślałem, że przeczekam do rana na cukierkach i soku pomarańczowym.

Zawołałem Vicky, która posłusznie dała się zapiąć na smyczy, i ruszyliśmy w stronę domu.

Wyszliśmy z lasu na słabo doświetloną ulicę. Spojrzałem w prawo i lewo. Jak zawsze o tej porze na Kulosaari było cicho i pusto.

Ominąłem zaparkowane samochody i miałem już przejść na drugą stronę, gdy poczułem za sobą czyjąś obecność. Vicky też się zaniepokoiła.

Zanim się obróciłem, usłyszałem męski głos mówiący po angielsku ze wschodnim akcentem.

– Ładny piesek. Seter irlandzki? – zapytał wysoki barczysty mężczyzna w granatowej kurtce marynarskiej i wełnianej czapce. – Fajny piesek, a raczej suczka. Prawda? Chyba młoda.

– Młoda.

Od razu wyczułem, że to nie przypadek. Mężczyzna zbliżył się, patrząc mi w oczy. Wyjąłem ręce z kieszeni, gdybym musiał się bronić. Byłem zaskoczony, ale się nie bałem. Za chwilę miałem usłyszeć wiadomość.

– Mój znajomy ma takiego samego pieska – rzucił. – Może by się kiedyś pobawiły?

– Tak? A gdzie mieszka znajomy?

– A tutaj niedaleko. – Machnął ręką. – Dobranoc. Niech pan uważa na pieska. Podobno jacyś źli ludzie podrzucają truciznę psom. Dobranoc. – Odszedł kilka kroków, zatrzymał się i dodał: – Szkoda byłoby Vicky, prawda? – Odwrócił się i wszedł w las.

To była wiadomość od Rosjan, że obserwują mój kontakt z kapitanem. Groźba wyrażona wprost i spontanicznie. To nie mogło być zaplanowane, bo skąd mogli wiedzieć, że wyjdę. Chociaż byłem zdenerwowany, spokojnie ruszyłem w stronę domu.

Skąd wiedzieli? Tyle zachodu, przygotowań, konspiracji, Vicky, legenda handlarza drewnem i wszystko na nic? W pierwszej chwili pomyślałem o Higginsie, ale przecież nie wiedział o powrocie Razumowa. Wiedział Mauno, bo kontrolował mój telefon, czyli wyciek mógł być u Finów.

Była jednak też dobra wiadomość, kapitan na pewno był czysty. To przedstawienie miało nas wystraszyć i zablokować kontakt. Zrobili to na wszelki wypadek, bo Razumow, jako dowódca okrętu podwodnego, jest dla nich wyjątkowo cenny. Nie mają nad nim kontroli. Wiedzą, że szuka pomocy dla żony, i nie są w stanie tego powstrzymać. To była jeszcze lepsza wiadomość. Namierzyli jego telefony do mnie i boją się, że mogą stracić kontrolę. Gdyby kapitan pracował dla nich, nie paliliby przecież sprawy w ten sposób. Nie mogłem tylko pojąć, dlaczego nie chcą mu pomóc. Przecież Razumow nie jest szaleńcem i rozumie, jaka jest sytuacja, wie, że szanse Nadii są niewielkie. Nie musieliby urządzać tego przedstawienia na ulicy. Nagle dotarło do mnie, że odpowiedź musi się kryć w samym Razumowie.

Wszedłem do mieszkania i od razu zobaczyłem czerwoną lampkę automatycznej sekretarki.

– Ten Virtanen z Turku…

– Nie żyje – przerwałem Maunowi.

– Tak, skąd wiesz?

– Wiem – odparłem, naśladując jego ton. – Powiedz Seppowi, że muszę się z nim zobaczyć. Natychmiast! W sprawie „Vipera”.

– Powiem.

Prawie nigdy tego nie robiłem, ale tym razem musiałem się napić. Znalazłem papierosy w kuchni, zapaliłem, wlałem sobie whisky i zasiadłem w fotelu. Miałem nadzieję, że Seppo, pobudzony kryptonimem „Viper”, wkrótce zadzwoni.

Skąd ten człowiek znał imię mojego psa? – zastanawiałem się. Jeżeli to nie „Viper”, to kto? Z tamtej strony tylko Batulis poznał dzisiaj rano Vicky. Mógł też Razumow opowiedzieć komuś w Leningradzie o naszej znajomości, i to było najbardziej prawdopodobne. Jestem zagrożony? Czy powinienem zostać w tym mieszkaniu? Szybko zrozumiałem jednak, że gdybym teraz je opuścił, to straciłbym kontakt z Razumowem. Co osiągnęliby Rosjanie, gdyby mnie zabili? Nic? A do Seppa strzelali? Uff… *Fuck*! Przecież wołałem Vicky na kąpielisku! – dotarło do mnie. Mógł usłyszeć.

Po spotkaniu z tajemniczym Rosjaninem nie czułem się już tak pewnie jak poprzednio, ale uważałem, że mimo to powinienem dociągnąć sprawę do końca. Wszystko wskazywało na to, że finał jest bliższy, niż przypuszczałem. Liczyliśmy tylko na to, że Razumow umożliwi nam kontakt z kapitanem Golicynem, powie, jak się do niego zbliżyć i jak z nim rozmawiać.

Najwyraźniej jednak GRU stanęło nam na drodze i musiałem znaleźć sposób, żeby ich ominąć. Podejrzewałem, że tak się może stać, ale nie przypuszczałem, że pojawią się tu tak szybko. Poczułem się zagubiony, może nawet trochę przestraszony, i pożałowałem, że nie ma ze mną Raya.

Obudziłem się w fotelu z potężnym bólem w karku i prawej nodze. Była piąta piętnaście. Musiałem natychmiast iść do toalety. Poderwałem się, ale natychmiast opadłem na fotel. Nie czułem nogi i musiałem ją szybko rozmasować, by zdążyć.

W łazience zmoczyłem twarz zimną wodą i doszedłem trochę do siebie.

Wracając, spojrzałem na telefon. Lampka automatycznej sekretarki nie mrugała. Nikt nie dzwonił.

Pewnie Mauno nie poinformował Seppa albo miał powód, żeby nie dzwonić. Jaki?

Mimo wszystko czułem się, jakbym był na wpół przytomny, i nie myślałem wystarczająco jasno. Uznałem, że powinienem jednak pospać jeszcze godzinę, a najlepiej dwie, bo czeka mnie pracowity dzień. Poszedłem do sypialni, rozebrałem się i wsunąłem pod narzutę.

Pomyślałem, że chciałbym się przytulić do Mariny, poczuć jej zapach i zwyczajnie zasnąć, ale nawet nie zdążyłem odpłynąć w to marzenie, gdy zadzwonił telefon.

– Jestem na dole – rzucił krótko Mauno.

– Gdzie? Kto?

– Zbieraj się. Jedziemy. Masz pięć minut. Stoję pod sklepem – dodał z właściwą sobie opryskliwością i się rozłączył.

Polubiłem Mauna jeszcze bardziej.

62

Po rozmowie z Mią Paavo się odprężył. Doskonale wiedział, że tylko udawała sympatię, ale okazało się, że mają wspólne interesy, a to wiązało ludzi lepiej niż cokolwiek innego. Najważniejsze, że Mia dała mu czas. Potrzebował kilku dni odpoczynku, ciszy, oderwania się od sprawy Seppa. Powstrzymania się od alkoholu, przynajmniej do spotkania z Griszą. Miał już przemyślaną wersję, którą mu przedstawi, ale musiał mieć teraz spokój i czysty umysł, żeby ją wypolerować.

I tak musiał czekać, aż Mia się odezwie i powie, co ustaliła z Erkkim, a to mogło potrwać, bo wszyscy wpadali już w świąteczny amok i zaczynało brakować czasu.

Następnego dnia wypadał czwartek. Paavo już dwa tygodnie wcześniej umówił się z Jussim, aktualnym partnerem Kerstin i szefem kancelarii prezydenta, na przedświąteczny lunch. Paavo pracował nad nim od kilku miesięcy, więc nie mógł odwołać spotkania. Moskwa pokładała w tej sprawie duże nadzieje, chociaż Paavo trochę podkoloryzował perspektywy.

Do Bożego Narodzenia zostały cztery dni, więc denerwowało go coraz bardziej, że nie kupił jeszcze świątecznych prezentów. Zawsze wiedział, co chce kupić. Listę miał długą i od miesięcy precyzyjnie dopracowaną. Nigdy nie zaniedbał tego obowiązku. To był jego ulubiony rytuał. Każdy prezent dobierał tak, żeby przekazać obdarowanemu jakąś wiadomość. Miał symbolizować coś ważnego, zmuszać do refleksji. Najczęściej robił to złośliwie, bo lubił obserwować, jak obdarowany rozpakowuje prezent, uśmiecha się i dziękuje Świętemu Mikołajowi.

Wjechał do garażu i odruchowo spojrzał w lusterka. Po wczorajszym zdarzeniu był trochę uwrażliwiony. Wysiadł z samochodu i najpierw sprawdził garaż, a potem wziął latarkę i obszedł dom. Nie znalazł żadnych śladów, chociaż spadł świeży śnieg.

Wrócił do samochodu i z bagażnika zabrał zakupy. Nie rozpakował ich. Postawił torby w kuchni i poszedł na piętro do sypialni. Od wczoraj, kiedy

po raz pierwszy poczuł się zagrożony w swojej fortecy, przeniósł pager „Zoria” z nocnej szafki do biblioteczki i ukrył za *Egipcjaninem Sinuhe.*

To była książka Karin. Paavo nigdy jej nie przeczytał, bo nie znosił Miki Waltariego. Uważał go za antyradzieckiego psychopatę, ale nie dlatego trzymał za nią pager. Była wyższa niż inne i łatwo było ją wyjąć.

Nie było żadnych wiadomości od Griszy, więc wrócił do kuchni rozładować zakupy i przygotować sobie kolację. Postanowił położyć się wcześniej, żeby wcześniej wstać i zacząć piątek z nowymi siłami. Nie zamierzał iść do pracy. Mii i Torstena też miało nie być, więc mógł spokojnie zacząć przygotowywać dom do świąt. Wieczorem miał przyjechać Lassi z synową, żeby przedyskutować świąteczny kalendarz. W tym roku to oni byli odpowiedzialni za przygotowanie świąt. Rodzina z Tampere miała nocować w Reijoli, więc trzeba było przygotować dla nich pokoje.

Paavo lubił Boże Narodzenie, chociaż był niewierzący. Patrzył na rodziny Haukków, Ventich, Kolanenów i Hurqvistów, jak radośnie obcują ze sobą przy świątecznym stole, i myślał, że przez czterdzieści lat o ich losie decydował pułkownik Jukka Haukka, teraz robi to on, a kiedyś będzie to Lassi.

W tym samym czasie Witalij i Borys zasiedli na kanapie w sekretariacie Portnoya.

Borys zamknął drzwi na klucz i zaproponował wódkę, ale Batulis odmówił.

– To napiję się sam – oświadczył, wyjął z biurka butelkę moskowskiej i wlał sobie pół szklaneczki. Wychylił od razu. – Bez wódki nie dam rady… trudna sprawa, Witia.

– Dawaj! – rzucił Batulis, zachęcając Borysa. – Lubię trudne sprawy, a dzisiaj mam ich szczególnie dużo. Dawaj, Boria! Co się dzieje?

– Oczywiście to skasuję. – Spojrzał na magnetowid. – Ale kasety wymieniamy co dwie godziny i nie da się zakręcić. Wiesz, Witia, ten pierdolony Gorbienko pilnuje porządku jak wierny pies, a ja nie chcę dawać na siebie materiałów.

– Dzięki, Boria. No wiesz… kurwa nie wytrzymałem po twoim telefonie i mogłem albo wyrzucić swołocz przez okno, albo skasować mu brykę. No i wybrałem mniejsze zło.

– Mniejsze? – Borys uniósł głos. – Przecież on dostanie furii, jak to zobaczy, umrze na wylew albo zawał. Przy jego tuszy tobyś go przez okno

nie wyrzucił, ale serce mu pierdolnie jak balonik. Wy, szpiedzy, to jesteście przebiegli. – Uśmiechnęli się.

– Już któryś raz jestem ci wdzięczny… i to w ciągu kilku dni. Znów, Boria, ratujesz mi dupę. Nie wypłacę się. Ty to chyba sam wszystko zorganizowałeś? – rzucił żartem. – Dawaj, co mogę dla ciebie zrobić?

– Może jednak walnij jednego. – Borys spojrzał na butelkę. – Na sucho nie łykniesz tego, co chcę ci powiedzieć.

Batulis pokornie skinął głową.

Borys wlał po połowie do dwóch szklanek i Batulis pomyślał, że to zły pomysł, bo w domu wypił już wódkę. Nie miał ochoty na alkohol, ale nie miał też wyjścia. Stuknęli się i wychylili do dna.

– Mam coś dla ciebie, tak na dobry początek. – Borys podniósł się z kanapy i podszedł do biurka, pogrzebał w szufladzie i wyjął szarą kopertę. – To dowód mojej lojalności, Witia. Oto anonim Winogradowa. Teraz nie ma żadnego dowodu, że jesteś wrogiem Związku Radzieckiego. – Uśmiechnął się szeroko i rzucił kopertę na kanapę. – Portnoy może cię pocałować w dupę…

– Tak, to musi być przyjemne – odparł Batulis, ale poczuł się niekomfortowo, bo Borys mówił trochę jak szantażysta. – A skąd ci przyszło do głowy, że słuchałem dzisiaj tego radia?

– Byłem u ciebie pod drzwiami. Pukałem kilka razy, ale nie otwierałeś, więc…

– Nie słyszałem, bo oglądałem telewizję albo byłem w toalecie.

– Pewnie tak. – Borys posłał mu ironiczne spojrzenie.

– To dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Dzwonię do ciebie, ale… drzwi otwiera Winogradow. Wiesz przecież najlepiej, jakie wielkie ma uszy. – Roześmiali się.

– Prawda, prawda… Nooo… jesteś bardzo przebiegły, Boria.

– I jaki spostrzegawczy, co?

– Jesteś, jesteś, każdy to wie. Więc o co chodzi, Boria, dawaj już, bo późno, a jutro mam ciężki dzień.

– Tak, nie wiem, od czego zacząć… sprawa jest bardzo skomplikowana. Wiesz… przede wszystkim jestem żołnierzem… i… No, to dotyczy Pietii i mnie. Bo wiesz, Witia, Pietia jest trochę chory i tego…

– Jak to trochę chory? Chory czy nie?

– Wróciliśmy z Afgana, a tam bywało bardzo ciężko i niektórzy koledzy mają teraz problemy, no… wiesz… nie panuje nad sobą. Tak to trzeba

wprost powiedzieć.

– Ma zespół stresu pourazowego?

– No ja nie wiem, bo się nie badał. Nie chciał, ale testów nie przeszedł i trochę musieliśmy zakręcić z naszym psychologiem, żeby go nie wywalili. Gość dostał pięknego colta, którego wygarnęliśmy jednemu szajchowi w Afganie. W tamtym czasie dostałem przydział tutaj do ambasady i było drugie wolne miejsce, więc za niewielką opłatą załatwiliśmy Pietii papiery i przyjechaliśmy tutaj. Myślałem, że jak wyjedziemy ze Związku, to zapomni i mu się poprawi. No i zaczęło się poprawiać, jak odkryliśmy tę wypożyczalnię wideo Hollywood, tę tam… – Wskazał ręką na okno.

– Wiem, no i co?

– Tak mi się tylko wydawało. Okazało się, że nie jest z nim jednak dobrze…

– O co chodzi, Boria, przecież wkrótce wracacie do domu, pewnie odłożyliście trochę baksów… macie wciąż przydział do Ósemki, roboty pewnie nie zabraknie. Widzicie, co się dzieje.

– No właśnie, tyle że my już nie chcemy zabijać. Chcemy normalnie żyć. Gorbaczow obiecał, że będzie normalnie, że już, już…

– Oj, zaraz zabijać! Mocne słowa! – obruszył się Batulis, ale udawał, bo doskonale rozumiał Borię.

– My nic innego nie potrafimy! – stwierdził Borys. – Mamy być ochroniarzami, gangsterami? Niektórym może się to nawet uda, ale większość zapije się na śmierć albo dostanie kulę w łeb. Pietia wypatrzył w telewizji, że nasi są już w Wilnie, po cywilnemu oczywiście, więc wiesz, jak to się tam skończy. Jest tam taki Poljakow ze swoimi ludźmi. Znamy go dobrze, to psychol. Lubi zabijać. – Borys wyraźnie zaczął się nakręcać. Batulis od razu wyczuł, do czego zmierza. – Tu jest dobrze, chciałbym tu zostać… razem z Piotrem. Zacząć wszystko od nowa. Dla siebie i dla niego. Nie mam nikogo bliższego niż Pietia i jestem mu coś winien.

– O kurwa! – Batulis zaklął z głębi serca. Tego się nie spodziewał. Myślał, że Borys chce załatwić sobie jakiś przydział w KGB, żeby nie jechać znów na wojnę, ale pomysłem dezercji był zaskoczony, tak jak pojawieniem się specnazu KGB w Wilnie. – Ty wiesz, co mówisz? To zdrada! Wiesz, co za to grozi? Czapa! Czapa, chłopie! Pyk w łeb i już! – Wykonał ruch dłonią, naśladując strzelanie sobie w głowę. – Miejscowi nie pozwolą ci zostać, jak im nie wyśpiewasz wszystkiego, co wiesz! Twoi kumple

z Ósemki będą cię ścigać, aż cię dopadną. Jak ci się uda, to resztę życia spędzisz, kryjąc się po piwnicach. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nooo… właściwie zdaję. – Borys zacisnął usta. – Ale co? Co nas czeka teraz w Rosji? Wyślą do jakiegoś nowego Afgana czy Wilna. Zobacz, co się dzieje w Azerbejdżanie i Uzbekistanie, wszystko rozłazi się jak stare prześcieradło, ojczyzna gnije. A my, żołnierze, czujemy krew, będzie gorzej. Przekonasz się. Może i będą nas ścigać, może nie, ale przynajmniej nie będziemy musieli już zabijać. – Borys na chwilę zawiesił głos i patrząc pod nogi, zapytał: – Zabiłeś kogoś, Witia? Zabiłeś dziecko? – Spojrzał Batulisowi w oczy. – Nie, nie zabiłeś. Milion razy umieram za każde zabite dziecko, ale to wy wydajecie rozkazy i odpowiadacie za tę śmierć, a mimo to śpicie sobie spokojnie. Śpisz dobrze, Witia, czy martwią cię anonimy Winogradowa? – Borys bez pytania wlał wódki do szklanek i wypili. – Jedziesz na BTR przez kiszłak, siedzą chłopaki na wierzchu, wychodzi z chaty chłopiec… siedem, może osiem lat… niesie dzban, podchodzi do drogi. Co robisz? Walisz do niego z działka, aż rozlatuje się na strzępy. Dzban nie wybucha, bo była w nim woda. Średnio wybuchał co piąty dzban i wtedy pięciu chłopaków leciało w powietrze. Wiedziałeś o tym, towarzyszu Batulis? Pewnie sobie milutko spałeś pod puchową kołderką w Londynie czy Sztokholmie, przekonany o słusznej służbie dla Związku Radzieckiego, naszej wspaniałej ojczyzny światowego człowieczeństwa. Kogo niby miałbym zdradzić, Witia, ciebie, towarzysza Gorbaczowa? Mogę zdradzić Pietię, ale nie ciebie! Co ty, kurwa, wiesz o obcinaniu ludziom głów!

Batulis czuł, że się zapada w sobie. Patrzył w oczy, które widziały to, co mówiły usta. Słyszał o strasznych rzeczach, które działy się w Afganistanie, ale teraz ta skończona już przecież wojna wtargnęła nagle w jego duszę. Patrzył na smukłe, czyste dłonie Borysa i pomyślał, że są tak delikatne i nie mogły przecież zabijać dzieci.

Przerażała go myśl, że Wympieł jest już w Wilnie.

Czuł, że wódka szaleje w nim na całego, ale mimo to on myśli jasno i wie, co robi.

Dotarło do niego, że Borys i Piotr po prostu chcą zdecydować o swojej przyszłości. Szukają sposobu na przetrwanie wbrew tym, którzy uważają, że życie może być własnością. Okazało się, że ta prosta prawda jego też dotyczy. On też ma życie i przyszłość, o którą teraz musi sam zadbać.

Zrozumiał, że ostrzeżenie, które przed chwilą z taką naiwną emfazą wyłożył Borysowi, by ostrzec go przed ucieczką, w takim samym stopniu

dotyczy jego samego. Powiedział Borysowi to, co spodziewał się usłyszeć, gdyby sam podjął taką decyzję.

Nie uważał tych myśli za zapowiedź zdrady, bo niby kogo miałby zdradzić – Breżniewa, Czernienkę, Andropowa czy Gorbaczowa? Związek Radziecki stał się amorficznym ciałem pełnym rozpierających go emocji i osiągnął już masę krytyczną. Borys wyjaśnił mu w prosty sposób, że nie można kochać ojczyzny, która grozi ci śmiercią.

Anonimy Winogradowa i stres spowodowany pozostawieniem samochodu były po prostu śmieszne w obliczu tego, co powiedział Borys. Nagle cały potężny Związek Radziecki zwalił się i powstała przerażająca pustka, jak lej po wszystkich bombach atomowych świata. Wszystko, w co wierzył i co kochał, na co przysięgał, stało się zupełnie bezwartościowe. Batulis pomyślał ze zdumieniem, dlaczego dotąd tego nie zauważył i musiał odbyć rozmowę ze zwykłym radzieckim żołnierzem, żeby to zrozumieć.

– Czyli chcecie zostać w Finlandii – przerwał milczenie. – Może to jest nawet dobre rozwiązanie, ale trzeba nad tym pomysłem poważnie popracować. To nie może być tak, że zabieracie ubranie i idziecie sobie do Finów. Musicie zdać sobie sprawę, że wy nie przechodzicie sobie po prostu na drugą stronę. Wchodzicie w strefę niebytu, zupełnie nowego wymiaru, o którym nie macie żadnego pojęcia, i trzeba umieć się tam urządzić. Wy nie znacie Zachodu. Musicie się go nauczyć, bo inaczej zginiecie. – Borys się uśmiechnął. – Dobra, przejdźmy do sedna. W czym problem? To Pietia? Mów całą prawdę, nie tylko to, co sobie zaplanowałeś, i nie kręć, bo inaczej do niczego nie dojdziemy.

– Tak… tak… – zaczął niepewnie Borys. – To Pietia, Leena i… fińskie KGB – dokończył ściszonym głosem.

– Tak przypuszczałem – mruknął Batulis i położył mu rękę na ramieniu. – Spokojnie, po kolei, damy radę, Boria, nie denerwuj się. Będzie dobrze! – Zawiesił na moment głos i zapytał: – Od dawna masz kontakt z Finami? I kto to jest Leena?

63

Mauno dał mi znak światłami. Nie stał pod sklepem, tak jak powiedział, tylko w uliczce po przeciwnej stronie.

– Co się stało? – zapytałem.

Mauno ruszył ostro i oczywiste już było, że nie odpowie. Przez kilka minut kręcił się po opustoszałym Kulosaari, sprawdzając, czy nie jest obserwowany, po czym spokojnie przejechał przez most i skierował się do centrum miasta. Po wczorajszych wydarzeniach nie dziwiła mnie jego ostrożność.

Wiedziałem, że jadę na spotkanie z Seppem, i poczułem ulgę. Bardzo tej rozmowy potrzebowałem. Miałem całą litanię pytań, na które mógł odpowiedzieć tylko on. Okoliczności spotkania wyraźnie wskazywały, że nie będę miał dużo czasu, więc kiedy Mauno, ściskając kierownicę, zaczął rozpędzać się na pustych ulicach Helsinek, próbowałem uporządkować sprawy, które chciałem z nim omówić.

Mauno kilkanaście minut krążył po zaułkach miasta, wykonując karkołomne manewry, i poczułem mdłości, bo byłem bez śniadania, a w samochodzie śmierdziało benzyną. Miałem wrażenie, że stanowczo przesadza, ale nie odzywałem się, bo wiedziałem, że i tak nie odpowie. Takiej jazdy nie przeżyłem ani w Kairze, ani w Bangkoku. Wkrótce straciłem orientację, gdzie jesteśmy.

W końcu wjechaliśmy na jakieś ponure podwórko między dwoma identycznymi piętrowymi drewnianymi domami. Mauno wyłączył silnik i poczułem ulgę. Dotarło do mnie, że nie przemyślałem, o czym chcę rozmawiać z Seppem.

Weszliśmy do domu po prawej. Mauno wskazał mi drzwi, a sam znikł gdzieś w korytarzu.

W dużym pomieszczeniu panował mrok i paliła się tylko nocna lampka. Seppo już czekał. Stał przy oknie i najwyraźniej obserwował, jak wchodziliśmy.

Przywitaliśmy się jak starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się od lat. Seppo nie miał już opatrunku na głowie. Mimo tak wczesnej pory wyglądał wyjątkowo świeżo.

– Nareszcie! – zacząłem. – Co się dzieje? Zdołam to zrozumieć?

– Zdołasz – odparł i usiedliśmy na krzesełkach przy stole. – Sprawy są właściwie banalnie proste.

– Chyba żartujesz! – zareagowałem zaskoczony i dodałem: – Zaczekaj, aż się dowiesz, co mam ci do powiedzenia.

– Mamy pół godziny. – Spojrzał na zegarek. – Nie pomyśl, że czegoś unikam, ale z powodu innych ważnych okoliczności… Kawy? – zapytał.

– Tak, i jeżeli Mauno mógłby mi coś…

– Zemdliło cię po jeździe? – Seppo uśmiechnął się porozumiewawczo. – Mnie też. Zaraz przyniesie kawę i kanapki.

– Kim jest ten Mauno? – wyrwało mi się niechcący.

– Rozumiem. – Seppo się roześmiał. – Rozumiem – powtórzył, kiwając głową. – Mauno to mój cień, przyjaciel, krajan, może nawet brat. Ufam mu bardziej niż sobie. Nigdy nie był nawet w gmachu na Ratakatu, a jest moim najlepszym oficerem operacyjnym do, powiedzmy, zadań specjalnych. Jest dziwny, wiem, zgadzam się z tobą, ale to młot na „Vipera”.

– Nie powiedziałem tego, ale… jest dziwny. Masz rację. Co z roszadą z Medvastu? – zmieniłem temat. – Gdzie znikłeś? Dlaczego? Co z „Viperem”? O co chodzi?

– Okej – powiedział poważnym tonem, wpatrując się w leżące na stole swoje splecione wielkie dłonie. – Zatem po kolei. – Podniósł głowę i popatrzył na mnie. Zmienił się. Znikło pogodne spojrzenie i w jego oczach zobaczyłem zimno, może nawet jakąś nienawiść. To coś wypełniało go doszczętnie i wyraźnie chciało się wydostać. Zaniepokoiłem się, bo nagle zobaczyłem innego Seppa, jakiego dotąd nie znałem, i przez chwilę pomyślałem, czy to możliwe, żebym czegoś nie zauważył.

Ciszę przerwało skrzypnięcie drzwi, w których pojawił się Mauno z tacą w rękach. Nie miał w sobie nic ze sprawności i elegancji kelnera. Wprost przeciwnie. Wpatrzony w zastawę szedł, szurając butami, jakby się bał, że nastąpi na przeszkodę. Wyglądał groteskowo jak Golem i przez chwilę nas rozśmieszył.

Postawił na stole tacę, westchnął tak głęboko, że poczułem powiew powietrza, i odszedł. Wyraźnie dał nam znać, że nie jest służącym i przygo-

towanie kawy, kanapek, nie mówiąc o przyniesieniu tacy, było wszystkim, na co mógł się zgodzić.

– Co się dzieje, Martin? – zmienił temat Seppo. – Chciałeś się ze mną zobaczyć.

– A ty nie chciałeś mnie widzieć? – odparłem zaskoczony. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Ty pierwszy.

– Okej. Nawiązałem kontakt z Batulisem, jak pewnie wiesz. Wygląda obiecująco. Stara się chłopak, żeby mi pomóc. Wyraźnie związany z kapitanem. To pierwsze. Dzisiaj… raczej wczoraj wrócił niespodziewanie Razumow. Jego żona, jak wiesz, jest chora na raka, ma prawdopodobnie nieoperacyjnego glejaka. Desperacko szuka pomocy. Kiedyś obiecałem mu, że gdyby potrzebował, to… i teraz liczy, że mu pomożemy. Twierdzi, że w Rosji nikt poważnie nie interesuje się jej losem. Wydaje mi się, że jest załamany. Przez Torstena Koivista załatwiliśmy mu konsultacje u profesora Orvo Kuskonena. – Seppo pokiwał głową z uznaniem. – To dopiero początek. Kapitan przyszedł do mnie wieczorem, a zaraz po nim pod moim domem pojawił się tajemniczy samochód zarejestrowany na nieżyjącego Fina z Turku, a później podczas spaceru z psem pojawił się Rosjanin, który pogroził mi i ostrzegł przed kontaktem z Razumowem. Kapitan dzwonił do mnie trzykrotnie z Leningradu, więc…

– No to mamy ciekawą sytuację – przerwał mi Seppo. – To w stylu GRU, nie KGB. Dostałeś sygnał, żebyś nie próbował robić nic brzydkiego, bo radziecka armia ma cię na oku, a to nie przelewki. Wciąż uważają w swojej arogancji, że Finlandia to ich podbite terytorium, i czasami nawet nie kryją się specjalnie.

– Tak przypuszczałem – odparłem trochę niepewnie. – Chociaż nie mam specjalnego doświadczenia z GRU.

– Musisz być jednak bardzo ostrożny. Bywają nieobliczalni i brutalni. GRU działa tu bezpośrednio z Leningradu i mają nielegalną rezydenturę. Razumow musiał się sam wyłożyć… telefony, komuś powiedział, to może być nawet ktoś z jego rodziny.

– Louis mówił wyraźnie, że ktoś taki jak dowódca atomowego okrętu podwodnego objęty jest szczególną ochroną kontrwywiadu GRU. Mimo to uważam, że sprawę trzeba ciągnąć. Pomożemy żonie kapitana i będziemy czekać na jego ruch. Myślę też, że powinienem powiedzieć mu o nocnych zdarzeniach koło mojego domu. Trzeba uciekać do przodu.

– Zgoda. To dobre zagranie. Razumow to mocna figura i nawet GRU musi się z nim liczyć, ale wszystko ma swoje granice.

– Trochę to dziwne, że nie pomogli mu w sprawie żony i pozwolili wyjechać do Finlandii, nie uważasz?

– Może i tak, ale to Związek Radziecki. Niektórych rzeczy nie zdołamy zrozumieć. Nawet jeżeli dotyczy to kogoś takiego jak kapitan pierwszej rangi. Poza tym w grę wchodzi życie kobiety, którą kocha, i jego zachowanie może być irracjonalne. Może chcieli mu pomóc, ale on tej pomocy nie przyjął albo była nie taka, jakiej oczekiwał. Nadzieja to potężne uczucie.

– Dobrze, że to powiedziałeś. Dlatego muszę tę sprawę pociągnąć do końca. Zobaczył we mnie nadzieję.

– Musisz być ostrożny, Martin – powtórzył Seppo. – I ty, i Razumow możecie być w niebezpieczeństwie. Jeżeli poczują, że jest jakieś zagrożenie, zabiją was obu. Oni nie negocjują i nie bawią się w finezyjne gry operacyjne. To jest GRU. Stracą kapitana, to tak, jakby stracili okręt podwodny. – Seppo zawiesił głos i zaraz dodał z powagą: – Ja ci teraz nie pomogę, Martin.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wypiliśmy kawę i zjedliśmy kanapki.

Seppo mówił z przekonaniem i widać było, że ma doświadczenie, z którego potrafi wyciągać wnioski. Nie miałem wtedy jeszcze wystarczającej wiedzy o GRU, żeby ocenić realność zagrożenia, o którym mówił Seppo, ale w jego głosie zabrzmiało coś niepokojącego. Pożałowałem, że nie ma z nami Louisa. Ścierał się z GRU od lat i miał sporo blizn. Czy potwierdziłby obawy Seppa? Zadawałem sobie to pytanie, chociaż dobrze wiedziałem, że obaj mają rację. Louis nieraz podczas naszych narad w Wiedniu podkreślał, że nawet ktoś taki jak Razumow nie wywinie się GRU, jeżeli zauważą coś podejrzanego. Nie docierało to do mnie wtedy. Przeceniałem swoje możliwości.

Nagle i ja znalazłem się na celowniku, o czym wprost poinformował mnie nocny przechodzień. Ale nerwowość GRU wskazywała, że jestem na dobrej drodze. Patrzyłem na Seppa i zastanawiałem się, czy dam radę sam, a właściwie czego nie powinienem teraz robić. I nagle zrozumiałem, że nawet jeśli nic nie będę robił, mój los i tak uzależniony jest od Razumowa. A miało być odwrotnie.

GRU może mnie zlikwidować na wszelki wypadek. Wiele przeszedłem, ale pierwszy raz znalazłem się w tak absurdalnej sytuacji.

– Strzelali do ciebie, nie do mnie – wyrzuciłem z siebie mimowolnie.

– Ale to nie GRU, oni nie spieprzyliby sprawy. To był „Viper” i spieprzył sprawę.

– Jesteś już tego pewien?

– Nawet wiem, kto to jest.

– Kto?

Seppo nie odpowiedział. Uciekał wzrokiem, wyglądał na przybitego. Tłumaczył, że jest wyczerpany psychicznie i potrzebuje pomocy. W końcu oświadczył, że powie mi, kim jest „Viper”, jeżeli zgodzę się wziąć udział w tym, co planował.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo do pokoju wszedł Mauno. Usiadł na krzesełku w rogu i pokazał Seppowi zegarek, dając znak, że kontroluje czas.

– No dobrze, jaki masz plan? – zapytałem zaskoczony takim postawieniem sprawy. – A co z Razumowem? Nie zaczynamy na zbyt wielu frontach? O co chodzi, Seppo? W czym miałbym wziąć udział?

– Mieszkam teraz w Santahaminie. Wiesz, co to jest? Nie wiesz. To zamknięta wyspa tu, w Helsinkach, stacjonuje tam elitarna jednostka wojskowa i znajduje się rządowy ośrodek. Zamknęli mnie tam, bo rzekomo obawiają się, że zabójca może powrócić, ale tak naprawdę chcą mnie odizolować od dochodzenia, a premier chce ukryć sprawę, dopóki nie wyjaśni się, co się stało. Premier i Torsten uważają, że ewentualne ujawnienie listy „dwunastu” i próby zabójstwa szefa kontrwywiadu byłoby dewastujące dla państwa. Właściwie to mają rację.

– Seppo! – przerwałem mu. – Kim jest „Viper”?

– Zaraz, zaraz. Najpierw poznasz moje pomysły, żebyś nie wklejał człowieka w temat. Rozumiesz?

– Nie bardzo, ale dawaj dalej.

– Zrobiłem, jak mówiłeś. Próbowałem sprowokować „Vipera”, ale nie dał się. Cały czas wyślizgiwał mi się i właściwie nie mam żadnych dowodów. Do śledztwa w Medvaście wciągnąłem swoich dwóch najbliższych współpracowników, Erkkiego i Marttiego, ale też nic nie ustalili. „Viper” zostawił trochę śladów, ale nie do zidentyfikowania, nawet nie wiadomo, z jakiej broni strzelał. Pocisk akurat trafił w kamień nad kominkiem, jak sam widziałeś, więc jest bezużyteczny.

– To skąd wiesz, kim jest „Viper”?

– Ja wiem, kim jest, ale mogę to udowodnić jedynie z twoją pomocą. Ufam tylko Maunowi i tobie. Tobie dlatego, że jesteś spoza naszej służby.

Dlatego spotykamy się w takich warunkach. Musiałem zachować konspirację, bo „Viper” mógłby się zorientować, że go przejrzałem.

– Kurwa, Seppo! Nie rozumiem cię! Co z tobą? Jeżeli oczekujesz ode mnie pomocy, to rozmawiaj ze mną poważnie. Mów jasno. Wiesz, że ci pomogę, ale muszę wiedzieć jak!

– Dobrze, dobrze – powiedział spokojnie, ale zacisnął wąskie usta. – To Paavo Haukka, sekretarz Torstena Koivista.

Słyszałem to nazwisko, ale stwierdzenie, że kretem jest sekretarz szefa SUPO, było szokujące. Pomyślałem, że ktoś taki musiał mieć dostęp do największych państwowych tajemnic, w tym naszej operacji. Nagle sens wszystkiego, co do tej pory zrobiliśmy, stanął pod znakiem zapytania. Poczułem, że mam dość Helsinek. Lądowałem w szarym, zimnym kraju i wydawało mi się, że w takim miejscu wszystko musi być proste i oczywiste, a natknąłem się na najbardziej skomplikowany węzeł, jaki kiedykolwiek miałem rozsupłać. Miała być klasyczna rozgrywka z Rosjanami o kapitana Razumowa, a wyszła kombinacja na miarę *Tajnego agenta* i *Jądra ciemności*. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, jaki byłem arogancki, i poczułem dojmującą pokorę wobec Finów.

Seppo wcale nie był szalony, był waleczny.

– Haukka wiedział o naszej operacji? – zapytałem.

– Nie.

– Co wiesz?

– Twoja koncepcja roszady z Medvastu niestety się nie sprawdziła, chociaż brzmiała bardzo atrakcyjnie. Sorry, mistrzu z MI6. Sprawdziła się za to moja Mia. To bardzo uporządkowana kobieta i dlatego od lat jest szefową sekretariatu szefa. – Seppo wyraźnie się uspokoił, jakby nagle przeszedł metamorfozę.

Miałem wrażenie, że w chwili gdy wymienił nazwisko „Vipera”, coś w nim pękło.

Wrócił stary Seppo i nawet nie musiał mnie przekonywać do wzięcia udziału w jego planie. To było mistyczne uczucie, jakbym znów miał dwadzieścia pięć lat i wyjeżdżał na swoją pierwszą akcję do Chin. Byłem gotowy pójść za Seppem na całość i nie zastanawiałem się, co chce zrobić. Spojrzałem na ponurego Mauna, który siedział w rogu, i pomyślałem, że jest nas trzech.

– W sobotę rano pojechałem na Ratakatu po klucze od domu w Medvaście. Mia zostawiła je w biurku. Kiedy przyjechałem, drzwi do sekretariatu

były zamknięte, chociaż na parkingu stał samochód Paava i dyżurny poinformował mnie, że poszedł do swojego pokoju. Zjechałem na dół i zapytałem dyżurnego, czy Paavo wyszedł. Stwierdził, że nie, więc wróciłem. Teraz sekretariat był otwarty, a Paavo siedział w swoim pokoju. Pomyślałem, że pewnie był w toalecie. Rozmawialiśmy krótko. Powiedziałem mu, że przyjechałem po klucze od Medvastu. Kiedy usiadłem za biurkiem Mii, zobaczyłem na blacie żółtą samoprzylepną karteczkę. To było dziwne, bo pedantyczna Mia nigdy nic nie zostawiała na biurku, ale jeszcze dziwniejszy był kolor karteczki. Mia nie cierpi żółtego. Nie ma nawet chusteczek w tym kolorze. Używa tylko niebieskich karteczek post-it. Rzuciłem okiem na zapis. Zapamiętałem datę szesnasty listopada, godzina dwudziesta druga, lotnisko, Matti. Było więcej, ale nie zapamiętałem. I z całą pewnością to nie był charakter pisma Mii. Małe literki charakterystycznie pochylone w lewo. Wyszedłem z budynku od strony Ratakatu i poszedłem na nasze spotkanie w Wiedniu. To było dziwne, ale wydawało mi się, że na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie i Mia nie mogła przecież popełnić błędu. Kiedy wróciłem na Ratakatu, dyżurny powiedział, że Paavo pytał o mnie. Puściłem to mimo uszu. Czasami tak się zdarzało. Przypomniałem sobie wieczorem i zadzwoniłem do niego. Twierdził, że zapomniał, czego ode mnie chciał, ale zapytał, czy jestem w Medvaście. Powiedziałem mu, że jadę następnego dnia. – Seppo spojrzał na mnie i zmrużył oczy. – Paavo Haukka był numerem jeden na mojej liście. Rozumiesz teraz?

– No to mamy naszego strzelca! – rzuciłem zaskoczony.

– Tak jest – odparł zadowolony Seppo. – Oczywiście, że mogłem być śledzony tego dnia, ale oznaczałoby to, że i ty zostałbyś zdekonspirowany. Obserwator musiałby ustalić, że jesteśmy razem w Medvaście, ale najwyraźniej nie ustalił. Taka jest zgodna ocena Erkkiego, Marttiego i moja. Kiedy Paavo przyjechał do nas w nocy, przysłany przez Torstena, zacząłem sobie wszystko układać. Patrzyłem na niego i miałem wrażenie, że nie tylko nie jest przejęty tym, co się stało, ale nawet czuje satysfakcję. Przypomniałem sobie też, że tylko Paavo wiedział, że będę w Medvaście. Nie powiedziałem o tym Erkkiemu ani Marttiemu. Od tej chwili nie mogłem nikomu zaufać. Wciąż pamiętałem, że jest lista „czterech” i każdy mógł na niej być. Moje podejrzenia wobec Paava były wtedy dosyć słabe. Nie wiedziałem jeszcze, co mam robić. Dlatego też musiałem zerwać z tobą kontakt, bo nie wiedziałem, czy jestem pod kontrolą, czy nie. Tym bardziej że Portnoy cię

widział i nie mogłem wykluczyć, że zostałeś zdekonspirowany. Było zbyt wiele wątków, które bezładnie się mieszały.

– Seppo! – odezwał się Mauno. – Czas, czas… – Uderzył palcem w zegarek.

– Musimy wracać do Santahaminy. Mogą zauważyć moją nieobecność – ciągnął Seppo. – Wszystko się zmieniło, kiedy przyjechała do mnie Mia. Przypomniałem sobie o karteczkach samoprzylepnych. Mia stwierdziła, że to charakter pisma Paava, a treść była przepisana z jej notatnika i dotyczyła wizyty Torstena w Londynie. Uznałem, że „Viper" to jednak Paavo Haukka, a kiedy powiedział Mii, że to on wymyślił moje internowanie, byłem już niemal pewien. Wiele mi się wyjaśniło. Obecny minister obrony był w młodości podkomendnym pułkownika Jukki Haukki, ojca Paava. Siedzę w Santahaminie pod okiem wojska, ale nie wiem, czyje i jakie wykonują rozkazy. Seppo Moilanen stał się niewygodną, a może nawet niebezpieczną postacią. Dopóki nie wyeliminuję Paava, będę zagrożony…

– Uff… – odetchnąłem z trudem, bo chyba nigdy nie słyszałem bardziej dramatycznej szpiegowskiej historii. – Widzę, że masz wyraźny obraz spraw. Jak chcesz dostać „Vipera"?

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o pewnym Rosjaninie z ochrony ambasady, który ma romans z jedną…

– Oczywiście.

– Otóż ten Borys zgodził się na współpracę. Chce zostać w Finlandii, zacząć nowe życie. Stawia pewne warunki. Przekazał nam dużo ważnych informacji, ale najciekawsze są te o Portnoyu i Batulisie, i to jest zadanie dla ciebie. – Seppo wstał, wyprostował się i oburącz przeczesał włosy. – Pamiętasz o akcji Portnoya w ubiegłym tygodniu, w czwartek, kiedy wypuścił swoje psy na miasto?

– Pamiętam.

– Mówiłem ci, że Batulis zrobił coś dziwnego i zostawił samochód na stacji benzynowej. Miałeś rację, że to on wykonywał zadanie. Reszta go kryła. Ale zostawił samochód bez zgody Portnoya, który wściekł się i zaczął nękać Batulisa, podejrzewać go o nielojalność i litewskie sympatie niepodległościowe. Batulis rzeczywiście słucha radia litewskiego. Portnoy ma przecież kilkunastu oficerów w rezydenturze, w tym sporo niezłych krętaczy, ale zajął się akurat Batulisem. Doszedłem do wniosku, że Batulis musiał sprowadzić jakieś zagrożenie i dlatego Portnoy zareagował tak

gwałtownie. Stary lis się odkrył i mamy konflikt między rezydentem i oficerem…

– Idealna sytuacja! – wtrąciłem, bo już wiedziałem, do czego zmierza Seppo. – To Batulis prowadzi „Vipera”.

– Na to wygląda. Musisz go przeciągnąć na naszą stronę. Tylko Batulis może zdekonspirować Paava.

– Od początku miałem wrażenie, że Batulis jest za inteligentny na to, żeby robić za jakiegoś flepa w biurze handlowym.

– Właśnie. To już wiesz, jaki jest plan i twoja rola. – Seppo spojrzał na Mauna, który stał już przy drzwiach. – W tym roku nie będziemy mieli świąt, tym bardziej że Portnoy wyjechał i wróci po Nowym Roku. Zastępuje go przygłup Gorbienko. Nie ma lwa, więc nie muszę mówić ci, co masz robić. Kontaktujemy się jak dotąd przez Mauna. Zobaczymy się tutaj jutro o tej samej porze. – Ruszył w stronę drzwi. – Chodź… podrzucimy cię do centrum.

Mauno zgasił światło i zamknął drzwi na klucz.

Po chwili siedzieliśmy w samochodzie. Czułem, że powoli schodzi ze mnie napięcie, i pomyślałem, że czeka mnie ostra robota, i to poza wiedzą Londynu. Sprawy „Arlekina” i „Vipera” zaczęły się ze sobą łączyć i musiałem przyznać, że nie doceniłem Seppa.

Praktycznie wyśmiał moją roszadę z Medvastu i zagrał po swojemu. Dotarło do mnie nagle, że będę musiał odwołać spotkanie z Mariną. Zrobiło mi się żal. Zależało mi na niej. Miałem jednak nadzieję, że w pierwszy dzień świąt będzie już po wszystkim.

– Co zrobisz, jak już będziesz miał dowody na zdradę Paava? – zapytałem, gdy Mauno rozpędzał samochód. – Będziesz miał kłopot, żeby mu cokolwiek udowodnić, a do wystawienia waszego agenta w Tallinnie na pewno się nie przyzna. Wiesz o tym?

– Nie, nie będę miał kłopotu. Przyzna się! Tego jesteśmy pewni – odparł Seppo, odwracając się do mnie i jednocześnie uśmiechając się do Mauna, który pokiwał głową.

64

Rozmowa z Borysem przybiła Batulisa. Mimo to wciąż czuł przyjemność, że porysował Winogradowowi samochód. To było głupie i oficer wywiadu nie powinien dawać się ponosić emocjom, ale gdyby mógł, zrobiłby to jeszcze raz. Tym razem pociągnąłby kluczem głębiej i po drugiej stronie też.

Kiedy wracał od Borysa, było już po północy. Zszedł na swoje piętro, stanął obok mieszkania Winogradowa i z trudem powstrzymał się, żeby nie napluć na drzwi. Pomyślał, że ślina mogłaby być dowodem, więc rysa na karoserii będzie wystarczającą zemstą. Poza tym uznał, że jest zbyt pijany, żeby pozwolić sobie na kolejny spontaniczny gest. Już poprzedni przysporzył mu sporo problemów.

Jeżeli Borys powiedział prawdę, to znaczyło, że poszedł na współpracę z Finami i praktycznie mają teraz wgląd do rezydentury. Widać było, że Borys nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił, ale dla Batulisa sytuacja była jasna. To była całkowita katastrofa, koniec dla Portnoya, koniec dla całej rezydentury, dla niego i koniec dla Borysa i Piotra też. Takie były ostatnie myśli Batulisa na chwilę przed tym, jak zwalił się na łóżko.

W nocy obudziły go parcie na pęcherz, pragnienie i ucisk butów. Napił się w kuchni wody, poszedł do toalety, a później zrzucił buty i wrócił do spania.

Obudził się po dziewiątej z potężnym kacem. Nie mógł uwierzyć, że zaspał. Nie nadużywał alkoholu, ale jak mu się zdarzyło, to i tak nigdy sobie nie odpuszczał.

Usiadł na łóżku i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Doprowadzić się szybko do porządku i jechać do pracy czy zadzwonić i wziąć sobie dzień wolnego. Powoli zaczął odtwarzać sobie wczorajszą rozmowę z Borysem i zdecydował się zostać w domu. Sięgnął po telefon i od razu załatwił sprawę, po czym poszedł do łazienki i wszedł pod prysznic.

Puszczał sobie na kark zimną i gorącą wodę, żeby pobudzić krążenie, i po chwili jakby zaczął myśleć jaśniej. Czuł do siebie wstręt za to schlanie się, bo nie pamiętał dobrze szczegółów rozmowy i nie wiedział, czy jest ofiarą, czy sprawcą. Nie potrafił zrozumieć, czy to była rozmowa służbowa, czy prywatna, co powiedział Borysowi i co on zrozumiał. Jednego był pewien: że od wczoraj jest już w innym świecie.

Wszystko zaczęło się od depresji Pietii i zakończyło dekonspiracją rezydentury KGB w Helsinkach.

Ja pierdolę! Totalna katastrofa, aż trudno uwierzyć. Właściwie cokolwiek bym teraz zrobił, nie będzie miało sensu. Finowie wiedzą już o mnie i prędzej czy później wyłapią „Kolę". A wpadka „Koli" to koniec Portnoya, a więc i mój – zastanawiał się Batulis, stojąc pod prysznicem. W którąkolwiek stronę bym poszedł, to ściana… betonowa. Czyli mam dwa wyjścia. Albo o wszystkim melduję Portnoyowi i Borys idzie pod nóż, a więc wydaje mój numer z samochodem, litewskim radiem i zemstą na Winogradowie, czyli ja też idę pod nóż, albo udaję, że z Borysem nie było rozmowy, i jedziemy dalej pod kontrolą Finów i pewnie… Anglików. Wracamy zatem do punktu wyjścia, czyli namierzają „Kolę" i rozwalają rezydenturę. Koło się zamyka, kurwa! Rozwiązanie trzecie, przebijam ofertę Borysa i sam sprzedaję Anglikom „Kolę" i Portnoya. Efekt ten sam, ale przynajmniej coś z tego będę miał. Tylko jak to zrobić, żeby nie nadziać się na jakiegoś innego „Kolę" i ludzi Portnoya? Zanim Finowie sprawdzą i kupią moją ofertę, mogę dostać kulkę od Pietii, a w najlepszym wypadku wrócę do Moskwy w worku. I na koniec kontakt z tym angielskim szpiegiem. Portnoy zacznie sprawdzać moje telefony i ustali, że mam z nim niezgłoszony kontakt. GRU na pewno już ustaliło, że kapitan też ma z nim kontakt. I powstaje w ten sposób zamknięte drugie kółeczko, czyli robi się łańcuszek. Portnoy wysadzi to wszystko w pizdu! Do spotkania z „Kolą" mam czas, żeby się zastanowić, czyli trzy dni… i póki nie ma Portnoya.

– Tak! Tak! Tak! – rzucił na głos, zachłysnął się wodą i zaczął kasłać.

Zakręcił wodę i wciąż kaszląc, wyszedł spod prysznica. Usiadł na taborecie i próbował opanować spazm, bo robiło mu się ciemno w oczach. Po chwili kaszel złagodniał i w końcu ustał. Batulis wrócił pod prysznic, żeby się umyć.

W tym czasie Borys od godziny był już w swoim mieszkaniu. Mimo że cały dyżur przespał na kanapie, to jednak czuł się bardzo źle. Nie z powodu wypitej z Batulisem wódki, ale dlatego że obnażył się przed nim i opowie-

dział mu nawet o seksie z Leeną. Żołnierz specnazu nigdy tak nie robi i się nie poddaje. Batulis nie powiedział nic mądrego i Borys miał wrażenie, że czuje się jeszcze gorzej niż wcześniej.

Po śniadaniu usiadł przy stole, rozpostarł ściereczkę, rozłożył pistolet na części i zaczął go czyścić. Robił to często, bo czyszczenie broni go uspokajało. Na wyposażeniu ochrony rezydentury były dwa nowiutkie makarowy, z których nigdy nie strzelał, ale które zawsze były dobrze naoliwione.

Borys właśnie czyścił wyciorem lufę, gdy z impetem otworzyły się drzwi i do mieszkania wtargnął Piotr.

– Słyszałeś?! – krzyknął już z przedpokoju. – Ja pierdolę! Co za skurwysyństwo! – Stanął w pokoju ubrany w kurtkę i czapkę.

– Co się stało, Pietia? – Borys zamarł, widząc na jego twarzy wściekłość.

– Nic nie widziałeś? – zapytał, unosząc brwi. – Nic?

– Ale co? Kurwa! Wyduś z siebie!

– Ktoś zniszczył nową samarę Winogradowa. Porysował mu karoserię i urwał lusterko. Co za skurwysyństwo! Nowy samochód! Nic nie widziałeś? Przecież mamy tam kamerę…

– Przecież spałem, Pietka. Ale przejrzałem nagranie, zanim zmieniłem kasetę… i nic nie było. Więc jak to możliwe?

– Skurwysyn musiał podejść od drugiej strony i schować się za samochodem, bo z tamtej strony nic nie widać. Ja pierdolę, Boria! Wyobrażasz sobie coś takiego? Winogradow szaleje i ambasador za godzinę zwołuje pilną naradę…

– Naradę? – zapytał zaskoczony Borys.

– No przecież ten skurwysyn jest od nas. To ktoś z nas! – Piotr uniósł głos. – Trzeba odstrzelić chuja, nim narobi większych strat.

– Tak ci żal tego donosiciela? Przecież to szmata, śmierdzący kapuś. Może słusznie dostał za swoje, skąd wiesz, że pisał prawdę…

– Ale co winien nowy samochód? – odparł Piotr. – A poza tym to ktoś spośród nas. Zdrajca!

– Niech Winogradow zrobi listę osób, na które pisał donosy do Portnoya. Może trzeba o tym powiedzieć ambasadorowi, nim powoła komisję śledczą. Warto, żeby wiedział, jaki ma personel. My wiemy, na kogo pisał do Portnoya, ale mógł też pisać na inne adresy. Niech się wszyscy dowiedzą, kim jest Winogradow.

– No tak, to prawda. – Piotr się zadumał. – Ale wtedy przyznamy się, że przeglądaliśmy te donosy. Jest problem!

– Kurwa, Pietka! – Borys poderwał się i omal nie zrzucił ze stołu rozłożonego pistoletu. – Nie myślisz chyba, że powiedziałem to poważnie?! Pojebało cię zupełnie? Co z tobą?

– Trzeba złapać tego skurwysyna! – Piotr pokręcił głową z przekonaniem. – Musimy to zrobić! My musimy, Borys! Pułkownika nie ma i nikt za nas tego nie zrobi. Przygotujemy listę podejrzanych, tych, na których pisał donosy, i damy ją ambasadorowi. Tak zrobimy! – Zacisnął usta i Borys pomyślał, że Piotr już zadecydował i nie powstrzyma go. – Ostatni donos napisał na Batulisa. Dawaj papier, Boria! – Zrzucił kurtkę na ziemię i w czapce usiadł do stołu.

– Chcesz pomagać temu skurwysynowi? Zupełnie ochujałeś?

– Dawaj papier, Boria! – Piotr podniósł głos. – I coś do pisania!

Nagle Borys zdał sobie sprawę, że Piotr przeczytał ostatni anonim Winogradowa. To zupełnie zmieniało sytuację. Tym bardziej że ani razu o tym nie wspomniał. Piotr nie interesował się polityką, był przeciw wojnie, ale kochał Związek Radziecki. Nie rozumiał sprzeczności i przy jego stanie psychicznym taka kombinacja mogła spowodować katastrofalne konsekwencje.

Borys dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Piotr nie bez powodu wymienił Batulisa na pierwszym miejscu listy.

65

Seppo wysadził mnie w centrum i na Kulosaari wróciłem taksówką. W drodze rozbolała mnie głowa. Byłem niewyspany, zmęczony i zestresowany natłokiem wydarzeń, kiedy więc znalazłem się w domu, od razu poszedłem do łazienki i wziąłem podwójną dawkę tabletek na ból głowy.

Vicky chodziła za mną, przypominając o swoich potrzebach, więc nawet nie zdjąłem butów ani kurtki. Założyłem jej obrożę i wyszliśmy na skwer obok domu. Załatwiła szybko swoje sprawy i stanęła przy drzwiach. Jakby wiedziała, że jestem w złym stanie.

Wróciliśmy do domu.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości.

Była siódma trzydzieści. Pomyślałem, że mógłbym się chwilę przespać. Dni biegły coraz szybciej i zdarzenia wymykały się spod kontroli, więc i ten dzień mógł przynieść niespodzianki. Razumow miał iść do profesora, a ja byłem umówiony z Batulisem.

Nastawiłem budzik na ósmą trzydzieści i położyłem się na kanapie. Zamknąłem oczy i od razu przypomniałem sobie, że nie zapytałem Seppa, czy Rosjanie są w stanie wyłapywać wewnętrzne połączenia telefoniczne w Finlandii. Wydawało mi się to mało prawdopodobne, ale bliskość ZSRR była niepokojąca.

Pewnie powiedzieliby mi, gdyby tak miało być. A co z tą konspiracją Seppa? Czyli mogli ustalić mój kontakt z Mariną. Ale mój numer znają dopiero od chwili, kiedy Razumow zadzwonił z Rosji. A może namierzyli mnie w zupełnie inny sposób i wcale nie po telefonie. Tak, to też możliwe.

Nie mogłem zasnąć, chociaż wiedziałem, że to tylko obsesja. Zacząłem się zastanawiać, jakie mogłyby być konsekwencje, gdyby kontrolowali połączenia, i doszedłem do wniosku, że wszystko, co do tej pory zrobiłem, nie miałoby sensu. Finowie musieliby o tym wiedzieć, a jednak nic nie zrobili. Dotarło do mnie, że Seppo nie bał się podsłuchów Rosjan, obawiał się, że „Viper” może go kontrolować. Czy powinienem się spotykać z Mariną?

Mógłbym narobić jej kłopotów. Zauważyłem, że zaczynam coraz częściej o niej myśleć, a przecież prawie jej nie znałem i nawet nie potrafiłem powiedzieć, czego od tej znajomości oczekuję. Skończy się niczym, tak jak wiele innych. Wkrótce Marina wróci do Leningradu, a ja za dzień lub za miesiąc wyjadę z Helsinek.

To bez sensu! Powinienem skoncentrować się teraz na Batulisie. To była ostatnia myśl, jaką zapamiętałem, zanim wciągnęła mnie ciemność.

Obudził mnie telefon i w pierwszej chwili pomyślałem, że to Marina. Spojrzałem na zegar. Była dziewiąta trzydzieści. Poderwałem się z kanapy i na wpół przytomny podbiegłem do telefonu, rozbijając po drodze wazonik.

– Dzień dobry, panie Dirku – odezwał się Batulis i miałem wrażenie, że jeszcze śpię.

– Tak, tak… – wydusiłem.

– Mam nadzieję, że pana nie obudziłem?

– Nie, skąd.

– No więc… mam kilka pytań w sprawie pana zamówienia. Są pewne wątpliwości… Hmm… – zamruczał. – Możemy porozmawiać?

– Oczywiście – odparłem i poczułem, że jestem już całkowicie wybudzony. Pomyślałem, że Batulis jest gotowy i za chwilę zaproponuje spotkanie. – Jakieś problemy, panie Batulis? Nie rozumiem. Ale jestem gotów. Słucham?

– Wie pan… to może niech pan przyjdzie dzisiaj do mnie. To przecież blisko. O której pan może?

– Za pół godziny?

– Dobrze.

– Zatem… do zobaczenia.

Zrozumiałem, że mój telefon nie może być pod kontrolą, skoro Batulis z niego skorzystał. To mnie uspokoiło.

W ciągu kilku minut byłem gotowy. Wziąłem błyskawiczny prysznic, ale już się nie goliłem. Wsypałem Vicky karmy i wymieniłem wodę w misce. Odsiedziałem kilka minut, żeby ochłonąć po kąpieli, i zacząłem zbierać się do wyjścia, kiedy zadzwonił Ray.

– Przylatuję jutro rano – oznajmił. – Takie polecenie szefa. Nie musisz mnie odbierać z lotniska. Dam sobie radę. Potrzebujesz czegoś?

– Polecenie?

– Tak. Czyli nic nie potrzebujesz. Dobrze. Zadzwonię po przylocie. – Rozłączył się.

Ucieszyłem się, że Ray będzie ze mną. Nawet jeżeli nie mógł pomóc w rozpracowaniu sytuacji, to jednak jego obecność zawsze dodawała mi ducha i odwagi. Był jak papierek lakmusowy, którym mogłem badać stężenie mojej adrenaliny, i jak środek uspokajający. Nawet jeżeli się ze mną nie zgadzał, nigdy nie ingerował w moje decyzje. Kiedyś powiedział: „Jesteśmy naszym życiem”. Nigdy już tego nie powtórzył. Trzy najważniejsze słowa, które tkwią wyryte w mojej świadomości, jak nasz genetyczny wspólny zapis.

Wyszedłem z domu. Było pochmurno i panował lekki mróz. Skręciłem w lewo. Do przedstawicielstwa miałem kilka minut.

Przeszedłem może sto pięćdziesiąt metrów, gdy obok mnie zatrzymał się granatowy passat. Podjechał od tyłu, więc go nie zauważyłem.

– Niech pan wsiada, panie Dirku – usłyszałem znajomy głos i zobaczyłem Batulisa za kierownicą.

– Pan? Mieliśmy się spotkać…

– Proszę wsiąść. Niech się pan nie boi, nic panu nie zrobię – uśmiechnął się niewyraźnie.

Tego się nie spodziewałem, ale Batulis nie mógł wysłać lepszego znaku. Zrozumiałem, że zdecydował się właśnie na kolejny krok i to mi oświadczył. To nie był przypadek, że znalazł się akurat w tym miejscu. Musiał obserwować ulicę prowadzącą do przedstawicielstwa i wiedział, że mieszkam w pobliżu.

Poczułem, że serce mi lekko przyspiesza. A jeszcze kilka chwil wcześniej zarzucałem sobie, że nie jestem odpowiednio przygotowany do tej rozmowy.

Całkiem profesjonalnie – pomyślałem, wsiadając do samochodu.

– Przepraszam za to dosyć niestandardowe zachowanie, ale chyba pan się nie gniewa? – zaczął, zawracając samochód.

– Ależ skąd. Nawet mi się to spodobało. Bardzo filmowe. Dokąd jedziemy?

– Dokądkolwiek – rzucił, rozglądając się dosyć agresywnie i sprawdzając w lusterkach. – Może gdzieś tu… w pobliżu. Przejdziemy się? Chciałem porozmawiać poza terenem naszej placówki i bardziej dyskretnie.

– Dyskretnie?

– Sprawa jest delikatna.

– Delikatna?

– Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Batulis żuł gumę, ale w samochodzie czuć było silny kwaśny zapach przetrawionego alkoholu. Widać było po jego twarzy i oczach, że musiał niedawno sporo wypić. Widziałem się z nim trzykrotnie, ale pierwszy raz był w takim stanie. A przecież był dopiero czwartek. Mimo to Batulis nie wyglądał na zdenerwowanego, chociaż ostro sprawdzał, czy nie jest śledzony.

Coś się stało i nie mogłem wykluczyć, że ma to związek z powrotem Razumowa i odkryciem przez Seppa, kim jest „Viper".

– Podjedźmy na kąpielisko, tu niedaleko – zaproponowałem. – Chodzimy tam z psami. Dyskretnie i przyjemnie. O to panu chodziło, prawda?

– Dobry pomysł. Wiem, gdzie to jest.

– Ostro skręcił w lewo.

Zjechaliśmy na parking. Wysiedliśmy i jeden za drugim ruszyliśmy ścieżką przez lasek w stronę kąpieliska. Po chwili dotarliśmy do otwartego terenu. W zasięgu wzroku nikogo nie było.

Powinien czuć się komfortowo – pomyślałem, czekając na jego inicjatywę.

– Jak już powiedziałem, sprawa jest bardzo delikatna i wymaga dyskrecji – zaczął Batulis poważnym tonem. – I dotyczy kapitana Razumowa.

– Tak? Słucham.

– Wiem, że widział się pan z nim wczoraj. Wiem też, że przyjechał tu specjalnie z pana powodu, a właściwie z powodu żony Nadii, która jest bardzo chora, jak pan wie…

– Wszystko wiem. Więc? – wtrąciłem.

– Pan wie, że Nadia jest nieuleczalnie chora? To nieoperacyjny glejak mózgu.

– Oczywiście, że wiem. Kapitan wszystko mi powiedział. Ułatwiłem mu tylko kontakt z profesorem neurologii z tutejszego uniwersytetu. Nic więcej. Chciałem pomóc. Zawsze jest jakaś nadzieja, nawet jeżeli wydaje się, że jej nie ma. Myślę, że świadomość, że zrobiło się wszystko, jest ważna. W czym zatem problem, panie Batulis? – Doszliśmy do pomostu, na którym piliśmy z kapitanem ormiański koniak z jego złotej piersiówki. – Co takiego się stało, że musiał pan mnie zaprosić aż tutaj?

– To pan zaproponował to kąpielisko – odparł z ironią Batulis.

– Pan wie, że przychodzimy tutaj z psami na spacer?

– No właśnie, panie Dirku van der Welde… – Zawiesił na moment głos i spojrzał mi w twarz. – Czy jak tam się pan nazywa. – Zrobiłem zaskoczoną minę. – Właśnie te pieski mnie tknęły.

– O czym pan mówi? Dobrze pana zrozumiałem? Coś pan insynuuje? – Patrzyłem na niego bez zaskoczenia i Batulis musiał to zauważyć. Chciałem go zachęcić, żeby ciągnął temat.

– Dokładnie taki sam numer, jak to się mówi, na pieska, zrobiliśmy kiedyś w pewnym zachodnim kraju…

– Numer na pieska? – rzuciłem z rozbawieniem. – Chyba się przesłyszałem. Wie pan, jak to brzmi? A poza tym, drogi panie Batulis, kto to my?

– My to KGB, Pierwszy Zarząd Główny, czyli wywiad – rzekł z widoczną dumą i nie spodobało mi się to, ale zrozumiałem, że Batulis działa na własną rękę. – A numer na pieska… tak nazywamy sposób podejścia do figuranta, to stary chwyt, którego uczą na pierwszym roku Akademii Andropowa. Powinien pan to wiedzieć. U was na pewno tego też uczą… w Fort Monckton. Zgadza się?

– Rozumiem, że poinformował mnie pan właśnie, że jest z KGB, uważa mnie za brytyjskiego szpiega i chce porozmawiać o seterach irlandzkich. Czy się mylę? – Ruszyłem w stronę morza, by nie musiał patrzeć mi w twarz. – I jaką rolę przewidział pan dla kapitana Razumowa?

– Właściwie to na początku nawet nie zastanawiałem się, kim pan jest. Przysłał pana kapitan i mnie to wystarczyło, by być uczynnym i uprzejmym. Chciałem pomóc kapitanowi, bo mnie o to prosił. Coś mnie tknęło podczas lunchu w Teatern. Wysyłał pan sygnały. Znam to dobrze. Robił pan aluzje z angielskim wdziękiem, podpierając się grecką mitologią. To mało holenderskie, za to bardzo angielskie. Ale wyłożył się pan na naszej ostatniej kawie w barze Lotto. Przyprowadził pan Vicky i nawet nie zareagował na bzdurne pismo z danymi technicznymi, które sam wymyśliłem. Tak to widzę, panie Dirku. – Batulis mówił bardzo spokojnie, bez cienia złości, za to z przekonaniem.

To było efektowne wejście i zrobiło na mnie duże wrażenie, ale młody Batulis odkrył wszystkie swoje karty. Byłem pewien, że Portnoy nie zatwierdziłby takiego planu. Za dużo było w tym dobrze ukrytych emocji i wypitego wcześniej alkoholu. Przez moment pomyślałem nawet, że z Razumowem może łączyć go coś więcej niż relacja mistrz i uczeń, ale zaraz wykluczyłem tę możliwość. W radzieckich warunkach nie dałoby się tego ukryć. Batulis darzył Razumowa uczuciem zwykłym, jakim syn darzy

idealnego ojca, i mogłem to zrozumieć. Po prostu kapitan taki był, nie dało się go nie lubić i z pełną świadomością też dałem mu się zauroczyć. Są trzy rodzaje ludzi, żywi, martwi i ci, co na morzu. Razumow cały czas był na morzu.

Szliśmy po pomoście, a świeży dziewiczy jeszcze dywanik śniegu skrzypiał pod nogami. Batulis zamilkł i ja też się nie odzywałem. Zdekonspirował się przede mną, chociaż nie musiał, i z pewnością zdawał sobie sprawę z konsekwencji tego, co zrobił. Musiał to przeżyć, ale trzymał się wyśmienicie.

To dobry oficer. Wyrósłby z niego dobry wilk. Byłby świetnym nabytkiem, gdyby przeszedł do nas – pomyślałem, ale czekałem na wyjaśnienie, dlaczego to zrobił, bo właściwie przed chwilą zakończył swoją karierę w KGB.

– Kapitan Razumow ma teraz trudną sytuację osobistą, nie jest zawodowym szpiegiem, ale jest bezcenny dla waszego wywiadu, wiem to, każdy by to zauważył. Idealna okazja, żeby to wykorzystać, prawda? A przynajmniej spróbować. Kapitan Razumow to Posejdon, a nie Pseudologos, jeśli już tak pan lubi mity greckie. Potrafi wstrząsnąć ziemią i morzem, jeśli zechce.

– No bardzo pięknie to ująłeś, Witalij, ale do czego zmierzasz? – zapytałem. – Czyli twierdzisz, że jestem brytyjskim szpiegiem i chcę skrzywdzić kapitana Razumowa? O co chodzi? Chcesz mnie ostrzec czy to groźba KGB albo może braci Posejdona z GRU? Nie rozumiem.

– To nie jest groźba ani ostrzeżenie. – Batulis się zawahał. – Właściwie to jest prośba… moja prośba.

– A Portnoy o tym wie? – zapytałem instynktownie, bo Batulis nie mógł dać mi lepszej okazji do przejęcia inicjatywy. – Czy to twoja prywatna prośba?

Batulis zamilkł, jakby dostał cios w splot słoneczny, ale nie zatrzymał się. Był twardy i spodobał mi się jeszcze bardziej. Poczułem jeszcze większą nadzieję na dobry finał. Nie mogłem tego spieprzyć.

Szliśmy powoli, wybierając miejsca do postawienia następnego kroku.

– Cieszę się, że jesteś poważnym człowiekiem – zaczął trochę niepewnie. – Wiedziałem, że taki właśnie jesteś, i dlatego chciałem z tobą porozmawiać. – Batulis zaczął się delikatnie ślizgać. – Tak… to moja prywatna prośba. Portnoy wyjechał, jeżeli cię to interesuje. Żadna tajemnica.

– Witalij! – Stanąłem i przytrzymałem go za ramię. – Witalij Batulis, oficer wywiadu KGB, prosi mnie, żebym nie robił krzywdy jego przyjacielowi, bo go bardzo lubi? Czy ty się słyszysz? Przyjacielu, to nie jest poważna rozmowa. Lubię cię… i to jest fakt, ale czy chcę to wykorzystać? Nie. Jeżeli już, to mogę coś budować na tym, że zaprosiłeś mnie na ten spacerek. Postawiłeś sprawę jasno, że uważasz mnie za brytyjskiego szpiega, a sam jesteś z Pierwszego Zarządu. Rozumiem, że przez dekonspirację poświęciłeś się, swój los, by ratować przyjaciela. To piękne, w mitologii i także w świecie zwykłych ludzi. W takim razie odpowiem ci… – Zawiesiłem głos, by podkreślić wartość mojej deklaracji, nie miałem wątpliwości, że wszystko, co powiedziałem, musiało go dotknąć. – Nie miałem i nie mam żadnych złych zamiarów wobec kapitana Razumowa, jeżeli o to ci chodzi. Nie mam zamiaru wykorzystywać jego dramatycznej sytuacji. Wprost przeciwnie, o ile rzeczywiście byłem nim zainteresowany, to teraz już nie jestem. Po prostu chcę mu pomóc, jeśli w ogóle jest to możliwe. Ważniejsze jest, że on tej pomocy ode mnie oczekiwał. Bardzo polubiłem kapitana, chyba z wzajemnością, a załatwienie wizyty u profesora nic mnie… nas nie kosztowało. Jeżeli będę mógł coś jeszcze dla niego i jego żony zrobić, to zrobię. I nie wystawiam za to żadnego rachunku. Obaj znamy zasady, ale jest między nami różnica. Dobrze o tym wiesz, Witalij. Dlaczego twoje władze nie zaopiekowały się Nadią, dlaczego nie pomogły Wadimowi poszukać pomocy, nie dały im chociażby nadziei? Przecież wasze władze mogłyby się skontaktować ze specjalistami na Zachodzie. Nawet jeżeli istniał tylko cień nadziei. Skąd ta bezduszność? I to wobec człowieka, który poświęcił życie w służbie dla swojej ojczyzny. To wy sami doprowadziliście go do rozczarowania, a teraz próbujecie ratować sytuację, wysyłając za nim GRU.

– Co? – odezwał się podniesionym głosem zaskoczony Batulis. – GRU?

– Tak. Próbowali mnie wczoraj nastraszyć. Zupełnie inaczej niż ty, ale też zaczęli od pieska i też tutaj – powiedziałem z ironią, mimo to Batulis był wyraźnie zaskoczony. – Żelka? – Wyciągnąłem z kieszeni torebkę z cukierkami. – Kwaśne, lepsze od gumy. – Wziął jednego i zaraz się skrzywił.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Tak jak tego, że ty jesteś z KGB. Mogą mnie obserwować, więc musisz to uwzględnić w swoich planach na przyszłość. Chyba nie poskarżysz się Portnoyowi?

– Lubię to wasze poczucie humoru. Tym się najszybciej dekonspirujecie. MI6 jak Monty Python, a MI5 jak Benny Hill i od razu widać, kto jest skąd. Musicie wziąć jakiś kurs u Francuzów od PR-u – odparł z lekką uszczypliwością, ale cały czas się dyskretnie kontrolował. – Dam sobie radę.

– Z pewnością. Wyglądasz na dobrego szpiega, ale musisz uważać z tym litewskim radiem, a szczególnie na sąsiada donosiciela. – Spojrzałem na Batulisa, który zamarł. – Witalij, sam zacząłeś, więc…

– Okej. – Westchnął. – W takim razie trzeba jasno powiedzieć, że sytuacja bardzo się skomplikowała. Nie sądziłem, że skomplikuje się aż tak bardzo i tak szybko.

– Mogę cię zapewnić, że kapitana Razumowa nie czeka żadna niespodzianka z mojej strony, bo o to ci przecież chodziło, kiedy zapraszałeś mnie na ten spacer, i zrobię wszystko, żeby mu pomóc, ale nie mam pojęcia, jak się zachowa GRU… ale ty powinieneś mieć. Na pewno masz. Wiesz już, jaka jest sytuacja, mój telefon znasz i wiesz już, że możesz bezpiecznie dzwonić. Przemyśl wszystko. – Wyciągnąłem do niego rękę. – Tylko ty wiesz, co powinieneś teraz zrobić. Tylko ty! – Po chwili wahania uścisnął moją dłoń. – Możesz mi ufać, Witalij.

Batulis poszedł do samochodu, a ja zostałem na pomoście. To było magiczne miejsce. Patrzyłem, jak szara sylwetka powoli znika w lesie, i zastanawiałem się, czy wróci. Nie spodziewałem się, że posunie się tak daleko, i chyba zrozumiał, że dał się uwikłać. A może chciał. Nie mógł przecież złożyć swojej oferty i zapytać, ile za nią dostanie. Musiał się najpierw dobrze zaprezentować.

Szczerze troszczył się o Razumowa i to był jego największy błąd. Kwestią czasu było, kiedy do mnie przyjdzie. Zdekonspirował się, a czasu miał niewiele, bo Portnoy mógł wrócić w każdej chwili. Ktoś taki jak on nie zostawia rezydentury na długo. Batulis zorientował się, że SUPO ma go pod kontrolą, więc miał prawo obawiać się, że informacja o spotkaniu na kąpielisku dotrze do „Vipera”.

Powinien zdawać sobie sprawę, że jest w niebezpieczeństwie i musi działać szybko. Albo on, albo „Viper”.

66

Batulis nie pojechał do ambasady. Przez pół godziny jeździł po mieście, aż w końcu zatrzymał się na pustym parkingu gdzieś nad brzegiem zamarzniętej zatoki.

Nie wiedział, gdzie jest, ale musiał uporządkować rozszalałe myśli. Otworzył okno i do samochodu wpadło zimne powietrze. Oparł głowę o zagłówek, położył dłonie na udach i próbował uregulować oddech. Zamknął oczy, wciągał powietrze przez nos i wypuszczał ustami, aż szyba zaparowała.

– Spokojnie, bez nerwów, po kolei – wyszeptał. – Tak jak na szkoleniu. Najpierw fakty, zero emocji. – Poczuł zimne powietrze w płucach. – Jesteś w zimnym przeręblu – rzucił mimowolnie. – To chyba koniec. Nie ma co składać faktów, tylko trzeba szukać ratunku. Właśnie emocje, a nie fakty decydują teraz. Zastanów się uważnie, co ci podpowiada intuicja, bo zaczynasz tonąć, Witia. Piotr i Borys są nieobliczalni i możesz być pewny, że Portnoy w pięć minut rozkuje, co się dzieje. Czyli przez Borysa SUPO ma wgląd do naszej rezydentury i Dirk to potwierdził, więc „Kola” też może o tym wiedzieć. Tego się nie da rozwikłać. Jest czwartek… zostały trzy dni do spotkania. Mam czas, żeby to jeszcze przemyśleć. Spróbuję przeczesać „Kolę”, może coś mu się uleje. Ale tak czy inaczej, w końcu wypłynie mój kontakt z Anglikiem i Borysa z SUPO. Mogę uciec do przodu, od razu wydać Borysa i przyznać się do rozmowy z Dirkiem. Borys wszystko powie, ale ja będę pierwszy. Na pewno będzie jakaś kara, może odwołanie, może wyrzucą mnie ze służby, w końcu to utrata zaufania, ale przeżyję… albo nie przeżyję, bo wiem o „Koli”. Portnoy nie daruje ani mnie, ani sobie, że dał się nabrać. A Borys? A Borys mnie, kurwa, okłamał.

Batulis wytarł nos i włączył silnik. Zaczął wycofywać. Po kilku metrach poczuł gwałtowne szarpnięcie i samochód stanął. Spojrzał w lusterka, ale nic nie zauważył. Wysiadł i zobaczył, że najechał zderzakiem na duży głaz.

– Kurwa! Skąd się tu wziął ten kamień? – rzucił na głos i dotknął nogą pękniętego zderzaka. Jeszcze mi tylko tego brakowało! – pomyślał z wście-

kłością. Teraz będę musiał się tłumaczyć przed tym chujem Winogradowem.

Wsiadł z powrotem do samochodu i ruszył w stronę centrum.

Piotr sporządził listę, na której znalazło się dwanaście osób. Otwierał ją Witalij Batulis.

– Chyba o nikim nie zapomniałem. – Podał kartkę Borysowi, który właśnie składał pistolet. – Sprawdź!

– Na pewno o nikim nie zapomniałeś. Mam ręce w smarze – odparł i nie wziął kartki. – I co chcesz teraz zrobić? Dasz tę listę ambasadorowi? Że niby jako kto? Wiesz o tych osobach, bo Winogradow pisał na nich donosy do Portnoya. Pułkownik zrobi z ciebie miazgę, jak wróci. – Borys załadował magazynek i odłożył pistolet na stół. – Nie mieszaj się do tego. Wróci Lemieszew, to mu wszystko zameldujesz. Ale o donosach nie możesz nic powiedzieć, bo przecież my nic nie wiemy, kto i na kogo pisał. Czujesz, Pietia, złożoność problemu? Jebać Winogradowa!

– Nooo… – wahał się Piotr – ja nie wiem. Myślisz, żeby czekać na pułkownika?

– Pewnie! Portnoy to nasz szef tutaj. Tylko jego rozkazów mamy słuchać. A całą resztę pies jebał! Winogradowa i ambasadora też, ale nie kapitana Razumowa.

– Jasne, kapitan to porządny człowiek. Ale nie wiemy, kiedy Portnoy wróci. Mówił, że dopiero po Nowym Roku, a ta *blat*’ będzie dalej…

– Daj spokój, Pietia. Zaczekamy na pułkownika, a teraz obejrzymy sobie jakiś film. A poza tym jak rozpoczną śledztwo, to się zorientują, że brakuje wódki w magazynie.

– Jak się zorientują? Wódka wypita i jej nie ma. Jak to sprawdzą?

– Przecież administracyjny prowadzi zeszyt i zapisuje każdą flaszkę.

– I co? Do tej pory się nie zorientował? Na pewno sam sprzedaje. Krupowa nie znasz? – Piotr pokręcił głową z niedowierzaniem. – Dobrze, w takim razie zaczekamy na Portnoya. To daj ten ostatni film z tym no… z tym Belgiem… Van Damme’em. Dobry jest koleś.

Borys włożył kasetę do magnetowidu i zasiedli na swoich miejscach. Piotr na kanapie pod ścianą, a Borys w fotelu przy oknie.

Film trwał prawie dwie godziny. Wypili po dwie szklanki herbaty i wypalili po cztery papierosy. Prawie nie rozmawiali, chociaż Piotr zwykle z przejęciem komentował wszystkie walki swoich ulubionych bohaterów, a Van Damme do nich należał.

Borys od razu to zauważył. To nie wróżyło nic dobrego. Piotr był coraz bardziej nieobliczalny, ale dawał się jeszcze przekonać. Nawet drobne sprawy wywoływały w nim głębokie emocje. Borys patrzył na film, zerkając na zaciętą twarz Piotra, i zastanawiał się, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że to Batulis porysował samochód Winogradowa. Poczuł nagle, że może powinien podjąć w końcu stanowczą decyzję i odciąć się od niego. Nie potrafi mu pomóc, a Piotr zachowywał się, jakby jego pomocy nie potrzebował. Nie tylko stał się przeszkodą na drodze do nowego życia, ale też zaczął stwarzać zagrożenie dla siebie i dla niego.

Borys szedł do toalety, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Spojrzał przez wizjer.

Przyszedł Batulis.

Przez chwilę zastanawiał się, czy otworzyć, ale kiedy zadzwonił drugi raz, odezwał się zaniepokojony Piotr z pokoju.

– Rozwaliłem samochód – oświadczył Batulis, kiedy otworzył drzwi.

– Bardzo? Kiedy? – zapytał zaskoczony.

– Piętnaście minut temu. Najechałem tyłem na głaz i pękł zderzak. W sumie nic takiego, ale wiesz…

– No tak… kierownik gospodarstwa samochodowego Winogradow – powiedział Borys z mieszaniną zadumy i ironii.

– Kto tam?! – zawołał z głębi Piotr.

– To ja – rzucił Batulis.

– Witalij?

– Tak.

– Czekaj! – Do przedpokoju przyszedł Piotr i zaczął się przyglądać Batulisowi.

– Co jest? – zapytał zaskoczony Witalij.

– Nic – włączył się zdecydowanie Borys. – Chodź, pokaż mi, co się stało. – Chwycił kurtkę z wieszaka i próbował wypchnąć Batulisa za drzwi.

– O co chodzi, Pietia? – zapytał znów Batulis. – Coś się stało?

– To ty porysowałeś samochód Winogradowa? – zapytał Piotr, mrużąc oczy. – Tak, to ty! To na pewno ty! Byłeś ostatni.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym samochodzie Winogradowa. Dopiero przyjechałem. Ostatni? Gdzie niby byłem ostatni? – odparł zdziwiony Batulis i spojrzał na Borysa, który dał mu znak głową, że nic nie powiedział. – Ktoś porysował mu samochód? Przecież nie jeździ nim w zimie. A dla-

czego uważasz, że to ja? Dlaczego miałbym to zrobić? Mało Winogradow ma wrogów?

– Napisał na ciebie donos. To był jego ostatni przed wyjazdem pułkownika.

– Donos? Na mnie? To jakiś żart? – obruszył się Batulis.

– Nie udawaj! – Piotr podniósł głos. – Wiedziałeś, że napisał na ciebie donos, i chciałeś się zemścić. Ty mu powiedziałeś? – zwrócił się do Borysa.

– Absolutnie! – Pokręcił głową i wydął usta. – Nigdy!

– A ty skąd wiesz, że Winogradow pisze donosy? – zapytał Batulis. – I akurat napisał na mnie. Daje ci te donosy, żebyś poprawił błędy? Konsultuje z tobą stronę literacką? A może piszecie je razem, i to do… Portnoya? Jak śmiesz mnie oskarżać?!

Borys zobaczył, że Piotr zrobił się czerwony, zacisnął usta i wysunął żuchwę. Wiedział, że za chwilę zaatakuje, i zaczął się przesuwać w stronę drzwi, żeby ich od siebie odgrodzić. Chciał już coś powiedzieć, ale zobaczył kątem oka gwałtowny ruch Piotra i odruchowo rzucił się do przodu. Odbił zaciśniętą pięść, ale cios był na tyle silny, że i tak dosięgnął twarzy Batulisa, który nie zdążył się uchylić.

Piotr umiał się bić. W oddziale uchodził za narwańca, jego cios mógł znokautować, ale został częściowo sparowany przez Borysa. Batulis był wyższy i wysportowany, więc natychmiast przeszedł do kontrataku i zadał Piotrowi cios z góry nad ramieniem Borysa. Obaj ruszyli do przodu i zwarli się rozpychani przez Borysa, który ugrzązł między nimi. Okładali się pięściami, ale zadawali ciosy chaotycznie i nie za mocno, bo starali się oszczędzać Borysa.

Trzech silnych młodych mężczyzn tkwiło w uścisku, przepychając się do mieszkania i na klatkę schodową. Nagle otworzyły się drzwi obok i na korytarz wyjrzała sprzątaczka Luba, a za nią wychylił się kierowca Fiodor.

– Co tu się dzieje?! – krzyknęła, widząc zajście. – Oszaleliście!

– Drobne… drobne… nieporozumienie – powiedział Borys, odpychając Batulisa i Piotra, którzy sapiąc, odsunęli się posłusznie.

– Tacy młodzi, a już pijacy! – rzuciła Luba. – Kto to widział! Co się z was porobiło! Kiedyś to było nie do pomyślenia! Co ta wódka robi z ludźmi.

Wepchnęła Fiodora do środka i zatrzasnęła drzwi.

Batulis przytrzymywał palcem nos, z którego ciekła krew, a Piotr masował dłoń. Na ich twarzach wciąż widać było napięcie. Wystarczyła iskierka,

by znów do siebie skoczyli.

– No i co, głupie chuje! – wycedził przez zęby Borys, odpychając ich od siebie. – Możecie być pewni, że Lemieszew o wszystkim się dowie, gdy tylko wyląduje w Helsinkach.

– I dobrze! Sam mu o wszystkim zameldуję! – odezwał się Piotr. – Pierdolony zdradziecki Litwin!

– Zamknij się! – rzucił Borys i pchnął Batulisa w stronę schodów. – A ty idź do siebie. – Dał mu znak głową.

Witalij nie odezwał się, chociaż wyraźnie też gotów był do walki. Piotr znów go obraził. Mimo to posłuchał Borysa, odwrócił się z wyczuwalnym ociąganiem i zaczął schodzić, przytrzymując się barierki.

– Będziesz miał kłopoty, jeżeli Batulis poskarży się Portnoyowi – oznajmił, zamykając drzwi. – Nie masz z nim szans. To oficer. Skąd wiedziałeś, że to był donos na Batulisa? Przejrzałeś go?

– Jasne! Przecież zawsze przeglądamy – odparł, oblizując kostki pięści. – Leżał w biurku przecież. Dam go pułkownikowi, jak tylko wróci.

– Krwawisz.

– Walnąłem we framugę – wyjaśnił Piotr, wciąż zlizując krew. – Mówiłeś, że Portnoy wziął. Jak wróci, to się zajmie tym skurwysynem. I ja mu pomogę – dodał z emfazą i wszedł do łazienki.

Pod Borysem ugięły się nogi, bo przypomniał sobie, że anonim Winogradowa oddał Batulisowi.

– Wychodzę! – rzucił z przedpokoju, ale Piotr nie odpowiedział.

Batulis zostawił do swojego mieszkania uchylone drzwi. Borys wszedł i zobaczył, że gospodarz jest w łazience. Pochylony nad umywalką mył twarz.

– Pokaż! – Borys obejrzał Batulisa. – Celnie trafił. Spuchnie ci nos i będziesz miał limo. Może ci się zrobić wylew. Nooo… nie wytłumaczysz się śliskim chodnikiem. A Pietka ma zdarte kostki.

– Chuj z nim! – rzucił z emfazą Batulis.

– Gdzie masz ten anonim, który ci dałem? – zapytał Borys.

– Zniszczyłem.

– No to, kurwa, pięknie! Bardzo pięknie, towarzyszu poruczniku! – Borys przysiadł na wannie. – Jesteśmy w czarnej dupie, na całego! Co mnie podkusiło, żeby ci go dać?

– Nagrzany byłeś.

– Portnoy nie czytał go przed wyjazdem, bo mu spadł z biurka pod dywan. Ale on nie zapomina o anonimach Winogradowa, nawet je lubi. Teraz zapyta, gdzie jest, a Pietia mu o tym przypomni.

– No to nie ma go i już. Niech się martwi, co z nim zrobił. – Batulis wycierał twarz. – Jak mu wcześniej dałeś, to skąd go miałeś potem? – Odłożył ręcznik i spojrzał na zmartwionego Borysa.

– I w tym jest, kurwa, cały problem, towarzyszu. Kopertę znalazła Luba i ja ją zabrałem. Jest świadkiem. I co, powiem mu, że zniszczyłem przez przypadek, zgubiłem, ktoś mi ukradł? Pietia potwierdzi, że go widział w biurku. Lemieszew mnie zajebie na śmierć! Co robić, Witia?

Batulis odkręcił wszystkie kurki z wodą i zbliżył się do Borysa.

– Ty już narobiłeś! – wyszeptał, spoglądając na ścianę oddzielającą go od Winogradowa. – Jak się dowiedzą, co zrobiłeś, czeka cię pluton egzekucyjny. I nikt ci nie pomoże. Jeżeli mamy naszych ludzi w SUPO, a na pewno mamy, to lada chwila cię wyłapią. Nie takich kozaków namierzali nasi i… pyk! – Przyłożył palec do głowy. – Zastanowimy się jeszcze, co robić. Na razie nie spotykaj się z Finami, a jeżeli będą nalegać, to najpierw mi o tym powiedz. W każdym razie nie wspominaj, że mi się przyznałeś. Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem, nie jestem taki głupi – wyszeptał z przekonaniem. – A co zrobimy z Pietią? Nie mam już na niego żadnego wpływu. Jest nieobliczalny. Sam widziałeś! Odbija mu. Zaczyna działać mi na nerwy, a to zły znak, delikatnie mówiąc. Też mogę być w końcu nieobliczalny, jak się wkurwię. – Pokręcił głową z rezygnacją.

– To ty w końcu załatwiłeś mu papiery psychologa, żeby mógł tu przyjechać. Naraziłeś bezpieczeństwo państwa, ściągając tego psychola. Za to masz drugi pluton egzekucyjny. Dobra, Boria, nie denerwuj się. – Batulis zmienił ton. – Wybrniemy z tego jakoś. Damy radę. My nie damy? – Spojrzał Borysowi w twarz i się uśmiechnął. – Damy!

– Ja pierdolę! – Borys westchnął. Borys westchnął i pomyślał, że chyba pójdzie do Leeny po zioło. – Co z tym twoim samochodem? – zapytał, jakby chciał szybko zmienić temat.

– Wgnieciony tylny zderzak.

– Postaw go na swoim miejscu i zgłoś zaraz Winogradowowi, że ktoś cię stuknął na naszym parkingu i nie przyznał się. Teraz na pewno ci uwierzy. Będzie szukał wroga wewnętrznego, który porysował jego samochód i uszkodził twój. Od tej pory wszyscy będą się spowiadać z każdej rysy na

karoserii. – Borys uśmiechnął się i Batulis też. – Może Winogradow napisze nowy anonim, wtedy będzie udawał ten, który zniszczyłeś. Tylko co zrobić z Pietką? Ech…

– Ty jesteś niezły cwaniak, Boria! Jak trzeba, potrafisz dobrze zakombinować. – Batulis położył mu rękę na ramieniu.

– No to idę!

67

Było już po dwunastej. Siedziałem przed telewizorem i czekałem na telefon od Razumowa. O dziesiątej miał go przyjąć profesor Orvo Kuskonen.

Ten czwartek mógł zadecydować o mojej przyszłości w Helsinkach. Polubiłem to miasto, a Finów jeszcze bardziej i na samą myśl, że miałbym stąd wyjechać jako przegrany, czułem przykry ucisk w brzuchu. Finowie się nie poddają. Seppo był tego najlepszym przykładem.

Nie byłem najważniejszym aktorem w tej rozgrywce, ale to ode mnie zależało sprawne związanie wszystkich wątków. Nie musiałem wymyślać niczego nowego, miałem profesjonalnie dokończyć to, co zacząłem. Nie miałem też żadnego wpływu na Seppa, Batulisa ani Razumowa, ale musiałem utrzymać ich na właściwym kursie, w odpowiedniej temperaturze i cierpliwie czekać.

Ray podniósł mnie na duchu. Nie będę musiał tkwić w tym sam, chociaż zrobiło mi się żal Giny i dzieciaków. Nigdy mnie nie winiła za jego ciągłą nieobecność i swoje pokręcone życie. Ray ani nie był przystojny, ani łatwy we współżyciu, ale Gina była zawsze uśmiechnięta, pogodna i zakochana. O nic nie pytała, podawała mu walizkę, przytrzymywała płaszcz z kanapką w kieszeni i całowała w usta na pożegnanie. To nie było normalne.

Razumow zadzwonił kilka minut po trzynastej.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Dirk – zaczął bez wstępnego powitania. – Rozmowa z panem profesorem była wspaniała, chociaż może to nie jest najlepsze określenie, ale…

– Cieszę się – przerwałem mu. – Co powiedział?

– Jeszcze nic. Rzucił tylko okiem na historię choroby, ale jest po rosyjsku i będzie potrzebował pomocy. Potem długo rozmawialiśmy. Powiedział, że wypowie się za kilka dni, najprawdopodobniej już po świętach. Niczego nie obiecywał. Zapowiedział, że Nadia najprawdopodobniej będzie musiała wkrótce przyjechać do Helsinek na badania. Z Leningradu może ją zabrać

powietrzna karetka, bo podróż koleją czy samochodem odpada. To na teraz tyle albo aż tyle.

– Zrobiłeś pierwszy krok. Trzeba być dobrej myśli. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

– Napij się ze mną dzisiaj. Masz czas? Jutro wracam do Leningradu.

– Oczywiście, Wadim. Wieczorem jestem w domu. Zadzwoń wcześniej.

– O osiemnastej?

– Okej.

– To do zobaczenia, Dirk… i dziękuję.

To była nasza najważniejsza rozmowa. Miałem przeczucie, że ostatnia.

Musiałem się przygotować.

– Chodź, Vicky! Przejdziemy się na kąpielisko. Może znów wydarzy się coś ciekawego. To szczęśliwe miejsce. A może to nasz ostatni spacer? Potem zrobimy zakupy dla naszego gościa. – Założyłem jej obrożę. – Lubisz kapitana, prawda? Pachnie Morsem, wiem, wiem…

Na zewnątrz było szaro i ponuro. Temperatura podniosła się do zera i czuć było wyraźny spadek ciśnienia. Na jezdni zaczął topnieć śnieg.

Poszliśmy na kąpielisko stałą, dobrze przećwiczoną trasą. Drugi raz tego dnia.

Sprawdzałem dokładnie, choć nie agresywnie, czy nie jestem śledzony. Nie mogłem bagatelizować wczorajszego ostrzeżenia. Nie mogłem też ich prowokować. Ruch na ulicach Kulosaari był znikomy, więc rozpracowanie obserwacji było stosunkowo łatwe.

Nie zauważyłem nic podejrzanego.

Vicky pobiegała pół godziny.

Wróciliśmy, po drodze odwiedziwszy sklep, gdzie kupiłem trochę produktów na kanapki, napoje, ciasteczka i orzeszki. Żelki jeszcze miałem. Miało wyglądać naturalnie, nawet skromnie, bez zbytniego zadęcia. Razumow musiał się czuć komfortowo i nic nie powinno przyciągać jego uwagi. Być może w ogóle na to nie zważał, ale wolałem dopracować każdy szczegół. Wszystko musiało wyglądać naturalnie.

Weszliśmy do mieszkania. Na sekretarce pulsowało czerwone światełko.

Dzwoniła Marina.

– To tylko ja, Marina. Dzwonię, żeby zaprosić cię na naszą przedświąteczną imprezę. Tu, na uniwersytecie. Będą doktoranci i stypendyści, nasi opiekunowie. Jeżeli masz ochotę i czas oczywiście. Zaczynamy o osiemnastej w sali obok tej, w której byliśmy na lunchu. Do zobaczenia.

Poczułem miłe zaskoczenie. Jej głos jakby wyrwał mnie z równoległego świata i uniósł wieko ciemnego pudła. Rozmawiałem z Batulisem, Razumowem czy nawet Seppem, ale słyszałem tylko swój głos. Nagle ktoś mówił do mnie czysto, wyraźnie, wszystko rozumiałem i zrobiło się jasno. Żyjemy tak, jak śnimy – samotnie – przypomniało mi się.

Odsłuchałem tę wiadomość trzy razy. Miałem wrażenie, jakbym widział przed akademikiem zmarzniętą, a jednak uśmiechniętą, pogodną dziewczynę, która nie miała nic wspólnego z zatęchłym światem szpiegów. Doktorantka od kultury plemienia krasnoludków z lasu Świętego Mikołaja. Ona sama była jak królewna z bajki. Pewnie gdyby teraz zadzwoniła jeszcze raz i powiedziała twardo: rzuć to wszystko i przyjeżdżaj, pojechałbym.

Ray pewnie potrafiłby to jakoś wytłumaczyć – pomyślałem z rozbawieniem.

Ray był szczęśliwym człowiekiem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak on to zrobił. Szczęśliwy szpieg? To nie mogło być prawdziwe.

Nie oddzwoniłem do Mariny. I wiedziałem, że nie pojadę na imprezę do akademika. Chociaż niczego bardziej nie pragnąłem, niż oderwać się od tej skundlonej rzeczywistości i pogadać z jakimś brodatym badaczem saamskich pieśni z tundry. Napić się z nim wódki, posłuchać o symbolice totemów i pięknie renifera w biegu.

Popatrzeć na Marinę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odpędziłem ten bajkowy obraz i wziąłem się do rozpakowywania zakupów. Wkrótce miał przyjść kapitan Razumow.

Wyjąłem z torby chleb tostowy i pomyślałem, że nie chce mi się już tego robić. Mam dość tego chleba, szynki o smaku papieru i niedojrzałych pomidorów. Poczułem, że jestem bardzo zmęczony i powinienem być teraz na Jamajce, a nie w ponurej Finlandii na jakiejś zatopionej w lodzie wyspie o abstrakcyjnej nazwie Kulosaari. Wciągnąłem tego człowieka w grę tylko po to, żeby pomógł mi dotrzeć do kapitana Golicyna, który mógł wiedzieć, co się stało w głębinach Atlantyku. To coś, co postawiło na baczność Londyn i Waszyngton.

Ta kombinacja była naiwna w swojej prostocie, a zaangażowano w nią najlepszych ludzi MI6 i SUPO. A teraz tostowe pieczywo, szynka, ser i twardy pomidor mają pomóc w rozwiązaniu zagadki?

Vicky jakby wyczuła, że kapitan ma przyjść, i stała w przedpokoju, merdając ogonem. Punktualnie o osiemnastej odezwał się dzwonek i Vicky

zaszczekała.

Razumow był uśmiechnięty. Wręczył mi butelkę koniaku, a na szafce położył pudełko wielkości grubej książki. Najpierw przywitał się z Vicky, która nachalnie domagała się czułości.

Wszedł do salonu i od razu stanął przy oknie. Przez chwilę rozglądał się po ulicy.

– No więc… – zacząłem, rozstawiając na stole kieliszki. – Co powiedział profesor?

– Tak jak ci powiedziałem. Profesor potrzebuje czasu, żeby się zapoznać z historią choroby. Powiedział mi o jakichś eksperymentalnych badaniach, które prowadzą w Instytucie Karolinska w Sztokholmie, ale niczego nie obiecywał. Komórki macierzyste czy coś takiego. Poważny, odpowiedzialny człowiek.

Razumow usiadł na kanapie, a Vicky położyła się obok niego. Nalałem po kieliszku koniaku. Wypiliśmy jak wódkę. Przez kilka minut kapitan spokojnie i szczegółowo relacjonował swoją rozmowę z profesorem Kuskonenem. Widać było, że poznał szczegóły choroby Nadii, jakby sam był profesorem medycyny. Mówił z taką znajomością tematu i uczuciem, że przez chwilę miałem wrażenie, że opowiada o okręcie podwodnym.

Nie przerywałem mu, nie dopytywałem się, bo cokolwiek bym powiedział, nie miałem pojęcia o glejaku mózgu ani okrętach podwodnych. Byłem dla niego tylko neutralnym punktem odniesienia.

Wydawało mi się, że Razumow kocha Nadię taką samą miłością jak swoje okręty. Poczułem do niego jeszcze większą sympatię, chociaż wiedziałem, że zwykły człowiek nigdy nie zrozumie takiego uczucia. Kapitan Wadim Razumow walczy o żonę z takim samym poświęceniem, z jakim ratowałby swój okręt i każdego marynarza, bez względu na zdanie admirałów, polityków, kogokolwiek, walczyłby do końca.

Patrzyłem na niego i wiedziałem, że tylko Marlow by mnie zrozumiał. W gruncie rzeczy Razumow nie był skomplikowanym przypadkiem. Wystarczyło posłuchać go uważniej, żeby zauważyć, że jest częścią własnej opowieści z pogranicza lądu i morza. To nie był człowiek, którego można byłoby namówić do czegoś wbrew jego woli, oszukać, zmanipulować ani tym bardziej zmusić.

Kapitan narzucał tempo. Pierwszy raz zauważyłem, żeby pił tak dużo. Wypiliśmy po cztery pełne kieliszki koniaku, ale nic nie czułem. Byłem podenerwowany jak jeszcze nigdy wcześniej.

Wystawiłem kanapki, ale Razumow nawet na nie nie spojrzał.

– Mam dla ciebie prezent – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Chciałem ci podziękować za…

– Daj spokój, Wadim – przerwałem mu. – Nic nie zrobiłem i nie masz za co dziękować.

– Ja wiem, co zrobiłeś, i wiem, za co chcę ci podziękować. – Podniósł się i poszedł do przedpokoju. Po chwili wrócił z paczką, którą przyniósł. Położył ją przede mną. – Wybacz, że nie jest odpowiednio zapakowana, ale czy jest takie opakowanie, w które można zawinąć serce? Serce podaje się właściwie na dłoni, prawda?

Rozpakowałem pudełko.

W środku była morska piersiówka Razumowa z klejnotem.

– Wadimie Grigoriewiczu… – wydusiłem z siebie i zamilkłem.

– СФ, to pierwsze litery *Siewiernyj Flot* – powiedział. – Flota Północna, w której służyłem.

– Nie mogę tego przyjąć… absolutnie! Nie!

– Możesz i nawet powinieneś. Zobacz, jakie to piękne. Rubiny, złoto i diamenty. Lekka stal, kosmiczna technologia i szlachetny koniak ormiański. – Wyjął piersiówkę z moich rąk, pogładził klejnot i uśmiechnął się. – Stracił dla mnie swoją magiczną moc. Niech teraz służy tobie. Tak, to prawda, że przecież nie znamy się dobrze. Spotkaliśmy się ledwie kilka razy, ale w ważnym dla mnie momencie. Obiecałeś pomoc Nadii i słowa dotrzymałeś. Dałeś nam nadzieję, której odmówił nam nasz kraj, a właściwie bezduszni ludzie. Ja wiem, że Nadia z tego nie wyjdzie, ale ona wierzy, że wygra. I ty dałeś jej tę chwilę nadziei. Nie ma dla nas teraz nic cenniejszego. Wiesz, kochać można tylko kogoś żywego. Miłość jest wymierna, to nawet chemiczne i biologiczne zjawisko, ale jak odchodzi osoba, którą kochasz, odchodzi z ciebie też miłość. Powstaje pustka, której już nigdy nie wypełnisz. Zostaje bolesna tęsknota. Jeśli ktoś mówi, że kocha zmarłego, tak naprawdę kocha siebie. – Razumow nie zaskoczył mnie, od początku nie krył się ze swoimi uczuciami i mówił o nich otwarcie, jakby uważał, że to nie jest intymna strona człowieczeństwa, lecz powód do szczęścia, którym warto się dzielić. – Odchodzę ze służby i chciałem, żebyś to ty wziął tę pamiątkę. Wraz z Nadią odejdzie całe moje życie.

– Nie mogę tego przyjąć, Wadim. Właśnie dlatego, że…

– Że co?

– Że jestem… że jestem… – Czułem, jak stanął mi w gardle wielki zimny głaz. – Pracuję dla brytyjskiego wywiadu i mam na imię Martin – wyrzuciłem z siebie i czekałem na reakcję Wadima, ale na jego twarzy nie pojawił się ślad emocji. Cały czas trzymał piersiówkę i gładził palcem klejnot. W końcu uśmiechnął się, zupełnie zwyczajnie, nawet sympatycznie.

– I co z tego. Wiedziałem. Domyśliłem się dosyć szybko. Ta tarcica to było słabe przykrycie. Wiesz, wolę angielskiego szpiega za przyjaciela niż holenderskiego handlarza, który nie zna się na drewnie. Reprezentujesz w końcu jedną z najbardziej szanowanych instytucji na świecie. Dotrzymujecie słowa i można na was liczyć, nawet jeżeli nie jesteście przyjaciółmi. Ja jestem niewerbowalny, jak to mówicie. Mnie nie można do niczego zmusić ani namówić, i ty doskonale o tym wiesz. Nigdy nie narażę mojej ojczyzny na niebezpieczeństwo. Jestem marynarzem, to sprawa honoru. Nigdy do niczego mnie nie namawiałeś, pomogłeś mojej Nadii i o nic nie prosiłeś. Polubiłem cię, a teraz lubię cię jeszcze bardziej. Tak jak od razu polubiły się nasze psy. One nie potrafią udawać, chociaż spotkały się przecież też nieprzypadkowo, prawda?

– Prawda. – Poczułem, jak schodzi ze mnie napięcie. – Nie chcę też, żebyś miał przeze mnie kłopoty. Wczoraj dostałem od GRU ostrzeżenie, żebym się trzymał od ciebie z daleka.

– Wiem. Nie przejmuj się tym. Są przewrażliwieni. Ustalili, że do ciebie dzwoniłem, a poza tym nie ukrywałem w Leningradzie, że mam znajomego w Helsinkach, który może pomóc Nadii. Dla nich to jest sygnał alarmowy. Sam widzisz, zamiast pomóc Nadii, wysyłają szpiegów. Oni wiedzą, że ja nie jestem zdrajcą i żaden wywiad nie jest w stanie mnie podejść ani namówić do zdrady. Nie wiedzą, że jesteś Anglikiem. Właściwie to powinienem cię za to przeprosić. – Razumow uśmiechnął się i podszedł do okna. – Siedzą tam, w tym srebrnym samochodzie. Śmieszne i straszne, nieprawdaż?

– Dziękuję ci za te słowa, Wadim – powiedziałem szczerze. Nie potrafiłem wydobyć z siebie nic bardziej oczywistego i czułem, że musiało to zabrzmieć naiwnie, ale pierwszy raz znalazłem się w sytuacji, gdy zawiodła mnie szpiegowska intuicja. Mogłem być już tylko spontaniczny. – Życzę Nadii siły w jej walce i tobie siły ducha. Cóż mogę jeszcze powiedzieć…

– Więc przyjmij prezent. – Spojrzał z ukosa. – Ma też swoją wartość – uśmiechnął się sympatycznie. – To powiedz mi teraz, czego ode mnie oczekujecie. Nie trać czasu, nie męcz się, mów szczerze i prosto. Zobaczmy, czy

będę chciał ci odpowiedzieć. Zakładam, że musi to być coś ważnego, skoro tak się zaangażowałeś.

To był finał operacji. Od początku czułem, że Razumowa nie da się zwerbować. Można było liczyć tylko na zbieg okoliczności, który otworzyłby drzwi do rozmowy. Choroba Nadii mogła zarówno pomóc, jak i zaszkodzić, ale na pewno jej nie wykorzystaliśmy. Czułem się wolny od odpowiedzialności.

Za chwilę może się dowiem, dlaczego Rosjanie wysłali na Atlantyk Dymitra Dońskiego.

– Dobrze… powiem. W październiku tego roku na Atlantyku doszło do dziwnego zdarzenia, które bardzo zmartwiło Waszyngton i Londyn. Spowodowało potężne zmartwienie na najwyższym szczeblu.

Razumow spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Właściwie wasze zmartwienia nie są naszymi, a powiem nawet więcej, wasze zmartwienia są nam miłe – uśmiechnął się z lekką ironią. – No dobrze… świat wygląda już nieco inaczej i z tymi zmartwieniami jest też teraz nieco inaczej. Zaczyna się ciekawie.

– Macie atomowy okręt podwodny Dymitr Doński.

– Mamy.

– Duży okręt.

– Potężny i nowoczesny.

– Dowodziłeś nim?

– Nie.

– Ale dowodzi nim twój przyjaciel kapitan Władimir Golicyn, prawda?

– Już nie.

– Aha…

– Od kilku tygodni jest w domu, w Leningradzie. Czeka na nowy przydział.

– I rozwodzi się.

– No proszę. – Wadim pokiwał głową. – Macie nieaktualne informacje. Rozwiódł się rok temu. Ale o co chodzi, Martin? Nie trać czasu.

– W październiku Dymitr opuścił bastion, po raz pierwszy od dwóch lat przeszedł łańcuch hydrofonów i wypłynął na Atlantyk. Towarzyszył mu brytyjski Trenchant. Dziwne to było, bo na Atlantyku zbierało się na huragan.

– Dla TK-208 to nie problem. – Kapitan pokręcił głową.

– Na głębokości czterystu metrów Trenchant zarejestrował pojawienie się towarzyszącego Dońskiemu akuły… prawdopodobnie K-263 Delfin.

– My mówimy Szczuka. No i… to normalne.

– Nie wiemy, skąd tam się wziął. Nie wyłapały go hydrofony, nie wiemy, kiedy wyszedł z Gadżyjewa. To na pewno był akuła, ale jego sygnał nieco różnił się od innych.

– Tak?

– Pojawił się nagle. Trenchant rejestrował go przez dziesięć minut, po czym akuła znikł. Sytuacja powtórzyła się trzykrotnie.

– Dziwne. – Razumow zmarszczył brwi. – A w czym problem?

– Ten konkretny akuła nie tylko wyskoczył spod ziemi, ale płynął z prędkością czterdziestu pięciu węzłów.

– Niemożliwe – odparł zaskoczony kapitan. – Popełniliście jakieś błędy. Coś musiało wam się zepsuć w sonarach, w systemie namierzania i śledzenia.

– Nie. Wszystko sprawdzili nasi specjaliści. Pomyłka wykluczona. Czy macie nowy okręt?

– Nie, nie mamy. – Kapitan przez chwilę się zadumał. – Chyba rozumiem, o co wam chodzi – zaczął zmienionym tonem. – Torpeda Tigerfish! Wasza torpeda nie dojdzie naszej Szczuki, jeżeli będzie płynąć z taką prędkością, czyli Doński byłby bezpieczny. – Zacisnął usta i spojrzał mi w oczy. – Teraz rozumiem. Doskonale rozumiem. Ta historia, jeśli nie jest wynikiem błędu albo… może was martwić. Nie mamy takiego okrętu i nieprawdopodobne jest, żebym o takim nie wiedział, chociaż od kilku lat już nie jestem na służbie. Musiałby mieć nowy reaktor.

– Nasze dwa pytania są proste. Co tam się stało w głębinie Atlantyku i dlaczego nam to robicie?

– Nie wiem. Mogę tylko spekulować.

– Ale Golicyn wie.

– Tak, on wie na pewno. – Razumow pokiwał głową. – Rozumiem. Spróbuję. Tak, lepiej rozmawiać, niż walczyć.

68

Mauno obudził mnie o piątej rano. Poinformował krótko, że czeka tam, gdzie poprzednio, a kawę wypiję już na miejscu.

Nie czułem się dobrze i od razu pomyślałem o Razumowie. Wyszedł po pierwszej, a o szóstej miał jechać do Leningradu. Twierdził, że robi wyjątek, bo nigdy nie jeździ po alkoholu, ale wieczorem musi być w domu. A na niebieskich numerach dyplomatycznych nikt go nie zatrzyma.

– Co za odór! – rzucił Mauno, gdy zatrzasnąłem drzwi. – Obrzydlistwo! – dodał i demonstracyjnie otworzył okno.

– Tym razem radzę ci jechać prosto i nie robić ostrych zakrętów ani gwałtownie hamować – odciąłem się i pomyślałem, że powinienem był wziąć żelki.

Mauno potraktował moją uwagę poważnie i przejechał trasę bez sprawdzania się.

Seppo już czekał.

– Nie wyglądasz dobrze – przywitał mnie z ironicznym uśmieszkiem. – Ciężki czwartek był, jak widzę.

– Tak. Bardzo ciężki – powiedziałem zdecydowanie i bez cienia ironii. – Zaczął się od spotkania z tobą o świcie, jeżeli tak można nazwać piątą rano w zimie w Finlandii, potem interesujące spotkanie z Batulisem i jeszcze bardziej interesujące z Razumowem, po jego wizycie u profesora. Rozmawialiśmy siedem godzin przy koniaku ormiańskim.

– Powinieneś był pójść na *student party* do Mariny. Trochę byś się rozerwał – powiedział Seppo całkiem poważnie i dopiero przypomniałem sobie, że Mauno kontroluje mój telefon. – Co z Batulisem? – zapytał.

– Najpierw niech to monstrum – wskazałem głową na siedzącego w rogu Mauna – da mi kawę i coś do zjedzenia. Byle nie tostowe pieczywo z szynką i serem.

– Zaraz przyniesie – odparł Seppo z lekkim rozbawieniem. – Nie trać czasu. Co z Batulisem?

– Myślę, że już dojrzewa i wkrótce pęknie. Wywołał ze mną spotkanie, poinformował mnie, że wie, kim jestem, i sam się zdekonspirował…

– Wspaniale! – wtrącił Seppo.

– Myślał, że w ten sposób będzie chronił Razumowa i mnie wystraszy, żebym nie wykorzystywał jego sytuacji z żoną. Zupełnie jak wczoraj ten typ z GRU. Myślał, że będziemy go werbować, i bał się, że kapitan ulegnie. Nie powiedział tego wprost, ale nie musiał. Trochę to naiwne, ale ma sens. Najważniejsze jest, że zrobił to na własną rękę, bez wiedzy Portnoya, do czego się nieopatrznie przyznał. Ale wystraszył się nieco, kiedy powiedziałem mu o spotkaniu z GRU.

– Bardzo dobrze. Wprawdzie inaczej to planowałem, ale taki efekt też jest dobry.

– To nie koniec. Wypuściłem mu informację, że mamy źródło w rezydenturze, które go kontroluje.

– Tego nie uzgadnialiśmy, Martin! – obruszył się Seppo i w tym momencie otworzyły się drzwi do kuchni. Z naburmuszoną miną wszedł Mauno, niosąc tacę z kawą i kanapkami. – Mogłeś przecież zdekonspirować Borysa, o ile już tego nie zrobiłeś. A on będzie nam bardzo potrzebny.

– Działałem intuicyjnie, ale zrobiłem dobrze. – Spojrzałem na tacę, na której leżały cztery kanapki z pieczywa tostowego z szynką, serem i pomidorem. – Mauno, jesteś nie tylko ponury, ale również złośliwy. Co ja ci zrobiłem?

– Nic. – Obrócił się na pięcie, przeszedł przez pokój i usiadł na krzesełku w rogu.

– Dobrze? – zapytał Seppo.

– Co dobrze?

– Dlaczego uważasz, że zrobiłeś dobrze?

– Bo żeby wyjść na prawdomównego, czasami najlepiej powiedzieć prawdę. Także w naszym zawodzie. Tak, tak, bo w ten sposób Batulis powinien się zaniepokoić, że jego działanie bez zgody Portnoya może wyciec do „Vipera”, a to byłaby dla niego katastrofa. Przejął się, zauważyłem to, chociaż maskował się bardzo dobrze. To zdolny oficer, myśli profesjonalnie, jest inteligentny, popełnia błędy, bo nie do końca panuje nad emocjami, ale kiedy wszystko policzy, wyjdzie mu, że lepiej z nami niż przeciwko nam. Jeżeli się zorientuje, że jest manipulowany, wtedy nam nie zaufa. Jest młody, ma przed sobą przyszłość. Myślę, że zdecyduje się lada chwila, przed powrotem Portnoya. On wie, że książę szybko się zorientuje, jaka jest

sytuacja, i go odstrzeli. Jeżeli ci z GRU zrobili mi zdjęcie, to pokażą je Portnoyowi, a on zaraz przypomni sobie nasze spotkanie z Higginsem.

– Hmm… – Seppo się zadumał. – Czy ja wiem… może tak być, ale…

– To, że Paavo Haukka jest zdrajcą i masz na to mocne poszlaki, to mało. Sam mówiłeś. Trzeba kogoś, kto go zdekonspiruje, inaczej się nie przyzna. Uciszyć go można zawsze, ale przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, jakich szkód przez te lata narobił. Jak zamilknie, nic nie uzyskasz. Batulis jest naszą nadzieją. Wytrzymaj jeszcze chwilę. – Sięgnąłem po kanapkę. Przez kawę w moim zmęczonym żołądku zaczęło mnie niebezpiecznie mdlić. Przez moment pomyślałem nawet, że Mauno coś do niej dosypał.

– Przekonałeś mnie, co nie było trudne – rzekł Seppo. – Zaczekamy kilka dni. Jeśli nic się nie zmieni, zdejmę „Vipera”. – Spojrzał na Mauna, który skinął głową. – Najlepiej w pierwszy dzień świąt. Moje siedzenie w Santahaminie traci już sens. Muszę się na coś zdecydować.

– Mówisz o… aresztowaniu „Vipera”?

– Coś w tym rodzaju. Tak, aresztowaniu – potwierdził bez przekonania.

– To teraz druga część tej samej opowieści. Razumow. Wygląda na to, że jesteśmy blisko finału. Kapitan powiedział, że szybko zorientował się, kim jestem. Uznał to jednak za pozytywną wartość naszej znajomości. Wiedział, że jest pod obserwacją GRU, i zbagatelizował to. Żadna współpraca nie wchodzi w grę. Oznajmił to wyraźnie i krótko, chociaż nie wprost. Ale podjął się zdobycia informacji o wydarzeniu na Atlantyku. Niczego nie obiecał i nie powiedział, dlaczego to robi, a ja nie pytałem. Zobaczymy.

– Od Golicyna?

– Tak, od kapitana Golicyna, który nie dowodzi już Dońskim i przebywa teraz w Leningradzie, czekając na nowy przydział.

– Kogoś takiego jak Golicyn nie zdejmuje się z czegoś takiego jak Doński, jeżeli nie ma się dla niego ważniejszego zadania. Zatem… czy można zaufać Razumowowi? Nie podsunie nam jakiegoś gorącego kartofla?

– Tego nie wiem, ale wątpię, by był inspirowany przez GRU. To wrażliwy i uczuciowy człowiek. Tego by jednak nie zagrał. Powiedział, że lepiej rozmawiać, niż walczyć, więc…

– I ty mu wierzysz?

– To nie kwestia wiary. Wszystko zależy od tego, jaka będzie jego odpowiedź i czy Batulis wystawi nam „Vipera”.

– KGB może poświęcić Paava, jeżeli będzie trzeba. Cóż znaczy jeden człowiek w porównaniu z atomowym okrętem podwodnym? – Seppo był

wyraźnie podejrzliwy. – Nie obawiasz się, że sprawa Nadii może być elementem tej samej historii, która zaczęła się tam, na Atlantyku? Nie wiedzieliśmy wcześniej, że jest chora. Nie dziwi cię to? Rosjanie są mistrzami w takich inscenizacjach.

– Może, ale Razumow to nie Laurence Olivier, nie zagrałby aż tak dobrze, żeby mnie oszukać. Akurat na graniu i oszukiwaniu znam się doskonale.

Przez pół godziny jeszcze opowiadałem o rozmowie z kapitanem, a Seppo zadawał szczegółowe pytania, ale widziałem, że sprawa Razumowa nie interesuje go już tak jak wcześniej. Skoncentrowany był na Batulisie, który mógł dać bezpośrednie dowody na zdradę „Vipera". Zaniepokoiło mnie jednak, że Seppo coś ukrywa. Już drugi raz wymijająco odpowiadał na moje pytania w sprawie aresztowania Paava, jakby chciał uniknąć tego tematu, ale jednak nie skłamać. Pamiętałem, co mówił o liście „dwunastu", że premier, prezydent i Torsten przeciwni są jej ujawnianiu, bo przyniosłoby to ogromne szkody państwu. Zamierzali załatwić sprawę po cichu.

Podobnie zareagowali premier i Torsten w sprawie postrzelenia szefa kontrwywiadu. Gdyby można było udowodnić, że kretem jest Paavo Haukka, nie dałoby się utrzymać w tajemnicy listy „dwunastu". Byłoby oficjalne dochodzenie i wszystko wyciekłoby do mediów. Dopiero teraz zrozumiałem, co Seppo chce zrobić i dlaczego zgodził się na to absurdalne internowanie.

Mauno postukał palcem w zegarek i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia.

– Wysadzimy cię tam, gdzie poprzednio – oznajmił Mauno i ruszył ostro.

– Nie możecie mnie podrzucić na Kulosaari? – zapytałem. – Możesz mnie odebrać spod domu, a zawieźć już nie?

– Przejdziesz się – odparł Mauno.

– Jasne, że cię zawieziemy – włączył się Seppo.

– Co chcesz zrobić z „Viperem"? Mów szczerze. Widzę przecież, że coś ukrywasz. Ja przecież w tym uczestniczę, przyjacielu, więc chyba powinieneś mnie poinformować, że nie wspomnę o szacunku dla naszej przyjaźni i mojej inteligencji.

– Właśnie dlatego, że cię szanuję i jesteś moim przyjacielem, nie mogę ci powiedzieć. Bo sam jeszcze nie wiem. Mam kilka pomysłów, ale wciąż się zastanawiam, który jest najlepszy. Decyzję muszę podjąć sam. I kiedy ją podejmę, poinformuję cię. Ocenisz, doradzisz i zaprotestujesz albo zaakceptujesz. Wysłucham cię, bo szanuję twoje doświadczenie i talent, dlatego

poprosiłem cię o pomoc, ale sprawa ma znaczenie wewnętrzne i musimy sami ją rozwiązać. Powiem tak – Seppo odwrócił się do mnie – być może trzeba będzie podjąć trudne decyzje i wyręczyć naszych polityków, do których mam zaufanie, ale którzy mają niestety ograniczone możliwości działania. Taka niestety jest nasza sytuacja geopolityczna. No i… – Seppo pokiwał lekko głową – zostaje sprawa „czterech". A „Viper" może wiedzieć, kim oni są.

– Rozumiem – powiedziałem, bo argumentacja Seppa miała sens. – Domyślam się, że Paavo może być nielegałem.

– Dokładnie, przyjacielu! Jeżeli jest nielegałem, do niczego się nie przyzna, będzie milczał, bo tylko wtedy Rosjanie go wyciągną. Nie zostawiają swoich, którzy zostali wierni, bo to istota ich siły, ale zdrajców zabijają, bo to też istota ich siły. Każdy ich nielegał to wie, kiedy wchodzi do służby, i wie, że nigdy się nie ukryje przed innymi nielegałami. Paavo Haukka to inteligentny gość, nie pęknie tak szybko. Tak ten system działa i działa sprawnie. Więc teraz widzisz, dlaczego jeszcze nie wiem, jak to ugryźć.

– Jeśli to nielegał, to zrozumiałe – odparłem zaskoczony prostotą logiki Seppa.

W przeszłości miałem do czynienia z sowieckimi nielegałami i dobrze znałem ich sposób działania, ale nigdy nie zdarzyło mi się stanąć z którymś twarzą w twarz.

Chociaż nie poznałem Paava, czułem, że mamy go w sieci. Zrozumiałem też, że aresztowanie „Vipera", niezależnie od tego, czy jest agentem, czy nielegałem, nie rozwiązuje problemu. Bo rząd obawia się ujawnienia informacji, że prawą ręką szefa SUPO był radziecki agent, lista „dwunastu" wycieknie, lista „czterech" będzie spalona albo Paavo zamilknie i Seppo będzie czekał, aż Rosjanie zrobią coś, co zmusi władze do przekazania go.

Zugzwang po fińsku? – pomyślałem całkiem poważnie. Rozwiązanie problemu za pomocą siekiery. Może mało eleganckie i finezyjne, ale praktyczne.

Umówiliśmy się następnego dnia o tej samej porze i wysiadłem z samochodu.

Minęła siódma trzydzieści. Było ciemno i coraz większa odwilż, na jezdni pojawiły się strużki wody.

Czas wyprowadzić Vicky. Zaniedbuję ją, to się musi zmienić, a przecież to dzięki niej wszystko się zaczęło. Jedyna zrobiła dokładnie to, co jej

zaplanowaliśmy. Po powrocie ją wyszczotkuję, a potem zadzwonię do Mariny.

Wyglądało na to, że po raz pierwszy od kilku dni będę miał wolne. Czuć było, że zbliżają się święta i zwyczajne sprawy tracą na znaczeniu, ale to rozprężenie raczej nie obejmowało KGB i GRU. Zawsze wydawało mi się, że to dla nich dni wytężonej pracy, aż do Nowego Roku, kiedy cały Związek Radziecki, od Kamczatki do Kaliningradu, zasiadał przy suto zastawionych stołach i biesiadował nieraz kilka dni.

Wszedłem do mieszkania i od razu przypomniałem sobie, że nie zapytałem Raya, o której przylatuje. Mieliśmy spędzić razem nasze dziewiąte Boże Narodzenie, które tym razem wypadło w Finlandii.

Powinienem pomyśleć, co przygotować na świąteczny stół. Nie przestrzegaliśmy żadnych obowiązkowych angielskich dań, nie chodziliśmy do kościoła i nie śpiewaliśmy kolęd, nawet nie obdarowywaliśmy się prezentami. Był to jednak dzień wyjątkowy, więc żeby uszanować tradycję, nie rozmawialiśmy o pracy. Rozmawialiśmy o nas i naszych marzeniach, które nigdy się nie spełniały.

Tym razem nie poszedłem z Vicky na kąpielisko. Za dużo się tam ostatnio wydarzyło, a ja pragnąłem chociaż przez chwilę przestać myśleć o Razumowie i Batulisie. Wiedziałem, że i tak będę musiał o wszystkim opowiedzieć Rayowi, co przy jego dociekliwości nie będzie łatwym zadaniem. Dlatego zrobiliśmy z Vicky trasę po lodzie wzdłuż wybrzeża.

Początkowo szła posłusznie koło nogi ze spuszczoną głową, jakby chciała pokazać, że jest jej smutno, ma dość spacerów w nocy i mojej obojętności, jakby czuła, że jestem nieobecny. Nie reagowała, kiedy do niej mówiłem ani kiedy ją czochrałem. Vicky miewała humory, ale tego poranka strzeliła prawdziwego focha, więc kiedy zeszliśmy na lód, starałem się ją rozbawić, nawiązać z nią kontakt i naprawić nasze relacje. Znalazłem kij do rzucania, ale nie wykazywała entuzjazmu w aportowaniu, chociaż zawsze uwielbiała to robić. Wyraźnie dawała mi znać, że jej rozgoryczenie jest większe niż moje zaangażowanie, więc postanowiłem zrobić coś, czego jeszcze nie widziała. Zacząłem biegać w kółko, wydając z siebie różne dźwięki, podskakiwać i robić pajacyki na śniegu. Sam byłem zaskoczony swoją pomysłowością i nawet się spociłem. Nigdy wcześniej nie zachowywałem się w ten sposób i Vicky była wyraźnie zaskoczona, a może nawet zdziwiona. Obserwowała mnie uważnie i kiedy w końcu zrobiłem koziołka

na śniegu, zaszczekała. Zrobiła kilka okrążeń wokół mnie, skoczyła i zaczęliśmy tarzać się w śniegu.

Wróciliśmy do mieszkania o ósmej trzydzieści. Byłem przemoczony, a Vicky szczęśliwa. Skutki ormiańskiego koniaku Razumowa rozpłynęły się w topniejącym śniegu i wróciła mi wola życia.

Na sekretarce nie było żadnych nowych wiadomości.

Wybrałem numer do akademika. Była za dwadzieścia dziewiąta i Marina powinna być jeszcze w pokoju. Odczekałem ze słuchawką przy uchu prawie minutę i zadzwoniłem jeszcze raz. Znów nie odebrała. Mówiła, że wyjeżdża na święta do znajomych Finów, ale nie mogłem sobie przypomnieć kiedy. Pamiętałem, kiedy wraca, bo byliśmy umówieni. Dziesięć minut później znów zadzwoniłem.

Vicky już wyschła. Zawołałem ją do łazienki i pokazałem jej szczotkę. Zaczęła merdać ogonem i mruczeć. Nie lubiła się kąpać, ale uwielbiała szczotkowanie, szczególnie delikatnie po głowie i mocno po szyi. To był piękny poranek, chociaż pogoda była zła. Pomyślałem, że kiedy pojadę po zakupy do Saluhall w porcie, kupię Vicky prawdziwy świeży krwisty wołowy stek z kością. Tak właśnie pomyślałem. Nie mogła przecież dostać karmy z worka w taki wieczór.

Zacząłem się zastanawiać, patrząc w jej brązowe, rozmarzone szczotkowaniem oczy, kto kogo zna lepiej. Ja jestem jej całym światem, a ona tylko moim psem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że Vicky wie o mnie wszystko.

Pocałowałem ją w czoło, a ona polizała mi twarz.

69

Piątek był ostatnim dniem, który mogli spędzić razem. Od dwudziestej drugiej rozpoczynali weekendowe dyżury w rezydenturze, na zmianę po dwanaście godzin.

Borys miał już dość problemów z Piotrem i zawiódł się na Batulisie. Witalij w niczym mu nie pomógł, chociaż otworzył się przed nim, czując bliską duszę. Oddał anonim i skasował nagranie.

Było gorzej, bo Batulis przypomniał mu, co grozi za to, co zrobił. Z dnia na dzień sytuacja się pogarszała, chociaż nie zrobił nic nowego. Portnoy mógł wrócić w każdej chwili, a on męczył się coraz bardziej w poczuciu swojej bezsilności.

Jak nie wiesz, dokąd iść, każda droga jest dobra – pomyślał, kończąc śniadanie, i zdecydował, że teraz najlepsza będzie droga do Leeny, ale bez spotkania z fińskim KGB, musiał się odprężyć.

– Wychodzę! – rzucił do Piotra, który właśnie przygotowywał magnetowidy do kopiowania.

– Dokąd idziesz?! – zawołał Piotr.

– Na miasto… przejść się trochę. Potrzebuję powietrza.

– To zajdź do Hollywood i oddaj kasety. Poczekaj! Zaraz ci przygotuję.

– Dawaj! Oddam, ale nie będę brał nic nowego, bo nie będę z nimi łaził po mieście.

Po chwili Borys schodził po schodach z reklamówką „Video Hollywood Club”. Na drugim piętrze natknął się na Winogradowa, który spocony wspinał się po schodach, przytrzymując się poręczy.

– Ciężko bez tej windy – rzucił Borys, przeciskając się między nim a ścianą.

– Zepsuta, psiamać, już tyle czasu – wydusił z siebie Winogradow z wyraźną wściekłością.

– Podobno administracyjny wziął w łapę, ale pokłócił się z wykonawcą naprawy. Normalka – zmyślił Borys.

– Kluczkow? – Winogradow zatrzymał się, wycierając czoło. – No tak! Cwaniak, bo mieszka na parterze. Niedoczekanie! – dorzucił i ruszył dalej. – Kiedy wraca pułkownik?! – zawołał jeszcze.

Borys nie odpowiedział, bo był już na parterze, ale usłyszał, co odparł Winogradow, i od razu pomyślał, że wkrótce pod drzwiami powinna się pojawić szara koperta.

Byłoby co podłożyć Portnoyowi. Jeden problem by się rozwiązał.

Panowała odwilż. Śnieg zrobił się mokry, a powietrze lepkie. Borys z zaskoczeniem stwierdził, że czuje zapach palonego drewna. Szedł ulicą i zastanawiał się, skąd może pochodzić ta woń, bo przecież nikt w okolicy nie palił ognisk. Przeszedł sto metrów i zapach znikł.

Neon „Video Hollywood Club" był wyłączony. To było dziwne, bo świecił się nawet w dzień. Gdy przeszedł na drugą stronę jezdni, zobaczył, że wewnątrz jest ciemno. Po raz pierwszy, odkąd przychodził po filmy, wypożyczalnia była nieczynna. Chwycił za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Borys poczuł niepokój, jakby ktoś go okradł albo coś się zepsuło w jego pistolecie.

Kurwa, przecież to tylko wypożyczalnia filmów – pomyślał na uspokojenie. Coś się ze mną dzieje, skoro denerwuję się takim gównem – przeleciało mu przez głowę i zobaczył, że na drzwiach przyklejona jest kartka z napisem po fińsku i liczbą 14.00. Spojrzał na zegarek.

– Za pół godziny – powiedział na głos. – Idealnie, żeby tylko Leena była w domu. – Obrócił się i ruszył szybkim krokiem pustą ulicą.

Batulis siedział w biurze i jadł lunch, który przyniósł w pudełku. Odkąd przyszedł, nikt nie zadzwonił, chociaż czasami telefon urywał się przez cały dzień. Wiele firm myślało, że z gnijącym Związkiem Radzieckim można zrobić interes życia. Ale to był ostatni zwykły dzień przed Wigilią, Finowie są już w przedświątecznym amoku i nie w głowie był im biznes. Telefonami z Moskwy się nie przejmował, od kilku miesięcy rzadko dzwonili.

Miał wystarczająco dużo powodów do zmartwień, ważniejszych niż kulejący handel fińsko-radziecki. W końcu to było tylko jego przykrycie. Od wczoraj jednak wszystko się zmieniło. Borys skłamał. Powiedział Finom wszystko, chociaż zapierał się, że nie. O tym, że słucha litewskiego radia, wiedzieli tylko on, Piotr i Winogradow. Ale dlaczego wiedzą o tym też Anglicy, dlaczego ich to interesuje? To, że znajdował się na liście SUPO jako oficer wywiadu, było oczywiste. Czasami puszczali za nim obserwację, ale teraz, kiedy bez zgody Moskwy odkrył się przed Dirkiem, popełnił

najcięższe przestępstwo. Następnym krokiem mogła być już tylko zdrada. Najgorsze było to, że Borys kłamał. Finowie z pewnością wyciągnęli z niego wszystko, co wiedział. A co wiedział? Borys był bardziej przebiegły i inteligentny, niż na to wyglądał.

Czyli wszystko jest teraz jasne. A może oni od dawna kontrolują Borysa albo nawet wystawili go pode mnie i prowadzą jakąś grę z udziałem MI6? Dlatego pojawił się ten Dirk. Na kilometr czuć, że to nie jest jakiś pierwszy lepszy szpieg. Może rzeczywiście to nie kapitan był ich celem, tylko ja, czyli „Kola", a właściwie Portnoy. Pachnie rozgrywką na najwyższym szczeblu. No i jeszcze to GRU! Tak czy inaczej, wielkie żarna zmielą mnie na pył i nawet nikt nie zauważy mojego zniknięcia albo zrobią ze mnie kozła ofiarnego. Czy w takich warunkach powinienem spotykać się w niedzielę z „Kolą"? Zdecydować mógłby tylko Portnoy, ale nie mogę mu przecież powiedzieć prawdy. Nic mu nie mogę powiedzieć.

Batulis zrozumiał, że jeżeli nie podejmie konkretnej decyzji, nie wyplącze się z tego układu i żarna go zmielą. Może docisnąć jeszcze Borysa? – pomyślał na koniec.

– Ostatnia chwila – dorzucił na głos i doszedł do wniosku, że najbezpieczniejszym rozwiązaniem będzie mądra rozmowa z Dirkiem.

Borys od kilku minut stał w bramie i naciskał przycisk domofonu. Leena nie odbierała. W sumie nic dziwnego, bo przecież nie umawiali się na spotkanie i mogła gdzieś wyjść. Nie miał jednak ochoty na spacery, bo zaczęła się odwilż. Stanął przy drzwiach i czekał, aż ktoś będzie wychodził. Postanowił posiedzieć na ciepłej klatce schodowej i poczekać.

Wkrótce wślizgnął się za staruszką z laską, której nawet przytrzymał drzwi i podał rękę, by mogła zejść po schodkach.

Wjechał windą na czwarte piętro i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Przystawił ucho, ale nic nie usłyszał. Wszedł na półpiętro i przysiadł na parapecie. Okno wychodziło na ulicę, ale było zbyt wysoko i nie mógł widzieć, gdy Leena będzie wracać.

Dom był przedwojenny, pięciopiętrowy, z windą klatkową i od dawna nieremontowany. A mimo to ściany nie nosiły śladów znęcania się mieszkańców. Borysowi i tak ten dom podobał się bardziej niż jego nowy w Bałaszysze. Potrafił sobie wyobrazić, że mieszka tu z Leeną, chodzi do pracy i może będą mieli dzieci.

Nie miałbym nic przeciwko, gdyby tak się zdarzyło. Aż się zdziwił, bo nigdy dotąd nie myślał o dzieciach. Zrobiło mu się przyjemnie, to było

dziwne, nieznane mu dotąd uczucie, ale szybko je odgonił, bo przypomniał sobie, że jest przecież na życiowym wirażu, i nawet nie wiedział, jak z niego wyjść.

Siedział na parapecie i wsłuchiwał się w każde trzaśnięcie drzwiami na korytarzu, głosy mieszkańców, ruch windy. Z piątego piętra nikt nie schodził, więc mógł siedzieć i czekać. Po ostatnich wydarzeniach doszedł do wniosku, że zostawia Piotra samego sobie i przestaje się nim zajmować. Nie może swojego życia ciągle podporządkowywać jego potrzebom i tłumaczyć się, że jest mu to winien. Był coraz większym obciążeniem, nieprzewidywalny i nawet nie próbował nawiązać kontaktu.

Po rozmowie z Batulisem nabrał wątpliwości, czy dobrze zrobił, spotykając się z fińskim KGB, chociaż nie powiedział mu całej prawdy. Nie chciał wyjść na zwykłego zdrajcę. Batulis był jednak wystarczająco przebiegły i mógł wyczuć, że coś nie pasuje w jego historii. Dlatego zachowuje dystans – pomyślał Borys. Doszedł do wniosku, że skoro podjął decyzję w sprawie Piotra, musi teraz rozwiązać problem Batulisa, zanim on zrobi to pierwszy. Zniknięcie anonimu Winogradowa, podbieranie wódki z magazynu, romans z Finką i kontakt z SUPO jest niczym wobec porysowania samochodu i słuchania litewskiego radia przez Batulisa. Ale Portnoy i tak nie będzie miał wątpliwości, komu uwierzyć i jaką podjąć decyzję. Oficerowie zawsze będą się wspierać i takiego sierżanta jak on rozdepczą jak pluskwę.

Sytuacja całkowicie się zmieniła – pomyślał z przejęciem. Jak otworzą Hollywood, trzeba zadzwonić do pana Aleksiego i o wszystkim powiedzieć. Spojrzał na zegarek i sprawdził, czy nie zapomniał portfela z kartą telefoniczną. Na pewno będzie wiedział, co robić. Jak powiem, że rezygnuję z Pietki, to im ulży. Postawię sprawę jasno: albo od razu mnie zabiorą, albo… będę musiał odstrzelić Batulisa. Borys pierwszy raz pomyślał o zabiciu Witalija i zdziwił się, że przyszło mu to tak łatwo. Przez lata zabijanie było najskuteczniejszym sposobem rozwiązywania problemów, a nie rozmowy czy kombinowanie. Wygląda na to, że wpierdoliłem się po same uszy. Jak wróci Portnoy, to Pietka pierwszy mnie skuje i zamknie w piwnicy, potem wsadzą mnie w wór i wyślą ekspresem do Moskwy. Kurwa! I na dodatek sam doprowadziłem do tego, że Winogradow i Batulis są teraz w jednej drużynie.

Borys wyglądał przez okno. Zaczynało się ściemniać, zapaliły się latarnie i lekko prószył śnieg.

Z dołu dobiegły niewyraźne głosy i po chwili głośniejsze niż zwykle trzaśnięcie drzwi do windy. Winda zatrzymała się na czwartym piętrze i Borys był już pewien, że wróciła Leena. Chciał już zejść do drzwi, gdy usłyszał na korytarzu podniesione głosy kobiety i mężczyzny przeplatane rubasznym śmiechem. To była Leena i mężczyzna w czerwonej kurtce. Podtrzymując się, podeszli do drzwi. Byli pijani i mówili po fińsku. Mężczyzna trzymał w dłoni nadpitą butelkę wódki, z której pociągnął duży łyk i przystawił ją do ust kobiety. Borys cofnął się za róg i obserwował, jak roześmiana Leena szuka czegoś w torebce. Po chwili torebka wypadła jej z rąk i zawartość wysypała się na podłogę. Podniosła klucze i nie bez trudu otworzyła drzwi, a mężczyzna uklęknął i zebrał jej rzeczy z torebki.

Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi i na korytarzu zaległa cisza, Borys zbiegł na dół.

Batulis wjechał swoim passatem na parking ambasady i nim się zatrzymał, zobaczył Borysa biegnącego od bramy głównej. Borys nigdy się nie śpieszył i Batulis od razu pomyślał, że coś się stało.

W ostatnich dniach Borys był obecny w życiu Batulisa niemal na okrągło, więc poczuł, że stało się coś, co z pewnością i jego dotyczy.

Wysiadł szybko z samochodu i nim Borys zbliżył się do budynku, stanął za rogiem i czekał, kiedy podejdzie do wejścia.

– Cześć, Boria. – Zaskoczył go swoją obecnością.

– Cześć.

– Gdzie tak pędzisz?

– Do domu, a gdzie. A ty wchodzisz czy wychodzisz? Czy czekasz tu na mnie?

– Coś się stało, Boria? Chcesz pogadać?

– Nic się nie stało i nie mam teraz czasu na gadanie – rzucił zdecydowanie Borys i pociągnął za drzwi. – Wiesz już, kiedy wraca Portnoy? Mówił, że przed Nowym Rokiem.

– Tak mówił, ale jak wiesz… może się pojawić w każdej chwili – odparł Batulis, idąc za Borysem. – Moim zdaniem niebawem go zobaczymy. Lubi robić niespodzianki. A twoje zaproszenie na Nowy Rok aktualne?

– Ochujałeś! – Borys stanął w miejscu. – Po tym, co zaszło między wami? Pietia ci nie daruje, bo jest przekonany, że to ty porysowałeś samarę.

– On tak poważnie? – rzucił z niedowierzaniem Batulis. – Aż trudno w to uwierzyć. Tak się przejął tym gównianym zdarzeniem?

– A co, nie zrobiłeś tego?

– Tak, ale przecież wiesz…

– Obaj mnie nieźle wpierdoliliście. Problem to teraz mam ja, a nie wy. Szkoda gadać! – Borys machnął ręką i ruszył po schodach.

Doszli na szóste piętro, gdzie mieszkał Batulis. Zatrzymali się na chwilę, jakby chcieli jeszcze coś powiedzieć, w końcu się pożegnali. Batulis zaczął otwierać drzwi, a Borys ruszył po schodach.

– Może to dobry pomysł – powiedział jeszcze Borys. – Wpadnij do nas w niedzielę wieczorem. Pogadamy… może się pogodzicie.

– A nie macie wtedy dyżuru? – zapytał Batulis.

– A chuj tam z dyżurem. Portnoya i tak nie ma, a oni tu obchodzą Boże Narodzenie.

– Dobrze! – Batulis znikł w mieszkaniu.

Borys wyraźnie się zmienił. Batulis nie miał już żadnych wątpliwości i wiedział, że on też jest tego przyczyną. Borys nie był już taki otwarty, skory do rozmowy, ale zaproszenie go zaskoczyło. Coś musiało się za tym kryć. Batulis już dawno się zorientował, że Borysa nie wolno nie doceniać.

Coś kombinuje, to pewne – pomyślał Batulis, ściągając buty. Intuicja mówi ci jasno, że to musi być ważne, nie lekceważ tego.

Batulis pamiętał, że o osiemnastej ma spotkanie z „Kolą”. Miał do przekazania tylko pakiet od Portnoya i trochę pogadają. Szybko obliczył, że w ambasadzie powinien być z powrotem przed dziewiętnastą, więc propozycja Borysa była do zaakceptowania.

70

Ray zadzwonił do mnie z Heathrow. W Helsinkach minęła osiemnasta, czyli mogłem oczekiwać go za cztery godziny. Z Vantay miał przyjechać bezpośrednio do mnie i zostać na noc. Lokal Wiedeń na Fredrikinkatu, w którym mieszkał, był już nieaktualny, więc znalazłem mu mały pensjonat na Kulosaari.

Rano w starej hali targowej obok przystani zrobiłem świąteczne zakupy. Polecił mi to miejsce Seppo. Miał rację, wybór artykułów był ogromny.

Zakupy zajęły mi prawie dwie godziny, nie tylko z powodu kolejek, ale ciągłych negocjacji ze sprzedającymi. Nazwy produktów były w języku fińskim, więc musiałem się dopytywać o gatunek ryb, ich smak, przygotowanie, podobnie było z wędlinami i kaszami.

Rozmowy ze sprzedawcami i przypadkowymi doradcami sprawiały mi dużą przyjemność. Dowiedziałem się wiele o fińskiej kuchni, ale też o samych Finach. Mimo okresu przedświątecznego nikt mnie nie poganiał, nie okazywał nawet śladu zaniepokojenia uciążliwym obcokrajowcem. Podziwiałem cierpliwość Finów. Tylko w Japonii doświadczyłem podobnego traktowania. Chwilami odnosiłem wrażenie, że widok obwieszonego torbami, dopytującego się o wszystko obcokrajowca sprawiał im przyjemność.

Lodówka była pełna. Nie wiedziałem jeszcze, co przygotuję, ale możliwości miałem wiele. Zresztą Ray jadł wszystko, jakby było mu obojętne, co przed nim stoi. Stek z kością dla Vicky dojrzewał.

Przyjechał około dwudziestej trzeciej. Jak zwykle był na wyraźnym rauszu i głodny. Nigdy nie jadł w samolocie, bo uważał, że mu to przeszkadza w nawiązywaniu kontaktów. Przygotowałem mu wędzoną rybę ze świątecznych zapasów z ziemniakami i sałatką z kwaśnej kapusty. O alkohol nie poprosił.

Opowieść o poznanej w samolocie Szwedce rozpoczął, zanim jeszcze umył ręce, więc miałem czas, by wystawić mu kolację.

– Ja zaczynam. Pierwsza sprawa: Higgins – przeszedł płynnie do nowego tematu, siadając do stołu. – Nie wróci już do Helsinek. Nie wiem, co dokładnie mu zarzucają, ale coś jest na rzeczy, bo ma zakaz opuszczania kraju. Jak rozumiem, nie zmartwiłeś się specjalnie. Nie pytaj o szczegóły, bo nic więcej nie wiem. Druga sprawa. Mamy nie kręcić się koło naszej ambasady, kontakt tylko w szczególnych okolicznościach. I jeżeli już, to tylko ja. Ty nie. Rozumiesz?

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą.

– I nie musisz. Higginsem zajmują się fachowcy z Vauxhall. Naszym łącznikiem jest teraz rezydent, ale nie jest wprowadzony w sprawę. Szef kazał dokończyć sprawę Razumowa. Czekają w Londynie i Waszyngtonie, aż coś z niego wyciśniesz. Mam upoważnienie Colberga, żeby ci powiedzieć, że informacja nie ma ceny. Za dwa tygodnie ma się odbyć spotkanie na najwyższym szczeblu, więc sam rozumiesz. Do roboty, przyjacielu. Bez ociągania. Ale szczerze mówiąc, z tonu szefa i tego, co mówił, wnioskuję, że nie wiążą już z tobą wielkich nadziei. – Ray podpierał głowę i jadł łapczywie, przebierał widelcem w rybie i mówił z pełnymi ustami, jakby nie chciał stracić ani chwili. – Ale ja wiem, że dasz… a właściwie damy radę razem. – Przerwał dłubanie w talerzu. – Trzecia sprawa to nasi fińscy przyjaciele. – Pierwszy raz spojrzał mi w oczy. – Według Colberga masz się trzymać od nich z daleka, z wyjątkiem Seppa. Tak prosił Torsten. Aż do odwołania. Nie powiedział, o co chodzi, ale dał do zrozumienia, że mają rosyjskiego kreta. Dopóki nie zrobią porządku u siebie, nie chcą dodatkowych komplikacji. Nikt tych Finów u nas nie rozumie, więc lepiej zachować dystans. Tak się sprawy mają, przyjacielu.

– No to wydarzenia stanowczo wyprzedziły wiedzę twoją i szefa. – Podszedłem do szafki i wyjąłem z niej piersiówkę Razumowa. Postawiłem ją na stole.

– To…? – Ray nie mógł ukryć zdumienia.

– Tak, to!

– Uff… ukradłeś mu czy kupiłeś? To warte majątek! Piękne! – Ray ostrożnie sięgnął po piersiówkę. – Pełna – dodał z zaskoczeniem. – Ormiański koniak?

– To prezent, zawartość też. Dał mi wczoraj. Chciał podziękować, wyrazić swoją wdzięczność. A właściwie zerwać z przeszłością.

– Co tu się stało? – zapytał Ray. – Opowiadaj!

Nie przerwał ani razu. Wysłuchał mnie bez jednego pytania, co samo w sobie było już niezwykłe. Nagle okazało się, że bez jego aktywnego udziału relacjonowanie szło mi dużo trudniej. Jakbym nie potrafił rozmawiać sam ze sobą. Ray był zawsze bardzo aktywny, częściej mnie krytykował, wyłapywał sprzeczności, rzadko chwalił, ale ja i tak robiłem to, co uważałem za słuszne.

Gdy skończyłem, długo milczał. Sprawiał wrażenie, że musi sobie wszystko uporządkować. Sam miałem mnóstwo pytań, na które nie znałem odpowiedzi. Nie było nic gorszego niż szpiegowski trójkąt dramatyczny, który na każde pytanie produkuje trzy odpowiedzi. Czekałem na pierwsze pytanie Raya.

– Po jaką cholerę Seppo dał się zamknąć na tej wyspie? – zaczął Ray pytaniem, którego oczekiwałem. Miałem trzy wykluczające się wzajemnie odpowiedzi, więc tylko rozłożyłem ręce. – Pewnie chciał sprowokować „Vipera”. Trzeba oddać szacunek wielkiemu Finowi. Trudno ich czasem zrozumieć, ale trzeba przyznać, że są bardziej skuteczni niż my – dodał z wyraźnym uznaniem. – Daję pięćdziesiąt procent szans, że Razumow coś przywiezie od Golicyna. To dużo, jak wiesz, więc poczuj mój szacunek, Martin. Wygląda na to, że przy okazji wyskoczył Batulis. Dobry strzał, przyjacielu.

– Jak sądzisz, co Seppo chce zrobić z „Viperem”? – zapytałem, żeby zweryfikować swoje podejrzenia.

– To, co mówił – odparł Ray, wydłubując resztki z ryby.

– To znaczy?

– Zabije go. Obetnie mu głowę i wypatroszy.

– Możemy na to pozwolić?

– Nie możemy, i co z tego. Oni są u siebie i załatwiają sprawy po swojemu. Tu nie jest Windsor, tylko Helsinki. A poza tym mam przeczucie, że on tego nie robi sam.

– Też tak podejrzewam. Coś kombinują, o czym nie chcą nam powiedzieć, bo to musi być coś bardzo niestandardowego. Czujesz? Muszą coś zrobić z listą „dwunastu”. Dla nich to jest poważny problem.

– Jeśli obaj mamy takie podejrzenia, to znaczy, że się spełnią. Wielkie umysły myślą podobnie. – Ray już dawno skończył jeść, ale dopiero teraz odłożył widelec. – W dobrym momencie przyjechałem. Nie tylko mnie potrzebujesz, ale i na mnie spadnie splendor. W końcu też mi się to należy – uśmiechnął się ironicznie. – A teraz najważniejsze. Co z Mariną? Spaliście

już ze sobą? Czy jak zwykle spieprzyłeś sprawę? – Spojrzał na mnie i dodał: – Szpieg z ciebie może i dobry, ale macho beznadziejny, chociaż jesteś przystojny.

Było wpół do drugiej, kiedy uprzątnąłem ze stołu. Ray zaczynał powoli odpływać, więc zarządziłem spanie. Miał się położyć w salonie. Poszedł do łazienki, a ja pościeliłem mu na kanapie. Wziąłem pilota, żeby wyłączyć telewizor, który nastawiony był na CNN.

Na czerwonym pasku zobaczyłem napis: „Pilne – Związek Radziecki. Wojsko otworzyło ogień, 15 zabitych i setki rannych przed parlamentem w Wilnie…”. Włączyłem głos. Dziennikarz stojący na ulicy relacjonował wydarzenia; jego wypowiedzi przeplatane były ujęciami, na których widać było tłum ludzi, uzbrojonych żołnierzy i agresywnych cywilów.

Od razu pomyślałem o Batulisie.

71

Rodzina z Tampere poinformowała w piątek, że nie przyjedzie, i liczba uczestników kolacji wigilijnej zmalała do ośmiu. Potem odpadł Jussi, partner Kerstin, bo wybrał kolację u swojego syna, a wieczorem pod naciąganym pretekstem wyłamał się kuzyn Antti z żoną. Zostało pięć osób i żadnych dzieci, więc Lassi zdecydował, że w tym roku wigilia odbędzie się u nich.

Paavo bardzo się ucieszył, bo mieszkanie syna było czterysta metrów od Omska. Nie zmartwił się prezentami, które zgromadził przez cały rok. Uznał, że wykorzysta je w przyszłym roku. Żałował jedynie, że nie spotka się z Jussim.

Obudził się w doskonałym nastroju. Poprzedniego dnia nie wypił nawet piwa, co oznaczało, że wychodzi z zawirowania ostatnich dni, skoro alkoholowy głód słabnie. Minął już prawie tydzień od zdarzenia w Medvaście i nie działo się nic, co mogło wzbudzać jego niepokój. Seppo siedział w Santahaminie i wszystko wskazywało na to, że odejdzie ze służby. Przestał być groźny i Paavo poczuł do niego rodzaj sympatii z domieszką pogardy. Pomyślał, że powinien namówić Torstena, by załatwił mu jakieś dobrze płatne stanowisko w zbrojeniówce.

Postanowił spędzić całą sobotę w domu.

Siedział w kuchni nad kartką papieru, pił kawę i zastanawiał się, jak powinien ułożyć sobie plan dnia. Punkt pierwszy. Najważniejsze było zrobienie porządku w garażu. Odkładał to od kilku miesięcy. Parkowanie samochodu było coraz trudniejsze. Przedtem zdejmie zasłony w salonie, punkt drugi. Od poprzednich świąt powtarzał sobie, że czas je odświeżyć. Teraz to już na pewno zrobi. Wypierze je i rozwiesi, żeby zdążyły się wyciągnąć i wyschnąć, kiedy będzie robił porządek w garażu. Punkt trzeci. Wywiezie na wysypisko zeschnięte liście, które od jesieni zalegają w workach za domem.

Spojrzał na zegar. Była ósma dwadzieścia i uznał, że najcięższe brudne prace powinien skończyć do trzynastej, czternastej. Potem pójdzie do

sauny, to punkt czwarty. Punkt piąty: obiad. Na obiad zrobi sobie dorsza z ziemniakami albo wyjmie z zamrażarki pizzę trzy sery. Nie zdecydował się jeszcze, co wybrać, bo nie wiedział, jak będzie się czuł po pracy w garażu. Przyrządzanie ryby wymagało jednak trochę wysiłku, a pizzę wystarczyło wyjąć z opakowania.

Po obiedzie punkt szósty: poczyta w bibliotece i zdrzemnie się w fotelu.

Wieczorem punkt siódmy: nagroda dnia. Przegląd, czyszczenie i oliwienie broni – zapisał. Weźmie tylko jedną szklaneczkę whisky, zejdzie do zbrojowni i puści *Aidę* z Callas. Resztę wieczoru spędzi w towarzystwie karabinów, pistoletów, bagnetów, muzyki i odrobiny alkoholu.

Następnego dnia będzie Wigilia i spotkanie z Griszą.

Lassi zaprosił wszystkich na szesnastą. Wcześniej kolacja miała się rozpocząć o piętnastej, ale kiedy odpadła połowa rodziny i zmienili miejsce, Lassi przesunął też godzinę. Najwyraźniej chciał wcześniej zakończyć uroczystość.

Paavowi też to odpowiadało, bo będzie miał trochę czasu do spotkania z Griszą, dla którego też przygotował prezent.

Paavo uznał, że powie mu całą prawdę o wydarzeniach w Medvaście. Nie będzie niczego zmyślać, toteż przynajmniej się nie pomyli. Wszystko wskazywało, że sytuacja ułożyła się sama, i Paavo nabrał większej pewności siebie. W sumie dobrze się stało, że tylko postrzelił Seppa. Gdyby go zabił, nie dałoby się ukryć tego faktu przed mediami, a wtedy cała machina SUPO i policji ruszyłaby do natarcia. Mogłoby być źle, a tak osiągnął cel, wyeliminował zagrożenie i Seppa. Nie był jeszcze pewien, czy to koniec tej historii, ale cisza okazała się uspokajająca.

Grisza powinien to zrozumieć i zaakceptować. Szpiegowskie życie to ciąg niespodzianek, które trzeba umieć wykorzystywać lub omijać. Tak mówił Jukka Haukka i Paavo zawsze o tym pamiętał.

Postanowił, że napisze raport i przedstawi go Griszy na spotkaniu. W szczegółach i szczerze opisze wszystko, co się zdarzyło od ich ostatniego spotkania w parku Sibeliusa. Taki raport będzie najlepszym dowodem jego lojalności i profesjonalizmu. Zrobi to po raz pierwszy, więc tym większa będzie jego moc.

Co Grisza zrobi z tym raportem, to już jego sprawa – pomyślał Paavo, kończąc drugi kubek kawy. Zniszczy go albo nie, tak czy inaczej, będzie to oznaczało, że ufa mi i akceptuje to, co zrobiłem. Ale raport muszę położyć przed nim na stole. Ojciec też by tak zrobił. Jestem przecież oficerem KGB.

72

Batulis prawie całą noc przesiedział w słuchawkach, przerzucając kanały w telewizji.

Zasnął w fotelu na dwie godziny. Obudził się i znów zaczął oglądać wiadomości. Stacje powtarzały już tylko te same informacje i nie mógł się dowiedzieć nic nowego. Około piątej położył się spać, ale długo przewracał się z boku na bok.

Wstał po ósmej. Znów włączył telewizor i radio. Posiedział chwilę w fotelu w słuchawkach i z pilotem w ręku. Przerzucał między stacjami i przeglądał teleteksty. Pojawiło się sporo nowych spekulacji i wyraźnie naciąganych informacji, które tylko zaciemniały obraz.

Piętnastu zabitych przez radziecki specnaz i około czterystu rannych. Od wczoraj liczby już się nie zmieniały, a stacje pokazywały najbardziej dramatyczne sceny. Temat spadł z czołówek i czerwonych pasków. Zaczęło się bożonarodzeniowe szaleństwo, ale Batulis wiedział, że wydarzenia z małego Wilna, z Litwy, o której nikt nie słyszał, będą miały znaczenie dla przyszłości Związku Radzieckiego, więc i świata. Zdawał sobie sprawę, że to nie było zdarzenie jak inne, których w pogrążonym w kryzysie największym państwie świata pojawiało się coraz więcej. Tak naprawdę coś wydarzyło się na Kremlu i Witalij doskonale o tym wiedział jak prawie każdy oficer KGB. Za chwilę coś się stanie – ta myśl wciąż nawracała.

Kiedy szedł do łazienki, minął w przedpokoju plakat z Paulauskasem i pomyślał, co jego idol robi teraz. Czy był w tłumie pod parlamentem? Przy jego wzroście wszyscy musieliby go zauważyć.

W sobotę o dziewiątej miał zagrać jak zwykle w kosza, ale pomyślał, że nie pójdzie. Po raz pierwszy w życiu miał zrezygnować ze swojego świętego misterium.

Postanowił zadzwonić do kolegi z drużyny i wykręcić się pracą. Tym bardziej że wszyscy w ambasadzie z pewnością siedzieli teraz przed telewizorami.

Modestas ani Sabonis, ani pewnie nikt z Žalgirisu nie wyszedłby dzisiaj na parkiet. O ile w ogóle jeszcze zagrają… w barwach ZSRR.

Stanął przed lustrem i zobaczył, że ma spuchnięty nos, siny okular i duży wylew w prawym oku.

Dokładnie jak powiedział Borys. Niemal symboliczne, i to w taki dzień jak dzisiaj – pomyślał z gorzką ironią.

– Co za pierdolony czas! – powiedział. – Tak! – krzyknął. – Pierdolę cię, towarzyszu Winogradow! – Postawił stopę na pralce i zaczął nią ruszać tak, żeby uderzała w ścianę.

O dziesiątej siedzieliśmy z Rayem w salonie przy kawie.

Za godzinę miał się zwolnić pokój w pensjonacie. Oglądałem telewizję, a Ray czytał *Okruchy dnia* Kazuo Ishigury, książkę ze złotym banerem Bookera ubiegłego roku. Czasami kupował na lotnisku trendowe książki, żeby potem szpanować przed dziewczynami w samolocie. Jeśli nie nawiązał wartościowego kontaktu, zatapiał się w lekturze. Rzeczywiście, Ray był wyjątkowo oczytany. To był jego atut w kontaktach z kobietami i potrafił z niego korzystać.

– Znasz jakiegoś litewskiego pisarza? – zapytałem zupełnie odruchowo, oglądając migawki z wydarzeń w Wilnie.

– Powinieneś kupić kapitanowi prezent. Nawet wiem co i dlaczego. A Litwa… coś słyszałem, ale to chyba ty powinieneś coś wiedzieć.

– Jaki prezent?

– Przyjąłeś od niego piersiówkę z klejnotem, którą dostał na pamiątkę zejścia na ląd. Nosił ją potem na piersi, blisko serca i popijał ogrzany koniak, żeby leczyć nim ból rosyjskiej duszy. I teraz oddał ci ten symbol swojego losu. Nie możesz tego tak zostawić… po prostu wziąć i podziękować. Musisz otworzyć swoją zimną flamandzką duszę i coś mu dać. To nie musi być jacht czterdziestostopowy, ale drobiazg, który zapamięta.

– Do rzeczy, Ray, i co?

– Kupimy mu nóż – powiedział zdecydowanie Ray. – Na placu Senackim jest taki sklep z fińskimi nożami. Chyba się nazywają Marttiini. Bardzo piękne i drogie rzeczy. Oprawione w skórę i kość renifera, brzozę karelską…

– Nóż? Dlaczego akurat nóż?

– Bo nóż symbolizuje męską przyjaźń, powinien mieć znaczenie emocjonalne dla wojskowego i będzie najlepszą pamiątką z Finlandii – wyjaśnił Ray. – Zresztą powinieneś pamiętać z raportów Seppa, że Razumow często

odwiedzał ten sklep. Ale najważniejsze jest pozostawić po sobie dobre wrażenie. Takie niby nic, a jednak może kiedyś mieć znaczenie. Pamiętaj, że niezależnie od tego, jak się ta sprawa zakończy, nawiązałeś kontakt z kimś bardzo wartościowym. Rosja się zmienia, ale nie znika, musimy utrzymać ten kontakt.

– Dobrze, to zajmij się tym nożem – odparłem i w tym samym momencie zadzwonił telefon.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to kapitan.

Podniosłem słuchawkę i nim zdążyłem się odezwać, usłyszałem niski tubalny głos mówiący po angielsku.

– Zagraj w Lotto! Teraz!

Rozłączył się. Odłożyłem słuchawkę i poczułem na plecach dreszcz.

– Kto to?! – zawołał z salonu Ray.

– Batulis.

– Tak? A co chciał?

– Dojrzał! – rzuciłem i zacząłem się ubierać. – Zbieraj się, Ray. Szybko! Weź minoxa, dyktafon i radio, wymień baterie. Będziesz mnie obstawiał.

– Skąd wiesz?

– Wiem! – krzyknąłem, aż Ray się skrzywił.

Wyszedłem pierwszy. Ray obserwował ulicę z okna gotowy do wyjścia, kluczyki od samochodu ściskał w dłoni. Nie zamierzałem się sprawdzać, bo nie miałem czasu, nie chciałem też prowokować obserwacji. Musiałem wypaść naturalnie, bo wcale nie byłem pewien, że to Batulis. Modulacja głosu była trudna do rozpoznania, a wiadomość zbyt krótka. O naszym spotkaniu w kafejce przy Lotto mógł wiedzieć ktoś jeszcze i Batulis niekoniecznie musiał w tym uczestniczyć. Więc mogła to być prowokacja.

Z Rayem nie musiałem nic uzgadniać. Obstawiał mnie nie pierwszy raz i doskonale wiedział, co ma robić. Mieliśmy jednostronną łączność. Czyli Ray słyszał mnie, ja jego nie. Mógł odpowiednio reagować, gdy dawałem mu zakodowane wskazówki.

Do centrum handlowego, gdzie znajdowała się kolektura Lotto, miałem kilka minut spacerem, ale nie spieszyłem się. Musiałem dać czas Rayowi i przytrzymać Batulisa, żeby sprawdzić jego determinację. Zakładałem też, że może podjąć kontakt, zanim wejdę do centrum. Tak byłoby profesjonalnie i Batulis na pewno to wiedział. Musiałem być pewny, że Ray jest w samochodzie i ma mnie w zasięgu wzroku.

Gdy dał mi sygnał światłami, przyspieszyłem kroku.

Skręciłem w prawo do centrum i zbliżyłem się do parkingu, gdy z szeregu samochodów wysunął się granatowy passat na dyplomatycznych numerach ambasady radzieckiej. Wiedziałem już, że to Batulis.

Podjechał do mnie i opuścił okno. Zobaczyłem, że jest pobity. Ray zatrzymał się po drugiej stronie i dał mi znak, że jestem czysty.

– Co ci się stało, Witalij?

– Potknąłem się. Ślisko jest przecież. Też musisz uważać. Wsiądziesz?

– Po co?

– Nie pajacuj. Chcę porozmawiać, jak się już pewnie zorientowałeś. Będziemy tak stać tutaj? – zniecierpliwił się Batulis, ale nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

– Dobrze. – Wsiadłem do samochodu. – To dokąd jedziemy?

– Pojeździmy chwilę po okolicy. Potem pójdziemy na spacer… ale nie na kąpielisko. Rozmowa będzie krótka, jak dwóch zawodowców.

– No to zaczynaj, Witalij – powiedziałem, gdy ruszył. – Chyba domyślam się, z czym przyjechałeś. Numer z Lotto zgrabny i profesjonalny, i ten głos…

– Widziałeś, co się wczoraj stało w Wilnie?

– Widziałem.

– No więc za chwilę coś się stanie, to tylko początek. Ja to wiem, nie czuję, nie wydaje mi się, nie podejrzewam… Ja to wiem! – Batulis mówił z przekonującym dramatyzmem. Wiedziałem już, w którą stronę idzie. Prowadził samochód i nie musiał patrzeć mi w twarz, więc mógł pozwolić sobie na emocje.

– Początek czego i skąd to wiesz? – zapytałem.

– Początek rozpadu Związku Radzieckiego, państwa z najpotężniejszym arsenałem atomowym świata. Zaczęło się od maleńkiej Litwy, ale jak pierdolnie, to może zmieść wszystkich. Gorbaczow tego nie powstrzyma, bo nie wie jak. Tego właściwie powstrzymać się już nie da. A skąd wiem? – Spojrzał na mnie pierwszy raz. – Jestem Litwinem i porucznikiem Pierwszego Zarządu Głównego KGB. Wystarczy?

– To widać, Witia, gołym okiem i nie trzeba być z KGB, żeby to zauważyć. Poza tym już mi się przedstawiłeś. Mów wprost jak oficer z oficerem. Oszczędź sobie i mnie tego przedstawienia. Wiemy, jak to się robi, więc zachowajmy dla siebie szacunek.

– Przejdę do was – rzucił Batulis zupełnie beznamiętnie.

– Dlaczego?

– Chcę zapobiec katastrofie, wojnie domowej. Wiesz, co to jest wojna domowa w państwie rozciągającym się od Japonii do Niemiec i o stu narodowościach?

– Coś tam wiem z opowiadań dziadka.

– Nie ma gorszej wojny niż domowa, kiedy mordują się ludzie w rodzinach. Jako oficer KGB nic już nie zrobię, mogę tylko przyczynić się do pogorszenia sytuacji, ale wy – spojrzał na mnie nabiegłym krwią okiem – z pomocą takiego jak ja coś możecie. Na Kremlu, w armii nie brakuje ludzi, którzy gotowi są pociągnąć za sobą świat w otchłań. A wy nie chcecie umierać, prawda? To nie jest w waszym stylu.

– Widzę, że myślimy podobnie. Nasze drzwi są dla ciebie otwarte. Z pewnością możesz pomóc. Chcesz zostać na Zachodzie w zamian za informacje, czy dobrze cię zrozumiałem? Myślę, że możemy ci pomóc, ale to wymaga…

– Nie – przerwał Batulis.

– Więc? Nie rozumiem.

– Zostanę w KGB i będę dla was pracował albo raczej… będziemy pracować razem.

– Czego od nas oczekujesz, Witalij? Dlaczego to robisz?

– Niczego – odparł wpatrzony przed siebie. – Że zapewnicie mi bezpieczeństwo, kiedy przyjdzie taka chwila. Dlaczego? Chyba już wyjaśniłem.

– To brzmi bardzo poważnie.

– Poważnie? – Batulis podniósł głos i nacisnął na hamulec, aż zarzuciło samochodem. – Człowieku! Jestem cały mokry i obsrany ze strachu, nawet sam jeszcze nie wierzę, że to wszystko powiedziałem, a ty… Poważnie? Wiesz, co mi grozi?

Zatrzymaliśmy się w uliczce, którą już dwa razy przejechaliśmy. Witalij oparł głowę o kierownicę.

– No więc właśnie, Witalij – zacząłem po chwili – nie wyglądasz na obsranego ze strachu, jak mówisz. To jest dziwne, coś tu nie pasuje. Jesteś dobrym szpiegiem i zakładam, że potrafisz ładnie zagrać.

Musiałem postawić sprawę zdecydowanie, bo jeżeli oferent był podstawiony, najlepiej można było to wykryć właśnie w chwili podjęcia kontaktu. To zawsze był najsłabszy punkt. Potem, kiedy dialog się zacieśnia, jest coraz trudniej. Powoli przeciwnik wciąga cię i zaczynasz grać według jego zasad. Zupełnie odwrotnie niż przy werbunku.

Jeżeli Batulis był szczerym oferentem, to musiał zadziałać silny impuls. Podjął decyzję, która może kosztować go życie, o czym doskonale wiedział. Nie miał już odwrotu i odtrącenie go w tym momencie mogłoby się zakończyć dla niego tragicznie. Nawet jeżeli podjęlibyśmy później współpracę, to złe wrażenie zostałoby w nim jak nasz grzech pierworodny i nawet pieniądze niewiele by już zmieniły. Ktoś taki nie poświęciłby swojego życia dla sprawy i będzie szedł po linii najmniejszego oporu. To była chwila, w której nawet zdrajcy trzeba okazać serce i potwierdzić, że postępuje słusznie. Jaka jest prawda, okaże się wkrótce.

Położyłem Batulisowi rękę na ramieniu, ale nie zareagował.

– Kto cię pobił? – zapytałem.

– Nie pobił – powiedział z ociąganiem.

– Więc co? Ślisko?

– Miałem spięcie z ochroniarzem Portnoya, Piotrem… bzdura… – mówił, wciąż opierając głowę na kierownicy.

– Spójrz na mnie, Witalij. Spójrz.

Podniósł głowę. Wyglądał jak ktoś przegrany, zrezygnowany, pozbawiony nadziei, zagubiony i wątpiący w słuszność tego, co zrobił. To był moment, którego nie mogłem przeoczyć.

– Okej, Witia! Wierzę ci i jestem gotów zaangażować się w sprawę. Powiem nawet, że podziwiam twoją odwagę. Trochę się przecież poznaliśmy. Razem możemy zrobić coś dobrego dla twojego kraju i świata. Brzmi trochę… ale ty i ja wiemy, że każdy szpieg zawsze może dostać okazję, żeby uratować świat, nie? – Batulis uśmiechnął się delikatnie, tak intymnie, że nie dałoby się tego zagrać. – Daj mi coś, co mogłoby być kamieniem węgielnym naszej przyjaźni i skróci czas dochodzenia do niej. Coś, co pozwoli nam sobie zaufać. Tak naprawdę, po naszemu. Wiesz przecież, jak to działa.

Batulis skinął głową.

– Wiem i jestem na to przygotowany – odparł. – Na początek coś wyjątkowego, potem inne sprawy. Jest tego sporo.

– Słucham cię, Witia – powiedziałem po rosyjsku i Batulis się rozpogodził.

– Zanim to powiem, chcę, żebyś mi potwierdził, co już mówiłeś na kąpielisku.

– Co?

– Że nie ruszysz kapitana.

– Masz moje słowo.

– Tak, człowiek jest wart tyle, ile jego słowo. Pamiętasz tę zasadę?

– Pamiętam, chociaż jestem niewierzący.

– Paavo Haukka, pseudonim „Kola”, sekretarz Torstena Koivista, szefa SUPO, to nasz nielegał, bliski współpracownik Portnoya.

– Mów dalej.

– Wystawię go wam.

– Jak?

– Jutro o osiemnastej mam mu przekazać specjalny pakiet. Spotkanie w lokalu konspiracyjnym. Portnoy ściągnął mnie do Helsinek tylko do obsługi „Koli”, a teraz nie ma go w Finlandii. Czyli sprawa jest bardzo ważna. Nie wiem, co to jest, ale musi być ważne i terminowe. Pakiet jest specjalnie zabezpieczony i tylko „Kola” wie, jak go otworzyć.

– Gdzie się spotkacie?

– Nie znam jeszcze adresu lokalu. Z pakietem dostanę plan dojścia i wyjścia, będzie tam adres. Czyli musimy się zobaczyć po moim wyjściu na trasę i wtedy wszystko ci przekażę. Będę potrzebował bezpiecznego numeru telefonu.

– Dzisiaj załatwimy.

– Musicie sprawę poprowadzić tak, żeby mnie nie zdekonspirować. Pamiętajcie, że „Kola” to nielegał, nie da się przewerbować. Jeżeli któregoś dnia zniknę, to będzie znaczyło, że coś spierdoliliście.

– Wszystko jasne, Witia. Dziękuję. – Uśmiechnęliśmy się do siebie.

On wiedział, że dał najlepszy dowód gotowości współpracy, wystawił nie agenta, tylko nielegała, oficera radzieckiego wywiadu, a za to była tylko jedna kara – śmierć, a ja wiedziałem, że powiedział prawdę.

– O innych sprawach porozmawiamy później. Najpierw załatwmy to, co powiedziałem. Wygląda na to, że sam na sobie sprawdzę, czy warto było ci zaufać. I jeszcze jedno… – Spojrzał z lekką ironią. – Powiedz Finom, żeby zostawili w spokoju tego Borysa z naszej ochrony. To dobry chłopak, ale nie radzi sobie z sytuacją, w jaką się wpakował, i to się może źle skończyć, dla niego i innych, także dla mnie.

– Czyli jutro o osiemnastej?

– Tak. Nie wiem, jak głęboko „Kola” siedzi w SUPO i jakich ma współpracowników, skąd bierze informacje, więc musisz uważać, Dirk, z kim pracujesz. Jeżeli zorientują się, że coś się dzieje wokół „Koli”, nie przyjdzie

na spotkanie, ja będę jechał w skrzyni do Moskwy. Właśnie oddałem swoje życie w twoje ręce, Dirk. Zaufałem ci. Rozumiesz?

– Nie zawiodę cię, Witia – odparłem przez zaciśnięte gardło.

Przeprowadziłem wiele werbunków, ale jeszcze nigdy nie poczułem takiego wzruszenia. To nie było profesjonalne, ale nie mogłem się powstrzymać. Nawet nie próbowałem i musiałem ukryć napływające mi do oczu łzy.

Młody Litwin dokonał właśnie wyboru, który zadecyduje o jego życiu, a odpowiedzialność za ten wybór spadła na mnie. Chciałem ją wziąć. Nie myślałem, że siedzi obok mnie być może jeden z najważniejszych naszych agentów wewnątrz radzieckiego wywiadu. Batulis był młody, wyjątkowo inteligentny i dobrze zmotywowany. Nie był sfrustrowanym kagebowcem z alkoholowymi problemami, chciwym na pieniądze, jacy się czasami pojawiali ze swoimi ofertami. Mógł być agentem idealnym.

Przyjechałem do Finlandii, żeby zwerbować kapitana Razumowa, a trafił mi się Batulis.

– Daj mi chwilę, Witia – rzuciłem. – Muszę…

– Jasne. Sam jestem zaskoczony, że poszło tak łatwo – odparł z pogodnym uśmiechem na obitej twarzy.

– Przyjedź tutaj wieczorem, o osiemnastej, w to samo miejsce, w którym teraz stoimy. Dam ci numer kontaktowy. Zasady znasz.

– Oczywiście. – Batulis zamyślił się na chwilę. – Wiesz, że ja teraz muszę się wyprzeć Litwy, nawet swojego ojca?

– Pamiętaj o tym.

– Będę pamiętał i wiem, co chciałeś powiedzieć.

– Okej. To do osiemnastej, Dirk. – Witalij podał mi dłoń. – I powiedz swojemu koledze – poruszył głową – w tym czerwonym volkswagenie z tyłu, żeby trzymał większy dystans. To dobrze, że jesteś ubezpieczony, ale mam nadzieję, że mu ufasz.

– Jak sobie – zapewniłem i wysiadłem z samochodu.

Batulis odjechał. Jak spod ziemi pojawił się Ray, aż go lekko zarzuciło, i wyskoczył na ulicę.

– Nooo… Martin! Brawo! Brawo! Nie pamiętam takiego słuchowiska, aż się zagubiłem w tej opowieści. – Ray nie mógł złapać oddechu.

– Wyłapał cię.

– Wiem, nic takiego.

– Musimy się pilnie spotkać z Seppem. Trzeba zadzwonić do tego neandertalczyka Mauna.

73

Borys usłyszał, że w mieszkaniu Luby za ścianą trwa impreza. Już wcześniej z korytarza dochodziły znajome dźwięki, trzaskanie drzwiami i głosy, które wskazywały, że schodzą się goście.

Po godzinie zaczęły się śpiewy i zagrała harmonia Fiodora. Pomyślał, że przyszedł czas, by dołączyć do imprezy i uzupełnić swój plan.

Wyszedł na korytarz i przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami. Poznał rozbuchany głos Winogradowa, cienki dyszkant kierowcy Fiodora, sznaps-baryton szyfranta Kazubina i nosowy administracyjnego Lubiewa, Luba, Anna, żona Winogradowa, i sekretarka ambasadora Olga miały podobne głosy.

Nie mogłem trafić lepiej – pomyślał i nacisnął dzwonek.

Otworzyła Luba, miała lekko zamglone oczy, a karminowe usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Boria! – zawołała. – Wchodź, kochaniutki! – Pociągnęła go za koszulkę i popychając, wprowadziła do salonu.

Przy suto zastawionym stole siedziało siedem osób.

– Wlejcie Borysowi stakana! – zarządziła Luba. – Solidnego! Karniaka!

– Nieee… mam jutro służbę – próbował się bronić.

– Mojego zdrowia nie wypijesz? – zapytała Luba, a Winogradow wlał do szklaneczki wódkę. – Dzisiaj moje urodziny, Boria! – Pocałowała go w policzek, zostawiając ślad szminki.

– No to wypiję. Wszystkiego najlepszego, Lubeńka – odparł, wychylił wódkę i wycałował ją w oba policzki. – Myślałem, że już zaczęliście Nowy Rok.

– Zróbcie miejsce dla Borii! Posuń się, Fiedia, i weź tę harmonię. Częstuj się, chłopcze, i niczego sobie nie żałuj!

Borys usiadł naprzeciwko Winogradowa, który był już mocno wlany, a między Olgą i Fiodorem, na których ten najczęściej pisał anonimy. Wiktor Lubiew, który przekręcił fundusze na naprawę windy, siedział obok Winogradowa. Z uwagi na swoją sylwetkę był osobą centralną przy stole, a pozo-

stali jego satelitami. Tubalnym głosem był w stanie zagłuszyć w rozmowie każdego, tym bardziej że miał wyrobione zdanie na wszystkie tematy.

Tylko Olga sobie z nim radziła, bo potrafiła pociągnąć wysokim dyszkantem. Była sekretarką ambasadora, więc jej głos z oczywistych powodów musiał być słyszalny. Najcichszy był kierowca Fiodor, może dlatego, że najwięcej wiedział. Pięknie grał na harmonii i miał głos stworzony do rosyjskich romansów.

Borys pił, jadł, uśmiechał się do wszystkich, ale nie nadążał za rozmowami. Nie potrafił się nawet skupić. Czuł w głowie kompletną pustkę. Cały czas wyczekiwał na moment, kiedy będzie mógł powiedzieć to, co sobie zaplanował.

Anna ładnie śpiewała, a Fiodor jej akompaniował. Chórem odśpiewali *Żurawie*, ale *Dworzec białoruski* Anna wykonała już a cappella, przy głębokiej zadumie pozostałych. Na Borysie zrobiła szczególne wrażenie. Dobrze ją znał. Zawsze mu się wydawało, że opowiada o jego życiu, chociaż była poświęcona dziadkom z wielkiej wojny.

– I co tam u Pietii? Na dyżurze? – zapytał Kazubin. – Widzieliście, co się stało w Wilnie? – zwrócił się do wszystkich.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – rzucił ostro Winogradow i zamknął temat.

– Podobno Pietia pobił się z Witalijem? – ciągnął podpity Kazubin. – Mówiła Luba wcześniej, że…

– Tak, wczoraj, wczoraj… – potwierdził Fiodor.

– Mówiła przecież – włączył się Winogradow. – Powtarzasz się, Fiedia.

– Ale nie mówiła, że wczoraj – odparł zdecydowanie Fiodor. – To ja powiedziałem. I nie mówiła wczoraj, tylko dzisiaj.

– To kiedy się pobili? – odezwał się Kazubin. – Wczoraj czy dzisiaj?

– Wczoraj – rzucił Borys. – Tutaj, na naszym korytarzu.

Odetchnął, że w końcu pojawił się ten temat. Po to tu przyszedł, a przez dwie godziny imprezy nie wiedział, jak go wywołać. Większość biesiadników była już mocno pijana, ale najważniejsze, że pytanie postawił Kazubin. Był szyfrantem i miał doskonałą pamięć. Winogradow mógł wypić cysternę, a i tak kontrolował sytuację przy stole. Wiedział, co kto powiedział, i później to przekazywał w szarych kopertach.

– Pijani byli – odezwała się Luba. – Sama widziałam. Młode chłopaki, a już za dnia… Ech…

– Nie byli pijani – powiedział Borys.

– Nasze chłopaki tak się zachowują na terenie ambasady? – skomentował natychmiast Kazubin. – Nieładnie, nieładnie.

– O co poszło? – zapytał Winogradow. – Chyba nie o dziewczynę, nie ma wolnych w mieście. Che, cheeee! – zaryczał na całe gardło. – To o co poszło, Boria?

– Nie wiem, z Piotrem ostatnio dzieje się coś dziwnego. Nerwowy jakiś taki się zrobił i agresywny. To po Afganistanie, ale myślałem, że mu przeszło. Coś ma do Witalija. Nigdy mu nie podchodził, a teraz coś szczególnie.

– Przecież Witia to taki miły chłopak, przystojny i sportowiec – włączyła się Anna.

– Tak, to Piotr atakował. Widziałam – dodała Luba. – Uderzył Batulisa w twarz pięścią.

– No ale… Borys? O co tak naprawdę poszło? – dopytywał się Winogradow. – Powiedz nam, przecież wiesz. Wypij stakana, to ci lżej przyjdzie, otworzysz się, chłopie. – Podał mu wódkę. – No mów!

– Ja tam nie wiem, to nie moja…

– Mów, Boria! – włączyła się Luba. – Przecież nikomu nie powiemy. Prawda, Olga? – Spojrzała na sekretarkę ambasadora.

– Bo ja wiem…

– No mów! – odezwał się Kazubin.

– Pietia twierdzi, nie wiem, na jakiej podstawie, że to Witalij porysował samochód Kiryła Konstantynowicza, ale on zaprzecza.

– Jak to? – oburzył się Winogradow i uniósł swoje krzaczaste brwi. – Skąd on to wie?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem, że z Piotrem jest coś nie tak. Ostatnio mocno pije. Ja tam osobiście nie wierzę, żeby to zrobił Witalij, no bo niby dlaczego. Co on może mieć do Kiryła? To poważny człowiek, doświadczony dyplomata. A Piotr nie potrafi wytłumaczyć, skąd u niego takie podejrzenia.

– No pewnie! – znów odezwała się Anna. – Witalij to miły i grzeczny chłopak, przystojny sportowiec. Wykluczone.

– Muszę porozmawiać z Pietią. – Winogradow pokręcił głową. – I to zaraz. – Próbował się podnieść, ale opadł na krzesło.

– Powiedziałem wam to w zaufaniu. Piotr to mój przyjaciel, zaprosiłem jutro do nas Witalija i spróbuję ich pogodzić. A jak nie… – Borys pokiwał głową. – A jak nie, to poinformuję o wszystkim Portnoya, jak wróci. To jego sprawa… rozumiecie chyba dlaczego. Nie muszę chyba…

– Oczywiście! – rzucił zdecydowanym tonem Kazubin. – To sprawa towarzysza pułkownika. Bardzo mądrze postępujesz, Boria. Mądry chłopak jesteś i taki odpowiedzialny. Ja też zauważyłem, że z Piotrem jest coś nie w porządku. Tak, tak, trzeba o wszystkim towarzysza…

– Pełna racja! – obudził się Fiodor. – Nie mieszaj się do tego, Kirył.

– Tak, tak! – potwierdziła Anna.

– Już chyba pójdę – oświadczył Borys i zaczął się podnosić. – Mam jutro dyżur.

– Czekaj, Borys! – Luba też się podniosła i zaczęła nakładać na talerz jedzenie z półmisków. – Będziesz miał na śniadanie. Tylko zostaw coś dla Piotra albo na to wasze spotkanie. Przy jedzeniu humory lepsze, pogodzą się.

Borys wrócił do mieszkania, przez chwilę wahał się, czy nie wyrzucić jedzenia do śmieci, ale pomyślał, że Luba podsunęła dobry pomysł i będzie mógł je podać, jak przyjdzie Batulis, więc przykrył talerz papierem i schował do lodówki.

Nawet nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo. Pijane towarzystwo samo wywołało temat i samo go oceniło, a on powiedział tylko prawdę, bez wątku anonimu Winogradowa. Mimo to wcale nie czuł się lepiej, a może nawet gorzej, bo wszystko wskazywało na to, że nie może się już cofnąć. Wyglądało to tak, jakby los sam go popychał do celu, a nawet zmuszał.

74

Seppo wysłuchał mojej relacji w milczeniu. Jeszcze długo oglądał swoje dłonie, zerkając na Mauna, który siedział na krzesełku w rogu. Nie można było po nim poznać, czy jest zadowolony, czy też nie. Złamałem przyrzeczenie, jakie dałem Batulisowi, i poinformowałem Finów, a dokładniej Seppa, i oddałem mu sprawę. Gorzej, nie poinformowałem Londynu, co było moim obowiązkiem. Nie miałem jednak wyboru. Podejrzewałem, co Seppo chce zrobić z „Viperem", ale nie miałem na niego żadnego wpływu. Teraz tylko on mógł zdecydować o losie Batulisa i dostosować swój plan do nowej sytuacji, i ochronić go albo poświęcić wszystko, żeby wyeliminować Paava. Dlatego im dłużej Seppo oglądał swoje dłonie, tym bardziej byłem zaniepokojony.

– Co zatem planujesz? – zapytałem w końcu. – Spotkanie już jutro. Batulis ma dać znać, kiedy Gorbienko wyda mu pakiet, i wyruszy na trasę. Musisz dopilnować, żeby nie ściągnął obserwacji.

– Okej – mruknął Seppo i podniósł głowę. – Nasz plan działania nie zmienia się, zmienia się tylko czas. Wstępnie zakładaliśmy, że zajmiemy się nim po świętach, ale wygląda na to, że musimy zrobić to jutro. Przypuszczam, że ten pakiet musi być sporo wart, skoro przekazywany jest w formie zabezpieczonego tajnopisu i nie może czekać na powrót Portnoya. Czyli coś pilnego. Jeśli dorwiemy „Vipera" z materiałami, to po nim. Będzie co negocjować.

– Negocjować? – zapytał Ray. – Chcesz go przewerbować. To nielegał, szanse małe.

– Powiedzmy, że przewerbować – odparł Seppo. – Na razie musimy zlikwidować zagrożenie, potem się zobaczy.

– Seppo! Rozmawiaj z nami poważnie! – włączyłem się, bo Seppo zaczął mnie denerwować ciągłym unikaniem odpowiedzi. – Teraz sprawa „Vipera" i Batulisa to jedna sprawa, nasza wspólna. Co więcej, obaj działamy bez formalnej zgody naszych szefów. Ty masz „Vipera", ja mam Batulisa, musimy działać zgodnie. Litwin nie chce zwiać na Zachód, przypomi-

nam, lecz gotów jest dla nas pracować. Nie muszę ci tłumaczyć, jakie to może mieć znaczenie dla naszego bezpieczeństwa… i waszego. Batulis jest zaufanym oficerem Portnoya i musimy dbać, by ono wzrastało, a nie malało. Po wydarzeniach w Wilnie w KGB będzie weryfikacja i Batulis musi wypaść na zaufanego. Batulis zrobi karierę przy Portnoyu, który ma dobre notowania na Kremlu. Wiem, że chcesz zdjąć „Vipera", ale to może oznaczać koniec kariery Portnoya. Czyli… przyjacielu… musimy tak to rozegrać, żeby każdy ugrał swoje. Musimy tak to skonstruować, żeby Portnoy porażkę mógł przekuć w sukces. W ten sposób ochronimy Batulisa. Nie możemy tego spieprzyć, ale teraz wszystko w twoich rękach, Seppo.

– Ja to wszystko wiem i rozumiem, Martin – rzekł Seppo z wyraźną zadumą. – I rozumiem twoje zaniepokojenie w tej nowej sytuacji. Ale muszę szczerze powiedzieć, że nie wiem, jak to się zakończy, chociaż przewiduję kilka wariantów. Batulis, wystawiając nam „Vipera", sprowadza na siebie zagrożenie. Zauważyłeś to?

– Oczywiście! Stąd moje pytanie o twój plan. Musimy go dostosować do alibi Batulisa, które trzeba przygotować przed powrotem Portnoya. Więc co robimy?

– Widzisz, jakie to wszystko popierdolone. Sami mamy problem, by się zorientować, co narobiliśmy. Czyli im prościej, tym lepiej. – Seppo wyraźnie się ożywił. – Batulis wyjdzie z tego zaplątania czysty i będzie mógł… będziemy mogli – poprawił się – zbudować mu odskocznię do dalszej kariery.

– Czyli…?

– Zdejmiemy „Vipera" zaraz po wyjściu ze spotkania z Batulisem. Potem zobaczymy, co da się z niego zrobić. – Seppo spojrzał na Mauna, który siedział jak posąg egipski z rękami na kolanach. – Mamy trochę czasu, ale będziemy starać się działać szybko.

– I gdzie go przewieziecie? Ktoś jeszcze oprócz was dwóch jest w tym…

– Nie! – przerwał mi Seppo. – Tylko my dwaj. Przewieziemy go do jego domu w Reijoli. Ma tam świetne warunki do rozmowy.

– Możemy wam pomóc, co czterech, to nie…

– Spokojnie, damy radę we dwóch. Wy zajmijcie się Batulisem po spotkaniu. Będzie nam potrzebna jego relacja.

– Batulis ma na razie łączność tylko w jedną stronę, do nas, i musi dzwonić spoza ambasady – włączył się Ray. – A po spotkaniu z „Viperem" ma spotkanie z waszym Borysem i Piotrem. Musi sprawdzić, co wiedzą i dla-

czego Borys kłamie. Wcześniej Portnoy wykorzystywał go do kontroli Batulisa, więc nie możemy mieć do niego zaufania. To teraz bardzo ważne, bo Borys może go zdekonspirować, a przynajmniej zepsuć relacje z rezydentem. Jest jeszcze sprawa donosu jednego pracownika na Batulisa, którą musi wyjaśnić.

– W takim razie każdy robi swoje. Wigilię przesuwamy na później. – Seppo uśmiechnął się. – Przygotujemy „Viperowi" prawdziwą kolację i prezenty, a Batulis chyba nie świętuje. – Podniósł się zza stołu. – To co? *Merry Christmas*, gdybyśmy się do jutra nie zobaczyli. Jesteśmy w kontakcie.

– *Merry Christmas* – odpowiedziałem i Ray też, jedynie Mauno się nie odezwał. – Życzę wam, żeby wszystko się udało, i czekamy na wiadomości.

Wyszliśmy pierwsi. Seppo i Mauno jeszcze zostali.

– Źle to widzę, Martin – zaczął Ray, gdy tylko zatrzasnął drzwiczki samochodu. – Oni są nastawieni na „Vipera" i poświęcą Batulisa, jeżeli tylko będą musieli. Nie będą się wysilać i ja to nawet rozumiem; jakbyś miał czternastu agentów do neutralizacji, to jakiś młody Litwin z KGB nie ma specjalnej wartości. Czekanie, aż zrobi w przyszłości karierę przy księciu Portnoyu, może nie przynieść owoców, a „Viper" i raport mają znaczenie dla Finów tu i teraz.

– Niestety masz rację – potwierdziłem, bo uwagi Raya były celne. – Zastanawiam się, co możemy zrobić. Batulis wystawił nam „Vipera" w przekonaniu, że go ochronimy.

– Nic już nie zrobimy. Mogliśmy im nic nie mówić, ale to byłoby nie fair. To ich terytorium.

– „Viper" i tak był już stracony. Seppo zawziął się na niego. Traktuje tę sprawę bardzo osobiście.

– Tak czy inaczej, jak pójdzie źle, trzeba przygotować się na przyjęcie Batulisa i przerzucenie do Anglii.

– Hmm… bez zgody, wiesz, jakie są procedury z uciekinierami. Ale trzeba, masz rację. Idą święta, więc zniknięcie „Vipera" nie wyjdzie tak szybko. Mamy trochę czasu, żeby coś wymyślić.

Ray wysadził mnie przecznicę wcześniej, a sam pojechał do hotelu.

Vicky domagała się spaceru i była wyjątkowo nerwowa. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że przez cały dzień nie dałem jej wody. Na sekretarce paliła się lampka. Najpierw dałem Vicky pić.

Była tylko jedna wiadomość, od Mariny.

Cześć! Nie udało się nam spotkać, ale pewnie byłeś zajęty, jak to przed świętami, ja zresztą też. Chciałam tylko zapytać, czy plac Senacki, godzina osiemnasta, jest aktualny, bo jestem teraz u znajomych poza Helsinkami i jeżeli nie masz czasu, to daj znać. Zostałabym tu dłużej. Mój numer…

Zapisałem go na karteczce.

Wiadomość od Mariny sprawiła mi przyjemność, chociaż od dwóch dni nawet o niej nie pomyślałem. Odniosłem wrażenie, że to jej ostatni telefon. Jeżeli nie oddzwonię i nie potwierdzę naszego spotkania, już się nie odezwie. Nie miałem dobrego powodu, żeby się wytłumaczyć, i musiałbym skłamać.

Starałem się rozbudzić jej zainteresowanie i byłem nią zauroczony. Czuła to i odpowiadała mi w ten sam sposób. Spotkaliśmy się tylko dwa razy, więc nie miałem prawa włamywać się do jej życia. Pomyślałem, że może powinienem jednak zerwać kontakt, skoro nie jestem w stanie sprostać zwykłym ludzkim relacjom.

Wziąłem jednak karteczkę z numerem i mimo że było już bardzo późno, zadzwoniłem.

Odebrał mężczyzna, który poprosił Marinę.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dopiero przyszedłem i chciałem natychmiast odpowiedzieć.

– Nie ma problemu. Cieszę się, że dzwonisz. – Poczułem, że się uśmiechnęła, chociaż uśmiechnięta przecież była zawsze. Zrobiło mi się miło, a moje wątpliwości wyglądały tak dziecinnie. – Jasne… wszyscy teraz szaleją przed świętami. A imprezy w akademiku żałuj.

– Dzwoniłem do ciebie kilkakrotnie, ale już chyba wyjechałaś. Nie chcę ci zabierać czasu, jest już późno, chciałem tylko potwierdzić… tak, plac Senacki, godzina siedemnasta…

– Osiemnasta – poprawiła.

– Tak, tak… osiemnasta.

– W takim razie car Aleksander Drugi świadkiem – odparła z humorem. – Do zobaczenia.

75

Dokładnie o trzynastej Batulis odebrał od Gorbienki pakiet i usiadł za biurkiem w pokoju specjalnym rezydentury. Do pakietu dołączona była zabezpieczona koperta z planem trasy dojścia do lokalu Omsk i wyjścia z niego. Batulis musiał się jej nauczyć na pamięć, włożyć plan z powrotem do koperty i oddać Gorbience.

Na pierwszy rzut oka plan był bardzo skomplikowany i nauczyć się go szybko nie było łatwo.

Okazało się, że mieszkanie znajduje się na czwartym piętrze domu położonego w kwartale otoczonym czterema prostopadłymi ulicami. Stały tam solidne, zamożne budynki z okresu międzywojennego.

Batulis miał się spotkać tam z „Kolą” po raz pierwszy. Dotychczas lokal Omsk był do wyłącznej dyspozycji Portnoya i wykorzystywany tylko do najważniejszych spraw. Przygotowany został też jako kryjówka na wypadek wojny. Nawet Gorbienko o nim nie wiedział, a obsługą lokalu zajmował się specjalny nielegał. Dbał o jego zaopatrzenie, sprawy administracyjne i kontakty z lokatorami.

Były to właściwie dwa mieszkania o powierzchni ponad stu metrów, kawalerka i duży apartament w dwóch sąsiadujących budynkach, połączone wybitym przejściem. Dzięki temu wejść do lokalu i wyjść z niego można było na cztery strony, a nawet sześcioma bramami. Ponieważ nazwy ulic były skomplikowane, oznaczono je jako X, Y, Z, W i O. Batulis był zaskoczony pomysłowością oficera, który to przygotował. Wystarczyło wejść w dowolną bramę kwartału, by zniknąć w labiryncie korytarzy i przejść. Ustalenie lokalu było bardzo trudne.

Po analizie okazało się, że plan nie jest tak skomplikowany, na jaki wyglądał, jeżeli zrozumie się jego filozofię. Batulis jednak od razu zauważył, że obserwacja będzie musiała wystawić duże siły, jeżeli miałaby kontrolować wyjście „Koli”. Bo jeżeli wejdzie jedną bramą, będzie mógł wyjść pięcioma innymi, na jedną z czterech ulic. Nawet on nie będzie wiedział, z którego skorzysta.

Czyli będą musieli ściągnąć fińską obserwację. To pewna dekonspiracja lokalu, więc i mnie – pomyślał. Jak przekazać Dirkowi ten plan? Nie skopiuję go przecież, a wyjaśnić trudno. Może odpuścić to spotkanie i zaczekać na następną okazję?

Dopiero teraz zorientował się, że w pokoju specjalnym nie ma niczego do pisania ani papieru. Nie wolno też było niczego wnosić, a w rogu pod sufitem wisiała kamera, którą obsługiwał Gorbienko.

Fińskie nazwy ulic były trudne do zapamiętania, ale Batulis miał wrażenie, że wie, gdzie to jest. Był tam kiedyś w pobliskim sklepie sportowym. Utrwalił wzrokowo adres wejściowy i uznał, że kwartał, w którym znajduje się lokal, będzie mógł łatwo odtworzyć na planie miasta.

To im powinno wystarczyć – pomyślał, ale wciąż nie był przekonany, czy powinien wystawiać teraz „Kolę".

Złożył plan i wsunął do koperty. Był już niemal pewien, że wszystko zapamiętał. Oddał Gorbience kopertę i zabrał z wieszaka swoją marynarkę, w której miał długopis. Poszedł do łazienki i zapisał na ręce nazwy ulic, które zapamiętał.

– Powodzenia, młody – rzucił za nim Gorbienko.

– Dziękuję.

Chwilę później Batulis szedł w stronę terminalu promowego Silja Line. Znajdowały się tam telefony publiczne i informacja turystyczna. Najpierw kupił plan miasta i zaznaczył na nim kwartał, w którym było mieszkanie, potem zadzwonił.

Odebrał Ray.

– O czternastej na parkingu pod soborem. Wiesz, gdzie…

– Wiem.

Ray podniósł się z fotela i spojrzał na zegarek.

– Mamy mało czasu. Czternasta pod cerkwią.

– Dwadzieścia pięć minut. Zdążymy zrobić kilka kółeczek po mieście. To blisko.

Ruch w mieście powoli zamierał. W centrach handlowych spóźnieni klienci robili ostatnie zakupy. Na trasach wyjazdowych z miasta tworzyły się korki. Świąteczna niedziela była najlepszym i zarazem najgorszym dniem w roku na szpiegowskie gry.

Ray prowadził samochód spokojnie i sprawdzał się bardzo profesjonalnie. O trzynastej pięćdziesiąt pięć podjechaliśmy na parking. Przejechaliśmy powoli w obie strony, ale wszystkie miejsca były zajęte.

– To nie jest dobre miejsce – powiedziałem. – Wysiadaj. Przejmiesz go i sprowadzisz na dół drogą, którą przyjechaliśmy. Zabiorę was na dole.

Ray wysiadł, a ja przesiadłem się za kierownicę.

Zjechałem na dół i ustawiłem się tak, by widzieć ulicę, którą będą szli. Nie było żadnych pieszych ani ruchu samochodowego, więc gdyby Batulis miał ogon, musieliby się wyłożyć. Ulica na dole zakręcała. To było dobre miejsce, żeby ich przejąć.

Kilka minut później na schodach prowadzących do parkingu pojawił się Ray, a po chwili kilkanaście metrów za nim Batulis. Przeszli na lewą stronę i schodzili w dół.

Po chwili Ray zauważył mój samochód i dał mi znak, że jest bezpieczny. Batulis szedł za nim, trzymając dystans. Na ulicy nikt się nie pojawił.

Gdy dotarli do zakrętu, włączyłem silnik i wyjechałem na jezdnię. Podjechałem najpierw do Batulisa. Od razu zorientował się, że to ja, i wskoczył na tylne siedzenie. Po chwili zabrałem Raya. Batulis położył się na siedzeniu, a ja przyśpieszyłem. Po kilku minutach, kiedy byłem pewien, że jestem czysty, pozwoliłem mu się podnieść.

– Nigdy za wiele ostrożności – rzuciłem, kiedy już usiadł.

– Jasne… mnie to mówisz? Zatrzymaj się na tym parkingu. – Wskazał zjazd na wybrzeże. – Muszę wam coś pokazać.

Stanąłem przodem do morza. Za nami nikt nie wjechał.

Batulis wyjął plan miasta i rozłożył przed nami.

– Tu jest miejsce, w którym znajduje się nasz lokal konspiracyjny. – Wskazał na planie miejsce zakreślone kółkiem.

– Północne Helsinki – rzucił Ray. – Wiem, gdzie to jest.

– Nie będzie łatwo. To specjalne miejsce i mam wątpliwości, czy powinniśmy wystawiać teraz „Kolę”.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Potrzebny będzie duży zespół obserwacyjny, żeby obstawić to miejsce. To naprawdę mądry wybór miejsca, a „Kola” to zawodowiec i szybko ich rozkuje. Wtedy będę zdekonspirowany.

– Sprawdźmy, jak to wygląda na miejscu – włączył się Ray.

– Mogę ci obiecać, Witalij, że jeżeli miałoby to prowadzić do twojej dekonspiracji, nie będziemy tego robić. Żaden zespół obserwacyjny nie wchodzi w grę. Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze.

– Jeżeli chcecie wiedzieć, co jest w środku – Batulis wyjął spod kurtki pakiet – zróbcie to mądrze. Inaczej z naszej współpracy nic nie będzie, a ja

dostanę kulę w łeb albo będziecie musieli mnie ukrywać do końca życia. Jak spieprzycie sprawę, Jaseniewo wykorzysta waszą porażkę jako dowód na profesjonalizm KGB i amatorszczyznę MI6. To wysoka cena, prawda?

– Wiemy, Witalij – odpowiedziałem. – Możesz nam ufać, ale my musimy również ufać tobie. Tylko tak możemy uniknąć wpadki. Tak to działa i znasz te zasady tak dobrze jak my.

– Ufam ci, Dirk, ale to ja ryzykuję życie, wiem, na co się zdecydowałem, nikt mnie do tego nie zmusił. Zostawmy to teraz – mówił bardzo szczerze Batulis, ale nie słyszałem w jego głosie strachu czy rozczarowania, tylko zdecydowanie i odpowiedzialność. – Jedźmy zatem i zobaczmy na miejscu, jak to wygląda. Mamy coraz mniej czasu.

– W takim razie, zanim pojedziemy, musisz coś wiedzieć. Stawiam sprawę jasno. Wysłuchaj do końca. Jeżeli uznasz, że nie możesz się na to zgodzić, wysiadasz z samochodu i idziesz do ambasady…

– Nie podwieziecie mnie? – zapytał z ironią.

– Paavo Haukka jest od dawna rozpracowany przez fiński kontrwywiad, a właściwie przez Seppa Moilanena.

– Szef kontrwywiadu SUPO?

– Tak. W ubiegłym tygodniu Paavo próbował zastrzelić Seppa w jego domu w Medvaście. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę i w końcu się zdekonspirował.

– Oj! – odparł zaskoczony Batulis. – „Kola” sprawia wrażenie lekko walniętego.

– Tak czy inaczej – ciągnąłem – Moilanen jest zdeterminowany aresztować Paava. Niezależnie od tego, co powiemy i zrobimy, na pewno go aresztuje! Tylko on zmusi Paava do otworzenia pakietu.

– Skąd wiesz?

– Znam Seppa. Nie pozwoli „Koli” chodzić wolno po Helsinkach…

– To zrozumiałe – wtrącił się Batulis. – Wystawiając „Kolę”, zdawałem sobie sprawę, że to będzie koniec jego aktywności, ale nie życia, jak sądzę. Chociaż żywy Paavo zawsze już będzie dla mnie zagrożeniem. Niczego nie sugeruję, żeby było…

– Bez względu na to, jak to zaaranżujemy, wpadka Paava będzie szczegółowo badana.

– To prawda. – Batulis pokiwał głową.

– Jest dobra strona tej kombinacji. O tym, że Paavo jest waszym nielegałem, wiedzą w SUPO tylko Moilanen i jeden jego współpracownik. Sprawę

prowadzą sami.

– Nie bardzo to rozumiem, ale powiedzmy, że ma to sens. Co dalej?

– Musimy zadzwonić do Seppa, podać mu adres waszego lokalu i zastanowić się razem, co robić dalej. On musi zobaczyć to miejsce i ocenić, jak do sprawy podejść, żeby nie narobić niepotrzebnych szkód, a przede wszystkim… ochronić ciebie.

– Nie wygląda to wszystko najlepiej, ale chyba nie mam wyjścia. Chaos rodzi możliwości – odparł Batulis, przytaczając słowa Portnoya. – No to dzwońcie do tego Fina.

76

Portnoy siedział na lotnisku Schiphol i wpatrywał się w tablicę lotów. Samolot Finnair do Helsinek miał dwie godziny opóźnienia. Lotnisko szybko pustoszało, a podróżni wydawali się coraz bardziej nerwowi. Portnoy też był coraz bardziej nerwowy, ale nie z powodu świąt. Chciał zdążyć na spotkanie z „Kolą".

Już KLM z Warszawy był opóźniony, a teraz doszły jeszcze problemy z fińskim samolotem, więc jeżeli nie wyleci w ciągu godziny, nie zdąży na osiemnastą.

Polskie sprawy z „Maksem" załatwił szybciej, niż się spodziewał. Agent był bardzo pobożny i starał się prowadzić spotkania tak, by zdążyć przed wigilią. Portnoy musiał to uwzględnić, tym bardziej że mocno go zaniepokoiły wydarzenia w Wilnie. Wyglądało na to, że Gorbaczow nie tylko stracił panowanie nad sobą, ale też nad KGB. Siedząc w Warszawie, niczego by się nie dowiedział, bo nie miał łączności z Moskwą.

Miał też złe przeczucia co do Batulisa. Wprawdzie nie zauważył u niego żadnych oznak nielojalności, ale Litwin był inteligentnym oficerem i mógł się dobrze kryć. Portnoy wiedział, że potrafił to robić, i właśnie dlatego wybrał go na oficera łącznikowego z „Kolą". Ale teraz sytuacja się zmieniła. KGB strzelało do cywilów na ulicy. Portnoy był doświadczonym oficerem i zdawał sobie sprawę, że wydarzenia w Wilnie musiały wywrzeć wrażenie na młodym Batulisie. Jego zamiłowanie do sportu i fair play nie pokrywało się z duszą czekisty.

Co innego koszykówka, a co innego boks – pomyślał Portnoy, spoglądając na zegar. Niepotrzebnie pospieszyłem się z pakietem dla „Koli". Jeżeli pomyliłem się i Batulis poszedł do Anglików albo Amerykanów i uda im się otworzyć pakiet, to… Nie dokończył myśli, tylko wypuścił głośno powietrze, aż przyciągnął spojrzenia siedzącej obok pary. Chuj z Jaśniepanem, ale wpadka „Koli" zakończyłaby moją karierę, więc niechże ten pierdolony samolot już leci.

Na tablicy pojawił się komunikat „Gate open” i spiker zapowiedział, że samolot gotów jest przyjąć pasażerów. Portnoy poderwał się i pierwszy stanął do odprawy.

W tym czasie Paavo, ubrany w szary garnitur, białą koszulę i świąteczny krawat w renifery, stał przy oknie w salonie i słuchał muzyki z filmu *Czarny Orfeusz.*

Czekał na taksówkę, która spóźniała się już dziesięć minut.

Prezenty spakował do papierowej torby, którą postawił na szyfonierze obok butelki whisky. Początkowo obiecał sobie, że tego wieczoru nie wypije alkoholu, ale kiedy przypomniał sobie, że syn podaje tylko wino, wlał whisky do piersiówki.

Obietnica prohibicji i tak była bez pokrycia, bo kiedy spotykał się z Griszą w Omsku, zawsze trochę pili, a tego dnia z pewnością wypiją więcej. Tym bardziej że będą mieli o czym porozmawiać, bo zamierzał przekazać mu swój raport. Nagle dotarło do niego, że bardziej cieszy się na spotkanie z Portnoyem niż rodziną. Ostatnie dni były tak przytłaczające, że musiał wyrzucić to z siebie, a może nawet się pochwalić. Mógł to zrobić tylko z Griszą.

Dla niego też miał prezent, tak zwany grudniowy, bo łączył święto czekisty 20 grudnia z Nowym Rokiem i zawsze był to jedwabny czerwony krawat.

Taksówka przyjechała z piętnastominutowym opóźnieniem, więc kiedy dotarł na miejsce, wszyscy już byli. Paavo bardzo lubił ten dzień, kiedy cała bliższa i dalsza rodzina z mnóstwem dzieci zjeżdżała się do Reijoli, a wszystkim dowodził pułkownik Jukka Haukka ubrany w galowy mundur. Obowiązkowym punktem wieczoru była wizyta dzieci w zbrojowni, na którą czekały cały rok. To był ważniejszy moment wigilii niż rozdawanie prezentów, bo pułkownik nie tylko demonstrował swoje eksponaty, ale pozwalał ich dotykać.

Syn Paava nie miał dzieci, ani nikt z obecnych, więc spotkanie nie miało już uroku i było podobne do innych rodzinnych imprez. Paavo siedział z boku, naprzeciwko Kerstin, ale przez cały wieczór zamienił z nią tylko dwa zdania.

– Źle wyglądasz – rzuciła, mrużąc oczy. – Jesteś chory?

– Nie, zdrowy.

Wiedział, że zrobiła to złośliwie, bo uważała go za alkoholika. Przez resztę wieczoru nie zamienili ani słowa. Rozmowy były tak jałowe, a jedze-

nie mdłe, że gdyby nie włączony telewizor i piersiówka, z której pociągał w toalecie, chętnie wyszedłby już po godzinie. Musiał jednak czekać na rozdawanie prezentów.

Dostał dwie książki, komplet skarpet i bezalkoholową wodę po goleniu. Spakował wszystko do papierowej torby, w której przyniósł swoje prezenty, i postawił ją w przedpokoju pod wieszakiem.

Za kwadrans osiemnasta oznajmił wszystkim, że jest bardzo zmęczony, i wyszedł niezatrzymywany. Torbę z prezentami zostawił, boby mu przeszkadzała.

Wyszedł na ulicę, włożył czapkę, postawił kołnierz i naciągnął rękawiczki. Było kilka stopni poniżej zera i woda na chodnikach zaczęła zamarzać. Ulica była pusta, w zasięgu wzroku żadnego przechodnia, w oknach dużo świateł. W większości domów kolacja wigilijna dopiero się rozkręcała.

Ruszył w prawo, stąpając ostrożnie, bo nie włożył butów na zimowych protektorach. Do lokalu Omsk miał kilkaset metrów, więc nie spieszył się i nawet nie sprawdzał. W taki dzień obserwacja miałaby sporo trudności, żeby go poprowadzić. Nigdy nie miał ogona, chociaż zawsze się kontrolował.

Grisza zwykle przychodził przed czasem. A Paavo miał klucz od obu wejść i mógł zaczekać.

Po drodze minął cztery osoby, przejechało kilka samochodów i pusty autobus. Podszedł już do kwartału.

Za każdym razem wchodził inną bramą, ale teraz nie pamiętał, która była ostatnia, bo Omsk był wyłączony z użytku przez trzy miesiące.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, pod sklep spożywczy, skąd dobrze było widać okna lokalu. W salonie na czwartym piętrze paliło się światło.

Grisza już jest – pomyślał, wyciągnął piersiówkę i dopił resztkę.

Otworzył kluczem drzwi wejściowe. Przeszedł przez klatkę schodową i wyszedł na wewnętrzne podwórko, tam znajdowała się brama do drugiej klatki. Wspiął się kilkanaście stopni na półpiętro, gdzie była winda.

W domu panowała martwa cisza i wydawało mu się, że coś nie pasuje do jego dobrego nastroju. To było dziwne uczucie, trochę niepokojące. Wprawdzie przygotował się na tę rozmowę, w kieszeni miał swój siedmiostronicowy raport, ale Grisza był dociekliwy i czasami nieobliczalny. Wcale nie było pewne, że go zrozumie. W końcu z jakiegoś powodu wywołał pilne spotkanie.

Cokolwiek to jest, nie może być tak ważne jak sprawa Moilanena, nawet ten superteam z Londynu – pomyślał, wchodząc do windy.

Wejście do lokalu było na końcu wąskiego korytarza. Po lewej stronie znajdowały się dwa okna wychodzące na podwórko, a po prawej odrapany grzejnik.

Paavo stanął przy drzwiach do lokalu i przez chwilę nasłuchiwał. Z wewnątrz nie dochodziły żadne głosy. Sprawdził zegarek. Spóźnił się dwanaście minut. Odszukał w kieszeni klucze i wybrał dwa, które pasowały do tego wejścia. Najpierw odsunął górną zasuwę, a potem zamek podklamkowy. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Cześć, Grisza! – zawołał po rosyjsku z przedpokoju, bo do salonu miał jeszcze kilkanaście metrów. Zawsze tak oznajmiał swoje wejście i Grisza zawsze mu odpowiadał, ale nie tym razem. Zatrzymał się zaskoczony. – Jesteś tam? – zawołał jeszcze raz, zdejmując kurtkę, i kiedy znów odpowiedziało mu milczenie, pomyślał, że Grisza pewnie jest w kuchni po drugiej stronie mieszkania albo w toalecie. Wyjął z kieszeni kurtki prezent i ostrożnie ruszył korytarzem przed siebie. Już wiedział, że coś jest nie tak, w mieszkaniu dziwnie pachniało.

Zatrzymał się w drzwiach do salonu.

To nie było zaskoczenie, nawet nie zdziwienie. To, co zobaczył, było tak absurdalne, że przez chwilę uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

W fotelu naprzeciwko z nogą założoną na nogę siedział Seppo Moilanen z pistoletem Lahti w opuszczonej dłoni.

Paavo poczuł za sobą ciężki nosowy oddech. Obrócił się i zobaczył, że za jego plecami stoi wyższy o głowę potężny mężczyzna o nosie boksera. Obmacał go brutalnie, wyjmując z jednej kieszeni marynarki pustą piersiówkę, a z drugiej grubą kopertę. Paavo nie stawał oporu. Pomyślał tylko z rozbawieniem, że nie mógł zrobić lepszego prezentu Seppowi niż ten raport.

– Ten prezent to dla Griszy Portnoya, towarzyszu pułkowniku? – zapytał Seppo po rosyjsku, spoglądając na pakiet w dłoni Paava. – Nie przyjdzie, ale mogę go przyjąć w jego imieniu. Przekażę mu, bo ty już nie będziesz miał okazji. To twoje ostatnie takie wesołe święta. Ale mam tutaj prezent od Portnoya dla ciebie. – Seppo spojrzał na pakiet leżący na stoliku. – Dostawałeś już takie, prawda?

– Po co ci ten pistolet? Chcesz mnie zastrzelić? – zapytał Paavo i pomyślał, że wcale nie jest zaskoczony.

– Z przyjemnością za chwilę to zrobię i nie spudłuję jak ty – odparł Seppo i wycelował w niego pistolet.

– Strzelaj!

– Jeszcze rozważę, czy będziesz żył, czy spłyniesz do przeręb la. Najpierw załatwimy kilka spraw. Otworzysz prezent od Portnoya, ale tak, żeby się nie zepsuł. To może być dla ciebie okoliczność łagodząca, niewykluczone, że wpłynie na moją decyzję.

– Nie wiem, co tu się dzieje, ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, Seppo, w co się wmieszałeś. Ściągniesz na siebie i Finlandię poważne problemy, to nie jest gra jeden do jednego. Nie boję się ciebie i to przedstawienie, owszem, robi wrażenie, ale nie takie, jak sobie zaplanowałeś. Jutro zrozumiesz, co zrobiłeś! – Paavo był coraz bardziej arogancki. – I co? Jestem aresztowany? – Uśmiechnął się ironicznie. – Rozśmieszasz mnie.

– Ciebie już nie ma, gnido! Masz rację, tu jest Finlandia, więc nie będziemy się z tobą pierdolić jak jacyś Anglicy czy Francuzi – powiedział spokojnie Seppo, podnosząc się z fotela. – Chyba że będziesz chciał żyć, wtedy może okażemy wielkoduszność. Zbieraj się! Jedziemy.

Mauno położył Paavowi rękę na karku, zacisnął i szarpnął, aż ten stracił równowagę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Paavo wyraźnie zaskoczony brutalnością mężczyzny.

– Do ciebie, do ciebie – odpowiedział Mauno i jeszcze mocniej pociągnął Paava.

77

Finnair wystartował z piętnastominutowym opóźnieniem, ale Portnoy miał nadzieję, że samolot nadrobi i przyleci do Helsinek zgodnie z planem. Ciągle wpatrywał się w zegarek, chociaż wiedział, że ten nie będzie chodził od tego szybciej.

Pilot przeprosił za opóźnienie w tak ważnym dniu, ale w jego głosie nie czuć było żalu, co jeszcze bardziej zdenerwowało Portnoya, bo nie spieszył się na kolację wigilijną, tylko na spotkanie z „Kolą". Zapowiedział też, że w Helsinkach pogoda jest dobra i lądowanie na lotnisku Vantaa odbędzie się zgodnie z planem, czyli o siedemnastej dziesięć. To była pocieszająca wiadomość.

Portnoy miał tylko bagaż pokładowy, więc obliczył, że jeżeli przejdzie przez bramkę dla dyplomatów i od razu złapie taksówkę, nie powinien się spóźnić do Omska więcej niż dwadzieścia minut. „Kola" zawsze przychodził po czasie i w takim dniu na pewno będzie chciał posiedzieć z Batulisem i się napić.

Siedział przy oknie, wpatrując się w ciemnoszary bezmiar Bałtyku, i zastanawiał, dlaczego właściwie tak się denerwuje. Zdjęcia z wydarzeń w Wilnie poruszyły świat. Jeżeli Batulisowi wpadło do głowy zrobić coś głupiego, to z pewnością już się to stało i Litwin mógł spoglądać teraz na szary Bałtyk, lecąc w drugą stronę, do Londynu.

„Kola" był alkoholikiem, ale również twardym Finem i na pewno nie poszedłby na współpracę z Anglikami, nie mówiąc już o SUPO. A pakietu bez jego pomocy nie otworzą. Zresztą „Kola" wie, jakie zasady obowiązują w przypadku nielegałów. Batulis mógł jednak stanowić problem.

Prawdziwym problemem jest to, co się dzieje na Łubiance – zastanawiał się Portnoy, spoglądając na zegarek. Kriuczkow od dawna dawał do zrozumienia, że nie podoba mu się polityka Gorbaczowa, więc rozkaz użycia broni w Wilnie mógł być sygnałem, że w Moskwie szykuje się coś poważnego.

Portnoy przestał myśleć o „Koli” i Batulisie i przestał spoglądać na zegarek. Zaczął myśleć o sobie. W ZSRR bez KGB nic poważnego nie mogło się zdarzyć, więc musiał się zorientować w sytuacji, żeby zająć w grze najlepsze miejsce.

A może najlepiej trzymać się od tego z daleka, nie pchać się nigdzie i obserwować? Pokorne ciele dwie matki ssie. Ale gdyby Batulis wykręcił mi teraz jakiś numer, żadne ustawianie się nie pomoże. Jeśli nie zdążę na spotkanie z „Kolą” i Jaśniepana nie będzie już w ambasadzie, to mogę się…

Batulis wrócił do ambasady o osiemnastej trzydzieści. Dokładnie tak, jak mu polecił Seppo. Ochrona ambasady i Borys, który miał dyżur w rezydenturze, mieli odnotować godzinę jego powrotu, więc Batulis pokręcił się jeszcze przed wejściem głównym, żeby go zapamiętano, potem chwilę na parkingu i dopiero wszedł do budynku.

Po kilku minutach był już w swoim mieszkaniu. Nie zdążył się rozebrać, gdy zadzwonił telefon.

– Jesteś już? – rzucił Borys. – Widziałem cię na parkingu.

– Jestem. I co robimy?

– Źle dzisiaj z Pietią – powiedział wyraźnie przygnębiony Borys. – Od rana odbija mu i jest agresywny, więc może…

– Jak uważasz, ale lepiej sprawę wyjaśnić od razu. Im szybciej, tym lepiej. Rozumiesz. Może akurat zaskoczy. No nie wiem… Decyduj, Boria. Twoje zdanie się liczy. Możemy też pogadać jutro.

Batulis nie miał najmniejszej ochoty na to spotkanie. To był najcięższy dzień w jego życiu i czuł się wyczerpany psychicznie i fizycznie, jakby cały dzień grał najdłuższy mecz swojego życia. Stanowczo przeliczył swoje siły. Jednak chciał to mieć już za sobą, nim wróci Portnoy. Załatwić wszystko jednego dnia i mieć już spokój. Odsunąć zagrożenie, jakie stwarzali Piotr i Borys. Pomyśleć, co robić dalej. W końcu zdecydował się na nowe życie, jeszcze trudniejsze niż to poprzednie, więc lepiej było je rozpocząć z czystym kontem.

– Dobrze, spotkamy się za piętnaście minut. Zerwę się, bo Portnoy już chyba dzisiaj nie przyjedzie. Zajrzę po ciebie, jak będę szedł na górę.

– Dobra – odparł Batulis i się wyłączył.

Portnoy dojechał taksówką z Vantaa o osiemnastej dwadzieścia pięć. Zakładał, że spotkanie powinno jeszcze trwać. Zapłacił taksówkarzowi, dając solidny napiwek, i wysiadł. W salonie paliło się światło, więc pomy-

ślał, że mimo kłód, jakie los rzucał mu tego dnia pod nogi, udało mu się jednak zdążyć.

Znaczy, że młody się spisał. Niepotrzebnie się o niego bałem – pomyślał, wchodząc bramą X.

Wjechał windą na czwarte piętro. Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka. Walizkę zostawił w przedpokoju i od razu zorientował się, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Światło paliło się tylko w salonie. Mimo to sprawdził wszystkie pokoje, kuchnie i obie toalety.

Na stole leżał przewiązany czerwoną wstążką z kokardą nieduży pakiet zawinięty w ozdobny papier, na którym napisano „Grisza".

„Kola" – pomyślał Portnoy i zrobiło mu się miło. Czerwony krawat na Dzień Czekisty i Nowy Rok. Niezawodny „Kola".

Rozwiązał wstążkę i rozerwał papier. Wyjął ciemnobordowy krawat w tłoczone rąby i kwadraty. Położył go na dłoni i przez chwilę poruszał nim delikatnie. Jedwabny materiał mienił się w świetle złoto-bordowymi refleksami.

– Piękny! – powiedział na głos. – Chyba najładniejszy. Włoski… Gucci – dodał z uznaniem, oglądając metkę. – Wykosztowałeś się, „Kola".

Złożył go starannie, zawinął w papier i wsunął ostrożnie do kieszeni marynarki.

Pogasił światła i zamknął za sobą drzwi.

Wyszedł bramą Y, gdzie po drugiej stronie ulicy był postój taksówek. Naciągnął czapkę, postawił kołnierz i stanął przy krawężniku. Dochodziła dziewiętnasta i na ulicy pojawiały się pierwsze oznaki ożywienia. Finowie powoli kończyli kolację wigilijną.

Portnoy stał ponad dziesięć minut i zmarzły mu nogi, a całym ciałem wstrząsały raz na jakiś czas dreszcze. Przejechało kilka taksówek, ale wszystkie były zajęte. Pomyślał, że jak tylko przyjedzie do ambasady, musi pójść do sauny, żeby się zrelaksować i wygrzać.

Niedziela, więc powinna być włączona – pomyślał i w tym momencie na postój podjechała taksówka.

Podał adres dwie przecznice od ambasady i jak zawsze usiadł tak, żeby kierowca nie widział go w lusterku. Przejechali przez puste Helsinki w ciągu kilkunastu minut. Kierowca nie był rozmowny, a w radiu leciały kolędy.

Wszedł na teren ambasady tylnym wejściem. Od razu zauważył, że samochód Batulisa stoi na parkingu. W sekretariacie rezydentury paliło się

światło i Portnoy pomyślał, że chłopcy pełnią dyżur.

Po chwili był już wewnątrz. Stanął pod okutymi stalowymi drzwiami i trzy razy nacisnął dzwonek. Jednak drzwi ani drgnęły.

Jeżeli któryś jest pijany, leci jutro do kraju – pomyślał i otworzył drzwi kluczem.

W sekretariacie jednak nikogo nie było. Na biurku stał kubek. Portnoy dotknął go. Był ciepły. Elektryczny czajnik też.

Pewnie poszedł do toalety – przeszło mu przez myśl i zaczął otwierać swój gabinet.

Nawet się nie rozebrał, tylko od razu wybrał numer Batulisa. Nie odpowiadał. Dopiero teraz zdjął kurtkę. Wyszedł do sekretariatu, ale dalej nikogo nie było. Wyjrzał na korytarz. W toalecie światło było zgaszone.

To skurwysyn, pewnie Piotr. Pije… jak się nie wytłumaczy, wraca do kraju, mam dość tego psychola.

Wrócił do sekretariatu i wybrał numer do Piotra.

Batulis siedział na kanapie obok Borysa, który polewał wódkę. W ciągu pół godziny wypili litr. Na stole stał półmisek z przyjęcia u Luby. Ale sałatki ani warzyw nikt nie ruszył, znikły tylko ogórki i słona basma.

Piotr siedział naprzeciwko Witalija, palił papierosa za papierosem, odpowiadał półsłówkami i unikał jego wzroku. Ciągle zerkał na film lecący w telewizji. Nie sprawiał wrażenia, żeby był skory do porozumienia.

Batulis wyglądał na zmęczonego i alkohol wyraźnie mu nie służył. Nawet nie próbował nawiązać do sprawy. Mówił głównie Borys, ale wcale nie próbował ich godzić. Opowiadał historie ze swojego dzieciństwa, stare kawały i szczegóły wczorajszej imprezy urodzinowej u Luby. Atmosfera była napięta i nawet wódka nie pomogła.

Batulis zaczął się zastanawiać, po co Borys go zaprosił, jeżeli nawet nie podejmuje próby mediacji. Zależało mu, żeby porozmawiać z samym Borysem i wyjaśnić, dlaczego kłamał. Chciał dowiedzieć się, co powiedział Finom, ale przyjął jego propozycję spotkania z Piotrem, bo konflikt z nim też komplikował sytuację. Szczególnie teraz, kiedy przeszedł na stronę Anglików i wydał „Kolę”, nie chciał żadnych zatargów.

Borys zachowywał się dziwnie, a przecież nic się nie stało. Starał się zwracać na siebie uwagę, ale robił to nieudolnie, wręcz naiwnie, i było w tym coś niepokojącego. Piotr wpatrzony w film jakby tego nie zauważał i w pewnej chwili Batulis poczuł, że trwa jakieś groteskowe przedstawienie. Nie potrafił tego wytłumaczyć i nawet nie próbował, bo był już zmęczony

i chciał iść do siebie. Podnosił się już do wyjścia kilka razy, ale Borys natychmiast wymyślał jakieś absurdalne powody, żeby go zatrzymać, i wyraźnie przeciągał spotkanie.

Zdecydował się już wyjść, gdy zadzwonił telefon.

Odebrał Borys.

Jego twarz nagle zamarła, w ułamku sekundy jakby odpłynęło z niej życie. Batulis spojrzał na Piotra, który również ze zdziwieniem wpatrywał się w Borysa.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – wydusił z siebie Borys. – Wyszedłem na chwilę… jest tutaj… – Spojrzał martwym wzrokiem na Batulisa. – Tak jest… natychmiast. – Odłożył słuchawkę i stanął w bezruchu wpatrzony w telefon.

– Portnoy? – zapytał cicho Batulis, ale Borys milczał.

– Co jest? – ożywił się Piotr. – No co jest?! – krzyknął.

Borys podniósł głowę i spojrzał na Piotra nieobecnym wzrokiem. Powoli przeszedł przez pokój i znikł w kuchni. Wrócił po chwili z rękami schowanymi za plecami i stanął nad stołem między Piotrem i Batulisem.

Wysunął przed siebie ręce, w których trzymał pistolety. Z prawej strzelił Batulisowi w czoło. Krew rozbryzgła się na ścianie, a uderzenie rzuciło nim do tyłu i w takiej pozycji zastygł. Niemal w tym samym momencie z lewej ręki strzelił w pierś zaszokowanemu Piotrowi, który miękko pochylił się do przodu i oparł głowę o stół.

Borys odzyskał panowanie, jakby huk wystrzałów obudził w nim instynkt walki i przetrwania.

Pistolet z lewej ręki odłożył, pochylił się nad Piotrem, włożył mu do dłoni pistolet, który trzymał w prawej, i strzelił sobie w lewy bok. Nic nie poczuł. Rzucił się na zastawiony stolik, łamiąc go w połowie, i pociągnął na siebie ciało Piotra.

Chwilę później drzwi mieszkania otworzył Fiodor i ostrożnie zajrzał do pokoju. Za nim pojawiła się przerażona Luba, a obok niej pękata głowa Winogradowa.

78

Lodówkę miałem pełną, ale nie zdążyłem nic przygotować. Zresztą i tak nie moglibyśmy zasiąść razem do stołu, bo Ray musiał pilnować swojego telefonu w pokoju, a ja swojego. Seppo nie zdążył zainstalować nowego numeru w moim mieszkaniu i Batulis do końca świąt miał kontakt tylko z Rayem. Ja czekałem na telefon od Razumowa i Mariny.

Pilnowanie telefonu, czyli czekanie w samotności, było najtrudniejsze, bo to był czas ciszy, w którym jak zjawa pojawiało się pytanie męczące szpiegów: czego nie wiem i kiedy się dowiem? Powodowało ono eksplozję emocji, domysłów, a także rodziło obsesje.

Tego wieczora udało mi się uniknąć tego pytania, ale nie wiem, czy moglibyśmy cokolwiek przełknąć. Vicky swój stek zjadła błyskawicznie i zasnęła z kością w pysku.

Ja siedziałem cały wieczór przed telewizorem. Wydłubywałem widelcem kawałki wędzonego łososia, przegryzałem go kwaśnymi żelkami i bezmyślnie przeskakiwałem po kanałach, na których leciały świąteczne relacje z całego świata.

Wydarzenia w Wilnie też już znikły z serwisów. Świat na chwilę zapomniał o dręczących go zmorach i cieszył się z narodzin mesjasza. Ale dla nas masakra przed parlamentem w Wilnie była ważna, bo wyzwoliła efekt motyla. Tego nigdy nie można wykluczyć, bo nasz świat to nieustanna podróż do źródeł w labiryncie bez wyjścia.

Zastanawiałem się, gdzie umieścić w tej historii Batulisa. Jako Minotaura czy Tezeusza? Ile jest w nim z bohatera, a ile z potwora? Pomyślałem nawet, że najlepiej pasowałby do niego pseudonim Filippides, ale zdecydowałem się w końcu na Charona, chociaż wiedziałem, że by mu się nie spodobał. Wbrew wszystkim lubiłem Charona, jeszcze bardziej polubiłem Batulisa i od spotkania w Teatern nie potrafiłem ich od siebie oderwać.

Siedziałem w fotelu z pilotem w ręku i słuchałem, jak w różnych językach grają dzwonki w zaprzęgu Świętego Mikołaja.

Gdzieś tam w Reijoli Seppo i Mauno rozmawiali z „Viperem”, a w ambasadzie Witalij Batulis układał sobie nowe życie. Czekałem na telefon od kapitana Razumowa w nadziei, że dowiem się, co zdarzyło się na Atlantyku, a następnego dnia spotkam się z Mariną.

– Jutro wszyscy rozpoczniemy nowe życie – powiedziałem i parsknąłem śmiechem. Pomyślałem, że nie ma większego kiczu niż świat szpiegów. – Nikt by nie uwierzył, że to może się zdarzyć, tak jak nikt nie uwierzy w ratowanie świata… i to gdzie? W ojczyźnie Świętego Mikołaja, w jego najważniejszym dniu, z komunistami i ich Dziadkiem Mrozem.

Zadzwoniłem do Raya po dwudziestej trzeciej.

– Nie śpisz? – zapytałem.

– Nie.

– Wesołych świąt, Ray.

– Wesołych świąt, Martin.

– Dzwoniłeś do Giny i dzieciaków?

– Tak.

– Hmm…

– Co?

– Nic, dobrze. Co u nich?

– W porządku.

– Jakoś tak dziwnie jest… nie czujesz? – zapytałem, chociaż wcale nie zamierzałem.

– Tak, czuję, że coś jest nie tak, nie jest tak jak zawsze. Byliśmy w różnych sytuacjach, ale teraz czegoś nie rozumiem. Mam wrażenie, że nie panujemy nad biegiem wydarzeń. Wszystko jakby się działo obok nas, to wszystko przebiega za łatwo…

– Tak, za dużo pytań – odparłem, bo miałem identyczne odczucia. – I ta cisza! Taka jakaś cicha.

– Tak, takiej ciszy nie pamiętam. Może mamy jakąś nową odmianę ciszy albo depresji? – rzucił z ironią Ray.

– Tak, możliwe, że mnie zaraziłeś.

– Taka cisza dzisiaj wieczorem oznacza, że jutro coś się wydarzy – ironizował Ray.

– Ty i ten twój uroczy pesymizm w takim dniu? Ray, wesołych świąt i do jutra.

Wyprowadziłem jeszcze Vicky i poszedłem spać. Nie zdążyłem zasnąć, gdy poderwał mnie telefon. Było po północy. Dzwonił Seppo.

– Idę do ciebie – oznajmił i wyłączył się.

Wszedł po kilku minutach. Był blady, miał podkrążone, rozbiegane oczy i odniosłem wrażenie, że się zmniejszył. To nie był ten sam wielki, potężny wojownik, którego ostatni raz widziałem w Medvaście. Pomyślałem, czy to możliwe, żeby człowiek zmienił się tak szybko. Czy to możliwe, żeby walka z „Viperem" kosztowała tak wiele?

Nie zdjął kurtki ani butów, tylko od razu wszedł do salonu i opadł ciężko na fotel. Wiedziałem już, że coś się wydarzyło.

– Wody? – zapytałem odruchowo.

– Nie.

– Co się stało?

– Dużo się stało – odparł, starając się opanować przyśpieszony oddech. – Od czego mam zacząć? – Westchnął głęboko. – Mam dobrą i złą wiadomość. – Dopiero teraz zaczął się rozbierać. – Daj mi whisky.

– Zaraz, zaraz… – rzuciłem i poszedłem do kuchni po szklanki.

Wlałem mu skromnie i sobie jeszcze mniej. Seppo nie potrzebował alkoholu, żeby rozmawiać. Jasne było, że poprosił o drinka, żeby zyskać na czasie.

– No to zacznij od złej – powiedziałem, podając mu szklankę, którą potrzymał chwilę i odstawił. – „Viper"? Coś poszło nie tak?

– Dzisiaj wieczorem w budynku mieszkalnym ambasady radzieckiej… są tam trzy siedmiopiętrowe budynki mieszkalne, na ostatnim piętrze tego środkowego około dziewiętnastej doszło do strzelaniny. Mają tam swojego lekarza, ale musieli wezwać pogotowie do rannego. To Borys. Ma postrzał w lewy bok, niezagrażający życiu, ale musi zostać w szpitalu. Oczywiście cały czas jest pod ochroną ich ludzi. Ratownicy odebrali Borysa sprzed bramy ambasady. Był przytomny i opatrzony, ale bardzo słaby. Stracił dużo krwi. Zresztą to nie była jego pierwsza rana, więc radził sobie dobrze.

– Oni mają broń?

– Tak. Ochrona rezydentury wyposażona jest w pistolety Makarowa. Broń w ambasadzie jest nielegalna. No dobrze – ciągnął Seppo – cała ambasada niemal zapłonęła. Tam mieszka sporo ludzi i strzały były słyszane we wszystkich budynkach. Mamy częściowy wgląd do ich wewnętrznej łączności telefonicznej i mniej więcej wiemy, co się stało. Ludziom puściły języki. Na ostatnim piętrze środkowego budynku mieszkali Borys i Piotr, piętro niżej Witalij Batulis.

– Chcesz powiedzieć…?

– Tak. – Seppo pokiwał głową. – Według naszych informacji Batulis i Piotr nie żyją, ale to cały czas…

– *Fuck*! – Poczułem, jak krew uderzyła mi do głowy i załomotało serce. – Pewne?

– Nic nie jest pewne. Wieczorem wrócił Portnoy i zarządza teraz sytuacją kryzysową. Pełna blokada. Żadnych rozmów telefonicznych, wychodzenia z ambasady. Wszystko wskazuje, że to jednak prawda. Niestety, do Borysa nie mamy dostępu, bo jest przy nim obstawa. Lekarz i ochroniarz. Kto, co i dlaczego nie wiemy i oni pewnie też nie wiedzą. Na pewno przyjedzie ekipa specjalna KGB i zrobią dochodzenie na miejscu, ale potrzeba na to czasu. Spróbują to ukryć, bo inaczej wkrótce media na całym świecie będą o tym mówić. Wyobrażasz sobie skandal? Tego jednak nie da się ukryć i prędzej czy później wszystko wyjdzie. Gorbaczow dostanie, o ile już nie dostał, wylewu, a KGB pójdzie po linii najmniejszego oporu i zadowoli się najprostszą wiarygodną wersją. W końcu okaże się, że popili, pokłócili się i postrzelali. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście tak było. Mają ofiarę i świadka. Wszystko powie i założę się, że będzie to prosta wersja, zrozumiała i wiarygodna. Wyobrażasz sobie ekipę dochodzeniową, która przylatuje z Moskwy, bada miejsce przestępstwa i przesłuchuje świadków? Absurd. Borys w zamian za życie złoży takie zeznania, jakie mu podyktuje KGB. Myślę też, że to może być koniec Portnoya.

– Wbrew pozorom to zdarzenie nie było tylko pijacką awanturą z bronią w tle. Wiem to od Witalija. Relacje między tą trójką były bardzo skomplikowane, ale pewnie nigdy już się nie dowiemy, co…

– Możliwe, możliwe – wtrącił się Seppo. – To przecież Rosjanie, u nich wszystko jest grą pozorów.

– Dlatego to nie jest koniec Portnoya. Każdy kryzys przynosi też nadzieję i otwiera nowe horyzonty. Oni tam w KGB doskonale o tym wiedzą i Portnoy już pracuje, żeby wykorzystać tę sytuację na swoją korzyść. Znajdzie wspólników i stronników, wkomponują to w jakiś układ i jeszcze pojadą na tym do przodu. Niezwykłe i dramatyczne wydarzenie, to i korzyści mogą być znaczące. Trzeba to tylko właściwie skalkulować, a oni potrafią jak nikt inny. A prawda? A chuj tam z prawdą. Komu ona potrzebna. Oni nie wiedzą, co to jest prawda, dla nich prawda to za mało. – Wypiłem whisky i od razu zrobiło mi się niedobrze. – Nie dociera do mnie, że Batulis nie żyje, zginął akurat w chwili, kiedy zdecydował się przejść na naszą stronę. To brzmi tak nieprawdopodobnie jak początek nowej sprawy, nie sądzisz?

– O jego decyzji wiedziały cztery osoby: ty, ja, Mauno i Ray – powiedział Seppo i też wypił swoją whisky. – Wybieraj, jeżeli szukasz winnego.

– A wiesz, że chciałem mu nadać kryptonim „Charon”? – rzuciłem zupełnie bez zastanowienia.

Śmierć Batulisa uderzyła mnie z wyjątkową siłą. Wciąż krążyła koło mnie, ale tym razem to nie było uczucie straty, ale poczucie winy. Miałem pełną świadomość, że bez względu na bezpośrednią przyczynę śmierci tego młodego Litwina jednak się do niej przyczyniłem. Wiedziałem to na pewno, ale wiedziałem też, że nigdy się nie dowiem, dlaczego zginął i co zrobiłem źle. Może dlatego tak mocno utkwił mi w świadomości Charon, bóg umarłych, ktoś, kto wie, jak jest w ich krainie, skoro bierze za to pieniądze. Polubiłem Batulisa, chciał poprawiać świat, ale był tylko odpryskiem sprawy kapitana Razumowa, która mogła mieć prawdziwy wpływ na losy świata. To była kolejna śmierć, która mnie obciążyła, ale pierwsza, która nigdy nie da mi spokoju, bo nigdy się nie dowiem, czym zawiniłem.

– Proroczy kryptonim – rzucił Seppo. – Wkrótce Portnoy dowie się też, co z „Viperem”, i przyjdzie mu zająć stanowisko, a to nie będzie łatwe. Więc teraz ta dobra wiadomość.

– Paavo się poddał? – zapytałem.

– „Viper” nie żyje – oznajmił Seppo z wyraźnym zadowoleniem.

– Mówisz, że to dobra wiadomość? Jak to się stało? Dlaczego?

To był drugi wstrząs i w pierwszej chwili pomyślałem, że Seppo żartuje, bo na jego twarzy pojawił się uśmieszek, którego nie znałem.

Przeczuwałem, że „Viper” źle skończy. Seppo traktował go jak zdrajcę, chociaż był nielegałem. Może dlatego, że był Finem, a nie Rosjaninem. W czasie wojny nie zabijali sowieckich jeńców, ale swoich czerwonych w czasie wojny domowej likwidowali bez litości, czasami wręcz z okrucieństwem. Zrozumiałem to, kiedy opowiadał mi o śmierci agenta w Tallinnie. Myślałem, że to tylko poza, chwilowa emocja. Wyglądało na to, że się myliłem. Może jednak nie poznałem dobrze Finów i nie doceniłem etosu Białej i Czerwonej Gwardii. A może dlatego, że był Karelem? Nie mogłem uwierzyć, żeby Seppo zabił „Vipera” z zimną krwią, ale Mauno mógł to zrobić. Nie mogłem nawet uwierzyć, żeby Seppo się na to zgodził.

– Popełnił samobójstwo albo był to nieszczęśliwy wypadek. Bada to właśnie nasza specjalna ekipa i policja – rzekł Seppo z wyraźnie udawaną flegmą. – Wiesz… on tam w domu miał ogromny arsenał broni. Miał nawet dwa karabiny snajperskie. Właściwie muzeum po ojcu, który był kolekcjo-

nerem broni. Wojskowym, jak pamiętasz. Najprawdopodobniej postrzelił się podczas czyszczenia pistoletu Lahti, takiego jak mój. Symboliczne, prawda? Wygląda na to, że był pijany, sam w domu… nietrudno o wypadek, a może załamał się po dekonspiracji. Zbadamy to dokładnie. Szef Koivisto już wszystko wie i premier też. To poważna sprawa, więc rozumiesz, że…

– Seppo! – przerwałem. – Dlaczego ci nie wierzę?

– Ja też jestem niewierzący. Ważne, żeby uwierzyli inni. Ty nie musisz.

– Powiedz prawdę. W końcu w jakimś sensie to ja ci go wystawiłem. Nie możemy tak rozmawiać. A co z pakietem?

– Czekaj. – Seppo spojrzał na mnie nieco wyzywająco, jak jeszcze nigdy dotąd. – Czy to nie ty przed chwilą powiedziałeś: a prawda? A chuj tam z prawdą. Komu to potrzebne. Nie tak powiedziałeś?

– Powiedziałem, ale… ale my, Seppo, mamy jedną prawdę, ty i ja, nawet jeśli to jest nieprawda, to jest ona nasza wspólna. Zabiłeś go? – Musiałem zadać to pytanie.

– O pakiet pytasz? – Seppo jednak je zignorował. – Dogadaliśmy się, Paavo poszedł na współpracę i otworzył nam ten pakiet. Trzeba przyznać, że sami nie dalibyśmy rady tego zrobić. Informacja dotyczyła „dwunastu”. Czyli przeciek BND zadziałał i Rosjanie wpadli w panikę. Mamy potwierdzenie ośmiu i prezent specjalny, czyli znamy nazwiska „czterech”. To jest najważniejsze. Kończy się Związek Radziecki i kończą się jego wpływy w naszym kraju. Nie ma dla nas nic ważniejszego, Martin.

– Optymizm na wyrost.

– Wiem, ale spróbujemy na nowo.

– Czyli wykorzystałeś mnie i Batulisa – rzuciłem poruszony cynizmem Seppa. – Dlatego nie chciałeś mi powiedzieć, jaki masz plan wobec „Vipera”. Mauno złamał mu ręce i wyrwał paznokcie czy wystarczyło tylko go trochę przytopić, żeby otworzył wam pakiet? A potem poszedł czyścić pistolet czy tak się zmartwił, że palnął sobie w łeb z waszego legendarnego pistoletu? Mogłeś mi powiedzieć, co planujesz, a nie zmuszać mnie do domysłów. Nie sądzisz chyba, że jestem idiotą i nie zorientuję się, co kombinujesz. Przecież bym się nie sprzeciwił, nawet jeżeli miałbym inne zdanie. A może mógłbyś mnie po prostu przekonać. Doskonale wiem, w jakiej branży pracuję, i robię to dobrowolnie, znam cenę życia, ale nie lubię być robiony przez przyjaciół w chuja. Ale jeżeli poświęciłeś Batulisa, to tego ci nie daruję.

Seppo wysłuchał mnie w spokoju. Nawet mu powieka nie drgnęła. Widać było na jego twarzy zmęczenie, ale ani odrobiny skrępowania, jakby było mu obojętne, co przed chwilą powiedziałem. To musiała być poza. Nie wierzyłem, żeby zmienił się tak szybko albo oszukiwał cały czas. Musiał odpowiedzieć i przekonać mnie, jeżeli mieliśmy jeszcze kiedykolwiek razem pracować.

Teraz zrozumiałem, skąd się wziął Mauno. Seppo nie zrobiłby tego sam.

– Powiedzmy, że go zabiłem, i powiedzmy, że „Viper" jest teraz martwy – zaczął po chwili zastanowienia. – Za kilka dni będzie krótka informacja o śmierci Paava Haukki. W miasto pójdzie wersja, że ciało znalazł syn, bo się zaniepokoił, że ojciec nie odpowiada, a policja wykluczyła udział osób trzecich. Paavo Haukka dużo pił i tego wieczora też. Przez przypadek ta śmierć rozwiązuje wiele problemów. Mówiłem ci o tym wcześniej, ale pewnie zapomniałeś. – Seppo rzucił niewyraźne spojrzenie i dodał z sympatią: – Oczywiście, że jesteś moim przyjacielem, ale działałem sam – ciągnął nieco podniosłym tonem. – Taki już jestem. Wiedziałem też, że się domyślisz, nie chciałem jednak słuchać twoich pytań, opinii, uwag. Nie miałem do tego głowy ani czasu. A ty przecież byś nie odpuścił. I to nie dlatego, że nie cenię cię, tylko tak jak ty kieruję się intuicją i nie miałem czasu, żeby ciągnąć konsultacje. Wszystko, co robiłem, od chwili wydarzeń w Medvaście, a nawet wcześniej, robiłem za zgodą Torstena i nawet pod jego bieżącym nadzorem. Mia też w tym od początku uczestniczyła i spisała się świetnie. Więcej, wiedział o tym też premier.

– A to twoje internowanie na Santahaminie? – wtrąciłem.

– To był pic. Jak wiesz, Haukka był u mnie numerem jeden na liście, ale nie miałem żadnych dowodów. Od kilku tygodni był już odsunięty od poufnych informacji, ale chyba się nie zorientował. Wszystko się zmieniło tego wieczora w Medvaście. Poprosiłem Torstena, żeby przysłał „Vipera" do mnie, i zrobiliśmy z Erkkim i Marttim przedstawienie, żeby zobaczyć, jak się zachowa. Opinia była zgodna. Trzeba było wziąć go pod lupę. Wszystko, co się później działo, było dokładnie wyreżyserowane… i Mia… i Torsten. Szybko zauważyliśmy, że Paavo chce coś ugrać. Sama dekonspiracja „Vipera" nic by jednak nie dała. Musiałem zastosować środki nadzwyczajne, ale tak żeby go nie spłoszyć. Liczyliśmy, że może znać nazwiska „czterech". Wyobraź sobie, że masz w Londynie na szczytach władzy, biznesu, mediów, a może nawet służb czterech radzieckich agentów i nic nie możesz zrobić, a jesteś szefem kontrwywiadu. Jak mamy żyć? Pakiet od

Portnoya i wystawienie „Vipera” jest największym prezentem, jaki mogliśmy dostać od Batulisa. Litwin przysłużył się Finlandii i nie zapomnimy o nim. Mogę cię też zapewnić, że nie poświęciłem Batulisa, ale gdyby była taka potrzeba, zrobiłbym to. „Viper” miał przy sobie specjalny prezent dla mnie, czyli raport dla Portnoya, w którym dokładnie opisał, co zrobił w Medvaście i dlaczego. Nie mógł mi sprawić większej przyjemności.

– Seppo! – Podniosłem głos. – Zabiliście „Vipera” czy nie? Nie mogliście go przecież obrócić.

– Gdyby nawet, to wierzyłbyś obróconemu nielegałowi? Znasz takie przypadki?

– No… nie.

– Dobrze, odpowiem ci tak i sam wyciągnij wnioski. Znasz efekt asystentki iluzjonisty? – zapytał z wyraźną ironią. – Znasz?

– Nie.

– Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego jest zawsze tak skąpo ubrana?

– No nie.

– Im asystentka iluzjonisty piękniejsza, tym łatwiej oszukać widownię.

79

Portnoy nie usłyszał wystrzałów. Otwierał właśnie sejf, kiedy zadzwonił dyżurny ambasady.

– Towarzyszu pułkowniku, coś się stało w mieszkaniu Borysa i Piotra na siódmym piętrze w bloku B…

– Co się stało? – przerwał mu Portnoy.

– Strzelanina. Właśnie dzwoniła roztrzęsiona Luba. Podobno nie żyją Batulis i Piotr…

Portnoy rzucił słuchawkę i wybiegł z pokoju.

Wystrzały słychać było we wszystkich trzech budynkach, więc rozdzwoniły się telefony w całej ambasadzie, a zaniepokojeni mieszkańcy wyszli na korytarze.

Portnoy w biegu zderzył się w bramie z szefem ochrony ambasady. Winda była zepsuta. Na piętrach stali mieszkańcy i Portnoy musiał się przepychać i nawoływać, żeby natychmiast opuścili korytarz.

Widok był przerażający.

Na fotelu siedział Batulis z dziurą w czole, z której wypływała jeszcze powoli cieniutka strużka krwi. Oczy miał wpatrzone w sufit, usta rozchylone, a dłonie ułożone wnętrzem do góry, jakby w geście bezradności. Na twarzy wyraźne ślady pobicia. Od razu widać było, że śmierć go zaskoczyła.

Piotr leżał pod jego nogami twarzą do dołu. Na plecach miał dużą plamę krwi. Ciało było w resztkach jedzenia, wokół walały się butelki, talerzyki i kawałki drewna ze złamanej ławy.

Po drugiej stronie pokoju pod ścianą leżał Borys, którego opatrywał doktor Łukowski z pomocą Luby i Fiodora. Wszędzie było dużo krwi i bałagan.

Borys był blady i przytomny. Spoglądał na Portnoya zamglonym wzrokiem i próbował coś powiedzieć.

Portnoy stał na środku pokoju i miał wrażenie, jakby znalazł się na obcej planecie i ktoś wyłączył mu myślenie. Słyszał podniesione głosy, ale nie mógł zrozumieć, co znaczą. Po raz pierwszy nie wiedział, co robić.

– Pogotowie już jedzie – dotarł do niego niespodziewanie głos Łukowskiego i zdał sobie sprawę, że mówi do Borysa.

– Zaraz, zaraz – wykrztusił Portnoy. – Pogotowie?

– Borys ma postrzał i stracił dużo krwi – stwierdził doktor. – Musi natychmiast jechać do szpitala. Nie denerwuj się, Grisza, pojadę z nim.

– Co tu się, kurwa, stało? – Portnoy powoli odzyskiwał siły. – Borys?

– Nie teraz! – rzucił zdecydowanie doktor.

– To… to… Piotr – wyszeptał Borys.

– Co?

– Piotr – powtórzył.

– Wszystko opowiemy, Grigoriju Aleksiejewiczu, opowiemy… – włączyła się Luba.

– Co tu się… o kur… – odezwał się podniesionym głosem Gorbienko, który stanął za plecami Portnoya. – Ja pierdolę! Grisza! Masakra! Batulis…

– Nie pierdol, Gorbienko! Zawiadom natychmiast ambasadora i generała – polecił Portnoy. – Aha… i jakiegoś rozgarniętego, żeby pojechał z Borysem i doktorem do szpitala. – Portnoy zbliżył się do Borysa i przyklęknął. – W szpitalu masz powiedzieć, że postrzeliłeś się przy czyszczeniu broni służbowej. Nic więcej. Absolutnie żadnych rozmów z Finami. A ty, Wołodia – zwrócił się do doktora – nie odstępuj go i żadnej narkozy bez twojej obecności.

– Strzał padł z bliskiej odległości. Ale nie wygląda to źle – odezwał się Łukowski.

– Wszystko wygląda bardzo źle, doktorze! – odparł podniesionym tonem Portnoy. – Luba… Fiodor… wynoście się stąd. Niczego nie dotykajcie, chociaż… – Spojrzał na ciała Witalija i Piotra. – Ktoś ich dotykał?

– Ja – przyznał się doktor.

– Ja… i Fiodor, i Winogradow… i… – dodała zapłakana i umazana krwią Luba.

– Przyjechała karetka! – zawołał z przedpokoju Winogradow.

– Dasz radę zejść czy trzeba cię znieść? – zapytał Portnoy.

– Zejdę. Nie pierwszy raz…

– Pomóż mu, Wołodia – zwrócił się do lekarza i sam podszedł do Borysa. – Chodź! Chwyć mnie za szyję. Gorbienko! Wygoń wszystkich z klatki schodowej i zamknij mieszkanie. Nikt nie może tu wejść. Sam też niczego nie dotykaj. Luba! Czekaj w domu, zaraz do ciebie przyjdę.

Portnoy próbował zapanować nad sytuacją. Wiedział, że cała odpowiedzialność spada na niego, będzie musiał stawić czoło zdarzeniu, jakie dotąd nie miało miejsca w historii KGB. Po chwilowym szoku powoli zaczynał myśleć racjonalnie.

Jednego był pewien. W Moskwie też będą w szoku i też nie będą wiedzieli, co się stało i dlaczego. On był kilka kroków do przodu i musiał to wykorzystać. Najważniejsze, żeby szybko podejmować odpowiednie decyzje, aby zminimalizować straty. Z tego będą go rozliczać w pierwszej kolejności. Jaseniewo będzie oceniać, jak wyszedł z tego kryzysu, a nie jak do niego doszło.

Portnoy szybko doszedł do wniosku, że są dobre i złe strony tego zdarzenia. Zła to taka, że zginęli ludzie, ale dobra to taka, że jest świadek. I Borys był teraz najważniejszy. Portnoy trzymał go za ramię, a on opierał się na nim. Ich głowy niemal się stykały i mogli rozmawiać bez lekarza, który szedł z tyłu.

– Co się stało, Boria? – zapytał cicho, gdy schodzili po schodach.

– Piotr oszalał! Zaatakował Witię i potem chciał mnie zastrzelić – wydyszał. – Broniłem się…

– Oszalał? – zapytał Portnoy zdziwiony. – A broń zabrał z sekretariatu?

– Wziął do czyszczenia.

– A ty?

– Wyszedłem na chwilę z dyżuru, bo bałem się, że znów się pobiją.

– Pobiją? – rzucił Portnoy i teraz przypomniał sobie, że na twarzy Batulisa widział sińce. – Dobra, dobra… Boria, pamiętaj, z nikim nie wolno ci rozmawiać. Nie denerwuj się, wszystko będzie dobrze. Ja się tym zajmę.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – odparł ściszonym głosem i zasyczał z bólu.

Portnoy odprowadził Borysa tylko do drzwi, bo nie chciał się pokazywać na zewnątrz. Wiadomo było, że SUPO ma punkty zakryte po drugiej stronie ulicy i nasłuch telefonów w ambasadzie, więc oczywiste było, że są teraz w stanie najwyższej gotowości. Z pewnością też usłyszeli strzały. A po wezwaniu karetki dyżurny operacyjny musiał zawiadomić Torstena Koivista. Dla SUPO wigilia już się skończyła.

Portnoy pomyślał, że powinien jak najszybciej wywołać „Kolę”, chociaż system łączności padł, bo Batulis nie żył, a SUPO będzie teraz w najwyższej gotowości i spotkanie w Omsku może być zbyt ryzykowne.

„Kola” będzie wiedział, co robić – pomyślał, idąc po schodach.

Kiedy wszedł do mieszkania, Luba, Fiedia, Winogradow i sekretarka Anna siedzieli w salonie przy stole. Wyglądali na głęboko przejętych. Luba i Anna pochlipywały.

– Co się stało? – zapytał stanowczym tonem Portnoy, stając nad nimi. – Fakty, konkretnie! Bez zbędnego pierdolenia.

– Pietia i Witia wczoraj się pobili – zaczęła Luba – w środku dnia na korytarzu u nas pod drzwiami. Chyba byli pijani.

– Nie byli – wtrącił się Fiodor.

– Pietia był bardziej agresywny i uderzył Witię w twarz pięścią, o tu… – Pokazała palcem.

– I Boria wczoraj nam mówił, że się pokłócili, a on ich rozdzielał – włączyła się Anna. – To Pietia napadł na Witię!

– A o co poszło? – zapytał Portnoy.

– O samochód Kiryła Konstantynowicza – odezwał się natychmiast Fiodor.

– O samochód?

– Borys mówił, że Piotr oskarżał Witię, że porysował Kiryłowi samochód na parkingu czy coś takiego, i o to poszło. Chciał ich dzisiaj pogodzić. Nawet dałam mu jedzenie, żeby nie pili na pusty żołądek – tłumaczyła Luba.

– Borys mówił, że jak ich nie pogodzi, to o wszystkim poinformuje towarzysza pułkownika – dodał Fiodor.

– To prawda z tym samochodem? – zapytał Winogradowa Portnoy.

– Prawda, ale nie wiem, kto to zrobił – odparł ten, wycierając chusteczką spocony kark.

– Grisza… ambasador, generał… wszyscy już czekają w sali ciszy – odezwał się z korytarza Gorbienko.

– Idę! – rzucił i zwrócił się do siedzących przy stole: – Kategoryczny zakaz rozmawiania z kimkolwiek o tym, co tu się stało, i proszę nie opuszczać terenu placówki bez mojej wiedzy.

Wszyscy pokornie skinęli głowami.

Portnoy wyszedł na korytarz i głęboko odetchnął. Nie wiedział jeszcze, jak to się zakończy, ale początek był obiecujący. Zaczynała się rysować linia obrony, a to zawsze wskazuje kierunek do inteligentnego kontrataku. Portnoy uznał, że ma podstawy, by zacząć myśleć, jak ten kataklizm wykorzystać.

80

Ray został w domu, a ja wyszedłem z Vicky i od razu skierowałem się do sklepu.

Podczas rozmowy z Seppem zjadłem wszystkie żelki. Dotarło w końcu do mnie, że mam już uzależnienie kompulsywne.

Po śmierci Witalija i rozmowie z Seppem byłem w wyjątkowo podłym nastroju. Vicky wyraźnie to czuła i z opuszczoną głową szła pokornie przy nodze. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek był w takim stanie. Natłok dramatycznych wydarzeń w tak krótkim czasie spowodował, że nie potrafiłem uporządkować obrazu, ale najgorsze było poczucie winy. Nie potrafiłem jeszcze znaleźć swojego błędu, który by je usprawiedliwiał, ale z pewnością gdzieś musiałem go zrobić. Zresztą nie pierwszy raz. Wiedziałem, że z czasem odpowiedź sama przyjdzie.

Seppo nie mógł mnie trafić celniej niż przykładem asystentki iluzjonisty. Nikt wcześniej nie zrobił tego w tak prosty i bolesny sposób, chociaż nie raz dostałem już po twarzy. Przypomniał mi o istocie złudzenia w naszym zawodzie, o której w swoim zacietrzewieniu zupełnie zapomniałem. Przyjechałem do Helsinek, by wyjaśnić zagadkę z głębin Atlantyku, która niepokoiła wielkich tego świata, a wdałem się w sprawy, które zakończyły się śmiercią szpiegów gdzieś na skraju cywilizacji.

Podszedłem do naszego sklepu i nagle zobaczyłem, że do rowerowego słupka stoi przywiązany Mors. W pierwszej chwili pomyślałem, że to przecież niemożliwe i po prostu na Kulosaari pojawił się trzeci seter irlandzki, ale Vicky natychmiast rozwiała moje złudzenie.

Rozejrzałem się wokół i opodal zobaczyłem volvo 244 Razumowa na niebieskich numerach. Nie mogłem uwierzyć, że przyjechał i nie zadzwonił. Krew uderzyła mi do głowy, bo pomyślałem, że kapitan wrócił z Leningradu z niczym. Czyżby tak prozaicznie, głupio, nieefektywnie miała się zakończyć misja MI6 w Finlandii? Poczułem się jeszcze bardziej zdołowany. Asystentka iluzjonisty była naga, a ja byłem jedynym widzem na widowni. Za to Vicky szczerze cieszyła się ze spotkania z Morsem.

– Witaj, Dirk! – usłyszałem za plecami głos Razumowa i przeszedł mnie dreszcz, jakbym usłyszał ducha.

– Witaj, Wadim! Co za niespodzianka! Ty tu? Już? Kiedy? – Próbowałem zebrać myśli.

– Właśnie przyjechałem. Jeszcze w sobotę dzwonił profesor, że potrzebuje na środę dodatkowych dokumentów z badań Nadii w leningradzkiej klinice. Zabrałem Morsa, bo zostanę do czasu, aż profesor podejmie decyzję. Mówił, że może już pod koniec tego tygodnia wyda opinię. Coś… źle wyglądasz, Dirk – rzucił, odwiązując Morsa. – Coś się stało?

– Nie, nic – odpowiedziałem pewnym siebie tonem. – Źle spałem i jestem lekko przeziębiony.

– Idziesz na kąpielisko? – zapytał, patrząc na Vicky, a ja skinąłem głową. – To zaczekaj na mnie. Mors siedział sześć godzin w samochodzie, a ja też muszę się rozruszać. Coraz gorzej z kolanem. – Znów skinąłem głową, a kapitan z torbą zakupów i psem znikł w samochodzie.

Razumow sprawiał wrażenie dużo bardziej rozluźnionego niż poprzednio. Jakby wstąpiło w niego życie, a przecież nic się nie zmieniło. Rzecz jasna, nie wiedział o śmierci Batulisa. Byłem też niemal pewien, że nie ma żadnych informacji od Golicyna, i nagle zrobiło mi się to zupełnie obojętne. Pomyślałem, że gdyby nie spotkanie z Mariną wieczorem, spakowałbym się w piętnaście minut i za chwilę leciał do Londynu albo Kairu. Miałem dość Helsinek, mrozu, odwilży i ciemności. Właściwie mogłem już rozpocząć leczenie z depresji.

Gdyby nie trzeźwo myślący Ray i Vicky, chyba rzeczywiście musiałbym zasięgnąć tego dnia pierwszej konsultacji u psychologa. Wiedziałem, że to tylko nierozładowany stres i wkrótce minie, ale czasami dobrze robiła mi chwila autorefleksji.

Razumow pojawił się po piętnastu minutach. Mors ciągnął go na naprężonej smyczy, a kapitan przytrzymywał go, wyraźnie utykając na prawą nogę. Dopiero teraz przypomniałem sobie, jak absurdalny dostał kryptonim, „Arlekin”.

– Rozmawiałem z Wołodią – zaczął. – Znam odpowiedzi na twoje pytania.

– Tak? – zapytałem z niedowierzaniem, bo w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o czym mówi.

– Tak.

– Tak po prostu odpowiedział?

– Nie tak po prostu, ale powiedział.

– Więc? – Wydawało mi się, że to niemożliwe i za chwilę usłyszę jakąś ładnie spreparowaną informację, żeby jeszcze bardziej zaciemnić obraz.

– Wiesz, kto to Ichthyander Salvator?

– No nie… a…

– A Aleksandr Bielajew?

– Nie.

– No właśnie. Od roku mamy na wyposażeniu taki eksperymentalny pędnik, który nazywa się pędnikiem Bielajewa albo Salvator, ale to dzieło zespołu profesora Kuriakina, który jest prywatnie wielkim znawcą twórczości naszego pisarza science fiction Aleksandra Bielajewa i człowieka ryby, Ichthyandera Salvatora, postaci z jego powieści. To projekt eksperymentalny, kod Z-267. No, mniejsza z tym – ciągnął kapitan. – Krótko mówiąc, to bezzałogowe pędniki, takie wielkości kajaka, które można zrzucać z samolotu albo okrętu nawodnego lub wypuszczać z okrętu podwodnego przez luk torpedowy, wydają sygnał naśladujący wibrację siedmiopłatowej śruby naszego K-263 Delfin, w waszej terminologii Akuła. Dźwięk generowany jest ze specjalnego dyfuzora gazowego, a torpeda rozwija prędkość do czterdziestu pięciu węzłów przez kilkanaście minut. To proste urządzenie przeznaczone jest do dezinformowania waszych okrętów. Nigdy wcześniej nie było używane. To był pierwszy raz.

– Czyli nie ma żadnej nowej wersji Akuły? – zapytałem zaskoczony.

– Nie ma – odparł zdecydowanie kapitan. – Sprawdźcie. W pobliżu tego zdarzenia operował nasz Jantar. To okręt wywiadowczy i rozpoznania satelitarnego. Salvatora można spuszczać na odpowiednią głębokość i aktywować w dowolnym czasie. Nie znam tego projektu, bo wszedł po moim odejściu z czynnej służby.

– Więc po co to wszystko? To były jakieś ćwiczenia? Przez przypadek postawiliście w stan najwyższej gotowości Waszyngton i Londyn? O co chodzi, Wadim? Nie rozumiem.

– Nie wysyła się na Atlantyk Dymitra Dońskiego tylko po to, żeby przetestować Salvatora. Chodziło właśnie o to, żebyście się zdenerwowali, ale przede wszystkim miało to poderwać zaufanie do szczerości Gorbaczowa. Był też inny, nie mniej ważny przekaz. Słuchaj uważnie, Dirk, i podaj dalej komu trzeba, bo to bardzo ważne. Właściwie teraz… – Razumow zawiesił na chwilę głos, jakby szukał odpowiednich słów – być może tu i teraz decydujemy o przyszłości Związku Radzieckiego.

– Czyżby? – odparłem z niedowierzaniem.

Słowa kapitana zabrzmiały nieco patetycznie, a nawet naiwnie. Nie mogłem jednak uwierzyć, żeby GRU pozwoliło sobie na taki mało wiarygodny sposób działania. Zrozumiałem po chwili, że Razumow jest jednak wojskowym, a nie szpiegiem ani politykiem, i może mówić nieco naiwnie.

– Tak, poderwanie zaufania do Gorbaczowa to jedno. Bo jeżeli wiedział o tej prowokacji, to jest temat do zastanowienia dla waszych przywódców, ale jeżeli nie wiedział, to znaczy, że armia wypowiada mu posłuszeństwo. To oznacza, Dirk, ni mniej, ni więcej, że dowództwo Armii Radzieckiej nie będzie tolerować niszczenia państwa. Po tym, co się stało w Wilnie, chyba już wiesz, jaki jest też kierunek w KGB. Prowokacja na Atlantyku miała was ostrzec, że nie będziemy tolerować jakichkolwiek nacisków, mieszania się w nasze sprawy ze strony USA czy NATO. – Razumow przerwał i zaczął wpatrywać się w zamarzniętą zatokę.

Nagle dotarło do mnie, co przed chwilą powiedział kapitan i w jakim błędzie byłem, podejrzewając go o naiwność. Przekazał informację, która była w swojej prostocie ważniejsza niż jakakolwiek z krążących teraz po świecie. Razumow i Golicyn ostrzegali Zachód, że w Związku Radzieckim dojdzie do zamachu stanu i trzeba poinformować Gorbaczowa. Nikt lepiej niż oni nie wiedział, czym to się może skończyć dla świata. Prowokacja na Atlantyku była tego prostym dowodem. Nawet jeżeli nasze wywiady podejrzewały, że taka groźba istnieje, to teraz mogliśmy być tego pewni. Dymitr Doński nie wypłynął tylko po to, żeby się ładnie zaprezentować, to była zapowiedź, że za chwilę coś się stanie. Przeliczyli się jednak z pędnikami Bielajewa. ZSRR nie ma przewagi strategicznej. Na pewno zakładali, że prędzej czy później odkryjemy tę prowokację, ale wtedy będzie już po Gorbaczowie.

W takiej sytuacji Wadim nie może być prowokacją GRU, a jeżeli nawet ktoś za nim stoi, to znaczy, że są tam ludzie, którzy chcą ratować swój kraj. Oni dobrze wiedzą, czym grozi światu wojna domowa w ZSRR. A może to po prostu jest tylko inicjatywa dwóch odważnych kapitanów, Władimira i Wadima?

– Teraz rozumiesz, dlaczego tu, na jakimś fińskim kąpielisku, być może decyduje się przyszłość mojej ojczyzny? – odezwał się cicho Razumow.

– Tak po prostu? – wymsknęło mi się.

– Tak po prostu, Dirk, tak po prostu. Za wszystko, co ci teraz powiedziałem, ja i Wołodia bierzemy odpowiedzialność. Nikt za nami nie stoi, nie

martw się, to nie jest żadna prowokacja GRU. Obaj jesteśmy dowódcami okrętów podwodnych i sami podejmujemy decyzje. Tacy jesteśmy i wszystko musimy umieć objaśnić matematycznym wzorem, nie ideologią. Nawet pięknem rządzą zasady matematyczne, a nie boskie natchnienie. – Razumow spojrzał mi w oczy i lekko pokiwał głową.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – zapytałem zaskoczony otwartością kapitana.

W dalszym ciągu wyczuwałem w jego głosie coś nienaturalnego. Jakby to było oczywiste, co robił, a przecież przekazywał informacje obcemu rządowi o przygotowywanym przez jego przełożonych zamachu stanu, ale nie przechodził na naszą stronę. Wszystkie moje dotychczasowe analizy i kalkulacje były błędne. Nie doceniłem kapitana.

– Bo wybraliśmy ciebie – odparł spokojnie.

– Wybraliście? – zapytałem, bo wydawało mi się, że się przesłyszałem.

– Tak – potwierdził zdecydowanym tonem. – Zakładaliśmy z Wołodią, że prędzej czy później spróbujecie do mnie dotrzeć, i wypuszczałem zachęcające sygnały do Finów. Nietrudno było to przewidzieć, chociaż nie jesteśmy szpiegami. Potrafimy jednak planować i analizować, przewidywać, a także podejmować decyzje. Oczywiście mieliśmy też plan B. Kiedy się pojawiłeś, byłem niemal pewien, że to podejście MI6. Zapytałem sam siebie: dlaczego tak? Bo mogliśmy natknąć się na naszą agenturę albo prowokację GRU. Oni przecież to wszystko też wiedzą, ale nasza atomowa ojczyzna trzeszczy w szwach i trudno kupić sznurowadła. Od początku informowałem rezydenta, że poznałem sąsiada, holenderskiego biznesmena. Najciemniej pod latarnią i wszystko powinno odbyć się naturalnie. Musieliśmy się upewnić, że jesteś człowiekiem, z którym można rozmawiać. Kiedy zapytałeś o Dymitra Dońskiego, wiedzieliśmy już, że się nie pomyliliśmy. Uznaliśmy wczoraj z Wołodią, że zaryzykujemy. Poza tym polubiłem cię, a ja znam się na ludziach.

– Ja ciebie też, Wadim – powiedziałem zdumiony.

Miałem wrażenie, jakbym się zapadł w siebie. Przeczuwałem, że zakończenie tej historii mnie zaskoczy, ale nie aż tak. Wychodziło na to, że to kapitan Razumow rozpracował mnie lepiej niż ja jego.

– Czy nie powinieneś być już w samolocie do Londynu? – zapytał z delikatnym uśmiechem. – Podejmujcie mądre decyzje. Pamiętajcie, Rosjanie to wielki i dumny naród, nikt nas nie pokona. Ale jeżeli przegramy sami ze sobą, to i wy ucierpicie.

Jeszcze tego wieczora siedziałem w niemal pustym samolocie British Airways i zastanawiałem się, jak to wszystko opowiedzieć Jamesowi. Czy spełnię życzenie Wadima i naszym politykom starczy mądrości, żeby podjąć mądre decyzje, o które prosił.

Z lotniska zadzwoniłem do Mariny. Odwołałem nasze spotkanie, a mimo to miałem wrażenie, że się uśmiechnęła.

81

1990

Narada w ambasadzie, po podwójnym zabójstwie, była krótka. Uczestniczył w niej ambasador, jego zastępca i rezydent GRU, ale mówił tylko Portnoy. Przerażenie konsekwencjami było tak duże, że nikt nie próbował zabierać głosu, żeby jakimś nieodpowiedzialnym słowem nie pogorszyć swojej sytuacji. Doskonale wiedzieli, że przy odpowiedniej interpretacji zdarzenia winny mógł być każdy. Oczywiste było, że śledztwem kierować będzie Portnoy, więc wszyscy byli gotowi do bezwarunkowej współpracy.

Winny musi się znaleźć, a kto jest winny, decydować będzie KGB.

Portnoy wiedział, co myślą, i z zadowoleniem przejął zarządzanie kryzysem. Lubił to, bo zawsze uważał, że chaos rodzi możliwości.

Wystarczyła mu krótka rozmowa z rannym Borysem i od razu pojawił się kandydat na winnego. To Gorbienko zastępował go podczas wyjazdu do Polski i odpowiadał w rezydenturze za sprawy socjalne i nadzór nad ochroną. Portnoy pisał o jego odwołanie. Nie był specjalnie lotny, przed emeryturą, pasował więc idealnie na kozła ofiarnego. W zamian za łagodny wymiar kary Gorbienko weźmie na siebie winę i Kriuczkow będzie mógł poinformować Gorbaczowa, że KGB sprawę już wyjaśniło, a winni zostali ukarani. Wszyscy będą zadowoleni i nikt nie spróbuje dociekać, jaki był prawdziwy powód tej masakry i kto naprawdę zawinił.

Prawdziwym ciosem dla Portnoya była jednak śmierć „Koli”. Odebrał ją bardzo osobiście, bo uważał go za swojego przyjaciela. Jukka Haukka i Paavo byli częścią historii radzieckiego wywiadu i na śmierci „Koli”, wraz ze zmierzchem Związku Radzieckiego, ta historia się skończyła. Finlandia nigdy już nie będzie taka jak kiedyś. Czuł, że bezpowrotnie coś się skończyło i Finowie ostatecznie wyszli z cienia sąsiedniego mocarstwa.

Lista „dwunastu” dobitnie o tym świadczyła, jakby była epilogiem tej historii.

Natomiast raport w sprawie śmierci „Koli” był banalnie prosty. Dwudziestego czwartego grudnia Portnoy wylądował na lotnisku Vantaa i zdążył na spotkanie w lokalu Omsk. Na miejscu byli Batulis i „Kola”. Pili alkohol. Według Batulisa „Kola” przyszedł już pijany ze spotkania świątecznego u syna i był w bardzo złym stanie psychicznym. Z uwagi na jego stan Portnoy nie zdecydował się na przekazanie mu pakietu i zniszczył go na miejscu, a informację przekazał ustnie. Nadużywanie alkoholu przez „Kolę” i obciążenie stresem były Centrali znane od lat. Portnoy nie zapomniał napisać, że jak co roku otrzymał od „Koli” prezent, czerwony krawat marki Gucci. Raport był czytelny, dobrze udokumentowany i przekonujący.

Portnoy był doświadczonym szpiegiem i wiedział, że jego czas w Helsinkach dobiega końca. Trzeba pomyśleć o przyszłości, ale przezornie nie występował o odwołanie. Czuć było, że w Moskwie coś się dzieje, i do wyjaśnienia sytuacji lepiej było pozostać za granicą.

Chwilowo masakra w ambasadzie i śmierć „Koli” przestały interesować kierownictwo I Zarządu Głównego KGB.

Wkrótce okazało się dlaczego.

Dziewiętnastego sierpnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku w środku nocy Portnoy otrzymał od zdenerwowanego Kazubina depeszę o przejęciu władzy w kraju przez Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego. O szóstej rano telewizja poinformowała o odsunięciu Gorbaczowa i przejęciu władzy przez wiceprezydenta Janajewa, potem wyemitowano *Jezioro łabędzie* i wszystko było już jasne. Portnoy już wiedział, co się dzieje. Był przejęty, ale nie zaskoczony. W ambasadzie jednak zapanował chaos. W pierwszych godzinach zdecydowana większość, wraz z wystraszonym ambasadorem, ale pod przywództwem szyfranta Anatolija Porfirionowicza Kazubina, poparła pucz. Pozostali przed telewizorami śledzili rozwój wydarzeń.

Portnoy przeczuwał, że to koniec Związku Radzieckiego, Gorbaczowa i puczystów, ale kiedy zobaczył w telewizji pijanego Janajewa na konferencji prasowej, był już pewien, że najwyższy czas zająć stanowisko i opowiedzieć się po którejś stronie. Już wcześniej sympatyzował z przebojowym Jelcynem w jego starciach z Gorbaczowem.

Następnego dnia Portnoy zorganizował zebranie wszystkich niezdecydowanych, internował Kazubina i wypowiedział posłuszeństwo KGB. W ciągu kilku godzin przyłączyła się do niego reszta skruszonych placów-

kowych puczystów. Po samobójstwie szyfranta Kazubina ostatni dołączył ambasador.

82

1993

W kwietniu dziewięćdziesiątego pierwszego roku trwały przygotowania do obalenia Gorbaczowa, który kilka miesięcy wcześniej wraz z prezydentem Bushem ogłosił w Wiedniu koniec zimnej wojny.

Z Floty Północnej do Bałtyckiej przeszedł komandor Władimir Michajłowicz Golicyn, dotychczasowy dowódca Dymitra Dońskiego. Został mianowany kontradmirałem i dowódcą potężnej bazy Floty Bałtyckiej na wyspie Kotlin, czyli Kronsztadu.

Spiskowcy musieli mieć kontrolę nad Leningradem. Od powstania miasta zapewniał to Kronsztad. Zbudowany przez Piotra Wielkiego, żeby bronić stolicy, ale też pilnować jej, bo dla Moskwy było to miasto niebezpiecznie otwarte na Zachód.

Golicyn poparł pucz, ale przezornie nie wziął w nim udziału. Po porażce spiskowców władzę objął Jelcyn, rozwiązał KGB, zlikwidował partię komunistyczną i powoli zaczął czyścić armię z puczystów. Delikatnie, żeby nie narobić sobie wrogów i utrzymać w sprawności ostatnią część rozsypującego się imperium.

W Rosji zaczął się czas małej smuty, czyli budzenia się dzikiego kapitalizmu, bandytyzmu, rozkradania majątku, upadku państwowych instytucji, w tym służb specjalnych i armii. Znikł człowiek radziecki i pojawił postradziecki, czyli nie wiadomo co.

W tym czasie nasza fińska firma Noya rozwinęła się już całkiem dobrze i zatrudnialiśmy kilka osób w prestiżowym biurowcu w Helsinkach. Kapitan Razumow po śmierci żony odszedł ze służby, a jego synowi załatwiliśmy pracę w londyńskim City. Sam kapitan został naszym cichym kontaktem w petersburskim światku.

Biznes rozwijał się pełną parą i nie można było już odróżnić, kto jest z GRU, FSB, SWR, mafii czy zwykłym bandytą. Wygłodzeni po latach komunizmu wszyscy robili interesy ze wszystkimi, czasami tylko po to, żeby dorobić do lichych pensji, a nawet przeżyć. Wszystko było na sprzedaż i wszystko można było kupić.

Pojawiać się zaczęły też pierwsze wielkie fortuny, które natychmiast były obiektem zazdrości innych, więc walka o pieniądze i terytorium zaostrzała się coraz bardziej.

Pod koniec kwietnia dziewięćdziesiątego trzeciego za pośrednictwem Razumowa dostaliśmy od kontradmirała Golicyna zaproszenie do odwiedzenia Kronsztadu, który niedawno został częściowo otwartym miastem.

Jelcyn powoli wykreślał puczystów z proskrypcyjnej listy i Władimir Michajłowicz liczył się z tym, że wkrótce będzie musiał odejść. Jak twierdził Wadim, admirał rozglądał się, jak ułożyć sobie i rodzinie resztę życia na tym rozbujanym statku widmie, jakim była wówczas Rosja.

Chociaż Wadim nie wiedział, czego dotyczyło zaproszenie, Londyn przyjął je z prawdziwym entuzjazmem. Kronsztad wciąż był bardzo wysoko na liście celów MI6 i wywiadu wojskowego. Zostaliśmy wyposażeni w najnowsze wynalazki Q, przeszkoleni przez ludzi Oliviera i pojechaliśmy do Petersburga pociągiem.

Zatrzymaliśmy się w zarobaczonym Hotelu Pribałtijskim, który uchodził wtedy za jeden z najlepszych w mieście, i czekaliśmy na spotkanie z Papą, czyli kontradmirałem Golicynem, jak z wyraźną ironią nazwał go Wadim.

Przez pierwsze cztery dni zajmowaliśmy się głównie zwiedzaniem i piciem z miejscowymi biznesmenami, którzy przekazywali nas sobie jak puchar przechodni. Chociaż najczęściej mieli niewielkie pojęcie o handlu, wykazywali się jednak biegłą znajomością pracy operacyjnej. Nie kryli się z tym. Otwarcie podkreślali, że znają wszystkich, a kontakty to ich najcenniejszy kapitał, który mogą sprawnie przełożyć na duże pieniądze, dając czasami do zrozumienia, że mogą każdego dyrektora namówić do współpracy. Czasami wyglądało to tak, że ich jedynym kapitałem jest konkurencja w namawianiu firm do współpracy. Dopiero poznawaliśmy słowo „reketier”.

Umowy były niepotrzebne, decydował silny męski uścisk dłoni, bo *gentlemen agreement* była więcej warta niż podpis krwią. Czasami mówili wprost, że mają pomysły, towar, pieniądze i kontakty, ale nie wiedzą, jak to wszystko powiązać. Mieliśmy wrażenie graniczące z pewnością, że jeste-

śmy postrzegani jako dżentelmeni związani z pokrewną firmą, którzy wiedzą, jak to zrobić.

Wysłuchaliśmy wielu propozycji, które miały zabezpieczyć nas do końca życia, ale kiedy mówiliśmy, że jesteśmy gośćmi Papy, rozgrzani biznesmeni wycofywali się z pokorą. Wypiliśmy przez te dni więcej wódki niż przez całe nasze życie. Wytrzymaliśmy jednak w oczekiwaniu na spotkanie z Golicynem, który ciągle był czymś zajęty.

W końcu zadzwonił Wadim i oświadczył z widoczną ironią, że doczekaliśmy się audiencji.

Włożyliśmy garnitury, krawaty i wyszliśmy przed hotel. Mżyło i było zimno.

Punktualnie o godzinie dwudziestej przyjechało srebrne mitsubishi pajero, z którego wysiadł łysy, kwadratowy mężczyzna o byczym karku i wzroście wyrośniętego dziecka. Przedstawił się jako Kostia. Miał na sobie za dużą o dwa numery granatową marynarkę ze złotymi guzikami.

Zmiażdżył nasze dłonie i po chwili z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę pędziliśmy po dziurawych petersburskich ulicach.

Przejechaliśmy mostem nad Newą. Później wzdłuż rzeki dotarliśmy do pomnika Piotra Wielkiego. Minęliśmy plac Izaakowski i po kilkunastu minutach skręciliśmy w prawo. Kostia, sprawnie omijając zwykłe dziury i studzienki kanalizacyjne pozbawione włazów, w końcu dowiózł nas na miejsce. Stanęliśmy przed domem, którego wieku nie można było określić. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak trzysta lat.

Przeskakując przez kałuże i błoto, Kostia doprowadził nas do małych zardzewiałych drzwi przypominających wejście do bunkra albo zapomnianej krypty.

Wyjął pistolet i kilka razy uderzył nim w drzwi.

Po chwili otworzyła się klapka i zobaczyliśmy krzaczaste brwi nad szeroko otwartymi oczami.

– Czego? – rzucił chrapliwym głosem nieznajomy i przez chwilę przyglądał nam się wrogo.

– Wania! Otwieraj, *blat*’! Oślepłeś, pijaku? – rzucił w końcu Kostia, grożąc pistoletem, i drzwi zachrzęściły zardzewiałym metalem.

Weszliśmy do środka.

W przyciemnionym seledynowym świetle zobaczyliśmy piękne marmurowe schody, które prowadziły stromo w dół. Czyste wybielone ściany

i obrazy w pięknych barokowych ramach od razu zrobiły na nas mocne wrażenie, i to nie były reprodukcje.

Po chwili Kostia otworzył następne drzwi i wtedy zobaczyliśmy duże pomieszczenie z łukowym sklepieniem opartym na potężnych kolumnach. Czyste ściany, obrazy, przytłumione ciepłe światło i dźwięki koncertu skrzypcowego D-dur Czajkowskiego granego przez muzyka we fraku. Przy kilku stolikach, na których lampki zapewniały dyskretne oświetlenie, siedziały po dwie, cztery elegancko ubrane osoby, kobiety w wieczorowych sukniach, mężczyźni w garniturach. W powietrzu roznosił się przyjemny zapach orientalnych ziół i perfum. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Czuliśmy się jak pielgrzymi, którzy przekroczyli właśnie granicę między piekłem i niebem. Tylko nasze ubłocone buty przypominały, skąd przyszliśmy.

– Witamy w restauracji Europa – usłyszeliśmy czystą angielszczyznę z lekkim australijskim akcentem. Spojrzeliśmy w prawo i zobaczyliśmy wysokiego, najwyżej dwudziestopięcioletniego mężczyznę o niebieskich oczach i gęstej czarnej czuprynie zaczesanej do tyłu. Obdarzył nas uśmiechem hollywoodzkiej gwiazdy, ale nie mogłem sobie przypomnieć której. – Porucznik Andriej Kryłow, adiutant admirała Władimira Michajłowicza Golicyna – przedstawił się mężczyzna i skinął służbowo głową. Uśmiech znikł i przypomniałem sobie, że podobny miał Paul Newman. Wyprężył się, strzelił obcasami i z elegancją wskazał nam stronę, w którą mamy iść.

W następnej, mniejszej sali były cztery stoliki, ale tylko jeden zajęty. Siedzieli przy nim Razumow i Golicyn, a kilka metrów dalej stało dwóch kelnerów w białych liberiach.

Admirał przywitał nas bez uśmiechu, bardzo uprzejmie, ale z lekkim dystansem. Był podobny do Wadima i równie przystojny, lecz o kilka centymetrów niższy. Nadia rzeczywiście musiała mieć problem, którego wybrać. Wybrała przystojniejszego Wadima. Zadarty podbródek i bystre oczy dodawały mu powagi, a nawet uroku. Czuć było mocne ego przejawiające się między innymi w charyzmie. Wyobraziłem go sobie stojącego samotnie na kiosku okrętu podwodnego sunącego przez wody Oceanu Lodowatego. Miałem wrażenie, jakbym dotarł do swojego jądra ciemności i odnalazł w restauracji Europa nowe wcielenie Kurtza.

Spotkanie trwało dwie godziny i żadnej wódki, piliśmy tylko wino. Nie wspomnieliśmy też ani razu o Dymitrze Dońskim i zdarzeniu sprzed prawie trzech lat, które nas połączyło. Rozmawialiśmy o sztuce, kuchni, podróżach i kobietach, żadnej polityki ani biznesu.

Wszystko elegancko podane smakowało wybornie. Nigdy później nie jadłem już nic równie wybornego jak rosyjska zupa rakowa i bliny z kawiorem.

Widać było, że kontradmirał nie był tu zwykłym gościem.

Na zakończenie podziękował za interesujący wieczór i zapowiedział z wyraźną emfazą, że zaprasza nas na zwiedzanie Kronsztadu. Od tej pory naszym opiekunem miał być porucznik „Paul Newman".

Następnego dnia o dziewiątej pod hotel podjechał wielki czarny mercedes z zaciemnionymi szybami. Wysiadł z niego przystojny porucznik Kryłow w eleganckim garniturze od Armaniego.

Przejazd do Kronsztadu zajął nam godzinę. Przez ten czas porucznik opowiedział nam w szczegółach o historii nigdy niezdobytej twierdzy, buncie marynarzy, którzy uciekli do Finlandii, budowie grobli przez zatokę, wszystko podpierał szczegółowymi danymi technicznymi, jakby chciał podkreślić potęgę rosyjskiej marynarki. Był tak zaangażowany w to, co mówił, że chwilami mieliśmy wrażenie, że bije od niego nie tyle chłopięcy entuzjazm, ile zauroczenie imperialną potęgą Rosji. To było bardzo ciekawe i porucznik Andriej Kryłow zrobił na nas dobre wrażenie. Polubiliśmy go, także za miły, szczery uśmiech, który nie znikał z jego twarzy.

Przejazd kilkunastokilometrową groblą usypaną w morzu zajął nam sporo czasu. Kilkakrotnie minęliśmy na niej posterunki żołnierzy w czarnych mundurach, które witały tłustego mercedesa podniesionymi szlabanami i salutem w postawie zasadniczej.

Zajechaliśmy przed osiemnastowieczny budynek admiralicji. Przed wejściem oczekiwał nas kapitan w nienagannie skrojonym czarnym mundurze zapiętym pod szyję. Razem z Kryłowem poprowadził nas szerokimi schodami na pierwsze piętro.

Przeszliśmy przez ogromny sekretariat do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Kapitan otworzył je i ujrzeliśmy jeszcze większe pomieszczenie.

Weszliśmy do środka.

Widok, który ujrzeliśmy, zapierał dech. Mieliśmy wrażenie, jakby nagle zmaterializowały się wszystkie opowieści porucznika, które usłyszeliśmy w drodze. Na wprost wejścia przywitał nas wielki obraz cara Piotra I, a na bocznych ścianach ujrzeliśmy sceny bitewne, portrety dowódców w starych i nowych mundurach, mapy i morskie pejzaże. W rogach stały biblioteki pełne książek, dostrzegliśmy również rzeźby i medale.

Na środku pomieszczenia stało ogromne ozdobne barokowe biurko, godne Katarzyny Wielkiej.

Wszystko autentyczne, czuć było zapach morza i historii, jakby nikt nigdy nie wietrzył tej świątyni, nie próbował naruszyć tego odwiecznego porządku, w którym każda epoka dokładała swoją historię.

Kapitan zamknął za nami drzwi, jakby zamykał wrota zamku, i znikł. Rozglądaliśmy się w ciszy i pokorze, odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy w świątyni albo tajnej loży masońskiej. Porucznik Kryłow stał z boku i z widoczną satysfakcją obserwował nasze zauroczenie. Wydawać się mogło, że to piękne i niezwykłe pomieszczenie wypełniała jego rosyjska duma.

Ciszę przerwało otworzenie małych drzwi w prawym rogu, których nawet nie zauważyliśmy. Wyszedł z nich admirał Golicyn w mundurze ze złotymi epoletami.

– Witam panów – rzucił, przecinając na skos pomieszczenie. – Zapraszam na herbatę i konfitury. – Wskazał ręką na zastawiony nieduży stolik i krzesełka w stylu rosyjskiego empire. – Podoba się? – zapytał, widząc nasze miny. Pokiwaliśmy głowami.

Usiedliśmy, a porucznik stał parę metrów dalej. Przez kilka minut admirał opowiadał nam o historii pomieszczenia. Od zawsze było gabinetem admirałów Kronsztadu i Golicyn wyraźnie czuł się częścią tej historii.

– Chciałem wam coś pokazać. – Podniósł się z fotela i podszedł do okna. – Podejdźcie! – rzucił, widząc nasze niezdecydowanie. – Widzicie… tę tam cerkiew? To sobór Morski albo Świętego Mikołaja. Od lat stoi pusty, zaniedbany i może warto coś w nim zrobić… wchodzi tam pięć tysięcy ludzi. Może kasyno? Nadaje się idealnie. Są pomysły, żeby w Kronsztadzie zrobić taki Hongkong, strefę wolnocłową, mamy tu duży port, jest kolej… blisko pięciomilionowy Petersburg. Znajdziecie inwestora, dostaniecie udziały, będzie interes na skalę europejską.

Nagle pomyślałem, że ta cała historia Kronsztadu, tego admiralskiego gabinetu, duma porucznika Kryłowa, portret cara Piotra i biurko Katarzyny to jakaś groteska. Znikł Związek Radziecki i czuć było przerażającą pustkę. Patrzyłem na porucznika Kryłowa, przed którym była cała przyszłość, i nie mogłem uwierzyć, żeby chciał zrobić w soborze kasyno. Stał dziesięć metrów od nas. Nie uśmiechał się.

– Tak, tak… no… możemy się tym zająć – odparłem, spoglądając na oniemiałego Raymonda. – Chyba nieźle się powodzi marynarzom Floty

Bałtyckiej? – zapytałem, spoglądając na parking wypełniony mercedesami, audi, bmw i volvo.

– To nasz bezcłowy import – wyjaśnił admirał i zmrużył oczy.

– Bezcłowy? Wojskowa baza może coś importować z Zachodu… bez cła?

– Nie może, ale to robi. Muszę zabezpieczyć moich marynarzy. Nie mają z czego utrzymać rodzin, czasami nie mają co jeść. – Admirał spojrzał na nas surowym wzrokiem. – Wiecie, co to jest tuszonka?

– Chyba tak – odparłem.

– To zapuszkowana wieprzowina w tłuszczu. Podstawowa racja w radzieckiej armii. Jak nią potrząśniesz, powinna zachlupać. Kiedy mój szturman i bosman sprzedali w godzinę z ciężarówki pod stacją metra Ozierki po dolarze dwa tysiące puszek z wodą dla okrętów podwodnych jako tuszonkę, zrozumiałem, że trzeba ich ratować. Z Niemiec wróciło mnóstwo gęb do wyżywienia. Trzeba podtrzymać ducha, przeczekać ten trudny czas. Pan myśli, że ja to robię z zamiłowania do zachodnich samochodów?

– Skąd je importujecie? Z Finlandii?

– Skąd! – obruszył się admirał. – Za drogo! Powiedzmy, że importujemy z Danii. Wychodzi nasz okręt, spotyka duński na morzu, przeładowujemy i wracamy do Kronsztadu. Proste?

– Okrętami wojennymi? – zapytałem zaskoczony. – Przecież to… Jak?

– Wychodzi okręt podwodny na patrol. Wynurza się na wodach międzynarodowych, przeładowuje się sześć samochodów, przyczepia solidnie, zakrywa płachtami i wracamy do bazy, ale na powierzchni oczywiście.

– Oj… Uff… – odetchnąłem zdumiony. – Ciekawy pomysł, bardzo ciekawy.

– Takie czasy, panie Dirku. Takie czasy. – Admirał wyraźnie posmutniał. – Lepiej wozić kradzione samochody, niż wypuszczać torpedy. Ale tak nie będzie zawsze. Myślę, że teraz porucznik Kryłow zabierze was na przejażdżkę po Kronsztadzie i przy okazji powie, jaką mamy dla was propozycję. Ja niestety muszę wracać do obowiązków służbowych.

Admirał pożegnał się z nami i znikł za małymi drzwiami, którymi wcześniej wszedł.

Teraz zrozumieliśmy, dlaczego nazywano go Papa. Golicyn nie był biznesmenem, nie wchodził w szczegóły interesów, nawet nie mówił, co chce kupić czy sprzedać. Opowiedział nam o Hongkongu i kasynie, ale z pewno-

ścią sam w to nie wierzył. Nawet nie potrafił sprzedać tego tematu przekonująco, a może nawet nie próbował, jakby to było dla niego poniżające. Jego głos brzmiał autentycznie tylko wtedy, gdy mówił, że jego ludzie żyją w nędzy. Zorientowaliśmy się już, że Papa tylko wydawał zgodę na biznes, a jego zdanie było święte. W Kronsztadzie miał port, kolej, drogi, ale miał też oddanych mu całkowicie ludzi. Zaprawionych marynarzy, ich rodziny na utrzymaniu i żołnierzy morskiego specnazu GRU, elity całej rosyjskiej armii. Więc wielki Petersburg musiał się z Papą liczyć.

Uznani zostaliśmy za godnych zaufania, nawet jeżeli podejrzewali nas o związki z wywiadem, a może właśnie dlatego. Uważali, że jesteśmy do nich podobni, więc i bardziej godni zaufania niż zachodni biznesmeni, którzy na każdym kroku próbowali zarabiać pieniądze, licząc na ich naiwność. Tracili czas i nerwy. Bezpieczeństwo Rosji mogło poczekać. Teraz trzeba było robić transfuzję, żeby podtrzymać jej istnienie. Golicyn o tym wiedział.

Nim wyszliśmy z budynku, zaczęliśmy z porucznikiem Kryłowem mówić sobie po imieniu. Na pytanie, skąd tak dobrze zna angielski, odparł krótko, że ze szkoły, więc jasne już było, że jest z GRU.

Andriej był sympatyczny, rozmowny i inteligentny. W ciągu godziny objechaliśmy wszystkie historyczne zakątki twierdzy, a także port wojenny, w którym jednak nie mogliśmy wysiąść z samochodu. Widzieliśmy okręty nawodne, podwodne i inne zacumowane obok. Trochę nas dziwiło, że pokazują nam swoje tajemnice.

Około godziny pierwszej zatrzymaliśmy się przy bocznym nabrzeżu i Andriej zapowiedział, że zaprasza nas do siebie na obiad. Chciałby nam przedstawić swoją rodzinę i omówić przy stole propozycję biznesową.

Wysiedliśmy z samochodu i naszym oczom ukazał się ogromny dwukominowy stary statek o pękatym kadłubie, na którym wymalowane były logo i napis „Leonid Krasin”.

– To lodołamacz Krasin, ten stary z tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku, już nie pływa, ale jest jeszcze jeden, nowy. Tamten pływa. Tu mieszkamy, cała nasza grupa.

– To ty nie jesteś z Kronsztadu? – zapytałem.

– Nie, jestem z Moskwy, ale pochodzę z Krymu. Tu są chłopcy z różnych części kraju.

Nie dopytywaliśmy się, jacy to chłopcy, ale było to dla nas jasne. Weszliśmy po trapie na pokład.

Statek robił wrażenie. Czysty i dobrze utrzymany pachniał farbą i smarami. Andriej przeprowadził nas wąskimi korytarzami, aż doszliśmy do pięknych mahoniowych drzwi z mosiężnymi okuciami.

– Tu mieszkamy – oświadczył, wprowadzając nas do środka. – A to jest moja żona Masza i nasza córeczka Ania – przedstawił nam drobną dziewczynę w okularach trzymającą dziecko na rękach. – A to nasi goście z Finlandii. – Wskazał na nas dłonią i dał znak Maszy, żeby przygotowała stół.

Obiad trwał godzinę i był bardzo skromny. Zjedliśmy kapuśniak i kotlety z ziemniakami i mizerią. Wypiliśmy po dwa kieliszki wódki. Andriej prawie cały czas zajmował się małą Anią, a Masza kręciła się między pokojem i kuchnią.

Po obiedzie Andriej wyjął z teczki kartkę i przekazał nam, mówiąc, że to informacja o kontrakcie, jaki chcą z nami zawrzeć.

Przeczytałem. Prywatna firma z Samary, która została opisana w dokumencie, zainteresowana jest zakupem osiemdziesięciu tysięcy ton cukru trzcinowego. Dostawa statkiem do Kronsztadu. Termin przedstawienia oferty i podpisania umowy – trzy tygodnie. Nie wierzyłem własnym oczom i pokazałem dokument Rayowi.

– To poważna i pilna oferta – rzucił Andriej. – Dacie radę w tym terminie?

– Nie wiem. To ogromna ilość i krótki termin – powiedziałem, kręcąc głową. – Wrócimy do Helsinek i zobaczymy, czy to możliwe. Nigdy cukrem nie handlowaliśmy, ale…

– Damy radę – włączył się Ray.

– Super. Papa będzie zadowolony. – Andriej zakończył negocjacje biznesowe.

Do Petersburga wróciliśmy mercedesem, ale już sami. W samochodzie wychwalaliśmy admirała, gościnność Rosjan i wyrażaliśmy nadzieję na dobry cukrowy biznes. Wiedzieliśmy, że wszystko jest nagrywane.

Wieczorem zadzwoniliśmy do Wadima, który nie dopytywał się o szczegóły naszej wizyty w Kronsztadzie. Zapytał tylko, czy jesteśmy zadowoleni. Następnego dnia rano jechaliśmy już pociągiem do Helsinek.

Nasze szpiegowskie urządzenia przekazaliśmy Olivierowi, który czekał na nas ze swoimi ludźmi. My zajęliśmy się cukrowym biznesem. Londyn uznał, że realizując ten kontrakt, nasza firma uwiarygodni się w oczach Golicyna, i liczył na ciekawy dialog. Wiedza admirała o atomowym potencjale Rosji była bezcenna i trzeba było spróbować. Wycieczka po Kronszta-

dzie mogła być zachętą, chociaż zespół Oliviera nie znalazł tam nic szczególnie wartościowego. Najprawdopodobniej chcieli zrobić na nas wrażenie, ale nie pokazać nic ważnego.

Korzystając z pomocy naszego wydziału ekonomicznego w ambasadzie i ludzi z Vauxhall, mogliśmy przygotować solidną ofertę na osiemdziesiąt tysięcy ton cukru z Brazylii. Tydzień później poinformowałem Andrieja, że jesteśmy gotowi i możemy podpisać umowę.

Tym razem do Petersburga polecieliśmy samolotem.

83

2021

Było już po pierwszej, kiedy Carol zdecydowała się zakończyć spotkanie. Wszyscy byli już zmęczeni, ale najbardziej Martin, bo to on przygotował kolację i ciągnął opowieść, wciąż manipulując przy aparacie słuchowym. Ray przysypiał z kieliszkiem w dłoni, a mimo to sprawiał wrażenie, że kontroluje wszystko, co mówi Martin.

Nie miała sumienia dłużej ich trzymać, chociaż opowieść o cukrowym biznesie i admirale Golicynie była bardzo interesująca. Wiedziała, że Martin zmierza do finału i chce jej coś powiedzieć, a potoczyste story, ciągłe dygresje i ucieczki w ślepe zaułki wynikają z wieku opowiadającego. A jednak pamięć Martina do szczegółów była imponująca.

Mimo to, chociaż starali się wciągać brzuchy i udawali macho, postanowiła dać im odpocząć i dokończyć rozmowę następnego dnia.

Bez słowa sprzeciwu, rzucając krótkie „natti, natti”, rozeszli się do swoich pokoi. Ray, korzystając z poręczy, wspiął się na piętro, a Martin znikł za białymi drzwiami.

Następnego dnia, gdy Carol zeszła do salonu, obaj siedzieli przy stole z kubkami w dłoniach i cicho, ale zawzięcie dyskutowali. Dopiero po chwili zorientowali się, że nie są już sami, i zamilkli.

– Dzień dobry. Dostanę kawy? – zapytała.

– Dzień dobry – odpowiedzieli niemal jednocześnie.

– Obsłużę się – rzuciła, widząc, że Martin chwyta za laskę.

– Kawa w kawiarce, a kubki w szafce.

Carol przysiadła się po chwili i zobaczyła na stole tablet.

– Przeglądałeś w nocy materiały? – zapytała, spoglądając na Martina.

– Tak.

– I co?

– Dokończymy najpierw historię o cukrowym biznesie – włączył się Ray. – Wtedy lepiej zrozumiesz, o co chodzi.

– Damy radę? O szesnastej mam samolot do Londynu.

– Damy – odparł Martin. – Chcesz teraz śniadanie?

– Najpierw powiedz, co wiesz. Zjem potem.

– Z lotniska odebrał nas Andriej – zaczął Ray. – Była niedziela, więc myśleliśmy, że pojedziemy do hotelu, ale okazało się, że Papa czeka na nas w Kronsztadzie i chce podpisać umowę. Trochę to było dziwne, ale w Rosji nie takie rzeczy się wtedy zdarzały. Tym razem nie byliśmy uzbrojeni przez Q.

– Pojechaliśmy do Kronsztadu – włączył się Martin, grzejąc dłonie na kubku. – Tak jak poprzednio, niezatrzymywani dotarliśmy do budynku admiralicji. Ale tym razem Andriej był inny. Ani razu się nie uśmiechnął, chociaż poprzednio uśmiech nie znikał z jego twarzy. Wyraźnie zdenerwowany, milczący, a nawet opryskliwy. Poczuliśmy, że coś jest nie tak. Zauważyłem też, że pod kurtką ma broń. Weszliśmy na pierwsze piętro do gabinetu admirała. W sekretariacie nikogo nie było. Andriej rzucił, że mamy czekać, bo Papa może się spóźnić. Ma ważną naradę. Znikł za wielkimi drzwiami.

– Czekaliśmy godzinę, potem następną – powiedział poważnym tonem Ray. – Ciągle zerkaliśmy na małe drzwi w rogu. Parking, który widać było z okna, opustoszał. Czekaliśmy trzy godziny. Nikt do nas nawet nie zajrzał. Wiedzieliśmy, że Rosjanie dosyć swobodnie podchodzą do umawiania się, ale byliśmy już poważnie zaniepokojeni, tym bardziej że sami nie mogliśmy wyjechać z Kronsztadu.

– Około piętnastej otworzyły się wielkie drzwi i do środka energicznym krokiem wszedł mężczyzna około sześćdziesiątki – kontynuował Martin. – Wyglądał dziwnie i od razu zauważyliśmy, że nie miał w sobie nic z wojskowego. Ubrany był w granatowy elegancki surdut, a wokół szyi miał owinięty biały szalik. Zaczesane do tyłu długie, falujące i białe jak papier włosy opadały na ramiona. Wyglądał jak skrzyżowanie prestidigitatora, dyrygenta i wampira. Nawet nie spojrzał w naszą stronę. Usiadł na fotelu za biurkiem Katarzyny i przez chwilę oglądał swoje dłonie. Wiedzieliśmy już, że Golicyn nie przyjdzie i dzieje się coś niepokojącego. Pytaliśmy o admirała, ale nie odpowiadał.

– W końcu się odezwał – wtrącił Ray. – To było trzydzieści lat temu, a jednak wciąż czuję się tak, jakby to było wczoraj. Nigdy nie widziałem

bardziej przerażającej postaci.

– Więc chcecie sprzedać cukier? – zapytał.

Martin naśladował mężczyznę.

– Sprzedać? To wy… admirał… chcecie kupić cukier – odparłem. – Nie rozumiem, co się dzieje, mamy przygotowaną umowę. – Pokazałem teczkę. Blondyn pierwszy raz spojrzał w naszą stronę.

– Czyli chcecie sprzedać cukier – stwierdził, nie zapytał. – Takich biznesmenów jak wy, którzy chcieli sprzedać w Rosji cukier, pływa w Newie już kilkunastu. Tylko dlatego, że Papa was polubił, pozwolę wam ten cukier sprzedać. Daj tę umowę! – powiedział, a ja mu ją podałem. Kazał mi od razu podpisać. – Teraz coś wam wyjaśnię, gnojki. – Wstał zza biurka i zaczął się przechadzać z rękami w kieszeniach. – Cukier w Rosji to być może nawet ważniejszy surowiec niż gaz, ropa czy węgiel. Cukier to lody, herbata i wódka, trzy najważniejsze używki Rosjan. Bez nich nie będą wydobywać ropy, gazu ani węgla. Niestety, żeby jedno eksportować, cukier musimy importować. Teraz importujemy go z Brazylii. W Rosji jest pięć rodzin, które go importują, a w Brazylii pięć, które go produkują, i to są te same rodziny, dupki. Nie potrzebujemy jakichś gnojków z Finlandii na pośredników. A teraz wypierdalać stąd! – rzucił, schował umowę do kieszeni i wyszedł.

– Nooo… nieźle. Uff… – Carol pokręciła głową z niedowierzaniem. – Mafia przejęła Kronsztad? Nieprawdopodobne, nie słyszałam o tym.

– To był czas, kiedy bandyci zmieniali się w oligarchów – powiedział Martin. – To był Aleksander Błotnikow, zwany słodkim królem. Petersburski mafioso, jeszcze nie oligarcha. Rok później wypłynął w Newie bez swojej pięknej głowy.

– Nigdy jej nie znaleziono – dodał Ray. – Podobno do dzisiaj ktoś przechowuje ją w słoju z formaliną.

– Wyszedł Błotnikow, a wszedł Andriej i trzymając otwarte drzwi, zapraszał nas do drogi – ciągnął Martin. – Odwiózł nas do hotelu, a przez całą drogę milczał. Zadaliśmy mu kilka pytań, ale bez rezultatu. Przed hotelem wysiadł z samochodu i powiedział do mnie cicho: „Uciekajcie jak najszybciej, jeszcze dzisiaj”. To zabrzmiało bardzo poważnie i zrozumieliśmy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Na samolot ani pociąg nie było już szansy o tej porze, więc musieliśmy zmienić hotel, a najlepiej znaleźć jakąś kryjówkę. Nie byliśmy na to przygotowani. W naszej firmie w Helsinkach pra-

cowała nasza znajoma, a właściwie przyjaciółka, Marina. – Martin spojrzał na Raya, który uśmiechnął się delikatnie. – No co? – zapytał.

– Nic, nic. – Ray uśmiechnął się szeroko.

– Zadzwoniliśmy do niej i przenocowaliśmy w jej małym mieszkanku pół kilometra od hotelu. Następnego dnia rano przez Sztokholm wylecieliśmy do Helsinek.

– Nooo… to wam się udało! – skomentowała Carol wyraźnie poruszona. – Petersburg zamknął się dla was? I co z tym kontraktem? Czy to wszystko ma jakieś znaczenie… – Spojrzała na nas z zainteresowaniem. – Więc?

– Więc mamy w Barrow poważny problem – odparł Martin.

– Co? – rzuciła z niedowierzaniem. – Jaki problem?

– Dwa lata później, w dziewięćdziesiątym piątym, działaliśmy już gdzie indziej na świecie i zapomnieliśmy o admirale Golicynie. Nasza firma została zlikwidowana po śmierci słodkiego króla, a my wynieśliśmy się z Finlandii. Byliśmy wtedy na robocie w Rydze i zatrzymaliśmy się w hotelu… nie pamiętam nazwy. Pamiętasz? – zwrócił się do Raya, który tylko wydął usta. – No dobra, nieważne. Siedzimy w westybulu i czekamy na taksówkę, bo właśnie wylatywaliśmy do… – Spojrzał na Raya.

– Chyba do Berlina. Nie, do Aten… na pewno do Aten!

– Zresztą nieważne. Patrzymy, a tu kto idzie, podpierając się laską?

– Kapitan Wadim Grigoriewicz Razumow – powiedziała Carol.

– Błyskotliwe! – rzucił Martin zadowolony.

– Strzelałam. Poważny problem w Barrow? – spytała, z lekkim zaniepokojeniem zaciskając dłonie.

– Nie pojechaliśmy już na lotnisko. Ten wieczór spędziliśmy w jego pokoju. Wypiliśmy butelkę ormiańskiego koniaku, którą Wadim miał przygotowaną dla znajomego, ale ofiarował na nasze spotkanie. Podpierał się laską nie z powodu wylewu, jak początkowo myśleliśmy, ale artroskopii kolana, więc koniak znikał szybko, coraz szybciej.

– Jezus! Martin! Co z Barrow! – powtórzyła.

– Wadim wiedział o naszej wizycie w Kronsztadzie i spotkaniu z Błotnikowem. Skąd? Nie chciał powiedzieć. Podejrzewaliśmy, że od Andrieja Kryłowa. Kontradmirał Władimir Golicyn kilka dni po naszym wyjeździe popełnił samobójstwo. Oficjalnie z powodu załamania psychicznego. W rzeczywistości padł ofiarą walki o wpływy między mafią KGB trzymającą miasto a GRU z Kronsztadu. Nawet nie wysilili się, żeby wymyślić jakiś mądry powód śmierci, choćby wypadek samochodowy, to takie

typowe dla GRU i aroganckie. Dowódca Dymitra Dońskiego, największego na świecie okrętu atomowego, który mógł zniszczyć pół świata, popadł w depresję? Przerażająco naiwne, tak twierdził Wadim. Golicyn nie był związany z żadną grupą, więc wszystkim przeszkadzał. Dbał o swoich ludzi i marynarze stali za nim murem. Mógł wyrosnąć na samodzielną siłę, chociaż wcale nie miał takich planów. Nikt go specjalnie nie żałował, bo był przecież puczystą. Zresztą za kilka miesięcy miał pójść w odstawkę na szefa Biblioteki Marynarki Wojennej. Jego śmierć pasowała wszystkim. Błotnikow nie potrzebował naszego cukru. Potrzebował umowy z zachodnią firmą, żeby zalegalizować statek z cukrem, który płynął już do Kronsztadu. Błotnikow był zwykłym bandytą, któremu poprzewracało się w głowie, więc stracił ją w ramach porządków, jakie zaczęło w mieście robić KGB w porozumieniu z GRU. To był sygnał dla wszystkich innych marzycieli, królów cukru, pieprzu i soli, że budzi się nowa Rosja. Tak powstała pierwsza specjokracja. – Martin przerwał i spojrzał na Carol, jakby chciał dać jej znać, że przechodzi do finału. – Porządkami w Petersburgu zajął się elitarny oddział GRU z Kronsztadu. Sami siebie nazywali Korsarzami Kapitana Krasina. Dowodził nimi porucznik Andriej Kryłow, którego poznaliśmy w restauracji Europa, ten sam, który przedstawił nam później swoją żonę i córeczkę. Według Razumowa to on osobiście zlikwidował Golicyna, prawdopodobnie odpowiadał też za ścięcie Błotnikowa i wystrzelanie wielu petersburskich gangsterów. Ludzie z Krasina, czyli morskie GRU z Kronsztadu, stali się jednostką do najtrudniejszych zadań i są nią pewnie do dzisiaj. Więc kiedy Wadim nam to opowiadał, miałem przed oczami uśmiech Paula Newmana i zastanawiałem się, czy też tak uroczo uśmiechał się, strzelając do admirała czy obcinając głowę Błotnikowowi. Od tej pory nie oglądam filmów z Newmanem. – Martin przerwał i zaczął palcem dociskać aparat słuchowy. – Więc pytasz, Caroline, co z Barrow?

Martin włączył tablet. Przez chwilę przebierał w nim palcami i w końcu przesunął go w stronę Carol.

– To zdjęcie po lewej to porucznik Andriej Kryłow – oświadczył Martin. – Zrobione przez nas w dziewięćdziesiątym trzecim w Petersburgu, a to drugie… z Barrow. Nie mam wątpliwości, że to ten sam człowiek. A ty masz? – Caroline przez chwilę przyglądała się zdjęciom, westchnęła głęboko i w końcu wyszeptała:

– Kurwa! Jak to możliwe?

– A tatuaż na ramieniu to fragment tego logo. – Przerzucił obraz na tablecie, na którym pokazał się rysunek pękatego statku z dwoma wysokimi kominami. – To lodołamacz Leonid Krasin, a to… – Powiększył obraz na fragmencie burty, gdzie widać było owalny znak w zielonych barwach, w który wrysowana była sylwetka statku. Otoczony był napisem „Leonid lodołamacz Krasin”. – To fragment tatuażu na ramieniu, popatrz tutaj, to część znaku rozpoznawczego Korsarzy Kapitana Krasina, czyli jednostki KKK w GRU, znanej u nas jako tajemnicza grupa CCC, a SIN to po prostu pół słowa „Krasin”. Myślę, że tą grupą dowodzi już pewnie komandor Andriej Kryłow, ten ze zdjęcia.

– No to… – Zamilkła na moment. – Powiązałeś to! Martin! Nie wierzę! – Caroline wyprostowała się i wyglądała na bardzo przejętą. – No to Londyn ma teraz problem, wszyscy mamy problem, poważny problem. Czegoś jednak nie rozumiem. W takim razie dlaczego Rosjanie podrzucili nam tę rękę? Przecież w ten sposób się zdekonspirowali. Znacie odpowiedź, chłopcy?

– Jeżeli uważnie słuchałaś naszych opowieści z Helsinek, Kamczatki czy Petersburga, to powinnaś zrozumieć, że nie znamy odpowiedzi na twoje pytanie – rzekł Martin.

– I nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek poznali – dodał Raymond. – Skala możliwości jest ogromna… – Zawiesił głos, patrząc Carol w oczy. – Od zwykłego partactwa do mistrzowskiej inspiracji. Po prostu, Rosja taka jest.

– Tak jak wtedy, w dziewięćdziesiątym roku zrobili nam z Dymitrem Dońskim przedstawienie, by ostrzec, nastraszyć, zmanipulować, tak samo zrobili teraz z tą ręką. Porównanie wręcz komiczne, ale nie dla nich. To przecież mistrzowie takich przedstawień. Doskonale to wiesz, Carol. – Pokiwała delikatnie głową. – Ale co chcieli osiągnąć, musimy sami zrozumieć. Czytałaś *Listy z Rosji* Astolphe’a de Custine’a? – zapytał Martin.

– Nie, nie czytałam.

– No właśnie. Nikt już tego nie czyta i potem się dziwią, że nie wiedzą, co się dzieje w Rosji.

Przypisy końcowe

1. Przełożył Maciej Świerkocki, Łódź 2018. [wróć]
2. Przełożyła Aniela Zagórska, Warszawa 1935. [wróć]